

MACIEJ  
LIZINIEWICZ



*Diabelski  
postanienie*



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

MACIEJ  
LIZINIEWICZ

# Diabelski postanec



  
WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Logo serii  
WALDEMAR KORALEWSKI

Metryczka serii  
WALDEMAR KORALEWSKI  
MAŁGORZATA WIATR

Projekt okładki  
[www.designpartners.pl](http://www.designpartners.pl)

Koordinacja projektu  
PATRYK MŁYNEK

Redakcja  
JACEK RING

Korekta  
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna  
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Polish edition © Publicat S.A., Maciej Liziniewicz MMXXII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6272-4

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**PUBLICAT S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00  
e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)

# Spis treści

Karta redakcyjna

Rekomendacje

Dedykacja

Motto

Rozdział I. Wybór

Rozdział II. Duch

Rozdział III. Podhorecki

Rozdział IV. Nawiedzony dwór

Rozdział V. Stanisław Popiel

Rozdział VI. Cudzoziemiec

Rozdział VII. Confessio

Rozdział VIII. Krupiński

Rozdział IX. Pojedynek

Rozdział X. Najemnik

Rozdział XI. Żeliborski

Rozdział XII. Śmierć

Rozdział XIII. Układ

Rozdział XIV. Więzień

Rozdział XV. Krogulecki

Rozdział XVI. Wieczny tułacz

Rozdział XVII. Szabla i rapier

Epilog

Przypisy

POLECAMY CYKL O NADOLSKIM

## CZAS POMSTY TOM 1

Muszę przyznać z własnej i nieprzymuszonej woli, że powieść Macieja Liziniewicza wybija się ponad całą polską twórczość literacką i sprawia, że nie tylko wraca wiara w polskich pisarzy, ale prowokuje do stwierdzenia, że oto narodził się pisarz światowego formatu. Tak, tak, nie ma w tym żadnej przesady czy egzageracji, uczciwie i z pełną świadomością stwierdzam, że w tej powieści zagrało dosłownie wszystko, nawet nie wiem, czego miałbym się przyczepić

**Ivo Vuco**, Hultajliteracki.pl

*Czas pomsty* to przede wszystkim świetna rozrywka, ale też jeszcze lepsza lekcja historii. Historii, która pod piórem Liziniewicza ożywa i staje się czytelnikom naprawdę bliska. Miłośnikom powieści Jacka Piekary czy Mariusza Wollnego, ale też wszystkim, którzy zaczytywali się w *Trylogii*, gorąco polecam. Tak pewnie pisałby Sienkiewicz, gdyby żył współcześnie. Czy trzeba lepszej rekomendacji?

**Sławomir Krempa**, Granice.pl

Pozornie prosta rama opowieści o zemście za śmierć bliskich wypełnia się gęstą siecią powiązań, których na początku nikt by się nie spodziewał. Historia robi się głęboka, mroczna i spowita tajemnicą. Autor bardzo umiejętnie wykorzystał motywy ludowych wierzeń i fakty historyczne, które wmieszane w fabułę dały piorunującą i niezwykle apetyczną opowieść.

**Damian Podoba**, Paradoxs.net.pl

Dotychczas niekwestionowanym królem sarmackiego fantasy był Jacek Komuda, ale teraz będzie musiał się trochę posunąć na tronie i zrobić miejsce dla Macieja Liziniewicza.

**Jagna Rolska**, Fahrenheit.net.pl

## MROCZNY ZEW TOM 2

Brawa za research. A to wszystko podane w pełnowartościowym, przygodowym sosie. [...] Jednym słowem świetny historyczny kryminał z wątkami fantasy. Czyta się szybko i sprawnie, a przy tym przyjemnie, bo lektura dostarcza naprawdę wielu wrażeń – jeszcze więcej niż *Czas pomsty*.

**Dawid Siuta**, Historykon.pl

*Mroczny zew* został skonstruowany w taki sposób, że czytelnik nie jest w stanie przerwać lektury. [...] Liziniewicz wie, jak utrzymać uwagę czytelnika, i po mistrzowsku z tej wiedzy korzysta.

**@Chassefierre**, Nakanapie.pl

*Mroczny zew* wybija się na tle innych powieści przygodowo-historycznych. Maciej Liziniewicz łączy talent do snucia opowieści z posiadaną specjalistyczną wiedzą i umiejętnością jej zaprezentowania w przystępnej formie. Co więcej, jego książka jest pozycją godną polecenia także czytelnikom, którzy nieszczególnie lubią literaturę fantastyczną. Pozwala to przypuszczać, że przed autorem otwiera się świetlana przyszłość, a jego odbiorców czeka jeszcze wiele przyjemnych doznań.

**Maciej Tomczak**, Fahrenheit.net.pl

Autor zachował swój unikalny styl i pomysłowość. Nie brakuje tu zatem dobrze nakreślonego tła historycznego czy oddania charakteru epoki. Poza awanturycznymi szlachcicami, sporami o ziemię, okrucieństwem XVIII wieku, archaizacją słownictwa i wszystkim tym, co tak zachwyca w *Czasie pomsty*, dostajemy jeszcze szeroką perspektywę konfliktów na tle religijnym oraz metod wykorzystywania wiary do osiągnięcia własnych celów. [...] Maciej Liziniewicz po raz kolejny udowodnił, że wie, co robi, i nie brakuje mu ani kunsztu, ani ambicji – już zapowiada kolejną część serii.

**Marta Guz**, Konwenty-południowe.pl

*Moim Najbliższym, Patrycji i Ignacemu*



*A znowu wszystko, co powstaje, powstaje z konieczności pod wpływem  
jakiejś przyczyny.*

*Nic nie może powstawać bez przyczyny<sup>[\*]</sup>.*

Platon, *Timajos*

## ROZDZIAŁ I

# WYBÓR

Było ich czterech. Każdy z nich tak groźny, że tylko człowiek niespełna rozumu gotów byłby wejść im w drogę. Ponurzy, rośli, zdziczali na łupieżczych wyprawach. Niejedno życie mieli na swoich sumieniach. Czasem odebrane z potrzeby, a czasem i bez niej. Za nic to mieli. Tym razem jednak to ich ścigano, toteż gnali przez noc, umykając wrogom. Pędzili stepem na spienionych koniach, pomni, że tuż za nimi podąża śmierć. Okrutna, długa i bolesna, bo za to, co uczynili, nie mogli liczyć na łaskę.

Nieboskłon migotał milionami gwiazd. Groził chłodem bezchmurnego granatowego nieba. Ponad trawami niosły się głuchy, monotony tętent kopyt i ciężki oddech koni. Prócz nich nie słychać było nic innego. Żadnych słów, nawoływań czy przekleństw. Zaciśnięte pod wąsiskami usta, wyschnięte od wiatru, wykrzywiały się w grymasach wściekłości i strachu. Wiódł ich zwierzęcy instynkt przetrwania. Każdym kosztem. Byleby tylko ocaleć.

Najstarszy ze zbrojnych, siwowłosa już, galopował na czele. Miał najlepszego konia, lecz nie myślał opuszczać towarzyszy. Sam wśród tego pustkowia niechybnie by zginął. Z innymi miał jeszcze szansę. Poza tym czuł się odpowiedzialny za resztę. To w końcu on ich tu przywiódł.

Za nim, prawie bok w bok, gnali dwaj ubrani z kozacka ponurzy mężczyźni. Pochylali się nad grzbietami wierzchowców, mocno ściskając wodze. Głowy chroniły im misiurki<sup>[1]</sup>, przedramiona ściskały karwasze<sup>[2]</sup>, przez plecy przewieszane mieli lekkie kałkany<sup>[3]</sup>. W mroku błyskały tylko białka ich oczu, kiedy czasem odwracali się, szukając na horyzoncie tych, którzy ich ścigali.

Najmłodszy gonił na końcu. Jego rumak wydawał się najbardziej zmęczony. Z pyska ściekały mu płaty piany, sierść lśniła wilgocią potu. Mimo to nie poddawał się, raniony ostrogami aż do krwi. Tak jakby rozumiał, że jego powinnością jest służyć swemu panu aż do samego końca i że to od niego zależy ocalenie jeźdźca.

Przemierzali bezkresną przestrzeń, to niknąc w jarach i rozpadlinach, to znów pojawiając się oblani księżycową poświatą. Wiatr owiewał ich zacięte twarze.

Szumiał w uszach, mieszając się z cichymi parsknięciami i sapaniem zmęczonych koni. W głowach zaś mieli jedną myśl. Byle dalej, byle prędzej. Znaleźć się tam, gdzie będzie choć trochę bezpieczniej. Zeskoczyć z siodeł i móc zalec na ziemi. Napić się wody, rozluźnić naprężone mięśnie. Odpocząć, nawet jeśli miałyby to potrwać ledwie chwilę. A potem znów ruszyć przed siebie.

Siwowłosa prowadził ich pewnie. Znał step jak własną kieszeń. Już od wielu lat przemierzał go z innymi, wędrując na południe. Tam, gdzie były złoto i jedwab. Broń zdobna szlachetnymi kamieniami, piękne kobiety, smukłonogie wierzchowce i nieprzebrane bogactwa, po które starczało tylko sięgnąć. Ten, kto miał odwagę, wracał stamtąd albo z pełnymi sakwami, albo też nie wracał wcale. Niejeden kark przecięły bowiem szable śniadoskórych pogan. Wielu charakterników gniło po zapomnianych lochach albo też kończyło życie przykutych do wiosł galer. Lecz nic to było wobec sławy, jaką mieli ci, którym udało się unikać niebezpieczeństw. To było najważniejsze. Fantazja i odwaga. Złoto trwoniono na wino i okowitę, a jedwabie za bezcen prawie kupowali handlarze. Szacunek i uznanie zostawały na zawsze. Imiona tych o nieustraszonych sercach przechodziły do legend.

Nie szlachetne kamienie ani inne świecełka tym razem przywiodły ich na łupieżczy szlak. Chcieli zrobić to, na co nie poważył się dotąd żaden człowiek. Zdobyć coś, za co murza Arğın Doğan Toğay<sup>[4]</sup> gotów byłby oddać całe posiadane bogactwo. Lecz im się nie udało. Łup musieli porzucić po drodze, licząc, iż choć na chwilę powstrzyma to pościg. Próżna jednak była to nadzieja. Goniących ich Tatarów wiodła wściekłość, którą ugasić mogła jeno krew. Gorzeli pragnieniem zemsty. Nic nie mogło ich powstrzymać.

Czterej jeźdźcy przemknęli pomiędzy pagórkami. Zadrzała poruszona gwałtownie trawa, pozostawiając wyraźny ślad, jak nić łączącą ich z tatarskim czambułem<sup>[5]</sup>. Podkowy odcisnęły znak na ziemi, czytelny podpis pod, zdawałoby się, wydanym już wyrokiem śmierci. Stary awanturnik wiedział jednak, co robi. Gnał najkrótszą z możliwych dróg ku strumieniowi wiodącemu w rysujący się w oddali las. Bywało, że już w przeszłości korzystał z tego sposobu i znanej sobie tajemnej kryjówki. Ona jedna dawała jakąkolwiek nadzieję. Niepewną, być może złudną, ale śmiałek nie miał dziś innego wyboru. Postawił wszystko na jedną kartę, wiedząc, że nim wstanie świt, jego dusza może znajdować się w piekle. Tylko tam mogłaby bowiem trafić, niczym ciśnięty w głębinę trup obciążony workiem kamieni.

Zachlupotała woda pod kopytami. Rozbryznięty się krople posrebrzone księżycową poświatą. Schłodziły rozpalone ciała wierzchowców, spadając rześście wokoło. Lecz ludzie mało zwrócili na nie uwagę. Tylko na tyle, na ile potok spowolnił ucieczkę i wzmógł targające nimi gniew i strach. Zbawienny bór zdawał się wciąż nieskończenie odległy. Zaczył w oddali granatowe niebo poszarpanymi wierzchołkami drzew sterczącymi groźnie ku gwiazdom.

Gdzieś zza ich pleców, z ciemnej nieskończonej dali dobiegał stłumiony odgłos nawoływań. Niezrozumiały, wąty, a jednak mrozący krew w żyłach. Zapowiedź tego, co może się zdarzyć, jeśli ucieczka się nie uda. Skłaniał do gwałtowniejszego ponaglenia koni, jeząc włosy na głowach zbiegów.

O jaką staję<sup>[6]</sup> od lasu siwy wyjechał ze strumienia, dążąc na prawo. Przebrnął wraz z towarzyszami przez głęboki jar porośnięty na brzegach cierniowymi krzewami. Ledwie tak szeroki, że tylko gęsiego mogli przez niego przemknąć. Za nim była szersza dolinka, a potem kolejne zagłębienie. Na końcu zaś następny potoczek, w który zanurzyły się kopyta wierzchowców.

Musieli zwolnić, gdy brnęli po błotnistym dnie pomiędzy prawie ocierającymi się im o nogi liśćmi łopianów. Zbawienny las był tuż-tuż. Szumiał letnim listowiem, pomrukując groźnie. Trzeszczał i skrzypiał odwiecznym rytmem prastarych drzew, ni to grożąc, ni to przywołując śmiałków. Niepokoił i zarazem zachęcał swym mrokiem.

Powiało chłodem spomiędzy gęstwiny, aż wzdrygnęli się spoceni jeźdźcy od nagłego zimna. Przez głowy przemknęło im natrętne skojarzenie z grobem. Tym silniejsze, że wiatr przyniósł zapach gnijącego w poszyciu listowia i butwiejących gałęzi. Nie zważali jednak na to. Gotowi byli choćby i w grobie się schronić, byleby tylko znaleźć ocalenie.

Zatrzeszczały patyki pod zdartymi niemal do cna podkowami. Poczerniało wszystko wokoło, iż ledwie na wyciągnięcie ręki można by coś zobaczyć. Lecz strumyk pewnie prowadził ich dalej w głąb boru. Konie instynktownie się go trzymały, rozglądając się trwoźliwie swymi wyłupiastymi oczami. Łapały oddech po niedawnej gonitwie, kręcąc łbami, od czasu do czasu powstrzymywane przez jeźdźców, by nie pochyliły się ku wodzie dla zaczerpnięcia ożywczych kropeł. Na to nie było teraz czasu. Wiedzieli to zbiegowie, równie spragnieni jak zwierzęta.

Przebrnęli przez niewielkie rozlewisko, gdzie nogi rumaków zapadały się aż po napięstki<sup>[7]</sup>. Minęli czarny staw po lewej i ruszyli jego brzegiem pomiędzy

zwalonymi pniami i trzcina. Jeźdźcy chwiali się w siodłach, wierzchowce zaś stąpały ostrożnie po podmokłej ziemi.

Nikt nic nie mówił. Prowadzący grupę siwowłosa śmiałek pewny był swego, a inni mu zaufali. Nie mieli bowiem innego wyjścia, niż podążać posłusznie za swym dowódcą. Jeśli ktokolwiek mógł ich ocalić, to tylko on. Powiódł ich wcześniej na niebezpieczną wyprawę, z której wracali teraz z pustymi rękami. Nikt jednak nie miał mu tego za złe. Zdarzało się nierzadko i tak. Teraz chodziło jedynie o to, aby cało wynieść głowy, a później znów ruszyć po łupy, zapominając o przeszłości.

Skręcili na lewo, pomiędzy porośłe gęsto kamieniste wzniesienia, i znów weszli w wodę. Tym razem jednak dno strugi było twardsze, pełne drobnych otoczków zgrzytających pod kopytami. Wartki nurt szumiał, przelewając się pomiędzy przeszkodami. Błyszczął, wirując wokół końskich pęcin burzliwymi falami.

Im dalej, tym grunt stawał się twardszy i bardziej jednolity, a pochyłość wzniesienia większa. Zmęczone wierzchowce znów parskwały, sapiąc ze zmęczenia. Wyciągały przed siebie głowy, naprężając ciała z wysiłku. Strzygły uszami, zaniepokojone zmieszaniem odgłosów płynącej wody i lasu. Pobrzękiwała uprząż, skrzypiały zużyte siodła. Tylko jadący ludzie wciąż uparcie milczeli.

Z ciemności wyłaniać się poczęły ostre krawędzie głazów i skalnych ścian. Prześwitujący gdzieś pomiędzy gałęziami i liśćmi księżyc oświetlał ponury wąski korytarz ginący gdzieś w mroku. Mogło się zdawać, że czterech uciekinierów z własnej woli zmierza w pułapkę bez wyjścia. Tylko siwowłosa wiedział, co czeka ich na końcu tej drogi.

Wyjechawszy na wzniesienie otoczone sterczącymi bryłami skał, ruszyli w lewo, oddalając się od potoku. Zgrzytały grube kamienie i z hurgotem staczały się pod naporem zwierzęcych nóg. Powiewy nocnego wiatru poruszały szemrzącymi liśćmi nad głowami śmiałków. Wilgotne i lepkie powietrze osiadało na ludziach i koniach.

Najstarszy ze zbiegów bez słowa zeskoczył z siodła i wziął wierzchowca za wodze przy pysku. Inni poszli za jego przykładem, trzymając się na tyle blisko, aby nie stracić go z oczu w ciemności. Szli, nie wiedząc dokąd. Niejedna posępna myśl legła się w ich głowach, gdy przemierzali to mroczne pustkowie.

Szczelina pomiędzy wysokimi skałami się zwężała. Końskie boki prawie ocierały się o ściany, a mrok zgęstniał tak, iż już nic nie było widać. Szli po omacku, kierując się słuchem. Rozbiegane oczy ludzi i zwierząt na próżno szukały jakiegokolwiek

punktu odniesienia. Mrok potęgował i tak już ogromny strach. Teraz do lęku przed pościgiem doszedł nowy, równie straszny, przed tym, co mogło kryć się tuż obok. Nieodgadnionym i nieziemskim. Upiornym. Przez głowy zbiegów nagle przelatywały wspomnienia zbrodni, których dokonali, i urywki opowieści o rzeczach, od których włos jeżył się na głowie. Tylko siwowłosy dowódca umiał powściągnąć w sobie ów zabobonny strach, nauczony przez lata doświadczeń, że bać się należy jedynie innych ludzi, nie potworów.

Najmłodszy śmiałek, idący na końcu, co rusz oglądał się za siebie, doszukując się w szmerach lasu i chrzęście kamieni czegoś nienazwanego, a przez to najbardziej przerażającego. Dusił w sobie pragnienie zawołania tych, co szli przed nim. Bardziej bowiem od tego, co podpowiadała mu rozgorączkowana wyobraźnia, bał się wstydu. Długo walczył ze sobą, idąc przez mrok ku nieznanemu, aby w końcu odetchnąć z ulgą, ujrawszy gdzieś przed sobą blask księżycowego światła. Raźniej pociągnął konia, licząc, iż już za chwilę znów oczy odnajdą w ciemnościach zarysy kształtów i nocne odcienie szarych barw.

Weszli w ukrytą pośród postrzępionych głazów dolinkę porośniętą paprociami i mchem. Spłoszony puszczyk wzbił się w powietrze, łopocząc skrzydłami. Przystanęli na chwilę, wsłuchując się w otaczającą ciszę. Zwodniczo uspokajała, dając poczucie złudnego bezpieczeństwa. Wydawało się, że i sam diabeł nie potrafiłby odnaleźć ich teraz. Nie dali się jednak omamić temu wrażeniu. Czekali w napięciu, gotowi do walki lub dalszej ucieczki.

Siwowłosy bez słowa oddał wodze swojego konia stojącemu najbliżej. Przeszedł kilka kroków i rozplynał się w ciemnościach. Pozostał po nim tylko nikiący szelest liści i czasem trzask złamanej gałązki. Po chwili ucichło nawet to. Osamotniona trójka z niepokojem wyteżyła zmysły. Choć nikt nie odważyłby się tego powiedzieć głośno, każdemu przez głowę przemknęła niedorzeczna myśl, iż starszy dowódca pozostawił ich tu na pastwę losu. Rozsądek nakazał szybko odrzucić to przypuszczenie. Cóż bowiem mógłby zrobić samotny, bez wierzchowca, na tym odludziu? Pozostawało więc czekać.

Sekundy i minuty pełne napięcia dłużyły się nieskończenie. Niepokój ludzi udzielał się zwierzętom, nerwowo przestępującym z nogi na nogę. Uspokajały się ledwie na chwilę, głaskane po szyjach, a zbiegowie znajdowali nieświadome pocieszenie w ciepłe bijącym od rozgrzanych końskich ciał. Byli potrzebni sobie

nawzajem, bo też ani samotny koń, ani człowiek bez niego nie mogliby przetrwać w tej zdziczałej głuszy.

W końcu zaszemrały poruszone liście paproci. Z ciemności wyłonił się dowódca. Odebrał wodze swego gniadosza, gestem nakazując pozostałym iść za sobą.

Ruszyli, niepewni tego, co mieli zobaczyć. Wiedzieli tylko, iż jest to stara kryjówka, z której korzystali wtajemniczeni Kozacy, kiedy brakowało innego wyjścia, a pościg deptał po piętach. Miejsce ostateczne, za którym była albo wolność, albo też śmierć. Stąd już nie było ucieczki. Jeśli wprawne oko któregoś z Tatarów odkryłoby drogę do niej, na wieki spoczną tu ich kości.

Minęli stromą ścianę, wędrując wąskim przesmykiem pomiędzy nią a ogromnym głazem. Schylając się i prawie ciągnąc wierzchowce za sobą, przeszli pod skalnym nawisem. Weszli w otoczoną zewsząd czeluść, w której z ledwością zmieściło się wraz z nimi czworo zwierząt. Niczym nad studnią rozpościerał się w górze wąski spłachetek rozgwieźdzonego nieba, a księżyc ginął gdzieś za krawędziami rozpadliny. Dopiero teraz siwowłosa rzucił krótko głosem nieznoszącym sprzeciwu:

– Spętać konie.

Szept zabrzmiał złowrogo, odbijając się sykiem od kamiennych brzegów kryjówki.

Posłusznie i sprawnie wypełnili rozkaz. Gdy skończyli, stanęli bez ruchu, czekając na dalsze polecenia. Zlustrowawszy wierzchowce, machnął ręką, surowym głosem nakazując:

– Za mną.

Ruszyli karnie jeden za drugim. Ledwie po kilku krokach dowódca opadł na czworaka, niknąc pośród wybujałych roślin. Pozostali uczynili to samo. Nie baczyli na drobny żwir wbijający im się w dłonie i kolana. Prawie się dotykając, pełzli jak zwierzęta pomiędzy ocierającymi się o nich liśćmi paproci. Już po chwili siwowłosa dotarł do skalnej ściany. Nie odwracając się nawet, mruknął za siebie:

– Tutaj.

Potem zniknął w ciemnej czeluści tuż nad ziemią, ledwie szerszej od lisiej nory.

Z jamy powiało stęchłym chłodem. Zawahał się przez sekundę kolejny z uciekinierów, nim wsunął się w mroczną dziurę. Choć w miłosierdzie Boga nie wierzył, przemknęły mu przez myśl słowa zapamiętanej z dzieciństwa modlitwy.

Kiedy zniknął ostatni ze zbiegów, uspokoiły się trącone przed chwilą liście. Zamarła na nowo przyroda w swym obojętnym rytmie, tak jakby nigdy nie było tu ludzi. Gdyby nie dochodzące z ciemności wystraszone parsknięcia koni, już nic nie świadczyłoby o ich obecności na tym zapomnianym przez Stwórcę pustkowiu.

Wąski korytarz wysypany drobnym piaskiem i cuchnący zwierzęcymi odchodami ciągnął się jakieś dwadzieścia stóp, opadając łagodnie. Czołgając się przez niego, ocierali się o pokryte wilgocią skaliste ściany i nieraz głowami trącali o ostre krawędzie. Z ulgą poczuli po chwili, iż jama się rozszerza, przechodząc w szerszy tunel, a potem w jaskinię, gdzie znów mogli stanąć. Jeszcze tylko starczyło zrobić kilka kroków, by dotrzeć do obszerniejszej komory, a tam bez trudu się wyprostowali, oddychając ciężko. Byli na miejscu.

Powietrze było gęste i cuchnące. Chłodne mimo letniej pory, tak że dreszcze przechodziły przez oblane potem ciała mężczyzn. Mimo to odczuwali ulgę. Choć gdzieś na dnie dusz tlił się jeszcze niepokój, gasili go w sobie świadomością, iż teraz tylko diabeł mógłby ich odnaleźć. Nawet gdyby ścigający ich znaleźli konie, to cudem tylko potrafiliby trafić za zbiegami pod ziemię.

Dyszząc ze zmęczenia, stojąc w bezruchu, uspokajali się powoli. Oswajali oczy z mrokiem. Na niewiele się to zdało wobec przytłaczającej, lepkiej czerni dokoła. Po chwili głucho odbił się od sklepienia charczący głos siwowłosego:

– Ma który świecę albo chociaż jaki ogarek?

Najmłodszy poruszył się, dłońmi macając niewielką sakwę przy boku. Po omacku sięgnął do torby i pod palcami poczuł znajomy kształt. Niemalże dumny z siebie wyszeptał:

– Ja mam.

– To skrzysz ogień. Jak w dupie ciemno.

Głos herszta nie wyrażał ani wdzięczności, ani też zadowolenia. Był ostry i przynaglający, wręcz zły. Dlatego młodzik pospiesznie zabrał się do wypełnienia rozkazu.

Znalazłszy krzesiwo i woreczek z hubką<sup>[8]</sup>, przykucnął i nerwowo wziął się do dzieła. Uderzał kilka razy, sypiąc wątlymi snopami iskier. Na ułamki sekund błyski rozświetlały jaskinię. Mieszał się zapach stęchlizny ze swądem tartego krzemienia. Ale jeszcze nie zatlił się usypany kopczyk drobnego proszku.



Chłopak zaklął pod nosem, ponawiając próbę. Czuł wyczekiwanie i domyślał się złośliwych komentarzy cisnących się na usta jego towarzyszy. Mogli na nim wyładować narosły od wielu godzin dręczący ich gniew. Dlatego z całych sił się starał, aby tylko nie dać im ku temu okazji. Odetchnął, gdy pył zmieszanej saletry i grzybów zatlił się, rozbłyskując czerwonymi kropkami. Kiedy tylko uniósł się płomyczek, przysunął knot świecy prędko wyjętej z sakwy. Zaskwierczał sznurek, pryskając kropelkami stopionego wosku. Ognik wpełzł na niego powoli, drżąc i wijąc się niepewnie. Aż okrzepł, rozświetlając ciemność migotliwym blaskiem.

Westchnienia odbiły się od sklepienia grotu. Mizerny płomyk wystarczył, by większa otucha zagościła w sercach. Dzierżący świecę rozejrzał się, a po chwili odstawił ją na leżący pośrodku kamień. Teraz i on mógł swobodnie spojrzeć wkoło.

Pieczara była niewielka. Ledwie na jakieś dwadzieścia stóp długa, kończyła się gwałtownie spękaną skałą. Nie wyższa niż na wyciągniętą w górę rękę rosłego mężczyzny, przytłaczała wręcz ciasnotą i przerażała świadomością, iż nic nie podtrzyma kruchych piaskowych skał wiszących nad głowami zbiegów. Mimo to teraz zdała im się najprzyjaźniejszym miejscem na ziemi. Bezpieczną kryjówką przed tymi, którzy szukając ich, bładzili teraz gdzieś w górze.

W milczeniu rozsiedli się na wilgotnym piasku, dając wypoczynek steranym gonitwą ciałom. Oparli o kamienie mokre plecy, do których kleiły się koszule i skórzane kubraki. W świetle świecy widać było obłoczki pary dobywającej im się z ust przy każdym nierównym oddechu.

Siwowłosa przymknął oczy, walcząc z bólem, jaki przeszywał jego bark. Stara rana po postrzale odzywała się zwykle w najmniej odpowiednich momentach, kiedy zbyt nadwerężył ciało wymęczone latami niezliczonych wędrówek. Na jego twarzy nie odmalował się jednak żaden inny ślad cierpienia. Był zbyt dumny, aby okazać to przed ludźmi. Aby odpędzić natrętne myśli i choć na chwilę zapomnieć o udreće, rzucił przez zęby:

– Ma który co jeść albo pić?

Odpowiedzią było kręcenie pochylonych głów i bezradne wzruszenie ramion.

– Kurwa mać – skwitował, poprawiając się na swym miejscu.

– Przy koniu mam – wydyszał po chwili jeden z ubranych po kozacku mężczyzn.

– To czemuś nie wziął? – syknął jadowicie stary.

– No bo...

– No boś głupi! – przerwał mu herszt, by zaraz splunąć na bok, dając w ten sposób niejaki upust swej złości.

– Nie było jak brać po omacku – spróbował jeszcze raz usprawiedliwić się winowajca.

Stary nie odpowiedział mu, machnąwszy tylko ręką. Znow zapadła cisza.

Powoli mijały kolejne minuty. Gruba świeca spływała gęstymi kroplami krzepnącymi w swej niespiesznej wędrówce w dół. Wszyscy wiedzieli, że za chwilę trzeba będzie ją zgasić, aby zachować to jedyne źródło światła. Nikt jednak nie kwapił się, by to uczynić. Malutki ogień dawał nadzieję i pocieszenie, odganiając złą myśl o tym, że jaskinia może stać się grobem. Dopiero po dłuższej chwili, zebrawszy się na odwagę, najmłodszy z mężczyzn zapytał:

– Ile czasu będziemy tu siedzieć?

Siwowłosy prychnął pogardliwie, ledwie uchylając przymknięte powieki.

– Ile trzeba – warknął.

Młodziak opuścił głowę, zły na siebie, że się odezwał. Ktoś mógłby pomyśleć, że powodował nim strach. On zaś ze wszystkich lęków najbardziej bał się posądzenia o to, że brak mu odwagi. Zapatrzony w starszych towarzyszy, wychowany na mołojeckich<sup>[9]</sup> legendach, pragnął sławy bardziej nawet niż złota.

Nie omylił się w swych przypuszczeniach, że któryś z druhów wykorzysta okazję do kpiny. Jeden z odzianych w misiurkę zawadiaków parsknął złośliwie:

– Pod pierzyną trzeba było siedzieć, a nie na chadzki<sup>[10]</sup> ruszać.

Drugi dorzucił szyderczo:

– Tylko smrodu nie narób w gaciach, bo i tak wystarczająco duszno.

Rozległ się stłumiony śmiech obydwóch.

– Cicho! – przerwał gwałtownie dalsze docinki siwowłosy. – Razem jesteśmy i razem się trzymamy! A tobie... – palcem wskazał na pierwszego z prześmiewców – ...jeszcze się do dupy dobiore, żeś na czujce zasnął i nie słyszałeś, jak nas podeszli!

– Nie zasnąłem! – zaprzeczył dotknięty do żywego mężczyzna, dorzucając za moment: – Dobrze wiesz, jak było! Przeklął nas kto albo złe ze stepu zmysły zwiodło! Tfu!

– A wiem! – odparował jadowicie stary. – Przez ciebie ledwie z życiem nam się ująć udało i musieliśmy dla ratowania skóry Tuhajowego basałyka<sup>[11]</sup> w stepie

porzucić. Gównu nam teraz zostało!

Tym razem oskarżony nie odpowiedział. Zaklął pod nosem, podciągając kolana i obejmując je ramionami. Łypnął nienawistnie ku młodzikowi, jakby to on był winien reprimendy.

Dowódca znów przymknął oczy, odchylając głowę. Spokojnym już głosem zakończył:

– Dość na tym. Szkoda po próżnicy gadać. Światło gasić i spać, skoro zreć nie ma co.

Wdzięczny za niespodziewane wsparcie chłopak natychmiast powstał i podszedł do świecy. Pochylił się, wyciągnął palce i zgniótł migoczący knot. Zasycał przez moment gaszony ogień. A potem nastąpiła ciemność.

Nie wiadomo, jak długo spali zmęczeni wielogodzinną ucieczką. Czas biegł inaczej dla nich tu, w podziemiu. Całkowita ciemność kpiła sobie ze zmieniających się gdzieś tam, na górze, dnia i nocy. Była obojętna jak grób w swej jednostajnej niezmienności na wschody i zachody słońca.

Pierwszy ocknął się najmłodszy ze zbiegów. Mimo to nie poruszył się ani tym bardziej nie odezwał, nie chcąc ponownie narazić się na czyjś gniew. Siedział oparty o ścianę i wpatrywał się w czernią, a w jego głowie rodziły się najstraszliwsze myśli. Nawet chrapanie świadczące o obecności towarzyszy nie było w stanie stłumić w nim dojmującego poczucia osamotnienia. Gęsty mrok oblepiał go niczym smoła, przytłaczając swą pustką. Aby uciec od ponurych rozważań, siłą prawie zmusił się do wspomnień o, niedawnej przecież, przeszłości. Ojcowskim domu, matce, która, choć surowa, miłowała go nad życie, wiosennej zieleni i zapachu bezkresnych pól i łąk wokoło niewielkiego dworku. Te wizje nieuchronnie poprowadziły go ku zadawanym sobie już wielokroć pytaniom. Dlaczego ich opuścił? Czego mu brakowało? Teraz, w tej jamie, prawie nie rozumiał swych dawnych tęsknot za czymś, co trudno było określić. Gdyby przed kilku laty, wyrostkiem jeszcze będąc, nie uciekł, jakże inaczej wyglądałoby jego życie. Może i byłoby nudne, podporządkowane odwiecznemu rytmowi obyczajów i praw, ale przecież w ostatecznym rozrachunku szczęśliwe. Gdzie była owa sława, o której tyle się nasłuchiwał? W tej zapomnianej przez Boga norze?

Zacisnął usta w niemej wściekłości. Jakże inaczej wszystko wyglądało w dawnych wieczornych bajaniach przy ognisku. Nie było w nich zimnej wilgoci,

wielodniowego, bezrozumnego pijaństwa, karczemnych burd o byle co i przelewanej bez sensu krwi. Złych i okrutnych ludzi pozbawionych charakteru, gotowych zabić dla kilku miedziaków, przechodzonych dziewczek cuchnących piwem, brudu, smrodu i biedy przerywanej jedynie okresami rozpustnego rozpasania za skradzione złoto. A przecież miało być inaczej.

Zaklął w duchu, pocieszając się, że jeszcze wszystko jest przed nim. Nie musi być taki jak ci, z którymi przestawał. Był przecież wciąż młody i miał dokąd wrócić. Kiedy to pomyślał, w sercu zakłuło go bolesne przecucie, że jeśli odejdzie, wezmą go za tchórza. Rozgłoszą jego imię, śmiejąc się z niego po gospodach. Tego zaś nie mógłby znieść.

Odetchnął ciężko, przytłoczony niczym głazem własnymi myślami. Wolno powracała mu ostrość otumanionego niedawnym snem rozumu. Uśmiechnął się ironicznie pod nosem na wspomnienie zadawanych samemu sobie jeszcze przed chwilą pytań. Dobrze wiedział, że dla takich jak on nie ma powrotu do przeszłości. Pozostaje jedynie marzenie o tym. Odległe i nierealne. Za wiele bowiem wydarzyło się od czasów, kiedy był niewinny. Teraz, mając sumienie ciężkie jak ołów, mógł tylko brnąć dalej przed siebie, ciesząc się każdym dniem, w którym nie spotkał kostuchy. Wszystko inne było już nieważne.

Przymknął oczy, chcąc znowu zasnąć. Wyciszyć targające nim emocje. Zapomnieć. Oddać swą duszę rozkosznej namiastce śmierci, gdzie wszystko było łatwiejsze. Choć nie było to proste, powoli zanurzał się w odmęt pomiędzy jawą a ulotnymi majakami nocy. Odpływał w niezbadaną głębię.

Nagły szmer dobiegający z głębi pieczary sprawił, że drgnął wyrwany z półsnu. Otworzył oczy niepewny, czy to, co usłyszał, było prawdziwe, czy też był to wytwór niesfornej przedsennej wyobraźni. Choć jednak wyteżał wzrok, niczego nie zdołał dostrzec. Powoli uspokajało go monotonne pochrapywanie towarzyszy i ich równe oddechy. Prychnął przez nos, rozzłoszczony omamem. W duchu tłumaczył sobie, że nikogo innego prócz nich tu nie ma, a szmer, jeśli nawet był prawdziwy, mógł zostać wywołany przez spadający kamyk czy jakieś małe zwierzę.

Poprawił się na swoim miejscu, rozprostował nieco przygarbione plecy. Przeciągnął kark i skostniałe ramiona. Ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi, kiedy poczuł lekki ból w znieruchomiłych dłuższy czas kościach. Już miał zamykać na powrót powieki, kiedy znów coś zaskrzypiało gdzieś w jaskini. Tym razem był pewny, że nie mógł się przesłyszeć.

Włos zjeżył mu się na głowie, a dłońmi mimowolnie wymacał rękojeść zatkniętego za pas noża. Spoglądał w lewo i prawo, starając się wzrokiem przebić mrok. W myślach zaś szukał odpowiedzi na pytanie, czym był ów odgłos.

Dwójka współtowarzyszy spała na lewo od niego. Wystarczyło sięgnąć ręką, by dotknąć najbliższego z nich. Z pewnością nie stąd doszedł dziwny dźwięk. Herszt znalazł spoczynek na prawo, nieco dalej. Ale i w tym wypadku łatwo było określić, gdzie jest, wsłuchując się w szmer jego oddechu. Tymczasem skrzypnięcie dobiegło gdzieś z głębi. Z miejsca, gdzie stała uprzednio świeca, albo nawet zza niego. Przynajmniej tak zdawało się młodzikowi.

Zasłuchany, pełen najgorszych wyobrażeń, znieruchomiał, czekając na jakiś kolejny odgłos. Modlił się w duchu o to, aby już się nie rozległ, a jednocześnie spodziewał się go cały napięty. Nie omylił się. Coś, lub ktoś, było wraz z nimi w pieczarze. Tego był pewny, kiedy do jego uszu doszło delikatne brzęknięcie metalu, a potem skrzypnięcie, jakie wydaje skórzany but. Zimny pot nagłą kroplą spłynął po plecach młodzika, łaskocząc nieprzyjemnie. W ustach poczuł napływającą gwałtownie ślinę i mdły smak strachu. Od razu przyszło mu na myśl, że to Tatarzy odkryli kryjówkę. Musiał jak najprędzej zbudzić kamratów, lecz sparaliżowany lękiem nie był w stanie tego uczynić.

Mijały ciągnące się sekundy, w których nieprzydatne były otumanione ciemnością oczy. Musiał zaufać słuchowi, jakże podatnemu na urojenia. Wyteżył go z całych sił, próbując oddzielić od odgłosów śpiących dźwięków tego, co było w głębi groty. Na próżno. Nie usłyszał już nic więcej prócz pochrapywań i przerywanych oddechów.

Serce biło mu gwałtownie w piersi. Krew szumiała w skroniach przyspieszonym, pulsującym rytmem. Przez ciało przechodziły dreszcze, na przemian chłodne i gorące. Wiedział, że teraz nie zdoła już zasnąć. Był przekonany o czyjejś obecności. Czuł ją niemal zwierzęcym instynktem, choć rozum wciąż podpowiadał, że omylił się i wszystko jest tylko wytworem rozedrganego i pobudzonego umysłu. Walczyły w nim natura ze świadomością i z rozsądkiem, przyprawiając go niemal o szaleństwo. Rósł w sercu najgorszy z możliwych lęków – przed tym, co niewidoczne i nieodgadnione. Najbardziej bowiem człowiek boi się tego, co sam wytworzy we własnym umyśle. Makabrycznej wizji, której spełnienia wypatruje.

Nie wiedział, ile trwało to straszliwe oczekiwanie. Może ledwie chwilę, a może godzinę. Czas kpił sobie z niego, potęgując grozę swym zakłóconym biegiem. Chłopak poczuł niewyobrażalną wprost ulgę dopiero wówczas, kiedy z prawej

strony usłyszał gwałtowne, urwane chrapnięcie siwowłosego herszta, mlaskanie wyschniętych ust i szelest poruszającego się ciała. Chrząknięcie starszego mężczyzny tylko upewniło chłopaka, że nie jest już sam. Mimo to się nie odezwał. Czekał.

Dowódca zaklął pod nosem. Dłonią przejechał po twarzy, by odgonić resztkę snu. Z przyzwyczajenia sprawdził, czy ma szablę u boku, zatknięty za pas pistolet i ukryty za pazuchą sztylet. Upewniwszy się, że są na miejscu, przeciągnął się, prostując podkulone dotąd nogi. Znów jego ciało przeszył zapomniany na chwilę ból barku, do którego doszło mrowienie ścierniętych stóp i łupanie w wychłodzonych kolanach. Zazgrzytał zębami wściekły na swój wiek i przypadłości. Masując łydki, powoli przywracał krążenie krwi w nogach. Oddychał przy tym ciężko i głośno, mamrocząc coś od czasu do czasu.

Kiedy skończył, oparł się znów o ścianę. Milczał przez chwilę, nim rzucił szeptem:

– Nie śpi który?

Młodzik się zawahał. Przełknąwszy ślinę, cicho odpowiedział:

– Ja nie śpię.

– To i dobrze – skwitował siwowłosey. – Szturchnij no tamtych. Bliżej jesteście. Światło zapalić trzeba. Godzinę sprawdzę.

Najmłodszy zbieg prędko wykonał rozkaz starego ku niezadowoleniu pozostałej dwójki. Kiedy tamci klęli bełkotliwie, sam zajął się krzesaniem ognia. Wciąż dręczyło go dziwne przeczucie, iż ktoś prócz nich skrył się w mroku. Tym bardziej, aby zadać kłam lękliwym i niedorzecznym przypuszczeniom, czym prędzej chciał podpalić knot. Ani słowa nie powiedział o zasłyszanych szelestawach i skrzypieniach, żeby znów nie narazić się na kpinę.

Drżące ręce z trudem skrzesały ogień, od którego powoli zajął się nasączony woskiem sznurek. Drobnny płomyk oświetlił jaskinię ledwie na kilka stóp. Herszt, widząc światło, ponaglił:

– Bliżej daj!

Sam zaczął grzebać za pazuchą w poszukiwaniu srebrnego czasomierza. Niezwykle był dumny z niego oraz faktu, iż potrafił odczytać z cyferblatu właściwą godzinę. Zdobył go jeszcze lata temu na jakichś kupcach, którzy nieopatrznie podróżowali ze zbyt małą eskortą na Krym. Ich rozwłócone przez zwierzęta kości bieleły obecnie gdzieś tam, wśród bezkresnego stepu. Jediną pamiątką po istnieniu

szacownych handlarzy pozostał podręczny, zamykany zegarek w kształcie jaja, którym cieszył się teraz morderca.

Znalazszy to, czego szukał, siwowłosy wyjął niewielki, grawerowany przedmiot. Z namaszcczeniem ujął palcami wieczko koperty, aby odsłonić tarczę. Pochylony nad dowódcą młodzik z niemą fascynacją, prawie zapomniawszy o niedawnym niepokoju, wpatrywał się w magiczne urządzenie, którego zasady działania wciąż nie pojmował. Często marzył, że i jemu kiedyś los sprawi podobny prezent, którym będzie się popisywać przed innymi. Na razie jednak mógł tylko podziwiać zmyślny, drogocenny mechanizm, dzięki któremu dało się zmierzyć upływający czas.

Stary mężczyzna już odchyłał srebrne wieczko, mrużąc niedowidzące nieco oczy, kiedy nagle wszystko zamarło, a przez ciała uciekinierów przebiegł śmiertelny chłód, trzeźwiąc błyskawicznie zaspane umysły. Strach sparaliżował śmiałków, kiedy gdzieś z głębi pieczary doszedł ich spokojny, głuchy głos:

– Nie trudź się, panie Żeliborski. Godzina trzecia dochodzi.

Zabrzmiało w uszach ulotny obcy akcent. Nim ucichło rozedrgane słowami powietrze, zerwali się na równe nogi dwaj odziani z kozacka zbiegowie, chwytając za rękojeści szabel. Młody chłopak wyprostował się gwałtownie, prawie że gasząc wijący się na końcu knota ogień. Ze strachu w jednej chwili zaschło mu w gardle, a w żołądku poczuł skurcz i mdłości. Tylko wywołany z nazwiska szlachcic nadal siedział przy ścianie, w bezruchu ściskając w palcach swój cenny chronometr. Dobrze wiedział, że na nic się teraz nie zdadzą miotanie się ani żadna nerwowość. Jeśli ktoś skryty w mroku chciałby ich zabić, mógł to uczynić już wcześniej.

Powoli, aż nazbyt ślamazarnie, aby dać wyraz swemu opanowaniu, Żeliborski zamknął kopertę zegarka. Równie niespiesznie schował go za połę wyświechtanego żupana, cedząc:

– Pokaż się! Coś za jeden i skąd mnie znasz?

Z głębi pieczary rozległ się cichy, stłumiony śmiech. Zaszleściły po piaszczystym dnie jaskini skórzane buty. Zabrzęczały metalowe sprzączki rynsztunku. Młodzik odruchowo wyciągnął rękę dzierzącą świecę w kierunku, skąd doszedł ten odgłos. Dłoń mu drżała, kołyszając migotliwy płomyk, co nadawało zmieniającej się w półcieniach jaskini iście upiorny wygląd. Chłopak sam nie wiedział, kogo spodziewał się ujrzeć, lecz kiedy dostrzegł zarys postaci, odetchnął z pewną ulgą. Przynajmniej ten, który nadszedł, wyglądał na człowieka.

W mroku mało go było widać, a blask to omiatał go, to uciekał. Mimo to łatwo dostrzec można było, iż to jakiś człek z cudzoziemska strojny. Niewysoki, raczej szczupły, choć szeroki w barkach.

Odziany cały na czarno mężczyzna założył ręce na piersi, dając tym znak, iż nie dąży do zwady. U boku na bandolierze<sup>12</sup> wisiał mu rapier, błyszcząc misternie zdobionym dzwonowym koszem<sup>13</sup>. Lewak<sup>14</sup> przytroczony miał przy prawym boku. Zdobny kolet iskrzył się wyszywanymi srebrem delikatnymi ornamentami.

– Coś za jeden? – powtórzył siwowłoso, dodając zaraz: – Czego chcesz? Skąd się tu wzięłeś?

Nieznajomy zrobił jeszcze jeden krok, skłaniając lekko głowę. Rzuciły się teraz w oczy jego zaplecione w gruby warkocz czarne włosy i subtelna bródka zdobiąca pociągłą, bladą twarz.

– Moje imię, choćbym je wymienił, nic ci nie powie, panie Żeliborski. Skąd się wzięłem, moja rzecz. A czego chcę? Cóż, można by rzec, iż tego samego co wy. Ocalić wam życie.

Stary wsparł się na ręce i powstał, zakławszy szpetnie. Gestem dał znak trzymającemu świecę chłopakowi, by zrobił krok w tył. Sam zaś, wzięwszy się pod boki, prychnął:

– Sami radę damy. Pomocy nam nie trzeba, panie Nikt, bo chyba tak cię trzeba zwać, skoro wstydzisz się swojego imienia.

Cudzoziemiec znów zaśmiał się głucho, wykrzywając usta w nieprzyjemnym grymasie. Wyciągnąwszy odzianą w miękką rękawicę dłoń wskazał palcem ku górze, mówiąc:

– Tam, panie Żeliborski, już są Tatarzy murzy<sup>15</sup> Tuhaja. Zawzięci bardzo po tym, co uczyniliście. Nie spoczną, póki was nie znajdą. Nie odkryli porzuconego w stepie niemowlęcia, wciąż więc myślą, że macie dziecko ich pana. – Niespiesznie rozkładając przed sobą ręce, dorzucił: – Sam wiesz, co za to was czeka.

Herszt zbiegów, przełknąwszy ślinę, zmrużył oczy. Mimowolnie zacisnął pięści, wściekły na owego nieznanego pludraka<sup>16</sup>. Gniew mieszał się w umyśle szlachcica ze zdziwieniem, skąd ów mydłek<sup>17</sup> znać może tajemnicę, która pozostać miała na zawsze pomiędzy czwórką uciekinierów. Kierując dłoń ku szabli, wycharczał:

– Ktoś ty?!



Ruch starego nie uszedł uwagi cudzoziemca. Mimo to znów zaplótł obojętnie ramiona na piersi, jakby w ogóle nie obawiał się owej niemej groźby. Odsłonił białe zęby, które nieprzyjemnie błysnęły w mdłym świetle świecy. Stłumionym głosem wycedził:

– Czas płynie, panie Żeliborski, a ty wciąż zadajesz niewłaściwe pytania.

Stary charakternik zadrżał ze złości. Postępując krok w przód, syknął:

– Odpowiadaj, kiedy pytam!

Z lewej strony rozległ się dźwięk wyciąganych szabel. To dwójka zbiegów, nauczona długoletnim doświadczeniem, wyprzedzała rozkaz swego dowódcy, szykując broń. Odziany na czarno mężczyzna nawet nie zaszczycił ich swym wyniosłym i kpiącym spojrzeniem. Unosząc kąciki ust, mierzył wzrokiem Żeliborskiego, a w ciemnych oczach błyskały mu szydercze ogniki.

Siwym śmiałkiem wstrząsnęła jeszcze większa złość na dostrzegalną we wzroku nieznajomego drwinę. Jednym ruchem wyszarpnął klingę i wymierzył końcem ostrza wprost w pierś cudzoziemca, prawie jej dotykając. Napiąwszy się cały, jakby szykując się do ciosu, wysapał:

– No?! Co teraz, panie Nikt? Dalej ci tak wesoło?

Odziany w czerń nieznajomy tylko wzruszył na to ramionami. Prychnąwszy, skwitował:

– Bardziej niż wcześniej. Miotasz się pan, panie Żeliborski, jak szczur w potrzasku. Twoja wola. Ja jestem cierpliwy. Pomnij tylko, że czas mija, a Tatarzy coraz bliżej.

Tego było za wiele dla wytrawnego stepowego junaka. Nikt dotąd nie ośmielił się przyrównać go do obrzydłego gryzonia. Niewiele myśląc, pchnął szablą w przód, łatwo przebijając głównią kolet i kaftan. Ostrze zazgrzytało nieprzyjemnie, przechodząc pomiędzy kośćmi, przebijając ciało sztychem i mocą<sup>18</sup>. Przekłuło nieznajomego na wylot tuż nad jego splecionymi ramionami. Tam gdzie powinno bić jego serce.

Młodzikowi ze świecą rozszerzyły się ze zgrozy źrenice, a z ust wyrwał się mimowolny, urwany krzyk:

– Jezu Chryste...!

Stary mołojec, wyszczerzywszy zęby pod obwisłymi wąsiskami, wycharczał złowrogo:

– Giń, ścierwo!

Zatrzymał szablę, wpatrując się w czarne oczy cudzoziemca. Lubował się bowiem w widoku gasnącego życia, którego nigdy nie było mu dość. Sycił się nim niczym drapieżca. Lecz tym razem zawiódł się srodze, a zaraz potem sparaliżowało go przerażenie.

Przez twarz nieznanego przebiegł chwilowy skurcz bólu, który jednak natychmiast opanował. W milczeniu chwycił dłonią przebijającą mu serce klingę i powoli począł wyciągać ją z ciała. Uśmiechając się strasznie, nie spuszczał przy tym wzroku ze źrenic Żeliborskiego.

Siwowłosy śmiałek przez moment odruchowo próbował stawić opór, lecz nie był w stanie przeciwstawić się ogromnej sile, z jaką nieznaną mężczyzna pchał szablę w jego stronę. Dlatego cofając się, puścił rękojeść, a ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała. Nie rozumiejąc niczego, nie panując nad pomieszaniem lęku i zaskoczenia, bełkotał coś niezrozumiale.

Rozdziawili gęby dwaj odziani z kozacka zbiegowie. Zadrżały im ręce trzymające broń, a włosy zjeżyły na głowach. Niejedno widzieli w swym życiu, jednak tego, co zdarzyło się teraz, nie pojmowali swymi prostymi umysłami. Było to straszne i fascynujące zarazem. Dlatego nie mogli oderwać oczu od koszarnej sceny, jaką mieli przed oczami.

Jakby stanął czas, kiedy obcy wyciągnął całe ostrze ze swej piersi. Zalśniło w blasku świecy czysto, bez żadnego śladu krwi. Niemal z zaciekawieniem przez dłuższą chwilę popatrzył cudzoziemiec na zabójcze żelazo, by po kilku sekundach cisnąć je z odrazą w ciemność. Rozległ się brzęk metalu uderzającego o skałę, a potem nastąpiła cisza. Wszystko wokół zastygło. Tylko płomień świecy trzymanej przez chłopaka drżał migotliwie, nadając otoczeniu przerażający kolor czerwieni.

Odziany na czarno mężczyzna powiódł wzrokiem po czterech wylęknionych zbiegach. Stali zamarli w swych pozach niczym posągi. Wzgardliwie skrzywił usta i pokiwał kilkakrotnie głową. Niespiesznie zdjął z dłoni rękawicę, by palcami przejechać po miejscu, gdzie przed chwilą jego serce przekłuwała szabla. Potem, zmrużywszy jedno oko, łypnął na swego niedoszłego zabójcę, cedząc:

– Nieładnie, panie Żeliborski. Nieładnie. Zepsułeś mi prawie nowy kolet i kaftan kosztowny, za które w Pradze sporo dukatów dałem. Gdzie ja teraz drugie takie na tym zadupiu znajdę? He?

Nic się nie odezwał wymieniony z nazwiska siwowłosa. Przygarbił się tylko i skurczył, przyczajony jak osaczone zwierzę. Pokręciwszy głową, obcokrajowiec machnął zrezygnowany ręką.

– Ech! Nic to! Wybaczam waszmości!

Zaśmiał się chrapliwie, rozradowany trwogą, jaką wywołał. Wskazując gestem świecę, rozkazał:

– Ty, panie Baczyński, postaw gdzie światło, bo ręka ci chodzi, jakbyś febrę złapał. A wy... – zerknął na stojących wciąż z obnażonymi szablami mężczyzn – ...bracia Popielowie, schowajcie broń i do swego wodza dołączcie. Pogadać z wami wszystkimi chcę, ale lepiej, żebym miał was na widoku, bo nie chciałbym, aby znów mi który jaką psotę uczynił. Jasne?

Rozległ się zgrzyt chowanych do pochew szabel. Dwaj szlachcice potulnie, z opuszczonymi głowami, przeszli za plecami młodzika i stanęli obok Żeliborskiego. Chłopak posłusznie postawił świecę na kamieniu. Zachęcony ruchem ręki nieznanego, wylękniony, także dołączył do swych towarzyszy.

Kiedy we czterech stanęli razem, zadowolony przybysz zmarszczył brwi.

– Teraz lepiej będzie mi się z waszmościami rozmawiać, skoro już jedną kwestię mamy wyjaśnioną. Pozwólcie więc, że do rzeczy za moment przejdę, bo na zbędne przekomarzanki tylko czas straciliśmy, a wy, w przeciwieństwie do mnie, nie macie go zbyt wiele. Tatarzy bliżej są, niż moglibyście przypuszczać.

Powoli założył na dłoń rękawicę, obejrzał się po bokach i znalazłszy odpowiedni głąz, przysiadł. Skwiercząca świeca stała dokładnie pomiędzy nim a ponuro wpatrującą się w niego czwórka. Skinąwszy głową, zachęcił:

– No! Siadajcie!

Z ociąganiem pierwszy oparł się o ścianę Żeliborski. Drgały mu mięśnie na twarzy, kiedy w duchu próbował sobie wytłumaczyć to, co przed chwilą widział. Oczywista niemal odpowiedź na pytanie, kim był ów strojny cudzoziemiec, sprawiała, iż nawet w jego kamienne serce wdarł się nieopanowany strach. Zrozumiał bowiem, iż najpewniej tu właśnie, w tej jamie, zaczyna się jego nieuchronna droga do piekła. W myślach przebiegały mu obrazy wszelkich okrucieństw, jakich dokonał za życia, za które karą mogły być tylko niewyobrażalne wieczne męki.

Przycupnęli obok skuleni, jakby wręcz nagle skurczeni, bracia Popielowie. Już żaden z nich nie był skory do żartów. I oni, choć mniej lotni od swego herszta, domyślili się, z kim mają sprawę. Aż ciarki przeszły im po grzbietach, kiedy pojęli, że to, co ich czeka w zaświatach, będzie nieskończenie gorsze od tortur, jakie mogliby im zadać Tatarzy.

Najmłodszy Baczyński oddychał ciężko, prawie jak ryba wyrzucona na brzeg łapiąc powietrze. Nie panował nad płaczącym wyrazem twarzy. Było mu już obojętne, co pomyślą kamraci. Rozpaczał nad swym zmarnowanym życiem, co go jeszcze tak naprawdę nie zaznał. Wyklinał miraż sławy, który skierował go na złą drogę. Dałby wszystko, aby odwrócić swój los i na powrót znaleźć się w chwili, kiedy porzuczał rodzinny dom. Był pewny, że teraz podjąłby całkiem odmienną decyzję. Lecz stało się i musiał ponieść tego konsekwencje. Żal mu było młodości i wszystkiego, czego nie zdołał doświadczyć.

Odziany w czerń nieznajomy odczekał, aż usiądą wygodnie. Powoli zmierzył każdego po kolei swym świdrującym wzrokiem, unosząc przy tym nieznacznie kąciuki ust. Napawał się ich strachem, przeciągając ową chwilę tryumfu, wsłuchując się w przyspieszony, nierówny rytm ich struchlałych serc. Oto sami uznali jego władzę i z pokorą czekali na wyrok. Ci, którzy jeszcze niedawno rzucali junackie wyzwanie całemu światu, teraz milczeli, przygnieceni ciężarem własnych myśli i przypuszczeń. W końcu jednak musiał się odezwać, gdyż i jego ponaglił płynący czas.

– Rzekłem wam, iż przybyłem ocalić wam życie. Nie musicie więc lękać się śmierci, jeśli dokonacie właściwego wyboru. Inaczej... – Pstryknął palcami. – Cóż. Odnajdą was ludzie Tuhaja i sami wiecie, co uczynią. Tak myślę, że pał wówczas moglibyście traktować jako dowód niezwykłej łaski z ich strony. Nieprawdaż?

Żeliborski zagryzł zęby i zmrużył oczy, nieufny wobec usłyszanych słów. Uśmiechnął się na to obcokrajowiec, jakby odczytujący jego myśli.

– Masz rację, panie Michale – przyznał, choć przecież nic nie rzekł siwowłosy. – Przy każdym takim wyborze jest cena, którą trzeba zapłacić za podjętą decyzję. Oferuję wam życie, lecz ty chcesz zapytać, czego chcę w zamian, prawda?

Pochylił się ku siedzącym naprzeciw, opierając łokcie na kolanach. Blask świecy padł wprost na jego bladą, ściągniętą twarz bez wyrazu.

– Dobrze wiesz czego, tak jak i wiedzą to twoi towarzysze. Ale do niczego waszmościów nie zamierzam przymuszać. Macie wszak, jak mówią doktorowie

Kościola, wolną wolę, więc korzystajcie z niej. Chcesz jeszcze mnie o coś zapytać? Nie bój się, mów. Przedstaw sobie to tak, jakbyś handlował tym, co masz zbędnego, a co ja chcę od ciebie kupić za dobrą cenę. – Prostując się, dodał: – Wy wszyscy pomyślcie. Wszak każdy za siebie zdecyduje. Lecz aby przeżyć, musicie być zgodni. Jeśli choć jeden odmówi, odejdę, pozostawiając was samym sobie. A wtedy... – Nie dokończył, lecz jasne było, co mógłby powiedzieć.

Zapadła długotrwała cisza, nim w końcu herszt zbiegów uniósł głowę, wbijając swe wodniste niebieskie oczy w siedzącego naprzeciw. Wyschniętymi ustami wycharczał, a głos zdawał się mu drżeć:

– Chcesz naszych dusz? Tak? Mamy cyrograf parafować?

Odziany w czerń śmiał się długo i szyderczo.

– Nasłuchałeś się bajek, mości Żeliborski. Cyrograf? Może jeszcze palec nakłuć i krwią pergamin podpisać? Zaiste dziwaczna to wizja, jakobym jakimś skrybą był, a nie tym, kim jestem.

Twarz gwałtownie mu zastygła, przybierając postać nieruchomej maski. Blask świecy odbił się w pogłębionych zmarszczkach wokół ust i oczu, przydając nieznanemu przerażającego wyglądu.

– Spisane słowo, panie Michale, warte jest tyle, co papier, na którym je wykaligrafowano. Ja zaś chcę, by wasze przyrzeczenie było wieczne i nieodwołalne. Zapisane w pamięci i sercach, nie na jakiejś ulotnej karcie. Powiem ci tedy, czym je przypieczętujecie.

Przebiegł oczami po siedzących zbiegach, wodząc wyciągniętym przed siebie palcem.

– Jeden z was, sami wybierzecie który, będzie ową pieczęcią. Trzech pozostałych złoży go w ofierze tu, w tej grocie, przysięgając na jego trupa dochowanie słowa. Ta śmierć zwiąże was na wieki. Nigdy o niej nie zapomnicie. – Opuszczając dłoń, dokończył: – Sami zdecydujecie który. Najpierw jednak musicie podjąć decyzję, czy w ogóle chcecie przeżyć. Dopiero później wybierzecie tego, który poświęci się dla innych. Może ty... – uśmiechnął się złośliwie, wpatrując się w siwego dowódcę – ...gotów jesteś dać życie za swoich ludzi? Co? Panie Żeliborski? Czyż nie jest twoją powinnością, jako wodza, owo szlachetne poświęcenie?

Stary zaklął szpetnie pod nosem. Popatrzył hardo, prawie wyzywająco, rzucając:

– A jeśli nie? Jeśli bliższe nam duszy zbawienie niż życie? Co wówczas? Mamy zrezygnować z odkupienia? Kuszysz, lecz pyłem jeno i mirażem jest twoja oferta. Skąd bowiem mamy mieć pewność, że wyprowadzisz nas stąd żywych? Wyroki boskie są niezbadane i najgorszy łotr może dostąpić łaski. Nawet ja.

Nieznajomy obojętnie rozłożył ręce.

– Chcesz spróbować, panie Michale? Wolna wola. To jedno tylko ci rzeknę, iż znam na wylot wasze sumienia i ciężące na nich zbrodnie. Wasz wybór to albo zaufać mi, albo też złożyć tu głowy. Tak czy siak, nie liczyłbym na waszym miejscu, mości Żeliborski, na to, co waszmość nazwałęś zbawieniem. Już jesteście potępieni, a kupić możecie ode mnie tylko dalszy ziemski żywot. Nic więcej. Winniście mi wdzięczność, że płacić chcę za to, co i tak do mnie należy. Zresztą... – machnął dłonią – ...mogę przypomnieć każdemu z was z osobna pewne sprawy.

Palec wskazujący skierował na Baczyńskiego.

– Ty, choć młody jesteś, już sporo nieprawości zdołałeś uczynić. Piętnaście lat miałeś, jak gwałtu dokonałeś na dziewczce służebnej we dworze swego ojca, która pohańbiona i wykpiona przez wszystkich zaraz się obwiesiła. Potem było już tylko gorzej. Wyrwałeś się z rodowego gniazda, aby zło czynić, sądząc, iż w ten sposób sławę i poważanie zyskasz. Lecz tylko grzech odnalazłeś. Pamiętasz choćby tego małego muzykanta, co wam w karczmie w Gwoźnicy na fujarce przygrywał? Pijany, ku ucieście kompanów i dla własnej fantazji, rozbiłeś mu czerep czekanem, aż mózg mu wylał. Cóż on ci zawinił?

Chłopak opuścił głowę, a przed oczami stanął mu obraz zabitego wyrostka. Od trzech lat gryzł jego sumienie, ciężąc niczym głaz, spod którego nie sposób było się wydobyć. Dręczył w snach, wpatrując się z niemym wyrzutem. Dusił jak zmora, wyrrywając ze snu. Domagał się kary.

Dłoń cudzoziemca przesunęła się na braci Popielów.

– A wy, którzy zadusiliście poduszką własnego ojca, byleby spadek wcześniej przejąć? Na co wam to było, skoro wszystko w sześć miesięcy zdołaliście przehulać i z niczym zostaliście? Taką cenę miała śmierć waszego rodzica. Zamieniliście ją na fałszywych przyjaciół, dziewczki i wino, próbując zgubić wśród nich wyrzuty sumienia. Ale nie zdołaliście się ich pozbyć. Zamiast pokuty wybraliście więc drogę dalszych zbrodni, która was do mnie przywiodła. Czy nie jest to naturalna kolej rzeczy w waszym obrzydłym i podłym żywocie? Co?

Zadrżeli dwaj mężczyźni, przerażeni tym, że ktoś na głos wyrzekł najczarniejszą z ich tajemnic, od której nie umieli się wyzwolić. Wyjawił prawdę o zbrodni, od której wszystko inne się zaczęło.

Szponiasty palec powoli przesunął się na siwowłosego, któremu poruszyła się gwałtownie grdyka od przełykanej śliny.

– No i ty, panie Żeliborski, coś przed laty własną brzemienną żonę nahajem utłukł, sądząc, że cię z sąsiadem zdradziła. To ci rzeknę, że była ci wierna i twoje dziecko nosiła w łonie. Syna, którego jak i ją zabiłeś. Potem głowę jej obciąłeś, by w piecu spalić, a resztę ciała w bagnie utopiłeś. Pamiętasz? Nawet pochówku godnego nie miała. Od tego zacząłeś swą wędrówkę od jednej zbrodni do drugiej. Za nic miałeś życie mężów, kobiet i dzieci, byleby tylko pędzić przed siebie, uciekając przed wracającym w snach obrazem jej twarzy, kiedy błagała o litość. Nie miałeś jej w sobie dla niej, więc nie oczekuj, że ja się nad tobą ulituję.

Czarnowłosy nieznajomy zadarł głowę, wodząc z pogardą wzrokiem po złąknionej i zmieszanej czwórce. Pozwolił wybrzmieć w ich myślach wypowiedzianym przed chwilą słowom. Wbiwszy świdrujący wzrok w starego herszta, zapytał wreszcie:

– Czy nadal sądzisz, że Bóg okaże któremukolwiek z was swą łaskę? Odupści winy, przyjmując do swego królestwa? No, mości panie Michale! Odpowiedz mi!

Cisza, która nastąpiła, aż zajęczała w uszach grzeszników natłokiem powracających wspomnień, od których chcieliby się uwolnić. Załkał Baczyński, nie zważając już na cieknące mu po policzkach łzy. Modlił się w duchu, płacząc zdania zapamiętanych z dzieciństwa pacierzy.

Obcy prychnął lekceważąco.

– Milczysz. Nic nie masz do powiedzenia, bo dobrze wiesz, że jedna przed wami droga. Wybrać możecie tylko, czy już teraz, czy później w nią ruszycie. Odwlec nieuchronną egzekucję, która was czeka, albo tu, w tej jamie, niebawem złożyć głowy. Chcecie więc kupić te kolejne lata życia? Nacieszyć się jeszcze złudnym mgnieniem słońca i pozornej wolności? A może dość wam wszystkiego, co?

Spojrzał wprost w źrenice chlapiącego młokosa, pytając bez ogródek:

– To jak, panie Jerzy Baczyński? Chcesz żyć?

Od ścian pieczary odbił się jęk, a z piersi chłopaka wyrwało zawodzenie:

– Jezu Chryste! Tak! Chcę żyć! Błagam! Uczynię, co zechcesz!

Odziany w czerń nieznajomy uciszył go, unosząc rękę. Uśmiechnął się ironicznie, powstrzymując jednak cisnące mu się na usta urągliwe słowa. Przeniósł wzrok na dwóch siedzących obok siebie braci.

– A ty, panie Stanisławie Popiel?

Zapytany odetchnął ciężko, nim skinął głową, mówiąc:

– Chcę żyć.

– Dobry wybór – skwitował bezimienny mężczyzna. – Wszak nieodgadnione są przyszłość i wyroki losu. Kto wie, co może się zdarzyć.

Popatrzył na kolejnego ze zbiegów. Nie musiał powtarzać pytania. Władysław Popiel, przełykając ślinę, wydusił:

– I ja chcę żyć.

– Tego się spodziewałem.

Wreszcie źrenice czarnowłosego spoczęły na najstarszym z charakterników. Długo wpatrywali się w siebie, nim Michał Żeliborski, opuściwszy głowę, wyszeptał:

– Skoro nie ma dla nas odkupienia i ja wybieram życie.

– Wybornie! – Szeroki uśmiech odsłonił rząd błyszczących białych zębów nieznajomego.

Sięgnął w ciemność, za plecy, skąd podniósł starą, wysłużoną sakwę ze skóry, nijak niepasującą do jego bogatego przyodziewku. Wydobył z niej niewielką klepsydrę, którą ostrożnie ustawił na widoku, tuż obok świecy. Wskazując na nią, oznajmił:

– To wasz czas. Musicie wskazać spośród siebie ofiarę i odebrać jej życie, nim przesypane się ostatnie ziarenko piasku. Tylko wtedy ocalę pozostałą trójkę. Inaczej koniec z wami i na nic nasza umowa. Rozumiecie?

Mężczyźni, wpatrując się w dwie szklane bańki połączone rurką, skinęli głowami. Wówczas siedzący naprzeciw nich obcy rzekł:

– Sami dokonajcie wyboru. Ja tylko będę się przypatrywał. Kiedy zaś zadośćuczynicie mej woli, bezpiecznie powiodę pozostałych ku światłu nadchodzącego dnia. Pamiętajcie jednak, że kiedyś tam, w przyszłości, wtedy, kiedy zechcę, upomnę się o to, co moje. Przybędę do każdego z was, ocalałych, i zażądam zapłaty. Do tego czasu możecie żyć i cieszyć się chwilą. Później wasze dusze należeć będą do mnie. I pamiętajcie... – uniósł palec – ...nawet śmierć was nie



wybawi ode mnie. Poczekacie, póki ja was nie zabiorę z tego świata. – Opuścił rękę, mrużąc czarne oczy. – Teraz tylko tyle mam wam do powiedzenia. Zaczynajcie więc. Przypieczętućcie nasz pakt krwią jednego spośród was. Jak go wyłonicie, wasza sprawa. Pomnijcie jednak na czas, który płynie nieubłaganie.

Wyprostował się i znów założył ręce na piersi. Stał się obserwatorem makabrycznego przedstawienia, jakie za moment miało rozegrać się tuż przed nim.

Nim połowa piasku przesypała się na dół klepsydry, w jaskini rozległ się krótki, przeraźliwy krzyk, stłumiony natychmiast dłońmi zatykającymi usta ofiary. Wzniesione noże z wściekłością opadły na wijące się po ziemi ciało. Trysnęła krew, plamiąc wszystko dokoła. Później było tylko przedśmiertne rżenie i szmer przyspieszonych oddechów winowajców. Wbili szaleńczy wzrok w tego, który obiecał im ocalenie, gotowi uczynić wszystko, by przeżyć.

Portugalczyk uśmiechnął się do siebie, szydząc w duchu z ułomności ludzkiej natury i ze strachu, który nią kieruje. Dostał to, czego chciał. Ich dusze. Mógł okazać łaskę.

## ROZDZIAŁ II

### DUCH

Zmierzch jesienny zapadał, kiedy zmęczony Żegota Nadolski wracał do domu znad potoku Pielnica, gdzie wraz z chłopami młyn stawiał. Żał mu było rankiem wychodzić z dworu na dzień cały, opuszczając żonę i dziecko, ale wiedział, że bez ciężkiej pracy nie zostawi swemu synowi majątku takiego, jaki chciał. Była bowiem Wygnanka ledwie przysiółkiem przy Nadolanach. Skromnym, podupadłym nieco po latach nieobecności gospodarza. W marzeniach widział go jednak Żegota inaczej, posuwając się nawet czasem do myśli, że roczny teraz Maciek kiedyś może i ziemi dokupi albo nawet sąsiednią wieś odzyska. Każdego dnia dodawał gospodarz do ojcowizny jakąś drobinę, aby łatwiej było przyszłemu dziedzicowi niż jemu samemu i aby nigdy w głowie chłopca myśl o wojaczce nie zagościła. Dużo bowiem złego Nadolski doświadczył, bijąc się przez lata ze Szwedami, a przy tym zrozumiał, że na jednego wzbogaconego na wojnie dziesięciu martwych przypada i drugie tyle jeszcze bardziej niż przedtem zbiedniałych. Uprawa roli z kolei, choć monotonna i czasem niewdzięczna, pewna była jak matka karmicielka. Przy tym ceny zbóż wzrastały, a kupcy wręcz prosili o więcej i więcej ziarna, które z Gdańska szło na całą Europę. Zamyślał więc Żegota zapewnić jedynakowi dobrą przyszłość, kombinując, że czasowy nieurodzaj zrównoważyć mogą zyski z młyna. W głowie miał już kolejne pomysły, aby folusz<sup>19</sup> jeszcze postawić, do którego zwozić mogliby wełnę sąsiedzi. Trzeba by tylko bardziej wodę na Pielnicy spiętrzyć, dodając nowe stawidła<sup>20</sup>. Spodziewał się, że protestować będzie chorąży sanocki<sup>21</sup>, z którym od kilku lat w sporze o rzekomy dług pozostawał, lecz niewiele się tym troskał. Ze słusznego założenia wychodził, iż na granicznym potoku kto pierwszy, ten lepszy, a gdyby nawet pan Stano chciał, to strumienia dla wszystkich mogło starczyć.

Szedł tedy pochylony i zamyślony siwowłosy szlachcic, rozważając w duchu przyszłe projekty, niewiele zwracając uwagę na podążającego za nim Semka, który za kogoś na kształt karbowego<sup>22</sup> teraz w folwarku robił. Roztył się nieco dawny pocztowy, brzuch mu się zaokrąglił na sytym wikcie, a powiadano nawet, iż do ożenku szykować się powinien, chociaż zapytany śmiał się jedynie i ręką jak na jakieś głupie gadanie machał. Stary Fiodor chętnie jednak pozbyłby się już syna

z chałupy, gdyż na dziewczki chłopak był łasy jak kot na spyrkę<sup>23</sup>, przez co ludzie krzywo patrzeć zaczęli, a i ksiądz już raz upomnienie dał, kiedy ojca Semkowego na drodze do Odrzechowej zdybał.

Siąpić zaczęło, przez co przyspieszył Żegota kroku, zarzucając na głowę kaptur. Troskliwie pomyślał, czy aby Maćka z dziedzińca wzięto, bo odkąd nauczył się chodzić, co rusz z domostwa umykał, byleby to tu, to tam zaglądać. Ciekawski był jak małe dziecko, a ręce załamywała nad nim matka, a w jej głowie najgorsze wizje się rodziły, kiedy tylko traciła synka z oczu. Szczęściem Tatar Bejda zawsze czujnie malca obserwował, co zresztą łatwo mu przychodziło, bo basalyk głównie za pohańcem łąził, jakieś szczególne poczuwszy do niego upodobanie. Nawet pan Wawrzyniec, zazdrosny o ten afekt, choć nigdy by się do tego nie przyznał, ręce czasem załamywał, mówiąc, iż bisurman jakiś z pacholęcia wyrośnie. Śmiał się z tego Nadolski, wiedząc dobrze, że przyczyną niezwykłej przyjaźni jest to, iż Bejda godzinami potrafił zabawiać malca wystruganymi przez Semka zabawkami, odtwarzając mu jakieś bajki albo też bitwy krwawe. Do roboty konkretnej bowiem Tatar jakoś się nie garnał, wołąc albo w obejściu coś naprawić, albo broń czyścić, albo też zniknąć na dzień lub dwa i przywieźć z łowów jakąś sarenkę czy dziką. Nie ganił go Żegota za to, wiedząc, że wojenny to raczej człowiek i nudzi mu się beczynne siedzenie, choć sam milczek Bejda nigdy na nic nie narzekał. Za sprawę z Trofanem Skórą<sup>24</sup> należała mu się ta pańska łaskawość, a przy tym zawsze we dworze będąc, mógł w razie konieczności w obronie mieszkańców stanąć. Z łuku bowiem wysmienicie potrafił strzelać, a i do szabli miał dryg, choć w prymitywnym masłaku<sup>25</sup> bardziej się lubował.

Doszedłszy do bramy, zatrzymał się gospodarz, dostrzegając na dziedzińcu, między dworem a stajnią, wyprzęgniętą kolebkę<sup>26</sup>. Zdziwił się niezmiernie, albowiem nie spodziewał się żadnych gości. Trochę skonfundowany myślał, iż małe dziecko wygląda, idąc wprost od roboty w codziennym przyodziewku, przemknął chyłkiem przez podwórze. Stał za węgłem domu, Semkowi nakazał wypytać służbę, któż też w odwiedzinach zajechał, samemu myśląc, jak też niepostrzeżenie przez kuchnię do sypialni przemknąć, aby coś zdatniejszego na siebie zarzucić.

Prędko sprawił się dawny pocztowy. Gryząc źdźbło w zębach i łypiąc nieco ironicznie na swego pana, oznajmił, iż to pani Podhorecka z dzieckiem z Tarnawki<sup>27</sup> przyjechała.

Zdumiał się na to właściciel Wygnanki, bo nie łączyły go żadne szczególne stosunki z nowym dzierżawcą przysiółka wedle Międzyrzecza<sup>28</sup> panem Mikołajem Podhoreckim. Owszem, spotkali się kilka razy w kościele w Bukowsku, parę słów zamienili, ale też trudno byłoby mówić o jakiegokolwiek zażyłości. Inna sprawa, że Agnieszka Nadolska, żona Żegoty, jakoś łatwo wspólny język znalazła z nową znajomą, Anną Podhorecką, a to z racji podobnego wieku i tego, że miała ona córkę w tym samym co Maciek wieku. Ale także pani Agnieszka tylko od święta widywała niedawno przybyłych w te okolice dzierżawców Tarnawki. Tym większe więc zaskoczenie odmalowało się na obliczu Nadolskiego.

Spostrzegłszy głupawy uśmiech na twarzy sługi, ofuknął go Żegota, precz odsyłając, a sam podrapał się po głowie i cichcem ruszył ku drzwiom kuchennym. Zawiódł się jednak srodze, gdyż tuż za progiem dopadł go Wawrzyniec Sulatycki, głośno zakrzykując:

– Jesteś waszmość nareszcie! Już dziewczkę słać po ciebie miałem! Gościa masz!

Na nic zdały się rozpaczliwe gesty i palec do ust przykładany. Zanim zaprotestować zdołał Nadolski, już ciągnął go rękodajny za ramię, wołając:

– Jejmość pani Agnieszko! Znalazła się zguba! Wrócił gospodarz!

Chcąc nie chcąc, poddał się siwowłosy szlachcic przemocy, wiedząc, że jakiś dalszy opór tylko wzmoże całe zamieszanie. Szedł drobnym kroczeniem, naprędce lustrując kaftan i spodnie, co raz ręką strącając jakieś drobiny błota. Klął w duchu na czym świat stoi, na zewnątrz jednak nie dając po sobie niczego poznać.

Wprowadził go pan Sulatycki do izby jadalnej, kłaniając się nisko. Tak samo i właściciel Wygnanki uczynił, rzucając niezbyt głośno:

– Witam waćpanią w naszych progach. Nadzieję mam, że małżonka moja odpowiednio się jejmością zajęła. – Prostując się, dodał: – Wybacz pani strój mało odpowiedni, lecz prosto z pola wracam.

Drobna, młoda blondynka o wesołym wyrazie twarzy oddała ukłon. Uśmiechając się, odpowiedziała:

– Nie zważaj na to, waćpan, bom przecież niezapowiedziana przyjechała. A i mój Mikołaj na co dzień prosto się ubiera, więc zwyczajna<sup>29</sup> jestem. To raczej wy mnie powinniście wybaczyć niespodziewaną wizytę, za którą już panią Agnieszkę przeprosiłam, a teraz i waćpana proszę o absolucję.

– Co też waćpani... – zachnął się Żegota. – Gość w dom, Bóg w dom. Rad jestem niezmiernie z tak miłej wizyty.

Rzuciwszy usprawiedliwiające spojrzenie tłumiącej śmiech żonie, skłonił się po raz drugi.

– Pozwólcie, że na chwilę was opuszczę, aby się nieco ogarnąć. Nie wypada mi tak zacnego gościa w takim stanie...

Nie dokończył, żegnany wesołym głosem połowicy:

– Idź, idź... A w lustrze nie zapomnij się obejrzeć, zanim wrócisz.

Zaczerwienił się po tych słowach Nadolski, domyślając się, że chyba nie tylko strojem powinien się zająć. Zamknąwszy drzwi, pędem pobiegł do alkowy, gdzie stało zwierciadło z polerowanego srebra.

Pochylił się i spojrzał na swe odbicie. Z ust wyrwało mu się mimowolne przekleństwo. Zrozumiał teraz ironiczny, głupawy uśmieszek Semka, który krotchwile sobie z niego uczynił. Ścierając z twarzy i obwisłych wąsów resztki błota, sapał pod nosem:

– To łajza! Już ja mu dam! Żartów mu się zachciało! O! Już ja sobie z nim jutro pozartuję!

Na pocztowym całą złość skupił, wiedząc, że pan Wawrzyniec nie dość, że niedowidzi już trochę, to zaferowany, czasem różnych rzeczy nie dostrzega. Tymczasem Semko mógł go uprzedzić, aby choć trochę sobie w kuchni gębę otarł. Próżne to były jednak złorzeczenia i bez konsekwencji, lekką miał bowiem Nadolski rękę dla swoich włościń, a szczególnie dla Semka, który przecież na wojnie z nim bywał.

Doprowadziwszy oblicze do jakiegoś ładu, uśmiechnął się więc krzywo, kręcąc głową. Przyznać musiał, że udała się chłopakowi złośliwość, z pewnością dla śmiechu, a nie z innej przyczyny wymyślona. Ot, zaczepiać teraz będzie go małżonka, wspominając długo niefortunną prezentację przed sąsiadką.

Kwadrans zajęło Żegocie, nim przywiódł się do niejakiemu porządku. Obmywszy się przyniesioną z kuchni wodą, przywdział świeżą koszulę, portki, a na to żupan<sup>30</sup>, który mu, mimo protestów, pani Agnieszka w Sanoku latem kupiła. Przewiązawszy się pasem, zlustrował swoją postać w zwierciadle. Zadowolony, przyglądał jeszcze wąsy i włosy, które teraz krótko miał przycięte dla wygody. Wreszcie wyszedł z sypialnej izby, zmierzając dumnym krokiem do gościa. Jak zwykle w takich

wypadkach bywa, swoją postawą przykrywał zmieszanie, które wciąż odczuwał na wspomnienie ubłoczonej twarzy.

Wszedłszy do jadalni, uśmiechnął się życzliwie, ukrywając pod tym niedawną konfuzję. Powiódł wzrokiem po bawiących się w kącie dzieciach, rękodajnym, który coś tam im klarował, trzymając w rękach wystrugane przez Semka zabawki, na koniec zaś zatopionych w rozmowie kobietach, które ledwie zwróciły uwagę na jego nadejście. Odetchnął w duchu z ulgą, zrozumiawszy, że chyba nie dotknie go już żaden przytyk.

Ponaglił przez uchylone drzwi baby szykujące w kuchni wieczerzę, a następnie zasiadł za stołem, nie przerywając białogłowom. Coś tam o dzieciach prawili, co mało się Żegocie zdało zajmujące. Pojął jedynie, iż chyba pani Podhorecka drugiego się spodziewa potomka albo też chciałaby takowego, ale niepewny, czy dobrze rozumiał, nie spieszył z gratulacjami.

Dopiero po dłuższej chwili pani Agnieszka zerknęła na niego i oznajmiła bardziej, niż zapytała:

– Pani Anna raczyła nas odwiedzić i w gościnie chciałaby parę dni zostać. Chyba nie masz nic przeciw temu?

Zdziwił się gospodarz, ale też szybko przykrył zmieszanie uprzejmym wyrazem twarzy. Kiwając głową, odrzekł:

– Rad jestem niezmiernie i wedle woli jejmości... – uśmiechnął się szeroko – ...gościnę sam proponuję. Choć wygod szczególnych może i u nas brak, to z serca, czego sobie życzysz, oferujemy. Jak u siebie się czuj i ile chcesz zostać z nami, waćpani.

Od razu pomyślał przy tym, że widocznie do jakichś niesnasek doszło w młodym małżeństwie, ale prędko wyprowadziła go z błędu gospodyni.

– Pan Mikołaj wyjechał na kilka dni z Tarnawki do Przemyśla, a samej cni się31 pani Annie, tedy towarzystwa szuka. A i inny powód jest, o którym lepiej, gdy sama opowie... – Agnieszka Nadolska zawiesiła głos, zerkając tajemniczo.

Młoda blondynka zmieszała się i zarumieniła, nieco skonfundowana. Zakłopotana machnęła przy tym ręką.

– Aaa... Po co panu Żegocie głowę zawracać babskimi strachami. Wyśmiej jeszcze albo o urojenia gotów posądzić... Tylko mój małżonek wróci, do domu

z Marysią pojedę i tyle. Jak sam człowiek siedzi w pustym dworze, to różne dziwy mu się zdają...

Agnieszka była jednak uparta.

– No mówże, aśćka<sup>32</sup>, nie kryguy się, bo żadną miarą mój mąż waćpani nie wykpi. Roztropny jest i różne rzeczy w swoim życiu widział. Może co zaradzi?

– Kiedy wstyd mi trochę. Inaczej z jejmością gadać, a inaczej takiemu poważnemu człowiekowi jak pan Nadolski o babskich głupstwach opowiadać...

– Nie krępuj się waćpani, bom tym bardziej ciekaw, im więcej sprawę przeciągasz – zachęcił Nadolski. – Nie taki znowu skory do śmiechów jestem... – zerknął znacząco na żonę, wciąż pamiętając swą umazaną twarz – ...jak niektórzy.

Pani Agnieszka spuściła niewinnie wzrok, tłumiąc cisnący się jej na usta uśmiech. Dobrze jej tu było z Żegotą i za nic nie wymieniłaby obecnego życia na poprzednie, choć przecież z bogatego i dumnego rodu pochodziła<sup>33</sup>. Odnalazła w maleńkiej Wygnance szczęście, które kiedyś zdawało się na zawsze utracone.

Anna Podhorecka uniosła ręce i westchnąwszy, wyrzuciła z siebie:

– Skoro waszmość nalegasz... Strach jakiś spokoju nocami nie daje, po domu się tłukąc. Jeszcze jak mąż jest, to jakoś się trzymam, ale teraz, sama... – Zamrugła długimi rzęsami. – Spać nie mogę, tylko się w ciemność wsłuchuję, a tam kroki czyjeś po izbach, drzwi skrzypią, stuka coś. Bywa też, że różne rzeczy w innych znajduję miejscach, niż je zostawiłam, albo i na podłodze leżą. Dziecko się budzi i płacze, aż trudno czasem je uspokoić.

– Strach, mówisz waćpani? – Żegota uniósł brwi, rzeczywiście siłą powstrzymując się od wesołości, pomyślawszy, jaki to strach młodej trzpiotce pod pierzynę zagląda pod nieobecność pana Mikołaja.

Blondwłosa niewiasta nie zwróciła nawet na to uwagi. Przechyliwszy się w stronę Nadolskiego, zniżyła głos.

– Bo widzisz, waćpan, pół roku minęło, jak wzięliśmy Tarnawkę w dzierżawę od Siemieńskich. Warunki zacne nam dał właściciel, co za jakieś dobre zrządzenie losu poczytaliśmy, ale teraz inaczej na to patrzę. Od początku jednak zacnę, żeby niczego nie pominąć, a ty sam waszmość oceń, czy to imaginacje moje tylko, czy też zły duch nas we dworze nawiedza.

Zaplótszy smukłe palce, położyła ręce na stole.

– Kwiecień był, kiedy się wprowadziliśmy. Domostwo stało w zaiste opłakanym stanie, więc Mikołaj natychmiast wziął chłopów do roboty, żeby wszystko jakoś urządzić. Ale marnie to szło, bo ludzie migali się od pracy we dworze. Nawet kiedy kijami groził, nie pomagało. A jeśli zagonił jakichś, to do środka domu wzbraniali się wchodzić. Dziwne to się zdało, bo przy innych pracach żadnego kłopotu nie było. Na polach wszystko obrządzone, zwierzęta dopilnowane, siano chętnie do stodół wozili. Tylko stary dom łukiem omijali, a jak kazałam szukać bab na służbę, to żadna się nie zgłosiła. W końcu rozmówił się mój małżonek z ludźmi i od słowa do słowa dowiedział się, iż we dworze straszy.

– Bajanie ludzkie. – Nadolski machnął ręką, korzystając z tego, że młoda szlachcianka na chwilę przerwała.

Ta jednak pokręciła głową i kontynuowała:

– Posłuchaj więc waćpan dalej. Powiadali chłopci z Tarnawki, że jakieś pięć lat temu w dzierżawę wziął przysiółek daleki krewny Siemieńskich, Stanisław Popiel. Dziwny to był człowiek, ponoć o niezbyt chlubnej przeszłości i z wyrokami na karku za jakieś stare przewiny. Gości żadnych nie przyjmował. Raz dziennie tylko poleciał sobie jedzenie szykować, a resztę czasu spędzał na samotnym pijaństwie. Nigdzie nie chodził, obcych psami szczuł, okna we dworze kazał szczelnie deskami pozabijać, a sam w jednej izbie urzędował, gdzie cały arsenał zgromadził, nie wyłączając podobno jakowejś armatki, której lufę przez dziurę w ścianie wystawił. Wino i okowitę Żydowi kazał sobie co chwila z karczmy w Międzyrzeczu donosić, ponoć nigdy nie trzeźwiał. Nadzór nad włościanami całkowicie karbowemu dał, od którego żądał tylko pieniędzy na trunki. Jak brakło, srożył się wielce, w szal wpadając, a wtedy lepiej było mu w drogę nie wchodzić, bo raz nawet tak przypadkowego wieśniaka obił, że do dziś dnia kaleki.

Nadolski skrzywił się, przypominając sobie, że istotnie słyszał o tym człowieku, który powszechnie uchodził za szaleńca. Siemieńscy chyba trochę z litości, a trochę z obowiązku trzymali go w Tarnawce, chociaż pożytek ponoć był z niego żaden. Nie spotkał go jednak nigdy, raz, że samemu mało bywał, a dwa, że Popiel także do towarzyskich nie należał. Nie komentując jednak, słuchał dalej opowieści pani Podhoreckiej.

– Rok ponad minął od czasu, jak ów dzierżawca na śmierć się we dworze zapił. Latem ubiegłym to było. Chłopi znaleźli go dopiero po ponad tygodniu, kiedy się odważyli zajrzeć. Sami więc rozumiecie, w jakim przy upałach trup był stanie.



Straszne to sprawiło na włościanach wrażenie. Przyjechał pan Zbigniew Siemieński z Międzyrzecza, zwłoki kazał do trumny z wapnem załadować i pogrzeb krewniakowi w Rymanowie wyprawił jak się należy. Z dworu wszystko, co cenne, zabrał do siebie, a wieśniakom polecił okna i drzwi poodbijać, żeby się smrodu pozbyć. Baby do jakiego ładu domostwo doprowadziły, chociaż lękały się i bez towarzystwa mężczyzn wzbierały się robić. Wtenczas jednak jeszcze nic się nie działo. Ot, tyle że odór trupi się niósł. – Szlachcianka zwilżyła usta winem, nim wróciła do swojej historii. – Prędko pan Siemieński nowego dzierżawcę znalazł w osobie pana Andrzeja Nanowskiego, który sprowadził się już jesienią ubiegłego roku. Kawalerem będąc, samotnie mieszkał. Za dużo to zresztą powiedziane, że mieszkał. Dwa tygodnie w domostwie wytrzymał, jak pojechał do właściciela, mówiąc, że fetor taki, iż wytrzymać się nie da. Zdziwił się pan Zbigniew, bo przecie to sprawa dzierżawcy porządek zrobić, nie jego, ale przyjechał do Tarnawki sam sprawdzić co i jak. W istocie nadal we dworze śmierdziało trupem. Kazał więc tym razem podłogi zerwać, ściany na nowo wapnem wymalować, wszystko siarką okadzić. Pod pańskim okiem sprawili się chłopci, więc prędko mógł Nanowski na nowo się wprowadzić. Jakoś jednak, jak opowiadali włościanie, z ociąganiem to uczynił. No i wtenczas się zaczęło. – Podhorecka powiodła wymownie wzrokiem po gospodarzach. – Najpierw słudzy gadać zaczęli, że we dworze stary pan straszy, krążąc po izbach, tłukąc się i jęcząc. Woleli po stajniach i stodołach nocować niż w domu. Śmiali się z nich inni, mało wierząc w owe bajania. Prędko jednak inaczej na rzecz spojrzeli. Oto bowiem razu jednego, na początku zimy, wybiegł na śnieg pan Nanowski w koszuli tylko, wrzeszcząc, iż upiór go dusił. Raban się zrobił okrutny, nadbiegli wieśniacy, patrząc na dziwowisko. Jak powiadają, na krzyż się klnąc, widzieli wówczas w oknie dworu zmarłego Popiela, jak ku nim wygląda, wygrażając pięścią. Strwożeni puciekali do chałup, a dzierżawca resztę nocy na sianie w stodole spędził. Rano, tylko co odzienie z dworu porwawszy, popędził do Międzyrzecza. – Zmrużywszy błękitne oczy, zadowolona z zasłuchania, jakie wywołała swą opowieścią, kontynuowała: – Zły był pan Siemieński, że drugi raz mu Nanowski głowę zawraca, tym bardziej że sam mało w takie bajki o strachach wierzy. Ale poprosił księdza Bogackiego<sup>34</sup> z Rymanowa, aby przyjechał wyświęcić domostwo, odmawiając pacierze za spokój duszy pana Stanisława Popiela. Odbyło się wszystko uroczyście, z udziałem włościan, aby widzieli, że koniec ze sprawą, bo też srożył się właściciel, iż zamiast robotą się zajmować, o gusłach ciągle gadają. Pretensje miał o to do Nanowskiego, bo nie po to mu Tarnawkę w dzierżawę dał,

żeby nadal się samemu o nią troskać. – Machnęła ręką. – W każdym razie zdawało się, że wszystko teraz na lepsze się zmieni i spokój nastanie. Bo kto mógł przypuszczać, iż zjawa oprzeć się może modlitwom i potędze Świętego Krzyża? – Jeszcze bardziej ścisząc głos, wtuliła głowę w ramiona. – Tak się jednak nie stało. Owszem, wrócił pan Andrzej Nanowski do domu, lecz na krótko. Zęby zaciskał, ale nie wytrzymał. Bo też ile człowiek bez snu zdzierży? – Rozłożyła dłonie. – Pojechał więc do Siemieńskiego nalegać, aby nowy dwór wystawić. Rzekł mu pan Zbigniew, aby sobie na swój koszt stawiał, bo on ani myśli grosza dokładać. Od słowa do słowa pokłócili się o to, wyrzucając sobie wzajemne pretensje. Dzierżawca, że oszukał go właściciel, nie mówiąc o przekleństwie, a właściciel, posądzając dzierżawcę o próbę wykpienia się od opłat i wyłudzenia gotowizny. Skończyło się na tym, że pan Zbigniew natychmiast wypowiedział Nanowskiemu umowę, a ten, obrażony wielce, spakował manatki i bez zwłoki wyjechał, odgrazając się, że jeszcze go pan z Międzyrzecza popamięta.

Uśmiechając się pod wąsem, Żegota pokręcił głową. Nie takie strachy w swym życiu widział i swoje o Andrzeju Nanowskim pomyślał. Łagodny w tym sądzie nie był, rozumując, iż gdyby nawet co stuknęło i pukało we dworze, to jeszcze żaden powód, aby zacny mająteczek odpuścić.

Pani Podhorecka ciągnęła opowieść:

– Właściciel zaczął szukać nowego dzierżawcy, ale niesporo mu szło, albowiem pan Andrzej po okolicznych dworach swoją historię rozgłaszał, ubarwiając ją nawet przez złość, jaką do pana Siemieńskiego czuł. Chłopi też swoje dołożyli, na dodatek na powrót okna i drzwi deskami zabili, co przykre sprawiało wrażenie. Nikt się więc jakoś nie kwapił do najmu, a nawet jak był chętny, to zbyt mały czynsz oferował, tłumacząc to kłopotliwym sublokatorom domostwa. Aby nie przedłużać, powiem tyle, że w końcu do uszu mojego męża Mikołaja dotarła wieść o mająteczku do wzięcia. Tyle że nikt nam o przekleństwie nie rzekł, bo my aż spod Złoczowa pochodzimy, gdzie dawne gniazdo Podhoreckich się znajduje. W każdym razie prędko się mój małżonek z panem Siemieńskim dogadali i wiosną przyjechaliśmy na swoje nowe włości. – Upiwszy wina, rzuciła znad kielicha: – Dalej już mówiłam. Z chłopami był kłopot, mąż się z nimi rozmówił. Wtedy wszystkiego się dowiedział. Nadto rzekli mu wieśniacy, iż pan Siemieński surowo zakazał nowego dzierżawcę straszyć, dlatego więc długo milczeli. Mój Mikołaj nie z takich jednak, co się boją. Uśmieł się, kpiąc z guseł ciemnoty, a kiedy wszystko gotowe było,

przeprowadziliśmy się do owego nawiedzonego dworu z lamusa35, gdzie dotychczas mieszkaliśmy. – Pani Anna odstawwszy pucharek, wpatrzyła się weń zamyślona. Westchnąwszy, pokiwała smętnie głową. – Z początku zdawało się, że to zwykle odgłosy drewnianego domostwa. Tu coś zaskrzypi, tam zajęczy. Gdzieś robactwo w ścianie się odezwie albo też coś stuknie. Nic nadprzyrodzonego w tym nie ma. Ale rychło gorzej się dziać zaczęło. Nawet w dzień słychać było, jakby ktoś chodził po izbach. Drzwi się same otwierały, talerze tłukły. Mikołaj na całe dni zniknął roboty doglądać i żartował ze mnie, kiedy mu opowiadałam. Nocą jednak sam różne odgłosy słyszał. A raz, jak się ocknęłam w alkwie, to zdało mi się, że cień jakiś nad nami stoi i się przygląda. Tak się wystraszyłam, że rabanu narobiłam i do rana już nikt nie spał. Dziecko przeniosłam do naszej izby, aby go z oczu nie tracić. Mój mąż za nic to wszystko ma jednak. Mówi, iż jak tłucze się pokutująca dusza, to niech się tłucze. Krzywdy przecież nikomu nie czyni, a z hałasów to sobie kpić można. Dał dwa razy na mszę za Popiela w Rymanowie i Bukowsku, co zresztą nic nie pomogło, ale księdza do dworu już nie wzywał, pomny, że za czasu Nanowskiego nic to nie dało. Chłopi radzili, żeby baczę Babeja z Łumnej sprowadzić, który ponoć najlepszy jest do takich spraw, lecz ani myśli to mój mąż czynić, mówiąc, że to zabobony chamskie, w których on uczestniczyć nie zamierza. Tak też żyjemy sobie w Tarnawce z owym nieproszonym współlokatorem. Nawet przyzwyczaiłam się do niego, choć ciągle lękam się trochę. Póki małżonek był, to jakoś sobie radziłam. Lecz teraz, jak do Przemyśla pojechał, to tylko jedną noc wytrzymałam. Inaczej z kimś, a inaczej samemu. No i Marysia... – Nie dokończyła, wskazując na bawiące się dzieci.

Nadolski zamyślił się, rozumiejąc, iż białogłowie w istocie trudno może być znieść pustkę ponurego domostwa. Przypomniał sobie zostawioną kiedyś na całe lata Zośkę i dwójkę nieżyjących teraz dzieci. Zakłuło go serce boleśnie z poczucia winy, którego nigdy się nie wyzbył. Ciężka mu przeszłość brzemieniem, choćby nie wiadomo jak starał się ją zagłuszyć. Popatrzawszy na bawiące się w kącie pociechy, ukradkiem starł łzę, jaka zaszklila mu się w kącie oka.

Uśmiechnął się, żeby zamaskować swój smutek. Nie sądził, żeby to jakowyś duch był przyczyną strachów w Tarnawce, bardziej o hałasy obwiniając kuny i łasice, które często zasiedlały opuszczone chaty, lecz głośno nic nie rzekł, aby przykrości pani Annie nie czynić. Zamiast tego szczerze wyraził znów swą radość z niespodziewanej wizyty, dobrze wiedząc, że Agnieszce weselej będzie, a i Maciek

nie tylko wśród dorosłych nareszcie znajdzie zabawę. Pani Podhorecka nie wyglądała zresztą na specjalnie wylęknioną, więc przypuszczał, że i jej codzienna nuda i samotność bardziej doskwierały niż zjawa. Tak też spędzili resztę wieczoru na wesołej pogawędce, nie wracając już zbytnio do sprawy pokutującej duszy.

Ponad dwa tygodnie gościła młoda sąsiadka w Wygnance, co wszystkim było miłe, gdyż okazała się nad wyraz uprzejmą i czynną osobką. Odebrał ją w końcu wracający z peregrynacji mąż, który mrugając porozumiewawczo, szczerze dziękował państwu Nadolskim za uprzejmość. Na ucho zaś szepnął Żegocie coś o babskich strachach, co gospodarz skwitował znaczącym spojrzeniem i kiwaniem głową. Zdawało się, że na tym koniec będzie sprawy poltergeista<sup>36</sup> z Tarnawki. Los jednak zrządził inaczej.

## ROZDZIAŁ III

### PODHORECKI

Listopad przyszedł zimny i mokry, tak że Pielnica wylała, niszcząc część robót wykonanych pod przyszły młyn. Żegota kłął przez to w duchu na czym świat stoi, choć przed Agnieszką starał się złość ukrywać. Ale trudno byłoby nie dostrzec jego przygnębienia. Na nic zdały się próby gospodyni, aby pocieszyć męża. Ot, uśmiechnął się czasem z przymusem, lecz bardziej niż latem był milczący, a przecież i wtedy do gadatliwych nie należał. Nawet wieczorne wino nie rozluźniało języka zafrasowanego właściciela Wygnanki.

Wszędzie było błoto. Oblepiało odzienie i buty, że nie dało się czasem za próg wyjść. Dzień w dzień lało jak z cebra albo też mżyło dręcząco i uporczywie. Ponuro i nisko wisały ołowiane chmury, pełnzące niespiesznie po niebie. Zdawały się nie mieć końca, ciągnąc z południa i niosąc ze sobą nieustający deszcz. Posępny i mroczny stał się świat wokół, przywodząc niewesołe myśli o nadciągającej zimie albo też gorsze – o przeszłości.

Błąkali się po obejściu słudzy okryci przesiąkniętymi wodą kapotami, zgarbieni i powolni, jakby przytłoczeni szarym nieboskłonem. Milczący i ospali tylko tyle robili, żeby się czymś zająć. Nawet zwierzęta w stajni i oborze osowiały, znudzone monotonią wymuszonego bezruchu.

Oklapł, zdawałoby się niezniszczalny, pan Wawrzyniec Sulatycki, którego nagle w starych kościach bardziej niż zwykle poczęło łupać. Coraz częściej myślał o swym wieku i nieuchronnym końcu, jaki na każdego przecież przyjść musi. Przestał żartować, miast tego milczkiem popijał przy kominie grzane piwo i wpatrywał się w ogień. Tylko mały Maciek był w stanie wyrwać go z tego odrętwienia, kiedy przychodził swym niezdarnym krokiem i wciskał mu się na kolana. Ale i dziecku jakoś mniej wesoło było, kiedy nie mogło z domu wyjść, tylko włóczyło się po izbach.

Modliła się pani Agnieszka, aby z owej pluchy jakie nieszczęście nie przyszło, bo też wiadomo wszystkim, że z wilgoci najgorsze zarazy biorą swój początek. Patrzyła z niepokojem na syna, przynajmniej kilkanaście razy dziennie przykładając mu rękę

do czoła i zaglądając w oczy. Oddychała za każdym razem z ulgą, nie wyczuwając gorączki. Lecz już po chwili matczyzny lęk znów górę brał nad rozsądkiem i zmuszał do kolejnego sprawdzenia.

Ciągnęły się krótkie dni niczym lepkie pajęczce nici, sprawiając, iż czas zdawał się płynąć wolniej, niż powinien. Wszystkie obowiązki stały się nagle męczącą rutyną, wypełniającą ospale biegnące godziny. Niczym cienie samych siebie szwendali się mieszkańcy po dworze, z rzadka wyglądając przez okna z nadzieją, iż wreszcie przebije się gdzieś przez chmury choćby splachetek błękitu. Na próżno. Bliźniaczo podobne do siebie dni niosły ze sobą coraz to więcej deszczu. Tak jakby już nigdy nie miało się to zmienić.

Półmrok panował w jadalnej izbie, rozświetlany tylko migotliwym światłem z płonących w kominie dREW. Nawet ogień był jakiś marny, stłumiony i rachityczny. Pełgał po polanach, raczej liżąc je, niż trawiąc. Syknął czasem gniewnie, zmieszany wilgocią bierwion, albo też umykał spłoszony.

Siedział milczący Żegota przy stole, niespiesznie czyszcząc szablę, bardziej dla jakiegokolwiek zajęcia niż z rzeczywistej potrzeby. Nauczył się na wojnie, że o broń zawsze trzeba dbać. Zwykle Semko miał ten obowiązek, ale teraz nie było potrzeby angażować sługi, który pewnie gdzieś w chałupie ojca siedział albo też sprośnościami czas wypełniał. Bejda zniknął z rana, nie opowiadając się nikomu, co chwilowy gniew w panu Sulatyckim wzbudziło, lecz zaraz machnął na to ręką stary szlachcic, sam nie wiedząc, do czego mógłby mu być teraz Tatar potrzebny. Nadolskiego jakby zupełnie to nie obeszło. Wiedział, że za dzień lub dwa pacholek wróci, pewnie przywożąc jakąś dziczyznę. Przynajmniej tym urozmaici monotonię jesiennego jadłospisu.

Pani Agnieszka tuliła usypiającego jej na rękach Maćka, śpiewając mu szeptem pamiętaną z dzieciństwa kołysankę. Przyłgnąwszy policzkiem do dziecięcego czoła, z ulgą po raz kolejny poczuła jego zdrowy chłód. Uśmiechnęła się pod nosem, wpatrując się w ściskające jej dłoń drobne paluszki z różowymi paznokietkami nie większymi od ziaren grochu. Rozczulały ją te na pozór zwyczajne drobiazgi, którymi mogłaby sycić swe oczy całymi dniami. Nie ma bowiem na świecie większej miłości niż matczyna.

Tylko pan Wawrzyniec, dopiwszy piwo, wiercił się jakoś niespokojnie na swym fotelu ustawionym opodal kominka. Ani mu się chciało wstać, by nalać sobie kolejną porcję ciepłego trunku, ani też siedzieć nie było mu jakoś wygodnie. Zerkał na

Żegotę, znużony długotrwałym milczeniem. Wrodzona gadatliwość starego wymagała w końcu jakiegoś upustu. Trochę obawiał się, iż Nadolski zbędzie go jakimś półsłówkiem, zamiast po ludzku porozmawiać. Wreszcie jednak, zdobywszy się na odwagę, chrząknął, by po chwili zapytać:

– A masz waszmość jakie wieści od panów oficerów, co u biskupa służyli? Może zajadą?

Zapytany zamarł, przerywając swą pracę. Łypnął spod brwi niechętnie, zirytowany nieco, że rękodajny wyrwał go z rozmyślań. Sapnąwszy, znów począł przecierać szmatką klingę szabli. Mruknął przy tym obojętnie:

– Przecież wiesz acan, że od zgonu Jego Eminencji już nie są we Lwowie. Tyle tylko, iż się im biskup Próchnicki<sup>37</sup> o indygenat<sup>38</sup> wystarał tuż przed śmiercią. Gdyby nie jegomość Eryk Herburt, z niczym by zostali, bo nieładnie się z nimi nowy arcybiskup<sup>39</sup> obszedł, z dnia na dzień precz iść każąc jako zbędnym.

– Tak, tak. – Sulatycki pokiwał głową, nie zważając na cierpki ton gospodarza. – Zwykle tak bywa, iż nie ufa starym sługom nowy pan. Ale nie pisał nic od wiosny jegomość Stiller?

Żegota wzruszył ramionami.

– O czym? Odkąd administrację po Pamiętowskim w Beniowej<sup>40</sup> wziął, robotą wiejską, jak i ja, się zajął. Co ma pisać, że pszenicę zebrał? Owce strzyże?

Niezrażony pan Wawrzyniec pochylił się w kierunku Nadolskiego. Zmrużywszy krótkowidzące oczy, zapytał:

– A pan Murray jak sobie poczyną?

Żegota westchnął ciężko, odkładając szablę. Zrozumiał, że nie wykpi się od rozmowy. Sięgnąwszy po kufel z grzany piwem, odpowiedział:

– W Sikawcu siedzi, przecież wiesz waćpan. Puścił mu pan Herburt przysiółek po Zatwarnickich w dzierżawę, ale jak mu się wiedzie, skąd mam wiedzieć?

Krótko odrzekł, nie wspominając nawet o tym, że to za jego staraniem magnat pochylił się nad niedolą oficerów, dając im miejsce w swoich majątkach. Tylko pani Agnieszka wszystko wiedziała, wtajemniczona zresztą w całą sprawę z Herburtem, która mało co nie skończyłaby się dla Nadolskiego tragedią<sup>41</sup>. Nie miał właściciel Wygnanki przed żoną tajemnic.

Sulatycki pokiwał głową i zamyślił się na moment. Podnosząc wzrok, rzekł:

– Taka strata dla Rzeczypospolitej... Przecież mogliby u pana hetmana Koniecpolskiego służbę znaleźć. Obydwaj wojenni ludzie, oficerowie. A tu masz waszmość! Hreczkosiejami<sup>42</sup> zostali! Ech, bogaty ten nasz kraj, skoro sobie na takie marnotrawstwo pozwala!

Machnąwszy ręką, Żegota odparł:

– Może i lepiej im na wsi. Biskup Grochowski tak niepochlebłą opinię o nich rozgłosił, że trudno byłoby im dostać listy przepowiednie<sup>43</sup>. Ponoć poszło o zapisy, co na ich rzecz pozostawił Jego Eminencja Próchnicki, na które nowy arcybiskup się połasił. Zresztą, jak pisał pan Stiller, to większość z tego, co mieli otrzymać, zajął nowy arcybiskup dla siebie pod pozorem, że to nie była własność zmarłego biskupa, ale majątek kościelny. Sam jakoś jednak swobodnie na własny użytek z wszystkiego korzysta. Łasy nowy arcybiskup na pieniądze, oj łasy. Nowe ma teraz sługi, które pochlebstwami zyskują jego łaskę.

– Dziękować Bogu, że pan Herburt swą życzliwość okazał – podsumował stary rękodajny, unosząc się ciężko z fotela.

Podszedł do stołu i dolał sobie grzańca z glinianego dzbana. W milczeniu uzupełnił także kufel gospodarza, który podziękował lekkim skinieniem głowy. Odwróciwszy się, Sulatycki, ostrożnie trzymając swoje naczynie, wrócił na miejsce i opadł z westchnieniem ulgi na miękkie siedzisko. Wpatrując się w ogień, rzucił:

– A może by posłać do nich, żeby na święta do nas zajechali? Sami siedzą, to rażniej im będzie. Nam też weselej... – Nie dokończył, zerkając ku pani Agnieszce. Ta w mig pojęła, o co mu idzie, dlatego natychmiast podchwyciła:

– W istocie, trzeba tak zrobić. – Spojrzała na męża. – Napisz jutro do nich i poślij Bejdę z listami. Wiesz, ile im zawdzięczamy. Nie godzi się tak ich na święta zostawiać. I tobie... – zmrużyła oczy – ...humor się poprawi, bo markotny siedzisz. Pogadać będzie można, wieści ze świata usłyszeć. Od czasu, gdy pani Podhorecka nas odwiedziła, nikt jakoś nie zajechał.

Dopiwszy piwo, Żegota sapnął ciężko. Otarł dłonią wąsy, nim zgodnie przytaknął:

– Tak uczynię, skoro wasza wola. Sam chętnie zobaczę przyjaciół, bo prawdę powiadasz, iż jakoś nie służy mi jesień tego roku. Przynajmniej będzie na kogo czekać w tę pluchę.

Uśmiechnęli się do siebie zadowoleni rękodajny z panią Nadolską, zaskoczeni, że tak łatwo przyszło im przekonać niezbyt towarzyskiego gospodarza. Bardziej od



niego ludzi potrzebowali, szczególnie teraz, kiedy nic do roboty nie było i nie zanosilo się na poprawę pogody. Ileż bowiem można słuchać tych samych chłopskich bająn sług albo też o codzienności rozmawiać? Ludzki umysł zawsze potrzebuje nowości, inaczej więdnie niczym niepodlewana roślina.

Zebrała się ostrożnie pani Agnieszka, delikatnie podnosząc bezwładnego Maćka, tak aby go nie zbudzić. Cicho wyszła z izby, przenosząc dziecko do alkowy. Zostali sami mężczyźni, znów milczący i pogrążeni w rozmyślaniach.

Żegota wrócił do czyszczenia szabli, Sulatycki zaś wpatrywał się w ogień, czasem tylko pogrzebaczem podrzucając tłące się polana. Ciepłe piwo sprawiło, że kleić zaczęły mu się oczy, toteż podrzemywał chwilami, choć pewnie by się do tego nie przyznał. Bijący z kominka żar rozleniwiał, przywodząc ospałe i chaotyczne myśli o wszystkim i o niczym. Za oknem miarowo siąpił uporczywy deszcz, stukając w kwadratowe szyby okien. Wieczór zdawał się spokojnie dogasać, przechodząc w smętną jesienną noc.

Łomot do drzwi na ganku rozległ się tak nagle, że obydwaj mężczyźni zerwali się na równe nogi, spoglądając po sobie nierozumnym wzrokiem. Przybycie jakichś gości o tej porze było tak niespodziewane, iż niepokój odmalował się na twarzy Żegoty. Nie wróżyły niczego dobrego takie późne wizyty. Dlatego idąc ku wejściu, Nadolski mocniej ścisnął szablę, Sulatycki zaś schwycił wiszący na ścianie czekan, ustawiając się za plecami gospodarza.

Przyczaiwszy się, pan domu zakrzyknął:

– Kto tu?!

Przez szum gęstniejącego deszczu, stłumione grubymi drzwiami, przebiło się głucho:

– To ja! Bejda! Państwa Podhoreckich przywiozłem! Otwórzcie!

Siwowłosy szlachcic zerknął na rękodajnego, rozkładając dłonie w geście świadczącym, iż nic nie pojmuje. Skąd dzierżawcy Tarnawki w Wygnance i po co? Czemu Tatar ich tu przyprowadził? Sulatycki pokręcił głową, wzruszając ramionami, tak samo zaskoczony jak Żegota.

Nie było na co czekać. Aby wyjaśnić sprawę, należało czym prędzej wpuścić pacholka i Podhoreckich. Zakławszy pod wąsem, Nadolski odstawił szablę pod ścianę. Zdjąwszy skobel, uchylił ostrożnie drzwi. W ciemności dostrzegł wyraźny zarys krępej sylwetki Bejdy, a za nim stojącą w mroku kolebkę.

– Co się dzieje?!

Pohaniec odrzucił kaptur. Wskazując na powóz, rzucił:

– Pomóżcie! – Potem odwrócił się na pięcie, nie wyjaśniając nic więcej.

Zaklął ponownie, tym razem już zupełnie głośno, i ruszył za nim Żegota, nie bacząc na deszcz. Ślizgając się, brnął prawie po kostki przez błoto. Ożywiony nagle pan Wawrzyniec, wciąż z czekanem w dłoni, szedł tuż za nim. Zaprzężone do kolebki konie parskały nerwowo, bijąc kopytami. Zaczęły szczekać poukrywane po kątach psy, co jeszcze większy zamęt czyniło. Właściciel Wagnianki był pełen najgorszych przeczuc co do tego, co przyjdzie mu ujrzeć.

W istocie się nie omylił. Pierwsze, co zobaczył, to obwiązaną zakrwawioną koszulą głowę Podhoreckiego, który zdawał się nieprzytomny, jeśli nie nieżywy. Obok niego, zawodząc w mroku, kołysała się w przód i tył pani Anna, ściskając w ramionach płaczące dziecko. Siedziała cała przemoczona w lekkim odzieniu, tak jakby tyle co z domu wyszła. Na dodatek na jej dłoniach odbijały się ciemno plamy, w których doświadczony Żegota bez trudu rozpoznał zakrzepłą krew.

Prędko się opanował. Złapawszy za rękaw Tatara, warknął:

– Bierz ze mną pod ramiona rannego i do domu! Żywo!

Wyciągnawszy z kolebki bezwładne ciało, wlekli je bardziej, niż nieśli. Głowa pana Podhoreckiego zwisała żałośnie, kołysana w rytm niepewnych kroków dźwigających go mężczyzn.

W drzwiach stała już pani Agnieszka z oczami okrągłymi ze strachu. Mijając ją, Żegota rzucił:

– Podhorecka w powozie. Idź do niej. Dziecko... – Nie skończył, znikając w głębi dworu.

Nie musiał powtarzać. Nadolska pędem podbiegła do kolebki, przy której stał Sulatycki. Odsunęła go energicznym ruchem i zajrzała do środka.

– Pani Anno! Co się stało?!

Kobieta nie odpowiedziała, nadal łkając i zawodząc. Niewiele myśląc, Agnieszka wsiadła do powozu i odebrała Marysię z rąk matki. Nad wyraz łatwo jej poszło, tak bardzo przerażona czymś zdawała się pani Podhorecka. Nadolska wyskoczyła z kolebki i podbiegła do domu, aby w świetle czym prędzej obejrzeć dziewczynkę. Krzyknęła panu Wawrzyńcowi, aby miał oko na pozostawioną szlachciankę.

W izbie, przy świetle kominka, rozwinęła pledzik, wpatrując się z niepokojem w dziecko. Sprawdziwszy wszystko, odetchnęła z ulgą. Nie dostrzegła nic, co mogłoby być groźne. Mała była jedynie mokra i wystraszona, pewnie nie rozumiejąc tego, co się wokół niej działo.

Bejda z Żegotą wybiegli, zostawiając ułożonego na stole nieruchomego Podhoreckiego. Z podwórza doszły panią Agnieszkę jakieś pokrzykiwania, a potem rozległ się tupot nóg. Nadolski wspólnie z Tatarem ostrożnie wprowadzili do izby zszokowaną niewiastę. Omiatała nieprzytomnym wzrokiem pomieszczenie, jakby nie wiedziała, skąd się tu wzięła i dlaczego.

Usadził ją gospodarz w fotelu Sulatyckiego, okrył zabraną z ławy pod oknem wilczą skórą. Rękawem otarł mokre od deszczu czoło, mówiąc:

– Semko w stodole był. Jak wylażł, kazałem mu po matkę bieć, aby czym prędzej przysłała. Stara na ranach się zna...

Pan Wawrzyniec, ociekając cały, wszedł, niosąc w ręku zabrany widać ze swojej izby kaganek. Bez słowa odpalił go od paleniska. Poświecił z bliska na Podhoreckiego.

– Jezus Maria! – wyrwało mu się, kiedy zobaczył, jak zboczony jest krwią prowizoryczny bandaż. Pochyliwszy się, nadstawił ucha. Odetchnął, szepcząc: – Żyw.

To otrzeźwiło nieco Żegotę. Siłąc się na spokój, polecił żonie:

– Weź małą i osusz, a potem prędko do łóżka kładź. Nie daj Bóg na płuca jej się rzuci. Babom, jak przyjdą, każ co trzeba szykować, żeby nie zachorzała. Mleka z miodem ciepłego, lipy, czy co tam... Sama wiesz najlepiej.

Pani Agnieszka pospieszyła wypełnić mążowy nakaz. Sulatycki przyświecał jej w ciemnym domostwie, rozglądając się za lepszym źródłem światła. Chwilę zajęło, nim znalazł świece, które odpalał i rozstawiał, gdzie się dało. Nikt nawet nie myślał oszczędzać na wosku w takiej sytuacji.

Kamień spadł z serca Żegocie, kiedy płacz dziecka dobiegający z sypialni powoli zaczął cichnąć. Przynajmniej tam wszystko biegło jak należy.

Łypnąwszy na Bejdę, rzucił krótko:

– Mów!

Pachołek skinął głową.

– Przy Łażcu<sup>44</sup> na zwierza się zacząłem. Deszcz, to mniej strachliwe są sarny...

– Do rzeczy! – przerwał mu Nadolski.

– Na drodze od Rudawki idącej w kierunku Pastwisk dojrzałem wóz. Po ciemku stał. Potem usłyszałem płacz dziecka i niewiasty. Podjechałem, odemknąłem drzwi i jego... – wskazał na rannego – ...zobaczyłem. Poznałem kto, bo przecie byli tu już u nas. Konia swojego z tyłu przywiązałem, a sam na forysiówego<sup>45</sup> wsiadłem. Do Wygnanki powiodłem.

– Czemu do dworu w Pastwiskach albo Odrzechowej nie pojechałeś?!

Bejda się skrzywił. Z ociąganiem burknął:

– A bo to ja głupi? Co by pomyśleli, kiedy zobaczyliby nocą Tatara wiozącego posiekanego szlachcica i matkę z dzieckiem? He? Anibym się obejrzał, jakby obili albo i gorzej.

Sapnąwszy, Żegota skrzywił się. W duchu musiał przyznać rację Bejdzie, który rozsądnie się zachował. W istocie raczej mało przyjaźnie przyjęto by go pod innym dachem. Skinął ręką i rozkazał:

– Idź konie z kolebki wypręgać i do stajni prowadź. Jak skończysz, to wróć tu, bo może będzie jeszcze co do zrobienia.

Poganin bez słowa odwrócił się na pięcie i znikł za drzwiami.

Sulatycki sam z siebie polał do małego kufła grzanego piwa, aby podsunąć je pod nos pani Podhoreckiej. Ta, wpatrując się błędnym wzrokiem w przestrzeń, mamrotała coś niezrozumiale pod nosem. Siłąc się na delikatny ton, stary rękodajny zachęcił:

– Napij się aśćka. Dobrze ci to robi.

Dwa razy musiał powtórzyć, nim wzięła od niego naczynie, lecz nawet ust nie zamoczyła. Tymczasem do izby bez żadnej zapowiedzi ani uniżoności wkroczyła stara Fiodorowa. Krępa, mocna w kościach, w sobie nabita. Rzuciła spod mokrej chusty ciche powitanie, od razu pojawiwszy, po co ją wezwano. Nie ociągając się, pewnym krokiem podeszła do rannego. Odwinęła naprędce wykonany opatrunek. Żegota z Sulatyckim pochyłili się nad panem Podhoreckim, a z ust jego żony wyrwał się głośny jęk i kufel wypadł jej z rąk.

Ani się przejęła tym wiejska znachorka, grubymi paluchami obmacując zaschniętą już ranę na czole i skroni. Skrzekliwym głosem rzuciła:

– Wody najsamprzód, a potem chleba z pajęczyną.

Popatrzyli po sobie pan Wawrzyniec z Żegotą, nim gospodarz mruknął:

– Idź, waszmość, zaraz inne baby przyjdą, ale prędko trzeba.

Skinąwszy głową, rękodajny wziął jedną ze świec i skierował się do kuchni.

Kręcąc się nad rannym, matka Semka obmacała mu ręce i nogi, a potem, rozpiąwszy żupan i koszulę, przyjrzała się piersiom oraz brzuchowi. Widać nic nie znalazła, albowiem znów poczęła się głową zajmować. Odgarnąwszy sklezione krwią włosy, wycedziła, nawet nie spoglądając na właściciela Wygnanki:

– Płytką rana i kości nieuszkodzone. Tyle że długa i na łbie, to krwi trochę stracił. Po mojemu, jak się zgnilizna jakaś nie wda, prędko do siebie nieborak wróci.

Kamień spadł z serca Nadolskiemu. Odwrócił się ku pani Podhoreckiej, chcąc zobaczyć, czy i ona słyszała prostą diagnozę, lecz młoda kobieta ani trochę nie zmieniła nieobecnego wyrazu twarzy, kiwając się to w przód, to w tył. Nie bardzo wiedział szlachcic, co czynić, zaklął więc w duchu, prosząc Boga, aby czym prędzej przyszła Agnieszka. Mniemał, że łatwiej jej będzie sąsiadkę do jakiejś przytomności umysłu wrócić.

Parę minut minęło, nim zjawił się pan Wawrzyniec z ceberkiem wody i lnianymi szmatami. Postawił wszystko na stole obok nieprzytomnego Podhoreckiego. Fiodorowa wprawnie zajęła się oczyszczaniem rany, mruczając pod nosem jakieś zaklęcia. Zaraz potem skrzypnęły drzwi na ganku i zza framugi zajrzały do izby głowy zaciekawionych i wystraszonych służących, a wśród nich i zmokłego do cna Semka, który je przywiódł. Przegnał ich wszystkich pan Wawrzyniec do kuchni, cichym głosem wydając polecenia. Zrobił się ruch, jakiego dawno we dworze w Wygnance nie było.

Po dobrym kwadransie wróciła do jadalnej pani Nadolska. Szeptem na ucho oznajmił jej mąż, że z rannym wszystko powinno być dobrze, prosząc też, aby sąsiadką się jakoś zajęła. Od razu podeszła gospodyni do znajomej szlachcianki, mówiąc do niej łagodnie. Ująwszy odchodzącą od zmysłów kobietę pod ramię, powoli wyprowadziła ją z izby, jakby ślepcę jakiegoś wiodła. Nieobecna duchem Podhorecka nawet nie obejrzała się na leżącego na stole męża, tak mało chyba wiedziała, co się wokół niej dzieje. Znał taki stan Żegota, nieraz na wojnie widząc błądzące wśród pobitewnych trupów matki czy żony. Każdego mógł dotknąć, niezależnie od stanu i wieku. Jednacy są bowiem ludzie w obliczu straszliwych zdarzeń i ból tak samo na wszystkich przychodzi. Broni się wtenczas człowiek, zapadając się w sobie, aby uciec od uczuć, które mogłyby go zabić.

Długo jeszcze tej nocy zamęt panował we dworze w Wygnance, zanim jakoś wszystko zdołało się ułożyć. Przedświt już nastawał, kiedy wreszcie ucichły wykrzykiwane czasem słowa, zamieniając się w równe oddechy porozkładanych po domu śpiących ludzi.

W gościnnej izbie pod okiem Fiodorowej leżał pan Podhorecki. Alkowę zajęły dzieci i ich matki. Pan Wawrzyniec do siebie wrócił, choć gotów był oddać posłanie gospodarzowi. Służba zaś porozkładała się gdzie kto mógł, wiedząc, że z rana może być potrzebna. Tylko Semko, korzystając z okazji, przemknął do stodoły, gdzie czekała już na niego w sianie pozostawiona wcześniej dziewczka. Niezmiennie są bowiem prawa żywota, gdzie tragedia miesza się z rozkoszą, a życie zawsze pragnie zatryumfować nad śmiercią.

Gospodarz zgasił ostatnią świecę, układając się na ławie pod ścianą. Odwykł od twardego posłania, dlatego wiercił się chwilę, nim zasnął. Sen miał ciężki, jakby przeczuwając, iż zaszłe zdarzenia zwiastują początek czegoś złego, co właśnie nadchodzi, kładąc się cieniem. Bardziej męczył go ów odpoczynek niż czuwanie. Kręcił się w dręczących majakach aż do chwili, kiedy wychynawszy z ciemności, pochylił się nad nim kobiecy cień. Spalona w Sanoku wiedźma wciąż czuwała nad tym, który obiecał odnaleźć jej córkę<sup>46</sup>. Nawet z zaświatów pilnowała tego, aby spełniło się to, co musiało się spełnić.

## ROZDZIAŁ IV

### NAWIEDZONY DWÓR

Jakby cudownym zrządzeniem Opatrzności deszcz ustał nad ranem. Pojaśniało niebo, gdzieniegdzie przepuszczając promienie jesiennego słońca. Wylazły z ukrycia na dziedzińiec mokre psy, wciąż niepewne, czy aby natura nie płata im jakiegoś figła. Także ludzie, zbudziwszy się, z otuchą w sercach wyjrzeni przez okna. Za dobry omen poczytali zmianę pogody na lepsze. W istocie nadzieja ta zdawała się spełniać. Południe już dochodziło, kiedy dała znać wymęczona Fiodorowa, iż ranny Podhorecki do przytomności wrócił. Wcisnął jej w rękę Żegota srebrnego ćwierćtalara, co aż nadto było za usługę. Zadowolona kobieta ukłoniła się niezgrabnie. Na odchodnym oznajmiła jeszcze, że w razie czego natychmiast się zjawi. Pewnie liczyła na dalszy zarobek, wiedziała bowiem, iż pan Nadolski hojny jest i dba o swoich chłopów jak mało kto.

Także wieści o pani Podhoreckiej i Marysi były dobre. Dziecko zbudziło się jakby nigdy nic, chętnie zjadło posiłek, a potem od razu zaczęło zabawę z Maćkiem. Najwyraźniej dziewczynka pamiętała niedawną wizytę, czuła się bowiem jak u siebie. Jej matka wciąż spała, co za dobry omen można było poczytać, bo wiadomo, iż sen to najlepsze lekarstwo na troski. Cicho, prawie że na palcach, chodzili wszyscy po dworze, aby jej nie zbudzić. Nadolski odprawił zbędną służbę, pozostawiając ledwie dwie kucharki, którym surowo przykazał, aby hałasu żadnego nie czyniły. Szepcząc, rozważał z żoną, czy posłać po medyka do Sanoka, aby ktoś lepiej niż wiejska znachorka rannego obejrzał, ale wstrzymał się z tym do czasu, aż rozmówi się z Podhoreckim. Słusznie zakładał, iż z jakichś względów może nie w smak byłoby szlachcicowi stać się obiektem powiatowych plotek i nedorzecznych przypuszczeń. Albo też kryminalna to była jakaś sprawa, o której lepiej, żeby starosta nie wiedział.

Naradziwszy się z domownikami, ustalił Żegota, iż odwiedzi oprzytomniałego już gościa, aby się czegokolwiek dowiedzieć. Wówczas dopiero wspólnie zdecydują, co dalej. Zebrał się więc i ruszył do izby, gdzie złożony był pan Podhorecki. Przy

okazji zabrał ze sobą kwaterkę<sup>47</sup> grzanego wina z przyprawami i miodem, który to trunek za najlepszy uznawano na każdą słabość.

Ostrożnie uchylił drzwi, niepewny, czy aby młody sąsiad nie zasnął, wyczerpany nocnymi wypadkami. Służąca, która siedziała obok posłania, wstała, odkładając miskę z rosółem. Podhorecki odwrócił obandażowaną głowę, uśmiechając się z przymusem. Głosem słabym, ledwie mocniejszym niż szept, powiedział:

– Czołem, panie Nadolski. Kłopotu waszmości narobiłem. Wybacz, że tak... – Przerwał, dłonią wskazując na siebie.

– Co też waćpan mówisz! – zaoponował gospodarz, pewnym już krokiem przekraczając próg. – Jaki kłopot! Chrześcijańska to powinność i zaszczyt bliźnich w potrzebie wspierać!

– Z serca dziękuję. – Ranny prawie niezauważalnie skłonił obolałą głowę. – Za siebie i moich. Powiedziano mi już, że Anusia z Marysią, chwała Bogu, bezpieczne. Nie wiem, jak się kiedyś wywdzięczę waszmości.

Dziewka zniknęła za drzwiami. Żegota, przysiadając na krześle, odparł:

– Ani o tym nie myśl acan. Bylebyś tylko do zdrowia wrócił, najlepszą to będzie dla mnie podzięką. – Podał Podhoreckiemu pucharek z winem, zachęcając: – Pij waćpan, póki ciepłe. Od razu lepiej ci będzie.

Przełknął kilka łyków młody szlachcic. Łypnął po chwili ku Nadolskiemu, łatwo wychwytyjąc jego pytający wzrok. Nie dziwił się gospodarzowi. Każdy na jego miejscu byłby ciekaw, co też właściwie zdarzyło się poprzedniej nocy. Dlatego, oddając naczynie, Podhorecki sam zagaił:

– Pewnie waszmość chcesz wiedzieć, kto mi tak łeb rozbił?

Zmieszany nieco Żegota odstawił kielich i bąknął pod nosem:

– Nie przeczę. – A zaraz głośniej dodał: – Ale jeśli waćpan nie chcesz, nie mów.

Podhorecki uniósł lekko kąciki ust i odrzekł:

– Nie to, że bym nie chciał. Tyle że sam pragnąłbym wiedzieć, kto mnie tak urządził.

– Jakże to? – Siwowłosy właściciel Wygnanki uniósł brwi, albowiem dość niepojęte wydało mu się, aby ranny, trzeźwy już przecież, nie mógł choćby dwóch słów powiedzieć o napastniku.



Przez myśl przemknęło mu, że widać pamięć rannemu po uderzeniu szwankuje. Odrzucił jednak to przypuszczenie, spoglądając w zupełnie przytomne oczy pokiereszowanego sąsiada. Ten, podparłszy się na łokciu, poprawił się na pościeli i ułożył na boku.

– Zaraz waszmości powiem, co pamiętam... – sapnął, jako że zakręciło mu się trochę w głowie od nagłego ruchu – ...tylko nie wiem, czy waćpan uwierzysz.

Patrząc wprost w oczy Żegoty, jakby na dowód szczerości tego, co zamierzał powiedzieć, zaczął:

– Wieczór już był, chociaż nie późny, kiedy wróciłem do domu, zajęty wcześniej przez cały dzień pilnowaniem chłopów, co stajnie i chlewy mi na zimę ogacają<sup>48</sup>. Trudna robota przez ten deszcz, który wciąż z nieba leje, ale bez tego zimą wymarzną mi zwierzęta. Zresztą... – zmarszczył nos, pojmując, iż odbiega od tematu – ...jako gospodarz sam wiesz, mości Nadolski. – Prawie niezauważalnie machnął palcami. – Przyszedłem tedy do dworku, a tam Anusia oznajmiła mi, iż od rana jakby więcej się nasz niechciany współmieszkaniec sroży. Potłukł miskę glinianą na ciasto, która stała w kredensie, i drzwiami łomocze, Marysi zasnąć nie dając. Nie przejąłem się tym wiele, bo nieraz już bywało, że jakiś czas owo lichy hałasowało, a potem i dwie niedziele spokój był. Ot, taka nasza dola w Tarnawce, której nijak zaradzić. Przyzwyczailem się. Rozdziałem się przeto, służbę wystraszoną odprawiłem, zostawiając tylko jedną babę do pomocy, co w piekarni osobnej<sup>49</sup> zwykła sypiać, gdyż bała się jak diabeł święconej wody w kuchni na noc zostać, oraz pachółka, co na strychu stajni sobie pościeli urządził. Cicho było, więc sądziłem, że uspokoił się ów duch, który tak nas dręczy, i noc bez większych przygód nam minie. Córkę Anusia jak zwykle do łóżeczka w naszej alkowie położyła, przysiadając przy niej i nucąc kołysanki. Ja w jadalnej jeszcze zasiadłem, aby przy świecy księgi gospodarskie nieco uzupełnić i zestawienie dla pana Siemieńskiego przygotować. Tak zesza nam kolejna godzina, albo nawet i więcej. Kończyłem już swoją robotę, kiedy w drzwiach stanęła moja małżonka, przynaglając mnie, żeby światła bez potrzeby nie marnować. Wstałem więc od stołu, podnosząc świecę, a wtenczas wszystko się zaczęło. – Przerwał na chwilę, przymykając oczy, jakby dla większego skupienia. – Najpierw okno rozwarło się gwałtownie jakby od jakiego podmuchu i tak bić poczęło, że szkło w jednej chwili rozprysło się na tysiące kawałków. Za tym drzwiami przeklętnik zaczął walić, aż Anusia odskoczyła, mało że nie uderzona. Z alkowy rozległ się krzyk rozbudzonej Marysi, więc matka jej ruszyła ku wyjściu,

ale ani mowy było przejść, tak coś zawzięcie szarpało. Skoczyłem więc ja, siłą zatrzymując skrzydło. Mocny jestem, ale powiem waszmości, iż ledwie radę dałem. Żona już wybiec miała, kiedy nagle z szaf, półek i skąd się dało runął na nas grad wszelkich drobiazgów, które uderzały, rozbijały się o ściany, biły gdzie popadło. Fruwały księgi, co je na stole zostawiłem, papiery, kałamarze, pucharki, kubki, karafki, butelki. Istne piekło się rozpętało, mości panie Żegota, a co gorsza świeca mi zgasła, więc światła tyle tylko było co od żaru w palenisku. – Westchnął, unosząc powieki. Widząc powątpiewanie w oczach gospodarza, mruknął: – Wiem, wiem... Sam bym nie wierzył, gdybym nie był świadkiem owego zamętu. To jeszcze jednak nic, acan. Psubrat dopiero się rozkręcał, najpewniej chcąc nas na amen z dworu przegnać, tak jak mu się to wcześniej z panem Andrzejem Nanowskim udało. Meble wszelkie, nawet ciężka szafa gdańska, chwiać się poczęły i jedne za drugimi na podłogę upadać. Łomot taki się zrobił, iż zdawało się, że domostwo na strzępy się rozleci. Ogień z komina buchnął snopami iskier rozlatujących się po izbie. A z alkowy płacz dziecka coraz głośniejszy słycać. I nijak na pomoc bieć, bo fruwa wszystko, jakby wichurą porwane, a przez wyłamane okno deszcz strugami się leje. Niewiele myśląc, zerwałem tedy szablę, która jakimś cudem się jeszcze na ścianie ostała, krzycząc przez ten rumor, sam nie pamiętam już, jakimi wściekłymi słowy, w każdym razie wyzywając owo coś do walki. Wiem, że to głupie zdać się teraz może, lecz wtenczas nie panowałem nad miotającymi mną gniewem i strachem o córkę. Wtedy coś wyszarpnęło mi bez trudu broń z ręki. Ostatnie, co pamiętam, to własna szabla lecąca w powietrzu ku mojej twarzy. Potem straciłem przytomność.

Nabierając powietrza w płuca, Żegota pokręcił głową. Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Trudno jakoś było gospodarzowi objąć rozumem to, co usłyszał, ale też nie miał powodu, aby nie wierzyć rannemu. Postanowił więc powstrzymać się od komentarza. Zamiast tego zapytał:

– To nie wiesz waćpan, jak znaleźliście się nocą na drodze do Pastwisk?

– Od momentu, kiedym w łeb dostał, aż do chwili, gdy się tu ocknąłem, nic nie wiem. Najpewniej Anusia mnie z dworu wywlekła i po pomoc ruszyła. Jej trzeba by spytać. Służka mówiła, że śpi jeszcze. Pewnie wyjaśni wszystko, jak się zbudzi.

– Taaak... – odparł Nadolski, kiwając kilkakrotnie głową. – Pewnie tak było... – Zerknąwszy na leżącego Podhoreckiego, zagadnął: – Mogę jakoś waszmości pomóc? Posłać po kogoś albo też przywieźć? Widzi mi się, że najmniej parę dni poleżysz, acan, więc jeśli czego trzeba... – Nie dokończył, mrużąc lekko oczy.

Zastanawiał się pan Podhorecki, ale nic dłuższą chwilę nie odrzekł. Przyszedł mu więc z pomocą Żegota:

– Może po medyka posłać do Sanoka?

– Medyka mi nie trzeba. – Młody szlachcic pokręcił głową. – Ale jeśli byłbyś tak uprzejmy, waćpan, inną miałbym do ciebie prośbę.

– Mów więc, waszmość – zachęcił siwowłosy gospodarz. – Z chęcią w potrzebie pomogę.

– Chodzi o to, żeby do pana Siemieńskiego kogoś posłać i rzecz mu jakoś zgrabnie wyłuszczyć. Nie chciałbym, aby pomyślał, że dzierżawę porzuciłem, albo też żeby jakiś powód miał do wypowiedzenia umowy, jak z Nanowskim było. Kiedy wrócę do sił, sam się z właścicielem Tarnawki rozmówię, ale teraz o czas idzie. No i dobrze byłoby sprawdzić, czy dwór cały w przysiółku, czy chłopci czego nie rozkradli... Pewnie wrócić nam zaraz przyjdzie w to miejsce...

Ze spojrzenia i tonu głosu rannego Żegota łatwo wyczytał, czym tak naprawdę martwi się pan Podhorecki. Uśmiechnął się przyjaźnie, pochylając się nad młodym mężczyzną. Położywszy mu dłoń na ramieniu, oznajmił:

– Ile trzeba, u nas zostaćcie. Ani myślę na nowy hazard was wypuszczać. Wiem, żeś waćpan odważny, lecz z serca proszę, abyś się z powrotem do siebie wstrzymał. Niebawem, raptem w trzy tygodnie najdalej, zajadą do mnie dwaj moi serdeczni druhowie, którzy, jak by to rzec... – zastanowił się przez sekundę, aby zbyt wiele nie zdradzić – ...znają się na różnych dziwnych sprawach i pomoc mogą. Przynajmniej do tego czasu zostańcie z nami, a ja Siemieńskim rzecz osobiście wyłożę. Jutro z rana do Międzyrzecza się udam, żeby się z panem Zbigniewem rozmówić. Znam się z nim jeszcze z młodych czasów, więc może łatwiej mi będzie wszystko pomyślnie załatwić. Wracając, do Tarnawki zajadę i zabiorę wam z domu co trzeba, bo ledwie w lekkim odzieniu jesteście. O nic się, mości Podhorecki, nie troskaj, tylko, jak już mówiłem, do zdrowia wracaj.

– Dziękuję waszmości. – Widać było, że rannemu kamień spadł z serca. Odwzajemnił uśmiech, unosząc lekko kąciki ust, co jednak przy jego obandażowanej głowie i bladości niezbyt wesoło wyglądało.

Żegota wstał z krzesła. Prostując się, zalecił:

– Leż teraz waćpan spokojnie, niczym się nie martw i wypoczywaj. Żona pewnie odwiedzi acana, gdy tylko wstanie. Marysia zaś bawi się z Maćkiem, więc nie

wiem, czy chcesz... – Zawiesił głos w niedokończonym pytaniu.

– Nie ma co jej przeszkadzać. Za mała jeszcze, żeby cokolwiek z tego zrozumieć. Może z Anusią przyjdzie. – Młody szlachcic poprawił się na posłaniu, przy czym wargi wykrzywił mu bolesny grymas.

Zrozumiał Nadolski, iż nie ma co przedłużać wizyty.

– Dobrze. – Skinął głową. – Przyślę służkę, a jakby waćpanu czego trzeba było, to nie krępuj się wołać. Czuj się, jakbyś u siebie był.

Oslabiony Podhorecki z trudem uniósł dłoń, którą gospodarz uścisnął delikatnie. Potem, odwróciwszy się na pięcie, wyszedł, nie wiedzieć czemu z niepotrzebną przecież ostrożnością zamykając drzwi. Bardziej był to odruch niż jakieś rozmyślne działanie, gdyż w głowie wciąż rozważał to, co mu ranny powiedział. Ostatecznie, westchnąwszy, skonstatował, iż rzeczywiście najlepiej będzie poczekać na Stillera z Murrayem, którzy służąc u biskupa Próchnickiego, z różnymi dziwami się stykali, więc i na sytuację w Tarnawce najpewniej coś zaradzą. Poszedł więc Nadolski do małego gabinetu, komórki bardziej niż folwarcznej kancelarii, aby czym prędzej przygotować listy do przyjaciół z zaproszeniem na święta. Nic w nich o sprawie Podhoreckiego nie wspominał, rozumując, że takie tematy najlepiej bezpośrednio omówić. Popołudniem zaś wezwał Bejdę, któremu przekazał zapieczętowane lakiem pisma i polecił czym prędzej udać się do Sikawca i Beniowej.

Pani Anna Podhorecka dopiero około trzeciej ocknęła się z męczącego snu. Zaraz też krzyknąć poczęła, nie widząc przy sobie dziecka. Dopiero gospodyni z panem Sulatyckim musieli ją uspokajać, tłumacząc co i jak. Prócz słów łagodnych swoje zrobił też solidny kielich wina z korzeniami, które do niejkiej trzeźwości przywróciło zaniepokojoną matkę. Najwięcej zaś zdziałała sama Marysia, która wbiegła do alkowy i przytuliła się mocno do rodzicielki. Widać było, jak złe emocje poprzedniej nocy spływają z twarzy pani Podhoreckiej, a na blade policzki wracają rumieńce.

Rwetes się na chwilę zrobił, gdyż nacieszywszy się córką, nie bacząc na nic, młoda szlachcianka pobiegła do męża. Wróciwszy po kilku minutach, znów na wszystkie strony oglądała małą, czy aby na pewno zdrowa i nic jej nie dolega, by zaraz ponownie zniknąć w komnacie, gdzie złożony był pan Podhorecki. Dzielnie zniósł ranny ten chaos, choć widać było, iż sił mu jeszcze brakuje. Dopiero pan Wawrzyniec nieśmiałą sugestią wywabił panią Annę z izby rekonwalescenta, sugerując, iż sen najlepszym będzie lekarstwem dla pokaleczonego mężczyzny.

Z godzinę trwała ta bieganina, nim w końcu udało się zaciągnąć panią Annę do jadalnej, gdzie podano późny posiłek.

Żegota skonstatował, iż nad wyraz żywotna jest młoda szlachcianka, która jeszcze nocą była prawie na granicy obłędu. Dziś, wypocząwszy, żwawo przejęła opiekę nad swoimi bliskimi. Tak zresztą być musiało w tych czasach, gdyż ten, kto nie umiał sobie radzić z nieszczęściem, ginął przygniety jego ciężarem. Świat zaś, a szczególnie ruskie województwo, pełne było dramatów i zdarzeń, gdzie pokieraszowany łeb zdawał się najmniejszą troską. Sam tego pan Nadolski doświadczył, jak zresztą wielu tutejszych mieszkańców narażanych wciąż na najazdy jak nie Tatarów, to zbójów, albo też trapionych przez lokalne sąsiedzkie zwady. Nawet duch z Tarnawki nie mógł stłumić odwiecznej siły, jaką nadał Bóg ludziom, którzy co dnia muszą rzucać wyzwanie losowi. Tak to bowiem jest z człowiekiem, iż to, co go nie zabije, często mocniejszym go czyni.

Przy posiłku pani Podhorecka, niepytana nawet jakoś szczególnie, sama opowiedziała, co zdarzyło się od chwili, kiedy jej męża zmoęła szabla prowadzona nie wiedzieć czyją ręką. Musiała widać wyrzucić z siebie to, co spotkało ją poprzedniej nocy, w tym znajdując ukojenie, ale chyba też przyjemność w widoku zasłuchanych ludzi. Niepojęta zaiste była historia płynąca z ust młodej szlachcianki.

– ...wyciągnęłam go z komnaty, gdzie wszystko wkoło wciąż latało, a złe za mną jakby szło, niszcząc sprzęty i nadal w korytarzu ciskając we mnie czym popadło. Sił mi już prawie brakowało, lecz wiedziałam, że muszę też Marysię ratować. Zostawiłam więc męża w przedsionku i ruszyłam po dziecko. Wbiegłam do alkowy i porwałam ją z łóżeczka, tylko kocem okrywając. Potem wybiegłam na podwórze, gdzie stał już obudzony parobek, który patrzył, stojąc jak kołek z rozdziawioną gębą. Zdzieliłam go w łeb dla oprzytomnienia i kazałam czym prędzej konie do kolebki zaprzęgać. Córeczkę do powozu włożyłam, a sama na powrót po męża poleciałam, krzycząc pachółkowi i służce, aby mi przyszli w sukurs. Ale gdzie tam! Żadne do dworu wejść się nie odważyło, więc sama, ledwie dając radę, wywlekłam Mikołaja przed dom. Wtedy i owszem, pomogli mi nieprzytomnego załadować na wóz. W domu zaś nadal aż huczało od rozbijanych sprzętów. Tak jakby ktoś ogarnięty niepohamowaną wściekłością wszystko postanowił zniszczyć. Uciekać trzeba było czym prędzej, ratunku dla nieprzytomnego męża i strwożonego dziecka szukać. A droga przez te ulewy przejezdna tylko jedna, na Pastwiska. Wskoczył pachółek na forsyowego i dalej, z kopyta ruszyliśmy. Ja zaś przerażona, czym miałam, jęłam

Mikołajowi głowę opatrywać. Po ciemku, wiadomo, niesporo mi szło, lecz w końcu udało się jakoś krew zatamować. Zdawało się, że z ulgą będę mogła odetchnąć, czekając, jak do Pastwisk dojadę. Ale gdzie tam! Nagle jak coś w kolebkę nie łupnie z tyłu raz i drugi, aż cała podskoczyła. Za drzwi coś szarpać poczęło, w dach walić, trząść. Pacholek, łajdak, z konia zeskoczył i precz umknął, więc nagle sama się ostałam. Jeszcze chwilę jechał wóz, aż w błocie ugrzązł. Wtedy najgorsze przyszło.

Zawiesiła głos, a pani Nadolska przeżegnała się, szepcząc pod nosem modlitwę. Wiedziała, że historia przecież dobrze się skończyła, ale tak opowiadała sąsiadka z Tarnawki, aż mógł się zjeżyć włos na głowie.

– Znienacka drzwi kolaski coś szarpnęło z taką siłą, iż mało z zawiasów nie wyrwało. Ja w krzyk, choć i wcześniej cicho nie byłam. Dziecko aż się zanosi płaczem. Nikogo wokół, aby w obronie stanął. Ciemno, pusto, deszcz leje, a do głowy najgorsze myśli przychodzą. Podmuch zimny wdarł się do środka, mroząc krew w żyłach, i wtedy go zobaczyłam..

– Jezus Maria! – Gospodyni prawie że zerwała się z krzesła. – Kogo?!

Podhorecka pokręciła głową.

– Kogo? Bóg jeden wie. Czarną postać ledwie co zarysowaną w mroku. Kaptur skrywający oblicze, które bałabym się ujrzeć, a pod nim czerwone jarzące się oczy wpatrzone we mnie z niewyobrażalną nienawiścią. To ostatnie, co pamiętam. Przerazona, zdołałam tylko wezwać boskie imię i zemdlałam.

Żegota uśmiechnął się krzywo pod wąsem. Pomyślał, iż pani Anna chyba jest z tych, którzy lubią nazbyt upiększać opowieści, byleby tylko wzbudzić zainteresowanie. Mało wierzył w upiora z czerwonymi oczami wyłaniającego się z mroku, ale powstrzymał się od komentarza. Bo cóż miałby rzec, nie wyjaśniając, że z własnego doświadczenia wie, iż prawdziwe zło, jeśli nadchodzi, to nie po to, żeby straszyć, ale by zabić? Mrok nie bawi się z człowiekiem, lecz pragnie go pochłoniąć. Tymczasem wszyscy uciekinierzy z Tarnawki wciąż żyli i dobrze się mieli. Inna więc musiała być natura zjawiska, które stało się ich udręką. Może i nadprzyrodzona, lecz nie pochodząca z piekielnych otchłani. Przynajmniej w tej chwili tak rozumował Nadolski, popijając wino i zerkając znad krawędzi kielicha na zasłuchaną żonę i wiercęcego się nerwowo w fotelu Sulatyckiego.

Stary rękodajny odczekał chwilę, a gdy nie usłyszał już nic więcej, podsumował:

– Chwała tedy Bogu, iż Bejda się w tamtą okolicę wybrał. Zaiste, niepojęte są wyroki Opatrzności, która nawet pohańcem tak potrafi pokierować, że prawowiernym chrześcijanom w potrzebie usłuży.

– Dziękować Panu Bogu – przyznała Podhorecka.

Westchnęła, spoglądając na bawiące się w kącie dzieci. Składając ręce na podołku, rzuciła zboląłym głosem:

– Lecz cóż my teraz pocniemy. Zima za pasem, a myśmy bez dachu nad głową zostali... Jakże nam tam wrócić po tym wszystkim?

– Nie troskaj się waćpani – pocieszyła Nadolska. – Mój mąż z pewnością jakąś radę znajdzie.

Spojrzała przy tym wymownie na małżonka, iż od razu poczuł się w obowiązku coś powiedzieć. Zmieszany nieco nagłym wywołaniem, chrząknął, nim oznajmił:

– Już rozmawiałem o tym z mężem waćpani. U nas zostaniecie ile trzeba. Jutro z rana do pana Siemieńskiego pojedę, aby rzecz mu objaśnić. Może i czego się dowiem o przyczynach owych dziwnych zdarzeń w Tarnawce. Pan Zbigniew to mój znajomy jeszcze z młodości, więc szczerze wszystko powinien mi wyjaśnić, jeśli ma jakieś przypuszczenia. Nadto jeszcze dwóch moich przyjaciół na święta zaprosiłem, którzy niejedno w życiu widzieli i niestraszne im takie zjawiska. Bądź więc dobrej myśli, droga sąsiadko, gdyż nie ma takiej rzeczy, której zaradzić by się nie dało. Grunt, że wyszłicie cało z opresji. Reszta jakoś się ułoży, choćby i trzeba było nowe domostwo wam wystawić. W razie potrzeby i w tym pomoc obiecuję.

– Bóg zapłać, mości Żegota! – wykrzyknęła młoda blondynka, spuszczając przy tym oczy ni to skromnie, ni to zalotnie. – Wiedziałam, że ktoś taki jak waćpan, doświadczony, na wszystko znajdzie radę... – uniosła wzrok, mrugając firanami długich rzęs – ...a i o odwadze waszmości głośno, więc nie lękacie się tego, czym ja, skromna białogłowa, jestem tak przerażona.

Skonfundował się nieco pochwałą pan Nadolski i zerknął na żonę. Ta posłała mu piorunujące spojrzenie, które jeszcze bardziej zdeprymowało siwowłosego szlachcica. Mruknął coś zdawkowo pod nosem, podnosząc się z miejsca. Wziął czapkę i skierował się ku drzwiom, usprawiedliwiając nagłe odejście gospodarskimi obowiązkami.

Pan Sulatycki zaś, choć stary, to wciąż przecie bystry jeszcze, uśmiechnął się pod wąsem, słusznie konstatując, iż tam, gdzie zbyt długo dwie młode niewiasty pod

jednym dachem przebywają, o zwadę nietrudno. Mężowi zaś, choćby i najlepszemu, niełatwo stłumić w sobie czułość na niewieście wdzięki. Tak to bowiem natura urządziła, bawiąc się ludzką ułomnością.



## ROZDZIAŁ V

### STANISŁAW POPIEL

Kopyta kruszyły cienką warstewkę lodu, jaki pokrył przesiąkniętą wilgocią ziemię. Konie zapadały się w mięsiste błoto, brnąc ospale drogą z Pastwisk do Tarnawki. Ziemia oblepiała nogi i tak ociężałych długotrwałym bezruchem w stajni zwierząt. Jakby zdziwione tym, że ktoś je wreszcie wyprowadził spod dachu, rozglądały się, parskając czasem nerwowo.

Po niebie wolno przesuwały się ciężkie jesienne chmury, przytłaczając swym ponurym ogromem. Choć nie padało, groziły z wysokości, napęczniałe od wody, której chciałyby się pozbyć. Nie dość widać było im potopu, który zgotowały ziemi ostatnimi czasy.

Nie spieszyło się Żegocie, który o brzasku wyjechał z domu, aby spełnić złożoną panu Podhoreckiemu obietnicę. Głowę zajętą miał najróżniejszymi rozmyślaniami. A to o stawidłach, które na nowo trzeba będzie stawiać, a to o uciążliwym kłopotcie z panem chorążym sanockim, a to wreszcie o codziennej nudzie, jakiej doświadczał, przesiadując całymi dniami we dworze. Wszystko to jednak jakoś z przymusem przemykało mu przez głowę, burzone natrętną myślą o młodej blondynce, która zamieszkała pod jego dachem. Choć złościł się sam na siebie, jakoś nie mógł pozbyć się obrazu żwawej kobietki, która świadomie bądź nie czarowała go trzepotaniem powiek albo też błyszczącymi jak iskierki spojrzeniami. Dziwnie mile łechtala go próżna myśl, iż chyba jeszcze nie całkiem skapcaniał, skoro młódka strzela do niego oczami. Rozsądek podpowiadał, że to tylko złośliwa wyobraźnia, ale diabeł co innego podszeptował do ucha.

Zezłościł się w końcu sam na siebie, przywołując w duchu Agnieszkę, której przecież nic nie mógł zarzucić. Kochał ją najbardziej na świecie, tak samo jak i malutkiego synka. Dlaczego więc umysł wodził go na pokuszenie, rojąc dziwne wyobrażenia? Jak może być tak, że chce się zrobić coś, czego właściwie się nie chce?

Prychnął gniewnie, oglądając się za siebie. Bardziej by wyładować złość niż z rzeczywistej potrzeby, warknął na jadącego z tyłu Semka:

– A ty co?! Wolniej się nie da?! Wleciesz się, jakby cię na szafot kto prowadził!

Pocztowy znał te pańskie wybuchy od lat. Wiedział, że mało są groźne. Dlatego wzruszył obojętnie ramionami, lekko tylko trącając konia dla pozorów posłuchu. Zbliżył się nieco, czym tylko jeszcze bardziej rozeźlił Nadolskiego. Szlachcic przypomniał sobie bowiem wszystkie zasłyszane plotki o swobodnych obyczajach pachółka, które jakoś same nałożyły mu się na własne rojenia o pani Podhoreckiej. Ukłuło go coś, jakby zazdrość owej wolności, z której łapczywie korzystał jego sługa. Dlatego, zakławszy, syknął wściekle:

– No! Znowu w nocy zajęcie miałeś, żeś taki nieżywy?!

Semko uniósł zdziwiony brwi. Z miną wyrażającą szczerą w najczystszej postaci mruknął:

– Co też jegomość mówi? Przecie w stodole spałem jak zwykle!

– Jak zwykle! – powtórzył szlachcic sarkastycznie. – A w domu to nie łaska?! Co! U matki i ojca ci źle?! Przecież nie każę ci w folwarku nocować! Ha?!

Pacholek podrapał się po głowie, przechylając odrobinę czapkę, co sprawiło, iż wyglądał na głupszego, niż był w rzeczywistości. Zrobił to specjalnie, wiedząc, iż w takich sytuacjach w obliczu gospodarza najlepiej nie wyglądać na zbyt bystrego.

– Ani źle, ani dobrze, jasnie panie. – W ostatnich słowach zabrzmiała lekka nuta ironii. – Zwyczajnie, jak to w chałupie na wsi. W razie potrzeby byłbym pod ręką.

– Tak, tak! – burknął Żegota. – Znam ja to twoje pod ręką! Czekać mi! Jak którą bez ślubu zbruchacisz, to sam cię na postronku przed ołtarz powiodę! Choćbyś i nie chciał! Zapamiętaj sobie!

– Co też jegomość? – obruszył się szczerze pocztowy. – Aż wstyd słuchać o takich zbereństwach!

– Słuchać ci wstyd, ale robić już nie! – odparował Nadolski.

Skrzywił się Semko, lecz nic nie odpowiedział. Dobrze znał swego pana i wiedział, iż nie byłoby zbyt mądrze wdawać się z nim teraz w dysputy. Widać gryzło go coś.

Aby zmienić temat, zagadnął Żegotę po chwili:

– Najpierw do Tarnawki zajedziemy?

– A gdzie byś chciał?! Po drodze przecież!

– Bo moglibyśmy później zajechać. – Wskazał na prowadzonego luzaka. – Po co konia męczyć i załadowanego do Międzyrzecza wieść, skoro i tak wracać tędy będziemy?

– Nie mędrkuj! – ofuknął go szlachcic i dodał łaskawszym tonem: – W tę stronę tylko popatrzeć podjedziemy, a wracając, rzeczy, co je pani Podhorecka wymieniła, w sakwy załadujemy. Baby jakieś znajdę, to im każę wszystko uszykować, żebyśmy sami nie musieli.

Pachołek uśmiechnął się, machając ręką.

– Aaaa... Gdzie tam kto teraz wejdzie do dworu. Już po śmierci pana Popiela z daleka omijali, więc po tym, co teraz było, to i kijem jegomość nie zapędzi.

– Jeszcze się zobaczy! – mruknął Żegota, choć sam niewielką miał nadzieję na posłuch w Tarnawce. Sądził, że nawet jak w oczy nikt mu nie odmówi, to gdy tylko odjedzie, pochowają się wieśniacy, nie zważając na polecenie.

Łypnąwszy na sługę, zapytał po chwili:

– A ty co? Też się boisz? No, powiedz, co tam ludzie po chałupach gadają, bo widzę, że cię aż język świerzbi.

Semko, niby to obojętnie, wzruszył ramionami.

– Gadają, co gadają. Ot, chłopskie bajania. A bać się babom przystoi, nie mnie, na wojnie bywałem.

– Mów, szelmo, zanim mnie rozsierdzisz! – ponaglił go gniewnie szlachcic.

Ani nawet nie wystraszył pachołka głos niby groźny. Zrównując konia z Nadolskim, pocztowy mruknął:

– Powiadają, że to pan Stanisław w domu został.

– Nieboszczyk w domu został?! – Żegota prychnął wzgardliwie. – Brednie jakieś! Dawno już na cmentarzu w Rymanowie pochowany!

– Brednie albo i nie brednie – zaoponował chłopak. – Jak kto nie wie, że nieżywy, to dalej u siebie mieszka i gniewa się, jak mu kto do chałupy wchodzi nieproszony.

– Aaa tam! – Nadolski w odpowiedzi machnął ręką. Nie zniechęcił tym jednak pachołka.

– Było jednego razu, że w Odrzechowej parobka, co świeżo po ślubie był, koń zabił. Z tyłu ogiera zaszedł, od zadu, to wiadomo. Zwierzę raz wierzgnęło i po wszystkim. Ani chłop pisnął, tylko trupem na ziemię padł...

– Co ty mi tu o parobku z Odrzechowej! – warknął szlachcic, przerywając towarzyszowi w pół słowa.

– Da mi jegomość skończyć, to wszystko objaśnię.

– No mów – zezwolił niechętnie Żegota.

– Więc trupem padł na miejscu. Pogrzeb był jak należy, grób z krzyżem na cmentarzu. Aż jednej nocy, ledwie trzy dni po pochówku, wyleciała wdowa z chałupy, wrzeszcząc, iż jej mąż wrócił i pod pierzynę włązi. Od razu ludzie gadać poczęli, że upiór, więc po księdza posłali, żeby wodą święconą mogiłę i domostwo skropił. Niewiele to pomogło, bo nieboszczyk nadal jak gdyby nigdy nic do swojej baby przyłaził. Mało! Powiadali, iż do chędożenia się zabierał, gdy spała. Umykała strwożona, a ten wściekał się i czym popadło po chacie rzucał. Poszli wreszcie ludzie po rozum do głowy i znachora z Barwinka sprowadzili. Przybył, posłuchał i rzecz całą objaśnił. Otóż jak kto nagłą śmiercią umiera, to czasem wcale nie wie, że nie żyje. Najsampierw taka dusza oszołomiona błąka się chwilę, a potem do codziennych obyczajów wraca i nie pojmuje, że strach wśród ludzi wzbudza. Im dłużej nie może po staremu na tym świecie żyć, tym w większą wściekłość wpada. Swój gniew wyładowuje, ciskając wszystkim, co się nawinie, tłukąc się i jęcząc. Bywa, że na bliskich nastaje, raniąc ich albo też nawet zabijając. Nie owej duszy wszakże to wina, tylko tego, iż nie wie, że w zaświaty jej trzeba.

Usta Nadolskiego wykrzywił złośliwy uśmiech. Pomiął jednak kąśliwą uwagę, tylko spytał:

– I jakże sobie ten znachor poradził?

– Kazał ów czarownik ubrać się owej babie w ślubny strój i czekać w nocy na męża. Kiedy tylko kołdrę zaczął unosić, zobaczył, jak odziana, i zdziwił się. A ta rzekła, jak jej znachor kazał, że na błogosławieństwo pora. Poprowadziła go wprost na cmentarz, gdzie jego grób był. On, chcąc do ślubu stanąć, musiał na nowo w ciało się przyoblec. Weszła tedy jego dusza do grobu i w trupa wniknęła<sup>50</sup>.

– I to wszystko? – Szlachcic się zaśmiał.

– No nie. Ludzie natychmiast po tym trumnę odgrzebali, nieboszczykowi jak trzeba łeb odcięli, plecami do góry go ułożyli, kołkiem przebili, no i skończyło się.

Żegota zmarszczył nos, przypominając sobie podobne praktyki z Zatwarnicy, które stały się przyczyną tragedii, a także dawny los swoich dzieci i żony. Dlatego zimnym głosem skwitował:

– Głupiś, ot co! Ciemnota i zabobon wkoło. Ciekawe, co ksiądz by rzekł na takie pogańskie praktyki?

Zdziwiony Semko uniósł brwi.

– A co miałby rzec? Przecie ksiądz tam był i we wszystkim uczestniczył. Wiadomo, że bez księdza by się nie obyło.

Nadolski pokręcił głową na takie dictum<sup>51</sup>, dziwując się, jak herezja miesza się tu, w ruskim województwie, z wiarą katolicką. Dziki wciąż był stan chłopski, choć przecie setki lat od wprowadzenia chrześcijaństwa minęły. Zresztą i szlachta często uczestniczyła w praktykach mało mających wspólnego z religią, a czasem nawet i osobom duchownym się zdarzało zbłądzić.

Nie patrząc w kierunku Semka, zapytał, aby się upewnić:

– Czyli że co? Pan Stanisław Popiel nie wie, iż martwy, i dalej u siebie gospodarzy?

– Może tak być. – Pocztowy poważnie skinął głową. Dla wyjaśnienia dodał: – Powiadają ludzie, że pijany umarł. Znaczy, na śmierć się zapił. Mało wtedy człowiek przytomny i niewiele z tego, co się dzieje, rozumie. Nawet gdyby kostucha nad nim stanęła, mógł nie pojąć, o co idzie. Tym więcej jeśli grzechy jakieś albo sprawy nieskończone na tym świecie go trzymały.

– Grzechy? O tym nadużywaniu trunków mówisz?

– To jedno – odrzekł pacholek. – Ale też mówili ludzie z Tarnawki, iż dawniej pan Popiel ze zbójami się zadawał i z bratem wśród Kozaków na Siczy całe lata spędził. Niemało pewnie krwi ludzkiej przelał. Zresztą... – Semko znacząco zmrużył oczy – ... skoro we dworze się obwarował, to czego się bał jak nie jakiejś ludzkiej pomsty za swoje dawne uczynki? He?

– Aaa tam! – Nadolski machnął ręką. – Mało to ludzi grzeszy? Spowiedź jest i pokuta, z których nawet i najbardziej zatwardziały złoczyńca może skorzystać. A że pił? A kto nie pije?

– Ja tam nie wiem. – Pacholek wzruszył ramionami. – Tak ludzie gadają. Zresztą o spowiedzi jegomość mówi, a pan Popiel to w kościele w ogóle nie bywał. Ani w Bukowsku, ani w Rymanowie. Księdza też nie przyjmował, jak zresztą nikogo innego. W domu całymi dniami siedział i pił, więc jak miałby grzechy odpokutować?

Siwowłosa szlachcic prychnął wzgardliwie na te słowa. Nie chciało mu się tłumaczyć słudze zawilości tyczących winy i odkupienia, po prawdzie też dlatego, iż

sam na tym nie bardzo się wyznawał. Bardziej czuł, niż rozumiał, że najważniejsze, aby człowiek samemu sobie grzechy odpuścił, tak jak to z nim w przeszłości było, aby móc na nowo się odrodzić. O tym jednak nie chciało mu się z pachołkiem gadać, bo raz, iż za przyzwolenie poufałości mógłby to poczytać, a dwa, nie miał Żegota zbytnej wiary w lotność chłopskiego umysłu, chociaż Semko bywał z nim przecież na wojnie i dobrze swoje powinności spełniał. Nie był jednak szlachcicem, któremu natura z samego przyrodzenia więcej rozumu i innych cnót dawała. Pan Bóg, dzieląc ludzi, wiedział, co robi, każdy więc swojego stanu powinien się trzymać, a chłop, choćby najlepszy, zbędnym mędrkowaniem nie powinien próbować naginać odwiecznych reguł. Tym bardziej zaś przekonywać mędrszych od siebie do swoich racji.

Ponaglił konia, dając tym znak, iż skończona rozmowa. Zresztą najwyższy czas już był na to, gdyż zza drzew wyłaniać się poczęły pierwsze chałupy Tarnawki.

Przysiółek był mały i ubogi. Ludzie najwięcej zajmowali się wypasem owiec, a także żyli z hamrów<sup>52</sup>. Ziemi zdatnej pod uprawę mieli niewiele, i tak w większości należącej do folwarku. Biednie mieszkali pomieszani ze sobą Rusini i Polacy, nie wadząc się zbyt, zjednoczeni swym wspólnym ciężkim losem. Podobnie zresztą bywało i w innych okolicznych miejscowościach. Chwalić Boga, mało tu jeszcze docierały niesnaski religijne, najpewniej z tej przyczyny, że do księdza i do popa było stąd wieśniakom nie bardzo po drodze.

Żegota z pachołkiem przejechali pomiędzy chałupami, kierując się ku widocznemu z daleka dworkowi. Pozornie prawie nikt nie zwracał na nich uwagi. Ot, czasem podszedł ktoś do plecionego płotu albo łypnął z zydelka stojącego pod ścianą domostwa. Dobrze wiedział jednak doświadczony szlachcic, iż w rzeczywistości śledzą ich dziesiątki czujnych oczu, które z lękiem wypatrują, co też może oznaczać ta nagła wizyta. Chłopi wnosili bowiem zwykle, iż przyjazd kogoś spoza ich małego świata nie zapowiada nic dobrego. A przecież najbardziej pragnęli, aby wszystko szło zwyczajnie i niezmiennie, zgodnie z odwiecznym rytmem. To, co nowe, zakłócające go, mieszające ocieżała, zdawałoby się, codzienność, brali za dopust boży. Myliłby się jednak ten, kto nie dostrzegałby wewnętrznego ognia pod tą stwardniałą skorupą przyzwyczajień. Choć skryty, tlił się niezmiennie, gotów wybuchnąć, jeśli ktoś pokusiłby się, żeby zakłócić prastarą równowagę pomiędzy panem i poddanym. Dlatego właśnie, choć żyli razem, oddzielnie trzymali się herbowi od chłopstwa, podświadomie czując, iż nikomu nic dobrego nie może

przyjść z tego, gdyby przeniknęły się nawzajem szlachecka fantazja z uporem i zawziętością włościan. To jednak, co tu jeszcze trwało stabilnie, rozpadało się już gdzieś daleko, na wschodzie, wśród Dzikich Pól i Kozaków. Tam gdzie wszystko pomiędzy ludźmi było mocniejsze i bardziej jaskrawe, wyrastało nowe, które kiedyś miało roznieść po Rzeczypospolitej pożogę, jakiej ten kraj nigdy dotąd nie doświadczył. Na razie rzadko jeszcze zdarzały się lokalne ruchawki, lecz były niczym pierwsze krople zapowiadające ulewę.

Domostwo Podhoreckich stało nad małym stawem o brzegach zarośniętych zeschniętymi trzciniami. Ani było umocnione, jak często bywało, ani też okazałe. Ot, wyróżniająca się, nieco większa i gontem kryta chata, z gankiem obszernym, jakby dla podkreślenia tym szczegółem, iż jest czymś lepszym od włościańskich zabudowań. Był tu już kiedyś Żegota, zanim na wojny pojechał, stąd pamiętał skromność szlacheckiego obejścia w przysiółku Tarnawka. Od tamtej pory jeszcze bardziej podupadł dworek, gdyż ani się nim pan Popiel nie zajmował, ani też Nanowski, a Podhoreccy nie zdążyli niczego poprawić. Osiadł mocniej w ziemi, stając się krępy i przysadzisty, zawisł nisko krawędziami dachu, a i dawną biel stracił, szczególnie teraz, ochlapany jesiennymi deszczami oraz błotem.

Także inne budynki nie lepsze sprawiały wrażenie. Smętne, wilgotne, nierzadko ze źle położoną strzechą, jakby naprędce utkaną dla załatania dziur. Podwórze pomiędzy nimi, wydeptane i mokre, dopełniało posępnego obrazu.

Nieraz widział Żegota takie ni to folwarczki, ni to zwykłe gospodarstwa, niczym duże obejścia chłopskie. O ileż lepiej wyglądała teraz jego Wygnanka, choć przecież nie większa od Tarnawki ani też bogatsza. Była jednak jego własna, stąd chuchał na nią i dmuchał co dnia. Dobrze pamiętał, w jakim stanie ją zastał, kiedy rządził tam Trofan Skóra, co się pod ród Sulatyckich podszywał. Nigdy bowiem dzierżawca nie będzie lepszym gospodarzem od właściciela, jako że bardziej o doraźnym zysku myśli niż o przyszłości.

Jakiś obdartus wylazł ze stajni, ale zobaczywszy obcych, natychmiast na pięcie się odwrócił i zniknął za krzywymi drzwiami. Zawołał za nim Żegota, ale chyba na próżno, gdyż już się parobek nie pojawił. Nadolski zaklął, nie zamierzając jednak poniżyć się do samodzielnego szukania jakichś pachołków i bab. Zamiast tego rzucił Semkowi:

– Konie przywiąż i znajdź mi kogo, komu rozkazy wydam. Jakby się wzbraniał, to nawet za łeb przywlecż na ganek. Ja do dworu zajrzę. Szczęściem cały stoi i nie

widać, żeby kto go plądrował.

Pocztowy skinął głową, odjeżdżając w kierunku zabudowań, gdzie zniknął parobek. Żegota zaś ruszył wprost ku domostwu, w którym ponuro ziały otwarte drzwi.

Zeskoczył z konia w lepką maź podwórza. Podeszwy zapadły mu się głęboko w rozmięktą ziemię. Kiedy prowadził wierzchowca ku belce do wiązania koni, słyhać było równomierne mlaśnięcia błota, a oblepiane nim buty stawały się coraz cięższe. Pociemniała zawilgocona skóra baczmagów, pokryta teraz kropelkami brudu. Nie zwrócił jednak na to uwagi Nadolski, który rozglądał się z zainteresowaniem po obejściu.

Okna dworku, przynajmniej te widoczne, były wybite, ziejąc ciemnymi otworami z znaczonymi gdzieniegdzie odłamkami szkła. Drzwi uchylone, pewnie pozostawione tak, jak w nocy, kiedy Podhoreccy uciekli. Nie było w tym domostwie żadnego śladu życia. Im dłużej przyglądał mu się siwowłosey szlachcic, tym bardziej ogarniało go irracjonalne przygnębienie, przywodzące smutne myśli o śmierci i końcu. Nisko pełznące chmury tylko wzmagaly to posępne odczucie.

Zaczerpnąwszy powietrza, Żegota pokręcił głową, odganiając złe myśli. Zmusiwszy się do żwawego kroku, prosty jak struna i z zadartą brodą, przeszedł ku gankowi, rozchlapując gwałtownymi stąpnięciami płytkie kałuże. Rozbiegły się na to wałęsające się gdzieniegdzie przemokłe kury, nieprzyzwyczajone widać do energiczności dwunożnych istot. Pochowane po kątach gdakały teraz nerwowo, kręcąc łebkami i zerkając na człowieka raz lewym, raz prawym okiem.

Mocno tupiąc dla otrzepania obuwia z błota, szlachcic wszedł po czterech stopniach na drewniany ganek. Skrzywił się, widząc tu i ówdzie zielone smugi na próchniejących miejscami belkach. Niezbyt widać dbał gospodarz o urodę domu. U siebie Żegota nie dopuściłby do czegoś takiego, gdyż jego zdaniem nawet ubóstwo nie zwalniało nikogo ze schludności.

Przystanął, wpatrzywszy się w ciąg szerniałych kropel i linii, w których łatwo rozpoznał zakrzepłą krew. Sporo musiało się jej połączyć z ranionej głowy pana Mikołaja, o czym zresztą świadczyły też rdzawe ślady odbitych na drzwiach palców. Zaiste mroczne sprawiał wrażenie ów obraz wsiąkniętej w drewno posoki, przypominając Nadolskiemu wojenny czas, kiedy to wchodził przez podobnie splamione wejścia i wiedział, iż zaraz natknie się na trupy mieszkańców. Choć tym razem nie musiał się tego obawiać, przeszedł mu po plecach nieprzyjemny dreszcz,



a lewy kącik ust opadł niżej, jak zwykle się działo, kiedy czuł zdenerwowanie. Tylko to było nikłą oznaką emocji, gdyż poza tym pewnie przeszedł do drzwi, a następnie odchylił je gwałtownym szarpnięciem.

Podłoga w sieni pokryta była odłamkami szkła i kawałkami rozbitych naczyń. Pomiędzy nimi walały się jakieś wydarte nie wiadomo skąd kartki i pierze. Wszystko pomieszane ze sobą, obficie pokryte kroplami krwi.

Przechodząc przez próg, Żegota odgarnął butem jakiś większy kawałek potłuczonej misy. Ten, kręcąc się, zabrzączał głucho, by powoli, utraciwszy impet, znów zastygnąć. Pod płaskimi podeszwami baczmagów nieprzyjemnie zachrząściło rozgniatane szkło.

Kłująca w uszy cisza wzmagala poczucie niepokoju. Żegota z trudem odganiał uporczywą myśl, że ktoś lub coś wpatruje się w niego gdzieś z głębi domostwa. Choć żaden dźwięk nie dawał podstawy do takiego przypuszczenia, przenikało on jednak szlachcica na wskroś, zmuszając do czujności.

Przeszedłszy sieni, zerknął na lewo, gdzie była kuchnia. Pomieszczenie zdawało się najmniej dotknięte przez wściekłość zagniewanego ducha, gdyż tylko kilka garnków leżało na podłodze. Czyste i w miarę schludne, dawało obraz, jak wyglądał porządek wewnątrz dworku przed niedawną apokalipsą.

Zupełnie inne wrażenie sprawiały pomieszczenia na wprost i na prawo. Tam ani żaden mebel, ani żaden drobiazg nie pozostały na swoim miejscu. Porozrzucane były wszystkie rzeczy w jakimś niepojętym wręcz kłębowisku. Nawet ciężkie szafy walały się powywracane i na poły opróżnione z zawartości.

Nadolski, wspominając opowieść Podhoreckiego, zastanawiał się, jaka siła zdolna byłaby w tak krótkiej chwili obrócić domostwo w perzynę. Czasem nawet po najeździe tatarskiego czambułu lepiej prezentowały się dworki niż ten w Tarnawce. Wyglądało jednak na to, że nic z niego nie zrabowano. Leżały bowiem na deskach podłogi srebrne świeczniki, broń ozdobna czy drogie suknie pomieszane z podartą pościelą, zerwanymi ze ścian makatami i wszelkiego rodzaju naczyniami. Uśmiechnął się Żegota, pomyślawszy, iż strach przed nadprzyrodzonym czasem stanowi najlepszą ochronę przed kradzieżą. Chłopi zwykli bowiem do cna ogołacać opuszczone przez panów dworki, nie zaniebując żadnej okazji do wzbogacenia się. Tu zaś dom wyglądał najpewniej tak, jak w chwili, kiedy nocą z podwórza odjechała kolebka.

Przeszedł po pokojach, omijając kłębowiska splątanych drobiazgów. Czasem schylił się, aby coś podnieść i odłożyć na bok, choć żadnego tym nie czynił porządku. Był to raczej odruch niż świadome działanie. Spędziwszy tak kilka minut, przystanął i rozejrzał się. Nadal panowała cisza. Nic się nie działo. Wzruszywszy więc ramionami i prychnąwszy wzgardliwie, skierował się na powrót ku gankowi. Sam nie wiedział, czego się spodziewał, lecz to, co zobaczył, nie wzbudziło w nim przerażenia. Raczej zrodziły się w umyśle Żegoty kolejne pytania, na które nie znajdował odpowiedzi.

Zatrzymawszy się za progiem sieni, spoglądał chwilę na Semka, który prowadził odnalezionego pachółka, trzymając go za kark. Jakoś niespieszno było chłopu w kierunku dworku, gdyż machał rękami, protestując. Niewiele mu to pomagało, więc spotulniał, szczególnie od momentu otrzymania dwóch czy trzech kopniaków w zadek. Nadolski westchnął i zrobił trzy kroki w przód, stając na krawędzi drewnianych schodków. Ująwszy się pod boki, czekał, aż pocztowy sprowadzi mu przed oblicze wieśniaka. Kiedy tak się stało, a rozczochrany sługa Podhoreckich skłonił się niezgrabnie, gestem przerwał mu siwowłosy szlachcic ledwie zaczętą skargę na brutalność Semka.

– Jak cię zwą? – rzucił tonem, który miał jasno dać do zrozumienia, że żartów nie będzie.

– Wasyl. – Parobek pokłonił się ponownie, znów podnosząc lament: – Ja tu w stajni bydłom żreć daję, a ten... – wskazał ręką na stojącego obok Semka – ...znienacka mnie...

– Cicho! – przerwał mu Żegota.

Umorusany chłop z resztkami słomy we włosach zamrugnął nerwowo. Zlustrowawszy go, Nadolski od razu poznał, że pocztowy musiał go wywlec z jakiegoś kąta, gdzie skrył się niecnota, licząc, iż zostanie niezauważony. Nie wiedział, że pachółek Żegoty nielicze ma doświadczenie w szukaniu po obejściach ludzi i dobytku, czego na wojnie się nauczył, a to po spyżę<sup>53</sup> jeżdżąc, a to dla siebie czasem coś zabierając. Szczególnie w czasie służby Nadolskiego u lisowczyków wprawy w tym nabrał, czemu zresztą trudno się dziwić, gdyż w tej kompanii tyle ludzie mieli dla siebie, co innym ukradli<sup>54</sup>.

– Jest tu ktoś jeszcze prócz ciebie?

– Nie, panie.

– Żadnej dziewczki? – upewnił się Nadolski.

– We wsi są.

– A kto dobytku pilnuje?

Wasył skrzywił gębę, rozkładając ręce. Nic nie rzekł, bo też nie miał nic do powiedzenia na tak zadane pytanie. Zezłościł się tym Żegota. Zmrużywszy oczy, mruknął złowrogo:

– Tedy słuchaj mnie, Wasył. Polecisz teraz do wsi i sprowadzisz te baby, co we dworze służą. Kazesz im tu przyjść i porządek zrobić. Odzienie pani Podhoreckiej i jej męża w jedno miejsce złożycie, bo zabiorę je im, kiedy będę wracał. U mnie są teraz, w Wygnance, więc blisko. Jak co z dworu zginie, to ciebie najpierw wypytam, gdzie się podziało, a pytać... – zawiesił na chwilę głos – ...to ja umiem.

– A cóż też, jaśnie panie! – Wieśniak zamachał gwałtownie rękami. – Przecie nikt mnie nie usłucha! Jakże co zginie, jak do środka nikt nie wejdzie, choćby go wołami...?

– Po południu zajadę! – przerywał brutalnie Żegota głuchy na tłumaczenie parobka. – Do tego czasu porządek jaki zróbcie. Ty okna zakryj albo deskami zabij, żeby do środka się nie lało, i drzwi porządnie zawrzyj. A jeśli zobaczę, że się nie wywiązałeś, to sam ci skórę wygarbuję. Rozumiesz?!

– Co mam nie rozumieć. Ino że złe...

– Ruszaj, zamiast po próżnicy gadać!

Warknięcie Nadolskiego natychmiast uciszyło chłopca. Odwrócił się na pięcie i pognął ku bramie, prawie że gubiąc łykowe chodaki.

Semko, machnąwszy głową za znikającym parobkiem, nie powstrzymał się od komentarza:

– Przecież jaśnie pan wie, że nic z tego nie będzie. Zniknie i tyle go będziem widzieli. Nawet w to, że mu Wasył, mało wierzę. Szczwany parobek, tylko udaje głupiego. Dobrze się schował, ledwo go odkryłem. Pewnie już nowej kryjówki szuka.

– A co?! – odburknął ze złością Żegota. – Pilnować mam?! Z nim po chałupach latać? Samemu bab szukać?!

Zmarszczył nagle czoło, wpadłszy na pewien pomysł. Uśmiechnął się. Tak popatrzył na pocztowego, iż ten bez słów go zrozumiał. Teraz to on, jak uprzednio

Wasył, zamachał rękami, łapiąc powietrze. Nie zdołał nic wykrztusić, kiedy Żegota wycedził:

– No, to ty tu popilnuj porządku, jakeś taki mądrała! Dalej, podjedź za nim i baby sprowadź! Ja po południu będę! Wiesz, co robić, boś słyszał!

– Ale jakże...?

– Zwyczajnie, dasz radę – uciął Nadolski. – Tymczasem do pana Siemieńskiego podjadę. – Uniósł brwi. – Coś nie tak? Polecenia nie pojąłeś?

Pocztowy fuknął coś pod nosem, rozglądając się niepewnie. W końcu machnął zrezygnowany ręką i odwrócił się na pięcie. Dobrze wiedział, co znaczy rozkaz. Nie miał ochoty po próżnicy strzępić języka. Ująwszy wodze, poszedł przed siebie. Zza pleców dobiegł go jeszcze krótki, urwany chichot, a potem wolno zamlaskały w błocie końskie kopyta. Szlachcic odjeżdżał w swoją stronę, zostawiając pachółka z problemem. Zwykle tak bowiem bywa, iż jeśli ktoś może się kim wyręczyć, to chętnie z tego korzysta.

Samotnie ruszył Nadolski brzegiem Wisłoczka, na lewo mając zalesiony Szczob, a na prawo Wierch Tarnawski. Znał te tereny od dziecka, więc jechał bez obaw, niewiele się dookoła rozglądając. Nic zresztą szczególnego nie było w wilgotnym, ponurym krajobrazie jesiennych wzniesień. Nawet zielone sosny przygasły, ciężkie od wody. Wiły się pomiędzy nimi białe opary mgły niczym pleśń. Wzmagał to odczucie drażniący zapach gnijących liści i błota.

Dojechawszy do miejsca, gdzie potok się rozwidłał, Nadolski skręcił na południe. Rozpostarły się przed nim pola Międzyrzecza, puste i ciemne od zaoranej ziemi. Pomiedzy bruzdami skib stała gdzieniegdzie mętna woda, której nie mogła już przyjąć napuchnięta od deszczu ziemia. Szczęściem droga przez zagony, twarda od wyrzucanych na nią kamieni, zdatna była jeszcze do jazdy wierzchem. Kolebka jednak ani też wóz chłopski z pewnością nie zdołałyby tędy przejechać. Łatwo było pojąć, dlaczego Podhorecka kazała tamtej nocy jechać w kierunku Pastwisk. Tu ugrzęzłaby z rannym mężem na długie godziny, a iść pośród błota po omacku nie byłoby najlepszym pomysłem.

Minąwszy kilka chałup, skręcił nieco, gdyż dojrzał już zabudowania folwarku Siemieńskich. Zerkając w tamtą stronę, musiał przyznać, iż zacnie mieszkał sobie pan Zbigniew, który też miał z czego pozwolić sobie na solidne, na dodatek niezłe obwarowane domostwo. Trudno zresztą byłoby się dziwić tym umocnieniom, skoro

i beskidnicy czasem tu zaglądali, a także chłopci mogli nabroić. Wszak całkiem niedawno włościanie z Odrzechowej napadli na Posadę i Olchowce. Głośna to była w okolicy sprawa, szczególnie że rządcę Herbertowskiego ubili i armatę skradli<sup>55</sup>.

Koń z mozołem piął się pod górę, czasem ślizgając się na błotnistej ziemi. Szczęściem podjazd do folwarku był jeszcze lepiej umocniony kamieniami niż trakt pomiędzy polami, co z każdym krokiem ułatwiało wędrówkę. Można już było rozróżnić belki palisady otaczającej dwór, a nawet dostrzec czerniejące w bramie ćwieki. Wjazd był uchylony, nie trzeba więc było wołać pachółka na bramę i opowiadać się, kto i po co zajechał.

Dotarłszy przed wrota, Żegota poprawił zawilgły kołpak, nawet nie usiłując zaradzić smętnemu wygięciu czaplich piór przypiętych broszą. Musiał przed sobą przyznać, iż pewnie nie prezentował się zbyt okazale, szczególnie w ubłoconych buty i delii<sup>56</sup>. Zważywszy jednak na aurę, można było usprawiedliwić przed sąsiadami ów niedostatek.

Nabrał powietrza w płuca i zadzierając głowę, przejechał przez bramę, zerkając od razu za jakimś pachółkiem, któremu mógłby oddać konia. Zwierzę zgłodniało już, a wietrzące nozdrza świadczyły, iż marzy o wypoczynku pod dachem. Rozleniwił się ostatnio Nadolskiemu wierzchowiec, łatwo przyzwyczajając się do sielskiego życia. Dawniej bez skargi dzielił z panem wojenne trudy. Tak to jednak jest u ludzi i zwierząt, iż do wygody szybko się przywyka, a znoju z całych sił stara się uniknąć. Ciepło i strawa tak samo bowiem człowiekowi, jak bydłom służą.

Zauważywszy kręcącego się po dziedzińcu chłopaka, gestem przywołał go ku sobie, podjeżdżając pod wystawny ganek. Lekko zeskoczył z siodła, stając na solidnych płaskich kamieniach. I o tym pomyślał zapobiegliwy gospodarz, aby uniknąć nieporządku wokół domostwa. Przyznał w duchu siwowłosa szlachcic, że pan Siemieński umiał zadbać o obejście. Nie spodziewał się tego, bo z młodości pamiętał go bardziej jako utracjusza i hulakę, nie bardzo garnącego się do roli. Ponoć jednak posłużyło mu małżeństwo i nauczyło porządku. Tak przynajmniej plotkowali ludzie w okolicy.

Z pozorną niedbałością znamionującą wyniosłość, gość oddał wodze parobkowi, polecając mu zająć się ogierem. Sam stuknął kilkakrotnie butami otrzepując je z błota, dłonią zmiótł z płaszcza kropelki brudu, podkręcił węża i pewnym krokiem postąpił przed siebie, wchodząc na kamienne schody. Zanim zdążył wejść na ostatni stopień, otworzyły się drzwi dworku. Stał w nich okazały, tęgi szlachcic w jedwabnym

żupanie zdobionym złożonymi pętlcami. Zmrużył krótkowidzące oczy, przypatrując się przybyszowi, by zaraz zakrzyknąć, otworzywszy ramiona:

– Mości Nadolski! Sąsiedzie! Góra z górą, jak to się mówi! Zachodźże, panie kochanku! Rad jestem cię widzieć! Akurat do obiadu się szykuję, a tu taki gość! No!

Bezceremonialnie objął Żegotę, poklepując przyjaźnie po plecach i całując staropolskim zwyczajem w oba policzki. Cóż było robić. Gasząc wrodzoną powściągliwość, gość odwzajemnił przyjazny gest, uśmiechając się szeroko, jak nakazywała grzeczność. Zaraz też, ujęty pod ramię, prawie że siłą pociągnięty został przez Siemieńskiego do środka.

Poprowadził go gospodarz przez sień i korytarzyk za nią, zdobiony drogimi makatami na ścianach, aż do obszernej jadalni. Jeden rzut oka starczył Żegocie, aby rozpoznać dostatek. Pięknie belkowany strop malowany roślinnym ornamentem wisiał nad obszerną komnatą pełną rzeźbionych mebli, wśród których wyróżniały się pod ścianami szerokie skrzynie okryte futrami zwierząt. Stół duży, nawet i dla dwunastu osób zdatny, przykryty świeżym obrusem, a na nim srebrna zastawa, z której najwyraźniej mieszkańcy zwykli posiłki spożywać. Ujrzał też dwie kobiety, młodą i starą, obydwie równie natarczywie świdrujące go wzrokiem.

Wypiął dumnie szeroką pierś Siemieński, widząc w oczach gościa zmieszanie i coś, co za podziw poczytał. Dla zwiększenia wrażenia gestem wskazał na ściany, oznajmiając:

– Skromnie tu sobie żyjemy, ale rodzinnie. A i o przodkach pamięć mam, bo kazałem niedawno swych dziadów i ojców mistrzowi malarskiemu, który na zamek do Sanoka zajechał, zręcznie odmalować, co też waćpan widzisz. O tu... – skierował palec ku jednemu z obrazów – ...ojciec mój, świętej pamięci Mateusz Siemieński, jak żywy. Nieprawdaż? Znałeś go, panie kochanku, więc sam oceń.

Z uprzejmości skierował Nadolski wzrok na konterfekt<sup>57</sup>, wpatrując się w surowe rysy oddane sztafpowo olejną farbą. Pokiwawszy głową, pochwalił:

– Jak żywy, zaiste. Niezwykle kunsztownie ujęty.

Tymczasem zmieszany gospodarz, jakby nagle przypomniawszy sobie o obyczajnych regułach, zakrzyknął, uderzając się w czoło:

– Ale co też ja o malunkach gadam, kiedy sprezentować waszmości moim paniom trzeba! Wszak nie poznałeś ich jeszcze! To, moje miłe, mój druh z młodych lat, żołnierz zawołany, ongiś towarzysz pancerny, pan Żegota Nadolski z Wygnanki herbu

Bojno. A to... – skłonił się w kierunku matrony – ...moja umiłowana małżonka, pani Maryna Siemieńska z Popielów, i córka... – tym razem ruch głowy był prawie niezauważalny – ...Jadwisia. Syna mojego, Marcina, nie zastałeś waćpan, bo w Krakowie w akademii nauki pobiera... – Nie dokończył, dumnie podkreślając węża i mlaszcząc znacząco.

W istocie sporo kosztowała go ta nauka spadkobiercy, ale nie szczędził na nią, licząc, iż w stolicy<sup>58</sup> pozna odpowiednich ludzi, którzy w przyszłości splendory mu wyjednają i urzędy.

Nisko pokłonił się siwowłosy gość, czapką zamiatając prawie po podłodze. Rzekł przy tym grzecznie:

– Rad jestem poznać waćpanie, z góry o wybaczenie prosząc za swoją niezapowiedzianą wizytę. Chwilę tylko pragnąłbym zająć jegomości, a potem do siebie mi pora. Niedługo zabawię.

Zerknął spod brwi ku milczącym kobietom, lecz żadnej ani trochę nie zmienił się nieprzyjemny wyraz twarzy. W duchu przyznał Żegota, iż jedna w drugą były wyjątkowo do siebie podobne, a przy tym także wyjątkowo brzydkie. Z licami nienaturalnie długimi przywodziły swymi obliczami na myśl konie albo też mniej szlachetniejsze osły, jeśli zważyło się na sztywne szare włosy wyłazące spod czepka pani domu.

Odsłonił Nadolski zęby w krzywym uśmiechu, wierząc, iż tym zdoła wywołać jakiś grymas na martwych obliczach, ale się przeliczył. Panie bez słowa popatrzyły po sobie, a potem, jakby nigdy nic, ostentacyjnie sięgnęły po odłożone na moment sztucce.

Zmieszał się tym przejawem lekceważenia pan Zbigniew, bo też trudno byłoby go nie dostrzec. Nie skarcił jednak kobiet gospodarz, zamiast tego rzucając do Żegoty:

– Co też, acan, panie kochanku! Z nami do posiłku siadaj, bo z pustym żołądkiem, jakem Siemieński, waćpana nie puszczę!

Zawisła na moment łyżka pani Maryny nad talerzem zupy. Przeszyła męża piorunującym wzrokiem, lecz żadne słowo nie padło.

Czerwony na gębie zrobił się pan Siemieński, oczami po podłodze wodząc. Mimo niemej przygany cichszym głosem dodał:

– Siadajże, waszmość, panie kochanku... Siadaj.

Zagrała w siwowłosym szlachcicu rogata dusza, aż przeszył go w myślach chichot złośliwy. Szczercząc wciąż zęby, ostentacyjnie rzucił brudną delię na jedną ze skrzyń, a potem bezczelnie usadowił się naprzeciw młodej panny, która spurpurowiała na taki afront. Tym większy, iż uporczywie wpatrywał się w nią nieproszony gość, jakby niepohamowaną ciekawością wiedziony. Nie przystawało dziewczynie znosić takie zachowanie, więc zastygłszy nad stołem, zerknęła ku matce, u niej szukając pomocy. Ta, poruszywszy kilkakroć pomarszczonymi ustami, wycedziła sucho:

– Aść ten jesteś, który panu chorążemu Stano z długiem zalegasz? Czyż nie?

Celne było uderzenie, gdyż zatchnął się Żegota, nabierając nosem powietrza. Zamrugął nerwowo powiekami, odpuszczając córce gospodarzy. Przez zęby wycedził jadowicie:

– Zalegam albo i nie zalegam, waćpani. Tego, co pan chorąży sanocki twierdzi, przed sądem dowieść trzeba. Żadna egzekucja na mnie nie ciąży.

– Tak, tak... – Niby to obojętnie pokiwała głową matrona. Wracając do posiłku, jakby od niechcienia stwierdziła: – Gdzie te czasy, kiedy uczciwość bez sądów się obywatela i szlachcica szlachcicowi jak brat był... – Westchnęła znacząco, udając zafrasowanie, a potem siorbnęła zupy.

Wiedział nadto dobrze Nadolski, co miała na myśli. Powstrzymał się jednak od riposty, dostrzegając proszący wręcz wzrok gospodarza, który sadził się naprzeciw swej małżonki. Nie po to zresztą tu przyjechał, aby w niepotrzebne dysputy się wdawać. Dlatego, spokojnym już głosem, odrzekł:

– Ja pierwszy do zgody jestem gotów rękę wyciągnąć i z panem Jerzym się ułożyć, jeśli taką wolę wyrazi. Może za pośrednictwem waćpani... – skłonił się ku gospodyni – ...jakoś się to uda. Na razie zaś pan chorąży dowodu nie ma na mój dług, o czym też stoi w oblatowanym<sup>59</sup> w grodzie liście królewskim. Nie o tym jednak mówić, za pozwoleniem jejmości, przybyłem, a mniemam, iż im prędzej rzecz całą wyłożę, tym bardziej będziesz pani ukontentowana. Nieprawdaż?

Wbił pytający wzrok w panią Marynę. Ta, zawahawszy się przez sekundę, odłożyła po chwili łyżkę. Skinęła panu Zbigniewowi głową, jakby dając przyzwolenie. Odetchnął na to z ulgą gospodarz, a Żegota pewnośc już miał, kto rządzi naprawdę w tym domu.

Chrząknął, zasłaniając przez moment usta pięścią. W tym czasie cicha służka postawiła przed nim talerz i sięgając nad ramieniem, nalała piwnej polewki



z serem<sup>60</sup>, którą się raczono. Gestem odprawiona przez gospodynię, dziewczka zniknęła niemal natychmiast, drobno przebierając nogami. Żegota zaś nawet nie sięgnął do łyżki, ostentacyjnie odwracając głowę ku panu Zbigniewowi.

– Przyjechałem do waćpana na prośbę dzierżawcy waszego z Tarnawki, pana Podhoreckiego, który teraz u mnie w Wygnance gości. Sam pan Mikołaj nie mógł waści odwiedzić, jako że niemocą złożony wypocząć nieco musi.

Siemieński zmarszczył brwi. Łypnął podejrzliwie małymi ślepkami z nalanej nieco twarzy. Pogładziwszy się po policzkach, odrzekł ostrożnie:

– A tak... Donieśli mi już chłopci, że wystraszony z rodziną z domostwa uciekł. Nawet dziś wieść dostałem, że u waszmości, panie kochanku, się zatrzymali. – Zawiesiwszy na kilka sekund głos, uśmiechnął się nagle, klepiąc się w uda. – No to jak, mości Żegota? Kiedy pan Podhorecki wróci folwarku pilnować? – Zmrużył oko. – Bo chłopów zostawić bez należytego nadzoru to jak w stodole ogień krzesać. A ja nie po to dzierżawę uczyniłem, żeby teraz samemu... – Machnął znacząco palcami. – Acan rozumiesz.

Pokiwawszy głową, Nadolski odpowiedział:

– Mniemam, że teraz wykurować się pan Mikołaj musi, bo srodze w głowę raniony. Najmniej do świąt zejdzie, albo i dłużej nawet. Tym więcej że pani Anna, jego małżonka, obawia się do Tarnawki wrócić po tym, co ich tam spotkało.

– Do świąt?! – Pan Zbigniew gwałtownie zamachał rękami. – Jakże to?! Wszak listopad dopiero, a ty mi waszmość powiadasz, że dalej jak za miesiąc?! Nie może być! Rozumiem tydzień! Dwa nawet! Ale tak?! Samopas chamów zostawić?! O, niedoczekanie! Ja sam...! Ja sam mogę...! – Odetchnął kilkakrotnie szybko, opanowując wzburzenie. Zmierzony zimnym spojrzeniem pani domu, spuścił wzrok na stojący przed nim talerz. – Cóż takiego niby ich we dworze spotkało? Co? Słyszałem, że jak uprzednio Nanowski o upiorze głoszą. Ha? Powiedz mi, panie kochanku. Cóż takiego się stało?

Siwowłosy gość wzruszył ramionami.

– Tyle wiem, że pan Mikołaj ranny, a we dworze wszystko do góry nogami wywrócone. Jadąc tu, wstąpiłem i na własne oczy widziałem. Mówi pani Podhorecka, że w tym domu nie sposób mieszkać.

– Taaa! – skwitował pan Siemieński. – Czyli że co? Nowy im mam postawić?! Ha?! Panie kochanku!

Pochylił się gwałtownie ku Żegocie, zniżając głos:

– Przyszedł już kiedyś Nanowski z taką skargą. Raz, że mu śmierdzi. Zęby zacisnąwszy, wyłożyłem grosz na zmianę podłóg i okadzenie domu. Ale wciąż niekontent był. Księża mu więc sporym kosztem sprowadziłem, żeby modły odprawił. I to mu mało było. Drugi raz przyjechał, żeby mu nowy dwór stawiać... – Odchylił się w krzesło, rozkładając ramiona, aż zatrzeszczały guzy żupana na jego wydatnym brzuchu. – A ja co niby?! Krezus jaki jestem, żeby zachcianki dzierżawców spełniać?! Swoich wydatków nie mam?! To oni dla mnie są, a nie ja dla nich! Jest czynsz dzierżawny i umowa! Tego niech się trzymają! A jak nie, to fora ze dwora! – Machnął wymownie ręką, prawie strącając srebrny kubek.

Zacisnąwszy usta, Nadolski skubnął wąsy, by zyskać chwilę i co mądrego odpowiedzieć. Wtenczas usłyszał spokojny głos Maryny Siemieńskiej.

– Mąż mój nadto żywołowio rzecz waćpanu objaśnił, lecz swoje racje ma, którym trudno zaprzeczyć. Zważ acan, że Tarnawka ledwie co od Międzyrzecza i sam mógłby nadzór trzymać, a mimo to, na rękę idąc Podhoreckim, dzierżawę im puścił. Ma jednak w związku z tym pan Mikołaj swoje obowiązki, z których wywiązać się musi.

– Ot co! Ot co! Obowiązki, panie kochanku! – zawtórował pan Zbigniew, wznosząc palec.

Uciszyła go zaraz uniesiona ręka małżonki, która ciągnęła:

– Co się w Tarnawce dzieje, wiemy. Ale też nie po to Kościół święty nas od zabobonów wyzwolił, bym teraz miała w jakowegoś upiора wierzyć. Żył tam mój krewniak lat kilka i nie skarżył się jakoś.

Aż cisnęła się na usta Żegocie odpowiedź, że nic to nie znaczy, a chłopci zmarłego pana Stanisława o wszystko posądzają, ale powstrzymał się, żeby na głupca nie wyjść i pochodzącej z Popielów matrony nie rozsierdzić. Dlatego kiwnąwszy głową, odrzekł dyplomatycznie:

– Anibym śmiał zaprzeczyć jejmości. Tyle powiadam, iż pan Podhorecki ranny i stąd jego niemoc, a żony z córką samych do dworu nie puści. O chrześcijańską wyrozumiałość proszę, bo jak tylko na nogi pan Mikołaj stanie, niechybnie do Tarnawki wróci.

– A niechby nie wrócił! – zaperzył się Siemieński. – Jeszcze tego by trzeba! Dzierżawę wypowiem, a czynsz za rok cały zatrzymam!

Gospodyni niby niechcący stuknęła łyżką w srebrny talerz, lecz wystarczyło to, aby przerwać panu Zbigniewowi.

Pani Maryna, zmrużywszy pomarszczone powieki, kontynuowała:

– Im prędzej wróci, tym lepiej dla niego. Bo na puszczenie chłopstwa samopas nie zezwolimy. Dwie niedziele mu daję, aby dzierżawę osobiście znów objął. Do tego czasu co dzień słać będę do Tarnawki plenipotentą z Międzyrzecza, który doraźnie porządku przypilnuje. Za tę jednak łaskawość pan Podhorecki dodatkowo będzie musiał zapłacić po trojaku<sup>61</sup> od każdego dnia. Może być i w naturze, jeśli taka wola. Gdy zaś w dwa tygodnie nie stanie we dworze, to sam rozumiesz, waćpan... – Nie dokończyła, rozkładając przed sobą palce suchych dłoni.

Pan Siemieński dorzucił:

– Właśnie! Dwie niedziele! I o żadnym nowym domostwie nie może być mowy, panie kochanku! Ot co! Jest solidny dworek i innego nie trzeba!

Zasepił się Nadolski. Pojął dobrze, że o targi tu chodzi, nic więcej, do czego najwyraźniej smykałkę miała pani domu. Jednakże czas wyznaczony dzierżawcy na powrót do przysiółka wydał mu się zbyt krótki, a cena za dogładanie majątku wygórowana. Dlatego uśmiechając się, odparł:

– Z tego, co na ranach się znam, nie sędzę, aby pan Mikołaj w dwa tygodnie wydobrzył. Nawet jednak gdyby tak się stało, problemu to nie rozwiąże.

– Dla nas, a jakże, rozwiąże – skwitowała cierpko pani Maryna. Nie zbiła tym jednak Żegoty z pantaląku.

– Przyznaję, Tarnawka zgrabny folwarczek...

– A pewnie, że niczego sobie! – przerwał Siemieński, znów unosząc palec.

Nie zważając na to, ciągnął Żegota:

– ...ale też chyba nie chcecie waćpaństwo nowego dzierżawcy szukać, gdyż byłby to, licząc jeszcze pana Stanisława Popiela, świeć Panie nad jego duszą, trzeci w ciągu roku. Raz, że jesień późna i pora nieskładna, dwa, iż rozejdzie się wieść o wypadkach w Tarnawce, która skutecznie rozsądnych ludzi ostudzi w ich ewentualnych zamiarach. Zjadą się tedy, miast uczciwej szlachty, obwiesie wszelkiej maści, z którymi waćpan... – skłonił się ku Siemieńskiemu – ...deliberować będziesz musiał i na nowo reguły ustalać. A nawet jak ustalisz, to kto gwarancję ci da, że dzierżawca uzgodnień dotrzyma? Pan Podhorecki, jak wiesz, poważny człowiek, z zacnego rodu pochodzący...

– Nikt też zacności rodu pana Mikołaja nie podważa – weszła mu w słowo matrona, głosem tak stanowczym, iż Żegota ucichł. – A folwark, jak mówiłam, niedaleko. Mój małżonek sam doglądać może.

Zmrużywszy oko, Nadolski uśmiechnął się krzywo.

– Chyba że taki czas przyjdzie, jak teraz, waćpani. Koniem ledwie z Międzyrzecza do Tarnawki dojazd, a wozem ani myśleć. Od Pastwisk tylko droga dobra.

Nawet nie drgnęła końska twarz żony Siemieńskiego, która chłodno odparła:

– Tedy właśnie, z powodów tych trudności, trojaka za dzień nadzoru liczę. – Łypnęła na siwowłosego gościa. – Widzę, żeś acan bystry, więc tym łacniej to pojmujesz.

Zrozumiał Żegota, że ze szczwaną lisicą ma do czynienia, zaczął więc z innej beczki:

– O to mnie również chodzi, żeby rzecz całą z kłopotami w Tarnawce zakończyć. Pan Mikołaj nie lęka się owych strachów we dworze, tylko, jak rzekłem, przez głowę cięty, stąd kurować się jakiś czas musi. Zna on jednak całą sprawę i z boską pomocą, kiedy do zdrowia dojdzie, poradzi sobie. A jakby kto nowy przyszedł, to cóż... – Zawiesił na sekundę głos, aby zakończyć, lekko machając przed sobą dłońią. – Znowu przyjdzie do zbędnych dyskusji i nerwów niepotrzebnych, jak z panem Nanowskim było.

– W trzy tygodnie ma być pan Podhorecki we dworze – skwitowała pani Maryna.

Z ustępstwa poczuwszy, iż jest na dobrej drodze, Nadolski kuł żelazo, póki gorące.

– Z pewnością wcześniej nawet do Tarnawki zajedzie, gdy tylko na konia zdoła wsiąść. Ale, jak mniemam, i to problemu nie rozwiąże. Wszak musi z rodziną gdzieś mieszkać. Nieprawdaż?

– Dwór jest! – syknął ostro Siemieński, zyskując aprobatę w półprzymkniętych oczach żony.

– Jest – przyznał Nadolski, kiwając głową. – Ale też trudno w nim żyć.

Matrona uśmiechnęła się pod nosem. Nieco pochylając głowę ku gościowi, rzekła:

– Opowiem ci waćpan historię o wdowie Rosińskiej, która żyła w Teleśnicy, babce owych trzech zbójów znanych<sup>62</sup>, a matce Jerzego, tak samo jak oni infamisa. Kiedy mąż ją odumarł, zaczęła prawić, iż jego duch we dworze hałas czyni, spać

nie daje i przedmiotami ciska. Księdza sprowadzono, dom cały wyświęcono, modlitwy za duszę nieboszczyka w kościele się odbywały. Nic to nie dawało, gdyż nie dość stuków, jeszcze trupi odór się w jej domostwie pojawił. Bała się okrutnie, że zgryzoty nawet o sprowadzeniu czarownika jakowegoś myśląc. Odwodzili ją od tego duchowni, aby zguby na swą duszę nie sprowadziła. Aż dnia jednego przybył do Teleśnicy ni to handlarz, ni to kuglarz, cudzoziemiec w każdym razie, który o sprawie się dowiedziawszy, poszedł do pani Rosińskiej i oznajmił, że za sowitym wynagrodzeniem raz-dwa od kłopotu ją wybawi. Cóż było czynić, zgodziła się wdowa nawet na to, aby z góry całą zapłatę dać. – Na kpiący grymas Żegoty pani Maryna pokręciła głową. – Nie, waszmość, nie zbiegł ów trefniś, jak pewnie mniemasz. Zamiast tego do roboty się wziął. Na strych poszedł, zabrawszy ze sobą wór spory i torbę z różnymi narzędziami, gdzie zaraz do swoich czarów przystąpił. Innym surowo zakazał zaglądać, strasząc mocą piekielną. Dzień cały słyhać było z poddasza jakieś pokrzykiwania, hałasy, na przemian modlitwy i złorzeczenia. Zgromadzeni na dole żegnali się tylko, wzywając boskiego imienia, oraz święcone świece palili. W końcu, z wieczora, zlazł ów handlarz z wyładowanym czymś worem, oznajmiając, iż po srożej potyczce ze złym udało mu się go przegnać. Rzekł przy tym, iż natychmiast musi zamkniętego w sakwie demona w rzece utopić. Nie wierzyła zbytnio pani Rosińska w skuteczność jego poczynań, doświadczona, że nawet księży nie pomogli, więc nad San posłała z nim swoich pacholków, aby go przypilnowali i na powrót sprowadzili. Ani się ten kuglarz opierał, wesoło nawet do dworu po utopieniu worka w rzece wracał. Noc przyszła, nikt nie spał, wszyscy wsłuchani w ciemność. I cóż? – Matrona jeszcze bardziej przechyliła się ku Nadolskiemu, mrużąc oko. – Imaginuj sobie waćpan, że nic. Cisza. Spokój, jakiego pani Rosińska od długich tygodni nie zaznała. – Gospodyni odchyliła się na oparcie krzesła, a z jej wąskich ust nie schodził złośliwy półuśmiech. – Rankiem pani Rosińska jeszcze kilka dukatów wcisnęła w garść owemu trefnisiowi, sownie go też na drogę w jadło zaopatrując. Ten zaś, podziękowawszy dwornie, zniknął tak prędko, jak się pojawił.

Żegota spojrzał zaskoczony, a pani Siemieńska przerwała na moment, po czym wbiła zimny wzrok w jego twarz.

– Mniemasz waszmość, że to już koniec opowieści? Otóż nie, mości panie Nadolski. Nie minęło parę dni, śmiechy wśród pacholków się w Teleśnicy zaczęły, szeptki po kątach i żarty jakieś. Trudno było nie zauważyć tej nagłej wesołości.

Z początku sądziła pani Rosińska, że to radość z wyzwolenia się od upiora. Prędko jednak okazało się, iż to ona właśnie jest przedmiotem kpin własnych sług, bezecników. Cóż się więc okazało? Otóż... – uniosła lekko znad stołu pomarszczoną dłoń – ...jeden z pacholków, odważniejszy od innych, niepomny na nakaz owego cudzoziemca, wlaźł na dach i przez szparę się przyglądał jego poczynaniom. Te zaś okazały się nad wyraz zajmujące. Trefniś stukał i pukał, wołając groźnie, łacińskie sentencje wykrzykiwał, narzędziami rzucał, a przy tym sprawnie do łapania kun się zabrał. Tak, panie Nadolski. Kun. – W źrenicach pani domu zabłysła kpiąca iskra. – Zagnieździły się one bowiem na poddaszu dworku, hałasy czyniąc, zapasy gromadząc. Truchła różne drobne zbierały, przez co i odór się niósł. Wypisz, wymaluj, oznaki upiora. Kuglarz ów zadusił kilka zwierzaków i do wora wrzucił, gniazdo odnalazł, oczyścił, na koniec zaś dziury w dachu połatał, żeby na nowo inne nie przylazły. Przyznać trzeba, że solidnie się sprawił. – Matrona niespiesznie sięgnęła po odłożoną łyżkę. – Tyle że pani Rosińska darmo mogła taka naprawę mieć, gdyby swojemu chłopu ją nakazała. A tak, jak głupia, więcej niż za dobrego konia oszustowi dała, na dodatek dziękując mu za łgarstwo i błogosławiąc go na drogę. Nie dziwota tedy, że się przed pacholkami własnymi ośmieszyła. – Siorbnęła zupy. – Nieprawdaż, acan?

Nic nie odpowiedział na to pytanie siwowłósy gość. Za to zaśmiał się głośno pan Zbigniew, zakrzykując:

– A co, panie kochanku?! Kuny, imaginuj sobie! Kuny!

– Kuny – potwierdziła jego żona, kiwając głową, choć jej ściągnięta twarz znów nie wyrażała żadnych emocji.

Zachichotała głupiutko panna Jadwisia, od razu skarcona za płochość surowym wzrokiem matki. Spuściła skromnie oczy, układając ręce na podołku. Pokraśniało jej liczko rumieńcem zawstydzienia. I Żegota poczuł zakłopotanie, dobrze odczytując bijącą z opowieści gospodyni kpinę. Jemu jednak tylko niżej opadł lewy kącik ust, co zawsze było u niego oznaką wzburzenia. Nie dał jednak go poznać po sobie, tylko przemówił spokojnie:

– Słusznie prawisz waćpani, wskazując, że różne mogą być przyczyny niepokoju w Tarnawce. Nie przeczę, że jego wyjaśnienie może być najzwyklejsze, a lęki ludzkie na wyrost. W ocenę zdarzeń się nie wdaję, bom sam ich nie doświadczył. Znam jednak panią Podhorecką i jej małżonka, stąd zawierzam temu, co opowiadają. To jednak najważniejsze, że pan Mikołaj ranny, więc odpoczynku potrzebuje. –

Odwróciwszy głowę w stronę pana Zbigniewa, dodał: – Nie możesz tedy waszmość wymagać, aby na miejscu, niczym do ziemi przywiązany, siedział. Z dzierżawy pan Podhorecki nie rezygnuje, o dwór nowy nie wnosi, z chłopami sam poradzi, albo i z moją pomocą. Nie trzeba tedy... – łypnął na sekundę ku Marynie Siemieńskiej, wolno wypowiadając – ...jakowegoś plenipotentą z Międzyrzecza za trojaka od dnia. Ja jedynie oznajmić przybyłem o wszystkim i prosić waćpana o chrześcijańską wyrozumiałość. Nic więcej.

– Chłopstwo już świętej pamięci Stanisław rozpuścił...! – Nie dane było panu Zbigniewowi dokończyć.

Tak samo szybko nabrał powietrza, wykrzykując pierwsze słowa, jak zeszło ono z niego pod naciskiem zmrużonych oczu małżonki. Błąd popełnił pan Siemieński, przywołując imię krewniaka surowej matrony. Teraz zabalgotał tylko coś pod nosem, dla przykrycia zmieszania przelękając kilka łyżek piwnej polewki.

Pani Maryna, poprawiwszy czepek, wycodziła:

– Tak? Sam waszmość pytałeś, gdzie ma zamieszkać pan Podhorecki, jak do zdrowia dojdzie. Co? Wszak... – zmrużyła złośliwie oczy, przedrzeźniając Żegotę – ...musi gdzieś mieszkać. Nieprawdaż? Więc gdzie, skoro baja, że dwór przeklęty? A do ziemi... – wyprostowała się sztywno – ...nikt go nie wiąże. Umowa jednakowoż to umowa. Rozumiem, jakby ze zbożem pojechał albo bydło na targ popędził. Wtedy zostałyby w Tarnawce jego małżonka, a może i starszego nad chłopami by wyznaczył. A tak? Samopas chamy zostawione. Ot co! Jak zaś wieśniakom zbytnia ulga, łatwo im we łbach się miesza! Mało to było w sanockim takich wypadków?!

– Tedy mam propozycję dla jejmości. – Żegota odsłonił zęby w najszczerzym z uśmiechów, jakie potrafił przywołać.

– Jakąż to? – Mimo pytającego tonu, w głosie pani Siemieńskiej nie było zaciekawienia.

– U mnie pan Mikołaj z rodziną do świąt zostanie, a ja, za waszmości... – skłonił się panu Zbigniewowi – ...i pana Podhoreckiego pozwoleniem Tarnawki będę doglądał. Nic to acana kosztować nie będzie – zaznaczył, wiedząc, o czym pomyślała pani Maryna. – Z panem Mikołajem zaś między sobą dogadamy, jak się skwitujemy. – Stara prychnęła wzgardliwie, wydymając usta. Żegota ciągnął mimo to: – Znasz jegomość, jaki porządek mam teraz w Wygnance, i wiesz, że gospodarzyć umiem. Poza tym jesień, więc roboty mniej. Nie troskaj się więc waćpan

o Tarnawkę, bo chłopci należycie będą dopilnowani. Nadto... – obrócił wzrok w kierunku nieprzyjemnie wykrzywionej twarzy gospodyni, zawieszając na chwilę głos – ...obietuję problem we dworze rozwiązać. – Dopiero teraz w oczach matrony błysnęła iskierka zainteresowania. – Również bez kosztów dla waćpaństwa albo też innych niedogodności.

– Jak niby? – mruknęła pani Siemieńska.

– To już od okoliczności zależy. – Nadolski skłonił się lekko. – Albo kuny przegnam... – nuta złościwości wyraźnie zabrzmiała w jego głosie – ...albo też z inną rzeczą poradzić mi przyjdzie. W każdym razie obietuję, iż skończy się kłopot we dworze w Tarnawce. Zgoda?

Powiódł wzrokiem po gospodarzach, nie omijając córki, która nagle wpatrzyła się w niego jak w obrazek jakiegoś herosa przedstawiający. Rozdziawiła przy tym usta, jeszcze bardziej upodabniając się do konia, aż mimowolnie przez myśl przemknęło Żegocie, że zarzy.

Popatrzyli po sobie państwo Siemieńscy. Stara, rachując zyski i straty, a pan Zbigniew, wyczekując w jej oczach decyzji. Dłuższą chwilę trwało, nim nieznacznie głową skinęła, wracając zaraz po tym do posiłku. Uśmiechnął się w duchu Nadolski, znając już odpowiedź, nim ta w końcu popłynęła z ust formalnego gospodarza:

– Jeśli tak waćpan mówisz, przez wzgląd na starą naszą znajomość i zaufanie, którym cię darzę, niech będzie. Ale... – podniósł palec wskazujący – ...więcej o żadnych upiorach w Tarnawce słyszeć nie chcę. Jak Podhoreccy wrócą do przysiółka, to skarg nie zniosę i powtórz im waćpan, że jeśli takie będą, umowę natychmiast wypowiem. To mój warunek.

– Przyjmuję, panie Zbigniewie. Kłaniam się nisko za waszmości wyrozumiałość. – Żegota pochylił głowę.

Choć nie miał pomysłu, co zrobić w Tarnawce, kontent był, że udało mu się darmo zyskać trochę czasu dla Podhoreckich. Z nadzieją wspominał w duchu mających zajechać do Wagnanki Stillera z Murrayem, u których spodziewał się zyskać radę i pomoc. Dlatego prawie wcale się nie trapił, jak osiągnąć to, co przyobiecał.

Odetchnawszy, dopiero teraz sięgnął po swoją łyżkę i ze smakiem zjadł zimną już polewkę. Nadto, dla potwierdzenia układu, nakazał pan Siemieński wina przynieść, które wspólnie wypili, wznosząc na przemian toasty a to za gospodarzy, a to za zdrowie pana Mikołaja.



Luźniej się trochę zrobiło przy stole, choć nie znikł z twarzy pani Maryny wyraz surowości. Sama wymówiła się od wina, na żołądek się skarżąc. Kilkakrotnie spiorunowała wzrokiem męża, lecz ten, rozochocony, niewiele już sobie z tego robił. Odwlekając nieuchronną reprimendę, jakiej oczekiwał po wyjeździe dawnego znajomka, nakazał przynieść drugi dzban, co już nadto było dla jego szacownej małżonki. Wstała od stołu, nie czekając na mięsivo, i ponagliła córkę, a następnie zimno pożegnała Żegotę, który, choć powinien, ba, nawet przyobiecał na wstępie, jakoś do wyjścia się nie zbierał. Nie wypadało jej jednak wzbraniać gościnności mężowi, aby go wśród szlachty nie ośmieszyć. Dlatego, z drgającymi od gniewu szczękami, wyszła stara wraz z panną Jadwisią, rzucając jedynie za plecy, że ze świtem trzeba będzie nazajutrz wstać, co było jasną wskazówką, aby pan Zbigniew w raczeniu się trunkiem należyta zachował powściągliwość. Ten jednak, uśmiechając się od ucha do ucha, mało się tym chyba przejął.

Od razu przypomniał się Nadolskiemu dawny Siemieński, do wypitki i bitki bardziej skory niż do pracy czy różańca. Za młodych lat nie był jednak tak chełpliwy jak teraz. Puszył się, węża dumnie podkręcał, opowiadając o swoich dostatkach oraz koneksjach z zacnymi rodzinami, u których tak on ponoć często bywał, jak i u niego rzekomo bywano. Uśmiechał się na to Żegota i zgodnie głową kiwał, nie omieszkując napełniać opróżnianego pucharka. W duchu zaś cieszył się z coraz luźniejszego języka pana Zbigniewa, gdyż chciał od niego się jeszcze trochę dowiedzieć. Wiadomo zaś, iż umysł winem podlany bardziej skory jest do wylewności.

Zeszło w końcu ponownie na temat Tarnawki, przy czym pan Zbigniew kilkakrotnie podkreślił, iż gdyby nie przyjaźń z Żegotą, od ręki wypowiedziałby dzierżawę Podhoreckiemu. Ani w tym prawda była, ani też rzeczywisty ku Nadolskiemu afekt, lecz tylko pijacka czułość odzwyczajonej od napitków głowy. Pojawszy jednak, iż okazja najwłaściwsza, zapytał się siwowłosy gość swego dawnego druha o pana Stanisława Popiela.

Siemieński jakby otrzeźwiał nagle na moment. Zesztywniał w krześle, oczy zmrużył, kielich na stół odstawił. W milczeniu łypał chwil kilka na swego kompana, nim z owego zamyślenia nie wytrąciła go służka, która wniosła na stół mięso i chleb. Uśmiechnął się wtenczas pan Zbigniew nieszczerze, pytaniem odpowiadając na wcześniejsze pytanie Żegoty:

– A cóż cię tak, panie kochanku, nieboszczyk Popiel zaciekawiał, hę? – Mrużąc chytrze lewe oko, dodał: – Plotki pewnie waszmość słyszałeś, co? – Westchnąwszy ciężko, Siemieński machnął dłonią. – Co ludziom do łbów przyjdzie, to gadają! Prawdy zaś w tym ani krztyny nie ma!

Siwowłosy gość uniósł brwi w grymasie najszczerzego, zdawałoby się, zdziwienia. Rozkładając ręce, rzucił:

– Plotki? Słowo waćpanu daję, że nie wiem, o czym mówisz! Z ciekawości się jeno pytam, gdyż osobiście nie miałem przyjemności poznać pana Stanisława.

– Przyjemności...? – Siemieński zawiesił głos, a potem zaśmiał się tak gwałtownie, aż spłoszona służka rozstawiająca jadło chyłkiem wymknęła się przestraszona z komnaty.

Przestawszy się śmiać, klepnął się gospodarz w uda, a potem, schylając się konfidencyjnie ku gościowi, chwycił go lekko za rękaw. Zniżając głos, chrapliwie wyszeptał:

– Żadna to przyjemność byłaby dla waćpana, zaręczam... – Odchylając się w krześle, dodał głośno: – Zbój to i łotr był, jakich mało! – Zaraz jednak się zmitygował. Zerknąwszy trwożliwie ku drzwiom, powtórzył jednak, choć cichym głosem: – Łotr i obwieś, niech mnie kule biją.

Nic nie odrzekł na to Żegota, wiedząc, iż czasem najbardziej skłania do mówienia nie zadawanie pytań, lecz milczenie. Nie omylił się pod tym względem. Pan Zbigniew, znów pochyliwszy się ku niemu, wycedził:

– Z bratem tacy byli... nikczemnicy i kanalie... A ja, za dzierżawę, imaginuj sobie, panie kochanku, przez pięć lat musiałem się zapłaty dopraszać...

– Taaak? – odrzekł przeciągle zaskoczony Żegota. – To czemuś acan...

– Nie wypowiedział? – przerwał mu Siemieński, domyślając się reszty pytania. Prawie do ucha wysyczał Nadolskiemu: – Rodzina małżonki mojej... Sam pojmujesz... Poza tym była jedna rzecz...

Zamilkł nagle, odsuwając się od gościa. Marszcząc brwi, chwycił gwałtownie kielich, przechylił go i wypił resztę trunku. Chrząknął, przywracając na chwilę trzeźwość swej głowie. Ręką przejechał po podstrzyżonych włosach, by w końcu, chłodnym głosem, mruknąć:

– Żadna w tym prawda, mości Żegota, co ludzie plotą, że Stanisław Popiel złota z Siczy nawiózł, którym zapłacił mi za dożywocie w Tarnawce. Co... – łypnął na

Nadolskiego – ...udasz, że nie słyszałeś o tym, panie kochanku?

– W rzeczy samej, pierwszy mi to waszmość mówisz. – Siwy szlachcic skinął głową, a w jego oczach malowała się taka szczerść, iż zmieszał się nieco gospodarz na swe niewczesne oskarżenie. Machnąwszy ponownie dłonią, wycedził:

– Aaaa... Powtórzę tedy, że żadnej prawdy w tym nie ma. Jak mysz kościelna biedny przybył, łaski się dopraszając. Gdyby nie był krewnym małżonki mojej, to nigdy bym... Co tu gadać! Obwieś był, i tyle!

Polął wina, nie żałując ani sobie, ani kompanowi. Upiwszy solidnie, zapatrzył się przed siebie.

– Razem z bratem tacy byli. We dwóch za młodu do Kozaków na Sicz poszli, gdy utracili ojcowiznę. Ten drugi, Władysław mu chyba było, dalej diabli wiedzą gdzie się po świecie szwenda. A Stanisław, niech mu mimo wszystko ziemia lekką będzie, zdrowie straciwszy, o kąć jaki mnie prosił... – popatrzył wprost w oczy Żegoty – ...więc mu dałem Tarnawkę, chociaż ze stratą własną, bo sam przecie.... Eee, szkoda gadać! – Prychnął przez nos i nie bacząc na wyszorowaną podłogę, splunął ordynarnie na deski, niczym w karczmie.

Poznał Nadolski, iż mimo pozorów przytomności pan Siemieński dobrze już musi mieć w czubie. Dlatego kuł żelazo, póki gorące.

– Mówił mi pan Podhorecki, iż napitków sobie świętej pamięci Popiel nie żałował...

– Nie żałował! – potwierdził gospodarz, kiwając głową.

– ...a także arsenał solidny w domostwie zgromadził, jakby się czegoś obawiał – ciągnął Żegota.

– Zgromadził! – przyznał Siemieński. – Mrużąc oko i ujmując Nadolskiego pod łokieć, wymamrotał: – Dziwisz się waćpan? Wszak mówi Pismo... – uniósł znacząco palec wskazujący, bełkocząc: – ...omnes enim, qui acceperint gladium, gladio63. Tak też i ci, którzy ze zbójami się zadawali, od innych zbójów spodziewają się śmierci. – Schylając się jeszcze niżej do ucha Żegoty, szepnął: – Może brata się bał... – Wzruszył ociężałe ramionami, rozkładając przed sobą trzęsące się już dłonie. – A może dawnego herszta, którym był, jak powiadają, ów słynny niegdyś... Jakże mu tam było... – palcami przejechał po wilgotnych od wina wąsach – ...Żeliborski, zdaje się... Chociaż... – tak niefortunnie skłonił się w kierunku Żegoty, że oparł się o niego

całym ciężarem – ...słyszałem, że ów stary skurwysyn... jebał go pies... nawrócenia doznał i do klasztoru wstąpił... czy tam gdzie... w Przemyślu...

– Co też waszmość powiadasz? – Kręcąc głową, niby to zadziwił się Nadolski, bardziej jednak chciał odwrócić uwagę Siemieńskiego, którego odsuwając od siebie, usadził jako tako na miejscu. – Do klasztoru poszedł?! Coś podobnego!

– Do klasztoru... – Chyba niezbyt rozsądne było ze strony pana Zbigniewa, iż ponownie, nie zważając na swój stan, przechylił kielich i kilkoma łykami go opróżnił. Zdołał jeszcze tylko powtórzyć, machając palcem wskazującym: – W Przemyślu...! – A potem szarpnęła jego ciałem nagła potrzeba, po której z obrzydliwym bleeeeee! polały mu się z ust wymiociny. Utracił przy tym znaczącą część swego blasku jego jedwabny żupan zdobny w złote pętlice.

Odsunął się Żegota, szczerze zaskoczony, gdyż nie spodziewał się takiej siurpryzy złożonej z pomieszanej z mięsem piwnej polewki. Sam był, jak niesłusznie mniemał, prawie jeszcze trzeźwy, więc słabość głowy dawnego druha mogła go zdumieć. Chociaż często tak kończyły się spotkania panów braci, to przecież zwykle dłużej trwała biesiada, nim nastawał ów nieprzyjemny moment. Kiwając głową do własnych myśli, skonstatował smutno Żegota, iż postarzał się widać pan Siemieński. Dalsze rozważania na ten temat przerwała mu jednak małżonka gospodarza, która wpadła do jadalni i popatrzyła na niego tak nienawistnie, iż natychmiast pojął, że czas mu już w drogę. Wstał, nieco zachwiawszy się na nogach, skłonił się najdawniej, jak umiał, a potem, w dumnym milczeniu, krokiem sztywnym jak bociek, podszedł po swą delię. Zza pleców doszedł go kolejny odgłos wydany przez pana Siemieńskiego, po którym rozległo się jadowite przekleństwo pani Maryny. Zapobiegliwie, aby nie wdawać się w niepotrzebną dysputę, ruszył Żegota ku drzwiom, nawet nie spoglądając w stronę gospodyni. Może i było to niegrzecznością, ale też większą byłoby wdać się w zbędną, a wiszącą już w powietrzu pyskówkę. Minął w progu zaglądając do komnaty córkę starej matrony, więc uśmiechnął się do panny, skłaniając głowę i płosząc dziewczkę swym niemądrym od wina wyrazem twarzy. Wylazłszy na ganek, otrzeźwiony odrobinę chłodem wilgotnego powietrza, uniósł Żegota rękę, by zawołać chrapliwie ku wałęsającemu się pachołkowi:

– Konia!

Szcęściem służba u pana Zbigniewa posłuszna była i sprawna, albowiem w dwie minuty przyprowadzono Nadolskiemu wierzchowca, a po kolejnych dwóch,

z pomocą niejaka, znalazł się w siodle. Dopiero wtenczas pojął, iż on chyba także, podobnie jak gospodarz w Międzyrzeczu, od nadmiaru wina mocnego odwykł, gdyż chwiał się ciut świat wokoło niego, jak też jakby spóźnione i przytłumione docierały mu dźwięki do uszu. Wiedząc, iż najlepszym sposobem na odegnanie otumanienia będzie konna przejażdżka, silnym ruchem ponaglił wierzchowca.

Sztywno siedząc w siodle, minął bramę. Nie widział nawet pani Siemieńskiej, która wyszła przed dwór, kręcąc ze złością głową, a klęła przy tym pod nosem słowami, jakich powstydzić mógłby się nawet doświadczony w swym trudnym rzemiośle flisak.

Bardziej koń prowadził niż szlachcic przez błotnisty trakt z powrotem do Tarnawki. Szczęściem zwierzę zapamiętało drogę, więc nie zbłądził Żegota. A po jakiejś połowie godziny lepiej się poczuł, choć pić mu się chciało okrutnie. W duchu skonstatował, iż wina u pana Siemieńskiego albo nad wyraz zdradliwe, albo też doprawione czymś przez przecherów kupców, co czasem się zdarzało, kiedy handlarze fałszowali droższe trunki, dodając im mocy ziołami lub najpodlejszą okowitą. Widać w tej materii oszczędnie gospodarowała groszem Maryna Siemieńska, nie chcąc przepłacać, i skusiły ją niższe ceny. Ryzykowne to było, gdyż od złego trunku niejeden już zdrowie postradał albo też nawet oślepl, jeśli w podłej gorzałce się lubował.

Zmęczony i spragniony dotarł w końcu siwowłósy szlachcic do przysiółka, gdzie swego dawnego pocztowego zostawił. Dostrzegłszy go, nie pojechał jednak ku niemu od razu, lecz najpierw skierował się do studni opodal stawu, z której zaczerpnął ceber wody. Napił się łapczywie wprost z pozieleniałego od wilgoci wiadra, a resztę na łeb sobie wylał, co mu też przytomność zupełną ostatecznie wróciło. Semko zaś, siedząc na schodku przed gankiem i rozcierając dłonią czoło, przyglądał się cierpliwie tym zabiegom, od razu poznając, iż jego pan dobrze sobie musiał pofolgować w Międzyrzeczu. Z zazdrością pomyślał pacholek, że on o suchym pysku dzień cały stracił, podczas gdy szlachcic bawił się w najlepsze, i to mu się niesprawiedliwe wydało. Żal jego pogłębiał srogi guz, jaki kwitł mu na głowie, którego trudno byłoby nie zauważyć. O niego też najsamprzód zapytał kpiąco Żegota, kiedy uwiązawszy wierzchowca, podszedł wreszcie do sługi. Semko machnąwszy ręką, jęknął boleśnie:

– Aaaa... Co tu gadać... Nie uwierzycie, panie.

– Co! – Nadolski się zaśmiał. – I ciebie martwy pan Popiel tak sprawił? No, mówże, bom gotów pomyśleć, że od jakiej dziewczki za sprośność w łeb wzięłeś!

– Jakiej też dziewczki, jegomość! – obruszył się chłopak. – We wsi pozamykali się przede mną, a ten Wasyl, com go ze słomy wyciągnął, zniknął, jakby go nie było. Nikt do dworu nie pójdzie i wiem już dobrze... – wskazał na czoło – ...dlaczego.

– Gadaj! – nakazał Żegota poważnym głosem.

– Jak nikogo ani prośbą, ani groźbą nie znalazłem chętnego do roboty, tedy sam postanowiłem, co trzeba zgarnąć i przygotować. O tam... – głową wskazał za uchylone drzwi – ...leżą zebrane suknie dla państwa Podhoreckich. Ale ja, choćby i jegomość wrzeszczał, ani myślę na powrót do tego przeklętego dworu włączyć! Co to, to nie! Jeszcze mi życie miłe! Tfu, zaraza! – Splunął ostentacyjnie dla podkreślenia swego oburzenia.

– Co się stało?

Semko wstał i podszedł do Żegoty. Wskazując za siebie ręką, wyjaśnił:

– Z początku nic, cicho było, jak ochędóstwo<sup>64</sup> zbierałem. Anim się bał, bo przecież dzień i spokojnie się zdaje. Zgarnąłem co trzeba, o rzeczach dla dzieciny nie zapominając, i przy drzwiach w sionce zacząłem układać. Nie wynosiłem jeszcze, bo jakby deszcz poszedł, to wszystko by zawilgło. Anim się spieszył, wiedząc, że jegomość pewnie... – popatrzył znacząco – ...z kilka godzin zabawi w Międzyrzeczu.

Żegota zmrużył oko, wyczuwając złośliwość, lecz nic nie odpowiedział. Semko tymczasem kontynuował:

– Tak swoje robiłem, aż raz schyliłem się, aby koszule rzucone z podłogi podnieść. Wtedy jak coś nie szarpnie drzwiami, przy których stałem, jak nie przy... – pocztowy się zmitygował – ...walnie mnie tymi drzwiami w łeb. Aż ze dwa kroki w tył poleciałem i jak długi padłem. Szczęściem przytomny byłem i chociaż bolało, natychmiast na nogi się zerwałem, patrząc, kto zacz tak sobie poczyna. Szukam, nóż zza pasa wyjąwszy, choć łeb boli jak skur... znaczy, bardzo mnie boli. A tu nikogo! Włos mi się na głowie zjeżył, chociaż, wie przecież jegomość, wcale strachliwy nie jestem. Słucham. Cisza jak makiem zasiał. Tedy podchodzę do owych drzwi ostrożnie, mniemając, że może kto za nimi skryty... A wtedy... – zawiesił głos, aż pochylił się ku niemu Nadolski mimowolnie – ...jak mnie coś w piersi nie łupnie! – Żegota aż podskoczył na gwałtowny okrzyk pachołka. – Jak za kołnierz nie chwyci

i nie powlecze ku sieni! Anim był zdolny się sprzeciwić! I tak na zewnątrz mnie cisnęło, na te schody... – wskazał palcem na stopnie ganku – ...aż mi tchu w piersiach brakło! A potem tylko się wejście z hukiem zatrzasnęło!

Siwowłosy szlachcic złapał Semka za ramię.

– I co?! Widziałeś kogo?!

– Gdzie tam! Jakby w powietrzu była ta siła, co mnie sponiewierała!

– Prawdę mówisz?! Nie łżesz?!

– A co mam łąać?! – obruszył się pocztowy, wyjmując rękę z uścisku szlachcica. – Znasz mnie przecież, jaśnie panie! Prawdę mówię! – Dla potwierdzenia swej wiarygodności, dorzucił: – Przysiąc mogę! A tam... – machnął głową za siebie – ...nie wleżę! Dość mi!

Zawahał się Żegota i palcami po brodzie przeciągnął. Nie patrząc na sługę, wycedził:

– Rzeczy trzeba zabrać.

Milczeniem zbył to Semko, odsuwając się od swego pana, aby też nie wpadło szlachcicowi do głowy siłą przymusić go do powrotu za drzwi dworu. Popatrzył na niego Nadolski, marszcząc czoło. Głośno sapnąwszy, mruknął:

– Nie może tak być... Jak nic nie uczynimy i tak to... – wskazał w kierunku domostwa – ...zostawimy, weźmie sobie z powrotem Tarnawkę pan Siemieński, a Podhoreckich precz odeśle. To mi oznajmił, jak u niego byłem.

Zezłościł się, widząc, że uśmiech naraz wykwił na ustach pachołka.

– Czego rzysz?! – warknął.

– Bo niepotrzebnie się jegomość obawia. – Semko machnął ręką. – Nie spełni pan Siemieński swej groźby.

– Skąd możesz wiedzieć?! Jaśniej mów! – Żegota łypnął na pocztowego, robiąc krok w jego stronę.

– Już, już! – Sługa wyciągnął przed siebie ręce, niby to zasłaniając się przed pańskim zagniewaniem. – Tylko niech się waść nie złości bez potrzeby! – Ściszył konfidencjonalnie głos: – Rzekli mi we wsi, jak za owym Wasylem poszedłem, że pan Siemieński babę sobie parę lat temu w Tarnawce znalazł i dwójkę dzieci z nią ma. Do dziś owa dziewczka z bękartami tu żyje. Kiedy się jejmość Siemieńska dowiedziała, to tak się wściekła, że sprzedać chciała przysiółek. Szczęściem jej

krewniak akurat się napatoczył, który sobie jakowegoś miejsca szukał, więc w dzierzawę mu osadę dała. A pana Zbigniewa nigdy tu samego nie puści. Ot co!

– Aaaa! – Żegota ze zrozumieniem pokiwał głową. Uśmiechnął się złośliwie, mrużąc oczy. – To jędza kłamliwa! Dlatego wciąż w dzierzawie trzymają przysiółek, zamiast samemu rządzić! – Spojrzał na Semka. – Mów dalej, co gadają!

– Ową babę pani Siemieńska za jakowegoś parobka wydała, płacąc mu za to i kawałek pola darując, coby ludziom gęby pozamykać. Ale gdzie tam zamknęła! – Łypnął chytrze. – Wszyscy wiedzą, które to są pańskie pokrzywniki, takie ponoć chłopaki do niego podobne! Pewnie i pognałyby ich jejmość, lecz pan Siemieński zawziął się i zgody nie dał. Więc teraz tak stoi, że on tu nie bywa, folwark w dzierzawie, a w zamian jego małżonka udaje, że zapomniała. Choćby i świat się walił, nie wróci Tarnawka pod kuratelę właściciela, póki jego żona żyje. Tylem się dowiedział, więc chyba mała obawa, że dzierzawców pan Siemieński pogna. Już raz miał kłopot, jak się Nanowskiego pozbył, bo mu w domu baba kołki na głowie ciosała, że specjalnie tak uczynił i do kochanicy mu spieszo.

– Nooo... – mruknął Nadolski, gładząc wąsy. – Takie to buty... – Zerknął spod brwi na sługę. – Dobrze, żeś się o tym wywiedział. Przynajmniej tyle wiadomo, że nie taki skory Siemieński Podhoreckich wyrzucać. – Uśmiechnął się krzywo, lecz zaraz opadły mu kąciki ust, gdy dodał: – Lecz nie zmienia to tego, iż rzeczy z dworu trzeba wziąć.

– Ja tam nie wleżę! – powtórzył kolejny raz Semko, gwałtownie kręcąc głową.

– Głupiś! – burknął Żegota, sam jednak jakoś nie zbierał się do wejścia.

Podrapał się po głowie pod czapką, odetchnął kilkakroć, rzucił podejrzliwym wzrokiem na sługę, czy aby kpin sobie z niego nie urządza, aż wreszcie, pojawiwszy, że nie wypada mu tchórzostwa okazać, prężnym krokiem wszedł na ganek. Odwracając się przez ramię ku Semkowi, rzucił wzgardliwie:

– Tedy patrz, że bać się nie ma czego!

Szarpnął zamknięte drzwi, otwierając je szeroko. Mrużąc czujnie oczy, popatrzył po sionce, która nadal zasypana była porozrzucanymi śmieciami. Trzy kroki dalej leżały jednak teraz naładowane worki, do których zebrał Semko rzeczy Podhoreckich. Starczyło tylko sięgnąć. Żegota jednak się zawahał. Ostrożnie postąpił w przód, odruchowo kładąc dłoń na rękojeści szabli. Na niewiele pewnie by ona się zdała, lecz nie myślał o tym siwowłosy rębajło, gdy rozglądał się wokoło.



Nic się nie działo, co dodało mu odwagi. Wszedł głębiej, kątem oka bacząc, aby też drzwi za nim się nie zatrzasnęły. Stały jednak tak, jak je ostawił. Parsknąwszy, puścił szablę i uśmiechnął się do siebie. Podkreślił wąsa, chwycił jeden z worków i cisnął go na zewnątrz z okrzykiem:

– Łap!

Zobaczył Semka wychylającego się z ciekawością zza framugi. Oczekiwał widać jakiegoś nadprzyrodzonego widowiska, gdyż z dala się trzymał. Ponaglił go więc Nadolski, wołając gniewnie:

– Na co czekasz, łachudro! Zbieraj, co rzucam, oczajduszo, jak lęk masz, żeby tu wejść!

Nie musiał powtarzać. Pocztowy wykonał rozkaz, nie zbliżając się jednak do drzwi. Poleciały ku niemu dwa pozostałe worki, które od razu zgarnął, byle dalej od nawiedzonego dworku. Skrzywił się na takie tchórzostwo szlachcic, choć, prawdę mówiąc, sam wciąż jakoś niepewnie się czuł, jakby ktoś patrzył na niego gdzieś z głębi domostwa.

Chrząknął, dla kurażu kołpak poprawił, przekrzywiając go nieco, nogami tupnął, a kiedy nic się dalej nie zdarzyło, ramionami wzruszył i odwrócił się ku wyjściu. Krokiem wolnym, aby nie dać po sobie poznać napięcia, wyszedł na ganek. Zadarłszy głowę, spojrział dumnie i wyzywająco na sługę. Ten ręce tylko rozłożył i ramionami wzruszył. Dla usprawiedliwienia, a może i żeby przypochebić się nieco, powiedział:

– Bo jegomość to taki wojenny i groźny człowiek, że i złe pewnie woli nie zaczepiać.

Zadowolenie odczuł Żegota po tych słowach, lecz nie zmienił marsowej miny. Fuknął ponaglająco:

– Nie gadaj, tylko sakwy do koni wiąż!

Odwrócił się i starannie zamknął drzwi. Zerknąwszy po gospodarsku w lewo i prawo, ni to do siebie, ni to do pachółka mruknął po gospodarsku:

– Jutro ludzi przyślę, to okna pozabija się deskami.

Pokiwał głową i szedł ku koniom, które Semko wprawnie objuczył. Ostatni raz popatrzył na mały dworek, a potem wskoczył na siodło i dał znać, by ruszać. Wciąż jednak czuł nieprzyjemne mrowienie w karku, jakby zza wybitych okien coś, lub

ktoś, wpatrywało się w jego plecy. Było bowiem w owym domostwie zło, jakiego nie umiał pojąć. Klątwa, która tak naprawdę dopiero miała się objawić.

## ROZDZIAŁ VI

# CUDZOZIEMIEC

Dwa tygodnie od wizyty Żegoty u Siemieńskiego prędko minęły. W tym czasie doszedł trochę do siebie pan Podhorecki, chociaż słabował jeszcze, na ból głowy narzekając. Rana jednak goiła się dobrze, dając nadzieję na rychłe wyzdrowienie.

Korzystając z tego, że nieco obeschło i deszcze ustały, wysłał Nadolski do Tarnawki starego Fiodora z bezrękim Fedkiem i Bejdą, aby dwór zabezpieczyli. Pojechali wozem wyładowanym deskami, a z wieczora wrócili. Nic nie mówili, żeby się coś dziwnego w domostwie Podhoreckich działo, gdy okna zabijali. Uznał tedy właściciel Wygnanki, że może uspokoiło się wszystko, lecz wciąż wyglądał zaproszonych Stillera z Murrayem, aby się z nimi naradzić. Bo chociaż miło było mu sąsiadów gościć i schlebiało mu, jak czasem zerkąła na niego Anusia Podhorecka, to jednak dobrze rozumiał, że im dłużej to trwa, tym mniej dobrego z tego będzie. Tym bardziej że Sulatycki zaczął mu czasem przygadywać, a także Agnieszka ślepa nie była, chociaż nic nie mówiła. Dla świętego spokoju wołał Żegota dnię całe poza domem spędzać, zasłaniając się robotą.

Zagonił chłopów do naprawy uszkodzonych deszczami przekopów i stawideł nad potokiem, żeby przed zimą wszystko zabezpieczyć. Pana Wawrzyńca z Semkiem posłał kilkakroć do Tarnawki, gdzie stary szlachcic dopilnował, aby folwark na mrozy przygotować, jak też wśród włościan należy porządek zaprowadzić. Zdał się do tego Sulatycki jak nikt, gdyż lubował się w rozkazywaniu, a postawę miał iście senatorską, kiedy to czynił. Sam pan Podhorecki rwał się, aby do siebie choćby na chwilę zajechać, lecz z racji niezagojonej jeszcze rany i słabości nie zezwoliła mu na to małżonka, wsparta zresztą przez panią Agnieszkę i wiekowego rękodajnego, który uspokajał pana Mikołaja, iż wszystkiego należy w jego imieniu dopilnować. Tak mijał czas, aż nastał poranek naznaczony pierwszym, lepkiem jeszcze i ulotnym śniegiem.

Zebrał się Żegota z samego rana, gdyż spieszył się nad Pielnicę. Ledwie co śniadanie zjadł, a już starą kapotę narzucił, ponaglając stojącego na dziedzińcu Fiodora, aby wozem czym prędzej do roboty jechać. Przed gośćmi usprawiedliwił

się zdawkowo, że zanim ziemia okrzepnie, musi porządek zrobić nad strumieniem. Potem wskoczył na furę wyładowaną grubymi palami i nakazał ruszać, wołając jeszcze za siebie, że przed zmrokiem na posiłek powróci.

Chłodno było i szaro, jak to zwykle późną jesienią. Dzień znaczyły ponuro nisko ciągnące chmury, zza których ledwie przenikały słabe promienie słońca. Smętnie wyglądały czerniejące ziemią pola pokryte mgiełką topniejącego śniegu. Gdzieniedzie znaczyły je błyski cienkiego lodu pokrywającego kałuże. Tak samo woda w Pielnicy przymarzała od brzegów, zapowiadając, iż niedługo już przyjdzie pora na przerwanie robót pod wymarzony przez Żegotę młyn. Przyroda nieubłaganie zwalniała swój bieg, zmierzając ku początkom grudniowego letargu.

Rozumiał Nadolski, że goni go czas, dlatego sam, nie bacząc na swój stan szlachecki, chwycił za łopatę i pracował ciężko razem z chłopami. Dziwne to zresztą nie było, gdyż większość drobnej szlachty tak czyniła, gdyż nigdy nie było zbyt wiele rąk do roboty w małych folwarczkach. Wiadomo też, że najlepiej własnym przykładem innych do wysiłku się zachęca, co zarówno na wojnie, jak i w pracy na roli widać.

Do południa mozolnie umacniał z Fedkiem i Semkiem brzegi przepływów i niecki, gdzie spiętrzona woda miała w przyszłości kręcić kołem młyńskim. Czterech innych chłopów, pod okiem Fiodora, kończyło sypać kamienie w wykopane pod budynek fundamenty. Zamyślił bowiem Żegota, aby postawić go na solidnej podmurówce, którą już od wiosny chciał wznosić. Wszak nie tylko dla siebie, ale bardziej dla syna, albo i wnuków nawet, młyn budował. Musiał być więc solidny, nie zaś byle jaki, co nieraz po innych folwarkach się zdarzało.

Zmęczony, schlapany jak pozostali błotem, stał w wykopie i trzymał w rękach kolejny pał, jaki należało wbić w ziemię, kiedy znad brzegu doszedł go gwałtowny gwar ludzkich głosów. Wyprostował się, odstawiając belkę, otarł rękawem spotniałe czoło. Zerknął w górę, aby przyczynę nagłej przerwy wyjaśnić. Od razu też dostrzegł pochylającego się nad krawędzią rowu starego Fiodora.

– Co tam?! – burknął gniewnie, niekontent z przerwy w robocie.

– Człowiek jakiś zza potoka coś woła – wyjaśnił ojciec Semka, pokazując gdzieś przed siebie.

– Co za człowiek?

Chłop skrzywił się, wzruszając ramionami.

– Nie wiem. Na szlachcica wygląda.

Żegota zaklął, otarł brudne ręce o skórzane spodnie i ruszył ku stojącej opodal drabince. Wygramolił się na górę, przystanął i przyłożył dłoń do czoła. Popatrzył w kierunku pól Nadolan. Od razu zobaczył nad Pielnicą jakiegoś nieznajomego. Skrzywił się, domyślając się, iż pewnie to jakiś sługa chorążego Stano. Pociągnął nosem, splunął grubo, a potem, nie patrząc na stojących przy nim w bezruchu chłopów, mruknął:

– Podejdę bliżej. Dowiem się, czego chce.

Jak zapowiedział, tak uczynił. Obszedłszy wokoło przekopane rowy, stanął kilka kroków od brzegu strumienia. Wziął się pod boki, dumnie zadzierając głowę, lecz nic nie rzekł, wpatrzony w niewysokiego szlachetkę po drugiej stronie. Tamten zrobił krok przed siebie i krzyknął:

– Gdzie wasz pan?! Wołaj mi tu jegomości Żegotę prędko!

Ani się nie poruszył na to Nadolski, ubodzony srodze we własnej miłości, lecz po prawdzie trudno było się dziwić, iż nie poznał w nim nieznajomy równego sobie. Zarówno strój, jak i stan jego po kilku godzinach grzebania w ziemi mało wskazywać mogły na zacne pochodzenie. Zezłoszczony, odczekał chwilę dla uspokojenia, by wreszcie odkrzyknąć:

– A ktoś ty?!

Aż prawie podskoczył stojący naprzeciw człowiek. Rękami zamachał wściekle, wrzeszcząc:

– Nie tykaj mnie, chamie jeden! Pana swojego natychmiast wołaj, kiedy każę!

– Kazać, to ty mi, panie nieznajomy, nic nie możesz! – odwarknął mu od razu siwowłosy szlachcic, po czym splunął ostentacyjnie pod nogi.

– Ja cię...! Ja cię...! – Skoczył stojący na drugim brzegu mężczyzna w przód, jakby zaraz przez strumień miał przeleźć. Za szablę już groźnie łapał, kiedy powstrzymał go chłodny głos:

– Gdzie stoisz, stój, i na moje nie leż! Ja jestem Żegota Nadolski! Ktoś ty i czego chcesz?!

Jakby kto kubeł lodowatej wody wylał na szlachetkę. Zamarł, a potem cofnął się dwa kroki, przyglądając się podejrzliwie Żegocie. Ważył widać, czy aby jakiś wieśniak okpić go nie chce, ale uznał w końcu słowa siwego mężczyzny za prawdę, gdyż spokojnie już rzekł:

– Aaa... Wybacz waćpan, żem nie poznał, ale nigdy okazji spotkać acana nie miałem, a strój... – Nie dokończył, machnąwszy tylko niezdecydowanie ręką. – Jestem Grzegorz Krupiński herbu Krupka, nowy administrator pana chorążego sanockiego Jerzego Stano w Nadolanach.

Skłonił lekko głowę, wciąż jednak łypiąc niepewnie ku ubłoconemu człowiekowi po drugiej stronie potoku.

– Czołem, panie Krupiński! – odpowiedział Żegota, odwzajemniając lichy ukłon. – Czemu mnie waćpan wołasz? Stało się co?

– Zapytać acana chciałem, jakim to prawem strugę graniczną na swoją stronę kierujesz i bez uzgodnienia rowy jakoweś kopiesz za miedzą. Wszak wspólna jest woda w potoku i chyba wypadaloby rzecz całą z jegomości chorążym ustalić, nieprawdaż?

Przejechawszy palcami po wąsach, niby to zastanawiając się, pokiwał Nadolski głową. Spode łba popatrzył i wycedził złośliwie:

– Ustalić, powiadasz waść... Hmm... Jakoś pan chorąży nic ze mną nie ustalał, kiedy mój majątek Trofanowi Skórze w dzierżawę puszczał, ani mi się z owej nie skwitował do dzisiaj. A wody... – machnął ręką, pokazując na błotniste pola – ...aż nadto chyba dla wszystkich. Nieprawdaż, panie Grzegorzu Krupiński herbu Krupka?

Nie zmieszał się administrator Nadolan, tylko uśmiechnął krzywo, mrużąc przy tym oko.

– Taaak... – wymruczał przeciągle. – Mówił mi pan chorąży, że z waszmości trudny sąsiad... Podobno mój poprzednik nie chciał ci w drogę wchodzić, panie Żegota, ale ja mało strachliwy jestem...

– W rzyci mam, co pan Stano waćpanu prawił! – przerwał mu Nadolski zły, że go od roboty oderwano. – Na swoim jestem i co chcę, robię!

Ani krztynę jego słowa nie zmieniły chłodnego tonu, jakim Krupiński dokończył:

– ...tedy nie zdziw się, mości panie, jak chłopom swoim nakażę wyżej na Pielnicy kanał kopać i ku sobie wodę poprowadzę. Skończyły się, panie Nadolski... – powoli poprawił pas, błędząc ręką przy szabli – ...czasy waćpana samowoli. A czego prawem nie dojdę, to inaczej potrafię... Taak, jakem Grzegorz Krupiński, potrafię...

Zagotowało się w głowie Żegocie na taką odpowiedź, ale zaraz powściągnął cisnące się na usta niepolityczne słowa. Zmierzył wzrokiem stojącego naprzeciw, prychnął wzgardliwie i odwracając się na pięcie, rzucił:

– A spróbuj waćpan!

Nie patrzył już na szlachetkę, kiedy doleciało go zza pleców:

– Spotkamy się jeszcze, panie Nadolski! Więc nie mówię żegnaj, ale do zobaczenia!

Zdało mu się, iż usłyszał zduszony śmiech, lecz kiedy spojrzął przez ramię, dostrzegł tylko, jak Krupiński odchodzi do pozostawionego w tyle wierzchowca i wskakuje lekko na siodło. Tak zgrabnie to uczynił, iż od razu poznał Żegota, że mimo postury groźny musi być z nowego administratora Nadolan człowiek, najpewniej w wojaczce obyty.

Zaklął Nadolski szpetnie pod nosem, kwitując grubym słowem myśl o nowym kłopotcie, jaki mu przybył. Zadarłszy głowę, popatrzył z wyrzutem na nisko ciągnące po niebie chmury, jakby tam szukając wytłumaczenia, czemu zawzięła się na niego Opatrzność. A potem, podchodząc do zbitych w kupę chłopów, warknął:

– Czego jak kołki stoicie?! Sama się robota nie robi!

Markotny i burkliwy był aż do zmroku, kiedy to nakazał do domów wracać. Od razu też przy posiłku pana Wawrzyńca wypytał, czy też słyszał coś o nowych porządkach w Nadolanach, lecz stary rękodajny nic o tym nie wiedział. Musiało być, że dopiero w ostatnim czasie nazaczył pan Stano nowego administratora w sąsiednim folwarku. Polecił więc Żegota Sulatyckiemu czegoś więcej się wywiedzieć o Krupińskim przy okazji niedzielnego wyjazdu do kościoła w Bukowsku. Siłą rzeczy rozmowę słyszał siedzący także przy stole Mikołaj Podhorecki, który napomknął, iż od chłopów w Tarnawce się dowiedział, że jakiś Krupiński, dawny lisowczyk, starał się u Siemieńskiego o dzierżawę przysiółka, ale do ładu z właścicielem nie doszedł, więc rzecz niczym się skończyła. Choć pan Mikołaj stwierdził, że trudno orzec, czy to ten sam może być człowiek, jeszcze bardziej sposepniał Żegota. Pomyślał bowiem, że wyzywający ton nieznanego wynikał właśnie z powodu jego służby w lisowskiej formacji, która gromadziła wszelakich zabijaków. Co za tym idzie, Krupiński mógł być gorączka, co tylko kłopoty zapowiadało w przyszłości. Ten sam wniosek widać i pan Wawrzyniec wysnuł, gdyż rzekł, poważnie głową kiwając:

– Jeśli w istocie takiego sobie pan chorąży sanocki administratora wziął, to widać, że na udry chce iść. Jakby co, zawsze może rzec, iż to sprawa pana Krupińskiego, nie jego, niewiedzą się co do czynów zarządcy zasłaniając. Sprytnie

to sobie wykoncypował, wiedząc, że w Sanoku przed sądem mało zdziała. – Zerknąwszy na spochmurniałego gospodarza, dodał weselszym głosem: – Nie martw się waćpan na zapas, bo różnie może być. Dowiem się co trzeba i rada jakaś się znajdzie. No i przecież panowie Stiller z Murrayem zajadą, więc naradzić się będzie można. Poza tym.. – zmrużył oko – ...nie takim jak ów Krupiński dawałeś acan radę. Pamiętam, jakieś pana Kruszewskiego, świeć panie nad jego duszą, przed gospodą położył, z czego przecież przyjaźń wasza później się zrodziła. Nawet Barda waszmości nie strzymał, chociaż jak nikt szablą robić potrafił.

– Aaa! – Nadolski machnął tylko ręką, wcale niepokieszony słowami rękodajnego.

Zainteresował się za to pan Podhorecki nieznaną sobie historią. Spoglądając ciekawie, z podziwem nawet, na siwowłosego szlachcica, zapytał:

– To taki fechmistrz z waszmości?

– Ba! – odpowiedział zamiast Żegoty Sulatycki, nadymając się, jakby o niego to chodziło. – Słowem waćpanu ręczę, że w całym województwie lepszego nie znajdziesz! Nawet Jacek Dydyński nie sprostałby panu Nadolskiemu, tak w szabli biegły!

– Nie gadaj acan... – mruknął niechętnie gospodarz, wcale niekontent z pochwał – ...bo ręka mi odwykła od broni. Łopata teraz więcej niż szablą robię. Nadto nie zamierzam się wdawać w zbędne awantury, które niczego dobrego zwykle nie przynoszą. Swojego pilnować będę, ale kłopotów żadnych nie pragnę.

– To się rozumie! – przyznał skwapliwie pan Wawrzyniec, zaraz jednak dodał: – Ale w potrzebie zawsze lepiej dobrze niż źle fechtować. Ot co!

– Prawda! – potwierdził ochoczo Podhorecki. Popatrzył przy tym na Żegotę z takim zainteresowaniem, iż jasne było, że pragnąłby coś więcej o dawnych sprawach usłyszeć.

Trudno zresztą było się dziwić rekonwalescentowi, gdyż nudził się już, całymi dniami we dworze siedząc. Nie spełnił jednak Nadolski jego niemej prośby. Podnosząc się ociężale od stołu, rzekł krótko:

– Wybaczcie waszmościowie. Odpocząć nieco pójdę, bom zmęczony.

Garbiąc się od nowej troski, wyszedł z izby i skierował się do alkowy, gdzie właśnie pani Agnieszka usypiała dziecko. To z nią teraz najbardziej chciał pomówić, dzieląc się zmartwieniem. Wiedział bowiem, że jak mało kto jest rozumna i jak nikt pocieszyć go potrafi w strapieniu. Jak zwykle i tym razem się nie omylił. Ledwie



trzy kwadransy później, uspokojony trochę, zapadł w drzemkę, opierając siwą głowę na kolanach żony.

Późny już wieczór nadszedł, kiedy zbudziło śpiącego Żegotę szczekanie psów. Zaspany, jak to zwykle bywa, kiedy kto za wcześnie sobie na odpoczynek pozwoli, usiadł na skraju łóżka, wpatrując się w ciemność. Agnieszki już nie było.

Uśmiechnął się lekko pod wąsem, wsłuchując się w równy oddech Maćka, przerywany czasem dziecięcymi mlaśnięciami. Wstał ostrożnie, aby nie zbudzić synka, buty wziął w rękę i na palcach skierował się ku drzwiom. Zaklął w duchu, kiedy znów do uszu doszło go ujadanie z dziedzińca. Maciek jednak spał twardo, nic sobie nie robiąc z hałasów. Widać czuł się bezpieczny pod rodzicielską opieką, jak z czułością pomyślał Żegota, wolno domykając za sobą drzwi.

Nadolski wzuł buty i zamiast do jadalni, skąd dochodziły odgłosy rozmowy, skierował się ku drzwiom wejściowym. Szczekające psy jasno dawały znać, iż pewnikiem ktoś obcy kręci się w pobliżu. Jako że żaden pacholek nie przyszedł z wiadomością, kto zacz, gospodarz sam postanowił sprawdzić, co też wzbudziło niepokój zwierząt.

Kiedy stanął na ganku, owionął go mroźny wręcz podmuch wieczornego powietrza. W ciemności wirowały drobinki spadającego śniegu, które niknęły w błocie od razu po dotknięciu ziemi.

Chwila minęła, nim wzrok Żegoty przywykł do ciemności. Przeszedł go dreszcz od nagłego chłodu, na co mimowolnie zaklął szeptem. Wyteżył wzrok, ale dopiero po dłuższym czasie dostrzegł kręcące się przy bramie psy. Ucichły nagle i jedynie powarkiwaly, wyczuwając widać kogoś po drugiej stronie ogrodzenia. Nadolski rozejrzał się wokoło, a jako że nic innego pod ręką nie miał, wziął sękaty kij i tak uzbrojony zszedł z ganku. Z niesmakiem pomyślał o siedzących w jadalni, którzy zajęci rozmową nie zwrócili uwagi na to, co dzieje się na dziedzińcu. Zaraz zezłościł się jeszcze bardziej, gdyż nie dostrzegał żadnego sługi, który powinien pilnować obejścia. Prychnął gniewnie, pomyślawszy, że nazbyt jest łaskaw dla swoich pacholeków i zbyt lekką ma rękę. Zły, poprzysiągł sobie w duchu, że ukróci zbytne rozluźnienie, choć w głębi serca wiedział, iż nic z tego nie będzie. Zajęty takimi myślami podszedł ostrożnie ku bramie. Uspokojone obecnością gospodarza psy całkiem ucichły i kręciły mu się przy nogach.

Już nabierał w płuca powietrza, aby zawołać, kto zacz za bramą się czai, kiedy uprzedził jego zamiary łomot uderzającej pięści i dobiegający z drugiej strony głos:

– Verfluchte Scheiße! Jest tam kto?! Pomarli wszyscy czy co?!

Nie potrzebował więcej Żegota, aby pojąć, czyje to były słowa. Uśmiechnął się szeroko, odrzucając na bok trzymany w dłoni kij. Chwyciwszy skobel, krzyknął:

– Nie sierdź się, mości Stiller, i wybacź opieszłość! Gdzieś mi psubraty pachółki poznikały!

– Jegomość Żegota! Nareszcie!

Otworło się ze skrzypnięciem skrzydło bramy, za którą stał, trzymając konia za wodze, nie kto inny, jak wysoki Saksończyk, dawny sługa Jego Eminencji biskupa Próchnickiego, obecnie administrator wsi Beniowa w dobrach Eryka Herburta, przede wszystkim zaś przyjaciel serdeczny właściciela Wygnanki, z którym już niejedno przeżył. Skoczył tedy pan Nadolski ku niemu i uściskał go wylewnie, bo rad był szczerze, że druż przybył na wysłane mu zaproszenie. Co prawda posłany z listem Bejda wrócił, przynosząc odpowiedź, iż nie omieszka niemiecki oficer skorzystać z uprzejmości, ale zawsze różnie być mogło. Teraz zaś spełniła się przywieziona przez Tatara obietnica.

Długą chwilę trwało gorące powitanie, nim rozejrzawszy się wkoło, Żegota zapytał:

– A gdzie to acan pana Murraya zostawiłeś? Myślałem, że razem przyjedziecie.

– Aaa! – Oficer uśmiechnął się tajemniczo i mrugnął. – Z Williamem to inna sprawa. Opowiem waszmości, jak tylko gdzieś usiądziemy. Ale nie troskaj się nadto. Przyjedzie, jeno że trochę później. Ma bowiem... – zachichotał – ...pewne rzeczy na głowie, które bardzo go teraz absorbują.

– Chodźże więc waćpan prędko, boś pewnie zmarzł, a mnie ciekawość zżera, co też u pana Williama się dzieje, a i waszmość musisz mi opowiedzieć, co u ciebie.

Ujął przyjaciela pod łokieć, wprowadzając go na dziedziniec. Miał krzyknąć, aby resztę domowników przywołać, lecz nie musiał tego czynić. Usłyszeli widać nareszcie, iż coś się dzieje, bo wylegli przed dworek zaciekawieni.

Rozświetliło się podwórze od wyniesionych przez panią Agnieszkę i pozostałych mieszkańców i gości kaganków, wylażł ze stodoły zaspany Semko, który ukłoniwszy się nisko przybyszowi, pędem odebrał od niego wierzchowca. Ożył majdan przed dworkiem tak, jakby to nie był późny wieczór listopadowy, ale wesoły letni dzień. Żywo witał Saksończyka pan Sulatycki, uśmiechała się, prosząc do domu, pani Nadolska, a i pan Podhorecki, mimo słabości, także poddał się radosnemu

nastrojowi, z opowieści pana Wawrzyńca znając szlachetność i zasługi przedstawionego mu oficera. Nawet dzieci wybiegły na ganek, nieubrane zresztą odpowiednio na chłód, za co ofuknęła je pani Anna, zaganiając Maćka i Marysię na powrót do środka.

Ruch się zrobił i gwar w całym domu. Przywołana przez Bejdę kucharka żwawo do roboty się zabrała, a gospodarze z gośćmi, zajęci żywą rozmową, ruszyli do jadalni. Najprzyjemniej i najcieplej tam było z racji rozpalonego w kominie ognia. Zasiadł przemarznięty Saksończyk blisko paleniska i wyciągnął skostniałe ręce, na co pan Nadolski raz jeszcze jął go przeproszać za to, że przed bramą musiał stać. Kajać począł się i pan Wawrzyniec, na koniec zaś sama pani Nadolska o wybaczenie poprosiła. Werner Stiller umniejszał swoją niedolę, ręcąc słowem, że ledwie co przyjechał, jak mu pan Żegota bramę odemknął. Nie przekonał jednak Sulatyckiego, który mu solidnie grzanego miodu do kielicha nalał, dowodząc, iż najlepiej chłód od środka przegnać. Tak więc, przez wszystkich zachęcany, musiał nieszczęsny Niemiec ćwierć kwarty<sup>65</sup> na pusty żołądek wypić, od czego też od razu oczy zaczęły mu się błyszczeć. W istocie lepiej się poczuł, gdyż ma w sobie trójniak ową doraźną właściwość. Zaraz też uśmiech szeroki zagościł na twarzy gościa, tym bardziej iż czuły na wdzięki niewieście dostrzegł wpatrzony w niego z ciekawością oczy Anusi Podhoreckiej. Miała bowiem żona pana Mikołaja ów dziwny czar dany niektórym niewiastom, który sprawiał, iż zdawała się uwodzicielska, choćby nawet uwodzić nie myślała. Obdarzona nim białogłowa z jednej strony cieszyła się zwykle powodzeniem, z drugiej, niestety, choćby i najbardziej była stała, za lekką mogła uchodzić.

Podkręcił odruchowo Saksończyk sterczącego wąsa, długi rapier w kąt odstawił dla wygody, a potem jął opowiadać o swojej podróży do Wygnanki. Od słowa do słowa przeszedł też do wyjaśnienia, czemu Szkot nie dołączył do niego, tylko wciąż jeszcze pozostawał w puszczyźnie mu w dzierżawę Sikawcu.

– Pamiętasz, mości Żegota, pana Winnickiego z Zatwarnicy? Zaczny to człowiek, chociaż, jak wiesz, strachliwy niezmiernie. Wyobraź sobie tedy, że kiedy William objął w dzierżawę przysiółek nad Sanem, umyślił sobie nasz pan Jeremi go wyswatać. I to nie z byle kim, bo wybrał dla niego jakąś swoją krewniaczkę, siostrzenicę zdaje się, którą niby to w gości zaprosił do siebie. Przyszło mu bowiem do głowy, że skoro jegomość Herburt taki łaskawy dla Murraya, musi w zażyłości z nim być, a jeśli tak, warto by się jakoś z naszym Szkotem spowinowacić. Nic to, że

dopiero co indygenat uznany, ani też, że z Williama dość stary przecież kawaler. Tak się pan Winnicki z dziewczką wkoło niego zakręcili, że teraz nie może się od nich opędzić. A niewiasta ta, jak pisze mi mój przyjaciel, to istny hegemon. Wszystkim chciałaby zarządzać i nie znosi, aby się jej woli kto sprzeciwiał.

– Co też waćpan! – Pani Agnieszka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– A tak, jejmości pani Nadolska! Pod pantofel by naszego druha najchętniej wzięła, a ten, jak piskorz się wije, lecz umknąć nie potrafi. Jak zbawienia wyjazdu do Wygnanki wygląda.

– Czemu więc nie jedzie? – Żegota rozłożył w zdziwieniu ręce.

– Ha! Bo problem miał! Zanim bowiem list od waćpana otrzymał, tak go Winnicki z siostrzenicą przegadali, że obiecał im prawie, iż w Zatwarnicy razem Boże Narodzenie spędzą, choć oni przecież ruskiej wiary. Od tego czasu panna co rusz zaczęła go w Sikawcu nawiedzać, niby to ustalając szczegóły świętowania, żeby, jak powiada, jegomości sąsiadowi we wszystkim dogodzić, aby jak w domu rodzinnym się czuł. O każdy drobiazg się pyta, o zwyczaje szkockie, potrawy i co jej tam do głowy przyjdzie. A tak przygniata ową troską i pozorną usłużnością naszego Murraya, że ten już ledwie oddech złapać może. Bo kiedy prawi, żeby panna po swojemu robiła, to ona obraża się, złości, lamentuje, że widać pan William nierad albo też zły z jakiejś przyczyny, i tak kota ogonem odwraca, aż się biedak kajać musi i przeproszać, chociaż sam nie wie za co.

Sulatycki zaśmiał się głośno, dolewając gościowi miodu. Rzucił przy tym, zerknąwszy ku obecnym paniom:

– Oj, znam ja takie niewiasty, które lepiej niż niejeden jurysta na swoim potrafią postawić, a powiadają, że niby słaba to płeć.

– Prawda! – przyznał wesoło Podhorecki. – Dobrze znać ją w powiedzeniu, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

– Co też ty...! – fuknęła na niego pani Anusia, zaraz też odwracając się ku Stillerowi i zachęcając: – Niech pan dalej opowiada!

– Co tu więcej mówić. Schudł podobno William osaczony przez sąsiadkę, zmarkotniał...

– Pewnie panna niespecjalnej urody – mruknął pan Wawrzyniec, narażając się na piorunujący wzrok pani Nadolskiej.

– A wcale nie! – Saksończyk pokręcił głową. – Całkiem ładna, jak pisał mi Murray. Tyle że, za przeproszeniem jejmości... – skłonił się w stronę gospodyni i pani Podhoreckiej – ...straszna z niej cholera.

Wyszczrzył zęby Żegota, lecz zaraz zrzędała mu mina, kiedy przyszła mu nagła myśl do głowy.

– To znakiem tego – rzekł niepewnie – nie przyjedzie pan Murray do Wygnanki, skoro obiecał...

– A nie! – Oficer machnął ręką. – Przyjedzie! Nie mówiłem, iż obiecał, jeno że prawie obiecał, zanim do niego ten waszmości Tatar z zaproszeniem dojechał. A to znaczna różnica! Potem zaś nic już nie gadał. – Uniósł palec wskazujący dla podkreślenia swej racji. – Umówiłem się tedy z nim, że list mu wyślę, jakoby nasz wspólny przyjaciel w nagłej potrzebie się znalazł, które to pismo ma pannie okazać, usprawiedliwiając konieczność wyjazdu. Przed wyruszeniem do was pachółka mu pchnąłem, tak że pewnie William już w drodze albo też zbiera się i lada dzień na koń wsiądzie. Pewnie nieukontentowana będzie panna, ale trudno jej będzie argument znaleźć, aby świętowanie Murray nad przyjacielskie obowiązki przedłożył, nieprawdaż?

– Nieładnieście waćpanowie postąpili – skarciła gościa pani Nadolska, chociaż jej twarz zupełnie co innego mówiła. – Przecie można było rzecz całą szczerze przedstawić, a nawet ową pannę z wujem do nas zaprosić!

– Ooo! Co to, to nie! – zaoponował Saksończyk ze śmiechem. – Gdybyśmy ową heterę, jak nazywa ją William w listach, waćpani do Wygnanki sprowadzili, to pewnie byłabyś nas przekląć gotowa! A tak, może i drobnym kłamstwem, ale spokój wszystkim został zapewniony. Szkot przecie do Sikawca wróci i panna niejedną jeszcze będzie miała okazję, aby go ku sobie... – zmrużył złośliwie oko – ...przekonać. Takie kłamstewko to nie grzech, jak mawiał świętej pamięci biskup Próchnicki, świeć Panie nad jego duszą.

Uśmiechnęli się wszyscy na te słowa, prócz Żegoty, który spoważniał nagle i wycedził cicho:

– Może wcale to nie takie kłamstewko, panie Stiller, może i nie kłamstewko...

– Co też waćpan? – Twarz Saksończyka stężała w jednej chwili.

– Nic! – Nadolski potrząsnął głową, jakby odganiając złe myśli. – Wybacz, że nie w porę nastrój zmaciałem niefortunnym słowem! Dziś nie ma co się tym zajmować! –

Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Napijmy się, a pomówimy o tym przy innej okazji. Zgoda?

Niemiec powoli skinął głową.

– Zgoda.

Zaraz też wrócił mu na twarz wesoły wyraz, tym bardziej iż polał szczerze do kielichów pan Sulatycki, rozumiejąc, że na rozproszenie chwilowego frasunku najlepsze zawsze są wino i miód. A kiedy na stół trafiać zaczęły parujące mięsiwo i wędliny, zupełnie wszyscy zapomnieli o drobnych codziennych strapieniach.

Nazajutrz nastał dzień pogodny, choć mroźny. Słońce wzeszło i świeciło wesoło po okrytej porannym szronem trawie i gałęziach drzew. Zabieliły się szadzią odległe lasy porastające góry, a woda w potokach okrzepła, skuta cienką warstwą przybrzeżnego lodu. Mimo chłodu weselej się jakby zrobiło, gdyż światło zastąpiło niedawny listopadowy mrok, a błoto zamieniło się w twarde grudy. Nadchodząca zima porządkowała ślady jesiennego rozkładu, tak jak czas oczyszcza ludzkie i zwierzęce ciała, pozostawiając z nich jedynie bielejące niczym śnieg szkielety.

Tuż po śniadaniu Żegota zaproponował Saksończykowi konną przejażdżkę, jakoby dla pokazania zmian, jakie wprowadził w folwarku, tak naprawdę jednak, aby z nim spokojnie na osobności pomówić. Miał bowiem kilka spraw, w tym i ową z Tarnawki, w których chciał się do Stillera o radę zwrócić. Dobrze rozumiał to oficer, dlatego też szybko się zebrał do drogi, zaciekawiony jakoby gospodarką, którą teraz przecież sam się w Beniowej także zajmował.

Pojechali więc niespiesznie na południe, w stronę pagórka, który Garbem nazywano, przemierzając opustoszałe pola, a potem na lewo skręcili w kierunku Pielnicy. Opowiadał właściciel Wygnanki o swoich planach, pokazując przekopy i przygotowane pod fundamenty młyna rowy. Niby wypytywał się o to pan Stiller, lecz tak naprawdę cierpliwie czekał, aż przejdzie jego przyjaciel do rzeczy. Nie ponaglał go jednak, wiedząc, iż najlepiej, jak człowiek samemu o troskach zacząć opowiadać. Kiedy rzucił Żegota krótko o sprzeczce z Krupińskim, pomyślał Saksończyk, że w tym cała sprawa, ale omylił się, gdyż wprost zapytany, Nadolski pokręcił głową.

– Z nim to sam sobie poradzę. Ot, sąsiedzkie swary, jak zwykle bywa. Jest kłopot, przyznam, bo podobno nowy administrator u chorążego sanockiego to dawny lisowczyk, więc o zwadę nie będzie trudno, a i do szabli przyjść może. Ale, chwalić

Boga, jeszcze zdatny jestem do bitki i jakby co, to za mną staną chłopci, których bez trudu uzbroję. Najpierw jednak dogadać się spróbuję, bo wcale mi jakieś awantury niepotrzebne.

– Rozumiem. – Niemiec skinął głową, zeskakując jak i Nadolski z wierzchowca. – Czym się więc waszmość trapisz?

Żegota podrapał się po głowie i westchnął. Popatrzył przed siebie w kierunku przepastnych lasów.

– Tym co zwykle, panie Stiller. Cięży mi na sercu ta jedna stara sprawa, którą przecież znasz waćpan. O ową dziewczynkę, pewnie już pannę, mi chodzi. O Miriam, córkę owej Ryty spalonej w Sanoku. – Popatrzył na Niemca, a kiedy ten nic nie rzekł, dodał: – Niby wiem, że dawno to było, niby rozumiem, że niepodobna obietnicy dotrzymać, ale gryzie mnie to. I tak czasem sobie myślę, jak jaki kłopot przychodzi, że to kara dla mnie, iż jej nie odszukałem. A wtedy bać się zaczynam, iż gorsze mi los przyniesie utrapienia, jeśli tej sprawy nie skończę. Jakbym klątwą był przez to obłożony.

Parsknąwszy, Niemiec pokręcił gwałtownie głową.

– Co też waszmość mówisz!

Podszedł bliżej, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Sam wiesz, że szukać jej to jakby igły w stogu siana szukać! – Zamilkł na moment, by po chwili rzeczowo stwierdzić: – Jak biskup Próchnicki żył, wtedy, mości Nadolski, szli różni na Krym, pytając to tu, to tam. Co mogli, wywiedzieli się, chociaż niewiele z tego przyszło. Ja sam pilnowałem i przesyłałem ci wieści. Ale teraz? Kto szpiegów opłaci? Kto odpowiednie wpływy ma i koneksje, żeby w poselstwach czy wśród kupców swoich ludzi umieszczać? – Popatrzył wprost w oczy Żegocie. – Sam pojedziesz? I co? Od domu do domu będziesz chodził? A kto ci majątku przypilnuje? Kto o rodzinę zadba? Co?

Skrzywił się siwowłosy szlachcic i głowę spuścił. Przecierając twarz palcami, wycedził cicho:

– Wiem, wiem...

– Też czasem myślę o tym – ciągnął Stiller – bo pamiętam, com waszmości na Sobieniu obiecał. Lecz zważ, drogi przyjacielu, co my teraz możemy. Ja, ledwie administrację mam, dzięki wstawiennictwu waćpana, u jegomości Herburta w Beniowej. William w Sikawcu jako dzierżawca na przysiółku siedzi. Gdyby

choć przy wojsku, u pana hetmana Koniecpolskiego... – Nie kończąc, machnął ręką zrezygnowany. – Szkoda gadać! Urządził nas biskup Grochowski, nie ma co! Odplacił za wierną służbę u swego poprzednika!

Zmarszczył brwi, spoglądając przed siebie.

– Gdyby precz odesłał tylko, nie miałbym żalu! Ale mało mu było! Pana hetmana przekonał do swoich racji, tak że ani pomyśleć o listach przepowiadanych. Myślałem... – zniżył głos – ...żeby się u jakiegoś wielkiego pana na służbę zaciągnąć, ale i tam miejsca nie znalazłem. Chyba żeby do Radziwiłła na Litwę jechać, to może. Lecz gdzie mnie, kulawemu, błąkać się po niepewnej prośbie...

Odetchnął głęboko i głową pokiwał. Potem, jakby dość mając narzekania, klepnął Żegotę w ramię i powiedział:

– Nic to, mości Nadolski! Przyjdzie czas, że los się odmieni! A ty o klątwach jakowychś nie myśl, bo też sam na swoją głowę jaki smutek prawdziwy ściągniesz. Jest jak jest i chwalić Boga, zdrowi wszyscy jesteśmy i dach nad głową mamy. Jak kogo spotykam, co na wschód jeździł, zawsze o Murtazę pytam. Zdarzyło się nawet, że poprosiłem o pomoc jednego oficera od księcia Jaremy, który z tatarskim murzą sprzymierzony, bo wodę na szable wylali<sup>66</sup>. Może Opatrzność sprawi, że w najmniej spodziewanym momencie czegoś się dowiemy. Teraz czekać trzeba.

– Taak... – odparł Żegota. – Czekać. – Poglądził dłonią chrapy trzymanego za wodze konia. – Mała to pociecha dla mnie, bo sam sobie poprzysiągłem, że rzecz dokończę. Ale cóż... – spojrzął na Saksończyka – ...wiem, że masz waćpan rację. I ta niemoc moja najbardziej mnie gryzie.

Tego ostatniego, jakże prawdziwego stwierdzenia, nie umiał skwitować Saksończyk żadnym słowem ani tym bardziej pocieszyć przyjaciela. Sam miał takie samo nieznośne poczucie własnej bezradności, zwłaszcza że przyzwyczajony do innego życia i w świecie bywały, teraz w Beniowej czuł się jak ptak uwięziony w klatce. Ani umiał gospodarować, ani cieszyła go praca na roli i pilnowanie chłopów. Trudno było mu sobie wyobrazić, aby tak miał spędzić resztę żywota. Pocieszał się jednakże, iż zawsze gorzej być mogło, niż jest, szczególnie wobec kalectwa, jakie go w przeszłości dotknęło.

Dłuższą chwilę trwało milczenie. Prowadząc za uzdy konie, przeszli wzdłuż potoku i oglądali ciągnące się zmarznięte skiby zaoranych pól. Przygnębione były



ich martwa monotonia i bezruch. W końcu, aby przełamać niewesoły nastrój, żywszym głosem zagadnął Żegota:

– Inną mam jeszcze do waćpana sprawę. Ta prostsza się zdaje, a waszmości doświadczenie, jak mniemam, przyda się do jej szczęśliwego zakończenia.

– Mów acan! – zachęcił Stiller, rad, że odmienną kwestią niż przykre rozważania będzie mógł zająć umysł. – We wszystkim chętnie usłużę!

– Poznałeś wać pana Podhoreckiego, który z żoną u mnie gości. Widziałeś, że ranny w głowę, prawda?

– Tak, trudno byłoby bandaża nie zauważyć. Ale nie pytał o to, a on sam nie mówił, skąd ta kontuzja.

Żegota uśmiechnął się lekko, mrużąc tajemniczo oczy.

– Posłuchaj tedy, bo tajemnicza i niezwykła to historia, a potem powiedz waszmość, co sądzisz i jaką masz radę. Nie ukrywam bowiem, iż zależy mi, aby sprawę tę nie tylko wyjaśnić, ale i zakończyć, co panu Mikołajowi oraz właścicielowi folwarku, Siemieńskiemu, przyobiecałem. Zdarzyło się to niedawno w nieodległej wiosce, co zwą ją Tarnawka. Zaczęło się zaś od tego, że umarł siedzący tam krewniak żony posiadacza przysiółka, dawny awanturnik Stanisław Popiel...

Popłynęła opowieść, nieprzerywana przez Saksończyka żadnymi pytaniami. Zasłuchał się Stiller, czasem tylko kręcąc głową z niedowierzaniem. Nadolski zaś szczerze i nie pomijając żadnego szczegółu, rzecz całą o zaistniałych wypadkach wyłożył. Nawet historię o kunach, jaką uraczyła go pani Siemieńska, dokładnie przytoczył. Wszystko, by dać przyjacielowi pełen obraz niewyjaśnionych zająć, do których doszło w nawiedzonym dworku.

Kiedy skończył, milczał Niemiec dłuższą chwilę, marszcząc czoło i gładząc się po twarzy. Widać było, iż zastanawia się głęboko, co odrzec. Wreszcie, ułożywszy sobie w głowie wszystko, powiedział:

– Zlecił mi w przeszłości biskup Próchnicki wyjaśnienie podobnej historii. O miejscu i osobach, związany przysięgą złożoną Jego Eminencji, świeć Panie nad jego duszą, mówić nie mogę. Ale rzecz ogólnie waszmości opiszę. Otóż było w jednym majątku, że nagle poczęły się sprzęty same przesuwać, coś w ściany waliło, drzwi się przez nikogo niedotykanie odmykały lub zamykały, a nawet nocą, podczas snu, coś dusiło domowników jak zmora. Żaden ksiądz wezwany dla

odprawienia modłów nie pomógł, więc tamtejszy proboszcz do biskupa posłał, a ten mnie z Murrayem nakazał rzecz całą własnymi oczami ocenić. Pojechaliśmy tedy i na blisko miesiąc zagościliśmy w tym, rzekomo nawiedzonym, domostwie. Mało wierzyłem w te cuda, bardziej się krotchwili czyichś spodziewając, podejrzewałem też, że znajdę kogoś, kto chce mieszkańców z jakiejś przyczyny przestraszyć i z domu przegnać. Zwykle tak bowiem bywa, iż człowiek stoi za najdziwaczniejszymi nawet zdarzeniami, dla własnej korzyści strach chcąc wywołać. W tym jednak wypadku już drugiego dnia po przyjeździe musiałem uznać, iż w istocie coś dziwnego się dzieje. Kiedyśmy bowiem siedzieli wszyscy przy posiłku, na moich oczach unosić poczęły się ze stołu talerze i z hukiem o ziemię walić. Najbieglejszy w swej sztuce kuglarz nie potrafiłby tego sprawić. – Stiller uniósł kąciki ust, wspominając z nostalgią dawną przygodę. Pokiwał głową, odetchnął głęboko i lekko machnąwszy ręką, dokończył: – Cóż. Nie będę zanudzał waćpana długim opisem naszego dochodzenia. Dość, że ustaliliśmy, iż wszystkie te tajemnicze zjawiska zachodzą w obecności jednej młodej panienki, która właśnie lata sprawne osiągnęła. Ani była świadoma, że z niej płynie owa tajemnicza, złośliwa siła, ani też nie umiała nad nią zapanować. Kiedy jednak pod pozorem jakimś posłaliśmy ją na dni kilka do krewnych, wszystko jak ręką odjął ustało. A jak wróciła, na nowo się zaczęło.

– Wiedźma?

– Gdzie tam! – Saksończyk pokręcił głową. – Żadna wiedźma, panie Nadolski. Zwyczajna dziewczka, w której natura poczęła się burzyć. Czasem bowiem tak bywa, iż siła żywotna, która się w człowieku mieści, stłamszona i niemogąca znaleźć ujścia dla naturalnych popędów, w ten sposób się objawia.

– I cóż dalej było?

– Dalej? – Stiller się zaśmiał. – Ot, medyk biskupa panie zalecił mleko makowe podawać i czym prędzej za męża ją wydać. Kiedy zaś tak się stało, skończyły się wszystkie kłopoty. Do dziś żyje sobie zwyczajnie owa niewiasta, teraz już mężatka i matka dzieciom. – Twarz oficera spoważniała nagle. Skubnąwszy swe sterczące wąsy, rzekł: – Tu jednak, jak z opowieści waćpana wnoszę, sprawa trudniejsza. Rzecz bowiem dotknęła już owego Nanowskiego, a po jego wyjeździe kolejnych mieszkańców dworu. Nie może mieć więc owa sprawa związku z nimi. – Ściągnął brwi w zamyśleniu. – Wnosiłbym, że może ktoś ze służby jest ową przypadłością dotknięty, ale powiedziałeś acan, iż ze sług nikt we dworze nie nocuje ze strachu.

Tak więc innego trzeba szukać wyjaśnienia. – Przerwał na chwilę, mrużąc oczy. – Sam nigdy się z tym nie spotkałem, ale są w niektórych księgach opisy podobnych wypadków. Zwykle tłumaczy się je pokutującą duszą, która z jakichś względów nie może opuścić tego świata. Uwięziona w miejscu, gdzie żyła przed śmiercią, nęka nowych mieszkańców, dopóki w jakiś sposób coś nie przyniesie jej ulgi. Najczęściej ponoć chodzi o jakieś nieskończone sprawy albo też przewiny, którym należy zadośćuczynić. W jednej starej księdze znalazłem też, że jeśli ktoś nagłą śmiercią umrze, jego dusza może być nieświadoma swego stanu i usiłuje po staremu żyć.

Zmarszczył się Żegota na ostatnie słowa i wężem nerwowo poruszył, mrużąc pod nosem:

– To samo mój pocztowy, Semko, prawil.

Niemiec skrzywił się półgębkiem w wyrozumiałym uśmiechu.

– Nie dziw się, mości Nadolski. Czasem nawet w chłopskich zabobonach jest ziarno prawdy. Tak samo bowiem każdy człowiek życia zaznaje, a wiedza o niektórych sprawach bardziej z doświadczenia niż z rozumu wynika. Inna rzecz, że sposoby wieśniaków na rozwiązywanie tych kwestii niezbyt są przyjemne i mądre. Najczęściej spalą kogoś albo też, jak sam wiesz, trupa wygrzebią i zbezczeszczą. Bardziej chodzi w tym o to, aby jedną straszną rzecz inną jeszcze straszniejszą przyćmić niż o prawdziwe sprawy rozwiązanie. Stąd też na przykład takie kłopoty, jakie były w Zatwarnicy naszym udziałem.

Westchnął Żegota ciężko na wspomnienie Anusi Rudyłowskiej i głową pokiwał. Podrapawszy się po głowie, zapytał po dłuższym milczeniu:

– Co więc wać radzisz?

– Na początek sam chciałbym się owemu domostwu przyjrzeć. Może i mnie się owo lichy objawi? – Zaśmiał się gardłowo i mrugnął wesoło. – Potem zaś, jak będzie można, z chłopami pogadam i dowiem się trochę więcej o żywocie tego, jakże mu było, Stanisława Popiela. W tym bowiem chyba tkwi klucz do rozwiązania sprawy.

– Nawet jutro mogę z waćpanem do Tarnawki jechać – zadeklarował żywo Nadolski.

– Znakomicie! – zapalił się Stiller, rad, że może choć w ten sposób wrócić do czasów, kiedy służył arcybiskupowi lwowskiemu. – Cieszę się, żeś mi acan takie

zajęcie wymyślił, a i William, jak przyjedzie, chętnie się przyłączy. Ręczę, że razem znajdziemy sposób, aby pomóc państwu Podhoreckim, i przegnamy to lichy.

Mówiąc to, dla podkreślenia wagi swych słów, podkreślił węża i wyprężył się, a w duchu jakoś mimowolnie przywołał obraz wesołej pani Anusi. I jemu bowiem przypadła owa białka do gustu, choć wiedział przecież, że jest męzatką.

Ze dwie godziny jeszcze jeździli po okolicy, rozprawiając o tym i owym, czasem wspominając wspólne przygody i ludzi, których spotkali. Rozrzewniło to Saksończyka, który dał upust przy kolacji swym smutkom, nadto racząc się winem. Przyznać jednak trzeba, że miał w tym swój udział pan Sulatycki, który Niemcowi kroku dotrzymywał. W efekcie tych nadużyć dopiero późnym rankiem wstał oficer, nietęgą zresztą mając minę, a do Tarnawki z Żegotą zebrali się około południa.

Pojechali polami, omijając trakt na Odrzechową i Pastwiska, a potem lasem pomiędzy wzgórzami, co je Łanem i Puławką zwano. Dalej minęli Kiczerkę i po skręceniu na północ wjechali w przesiekę wiodącą do Tarnawki.

Niewiele ze sobą gadali, bo też wracał dopiero do siebie Saksończyk, sycąc się świeżością powietrza i co chwila popijając wody z manierki. Głowa zaś tak go bolała, iż w duchu przeklinał swoje wczorajsze nieumiarkowanie, starając się jednak nie okazywać po sobie cierpienia. Dopiero gdy zmarznięty Wisłok brodem przekraczali, ulgę odczuł oficer, przykładając kawałek lodu do czoła, od czego od razu humor mu się poprawił. Nawet zagadywać zaczął wesoło towarzysza i konia ponaglać, rad, że przestało go we łbie łupać i pozbył się denerwującego szumu pulsującej w skroniach krwi.

Już pierwsza minęła, kiedy stanęli w końcu opodal dworku państwa Podhoreckich. Niewiele się zmieniło tutaj od czasu ostatniej bytności Nadolskiego. Tylko okna były deskami pozabijane, a drzwi dokładnie zaryglowane i na dodatek opatrzone solidną kłódką. Poza tym obejście marne sprawiało wrażenie. Szczęście, że na dziedzińcu błota już nie było, gdyż zamarzło, tworząc nierówne grudy.

Kiedy zeskoczyli z siodeł, pojawił się od strony obory parobek, który w pas się uklonił, mnąc czapę w spracowanych rękach. Przywołał go gestem Żegota i spoglądał nań przez chwilę groźnie. Od razu przypomniał sobie twarz, którą już wcześniej widział.

– Wasyl?! – rzucił dla potwierdzenia.

– Tak, panie! – Wieśniak schylił się głęboko, również poznając ponurego gościa, przed którym się krył ledwie dwie niedziele wcześniej. – Wasyl mi na krzcie dali.

– Ty tu obrządku pilnujesz?!

– A jużci! Tak pan Sulatycki nakazał! Bydłtom żreć dają i wody, konie oporzadzam, drób karmię. Wszystko jak trzeba.

– Sam?!

– Niece... – Pokręcił głową. – Inne też przychodzą. Powiedział stary pan, że pasy drzeć będzie, jak czego ubędzie albo coś się zmarnuje. A mnie odpowiedzialnym zrobił.

Przysłuchujący się dotąd Stiller, trzymając konia za wodze, zbliżył się i zapytał:

– Nie boisz się?

Zmieszany Wasyl przestąpił z nogi na nogę, pomiętolił w łapach czapę, aż w końcu wydusił:

– Byle do dworu nie liźć, to się bać nie ma czego. A na noc to do siebie, do chałupy wracam. No i... – wysupłał zza kubraka zawieszony na szyi drewniany krzyżyk – ...krucyfiks święcony mam, co od złego chroni.

– A działa się co dziwnego, jak tu siedzisz?

Chłop wolno pokręcił głową i podrapał się po poczochranych kłakach.

– No niee...

– Żadnych hałasów ani innych rzeczy? – upewnił się Saksończyk.

– Nic żem nie słyszał. Ale jak powiadam, na noc do domu chadzam.

– Dobrze – rzucił oficer, odwracając się na znak, iż nie ma na razie więcej pytań.

Żegota skinął wieśniakowi ręką.

– Idź swoje robić! My tu się po obejściu rozejrzemy, czy dobrze wszystkiego pilnujesz! Jak co znajdziemy, pamiętasz, co rzekł pan Sulatycki?! Prawda?!

– A jużci! – Chłop skulił się w głębokim ukłonie i nie odwracając się, cofnął się ku uchylonym wrotom stodoły.

Kiedy zniknął, oficer ze szlachcicem przywiązali konie opodal studni, a sami skierowali się ku gankowi domostwa. Stanęli przed nim, przez dłuższą chwilę mierząc wzrokiem opustoszały dworek. W końcu odezwał się Nadolski:

– To co, acan? Chcesz zajrzeć do środka?

Saksończyk skinął głową. Minę miał poważną i zamyśloną. Rozglądał się dokoła czujnie zmrużonymi oczami, jakby szukając jakiegoś niewidocznego dla innych znaku. Tymczasem Żegota podszedł do drzwi dworku i wyjętym zza pazuchy kluczem odemknął kłódkę. Zabrzęczał ściągnięty łańcuch nieprzyjemnie, od razu przywołując na myśl błakającego się po pokojach potępionego ducha.

Niemiec podszedł bliżej i wskazał na czarne już prawie ślady krwi.

– To po owym zdarzeniu z Podhoreckim?

– Aha! – odrzekł krótko szlachcic, otwierając drzwi.

Zostały przez dłuższy czas zawiasy zazgrzytały. Powiało ze środka stęchlizną zmieszana z wonią mysich odchodów. Prędko znalazły sobie szkodniki schronienie w opuszczonym dworze, kryjąc się przed mrozem i niepogodą.

Odsunął się Nadolski od wejścia. Żartobliwie wykrzywając się pod wąsem, machnął zapraszająco ręką.

– Waszmość przodem.

Skłonił się Niemiec niby to w podzięcie za przywilej, a potem, schylając się pod niską ościeżnicą, śmiało przekroczył próg. Jego chroma noga zastukała głucho o deski podłogi. Nadolski przeżegnał się odruchowo i ruszył tuż za swym druhem.

Nic w środku nie zmieniło się od jego ostatniej bytności prócz tego, iż wszystko pokrył kurz pomieszany ze szronem. Nie chroniły przed mrozem ani nieocieplone drzwi, ani deski założone w wybitych oknach. Wewnątrz nie było już jednak więcej śladów chłodu, za to walało się mnóstwo poszarpanych przez gryzonie papierów, pomieszanych z ich ekskrementami.

Następując na stertę jakichś gałganów, Niemiec posłyszał gwałtowny pisk, a spod nóg uciekł mu okazały szczur. Zaskoczony oficer nie okazał przestachu. Zaklął jedynie siarczyście i splunął z obrzydzeniem. Roztrącił czubkiem buta pogryzione szmaty, ale nie znalazł w nich niczego szczególnego. Ruszył więc dalej, zerkając bacznie na lewo i prawo. Dłoń zaś trzymał blisko rękojeści zatkniętego za pas pistoletu. Nic się jednak nie działo.

Doszli w końcu do owej izby, gdzie, jak wynikało z opowieści Podhoreckich, cała rzecz się zaczęła pamiętnego dla nich wieczora. Tej, w której nieznaną siłą najwięcej szkód poczyniła, niczego nie pozostawiając na miejscu.

Przekraczając porozrzucane bezładnie przedmioty niczym brodzący w wodzie bociek, Stiller dotarł na środek pomieszczenia. Panował tu półmrok, rozświetlony

jedynie wpadającymi przez szczeliny pomiędzy deskami w oknie promieniami. Cisza i owo mdłe światło nieprzyjemne sprawiały wrażenie. Przywodziły posępne i ciężkie myśli, szczególnie że najpewniej tu właśnie skonał Stanisław Popiel, a potem leżał przez ponad tydzień, nim odkryto zwłoki. By odpędzić nieprzyjemne rozważania, Nadolski chrząknął, a potem ściszym głosem zapytał:

– I co sądzisz, waszmość?

Saksończyk wzruszył ramionami.

– Na razie tyle tylko, że porządek tu taki jak po wizycie chorągwi kozackiej we lwowskim zamku.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Wpatrzony przed siebie zrobił dwa kroki w przód i stanął naprzeciw ścianie. Zaciekawiony szlachcic natychmiast podszedł bliżej, aby zobaczyć, cóż tak zainteresowało jego towarzysza. Nie musiał wyęzać oczu, aby to dostrzec.

– Krucyfiks... – wyszeptał.

– Krucyfiks – powtórzył Stiller i zaraz dodał: – Dołem do góry obrócony. Nie zdaje mi się, aby przypadkiem to się stało.

Wyciągnął przed siebie rękę i przywrócił krzyżowi właściwą pozycję. Sapnął i przejechał palcami po twarzy, a potem cofnął się o krok, nie odwracając oczu od świętego znaku. Ten pozostał jednak w położeniu, w jakim go zostawił. Nic się nie działo.

Pokręciwszy głową, zapytał po chwili:

– Nie wiesz waćpan, czy zostały jakieś rzeczy po owym Popielu? Dokumenty, broń albo też stroje?

– Podobno pan Siemieński do Międzyrzecza zabrał – odrzekł szlachcic, wciąż wpatrzony w krzyż wiszący na ścianie. – Dzierżawcy do pustego domu się wprowadzili.

– Dobrze byłoby zajrzeć w to, co po nieboszczyku zostało. Może tam jakiś ślad będzie, który sprawę rozjaśni.

Żegota zmarszczył brwi. Zerknąwszy na Niemca, mruknął niepewnie:

– Pomówię z panem Zbigniewem i jego żoną.

– Koniecznie trzeba. Bo tu... – oficer zatoczył dłonią dokoła – ...nic raczej nie znajdziemy prócz nieładu.

– A ten krzyż? Coś znaczy?

Stiller wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Albo nic, albo też, że to coś, co tu siedzi, Boga przeklina za swoje potępienie. – Odwrócił się ku Nadolskiemu, głośniejszym głosem mówiąc: – Chodźmy! Tutaj nie znajdziemy żadnej odpowiedzi.

Siwowłosy szlachcic skinął głową na znak, że zgadza się z tą konstatacją.

Wyszli z pomieszczenia powoli, okazując tym jeden przed drugim, iż nie lękają się owego siedzącego we dworze nieznanego. Rozglądali się jednak uważnie, mając w pamięci to, co się panu Podhoreckiemu przytrafiło. Żaden z nich nie chciał otrzymać niespodziewanego ciosu ani też doznać innej przykrości, których wyobrażenia wiele podpowiadała.

Z westchnieniem ulgi przekroczył Żegota próg domostwa, radując się światłem dnia i świeżym powietrzem. Od razu też raźniej się poczuł i bezpieczniej niż w owym domu przypominającym niemalże jakąś kryptę grobową.

Niespiesznie, nie mówiąc nic, podeszli do koni. Dopiero tam odezwał się Niemiec:

– Z chłopami pogadać trzeba, o Popiela spytać. Podjedziemy do wsi?

Żegota skinął głową. Zaraz dodał jednak:

– A może by od tego Wasyla zacząć? Na miejscu jest i przy dworze się kręci.

– Dobra myśl – przystał na propozycję Saksończyk.

Spojrzał więc Żegota ku stodole, dwa kroki w jej stronę zrobił i już miał zawołać, kiedy nagle głos zamarł mu w gardle. Niepewny jeszcze tego, co widzi, przyłożył rękę do czoła, osłaniając oczy przed światłem.

Od strony lasu, z północy, jadąc stępą, zbliżał się powoli do folwarku jakiś jeździec. Mało co go było jeszcze widać, lecz już teraz można było wnosić, iż nie jest to byle kto. Błyskały w promieniach słońca ozdoby końskiego rzędu, połyskiwały sierść karego konia i srebrne obszycia stroju. Najbardziej zaś wzrok przykuwał przybrany w pióropusz kapelusz, wskazujący niezbitcie, iż nieznanym jest jakowyś cudzoziemiec.

Odwrócił się Nadolski ku Stillerowi, cedząc:

– Patrz, waszmość. Kogo tu diabli wiodą?



Dopiero teraz zerknął Niemiec w stronę gęstniejącej w oddali kniei. Zaciekawiony wyteżył wzrok. Żegota miał już rzucić jakiś złośliwy komentarz pod adresem zagubionego widać na odludziu podróżnika, kiedy nagle zobaczył, jak twarz Saksończyka blednie i tężeje w grymasie zdziwienia pomieszanego z trwogą. Pierwszy raz zobaczył szlachcic lęk na obliczu przyjaciela. Było to tak niespodziewane, iż zamarł w bezruchu, nie mogąc pojąć tego, co widzi.

Ręka oficera zacisnęła się na wodzach, aż zbielały mu knykcie. Oddychał gwałtownie, nierówno, wpatrzony w nadjeżdżającego powoli mężczyznę. Z ust wyrwał mu się drżący szept:

– Es ist unmöglich...67

Powiedział to w taki sposób, że ciarki przeszły Żegocie po plecach. Odwrócił się, aby zrozumieć, co mogło aż tak przestraszyć dzielnego Saksończyka, lecz ujrzał jedynie kołyszącego się miarowo w siodle odzianego na czarno człowieka o bladym obliczu z hiszpańską bródką. Uśmiechał się ów nieznajomy prawie że radośnie, chyba także poznawszy znieruchomiłego obok studni Niemca.

Zastukały o zmarzniętą ziemię dziedzińca ciężkie kopyta wysokiego konia nieznanej Nadolskiemu rasy. Jeździec niespiesznie, leniwym prawie ruchem ściągnął wodze. Zatrzymawszy się, patrzył w ciszy z wysokości wierzchowca na Saksończyka, a z ust nie znikał mu tajemniczy grymas zadowolenia.

Długo bez słowa mierzyli się wzrokiem oficer i przyjezdny. Aż niezręczna i ciężka stała się ta wymiana spojrzeń. Szlachcic poruszył się nerwowo i to dopiero sprawiło, iż obcy powiódł po nim obojętnym, chłodnym wzrokiem. Nie znalazłszy widać na razie nic zajmującego w ponurym Polaku, znów skierował oczy na Stillera. Powoli sięgnął do kapelusza, uchylając go w geście powitania. Spod ronda wymknął się przewiązany czarną wstążką koniec grubego warkocza.

– Schön Sie wieder zu sehen, Herr Stiller!68

Miękkie, niemalże łagodne, choć wypowiedziane po niemiecku słowa poruszyły powietrzem. Nie odpowiedział nic na owo powitanie Saksończyk, tylko przesunęła mu się wydatna grdyka od przełkniętej śliny.

Cudzoziemiec odczekał kilka sekund i prychnął wzgardliwie.

– Ich habe dir gesagt, ich würde dich finden. Nicht wahr?69

Pochylił się w siodle, opierając się łokciem o lęk. Wskazując machnięciem głowy w kierunku Żegoty, zapytał:

– Und wer ist das?70

Otrzeźwiły te słowa oficera, który poruszył się, jakby wyrwany z transu. Zadrzały mu usta, nim wycharczał nie swoim głosem:

– Mój przyjaciel... Mein Freund... Nadolski... Żegota Nadolski.

Przez twarz nieznanego przebiegł przez sekundę grymas zaskoczenia. Nie krępując się, wbił wężowe spojrzenie czarnych oczu w szlachcica z Wygnanki. Zdawał się taksować go wzrokiem, gdy cedził, z wyraźnie obcym akcentem:

– Żegota Nadolski?

Zabrzmiała w jego ustach pierwsza litera imienia Polaka niczym „sz”, co jeszcze bardziej przywołało skojarzenia z biblijnym kusicielem.

Zirytował się wymieniony z nazwiska szlachcic niepojętą dla niego sytuacją, bo nic tak człowieka nie złości jak to, czego nie rozumie. Dlatego, robiąc hardo krok w przód, warknął:

– Ja jestem! A tyś kto i czego tu chcesz?!

Ani się zezłościł, ani zmieszał nieznanego jeźdźcie. Wyprostowawszy się w siodle, zaśmiał się krótko, wskazując na Niemca.

– On powie panu, kim jestem, panie Żegota... – ściągnął nagle brwi, a jego twarz przybrała surowy, groźny wręcz wyraz – ...a z tobą na pewno spotkam się jeszcze i będziesz miał okazję lepiej mnie poznać.

Zagotowała się krew w Polaku. Łypiąc spode łba, wysyczał wściekle:

– Grozisz mi?!

– Nie dziś, panie Żegota, nie dziś... – Pochylił się, spoglądając prosto w źrenice szlachcica, a w oczach miał taką zimną pustkę, iż nieprzyjemnie się zrobiło Nadolskiemu.

Już sięgał ręką siwowłosego pana z Wygnanki ku rękojeści szabli, już opadł mu z gniewu lewy kącik ust, kiedy usłyszał zza pleców proszący niemal głos Stillera:

– Zostaw, waćpan... Nic z nim nie poradzisz... Uwierz mi.

Tak zaskoczyły go ton głosu i słowa przyjaciela, iż odwrócił się ku niemu, opuszczając napięte dotąd ramiona wzdłuż ciała. Znieruchomiły Niemiec schylił głowę, dorzucając cicho:

– Proszę.

Niepojęte było to wszystko. Tak bardzo, iż zmieszany szlachcic odruchowo zrobił dwa kroki w tył. Stał przy saksońskim oficerze, a w głowie kłębiła mu się plątanina myśli i pytań bez odpowiedzi.

Nieznamy swobodnie zeskoczył z siodła. Puścił wolno swego karego konia, pewny widać, że się nie oddali. Zerknąwszy ku Żegocie, lekko rzucił niezrozumiałe zdanie:

– Antes só que do que mal acompanhado<sup>71</sup>, panie Nadolski. – Następnie westchnął, jakby przed nudną pracą, po czym mruknął: – Teraz wybaczcie mi, panowie. Sprawę mam do załatwienia z dawnym znajomym. Długo już mnie wygląda, niecierpliwi się pewnie, więc pora skończyć to jego pośmiertne oczekiwanie. – Odsłonił śnieżnobiałe zęby w iście wilczym uśmiechu, wpatrzony w wysokiego oficera. – Nie, nie na ciebie dziś kolej Wernerze Stiller. Ale i o tobie pamiętam. Przyjdę, jak obiecałem. Bądź tego pewien. Nierychliwy jestem, ale zawsze dotrzymuję słowa.

Nic na to nie odrzekł Niemiec, przygryzając wargę. Pogłębiła się bladość jego policzków, kiedy wolno skinął głową, jedynie tym odpowiadając na te słowa.

Przybysz odpiął od siodła powycieraną skórzaną sakwę. Przerzucił ją przez ramię, odwrócił się na pięcie i pogwizdując cicho, ruszył w kierunku ganku. Prychnął, widząc założony na drzwi łańcuch. Ująwszy go w rękę, zerwał jednym szarpnięciem. Zabrzęczały rzucone na ziemię żelazne ogniwa, zaskrzypiały drzwi, za którymi zniknął cudzoziemiec. Wówczas rozległo się jego, wesołe niemal, wołanie:

– Stanisławie Popiel! Już jestem! Pora na ciebie przyszła!

Stiller stał sztywno, zgarbiony, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wyglądał, jakby przybyło mu najmniej dziesięć lat. Wciąż bezwiednie zaciskał i prostował palce, a szczęki drgały mu zaciśnięte aż do bólu. Nie mógł pojąć tego Nadolski, znał przecie Niemca jako dzielnego żołnierza, który nawet złego na Sobieniu się nie bał ani też nie wystraszył się zatwarnickiego potwora. Nie umiał znaleźć słów, aby zadać w tej chwili właściwe pytanie, dlatego bąknął jedynie krótkie i niepewne:

– Co też waszmość? Co też?

Wolno uniósł wzrok Saksończyk. W oczach miał dziwną pustkę i rezygnację. Pogłębiły mu się bruzdy przy ustach, pot skroplił na czole. Powoli kręcąc głową, wyszeptał:

– Nic... Nie pytaj teraz... Później powiem.

Zamilkł Żegota, wciąż mając w głowie kłębiący się korowód niedokończonych myśli. Nie tego się spodziewał, jadąc do Tarnawki. Najwyraźniej i Stiller nie przeczuwał nawet, co go spotka w zapadłym górskim przysiółku. Tym bardziej zdawał się oszołomiony tym, co zaszło. Zaiste niepojęte są koleje ludzkiego losu, którym kieruje Opatrzność w sobie tylko rozumiały sposób.

Kwadrans niemal trwało, nim wreszcie wyszedł z opustoszałego dworku nieznajomy. Zadowolony, z ironicznym uśmiechem na ustach. Przytroczył sakwę do siodła, poklepał swojego wierzchowca po szyi, poprawił pas i bandolier, przy którym miał bogato zdobiony rapier. Na koniec podszedł bliżej stojących nieruchomo mężczyzn. Przesunąwszy kilkakroć wzrok z jednej na drugą twarz, zmrużył oko.

– Dał się pewnie mieszkańcom we znaki pan Stanisław. Doczekać się nie mógł, kiedy zabiorę go ze sobą. Ale od dziś spokój już tu będzie. Skończyły się jego krotchwile, bo teraz on mój. – Pogładził palcami elegancką bródkę, wbijając wzrok w Niemca. – Wiesz dobrze, co mam na myśli, Wernerze Stiller, prawda? Na każdego, kto spotkał mnie kiedyś, przyjdzie pora.

Odczekawszy jeszcze kilka sekund, cudzoziemiec skłonił się lekko, uchylając kapelusza. Potem odwrócił się i zrobił krok w kierunku karnie czekającego konia. Zgrabnie, ledwie muskając nogą strzemię, wskoczył na siodło. Zakręcił wierzchowcem w miejscu, ściągając wodze. Z wysokości siodła rzucił ostatnie spojrzenie stojącym bez ruchu Stillerowi z Żegotą. Uniósł dłoń w geście złudnie przyjaznego pożegnania i powiedział:

– I ty się mnie spodziewaj, panie Nadolski, bo znam cię, chociaż ty nie wiesz, kim jestem! Ręczę ci, że przetną się jeszcze nasze drogi! Rad jestem z naszego spotkania, bo dawno temu zostało przez kogoś przewidziane. Ale jeszcze nie czas o tym mówić, nie czas... W drogę mi pora!

Nim zdumiony szlachcic zdołał cokolwiek odpowiedzieć, obcy mocno szturchnął końskie boki ostrogami, natychmiast podrywając zwierzę do galopu. Spod podkówek poleciały odrzucone grudki zmarzniętej ziemi. Zadudniły kopyta, zmieszał się ich łoskot z ciśniętym przez cudzoziemca za plecy złowieszczym:

– Do widzenia panom!

Złowrogo zabrzmiały ostatnie słowa cudzoziemca w uszach wpatrujących się w jego malejącą sylwetkę mężczyzn. Zapowiadały bowiem spotkanie, którego ani

Stiller, ani Żegota wcale nie pragnęli. W drzwiach stodoły stał z rozdziawioną gębą osłupiały Wasyl, mnąc czapkę jedną ręką, drugą zaś żegnając się po rusku. Wybałuszał za jeźdźcem wypełnione strachem oczy, gdyż nie wiedzieć czemu naszła go myśl, iż to sam czart Tarnawkę nawiedził. Po prawdzie niewiele mylił się struchlały parobek w swym dziwnym przypuszczeniu.

## ROZDZIAŁ VII

### CONFESSIO

Bez słowa Stiller z Żegotą ruszyli z powrotem do Wygnanki. Całą drogę przebyli w nastrojach równie ponurych jak otaczający ich krajobraz. Przygnębiały ich opustoszałe pola znaczone gdzieniegdzie kikutami oskubanych przez jesień drzew. Zamierająca w odwiecznym cyklu natura wzmagała i tak posępną już atmosferę. W niej zaś jeszcze mroczniej wybrzmiewały zadawane samemu sobie pytania bez odpowiedzi, które plątały się w głowie Nadolskiego. Ciężka siwowłosemu szlachcicowi dręcząca cisza, lecz gdy tylko zbierał się do mówienia i spoglądał ku oficerowi, od razu przechodziła mu na to ochota.

Niemiec jechał zgarbiony, wyglądając prawie żałośnie. W niczym nie przypominał człowieka, którego znał wcześniej Żegota. Kołysał się bezwładnie w siodle, zatopiony w myślach, mało zwracając uwagę, dokąd zmierza jego koń. Wodze trzymał luźno, brodę opuścił na piersi i wpatrywał się w łęk siodła, jakby tam szukając odpowiedzi na to, co go teraz dręczyło. Nagłe spotkanie z nieznanym przywołało widać wspomnienia, do których Saksończyk nie chciał wracać. Przeszłość odnalazła Stillera w najmniej oczekiwanym momencie. Zwykle bowiem bywa, iż uciekający przed czymś człowiek i tak w końcu musi się z tym zmierzyć. Prawdę powiada Pismo, iż grzech zawsze odnajdzie swego sprawcę<sup>72</sup>.

Zmierzchało już, kiedy zajechali do domu. Niemiec, wymówiwszy się zmęczeniem, zniknął w izbie, którą dał mu gospodarz na sypialnię. Żegocie pozostawił sprawę wyjaśnienia swego ponurego nastroju. Ten zaś, nie chcąc nic zdradzać, dopóki nie pomówi z przyjacielem, krótko oznajmił, iż to stara rana odezwała się u saksońskiego oficera. Od razu chciał pan Wawrzyniec posyłać po Fiodorową. Ledwie odwiódł go Nadolski od tego zamiaru, twierdząc, iż gościowi odpoczynku jedynie trzeba. Nie zmniejszyło to troski rękodajnego, który cierpieniem oficera szczerze się zaniepokoił. Tak samo i pani Agnieszka zerkała pytająco ku Żegocie, powstrzymując jednak swą ciekawość. Była świadoma, że najlepszy czas, aby rozmówić się szczerze z mężem, nadejdzie wówczas, kiedy sami znajdą się

w alkowie. Znała Żegotę i wiedziała, że powie jej wszystko szczerze, albowiem nie miał przed nią żadnych tajemnic, gdyż ufał w jej rozum i słuchał rad.

Nawet na wieczerzę nie przyszedł Saksończyk, a gospodyni, która zajrzała do niego, wyjaśnił, że niezdrów się czuje. Dlatego posłała mu pani Nadolska posiłek do pokoju, w jeszcze większe z tej przyczyny zmartwienie popadając. Nic bowiem bardziej nie smuci pani domu niż markotny z jakiegoś nieznanego powodu gość. Tym bardziej kiedy to przyjaciel, u którego się ma dług wdzięczności.

Podczas kolacji zdawkowo opisał Nadolski wizytę w Tarnawce. Całkiem przy tym pominął niecodzienne spotkanie z cudzoziemcem. Obwiniali się państwo Podhoreccy, iż to za ich sprawą zaniemógł druh Żegoty. Na nic zdały się zaprzeczenia gospodarza oraz sączone niespiesznie wino. W minorowym nastroju minął posiłek, a rozchodzącym się na spoczynek biesiadnikom pozostawała jedynie nadzieja, iż świt przyniesie poprawę pod tym względem.

Dopiero w sypialni mógł szlachcic przedstawić swej żonie wypadki mijającego dnia. Szeptem opowiedział jej wszystko, nie pomijając żadnego szczegółu. Nie spodziewał się, by Agnieszka znała odpowiedzi na nasuwające się pytania, ale lżej mu się zrobiło, kiedy podzielił się troską. Długo ze sobą mówili, aż ucichł cały dwór pogrążony we śnie. Wtedy dopiero rzekła Agnieszka małżonkowi, aby wziął z piwniczki tęgą butelkę mocnego miodu i tak zaopatrzony udał się do przyjaciela. Rację miała pani Nadolska, wiedząc, iż niektórych spraw nie sposób bez trunku poruszać. Udręka, która była udziałem Stillera, zdawała się jedną z takich kwestii.

Zebrał się w sobie Żegota, gdyż wiedział, że trudna to pewnie będzie rozmowa. Zgodnie z zaleceniem pani domu wziął co trzeba, a potem cicho poszedł ku izbie przyjaciela, świecąc sobie ledwie mizernym kagankiem.

Dotarł przed drzwiami i przeżegnał się niezdarnie, nie upuszczając przy tym trzymanego pod pachą dzbana. Przełknąwszy ślinę, zapukał. Spodziewał się, że może przyjdzie mu to kilkakroć uczynić, zdziwił się więc, kiedy skrzydło uchyliło się niemal natychmiast, a stojący w półmroku Stiller rzekł szeptem:

– Wejdz waszmość. Wiedziałem, że przyjdiesz. Czekałem na ciebie.

Nadolski wsunął się za drzwi do izdebki. Kiedyś był tu skarbczyk, teraz zaś służyła jako tymczasowe lokum dla gości. Szeroka ledwie na pięć kroków, wyposażona jedynie w łóżko i niewielki stolik z dwoma krzesłami, sprawiała surowe wrażenie. Tym bardziej iż dwa kaganki słabe dawały światło.

Bez słowa postawił gospodarz na stole dzban i cynowe kubki. Tak samo w ciszy odszpuntował naczynie i polał złotego napoju do naczyń. Podał trunek Niemcowi, który w milczeniu stuknął się z nim kubkiem i duszkiem wypił zawartość. Podobnie Żegota uczynił. Dopiero wówczas, otarłszy usta, usiedli.

Saksończyk westchnął ciężko i pokiwał kilkakrotnie głową. Na jego ustach zagościł smutny półuśmiech, widomy znak zrezygnowania i pogodzenia się z losem. Pogładził się po czernionej bródce, dłonią przeczesał rozpuszczone włosy. Potem zaś ręką przesunął w dół twarzy, jakby dla odgonienia złych myśli. Dopiero wówczas spojrzął na milczącego Żegotę.

– Zdarzenia z przeszłości, mój przyjacielu, są czasem jak skryta, nieuleczalna choroba, którą zawsze w sobie nosisz i która nie wiadomo kiedy się odezwie. Gdy to się staje, nagle przemykają ci przed oczami obrazy z dawnych lat, które zepchnąłeś gdzieś na dno pamięci, próbując do nich nie wracać. A wówczas przychodzi na ciebie ten sam strach i ból, który czułeś, zdałoby się, wieki temu. Bo wszystko, czego doświadczyłeś, wciąż żyje tu... – palcem dotknął skroni – ...w głowie. I nie ma przed tym ucieczki. – Zamilkł na kilka sekund, a potem machnął dłonią. – Poznałem dawno temu człowieka, oficera w służbie hetmańskiej, któremu w jednej potyczce czaszkę buzdyganem<sup>73</sup> potrzaskano. Kiedy po wielu dniach się ocknął, nic ze swego żywota nie pamiętał. Nawet własnego nazwiska. Straszne musiało być dla niego, gdy patrzył na bliskich i nie wiedział, kim są. Wszystkiego, jak dziecko, na nowo musiał się uczyć. A ja, widząc to, mości Żegota, zazdrościłem mu w duchu. Jakże pragnąłem, by jeden cios uwolnił mnie od wspomnień! By już nie przypominał mi mój kikut co dnia o tym, o czym nie chcę pamiętać! – Pokręcił głową. – Bóg jednak nie dał mi tej łaski, tylko dołożył dodatkowy ciężar do mojej pokuty. Brzemie przeszłości i lęk przed nieuchronną przyszłością. Nie ma bowiem winy bez kary, a odkupienie nie jest dla wszystkich.

Ucichł, bez słowa podsuwając kubek w kierunku słuchającego go w skupieniu szlachcica. Nadolski znów nalał miodu. Przepili do siebie w milczeniu. Zastukotały o stół odstawione cynowe naczynia. Gdzieś daleko rozległo się wycie wilka, które mieszało się z szumem błędzącego za oknem jesiennego wiatru. O okienne szyby zabębniły krople przelotnego, marznącego deszczu.

Nie zadał Żegota żadnego pytania, wiedząc, że słowa same zaraz popłyną z ust saksońskiego oficera. Znał już bowiem szlachcic tę prawdę, której mocy sam w przeszłości doświadczył, iż każdy, najtwardszy nawet człowiek, kiedyś musi na



głos wypowiedzieć to, co dręczy jego duszę. Jeśli tak nie uczyni, prędzej czy później popadnie w szaleństwo.

Nie omylił się. Od ścian izby po chwili odbił się głucho głos wpatzonego w półmrok Niemca.

– Gdy byłem młody, marzyłem o wojennej sławie. Tak bardzo, iż kiedy tylko nadarzyła się okazja, ku rozpaczy ojca uciekłem w świat z rodzinnego domu pod Freibergiem, by nigdy już tam nie powrócić. Jakże naiwny wówczas byłem... – Kręcąc głową z niedowierzaniem, uniósł w smutnym grymasie kąciki ust. – Taaak... Naiwny i głupi... – Wyprostował się w krześle, odpędzając przykrą myśl. By uciec od niej ostatecznie, pociągnął mocnym głosem: – Trwała wówczas wojna pomiędzy Wolfgangiem Wilhelmem z rodu Wittelsbachów<sup>74</sup> a brandenburskim elektorem Janem Zygmuntem<sup>75</sup> o władzę nad księstwami Jülich, Kleve i Berg. Mało o jej przyczyny<sup>76</sup>, dość, iż tam postanowiłem się udać. Z racji swego wyznania i niedawnego przejścia na rzymski katolicyzm księcia Wittelsbacha oczywiste było, iż to do jego armii chciałem przystąpić. Tym bardziej że wsparcia udzielił mu wówczas arcykatolicki hiszpański król Filip Trzeci, którego najemne oddziały pociągnęły wspomóc sojusznika. Właśnie do jednego z takich pułków, złożonych z kondotierów wszelkiej maści, dołączyłem. Miałem wtedy niespełna osiemnaście lat.

Stiller zmarszczył brwi i zamilkł na moment, z czego skorzystał Żegota, który dolał miodu. Niemiec nie sięgnął jednak tym razem po kubek. Westchnąwszy, spojrzał na szlachcica, by rzec po chwili:

– Jak wojna prawdziwa wygląda, mości Nadolski, sam wiesz, bo na własne oczy widziałeś. To tylko ci powiem, że najgorsza jest taka, gdzie spierają się pomiędzy sobą ludzie tym samym mówiący językiem, rodacy prawie, a do krwi przelewania najmują obcych, którym właściwe za jedno, komu służą. Liczą się dla nich pełna kiesa i pełny żołądek. Nic więcej. – Schylił czoło, a przez twarz przebiegł mu grymas odrazy. Uniósłszy głowę, dokończył ściszone głosem: – Nie będę skrywał, że sam taki się stałem. Stara i prawdziwa jest bowiem mądrość w polskim przysłowiu, iż kto wlezie pomiędzy wrony, jako i one musi krakać. U nas zaś, w Saksonii, powiadało się, że człowiek musi wycć razem z wilkami<sup>77</sup>. Tak więc i ja dołączyłem do jazgotu najemnej watahy. – Dopiero teraz sięgnął po miód i upił kilka łyków. Wciąż trzymając naczynie w dłoni, wrócił do opowieści: – Wiele zła niewinnym uczyniłem. Nic mnie to jednak wtenczas nie obchodziło, a nawet jeśli coś

przejmowało z początku grozą, później łatwo usprawiedliwiałem swe postępy wojną i tym, że czynię, co inni. Ani mniej, ani więcej. – Dopił trunek i wolno odstawił kubek. Z westchnieniem ulgi wyprostował swą kaleką nogę. Dopiero wówczas dokończył rzeczowo: – Zadaniem naszym, lekkiego oddziału jazdy, było nękać ziemie brandenburskiego elektora i jego poddanych. Wiesz waszmość, na czym to polega. Taktyka niczym u waszych lisowczyków. Najechać z zaskoczenia jaką wieś czy miasteczko, wybić obronę, zrabować mienie, zabawić się, spalić i zniknąć, nim odsiecz nadejdzie. Łatwa sprawa dla tych, co komunikiem<sup>78</sup> chodzą. Przy okazji zaś pęczniał mój trzosik od złota i srebra na bezbronnych zdobywanych. Choć niebezpiecznie czasem bywało, podobała mi się taka wojaczka. Zyskałem przy tym druhów, za którymi, zdawało mi się, w ogień bym poszedł i którzy by mnie w potrzebie nie opuścili. Taaak... Tak mi się zdawało...

Zamigotał stojący na stole kaganek, rzucając drżące światło na ściągniętą, pooraną zmarszczkami twarz niemieckiego oficera. Wydało się nagle Żegocie, iż postarzał się Stiller o wiele lat, przyciśnięty ciężarem niechlubnych wspomnień i dawnych grzechów. Lecz był to dopiero początek jego historii. Zacerpnąwszy powietrza, Saksończyk wznowił opowieść:

– Zdarzyło się to w jednej wsi, której nazwy nawet nie pomnę. Jak zwykle otoczyliśmy ją przed świtem, by w najciemniejszej godzinie, kiedy najmocniej śpią ludzie, najechać ich gwałtownie. Ot... – pstryknął palcami – ...niby zwyczajna sprawa. Nic wyjątkowego dla najemnego żołnierza. Tyle tylko... – skierował wzrok ku Nadolskiemu – ...że wówczas pękło coś w mojej duszy i na zawsze zostawiło w sercu bolącą drzazgę. Od tego zresztą zaczęło się wszystko, co później nastąpiło. – Odwrócił głowę i znów wpatrzył się w półmrok, w nim szukając zamglonych czasem obrazów. – W okolicy nie było brandenburskich oddziałów, więc mogliśmy dłuższy czas bezpiecznie robić, co chcemy. Wybiliśmy opornych, pozostałych zdatnych mężczyzn zagnaliśmy do jednej stodoły, którą po zaryglowaniu obrzuciliśmy pochodniami. Kiedy już nikt nie mógł nam się przeciwstawić, rzuciliśmy się rabować i czynić to, co by tylko któremukolwiek z nas przyszło do głowy. Zaiste, niewyczerpana jest ludzka pomysłowość, kiedy chodzi o sposoby zadawania cierpienia innym ludziom. My zaś byliśmy panami życia i śmierci stłoczonych na placyku pomiędzy chałupami zawodzących kobiet i dzieci. Rozpoczęła się krwawa orgia gwałtów, rabunku i tortur. Ja zaś, panie Nadolski, ze wstydem dziś tobie wyznaję, byłem jej uczestnikiem. Nie pierwszy zresztą raz. –

Przygryzł usta, garbiąc się jeszcze mocniej. Dławiącym się głosem wyszeptał: – Nie zdziwię się, jeśli uznasz mnie z tego powodu za godnego pogardy. Nawet bowiem wojna nie usprawiedliwia zachowań niegodnych ludzi.

Nie odezwał się Żegota na te słowa, wracając pamięcią do własnych przeżyć, które niewiele różniły się od tego, o czym Niemiec prawił. Szczególnie w czasach, kiedy Nadolski na Pomorzu z lisowczykami pana Moczarskiego chadzał. Każdej w tym czasie zbrodni doświadczył, jeśli nie sam ból zadając, to przyglądając się obojętnie kaźniom przez innych wykonywanym. Okrutna jest bowiem wszelka wojna i nie ma w niej nic godnego pochwał, nawet jeśli w słusznej sprawie się ją prowadzi. Jedyłą zaś dobrą w niej rzeczą jest jej koniec.

Pomyślawszy dłuższą chwilę, krótko na koniec odrzekł siwowłosy szlachcic swemu druhowi, albowiem i dla dawnego siebie nie znajdował usprawiedliwienia.

– Przeszłości nie zmienisz, panie Stiller. Byleby tylko dwa razy tych samych grzechów nie popełniać.

Niemiec poważnie skinął głową, zrozumiawszy, że i na sumieniu gospodarza ciężą dawniejsze przewiny, o których tylko on jeden wie. Dlatego, aby uciec od niepotrzebnych rozważań, wrócił do rzeczy, mówiąc:

– Nie wiem jak, ale w lichej chacie na skraju wsi, gdzieś pod podłogą, moi kamraci odkryli schowek, a w nim ukryte dwie kobiety. Matkę i córkę. Ta ostatnia takie zrobiła wrażenie na żołdakach swoją urodą, że natychmiast przywlekli ją przed naszego dowódcę, starego Hiszpana, który ponoć jeszcze w wojnach niderlandzkich brał udział za czasów księcia Alby<sup>79</sup>. Okrutny był to człowiek, a przy tym, mimo wieku, łasy wciąż na niewieście wdzięki. Dlatego, gdy ją zobaczył, roześmiał się głośno, ciesząc się na czekającą go uciechę. Za córką, przez nikogo niepilnowaną, nadeszła stara matka. Kiedy stanęła na dziedzińcu przed luterskim zborem, gdzie wszyscy byli zgromadzeni, nagle ucichły zawodzenia mieszkańców i ich jęki. Nie wiedzieć czemu skierowały się na nią oczy pojmanych i pohańbionych, jakby w oczekiwaniu cudu. Starucha jednak nawet nie zwróciła na to uwagi. Stanęła niemalże na wprost owego Hiszpana i wbiła weń spojrzenie tak lodowato zimne, że kiedy je dostrzegłem, aż ciarki przeszły mi po plecach. Nic nie mówiła, lecz straszne było to jej milczenie. Gorsze od krzyku nawet. Nie tylko ja to czułem, inni najemnicy też nagle zamarli, przerywając swe krwawe dzieła i rabunek. Jakby czas stanął na moment. – Wpatrzona przed siebie oczy Stillera błysnęły w świetle kaganków. Znów miał przed sobą ową scenę. – Odwrócił wzrok od swego łupu stary Hiszpan.

Uśmiechnął się kpiąco, albowiem w przeciwieństwie do innych nie przeląkł się pełnego nienawiści spojrzenia. Potem zaś podszedł do owej ślicznej panny, schwycił ją za włosy i pociągnął ze sobą przed oblicze matki. Tam, wpatrzony wprost w czarne źrenice starej kobiety, bez słowa żadnego, jakby jej urągając, począł zrywać odzienie z branki. Rozległ się przeraźliwy, błagalny krzyk dziewczyny, a za tym, jakby ktoś zdjął rzucone przed chwilą zakłęcie, radosne wycie moich kamratów. Tylko ja stałem wciąż bez ruchu, nie mogąc oderwać wzroku od prześlicznego, niewinnego ciała, które zaraz miało zostać oddane na pohańbienie. Poczułem w sercu boleść, jakiej nigdy dotąd nie zaznałem, a zarazem smutek tak dojmujący, że po mej twarzy pociekły mimowolnie łzy. Było w tym coś takiego, jakbym nagle obudził się w obcym miejscu, wśród obcych ludzi, i zdziwił, skąd się tu znalazłem i dlaczego. Przeraziło mnie wszystko to, co działo się dookoła mnie, w czym przecież jeszcze niedawno sam brałem udział. Pojąłem, że jestem inny od tych wszystkich barbarzyńców, których zwałem dotąd kamratami. Trwało to uczucie ledwie kilka sekund, ale na zawsze wypaliło w mej duszy piętno. Było niczym biblijne objawienie. Gdyby nie strach przed bluźnierstwem, rzekłbym, iż to samo właśnie musiał poczuć Szaweł z Tarsu na drodze do Damaszku. – Odetchnął głęboko Niemiec i pokiwał głową. Potem, spoglądając na Żegotę, uśmiechnął się smutno. – Sądziś pewnie waszmość, iż natchniony łaską uczyniłem cokolwiek, aby przerwać owe okropieństwa. Piękna zaiste byłaby to historia! Nagle nawrócony grzesznik staje w obronie niewinności i zdarza się cud! – Pokręcił głową, prychnął wzgardliwie, a szczęki zadrgały mu nerwowo. – Tak się jednak nie stało! Stchórzyłem! – Zawiesił na sekundę głos, bezmyślnie przesuwając palcem kaganek. Wpatrzony w jego płomień, dokończył cicho: – Skryłem się jak mysz w norze, uciekając tak samo przed tym, co się działo, jak z obawy, aby nie zdradzić miotających mną uczuć. Wiedziałem, iż jeśli choćbym gestem najdrobniejszym spróbował się przeciwstawić temu złu, usiekliby mnie moi rozochoceni kamraci jak psa. Taka to była bowiem moja ówczesna kompania.

Gospodarz w milczeniu sięgnął po dzban. Stiller niespiesznie wziął w dłoń kubek i podsunął Żegocie.

– Nalej mi, waćpan.

Szlachcic rozlał trunek do kubków. Gość duszkiem wypił miód, nie czekając nawet na Nadolskiego. Otarł wierzchem dłoni usta i wrócił do rzeczy:

– Kiedy hiszpański oficer całkiem pozbawił pannę odzienia, drwiąc z jej wstydu i szarpiąc za włosy, pociągnął ją wkoło, aby wszyscy mogli nacieszyć oczy jej wdziękami. Potem znów stanął przed znieruchomiałą matką. Splunawszy starej w twarz, zaśmiał się szyderczo i uderzeniem pięści obalił ją nieprzytomną na ziemię. Dla pewności poprawił, kopiąc w głowę. Nie odwracając się nawet ku leżącej, powlókł swój łup do najbliższej chaty. Chwilę później rozległ się stamtąd przeraźliwy krzyk. – Stiller zacisnął pięść. – Gdy wyszedł, kolejny ruszył do chałupy. A za nim następny i następny. Aż w końcu jeden, stając przed domem, oznajmił kamratom, że już nie ma po co iść, bo trupa za sobą zostawił. Kilku w złość wpadło, że nie doczekali swojej kolei, inni śmiać się i kpić zaczęli. Szybko zgasły te swary, przyćmione przez następne okrucieństwa. Tak jakby nieważna stała się ta zamęczona na śmierć dziewczyna, porzucona niczym kawał bezwartościowego już mięsa. – Głos Saksończyka zniżył się i stał bezbarwny. – Ja zaś stałem za węglem, modląc się tylko, aby czym prędzej stamtąd uciec. Paliły mnie żywym ogniem ból i wstyd, lecz nic nie zdołałem uczynić. Najgorsza jest bezsilność, jak sam dobrze wiesz.

Zamilkł na dłuższą chwilę, opanowując targające nim emocje. Pociągnął nosem, chrząknął, by sztucznie spokojnym, mocniejszym głosem rzec:

– Ranek już dobry był, więc trzeba było się zbierać, aby nas Brandenburczycy nie doszli. Kazał dowódca resztę chat podpalić i na koń wsiadać. Skoczyłem i ja w siodło, by wraz z innymi uciec, bo cóż innego miałbym uczynić? Za nami pozostały spalona wioska, trupy, rozpaczające, pohańbione niewiasty, płaczące dzieci oraz wciąż leżąca w piachu przed zbozem skulona w rozpachy matka. Żywa, lecz skamieniała od niewyobrażalnego wprost żalu. Taką właśnie ją zapamiętałem, nie wiedząc wówczas, że i ona wszystkich nas pozostawiła w pamięci, wypowiadając klątwę, przed którą nikt nie mógł się uchronić. – Zmrużył oczy, a na twarzy pojawił mu się zły półuśmiech. – Nie ma bowiem, jak już rzekłem, mości Żegota, zbrodni bez kary. Sprawiedliwość zaś jest nieuchronna jak starodawna Nemezis<sup>80</sup>. Choćby i lata minęły, prędzej czy później dosięgnie winowajców. – Rozluźnił zaciśniętą dotąd pięść. – Od tej pory odwróciło się szczęście od naszego oddziału. Czegokolwiek byśmy próbowali, przeciw nam się obracało. Dwakroć pognały nas wojska Jana Zygmunta, kiedy szykowaliśmy najazd na tamtejsze osady. Musieliśmy przed wrogiem w las umykać, sporo trupów za sobą zostawiając. Z początku na karb zwykłej zmienności wojennego szczęścia składali to moi

towarzysze, ale kiedy po raz trzeci najechał nas brandenburski oddział, tym razem przy popasie, szeptać zaczęli ludzie, iż owa starucha ze wsi wiedźmą była. Ponoć niektórzy na własne uszy to słyszeli, gdy mówili o tym pomiędzy sobą mieszkańcy tamtej spalonej wsi. To dlatego rzekomo zamilkli, kiedy jej córkę przywleczono na majdan. Spodziewali się nieszczęśnicy, iż urokiem jakimś jej matka ich uratuje. Kłął na te plotki hiszpański dowódca, nawet batem kazał wychłostać dwóch najbardziej gadatliwych. Ucichli więc ludzie, lecz swoje myśleli. Także ja uwierzyłem owym bajaniom, że jesteśmy przekłęci i tylko śmierć przed nami. W przeciwieństwie jednak do innych za sprawiedliwy uważałem ten wyrok Opatrzności. Pragnąłem końca, jak pragną go zwykle młodzi, którzy nie doświadczyli jeszcze życia. Przed oczami wciąż miałem tę niewinną dziewczynę, którą zamordowaliśmy. Wracała do mnie w snach, stając naga i wpatrując się we mnie w milczeniu wzrokiem nienawistnym jak u jej matki. Budziłem się wówczas złany potem ku uciechu i żartom kompanów. Ich serca pozostały bowiem twarde jak kamienie, a strach przed klątwą li tylko sprowadzał się do pytania, jak ją odczynić, nie zaś odpokutować przewiny. – Wyprostował się na krześle, zaplatając palce złożonych rąk. – Aż nadeszła w końcu pora strasznego rozrachunku. – Westchnął ciężko i przełknął ślinę. Przymknął oczy, opierając się tyłem głowy o ścianę. – Dopadł nas silny oddział brandenburski, nie dawał wytchnienia ani nie odpuszczał pościgu. Pognał przed sobą niczym odgryzającego się myśliwym poranionego wilka. Szarpał, nie biorąc żadnych jeńców. Nie sposób było się od niego oderwać. W końcu całkiem nas osaczył, zamykając wszelką drogę ucieczki. Znaleźliśmy się w pułapce i obwarowaliśmy się w wieży opustoszałego zamczyska na pustkowiu. Tylko odsiecz lub cud mogłyby nas ocalić. Nie mieliśmy żywności, a broni i prochu tylko tyle, co każdy przy sobie nosił. Jedynie wody pod dostatkiem z wykutej w lochu studni. Szczęściem wrota do stołpu solidne jeszcze były, okute żelazem, dębowe. Dawały nadzieję na wytrwanie przez dzień lub dwa. Potem zaś, z czego każdy z nas zdawał sobie sprawę, czekał wszystkich nieuchronny koniec. Było nas ze dwudziestu niedobitków, w tym także ów hiszpański oficer, o którym wcześniej mówiłem. – Przerwał, przyglądając dłonią sterczący wąsik. Otworzywszy oczy, spojrzął na stojące na stole kubki. – Napijmy się, panie Żegota.

Nie musiał namawiać szlachcica, który natychmiast napełnił kubki. Ani słowem się nie odezwał siwowłósy gospodarz, czekając na koniec ponurej historii. Czuł, że

to, co najstraszliwsze, pozostało jeszcze niewypowiedziane. Nie mylił się. Wypiwszy, Stiller sapnął, przejechał dłonią po czole i rzekł:

– Pierwszy szturm, jaki Brandenburczycy z marszu uczynili, z trudem odparliśmy. Szczęściem dla nas nie miał wróg ani cięższej broni, ani też tarana do wyważenia bramy. Było jednak tylko kwestią czasu, kiedy przygotuje drabiny, jakąś solidną belkę wyciosa z drzewa i wyłamię strzegące wieży wrota. Pozostało nam tylko drogo sprzedać swe życie. Nocą słyszeliśmy stukot siekier i widzieliśmy płonące w ich obozowisku ogniska. Wokoło krążyły wrogie patrole, które nawoływały się nawzajem. Pilnowały sumiennie, aby żaden z nas nie uszedł. Wiedzieli widać, kogo ścigają, i chcieli pomsty za to, co czyniliśmy po wsiach i miasteczkach. My zaś rozumieliśmy, że wpaść żywcem w ich ręce byłoby wielokroć straszniej, niż umrzeć od razu. Uwierz mi, panie Nadolski, że i Niemcy znają się na zadawaniu bólu, a w niektórych torturach uznać można ich za niedoścignionych. – Machnął ręką. – Zresztą, nieważne to. Dość, że zbliżał się nasz nieuchronny koniec, ja zaś modlitwą odmawianą w duchu próbowałem ukoić strach, jaki mnie ogarnął. Inną bowiem jest rzeczą myśleć o śmierci i karze, nawet godząc się z nią, a inną oczekiwać jej, odliczając minuty. Straszne to były chwile. Przy świetle łożowego kaganka, w półmroku, siedzieliśmy posępni, zasłuchani w odgłosy zapowiadające koniec naszego żywota. Nawet ów Hiszpan nic nie mówił, łeb opuściwszy, chociaż rankiem jeszcze wierzył w łut szczęścia, które dotąd zawsze mu sprzyjało. Chyba każdy z nas zaglądał tej nocy w głąb duszy, przerażony bezmiarem grzechów, jakie popełnił, rachując je i szukając usprawiedliwień, którymi tłumaczyć się będzie na Sądzie Ostatecznym. W takich nastrojach, bez snu, doczekaliśmy północy. Oczy same zaczynały się kleić, chłód ciągnął od grubych murów, a wilgoć przyprawiała o dreszcze. Siedząc wraz z dwoma innymi na straży przy wejściu, skuliłem się, aby jak najmniej ciepła tracić, bo okryć się nie miałem czym. Wszystko bowiem, co mieliśmy, poza tym, co na sobie, zostało przy porzuconych koniach, które rozbiegły się Bóg wie gdzie albo też połapali je Brandenburczycy. Zatopionego w niewesołych rozważaniach o nadchodzącym końcu z zamyślenia nagle wyrwało mnie gwałtowne zamieszanie, jakie nastąpiło wśród tych siedzących głębiej. Zaniepokojony zerwałem się na równe nogi, wyteżając wzrok i słuch. Wyciągnąłem broń, sądząc, iż to nieprzyjaciel dostał się do wieży jakimś nieznanym sposobem. Napięty, szykowałem się do walki. Lecz wtedy szmer ustał i zapadła dziwna cisza, która jeszcze większym napełniła mnie lękiem. Oto bowiem stali w półmroku moi kamraci, nie poruszając

się wcale, zapatrzeni gdzieś w ciemny zakątek za nimi. I ja zwróciłem wzrok w tamtą stronę. A wtedy zobaczyłem zarys ludzkiej sylwetki wynurzającej się z cienia, jak gdyby wprost z kamiennego muru. Włos zjeżył mi się na głowie, a z ust wyrwało wezwanie do Boga.

Popatrzył Niemiec na Żegotę. Szlachcic domyślił się już, kim był ten, który wychynął z nocy. Pokiwał głową Stiller, potwierdzając przypuszczenie słuchacza.

– Tak, panie Nadolski. To był właśnie on. Ten sam, którego widziałeś waćpan w Tarnawce. Ucieleśnienie klątwy, jaką rzuciła na nas matka zamordowanej dziewczyny. Nasza Adrasteja<sup>81</sup>. – Oficer oparł się łokciami o stół, patrząc wprost w twarz siwego gospodarza. – Nie pytaj mnie, jakim sposobem się tam dostał ani też skąd przyszedł. Do dziś tego pojąć nie mogę. Dość, że zjawił się pośród nas niczym duch, już samym tym wzbudzając strach. Niejeden, w tym i ja, pomyślał, że to sam diabeł przyszedł po nas. I do dziś mniemam, mości panie Żegota, że nie omyliłem się wiele w tym przypuszczeniu. – Zmarszczył brwi, obejmując dłońmi cynowy kubek. – Tak samo jak teraz wyglądał. Ani był młodszy, ani inny. Na czarno odziany, w kolecie wyszywanym srebrną nicią, zbrojny w rapier i lewak, ze starą sakwą przewieszoną przez ramię. Pewnie wkroczył pomiędzy moich kamratów, wcale się ich nie bojąc mimo wyciągniętej ku niemu broni. Stanął pośród nich, rozglądając się wkoło. Ledwie widziałem jego ciemniejszą sylwetkę, dlatego ostrożnie, nie opuszczając żelaza, postąpiłem bliżej. Strach i ciekawość bowiem, jak dobrze wiesz, jedną mają matkę. On zaś wodził wzrokiem po otaczających go ludziach, przechodząc od jednego do drugiego, jakby szukając kogoś. Nim jednak skończył, postąpił ku niemu nasz dowódca z obnażonym żelazem. Otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia i przerywał mu w połowie ową lustrację. Prawie przykładając mu ostrze do piersi, spytał hardo, kim jest i skąd się wziął pomiędzy nami. Obcy nie przestraszył się wcale wymierzonej w niego broni. Powolnym gestem, nic nie odpowiadając, dwoma wyciągniętymi palcami przesunął klingę na bok, z zamiarem powrotu do swych poszukiwań. Tego już za wiele było Hiszpanowi. Zakławszy w swoim języku, pchnął z całą mocą w pierś odzianego na czarno pyszałka. Widziałem, jak błyszcząca głownia przeszywa na wylot jego ciało, połyskując w migotliwym świetle. Taki cios oznaczał jedno, pewną i niechybną śmierć. Tak wszystkim nam się zdawało. Zamarli, wciąż przyczajeni, czekaliśmy, aż padnie ów nieznajomy na ziemię, zsuwając się z ostrza. Minęła sekunda, dwie, potem kolejne. Nic się nie działo. Czarno odziany przybysz stał tak samo jak wcześniej. Wbił tylko



swe oczy w Hiszpana ni to z pogardą, ni to ze złością, ni to z jakimś znudzeniem, rzec by można. Zaklął znów stary dowódca, wyszarpując rapier, by pchnąć po raz wtóry. Odciągnął łokieć za siebie, szykując się do ciosu na wprost, kończącego ów spektakl. Nie zdążył. To, co wtenczas zobaczyłem, wyglądało, jakby czas nagle zwolnił. Płynnym jednostajnym ruchem przybysz wyszarpnął z pochwy lewak i obracając się zgrabnie niczym tancerz, wyminął wyciągniętą ku niemu klingę. Widziałem, jak błyszczące ostrze sztyletu przemyka po szyi zaskoczonego Hiszpana, przecinając biegnące tamtędy arterie. Krew bluznęła z rany, oczy dowódcy rozwarły się w przerażeniu pomieszonym z zaskoczeniem. Puścił broń. Nim padła na ziemię, a za nią umierający oficer, przybysz wsunął z powrotem na miejsce lewak i znów stanął bez ruchu za plecami swej ofiary. Obojętny, nawet nie popatrzył na konającego, tylko znów mierzył kolejnych z nas pogardliwym wzrokiem. Strach ścisnął serca nam wszystkim, tak było niepojęte to, co przed chwilą wszyscy widzieliśmy. A z nim przyszła myśl straszliwa, wręcz granicząca z pewnością, kogo oto mamy przed sobą. Po tym, co ujrzeliśmy, nikt już w to nie wątpił. Oto nadszedł po nasze dusze sam czart. – Łypnąwszy spod brwi, zmrużył oko. – Nie dziw się acan temu, co mówię. Wyobraź sobie skazańców oczekujących wyroku w ledwie oświetlonym, wilgotnym lochu i owo nagłe zdarzenie. Jakaż inna myśl zrodzić się mogła w naszych głowach niż ta, że to diabeł przyszedł po nas? – Sapnął i wyprostował plecy, nie puszczając jednak z dłoni cynowego kubka. Żegota skwapliwie nalał mu miodu, lecz Stiller tym razem się nie napił. – Błądził jeszcze chwilę przybysz wzrokiem po naszych twarzach, nim w końcu mnie odnalazł. Ledwie sekundę to trwało, ale ujrzałem jakby przelotną radość w jego obliczu. Niezrozumiałą i przerażającą, albowiem przecież pierwszy raz widziałem tego człowieka czy demona. On zaś, niby obojętnie, powędrował wzrokiem dalej. Myślałem, że może mi się zdawało albo też na każdym takie wrażenie wywierało jego zimne spojrzenie. Zakłębiły mi się w głowie dziesiątki pytań i zimny pot oblał plecy. Ściskając w wilgotnej ręce rapier, wciąż stałem bez ruchu, tak jak wszyscy inni stali. Wyczekiwaliśmy, sami nie wiedząc na co. Wtedy, zakończywszy lustrację, odezwał się ów nieznajomy po niemiecku. Od razu poznałem, że nie jest to jego ojczysta mowa. Nie przedstawił się ani też niczego nie wyjaśnił. Rzekł jedynie, że zanim świt nastanie, wszyscy będziemy już martwi, a nasze dusze znajdą się w piekle, tam gdzie należne im miejsce. Wszyscy, prócz jednego... – Zawiesił głos, kręcąc głową i ciężko oddychając. Dla odegnania obrazu, jaki stanął mu przed

oczami, przechylił kubek, upijając trunku. Otarł pięścią usta. – Tego, który kupi swe nędzne życie, zdradzając innych.

Nadolski przerwał w połowie ruchu, zastygając z uniesionym dzbanem w dłoni. Powoli odstawił go, zerkając na siedzącego naprzeciw Saksończyka. Poznał już, jaką cenę zapłacić musiał za życie. Nie wiedział tylko, jak to się dokonało. Oficer, spoglądając przed siebie nieobecny wzrokiem, odsłonił mu tę tajemnicę.

– Przybysz oznajmił, iż ten, kto ocaleje, już czuje, że to jemu przypadł wygrany los. Lecz niech nie zwiedzie go owa łaska, gdyż zapłacić będzie musiał za nią duszą. Kupi jedynie swe życie, którego koniec równie dobrze nastąpić może już nazajutrz bądź za wiele lat. Chodzić będzie po ziemi ze świadomością wiszącego nad nim miecza i nieuchronności czekającej go kary. Taka jest bowiem cena ocalenia. Na koniec zaś on przyjdzie po niego i zabierze, co jego. Nawet śmierć nic tu nie zmieni, albowiem czekać będzie na ziemi uwięziona dusza, dopóki nie wypełni się jej przeznaczenie.

– Jak Popiel... – wyszeptał siwy gospodarz.

– Jak Popiel. – Stiller pokiwał głową. Dopił resztę miodu i gwałtownym ruchem odstawił kubek. Uniósłszy brodę, mocnym głosem kontynuował: – Pieczętować ów układ miała krew pozostawionych w wieży kamratów. Niczym podpis na cyrografie. – Zły uśmiech wykrzywił usta oficera. – Lecz jakie miało to wtenczas znaczenie, mości Żegota, kiedy chodziło o uniknięcie niechybnej śmierci? Któż by się zawahał? – Pochylił się nad stołem, wbijając wzrok w Nadolskiego. Zniżonym głosem wycedził: – Ani ja, ani też nikt inny z tam obecnych. Kiedy bowiem wybór jest pomiędzy być albo nie być, człowiekiem rządzi nie rozum, lecz instinctus<sup>82</sup> przetrwania. Mało zważa wtedy na cenę, którą przyjdzie mu za to zapłacić. – Odchylił się w tył, trzymając na blacie wyprostowane ręce. – Czułem, wiedziałem, że to mnie przeznaczone jest ocalenie. Dokładnie tak, jak rzekł ów obcy. Nie mogłem tylko pojąć, jak miałbym wymknąć się z pułapki. Tymczasem wszyscy moi kamraci spoglądali po sobie, szukając owego wyróżnionego szczęśliwca. Tedy i ja rozglądać się począłem jak oni, wiedząc, że nie po to go chcą odnaleźć, by mu wieszować, lecz żeby go zabić. Wiesz bowiem dobrze, panie Nadolski, jaka jest ludzka natura. Jeśli spośród skazańców jeden dostąpi ulaskawienia, inni sami go rozszarpią na sztuki z nienawiści. Prawdę mówią słowa, iż homo homini lupus est<sup>83</sup>, szczególnie zaś w takich sytuacjach. Przybysz stał pośród nas, uśmiechając się wzgardliwie w oczekiwaniu tego, co niechybnie musiało nastąpić. Wzajemnej rzezi pośrodku

przerażonych i pozbawionych przywództwa ludzi. Ja zaś modliłem się w duchu, aby nie spojrział na mnie po raz wtóry, dając znak innym, kim jestem. – Uniósł lekko dłoń znad stołu, prostując palec wskazujący. – I wtenczas przez mą głowę przeszła jedna myśl, sam nie wiem, czy własna, czy też wyczytana z owego spojrzenia, które rzucił mi wcześniej ten demon w czerń odziany. Prosta, a zarazem wypełniająca jego słowa o zdradzie. Że starczy jeno skobel blokujący drzwi zrzucić, szparę ledwie zrobić pomiędzy skrzydłami i na zewnątrz umknąć. Zdać się to mogło łatwym, lecz kiedy zerknąłem kątem oka za siebie, ujrzałem wiszącą na hakach ciężką belkę, którą, jak sobie przypomniałem, dwóch chłopów musiało dźwigać. Przy niej zaś jednego z tych, którzy ze mną u wrót stróżowali. Niewykonalnym wydało mi się to zadanie. Wściekłość pomieszala się w mej głowie ze strachem. Nie myśląc wcale, zwróciłem spojrzenie ku nieznanemu, jakby u niego szukając podpowiedzi. Lecz on sycił się widokiem nadciągającej rzezi. Oto już poczęły padać grube słowa, szarpali się pomiędzy sobą ci, którzy jeszcze przed chwilą mienili się towarzyszami, do gardeł sobie skakali. Aż jeden, widać bardziej zapalczywy, ciął drugiego rapierem. Rozległ się wrzask przedśmiertny, a za tym rozpętało się piekło. Krzycząc nawzajem oskarżenia i obelgi, runęli na siebie przerażeni ludzie, nie pojąwszy, że właśnie tego chciał czart, który przyszedł. Huknęły strzały, odbijając się od sklepień wibrującym, ogłuszającym echem. Komnatę wypełnił gryzący dym, tak że nic nie było widać, piekąc w oczy oparem siarki i saletry. Ja zaś stałem nadal bez ruchu, oglądając to niepojęte widowisko. I wówczas nagle, w płątaninie kłębow dymu, rozświetlanej błyskami iskier wystrzałów, ujrzałem jego twarz i skierowane ku mnie spojrzenie. A w nim odczytałem niby w księdze słowa, że oto już nadszedł czas i jeśli nic nie uczynię, umrę jak inni. To był znak, na który czekałem! – Oczy Stillera zaświeciły się błyskami płonącego na stole kaganka. – Skoczyłem jednym susem ku bramie, nie myśląc już wcale o ciężarze ryglującej ją belki. Byłem pewny, że jeśli pisane mi ocalenie, to i z tą przeszkodą dam sobie radę. Na drodze stanął mi strażnik, którego widziałem przed momentem. Krzyczał coś, czego nie słuchałem. Bez zastanowienia pchnąłem go ostrzem w gardło, zabijając na miejscu. Cisnąłem zakrwawiony rapier i chwyciłem belkę, próbując ją podźwignąć. Zaparłem się z całych sił, kładąc ją sobie na karku. Ledwie drgnęła. Strwożony, spróbowałem raz jeszcze. Wtedy dostrzegli mnie kamracy, zajęci dotychczas walką. Pojęli, kim jest ów wybrany przez demona zdrajca. Z ich ust wyrwało się wściekłe wycie, zaniechali wzajemnej rzezi i rzucili się ku mnie. Pędzili z wyciągniętą bronią, potykali się o trupy, potracali nawzajem. Wyglądali wśród tego mroku, dymu i wrzasku jak piekielny legion

biegnący, by mnie rozszarpać. Rozległy się pojedyncze strzały, a kule poczęły odrywać drzazgi, które fruwały wokół mnie. Rykoszetowały snopami iskier. Wiedziałem, że mam tylko jedną jedyną szansę. Zaparłem się więc, nie zważając na ból i prawie pękające ścięgna rąk i nóg... – Przerwał, uśmiechając się lekko. Na jego twarzy widać było teraz przeblysł dumy na wspomnienie dawnej sprawności. Odetchnął głęboko, nieznacznie machając dłonią. – Człowiek nawet nie wie, mości Żegota, ile w nim siły, dopóki nie odczuje prawdziwego strachu. To, co z trudem dwóch ludzi podniosło, ja sam zrzuciłem na ziemię. Potem zaś zaparłem się ramieniem, tak iż ze zgrzytem odchyliło się skrzydło bramy. Na tyle, że, jak mniemałem, zmieszczę się w tej szczelinie. Czas był najwyższy, gdyż wściekli kamraci byli już ledwie dwa kroki ode mnie. – Uśmiech zgasł na jego twarzy. Przechylił się nad stołem, gestem wskazując na drewnianą nogę. – Przecisnąłem się, ale, jak widzisz waszmość, nie cały... – Kiwając głową, wypuścił ze świstem powietrze. – Taaak... Dopadli bramy moi kamraci i w ostatniej chwili przytrzasnęli mi kulasa. Szczęściem miałem dobre, twarde buty ze sztylpami<sup>84</sup>, inaczej pewnie całego by mi odrąbali, nim zdołałbym go wyszarpnąć. A nijak bez nogi uciekać. I tak srodze mnie poranili. W końcu jednak wyciągnąłem skrwawioną stopę z cholewy. W ostatnim momencie to mi się udało, gdyż ujrzałem pędzących na mnie z dołu Brandenburczyków. Zaskoczeni strzałami wewnątrz wieży i dobywającymi się stamtąd krzykami rzucili się ku ruinie z pochodniami i bronią, mniemając pewnie, że osaczeni chcą wyrwać się z potrzasku szaleńczym atakiem. Ja zaś, posiekany, w jednym tylko bucie, bez rapiera ni pistoletu, znalazłem się pomiędzy młotem i kowadłem. Rozszalali kompani już szerzej odmykali wrota, aby mnie ostatecznie dopaść, nie myśląc wcale o tym, że czynią to na swoją zgubę. Widząc to, wróg jeszcze głośniej zawył, przyspieszając natarcie. Zerwałem się więc, nie bacząc na ból i cieknącą krew. Skoczyłem w lewo, wprost w rosnące tam cierniste zarośla. Osunęła mi się ziemia spod stóp. Zawirował świat dokoła. Poleciałem w dół po kamieniach niczym szmaciana lalka. To ocaliło mi życie. Nikt bowiem już nie zwracał na mnie uwagi. Usłyszałem szczęk broni, wrzask bitewny, strzały, zawodzenie rannych i charczenie umierających. Dopełniły się słowa przybysza. Przez moją zdradę ginęła reszta oddziału. Mnie zaś, przyznam ci się, panie Nadolski... – popatrzył twardo w oczy szlachcica – ...wcale nie było ich żal. – Zamilkł, wolno układając ręce na stole. Wpatrzył się w blat, pogrążony we wspomnieniach. Dopiero po dłuższej chwili wrócił do opowieści. – Cichło na górze, kiedy wróciła mi całkiem przytomność. Ból szarpał moją poranioną nogę

i resztę potłuczonego ciała. Zmysły jednak miałem trzeźwe i wiedziałem, że muszę uciekać. Jak najprędzej i jak najdalej. Inaczej znajdą mnie nieprzyjaciele, a wtedy... – Nie dokończył, pewny, iż Żegota wie doskonale, jaki byłby jego koniec. Chrząknął, przełknął ślinę, przyglądził palcami sterczące wąsy i czernioną bródkę. – Uratował mnie cud. – Podniósł opuszczoną głowę, spoglądając na Nadolskiego. – Tak, waszmość, cud. Inaczej tego nazwać nie mogę. Oto bowiem kiedy rozglądałem się w panice dokoła, szukając jakiegoś sposobu na ratunek, coś trąciło mnie w głowę. Ujrzałem stojącego nade mną karego konia. Jednego z tych, które porzuciliśmy, gdyśmy kryli się w wieży. Nie wiadomo jak i skąd przybłąkał się do mnie, stając się moim wybawieniem. – Zaplótł palce leżących na stole dłoni. – Chwyciwszy strzemień, powstałem. Potem, nie zważając na cierpienie, zagryzając do krwi usta, aby nie krzyknąć, wygramoliłem się na siodło. Uczułem ulgę, a w moim sercu zakiełkowała nadzieja. Powoli, aby stukotem kopyt po kamieniach nie zwabić wroga, stępa ruszyłem przed siebie. Ciemno było choć oko wykol. Zwierzę jednak, wiedzione instynktem, samo znajdowało drogę pomiędzy cierniami i ułomkami skał. Ja zaś zawisłem bezsilnie, ledwie trzymając wodze, taka naszła mnie słabość zarówno z ran, jak i przeżyć, których doświadczyłem. Jak gdyby nagle spadło ze mnie całe napięcie, pozostawiając jedynie nieprzemogłą potrzebę snu.

Pokiwał głową siwy szlachcic, znając dobrze takie uczucie. Nieraz po bitewnym trudzie, gdzie stawał na granicy życia i śmierci, sam go doświadczył. Niespiesznie rozlał resztę miodu do kubków. Stuknąwszy się nimi, mężczyźni wypili w milczeniu. Nie ponaglał Żegota przyjaciela, który myślał, marszcząc brwi. Wreszcie znalazł odpowiednie słowa i wrócił do swej historii.

– Nie wiem, jak długo jechałem. Ocknąłem się z letargu, kiedy wstawać zaczęły pierwsze mgły zwiastujące nadchodzący świt. Dookoła panowała cisza przerywana tylko odgłosami budzącej się przyrody. Wszystko, co zdarzyło się nocą, zostało gdzieś tam daleko, za mną. Pojechałem jeszcze trochę, lecz noga rwała mnie niemiłosiernie, przyprawiając o mdłości, wynikłe pewnie z upływu krwi. Znalazłem jakiś potok i zgramoliłem się z siodła, aby w końcu obejrzeć i opatrzyć rany. Powoli widniało. Przysiadłem na brzegu, nożem rozciąłem posklejane krwią spodnie, odrywając nogawkę od ran. Mimo związanej z tym udręki wiedziałem, że muszę je obmyć, inaczej już po mnie. To, co ujrzałem, sprawiło, że polały się z moich oczu łzy, zarówno cierpienia, jak i przerażenia. Zamiast łydki i stopy miałem jedynie strzępy spuchniętego, zwisającego mięsa, odsłaniającego gdzieniegdzie bielejące

kości. Zrozumiałem, iż nie ma takiej siły, która mogłaby uratować moją nogę, a ja na zawsze zostałem kaleką. Ta wizja była dla mnie straszniejsza od śmierci. Widziałem bowiem nieraz żebrzących pod kościołami starych żołnierzy, nikomu niepotrzebnych i żalonych. Nie chciałem być jednym z nich. Byłem młody, miałem niespełna dwadzieścia lat i całe życie przed sobą. Zdało mi się, iż ocaliwszy głowę, skazałem się już tu, na ziemi, na wieki cierpienie. Otumaniony słabością nie rozumiałem wtenczas do końca, że kalectwo jest najmniejszym z moich problemów, a wyznaczona mi kara stokroć sroższa... – Palcami ścisnął nasadę nosa, pochylając głowę. – Taaak... Stokroć sroższa... – powtórzył. Westchnął ciężko, a po kilku sekundach podjął wątek. – Zrozpaczony zaległem nad tym strumieniem. Nawet konia nie uwiązałem. Było mi wtedy wszystko jedno, co się zdarzy. Mieszały mi się urwane myśli i obrazy, aż w końcu zasnąłem, sam nie wiem kiedy. Musiałem spać kilka godzin, bo kiedy się zbudziłem, słońce stało wysoko. Jego światło i blask dodały mi otuchy, a odpoczynek nowych sił. Poleżałem jeszcze chwilę, wpatrując się w życiodajny błękit nieba i niespiesznie sunące obłoki. Do dziś pamiętam ten obraz. Rozbudził we mnie na nowo potrzebę życia, którą zgubiłem o świcie. Taka jest bowiem ludzka natura, że potrafi odrodzić się z pustki, odnajdując nadzieję w złudnym pięknie otaczającego świata. Natchniony tym powiewem, usiadłem. Rozejrzałem się wkoło, szukając zostawionego wierzchowca. Wtedy krew zastygła w mych żyłach, a z ust wyrwał się jęk przerażenia. Oto bowiem kilka kroków ode mnie siedział ów nieznajomy, który nawiedził nas w nocy. Uśmiechnięty bawił się źdźbłem trawy trzymanym w zębach. Milczał, świdrując mnie wzrokiem. Pomyślałem, że przyszedł na mnie koniec, tak jak rzekł. Od niego bowiem miało przecież zależeć, czy będę żył długie lata, czy też ledwie jeden dzień. Ja zaś nie miałem się ani czym, ani jak bronić. – Stillerowi zadrgały szczęki. – Powiedział mi tylko, wymieniając me imię, że od tej chwili należę do niego i bym wyglądał go każdego dnia. Przyjdzie bowiem po mnie, odbierając zapłatę za ocalenie. Nie skryję się przed nim nigdzie ani też w żaden sposób nie zmienię swego losu, gdyż został on przesądzony, gdy dokonałem wyboru pomiędzy życiem a śmiercią. Sam zdecydowałem o swoim przeznaczeniu, którym od teraz będzie ciągły strach przed tym, co nieuchronne. Wiecznym potępieniem.

– Na Boga! – wyrwało się Żegocie, który przeżegnał się odruchowo.

– Tak, panie Nadolski, zastawiłem swoją duszę diabłu w zamian za doraźne wybawienie od śmierci. Podpisałem cyrograf krwią moich kamratów z oddziału,

a to... – poklepał się po drewnianej protezie – ...zawsze przypomina mi o mym wyborze. Każdego dnia. To dlatego nigdy nie mówię prawdy, jak straciłem nogę. Znacie ją teraz tylko ty i William, a wcześniej jeszcze wiedział o wszystkim biskup Próchnicki, świeć Panie nad jego duszą. Jestem przeklęty. – Uśmiechnął się smutno. – Potępieńca masz za druha, acan.

– Ale przecież...

Ruchem dłoni Saksończyk przerwał szlachcicowi.

– Poczekaj waćpan, nim coś powiesz. Pozwól mi skończyć moją historię. Mniemam bowiem, że jakieś wybawienie dla mnie chciałbyś znaleźć albo też o odkupieniu dobrymi uczynkami mówić. Powiem ci więc, że co dzień szukałem rozwiązania... – zmrużył oczy, wpatrując się w cynowy kubek – ...i do dziś nie znalazłem. – Bezwiednie przesunął palcem kubek po stole. – Skończyłem opowieść w momencie, gdy znalazł mnie ów demon nad potokiem. Kiedy odjechał precz, sam zostałem, na nowo przyciśnięty tak boleścią od ran, jak przygnębieniem, które zastąpiło całkiem niedawno obudzoną nadzieję. Mimo to chciałem żyć. Przywołałem więc pasącego się opodal konia, włożyłem z trudem na siodło i ruszyłem przed siebie, sam nie wiedząc dokąd ani co mnie dalej czeka. Wyczerpany, straciwszy wiele krwi z byle jak opatrzonych ran, zawisłem bezwładny, oparty na łuku i końskim karku. Mieszały mi się złuda ze snem, plątały myśli, przesuwwały przed oczami zwidy i wspomnienia najróżniejsze. Aż w końcu kolejny raz straciłem świadomość. – Wyprostował się w krześle. – Ocknąłem się w jakimś schludnym domostwie, leżałem w czystej pościeli, umyty, odziany w białą koszulę, z umiejętnie przez kogoś obandażowaną nogą. Nie miałem nawet sił, aby się unieść na łokciu. Zdało mi się najpierw, że umarłem, tak było jasno, spokojnie i cicho. Z błędu wyprowadziło mnie nadejście gospodarzy. Dwójki starszych już ludzi, brandenburskich luteranów, którzy, jak się okazało, znaleźli mnie leżącego przy trakcie, gdy wracali z nabożeństwa. Wiedzeni chrześcijańskim miłosierdziem, poruszeni mym młodym wiekiem i ranami, zabrali do siebie do domu i sprowadzili medyka z pobliskiego miasteczka. Myśleli, iż jestem jakimś żołnierzem Jana Zygmunta, którego oddział dopadli wrogowie. Nie wiem, skąd przyszło im to do głowy. – Machnął dłonią. – Nie wyprowadzałem ich z błędu, pomny, co mogłoby się stać, gdyby znali prawdę... – Zmarszczył czoło. – Mówiąc wprost, oszukałem ich, udając kogoś innego ze strachu o życie. Był też w tym wstyd, który palił mnie na wspomnienie moich uczynków pod sztandarami Wolfganga Wilhelma. Oni zaś

okazali mi serce, jakiego dotąd nawet w rodzinnym domu nie zaznałem. – Uśmiechnął się na wspomnienie dobrych ludzi. – Nie będę waszmości zanudzał opowieścią o moim pobycie w tej gościnie. Dość, że w rany zakażenie się wdało i nijak medyk nie mógł nic zrobić, choć nie szczędzili staruszkowie grosza. Pocieszali mnie, jak mi nogę urznięto, mówiąc, abym się nie przejmował, gdyż u nich zostać mogę jak własny, a stolarz w mig mi kulasa wystruga, że i nawet biegać będę. Stary obiecywał kowalskiego rzemiosła mnie wyuczyć, do czego, jak dowodził, bardziej rąk mocnych niż dwóch zdrowych nóg trzeba. Sami bezdzietni, jak synem się mną opiekowali. Mnie zaś z każdym dniem coraz ciężiej było ich okłamywać. Wiedziałem, że prędzej czy później prawda musi wyjść na jaw. W tym czasie wojna chwilowo wygasła z racji nadciągającej zimy, a książęta rozejm zawarli. Wracać poczęli do domów żołnierze na odpoczynek. Rosła w mym sercu obawa, iż któryś z nich pozna we mnie niedawnego wroga. Tym bardziej że aby mi radość sprawić, zaczęli zapraszać do mnie staruszkowie powracających, a wówczas padały od nich pytania, gdzie i z kim służyłem, kto mój oddział rozbił, a także o inne szczegóły, których nie sposób było wciąż zmyślać. Odczekałem więc tyle, ile trzeba było dla zagojenia kikuta. Musiałem się też nauczyć z nim chodzić. Pewnej nocy, kiedy wszyscy spali, umknąłem cicho, dodając swemu sumieniu kolejny grzech. Tak jak i teraz był początek grudnia. – Odruchowo spojrział w okno, na którym mróz rysował już swoje freski. Palcami pogładził się po brodzie. – Taaak... – Pokiwał głową w zamyśleniu. – Uciekłem. – Odetchnął głęboko. – Potem opuściłem niemieckie kraje, a za pieniądze zaszyte w kubraku, co mi po rabunkach zostały, tułałem się po Niderlandach i Francji, różnych zajęć się imając. Byłem, na ten przykład, wyobraź sobie, panie Nadolski, pomocnikiem młynarza, nadzorcą więziennym, a nawet flisakiem. Marne zajęcia dla szlachcica. Niesporo mi szło, bo tylko na wojaczce się jako tako znałem. Postanowiłem więc dalej jechać, na południe, gdzie, jak słyszałem, Filip Trzeci ponoć szykował wyprawę na muzułmanów. Święta wojna, myślałem, może tam znajdę odkupienie. A jak nie, do Nowego Świata ucieknę przed przeznaczeniem. Tam przecież, rozumowałem, nawet i diabeł mnie nie znajdzie. Wielu wszak zatraceniów umykało za ocean, gdzie czasem okrywali się sławą i zbijali fortunę. W istocie zbierał król hiszpański armię, którą chciał do Afryki posłać, gdzie wcześniej jego flota zdobyła Larache<sup>85</sup>. Szukał ludzi z wojną obeznanych, więc łatwo się zaciągnąłem mimo kalectwa. Przywykłem zresztą do swojej drewnianej nogi, nauczywszy się sprawnie na niej poruszać. Tak właśnie, znów jako żołnierz, znalazłem się w Madrycie. Bardzo daleko od tych



miejsz i spraw, których nie chciałem pamiętać. – Machnął zrezygnowany dłonią. – Na nic jednak przed samym sobą uciekać. W mej głowie każdego dnia, w każdej chwili, była myśl o ciężącym na mnie przekleństwie. Gdyby choć działo się coś, gdybyśmy ruszyli za morze! Lecz wciąż odwlekany był z jakichś powodów termin wyprawy. Najgorsza zaś dla wszelkich trosk jest bezczynność. By ją wypełnić, zacząłem brać lekcje fechtunku u jednego italskiego oficera. Sztukę cięć i pchnięć przekazał mu rzekomo wychowanek samego Achille Marozza<sup>86</sup>. W istocie przedni był szermierz z tego Włocha. Ale i to zajęcie było mało dla mnie. Zostawały bezsenne wieczory, kiedy do głowy najgorsze myśli przychodzą. Snułem się wówczas po ulicach niczym cień, nie chcąc w winie topić swych smutków. Niewielka i krótkotrwała jest bowiem pociecha w trunku, a upiory dręczące duszę budzą się następnego dnia ze zdwojoną mocą. Tak trafiłem w końcu, zupełnie przypadkiem, pod jeden starodawny klasztor. Wstąpiłem do niego przez otwartą bramę, bardziej dla zabicia czasu niż z prawdziwej ciekawości. Przemierzałem sklepione korytarze i krużganki, wsłuchany w wieczorny śpiew mnichów dobiegający z kościoła. Sam nawet nie wiem, jak znalazłem się nagle w sali pełnej ksiąg, gdzie pochyleni nad pulpitemi, przy świetle świec, siedzieli zakonnicy. Ledwie kilku ich było. Spojrzeli na mnie, a potem jakby nigdy nic wrócili do swego zajęcia. Zmieszany, już chciałem się wycofać, by nie zakłócać ich skupienia, kiedy przemknęła przez mą głowę olśniewająca niczym błyskawica myśl. Objawienie, którego tak pragnałem. Oto bowiem stałem pośród inkunabułów, w których być może tkwiło rozwiązanie, jakiego szukałem. Klucz do odwrócenia naznaczonego niechlubną przeszłością losu. Wszak, jak pomyślałem, nie muszę być jedynym, którego dotknęło takie przekleństwo. Może nawet znajdę w księgach odpowiedź, kim był ów na czarno odziany demon i jak można go unicestwić. W mej duszy rozbłysła iskra nowej nadziei, której najbardziej było mi wtenczas trzeba. Odtąd, za pozwoleniem zadziwionego moją gorliwością przeora, zostałem stałym bywalcem klasztornej biblioteki, w której szukałem drogi do wyzwolenia się spod rzuconego na mnie uroku. Nieraz zdarzało się, że spędzałem tam pół nocy na poszukiwaniach.

Żegota pochylił się nad stołem, pytając zaciekawiony:

– I co? Znalazłeś coś waszmość?

Stiller pokręcił głową.

– Ledwie zdań kilka, panie Nadolski. Mimo uporczywego wertowania starych ksiąg i pergaminów udało mi się odkryć tylko ten jeden jedyny ślad. Nic prawie

wobec trudu, jaki poświęciłem na nocną lekturę łacińskich manuskryptów. Były to luźne zapiski z przesłuchań jakiejś niewiasty, uznanej za wiedźmę jeszcze w czasach Fernando de Valdésa<sup>87</sup>. Na mękach, wśród innych demonów, z którymi rzekomo obcowiała, wymieniła Cazadora<sup>88</sup>, co po łacinie zapisano jako Venandi<sup>89</sup>. Opisała go jako odzianego na czarno męża, który stawia się na wezwanie czarownicy, aby z jej wskazania wypełniać swą misję zbierania dusz wszelkich łajdaków i zbrodniarzy. Sam przeklęty, ma zadanie zgromadzenia ich tysiąca. Kiedy tego dokona, Lucyfer uwolni go od ciężącej na nim klątwy. Wypyтана dokładniej zeznała, iż ów Cazador był kiedyś okrutnym człowiekiem, któremu szatan pozostawił wybór pomiędzy śmiercią a służeniem mu tu, na ziemi. Dlatego sam kusi innych, zawsze pozostawiając wybór swej ofierze. Gdy zapełni swą sakwę potępionymi duszami, diabeł położy na szalach wagi z jednej strony jego duszę, a z drugiej wszystkie te, które zebrał. Jeśli ciężar jego przewin będzie mniejszy od zbrodni tych, których schwytał, będzie mógł dostąpić zbawienia. Jeśli zaś nie, skazany zostanie na wiekiustą mękę i będzie cierpiał nie tylko za własne winy, lecz także za te popełnione przez uwięzionych przez niego. Oni zaś trafią do czyśćca. Zapiski kończyły się słowami, iż głupi jest ten, kto układa się z diabłem, gdyż szatan w swej pokrętej naturze nikomu i żadnych obietnic nie dotrzymuje. Nie wiem, czy wypowiedziała je owa torturowana czarownica, czy przesłuchujący ją inkwizytor. To wszystko, co odkryłem po miesiącach starań. Jedyne trop, na który zdołałem się natknąć.

– Zaiste. Wierzyć, że czart umowy dotrzyma, to jak zaufać, iż wilk porzuci mięsa na rzecz trawy – rzekł Nadolski.

– Prawdę waszmość mówisz, ale nic mi ona nie dała. Nie przerywałem jednak swych poszukiwań, wierząc, iż jeśli nie tu, to gdzie indziej odkryję coś więcej. Kiedy więc tak siedziałem jednego razu nocą w owym klasztorze, przyszedł do biblioteki pewien człowiek. Starszy duchowny, skromnie, acz gustownie odziany. Z pomocą jednego zakonnika szukał jakiejś księgi, a kiedy wspomagający go mniszek krążył pomiędzy półkami, ów ksiądz na mnie zwrócił uwagę. Jedyne niebraciszka zaczytanego w starych pergaminach. Podszedł, zerkając mi przez ramię. Pamiętam, iż wertowałem wówczas *Directorium Inquisitorum*<sup>90</sup>, szukając informacji o przyzywaniu demonów. Jak bowiem rzekłem wcześniej, torturowana wiedźma twierdziła, iż Cazador stawia się na wezwanie czarownicy. Ów starszy ksiądz rzucił mi zza pleców kilka łacińskich uwag na temat dzieła Eymerica, na które

odpowiedziałem w tym samym języku. Od słowa do słowa, zaczęła się krótka dyskusja o starym podręczniku inkwizytorskim i szybko się zorientowałem, że nie z byle kim mam do czynienia. Utwierdził mnie w tym powracający z szukaną księgą zakonnik, który do mego rozmówcy zwracał się „eminencjo”. Pożegnałem więc nieznanego głębokim ukłonem, on zaś pobłogosławił mi, mówiąc z życzliwym uśmiechem: *Adulescentia est tempus discendi, sed nulla aetas sera est ad discendum*<sup>91</sup>. Tak po raz pierwszy spotkałem mego późniejszego protektora, arcybiskupa Jana Andrzeja Próchnickiego, świeć Panie nad jego szlachetną duszą.

– W owym mieście w Hiszpanii? – zdziwił się gospodarz.

– Tak. – Stiller skinął głową. – Wiedz bowiem acan, iż Jego Eminencja aż osiem lat był posłem króla polskiego na dworze hiszpańskiego władcy Filipa Trzeciego. Akurat w tym czasie dobiegała końca misja kamienieckiego biskupa i zaopatrywał przed wyjazdem swój księgozbiór, który ze sobą do Rzeczypospolitej zamierzał zabrać<sup>92</sup>. Stąd wtenczas przebywał w Madrycie. Zwykle częściej w Neapolu siedział, dochodami z majątku po królowej Bonie Sforzy zarządzając. – Machnął lekko ręką. – Mało to ważne szczegóły dla mej historii. Dość, że przecięły się nasze ścieżki, w czym ręki Opatrzności dopatrywać się należy. Inaczej bowiem pewnie ze szczętem bym zmarniał ze zgryzoty, w szaleństwo jakieś popadł albo też dawno już zginął na jakiejś wojnie. Tak zaś zyskałem protektora, ojca niemal, który do końca swych dni był dla mnie wsparciem i wzorem. Pozwól jednak, mości Żegota, że po kolei rzecz ci przedstawię, nie rozwlekając już zbytnio opowieści. – Pochylił się nad stołem i oparł o niego łokciami. – Zaciekawiała widać w jakiś sposób Jego Eminencję rozmowa ze mną, gdyż kilka dni później znów w klasztorze się pojawił. Tym razem dłuższą dysputą mnie zaszczycił, wypytując przy okazji, kim jestem, skąd przybyłem i jaką przyczynę ma moje zamiłowanie do kościelnego księgozbioru. Przyznam, że nieszczerej mu wówczas udzieliłem odpowiedzi. Dziś mniemam, że od początku to wyczuł, ale nie dał nic po sobie poznać. Wspomógł za to, podsuwając kilka tytułów dzieł o różnych herezjach mówiących, do których lektury mnie zachęcił. Nie wszystkie znalazłem w klasztornej bibliotece, lecz te, które tam były, przejrzałem. Biskup zjawił się po paru dniach. Pamiętając o tym, co mi mówił, wypytał, czy skorzystałem z jego rad. Potwierdziłem, usprawiedliwiając się, że niestety dwóch czy trzech ksiąg nie ma w zakonnym księgozborze, toteż nie dane mi było ich przeczytać. zaproponował wówczas, abym odwiedził go w pałacu, gdzie mieszkał, i zajrzał do jego zbiorów. Z wahaniem przystałem na to, dziękując Jego

Eminencji za przychylność. Poszedłem tam niepewny intencji księdza biskupa. Różne bowiem do głowy myśli przychodzą młodemu mężczyźnie, kiedy spotyka się z bezinteresowną życzliwością starszego, na dodatek majątnego duchownego. – Spojrzał znacząco na Żegotę. – Rozumiesz waszmość, o czym mówię? – Szlachcic skinął głową. Stiller uśmiechnął się i kontynuował: – Głupie to były przypuszczenia i krzywdzące dla tak świętego męża, jakim był arcybiskup. Cóż, rozum ludzki swoimi się jednak rządzi prawami, czasem doszukując się czegoś gdzieś, gdzie nic nie ma. W każdy razie niedługo byłem już stałym bywalcem domu polskiego posła w Madrycie. Rozmowy z księdzem Próchnickim stawały się coraz dłuższe i bardziej szczere. Aż w końcu, jak na spowiedzi, opowiedziałem mu swoją historię, wyznając prawdę, czego poszukuję na pozólkłych kartach ksiąg. Wstrząsnęły nim moje słowa, lecz nie potępił mnie ani nie odtrącił. Nawet pokuty nie zadał, mówiąc, iż od tamtej chwili całe me życie jedną wielką pokutą się stało. Trudno zresztą w tym nie przyznać mu racji. Codzienna świadomość nieuchronnej kary najgorszym jest bowiem dla człowieka ciężarem. – Wyprostował się, zadzierając lekko głowę. – Dalej zaś prosto już było. zaproponował mi arcybiskup, abym z nim do Polski pojechał. Zdziwił mnie tym, lecz z racji bezczynności, która mierzić mnie już zaczynała, zgodziłem się. Wszystko mi jedno było w sumie, gdzie się znajdę, on zaś przekonywał mnie, iż wojen z pohańcami w Rzeczypospolitej nigdy nie brakowało. Nadto Jego Eminencja obiecywał, że nadal będę mógł do woli korzystać z jego ksiąg oraz że o inne się dla mnie wystara. Chciał bowiem, abym przy nim został i służył mu czasem w potrzebie. Nim zebraliśmy się do drogi, uzyskał jeszcze dla mnie u księcia Lermy<sup>93</sup> patent oficerski. I tak, panie Żegota, los przywiał mnie do tego kraju, w którym już od ponad dwudziestu lat jestem i który uważam za swoją drugą ojczyznę. Najważniejszą, gdyż nie z urodzenia, lecz wybraną. – Założył ręce na piersi. – Byłem chwilę pod komendą hetmana polnego Żółkiewskiego, lecz prędko po objęciu arcybiskupstwa lwowskiego Jego Eminencja wystarał się, aby pan hetman zezwolił mi na służbę u niego. Tak już do śmierci arcybiskupa zostało. – Niemiec zmrużył lekko oczy. – Różne rzeczy mój protektor mi zlecał, o których nie mogę mówić waszmości. Tyczyły spraw, że tak to ujmę, delikatnych, o czym sam wiesz, bo w dwóch z nich przecież brałeś udział. Obdarzył mnie zaufaniem, otaczając opieką i dotrzymując obietnicy wspomagania mnie w moich poszukiwaniach. Sprowadzał z innych krajów księgi coraz to nowe, czasem nawet i takie, jakich Kościół czytać nie zaleca. Zapewnił wykształcenie, jakiego nigdzie indziej bym nie zdobył. Przede wszystkim zaś zaszczycił mnie swoją przychylnością,

a nawet przyjaźnią, choć zgoła trudna do wyobrażenia zdawać się może przyjaźń pomiędzy panem i sługą. – Odetchnął głęboko i pokiwał głową. – Cóż... Skończyło się to wraz z jego śmiercią. Teraz... – uniósł wzrok na Żegotę – ...siedzę samotnie w Beniowej, a dni przemijają mi bliźniaczo do siebie podobne. Z tego bezruchu, a i wieku pewnie nachodzą mnie czasem czarne myśli i wspomnienia. Przypomina o sobie moja przeszłość i sprawa, której nigdy nie zdołałem zakończyć. Lecz nigdy, mości panie Nadolski, przenigdy nie spodziewałbym się, że tu, w jakiejś tam Tarnawce na końcu świata... – Nie dokończył, tylko zacisnął usta i przełknął ślinę. Zmarszczył czoło, wpatrzony w wijący się płomień kaganka. – Cóż... Niezbadane są wyroki losu...

Zamilkł Saksończyk na dłuższą chwilę. Słysząc było w izbie tylko stukające o szybę krople marznącego deszczu. Wyrwawszy się wreszcie z zamyślenia, potoczył przytomniejszym wzrokiem i cicho powiedział:

– Pusty już dzban, panie Nadolski, nieprawdaż?

Przytaknął gospodarz ruchem głowy, zaraz też powstał z krzesła.

– Węgrzyna przyniosę – rzucił krótko.

Gdy wrócił, nalał solidnie do kubków. Później zaś jeszcze długo w nocy toczyła się cicha rozmowa dwóch doświadczonych przez życie mężczyzn. Słowa bowiem tak samo cierpienie, jak i ulgę od niego potrafią czasem przynosić.

## ROZDZIAŁ VIII

### KRUPIŃSKI

Wybrał się w końcu pan Podhorecki do właściciela Tarnawki, tak jak to Żegota z Siemieńskim ustalił. Chciał z nim Nadolski jechać, ale zarzekał się dzierżawca, iż sam da radę, więc mu tylko Semka przydzielił, żeby baczenie miał, czy aby świeżemu ozdowieńcowi po drodze gorzej się nie zrobi. Wdzięczna była za to pani Anna, która męża żegnała, jakby na jaką wyprawę jechał, a nie do okolicznego majątku.

Niewiele wyjaśniając, oznajmił siwowłosy szlachcic panu Mikołajowi, iż skończył się najpewniej problem w Tarnawce, o czym można właściciela przysiółka powiadomić. Wypytywany przez Podhoreckich tylko tyle im rzekł, iż stało się tak za przyczyną Stillera, który, dzięki latom służby u arcybiskupa lwowskiego, jak nikt znał się na podobnych przypadkach. Dziękowała mu pani Anusia gorliwie, czym w innej sytuacji pewnie by w Niemcu krew rozgrzała, ale oficer markotny był jakiś. O przyczynach jego nastroju wiedzieli jedynie Nadolski i pani Agnieszka, którzy nie podzielili się swą wiedzą nawet z panem Wawrzyńcem. Wyglądali gospodarze przyjazdu Szkota, w nim upatrując niejakej pociechy dla saksońskiego gościa. Jak rzekła bowiem pani Nadolska mężowi, Murray, najdłużej ze wszystkich znający Stillera, najlepiej będzie wiedział, jak rozpedzić ponury nastrój, który go ogarnął.

Tymczasem minęła już połowa grudnia, chociaż wcale tego nie było widać, bo śnieg ledwie pola przyprószył, a ranna zmarzlina już w południe zamieniała się w błoto. Kręcił na to nosem pan Wawrzyniec, dowodząc, iż niczego dobrego nie zwiastuje taka anomalia. A że w kościach łupało go od wilgoci, tym bardziej marudny się stał i skłonny wszędzie jakowychś nieprzychylnych znaków się dopatrywać.

Kucharki pod nadzorem pani Agnieszki szykowały jadło na Wigilię, a Podhorecka energicznie wspierała panią domu w jej staraniach. Dworek aż lśnił czystością, co nieco kłopotliwe było dla Żegoty, zmuszonego teraz do rozdiewania się w sionce, aby błota do izb nie nanieść. Łatwiej miał Sulatycki, który całymi dniami przy

kominie siadywał, jak twierdził, żeby dzieci doglądać, a tak naprawdę głównie drzemał pod ciepłym pledem okrywającym mu nogi.

Podhorecki o świcie zniknął, jako że wyjeżdżał do Tarnawki, czasem nawet i na noc tam zostawał dla uporządkowania dworu i obejścia. Jak mówił, kiedy do Wygnanki wracał, wszystko w domostwie zostało uprzątnięte, w oknach nowe szyby z Sanoka sprowadzone pozakładał, meble porozbijane naprawił, a co najważniejsze, chłopów do roboty zagonił, nadrabiając zaległe zajęcia w gospodarstwie. Starął się bowiem pan Wawrzyniec, jak mógł, gdy wcześniej jeździł do Tarnawki, lecz każdy wie, iż bez stałej obecności nijak włościan przypilnować się nie da, a pańskie oko konia tuczy. Najważniejsze jednak było w tym, co mówił pan Mikołaj, że we dworze spokój teraz i cisza i bez obawy żadnej można tam na powrót zamieszkać. W pas się z wdzięczności kłaniał Stillerowi, nie mogąc się nachwalić jego rozumu i umiejętności. Bo zaiste, jak dowodził, zażegnał Niemiec nieszczęście, któremu i ksiądz nie mógł zaradzić. Zamiast Stillera, słuchając tego, węża dumnie podkręcał Sulatycki, jakby to o niego chodziło, mówiąc przy tym, że cóż tam ksiądz jaki, skoro do rzeczy wziął się oficer, co ponad dwadzieścia lat samemu arcybiskupowi służył. Dowodził, że więcej to niż kapłańskie święcenia, czym prawie że o herezję przez panią Nadolską posądzony został.

Tylko Żegota ze Stillerem własnymi chadzali teraz drogami, niby to ostatnie sprawy w folwarku domykając. Saksończyk twierdził, iż podpatruje u Żegoty sposoby gospodarowania, które w Beniowej wprowadzi, lecz tak naprawdę krążyli po obejściu albo też wyjeżdżali gdzieś w pola i gadali głównie ze sobą. O czym, to tylko pani Agnieszka wiedziała, bo jej wieczorami wszystko skwapliwie mąż relacjonował. Dręczyło gospodarzy ciężące oficerowi brzemię, ale pociechy dla niego nijak znaleźć nie mogli. Smutno tedy zapowiadały się święta, radosne przecież ze swej natury.

Dopiero na Świętego Auksencjusza<sup>94</sup> pojawił się Murray w Wygnance. Radość tym wzbudził wielką, bo już niepokojono się, czy w ogóle przyjedzie, co wobec jego perypetii z panną z Zatwarnicy możliwe się zdało.

Wieczorem przy biesiadzie wyznał, iż chyłkiem jak jaki złodziej musiał z Sikawca wyjechać, aby się przypadkiem gdzieś na Winnickiego albo jego siostrzenicę nie natknąć. Dziewka bowiem nijak nie chciała do wiadomości przyjąć, że gdzie indziej zamierza Szkot Boże Narodzenie świętować, i na przemian płakała lub gniewem się unosiła. Jej wuj, ostrożny i strachliwy pan Jeremi, nie potrafił jej okiełznać, tylko

ręce przed sąsiadem bezradnie rozkładał. Jak stwierdził dzierżawca majątku Sikawiec, swoje rządy zaprowadziła już panna Barbara w Zatwarnicy, a teraz na przysiółek ostrzyła sobie zęby. Tylko od Bałwańskiego z daleka się trzymała, wiedząc, że Matjas na dożywociu pod szczególną opieką jest pana Herburta z racji dawnych czasów i przeżyć.

Żalił się Szkot na swój ciężki los, przyrównując się do osaczonego zwierzęcia, ale też nie przeczył, iż ładna jest siostrzenica Winnickiego i wyjątkowo zaradna, tylko charakter ma paskudny. To również rzekł, że jak męża sobie znajdzie, z pewnością tak go przez życie poprowadzi, iż biedy nie zaznają. Od razu skojarzyła się wtenczas owa panna Żegocie z panią Maryną Siemieńską z Popielów, która tak odmieniła swojego małżonka. Bogu w duchu dziękował, iż pani Nadolska zgoła innego jest charakteru, choć także na swoim postawić potrafi, a i zapobiegliwości odmówić jej nie można. Pomyślawszy o tym, z miłością i wdzięcznością popatrzył na swą żonę, a ta, nie znając, co w głowie jej mężowi siedzi, obdarzyła go pięknym uśmiechem.

Weselej się nieco zrobiło po przyjeździe Murraya, bo i panią Anusię zagadywał żartobliwie, szczególnie pod nieobecność jej męża, i z Sulatyckim anegdotami się przeróżnymi przerzucali, szczególnie gdy byli podchmieleni. Nawet Stiller czasem uśmiechać się począł, rad, że ma towarzystwo druha, z którym lata całe spędził na służbie u biskupa i niejedną przygodę przeżył.

Kiedy więc pan Podhorecki znowu do Tarnawki pojechał, a kobiety zajęły się wigilijnymi przygotowaniem, zebrali się dwaj oficerowie z Nadolskim, rzekomo aby po polach pojeździć i doglądnąć wszystkiego, nim śnieg spadnie, a tak naprawdę żeby gospodyniom zejść z oczu. Tak bowiem jest jak świat światem, że przed świętami rośnie nerwowość tych, które je przygotowują, i wtenczas lepiej im w drogę nie wchodzić. Przy okazji zaś chcieli mężczyźni ze sobą pogadać, gdyż dowiedział się już Murray o spotkaniu z nieznanym cudzoziemcem i o tym, iż zwierzył się Żegocie Niemiec ze swojej troski.

Jadąc niespiesznie po ledwie z wierzchu zmarzniętych polach, nieprzyjemnie pustych i czarnych, długo milczeli. Żaden jakoś się pierwszy odzywać nie chciał, jako że wystarczająco przygnębiający był sam krajobraz, a czekająca ich rozmowa nie zapowiadała się wesoło.

Przemierzyli pola aż do krańca, gdzie bór się zaczynał, a dalej wznosiła góra, zwana Hakłową. Stamtąd na lewo ruszyli, wzdłuż lasu, z rzadka tylko jakieś luźne



zdania wymieniając, a to o gospodarce, a to o polowaniu. Mało kleiła się konwersacja, więc Murray sięgnął za pazuchę po trzymaną tam zawsze manierkę z okowitą. Najlepszy to bowiem sposób na śmiałość i poluzowanie języka. Podając sobie trunek, w siodłach, i nie zatrzymując się, pierwszą kolejkę wypili, a chwilę za nią i drugą, dla poprawienia. Ciepłej się im wtenczas zrobiło, przyjemniej, że nawet bezśnieżne pustkowia mniej im się zdało smutne w swej martwocie. Pomyślał Nadolski z tęsknotą o śniegu, który tak ładnie wszystko wybieliłby aż po horyzont, maskując obnażoną jesienią ziemię. Zapatrzył się w dal, szukając w chmurach choćby zapowiedzi nadejścia zmarzniętych, lekkich płatków, bez których święta traciły swój urok. Westchnął głęboko, przypomniawszy sobie złowieszcze słowa Sulatyckiego, iż przyroda swym nienaturalnym zachowaniem znak daje, po którym niczego dobrego nie można się spodziewać. Przygnębiła go ta myśl, nawet jeśli w nią mało wierzył.

Z zamyślenia gwałtownie wyrwał go głos Szkota, który wprost do Stillera się w końcu zwrócił, zmęczony widać niedomówieniami:

– Skoro spotkałeś owego psubrata, to co zamierzasz? Rzeknij wreszcie, bo ponury jak noc chadzasz, czym i innym humoru nie poprawiasz. Na nic takie smętne rozmyślenia, kiedy zaradzić coś trzeba. Cokolwiek postanowisz, wiedz, że zawsze przy tobie stanę.

Podziękował Saksończyk za ostatnie słowa skinieniem głowy, ale dopiero po dłuższej chwili odpowiedział:

– A co niby mógłbym zamierzać? Czekać jeno mogę. Tyle.

– Czekać, czekać... – W głosie Murraya słychać było irytację. – Mało to przyjemne zajęcie wciąż czekać i tego psubrata wyglądać. Nie sądzisz?

Wysoki oficer wzruszył obojętnie ramionami. Szkot jednak nie dawał za wygraną:

– Nie ma węzła, którego by się nie dało rozplątać albo też przeciąć. Tylko ochoty trzeba, a nie tak... – Machnął tylko ręką. – Ech!

– Dobrze wiesz, że ponad dwadzieścia lat szukałem. On mnie odnalazł, a ja wciąż nie znam sposobu na uwolnienie się od klątwy. Co mam więc niby według ciebie uczynić?

Murray ściągnął wodze, osadzając konia w miejscu. Popatrzył spod zmarszczonych brwi.

– Nie poznaję cię, Werner! Tak mówisz, jakbyś się poddał, a przecież los sam ci teraz ścieżkę wskazuje, której tyle czasu nie mogłeś odnaleźć. Daje ci w dłoń koniec nitki, jak Ariadna Tezeuszowi, mówiąc „idź za mną”, a ty mi tu o czekaniu prawisz! Smutek chyba zmaćcił ci jasność myślenia!

Skrzywił się Stiller na ten przytyk i wycedził przez zęby:

– Jaką to niby ścieżkę los mi pokazuje? Hę?

Trąciwszy wierzchowca piętami, bezręki oficer podjechał bliżej Niemca, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Nie pojmujesz?! Znalazł się taki sam jak ty przeklęty! Ów Popiel! Jego losy odkryj! Może w nich jest jakiś klucz?!

– Klucz?! – Stiller prychnął wzgardliwie. – Chyba do tego, żeby zbrodnie owego szlachcica poznać i nic więcej! Jakoś nie pali mnie ciekawość, ile krwi przelał i czyjej! Po co mi to?!

– Albo też odszukaj wiedźmę, która go przeklęła! – zripostował Szkot. Spokojniejszym głosem dorzucił: – Jak urok rzuciła, może zna sposób, by go zdjąć? Nie sam tak kiedyś mniemałeś, szukając owej starej kobiety z brandenburskiej wioski? Tylko że tamta już umarła, a tutaj... Kto wie?

– Gadanie! – Saksończyk machnął ręką, nerwowo poruszając się w siodle.

– Co? Już za wygraną dałeś? – drążył Murray. – Wszystko ci jedno?

– Może i tak!

– Ale nie mnie! – nie pozwolił się zbyć zażywny Szkot.

– I co?! Jak niby mam odkryć, kto go przeklął?! Trupa wypytać?! – Zirytowany Niemiec szarpnął za wodze, obracając konia. – A może i sam Popiel tego nie wiedział?! Nie pomyślałeś o tym?!

– Może – przyznał dzierzawca Sikawca spokojnym głosem. – Ale nie szkodzi spróbować.

W odpowiedzi usłyszał tylko siarczyste przekleństwo.

Już miał Niemiec trącać konia ostrogami, kiedy nagle dobiegły go słowa Żegoty:

– Poczekaj waszmość, jegomość Murray rację ma. Z serca ci radzi i nie ma o co w gniew niepotrzebny wpadać.

– I waćpan...? – Stiller zawiesił głos, niemal z wyrzutem spoglądając na siwowłosego przyjaciela spod uniesionych brwi.

Zamiast tłumaczyć się ze swoich słów, Nadolski zaraz do rzeczy przeszedł:

– Mówił mi Siemieński z Międzyrzecza, że Stanisław Popiel miał brata, który rzekomo nadal gdzieś pomiędzy Kozakami się włóczy...

– Szukaj wiatru w polu! – skwitował złośliwie Niemiec, przerywając szlachcicowi w pół zdania.

Ten jednak nie przejął się tym zbyt, tylko ciągnął:

– Obydwaj byli w kompanii jakiegoś Żeliborskiego, znanego ponoć dawniej infamisa, który teraz, habit przywdziawszy, w jakimś klasztorze przemyskim przebywa. Co nam szkodzi znaleźć tego starego i wypytać? Niedaleko przecież, nieprawdaż?

Skrzywił się Stiller, nie odpowiadając, ale poznać było po nim, że dały mu do myślenia słowa Żegoty. Zauważywszy to, Szkot kuł żelazo, póki gorące:

– Widzisz? Po świętach do Przemyśla możemy jechać, żadna to wyprawa. Co nam szkodzi po klasztorach popytać. Wszak z dawnych lat dobrze niektórych przeorów znamy i wspomogą nas w potrzebie. Pamiętają jeszcze łaskawość Jego Eminencji Próchnickiego, a Grochowski najpewniej nie rzekł zakonnikom złego słowa o nas, bo i po co miałyby to robić. Starczy, że przed hetmanem Koniecpolskim ciebie i mnie oczernił. Znajdziemy tego Żeliborskiego, o którym pan Nadolski powiedział, a od niego może łatwo będzie trafić do brata tego Popiela. Zajęcie będziesz miał, zamiast się w Beniowej rozmyślaniom jałowym oddawać. Nie sądzisz, że lepsze to od bezczynności, choćby nawet i nikła była nadzieja? Hę?

Saksończyk się zawahał. Popatrzył to na grubego oficera, to na szlachcica z Wygnanki, pogładził się palcami po brodzie, aż w końcu mruknął:

– Może i dobra to rada, skoro jest jakiś ślad...

– Pana Siemieńskiego mogę dokładniej wypytać, bo jak mi to mówił, trochę niedysponowany był... – Żegota uśmiechnął się na wspomnienie niefortunnej gościny skończonej przez panią Marynę. – Jak trzeba, nawet zaraz po Trzech Królach pojedę do Międzyrzecza w odwiedziny – zaoferował.

Zamyśliwszy się przez dłuższą chwilę, Niemiec odrzekł w końcu:

– Dobrze, jak wasza wola, choć... – trącił konia piętami, ruszając przed siebie – ...mało wierzę, żeby to coś dało. Zmęczony już jestem.

Popatrzyli po sobie Nadolski z Murrayem, a Szkot uśmiechnął się nawet, nim pojechali za przyjacielem. Chociaż nie wyglądał saksoński oficer na przekonanego,

to dobrze wiedzieli podążający za nim mężczyźni, iż rozpalili w jego sercu iskierkę, zdałoby się wygasłej już nadziei. Tej Stiller najbardziej teraz potrzebował. Najlepszym zaś sposobem jej podsycenia było znalezienie mu jakiegoś zajęcia.

Pojechali dalej wzdłuż lasu, pod górkę, na lewo mając wzniesienie, które Garbem zwano. Wtedy to właściciel Wygnanki ruch jakiś zobaczył po drugiej stronie Pielnicy, prawie u jej źródeł, na polach należących do chorążego sanockiego. Zaklął pod nosem i popędził konia, domyślając się przyczyny chłopskiego zgromadzenia. Kiedy się zbliżył, a za nim zaciekawieni oficerowie, jasne się stało, że nie omylił się w swych przypuszczeniach Żegota. Wieśniacy wyposażeni w łopaty kopali rowy od potoku pod nadzorem krążącego pomiędzy nimi na wierzchołku administratora.

Stanął nad brzegiem Nadolski, a lewy kącik ust obwisł mu ze złości, jak to zwykle się działo, kiedy wzburzenie w nim rosło. Zagotowała się krew w siwym szlachcicu, gdyż nie spodziewał się, iż Krupiński tak rychło spełni swą groźbę.

Niewysoki zarządca z Nadolan prawie od razu zauważył wpatrującego się weń sąsiada. Z siodła skłonił się nisko, bezczelnie śmiejąc się Żegocie w twarz.

– Czołem, mości Nadolski! Rad jestem, że mojej roboty przyjechałeś doglądać! Ot... – zatoczył ręką nad głową – ...śniegu nie ma ani mrozu, pogoda jest, to grzechem byłoby, nawet w czas przedświąteczny, beczynnienie siedzieć! Nie uważasz, acan?! – Szczercząc zęby, podjechał niespiesznie bliżej i stanął naprzeciw trójki przybyszów. Cichszym głosem dodał: – Stawy, jak widzisz, kopać kazałem. Na przyszlą Wilię<sup>95</sup> jak znalazł rybki będą. – Zmrużył złośliwie oko, podkreślając lichego węża. – Nie widzi ci się mój koncept, mości Nadolski? Co?

Zmiał w ustach Żegota grube słowo, dwakroć odetchnął głęboko dla uspokojenia, nim pozornie chłodnym głosem odrzekł:

– Czołem, panie Krupiński. Pospieszyles się waćpan, jak widzę, zamiast poczekać, aż się z panem Stano spróbuję ułożyć.

Szlachcic na drugim brzegu wzruszył ramionami.

– Moja rzecz majątku pana chorążego strzec i go pomnażać, na co mnie tutaj wziął. Stawy, panie sąsiedzie, to grosz dodatkowy i w kuchni większa rozmaitość. Sameś mi acan pomysłu podsunął, te doły... – ruchem głowy wskazał na miejsce, gdzie Nadolski młyn kazał szykować – ...kopiąc. Mówilem, że nie zostawię tej sprawy, gdyśmy się ostatnio widzieli. Prawda?

Skrzywił się Żegota, sapiąc i mocniej ściskając wodze. Patrzył spode łba, aż błyskały mu pod kołpakiem szare oczy. Nic się jednak nie odezwał.

Poznał widać w nim gniew Krupiński, gdyż jadowicie syknął:

– Nie podoba się waszmości, to do siebie zapraszam. – Wskazał na pobrużdżoną ziemię. – Szablę masz przy boku jak i ja, więc prędko rzecz rozstrzygniemy.

Przerwali robotę chłopci z Nadolan, wsłuchując się w pańską kłótnię. Zaciekawieni, wsparci na łopatach zerkali, oczekując widowiska. Rzadko bowiem zdarzało się, aby walczących herbowych mogli oglądać, a po prawdzie wszystko jedno im było, który po łbie weźmie. I tak w żaden sposób wynik burdy nie zmieniłby ich losu, a przynajmniej dałby asumpt do opowiadania innym o przygodzie.

Zamarł Żegota w siodle, czując mrowienie w prawej ręce, taką miał ochotę sięgnąć po przypasaną do boku ormiankę<sup>96</sup>. Wahał się, gdyż zwady nie szukał, ale rozsierdził go bezczelny szlachetka swoimi słowy i postawą. Nie wiadomo, co byłby uczynił, gdyby nagle zza pleców nie dobiegł go głos Murraya zwracającego się niby to słodkim głosem do Krupińskiego:

– A waszmości ród to chyba niedawno herbem obdarzony? Dobrze mniemam?

– Co?! – Szlachetka aż uniósł się w strzemionach i oczy wytrzeszczył, zaskoczony niezwykle, prowokacyjnym pytaniem. W głowie nie mogło mu się pomieścić, że ktoś śmiał tak do niego się odezwać.

Nie przejął się tym zbytnio Szkot, wyjaśniając:

– Mówię, że chyba waszmości dziad albo też pradziad zagon wołem najpewniej orał. Musiał sprawnie to czynić, skoro wejść do szlacheckiego stanu mu się udało. – Uśmiechnął się szeroko, a jego okrągła twarz nie zdradzała żadnej złośliwości. – Nie ma się czego wstydzić, acan, bo przecież to chyba powód do chluby, że się ambicje waćpana przodka spełniły. Wszak i Piast był zwykłym kołodziejem, nim księciem został. Prawda?

– Ja cię...! Ty psi synu! Ja cię...! – Zarządca z Nadolan stał się purpurowy na gębie, zacisnął dłoń na rękojeści szabli, szczęki zadrgały mu z gniewu.

Już miał konia ostrogami trącić, by potok przejechać, kiedy jego wzrok zatrzymał się na trzymanym niedbale przez nieznanego mu oficera pistolecie ułożonym na łęku siodła. Zrozumiał wtenczas, że to nie przelewki. Tym bardziej iż obok zażywnego grubasa stanął zaraz wysoki, ponury cudzoziemiec, który wycodził przez zęby:

– Dobrze mój druh prawi i słuszne jego domysły, skoroś waszeć jak chłop jaki prędko do bitki o miedzę. Widać jeszcze dziadowie acana się z podobnymi do siebie w takich razach kłonicami okładali, a krew przecież nie woda. Zaprzeczysz waszmość?

– Ja was, kurwie syny...! Na trupy naszczam! Wieprzom na żarcie rzucę wasze ścierva! – Urywały się wycharczane przez Krupińskiego słowa, jednakże nie ruszył się z miejsca.

Trzech było przeciw niemu, mało strachliwych jak pojął, więc z góry znał wynik utarczki. Nie był na tyle głupi administrator pana Stano, aby bez potrzeby ryzykować, choć wrzała w nim krew. Nie po to go pryncypał najął.

Zaklął najgrubiej jak umiał, po żołniersku, zaciskając pięści. Tymczasem zaszemrali za jego plecami chłopci, a nawet chichot jakiś urwany spośród nich doszedł. Odwrócił się tedy ku nim nadzorca, rycząc:

– Do roboty, chamy! Jak mi który gębę waży się rozewrzeć, na śmierć oćwiczę!

Spuściwszy głowy, włościanie wzięli łopaty, ale niezbyt spieszenie. Zamilkli, pomni, iż nie rzucił na wiatr swych słów strzegący ich cerber. Mogła się bowiem między sobą swarzyć szlachta, lecz jednako pogardzała chłopami.

Ochłonął nieco pan Krupiński, choć w duchu krwawą zemstę poprzysiągł za pohańbienie w obliczu poddanych. Rozluźnił palce. Gęba mu zbladła. Tylko we wzroku wciąż miał nienawiść, którą widok wrażej posoki mógł zgasić. Patrząc bykiem, wychrypiął:

– Przodkowie moi po karkach takich jak wy, przybłądy, na koń siadali. Buty moim dziadom lizali wasi antenaci. Łaskawa ta Rzeczpospolita, że włączęgom gościny udziela. Ale ten, kto owej gościny nadużywa, łącno może w rynsztoku na powrót wylądować, skąd najpewniej się wziął.

– Nie obrażaj waszmość moich przyjaciół, bo stanem ci równi, a zasługami wielokroć cię przewyższają! – odpowiedział natychmiast Żegota. – Jak cię zaś do szabli ręka świerzbi, to nie unikam! Ale dzisiaj nie miejsce i czas na to! Niech święta przejdą! Ja u siebie jestem w Wygnance, gdybyś czego potrzebował!

– A żebyś wiedział, że będę potrzebował! Żebyś wiedział! – syknął Krupiński. – Łypnął na oficerów i dodał: – I wy nie uciekajcie jak tchórze, jeno na nowy rok poczekajcie! Chyba że już teraz pełne macie portki, a we łbach tylko szukacie sposobu, jak by czmychnąć! – Popatrzył pogardliwie na pistolet w ręku Murraya. –

Łatwo bowiem kulą się zasłaniać, a trudniej takim jak wy o odwagę, aby z polskim szlachcicem stał skrzyżować! Taki to wasz, psi, sposób wojowania! Tfu!

– Do usług jestem waszmości! – Stiller skinął głową, nie odpowiadając na zaczepkę.

– Z chęcią poczekam, bo miła w Wygnance gościna! – Szkot uśmiechnął się. – Na razie zaś zabierz acan chłopów, skoro już umówieni jesteście. Rozejm sąsiedzki niech na Boże Narodzenie nastanie, który nawzajem uszanujmy. Dobrze? Wszak rzecz postanowiona i nikt jej unikać nie zamierza.

Prychnął wzgardliwie administrator z Nadolan, mierząc wyniosłym wzrokiem cudzoziemców.

– Nie z wami, przybłądy, w tej materii rzecz będę ustalał, bo kto wie, jakiej sroce spod ogona wypadliście! – Zmrużywszy oczy, spojrzął na Nadolskiego. – Więc jak, panie sąsiedzie? Do Trzech Króli obiecujesz waćpan nie majstrować nic wedle strugi?

– Niech będzie! – Żegota kiwnął głową.

– A potem staniesz z tymi tam... – machnął dłonią w kierunku cudzoziemców – ...gdzie ułożymy?

– Stanę.

– Tedy poczekam jeszcze te dwie niedziele, żeby poigrać z wami. Cierpliwy jestem. A wy... – palcem wskazał Saksończyka i jego druha – ...nacieszcie się resztą żywota, napijcie i zabawcie, bo niedługo już wam po tym świecie chodzić. Jakem Grzegorz Krupiński, słowo daję, że niedługo! – Poprawił futrzaną czapkę, przekrzywiając ją zawadiacko na bakier. Wyszczrzył zęby w wilczym uśmiešku, przejechał ręką po twarzy, popatrzył po oficerach, jakby jakąś obrzydliwość oglądał. Ostentacyjnie splunął, a potem odwrócił się na koniu i krzyknął do chłopów: – Do chałup, chamy! Dość na dzisiaj!

Nie żegnając się ani też nie czekając na swych poddanych, ponaglił wierzchowca gwałtownym ruchem. Zadudniły głucho kopyta po miękkiej ziemi, wyrzucając w powietrze lepkie grudy.

Z rozwianą delią odjechał dawny lisowczyk, zarówno wściekły po rozmowie, jak i rad, że już niedługo swą szablę we krwi unurza. Po to bowiem najął go pan chorąży Stano, żeby rzecz z Nadolskim zakończyć i ukarać siwego sąsiada za to, iż śmiał się lepszemu od siebie postawić. A pewny był pan Krupiński, iż po jego myśli wszystko

się potoczy, tak w swe siły i umiejętności na wojnach zdobyte wierzył. Przy tej zaś okazji własną radość sobie przyobiecował, imaginując już sobie sposoby najboleńszego usieczenia dwóch powsinogów z obcych krajów. Zaiste mimo gniewu, jaki wciąż płonął mu w sercu, wesoło było administratorowi z Nadolan jak rzadko. Nawet przykry przytyk o pochodzeniu nie gasił w nim tej radości.

Zaklął Żegota pod wąsem, spoglądając na oddalającą się sylwetkę jeźdźca. Głową pokręcił, wzdychając ciężko. Wreszcie mruknął smętnie:

– Prosiła mnie Agnieszka, abym się w zbędne zwady nie wdawał z chorążym sanockim. Teraz słusznie zagniewana będzie o to... – Machnął ręką w stronę, gdzie Krupiński odjechał. Zerknął z wyrzutem na Murraya. – I po coś waszmość rzecz rozjątrzył?

Szkot wzruszył ramionami.

– Trudno rozjątrzyć coś, co już rozjątrzone. – Palcem wskazał na oddalającego się Krupińskiego. – Ten tam każdym sposobem bitki by szukał, bo pewnie po to go pan Jerzy Stano najął. Nie pojmujesz, mości Nadolski? Gdzie chorąży sanocki prawem nie może, lewem próbuje. Przed sądem nie doszedł rzekomego długu, zajazdu wobec protekcji nad waćpanem pana starosty i listu królewskiego boi się dokonać, więc na koncept szlacheckiego pojedynku wpadł. Ot, pokłócili się panowie bracia i do nieszczęścia doszło. Zwykła sprawa, a panu chorążemu łatwo będzie ręce od wszystkiego umyć. Lepiej tedy rzecz całą szybko zakończyć, jak jesteśmy tu, na miejscu, z Wernerem, niż Bóg wie czego czekać. Prędzej czy później i tak by się to stało.

– Prawdę William mówi – przyszedł mu w sukurs Stiller. – Nadto diabeł jeden wie, jak zamierza ów szlachetka postąpić. A nuż z kompanami przyjedzie na pojedynek? Mało to było takich wypadków, iż uwierzył ktoś w honor szlachecki, a potem go w dziesięciu na szablach roznieśli? W sumie to przecież lisowczyk, może więc i infamis, co w rzyci ma zachowanie czci, tylko grosza wypatruje. Pewnie też w szabli mocny, bo byle kogo by pan w Nadolanach do takiej sprawy nie wziął. A tak my do usług jesteśmy i na pana Podhoreckiego z pewnością możesz waćpan liczyć. Na dzielnego pan Mikołaj wygląda i młody jest, bo jegomość Wawrzyniec, choćby i ochotny był, niewiele dałby radę pomóc.

– No! – Murray podjechał do zmartwionego szlachcica i poklepał go po plecach.  
– Nie troskaj się waszmość bez potrzeby, bo zaraz po kłopotcie będzie. Pan



Krupiński po łbie dostanie, z czego pewnikiem w rozumie mu się poukłada. Przecie nie namawiamy, żebyś go na śmierć usieknął. Starczy jeno pogłaskać.

– Aaa! – Nadolski machnął ręką, dając tym znak, że nie to go martwi. – Co ja teraz żonie powiem? Prosiła, tłumaczyła... Obiecałem jej, a teraz za gorączkę gotowa mnie wziąć. I po okolicy się rzecz rozniesie... Trzeba mi takiej sławy, że się z sąsiadem o miedzę do szabli biorę? Co to ja jakiś Stadnicki jestem?

– To po co mówić cokolwiek? – zapytał retorycznie Szkot, uniósłszy brwi. – Zmartwiłaby się jejmość pani Nadolska niepotrzebnie. A tak... – Nie skończył, uśmiechając się znacząco.

Nic nie odrzekł na to szlachcic, tylko głową pokręcił, sapnął ciężko i konia obrócił w stronę Wygnanki. Zapatrzone przed siebie, ruszył stępa poprzez zorane pola.

Gdy tak jechał niespiesznie, naszło go przykre wrażenie, że wszystko jak po grudzie mu idzie, a jeden kłopot kolejny goni. Czegokolwiek się tknie, zaraz troski nowe przywołuje. A przecież niczego więcej nie pragnął niż świętego spokoju. Mimowolnie na myśl przyszła mu Ryta i złożona kiedyś samemu sobie obietnica tycząca jej córki. Zawierciła w sercu przesądnym przekonaniem, że póki tej sprawy nie zamknie, zawsze będzie mu los kłody pod nogi rzucał. Nawet lęk w duchu poczuł, jaki już nieraz go nachodził, iż owa wiedźma klątwą go nazaczyła. Prędko odrzucił tę myśl zabobonną, wspominając, jak bardzo mu kiedyś Żydówka pomogła. Niewiele jednak na smutki zaradziło to rozumne spostrzeżenie, gdyż sam w nie chyba do końca nie wierzył. W naturze człowieka tak bowiem jest, że w nieszczęściach często ingerencji nadprzyrodzonej się dopatruje, ponieważ nikt samego siebie za niepowodzenia nie lubi obwiniać. Żegota nie był pod tym względem wyjątkiem.

## ROZDZIAŁ IX

### POJEDYNEK

Wbrew wszelkim obawom wesoło minęły święta w Wygnance. Może to z racji liczego towarzystwa, a może też zaradnej gospodyni i pani Anusi Podhoreckiej, które każdy smutek potrafiły swym uśmiechem rozwiać. Na dodatek śnieg spadł, rozjaśniając okolicę bielą, mróz ozdrowił wilgotne dotąd powietrze, we dworze ciepły komin trzaskał wesołym ogniem, przywołując radosne myśli o tym, że dzień znów coraz dłuższy się robi, a wiosna prawie że tuż-tuż.

Przyznać trzeba, że i trunki miały w tym swój udział, gdyż nie żałował Żegota zapasów ze swej piwniczki, czemu chyba pan Wawrzyniec najbardziej był rad. Szczególnie że znalazł zacnych kompanów w osobach gości, co było mu miłą odmianą po miesiącach spędzanych ze wstrzemięźliwym zwykle gospodarzem. Samemu pijać nudno było rękodajnemu, dlatego teraz wetował sobie z nawiązką.

Saksończyk i Szkot chętnie opowiadali niektóre ze swoich przygód, pomijając jednak zwykle miejsca i nazwiska osób w nich uczestniczących. Nie masz zaś nic lepszego na zimowe wieczory niż długie historie, które szczególnie dobrze Murray potrafił przedstawiać. Rewanżował się pan Sulatycki tym samym, albowiem jak mało kto znał najróżniejsze przypadki tyczące bliższej i dalszej szlachty z województwa. Znał Nadolski z żoną wiele z tych opowieści rękodajnego, ale z chęcią ich po raz wtóry wysłuchiwali, na nowo śmiejąc z bohaterów albo też smucąc ich losem. Tak to bowiem jest w życiu ludzkim, iż szczęście miesza się z nieszczęściem i nikt nie jest zdolny przewidzieć, kiedy jedno albo drugie nastanie. Najciekawsze zaś są zawsze prawdziwe historie, którym tylko czasem opowiadający doda nieco ze swej wyobraźni, jak kucharz umiejętnie przyprawiający potrawy.

Do kościoła w Bukowsku raz tylko zajechali, pierwszego dnia po Wigilii, gdyż drogi okoliczne śnieg grubo pokrył. Gdzieniedzie zasy przewyższyły dorosłego mężczyznę, co niczym niezwykłym nie było w tych smaganych chłodnym wiatrem stronach.

Długo modlił się w zimnych kryptach pan Nadolski nad grobami swoich bliskich, wspominając na nowo utracone przed laty dzieci i żonę. Na chwilę ogarnął go tego

dnia smutek przywiedziony pamięcią o strasznych zdarzeniach. Dopiero radosny szczebiot Maćka i widok Agnieszki ukończyły w nim nieco ból, który zawsze nosił na dnie serca. Czas leczy jednak wszelkie rany, a człowiek wiele potrafi znieść, byleby tylko znalazł miłujących bliźnich wokół siebie. Tego zaś szczęścia zaznał Żegota, tworząc na nowo w Wygnance prawdziwy dom, jakiego najbardziej pragnął. Ciepły nie tylko od ognia, lecz także od kochających się ludzi.

Wahał się kilka dni siwowłosy szlachcic, czy powiedzieć żonie wszystko o zdarzeniu z Krupińskim, ale ostatecznie porzucił ten pomysł. Usprawiedliwił się przed sobą, iż tylko świąteczny nastrój by popsuł, a Agnieszka słuszne pretensje by do niego i oficerów miała. Dlatego pół prawdy wyjawiał, mówiąc, iż do zwykłej pyskówki na miedzy doszło przy Pielnicy. Goście ochoczo, można by rzec, aż nazbyt, potwierdzili słowa Żegoty. Nawet o tę sąsiedzką zwadę boczyła się jednak trochę pani Nadolska, dowodząc, że przy Bożym Narodzeniu lepiej zdrowia innym życzyć, niż się w kłótnie wdawać, ale szybko jej przeszło zagniewanie.

Nieprzyjemnie było Żegocie mieć przed żoną sekret, tym bardziej iż dni mijały nieuchronnie, przybliżając ustalony z administratorem Nadolan termin. Co zaś los miał przynieść, mimo wiary w swą rękę weteran pancerny nie wiedział.

Nie łudził się nawet właściciel Wygnanki, że sprawa się po kościach rozejdzie, świadomy, że Murray ze Stillerelem rację mieli co do intencji Krupińskiego. Dlatego, niby to w celu rozruszania mięśni, fechtował kilkakrotnie na dziedzińcu zarówno ze Stillerelem, jak i z Podhoreckim. Pan Mikołaj z podziwu wyjść nie mógł nad biegłością Żegoty w szabli. Mile tym połączony, szlachcic pokazał sąsiadowi kilka zwodów i ciosów, a także długo tłumaczył mu zasady wyprowadzania cięć z nadgarstka, łokcia czy ramienia. Pan Wawrzyniec zaś, usiadłszy z paniami i dziećmi na ganku, to ganił, to chwalił walczących, dowodząc przy tym, że sam dawnymi czasy nie najgorzej się bił, ale wiek i choroba stawów swoje zrobiły. Nie omieszkał wspomnieć także, jak to z bratem dziada Żegoty, Janem, Jerzego Rosińskiego ścigał za to, że pana Kroguleckiego w Teleśnicy ubił. Rozrzewnił się trochę Sulatycki na wspomnienie chmurnej młodości, więc dla pociechy miodu grzanego solidnie łyknął, który chyba najlepszym był dla niego lekarstwem na przypadłości tak duszy, jak ciała.

Pierwszego dnia po Nowym Roku stary Fiodor, który jak co dnia bydłętą przyszedł oporządzić, oznajmił, iż w Nadolanach jakaś kompania wesoła się zjawiała w gościnie, przed którą baby ze wsi musiały się kryć, tak popili znajomi

Krupińskiego. Ani wiedział chłop, ilu ich przyjechało, ani też kto to, czym Żegocie humoru nie poprawił. Wiedział bowiem dobrze gospodarz Wygnanki, iż ma teraz sąsiad przy sobie zawadiaków podobnych do niego, co dobrze nie wróżyło. Nawet Murrayowi ze Stillerem zrzędy nieco miny, chociaż starali się nie okazywać po sobie niepokoju. Czym innym jednak zmierzyć się w pojedynku nawet z jakimś zabijaką, a czym innym narażać na grubszą burdę. A na taką się właśnie zanosilo.

Aby samemu szanse wyrównać, dopuścili wreszcie Szkot z Niemcem do tajemnicy pana Podhoreckiego, który całkiem już wydobrzały uradował się wielce, że będzie mógł się Nadolskiemu odwdziaczyć. Jakoś nie przejął się zbytnio, jak to młody, wieściami o kompanii hultajów, która może Krupińskiemu towarzyszyć. Żałował tylko, że tak późno do sekretu go wciągnięto, gdyż posłałby po swoich krewnych, którzy z pewnością przyjechaliby wspomóc szablami w potrzebie.

Żegota z Semkiem i Bejdą pogadał, nakazując im broń gotować. Na nich mógł liczyć, gdyż znał ich umiejętności z wojennych czasów i nieraz słudzy pokazali, co potrafią. Innych chłopów nie wtajemniczał, żeby na obmowę się nie narażać w razie jakiejś większej bitki, że z chamami na pojedynek przybył, za ich plecami się chroniąc. Byłaby to hańba niegodna szlachcica, gdyby po okolicy tak mówiono, bo czym innym jest własności z włościanami bronić, a czym innym chłopów na sąsiada napuszczać. Tylko najwięksi zbóje, za nic mający prawa i honor szlachecki, na takie rzeczy się wazyli.

We czwartek, trzeciego dnia po święcie Bożej Rodzicielki<sup>97</sup>, zajechał do Wygnanki pacholek z Nadolan, który list Żegocie przekazał. Szczęściem nie widziała tego pani Agnieszka, gdyż z pewnością pytałaby, jakież to sąsiad ma interes do jej męża.

Stało w piśmie, iż zaprasza Nadolskiego z przyjaciółmi pan Krupiński na umówione spotkanie w najbliższy poniedziałek w południe. Na miejsce wskazał znaną wszystkim w okolicy leśną polankę, zwaną powszechnie Grędówką. Ostatecznie jasne się stało, iż nie odpuści dawny lisowczyk okazji, aby wypełnić to, co mu najwyraźniej pan chorąży Stano nakazał. Chociaż spodziewał się tego Żegota, jeszcze bardziej zmarkotniał, czego trudno byłoby nie zauważyć. Pytany przez żonę o powód, zbywał ją słowami o dolegliwościach w krzyżu. Wykorzystali to Murray ze Stillerem, jakoby namawiając gospodarza na łowy po Trzech Królach w celu rozruszania kości. Tym sposobem chcieli usprawiedliwić wyjazd na spotkanie z Krupińskim, co im się zupełnie udało, bo w końcu i pani Nadolska poczęła

naciskać męża, aby pojechał zapolować, co z pewnością dobrze mu zrobi. Swą troskliwością i namowami jeszcze bardziej zakłopotana Żegotę, który kłamać tak samo nie lubił, jak nie umiał. Dlatego jedynie głową kiwał, zgadzając się na pomysł przyjaciół, ale też bez specjalnego zapędu.

Przed samym świętem Trzech Króli, w piątek, nowy kłopot się pojawił, tym razem za sprawą Semka. Już rankiem zjawiała się w Wygnance jakaś baba z Pielni z córką. Na dziedzińcu przed dworem zawodzić poczęła, iż pacholek pana Nadolskiego jej dziecko zbałamucił. Zamieszanie się zrobiło, chłopci się zlecieli, tylko pocztowy się gdzieś zapodział, świadomy widać, iż chwalić go nie będą.

Wyszli z domostwa gospodarze z gośćmi, aby wyjaśnić, o co chodzi, więc się harmider zrobił. Starucha bowiem, nie w ciemną bita, istny teatr na majdanie odstawiała, płacząc, ręce załamując, Boga wzywając, a od pana Nadolskiego żądając, aby syna Fiodorowego do ożenku przymusił swoją władzą, gdyż dziewczynę brzemienne uczynił. Odślaniała przy tym wydatny brzuch panny, brzydkiej zresztą jak noc. Dziewka tylko głowę spuszczała zawstydzona, czerwona jak burak, a łzy ciurkiem jej ciekły po twarzy. Pohańbiona, do mysiej dziury by się skryła, gdyby nie twarda dłoń trzymającej ją za rękę matki.

Zaklął Żegota na to wszystko pod nosem i wzrokiem szukać począł winowajcy. Prędzej jednak starucha szlachcica dostrzegła. Niczym błyskawica przez gawieź się przedarła ku niemu i padła do nóg prosto w zdeptany śnieg, zawodząc:

– Sromota, jasny panie! Hańba na wieki! Ulitujcież się nad niebożęciem! – Machając za plecami ręką, przywoływała córkę: – Chodźże, Jaguś ty moja! Bywaj! Panu do nóg padnij i proś, żeby tego oczajduszę do ożenku przymusił! – Ociągała się panna, więc popatrzyła na nią matka piorunującym wzrokiem, zgoła innym głosem rzucając przez zęby: – Do mnie, latawico! – Następnie znów obróciła się do Nadolskiego i na powrót poczęła zawodzić: – Jakże to teraz przed ludźmi?! Jak komu w twarz spojrzeć?! Co ksiądz dobrodziej powie?! Hańba! Hańba wiekuista na nas spadła! Ratujże nas, jasny panie! Ratujże sieroty!

Korzystając z oszołomienia szlachcica, schwyciła go mocno za rękę i całować poczęła, śliniąc obficie, ani się Żegota uwolnić nie mógł. Jagusia także na kolana padła, zanosząc się płaczem.

W sukurs przyszła wreszcie mężowi pani Nadolska, pytając rzeczowo, dla upewnienia się:

– Który to? Semko?

– A dyc ów zbereźnik, jasna pani! Fiodorowy syn! Zbrzuchacił mi dziecko! Ledwie szesnaście jej roków!

Odruchowo spojrzała pani Agnieszka na dziewczkę, oceniając, że na znacznie starszą wygląda. Może jednak prawdę mówiła matka, gdyż trudno było z napuchniętej twarzy wiek odczytać, choć posturę też miała panna zgoła niedziewczęcą.

Popatrzyła szlachcianka na męża. Ten, opanowawszy pierwsze zmieszanie i gniew, zawołał:

– Fiodor! Podejdź tu do mnie!

Niespieszno było staremu, który za ludźmi się krył. Po imieniu zawołany posłusznie jednak wystąpił, mnąc w grubych palcach baranią czapę. W oczy nie patrzył, znając widać, że syn może być winny.

– Gdzie Semko?!

Chłop wzruszył ramionami, wykrzywiając usta w nieodgadzionym grymasie.

– Nie znam, panie.

– Jak nie znasz?! W chałupie nocował?!

– Nooo... – Fiodor podrapał się po rozczochranej głowie.

Zanim zdołał coś wyjaśnić, zawyła klęcząca starucha:

– Uciekł, panie! Łapać trzeba! Łapać i za łeb sprowadzić! Niech wypije nikiemnik piwo, co go nawarzył!

Uciszył ją Nadolski gestem, gniewnie patrząc na Semkowego ojca.

– Gdzie jest?! Nocował u was czy nie?!

– Nooo.... Z wieczora spać się ułożył, ale w nocy za potrzebą wyszedł...

– Już ja wiem, za jaką potrzebą! – przerwał mu szlachcic. – Mówiłem psubratu, że za łeb go pod ołtarz poprowadzę! Doigrał się rozpustnik! Szukaj go i do mnie sprowadź!

Skłonił się Fiodor głęboko, rad, że panu z oczu zejść może. Na pięcie się obrócił i prędko między ludźmi zniknął.

Fuknąwszy, Żegota pochylił się, spoglądając na klęczące baby. Do matki się zwrócił:

– Jak was zwą i skąd jesteście?

– Z Pielni! Katarzyna Radke jestem, a to córka moja, Jagusia! – Szarpnęła dziewczynę za rękaw, sycząc: – Proś pana ślchcica o łaskę! Do nóg padnij, latawico! Da Bóg sprawiedliwy, ulituje się nad tobą i zrękowiny nakaze!

Pochyliła się jeszcze niżej płacząca panna, czołem prawie baczmagów Nadolskiego dotykając. Odruchowo cofnął buty, niezwyczajny takich widowisk. Tymczasem stara, widząc jego zmieszanie, jeszcze głośniej wyć poczęła:

– O ja nieszczęsna! Olaboga! Na co mnie na stare lata przyszło?! Sromota! Za kostur jeno wziąć i w świat ruszyć, bo jakże tera między ludźmi żyć?!

Zakreślił się nerwowo siwowłosa szlachcic. Dość miał przedstawienia. W duchu już obmyślał kary surowe dla Semka, a także złośliwie się radował, że będzie miał teraz pocztowy brzydką Głuchoniemkę<sup>98</sup> za żonę i jędzę za teściową. Oj, zależą mu za skórę i odechce mu się zabaw!

Dłonią wąsy przygładził, popatrzył po zgromadzonych włościanach, by w końcu zwrócić się do staruchy z Pielni:

– Posłuchajcie mnie tedy, Katarzyno! Zabieraj swoją córkę do domu i tam czekaj na moje postanowienie! Jak tylko tego szelmę Semka mi sprowadzą, nakazę mu, co ma robić! Ty zaś nie wystawiaj się ludziom na pośmiewisko ani też jasełek tu nie odprawiaj, bo moja rzecz sprawę rozstrzygnąć, a zawodzeniem tylko rozsierdzić mnie możesz! Pojmujesz?!

Niemal natychmiast ucichła kuta na cztery nogi baba. Co mogła na tę chwilę, uzyskała, dlatego wiedziała, iż pora kończyć. Szarpnąwszy córkę, wycedziła:

– A podziękuj jasnemu panu za łaskę! Uchroni cię przed pohańbieniem! Sprawiedliwy to pan, jegomość Nadolski! Oj, sprawiedliwy! Uczciwszego nigdzie nie znajdziesz! – przypochlebiła się.

Dziewczyna dziękować poczęła, bełkocząc coś między chlipnięciami. Żegota obcesowo wyrwał jej rękę, dając tym znak, że posłuchanie skończone. Powiódł wzrokiem po chłopach, rzucając:

– A wy do domów się rozejdźcie! Koniec dziwowiska!

Nie czekając, aż spełnią jego rozkaz, odwrócił się na pięcie i skierował ku gankowi. Za nim zaś poszła reszta gości i domowników, albo jak pani Nadolska zasmuconych, albo jak Sulatycki z Murrayem, żartując sobie szeptem. Zwykle bowiem tak bywa, iż nieszczęścia innych, szczególnie tej natury, wzbudzają w niektórych wesołość, a częstokroć i wyrozumiałość dla sprawcy. Stare jest

bowiem przekonanie mężczyzn, zwykłych o to, co zamajstrowali, dziewczki obwiniać, w czym przecież prawdy żadnej nie ma, bo dwojga do tego trzeba.

Nowy kłopot rozsierdził Żegotę, który tylko wyglądał, kiedy mu Semka sprowadzą. Tym większy miał ambaras, iż od listopada Pielnia do braci Stano należała, którzy ją od Morochowskiego wzięli<sup>99</sup>. Już myślał siwowłosy właściciel Wygnanki, jak to chorąży sanocki obsobaczy go wszem wobec, iż chłopów lubieżnych nie pilnuje, luzem pozwalając się im prowadzać. Nadto za dziewczkę pewnie słono każe sobie zapłacić, kiedy by miała do sąsiedniego folwarku za męża iść. Płacić zaś, będąc w konflikcie z bogatym sąsiadem, Nadolski ani myślał.

Nie spieszył się pocztowy do spotkania z gospodarzem, pomny, co mu pan kiedyś w drodze do Tarnawki oznajmił. A im dłużej go nie było, tym bardziej złość rosła w Żegocie. Dlatego, kiedy w końcu stary Fiodor niemal za łeb syna przywłókł, powitał go szlachcic przekleństwami i groźbami, po czym chwyciwszy za kubrak, pociągnął za sobą do pustej izby, aby się z nim w cztery oczy rozmówić. Modliła się w duchu pani Agnieszka, żeby jej mąż nie sponiewierał zbytnio lubianego przecież pachółka, gdyż w gniewie ciężką mógł mieć rękę. Występek sługi przeciw obyczajom i moralności był znaczny, słusznie więc kara się należała, jednakże nie zbytnio sroga, gdyż już sam ożenek z nieurodziwą dziewczuchą zdawał się wystarczającą pokutą.

Kiedy sami zostali, już na wstępie dał Żegota Semkowi dwakroć po łbie otwartą ręką, znając, iż od tego najlepiej rozmowę z chłopem zaczynać. Pocztowy bowiem ostatnio chyba zbytnio uwierzył w pańską łaskawość, przez co zhardział i rozpuścił się, zapominając o przynależnym mu miejscu. Pomogło najwyraźniej, bo pacholek głowę spuścił, czapkę w rękach zmiął i stał, nie uchylając się. Powstrzymało to szlachcica przed dalszymi razami. Rzuciwszy kilka przekleństw, Żegota zapytał wreszcie wprost:

– Twojego bękarta nosi?

Chłopak siorbnął nosem, łypnął spode łba, przestąpił z nogi na nogę i głową pokręcił. Na nowo w Nadolskim gniew zapalił tym zaprzeczeniem.

– Czemu łzesz?!

Semko cofnął się o krok, jeszcze gwałtowniej oponując:

– Na Boga żywego się klnę, że nie mój!



– Taaak?! Powiesz mi jeszcze, żeś jej nie tykał, tej Jagny, co?! Tyyy...! – Nadolski zamierzył się na pachółka, ale nie uderzył.

Zmieszany chłopak oczami przewrócił, skulił się, aż wreszcie spojrzał błagalnie na gospodarza.

– Nie dawajcie mi jej panie za żonę! Przed Wielkanocą to jeszcze było! Raz tylko, po pijaku! Przecież by już porodziła, jeśliby mój był! – Ostrożnie kroczył w przód postąpił. – To latawica! Z każdym idzie! Nie dawajcie mnie jegomość na zatracenie! Nie czyńcie...

– A tyś nie lepszy! – przerwał mu Nadolski.

– Na rany Chrystusa przysięgam! Raz jeno! To stara ją namówiła, żeby mnie wskazać! Wie, że mój ojciec pierwszy w tutejszym folwarku, a ja na wojnie z jegomością bywałem! Swego patrzy, nie prawdy! Pewnie ją lada jaki pastuch wychędożył, a teraz męża z gospodarką szukają!

Żegota prychnął pogardliwie, marszcząc nos. Kącik ust mu opadł ze złości.

– I tak ją weźmiesz! Wypijesz, coś nawarzył, obwiesiu!

– Kiedy nie ja, jaśnie panie! Nie ja!

– Małom cię razy przestrzegał?! Małom widział?! Już cała wieś huczała i nawet ksiądz dobrodziej mówił! Jak pies za sukami ganiałeś! – Wyciągnął przed siebie palec, cedząc: – Ustatkujesz się! Z pożytkiem dla ciebie i innych to będzie!

Zajęczał Semko żałośnie, a łzy mu w oczach stanęły:

– Jezu Chryste! Błagam jegomości! Przecie dwie wsie za szwagrów 100 mieć będę! Nie swoje bękarty ojciec mi będą mówić ku pośmiewisku! Każdy jeden wie, co to za ladaczniczka z owej Jagny! Pijany byłem! Dawno! Nie mój ten pokrzywnik!

– Zborsuczyłeś dziewczkę, to teraz twój!

Pocztowy zacisnął pięści. Pojawszy, że nic prośbą nie wskóra, hardo zadarł głowę. Drżącym głosem wycedził:

– Tedy albo ucieknę, albo też się obwieszę! Na Krzyż Święty przysięgam! – Machnął ręką w kierunku stojącego na stoliku krucyfiksu, a potem się przeżegnał.

– Co?! – ryknął Nadolski. – Śmiesz mi się sprzeciwić?! Ja ci... – Zamachnął się, lecz tym razem pachółek uchylił się przed ciosem.

Aż zatoczył się Żegota od gwałtownego ruchu i jeszcze bardziej zły zbierał do ponowienia uderzenia. Semko jednak za stół skoczył, meblem się od niego

odgradzając. Oparty o jego krawędź, przyczajony, krzyknął:

– A tak! Precz ucieknę! Jak ci, co do Kozaków idą! Nie dam się w łańcuchy dożywotnie spętać przez łgarstwo jakiejś wszetecznicy! Niech bije jegomość! Na nic to! Może chłop jestem, ale nie niewolnik! Już zapomniał jegomość, jak mu życie ocaliłem?! Taka to pańska łaska i wdzięczność! Tfu! – Splunął na podłogę. – Lepiej byłoby mi na śmierć jegomości tam, pod Trzcianą, ostawić! Taka odpłata pańska za wierność! Teraz cham jestem! Parobek jeno, bom przecie już swoje zrobił! Pole pańskie obrabiaj, kłaniaj się kornie i rób, co każą, łba nie podnosząc!

Aż zatchnął się Nadolski z gniewu. Poczzerwieniał na twarzy i zmrużył swe szare oczy.

– Ty mi...! Ty mi śmiesz wypominać?! Za dobrze ci było! Za mało ci kark ugiął!

– Kark nie witka wierzbowa! Złamać łatwo! – odciął się pacholek, zapobiegliwie odsuwając się dalej.

– Tedy ci go złamię, psubracie!

– Ooo! Może i złamię jegomość, ale na śmierć chyba! Wołami mnie przed ołtarz nie zaciągniecie z tą Jagną!

– To się obaczy! Jeszcze pojdziesz, gdzie twoje miejsce!

– Aż nadto dobrze pojałem! Inszy był dawniejszymi czasy jegomość! Za długo w miejscu siedzi, to jak inni się zrobił! Krótka pamięć ludzka!

– Ja ci chamie...! – Żegota przesunął stół z łoskotem, aby sługę uchwycić.

Rumor się zrobił i wrzask, aż po całym domostwie się rozniosło.

Nie wytrzymała pani Nadolska i drzwi gwałtownie otworzyła. Zamarli w przedziwnych pozach zmierzeni jej chłodnym wzrokiem.

Pierwszy Semko się ogarnął i pokłonił nisko gospodyni. A i z Żegoty złość nieco zesza. Staął prosto, dłońmi niby to fałdy żupana począł wygładzać, zawstydzony swym wybuchem.

– Co tu się dzieje? – spytała cicho pani Agnieszka, lecz głosem takim, że i parobek, i szlachcic spuścili głowy.

Pierwszy Żegota odezwał się w końcu.

– Żenić się psubrat nie chce.

– Bo nie mój bękart! – odparował od razu Semko.

– Diabeł jeden wie, czy twój, czy nie! A jak każę, twój będzie!

– Spokój! – przerwała gospodyni, zamykając za sobą drzwi. – Co goście pomyślą? Jakie tu porządki?

– Ty... – wskazała palcem na pocztowego – ...ani się waż głos podnosić w moim domu. A ty... – skierowała wzrok pełen przygany na męża – ...jak się rozmówić chcesz w taki sposób z poddanym, to z dała od innych. Nie teatr tu, żeby się ludziom na dziwowisko wystawiać.

Westchnęła, zaplatając przed sobą ręce. Zmierzywszy wzrokiem Fiodorowego syna, poleciła:

– Mów!

– Nie mój bęś101, co go owa Jagna nosi. To ladacznica znana w okolicy. Nie ożenię się. Prędzej śmierć wybiorę niż ją.

– Ooo! Właśnie tak mi odpyskowuje psubrat! – podchwycił od razu szlachcic.

Nie wsparła go jednak żona, tylko spytała sługę rzeczowo:

– Na Boga się klniesz, żeś dziewczki nie tykał?

Spuścił Semko głowę, po włosach palcami przejechał, nim wybąknął:

– Raz jeno... ale jeszcze przed Wielkanocą to było, w zapusty102. Już by powiła.

– Przysięgasz, że wtenczas, raz tylko?

– Na Boga się klnę! – podchwycił żywo chłopak, natychmiast ścisząc głos pod karcącym wzrokiem gospodyni. – Przysięgam, niech tu na miejscu przed jejmością trupem padnę, jeśli inaczej było.

Popatrzyła pani Agnieszka na męża, zmarszczywszy brwi. Po dłuższej chwili zastanowienia, stwierdziła:

– Wierzę mu.

Nic nie odrzekł Żegota. Szczęki mu tylko zadrgały od zgrzytnięcia zębami. Zauważyła to pani Nadolska, dlatego spokojnym głosem dodała:

– Nie godzi się pachołka, nawet grzesznego, za nie jego grzech karać. A w gniewie różne człowiek rzeczy mówi i robi. Tedy ty... – wskazała palcem na Semka – ...do nóg jegomości padaj i o wybaczenie proś. Sługa jesteś i pana masz słuchać we wszystkim, bo tak Bóg świat urządził i wielki to występki się tym prawom sprzeciwiać.

Nie musiała powtarzać dwa razy pani Agnieszka, gdyż natychmiast wylazł z za stołu pocztowy i na kolana się rzucił, głowę przed szlachcicem kornie spuszczać.

Nie drgnął Żegota, więc ponagliła go wzrokiem żona, aby dłoń łaskawie wyciągnął do ucałowania. Z oporem uczynił to w końcu gospodarz.

Uspokojona tym wymuszonym pojednaniem, pani domu ciągnęła:

– Władzy nad włościanami nie należy nadużywać, tym bardziej do grzechu ich zmuszając, jakim byłby ów ślub. Już stary Fiodor mi rzekł przed chwilą, kto zacz owa Jagna i jej matka. Nie mam powodu, aby nie wierzyć. – Zawiesiła głos na moment. – Ale ciebie... – wskazała na Semka – ...nie można tu dłużej trzymać, boś zbereźnik...

– Jejmość... – wyjęczał Semko.

– Boś zbereźnik – powtórzyła mocnym głosem pani Nadolska – i ludzie dawno języki strzępią o twoich harcach. Dość przymykania oczu i łaskawości jegomości mojego męża dla ciebie. Ani ja tolerować tego nie zamierzam.

– Na Boga, jejmość... Gdzie ja...

– Nie przerywaj – ucięła. – Jeszcze dziś rzeczy swoje na drogę zbierzesz, konia dostaniesz i do Kadobnej pojedziesz do naszego dzierżawcy pana Jakubowskiego. List ci do niego dam, aby cię przyjął i w karbach trzymał. On już poradzi sobie z tobą i twoimi narowami. Mniej skory do łaskawości od pana Nadolskiego, który wzrok odwracał na twoje występki przez wzgląd na dawniejsze zasługi. Ludziom z oczu zejdziesz, plotkować przestaną. Za jakiś czas może nawet wrócisz.

– Dziękuję...

– Cicho! – Pani Agnieszka popatrzyła na Żegotę. – Zgadzasz się, mężu, i zezwolisz pachółkowi na to, com rzekła?

Wiedział Nadolski, iż tylko dla pozoru zadała mu to pytanie, ale miło mu się zrobiło, iż podkreśliła, że on tu gospodarz i jego wola się liczy. Dlatego sapnąwszy kilkakroć, brwi zmarszczywszy, skinął w końcu przyzwalająco głową. Uśmiechając się lekko z ulgą, pani Agnieszka nakazała:

– Dziękuj tedy panu za łaskę, Semko, bo inny nie byłby do niej skory po tym, jakieś się tu zachował. Może nawet wybaczy ci kiedyś mój małżonek, jeśli skrucę okazesz. Pojmujesz?

– Jejmość... – Spiorunowała go wzrokiem gospodyni, więc poprawił się natychmiast pocztowy: – Jegomość! Wybaczenia proszę, bom chłop prosty i głupi. Do końca mych dni wdzięczny za łaskę będę.

Ucałował wyciągniętą rękę, którą potem Nadolski poklepał go niezręcznie po skudłanej głowie.

– No, wstawaj – polecił. – Idź do ojca i matki się żegnać. Konia ci Bejda uszykuje.

Nie musiał powtarzać. Sługa w jednej chwili zerwał się na równe nogi i prawie wybiegł z izby. Tak mu bowiem ulżyło, jakby kto cetnarowy<sup>103</sup> kamień mu z pleców ujął. W istocie Jagusia grubo nad cetnar ważyła.

Kiedy zniknął, spojrzął siwy szlachcic na żonę z wdzięcznością. Przytuliła się do niego, patrząc mu głęboko w oczy.

– Co ci jest? Z byle powodu w gniew wpadasz. Przecież spokojnie mogłeś rzecz ułożyć. Z Semka dobry chłopak, chociaż pyskaty.

Nieswojo poczuł się Żegota. Odwrócił wzrok, co tylko upewniło Agnieszkę, że kryje coś przed nią.

– No mów, bo widzę, że ci ciężko.

Przełknął ślinę szlachcic, nim mruknął cichym głosem:

– Z Krupińskim się poróżniłem.

– Wiem, mówiłeś mi, że nad potokiem się pokłóciliście. Nic to.

– Kiedy... – Nadolski nie bardzo wiedział, jak przyznać się do wszystkiego i czy naprawdę tego chce.

– Co kiedy? – ponagliła go słodko żona.

– Na szable mnie wyzwiał – wyrzucił wreszcie z siebie szlachcic.

– Co?! – Pani domu odsunęła się od męża, unosząc brwi w wyrazie dezaprobaty pomieszanym ze zdziwieniem.

– Mnie, Murraya i Stillera – dokończył mężczyzna.

Tak popatrzyła żona na Żegotę, iż pozostało mu jeno głowę spuścić.

– Miałeś mnie nigdy nie okłamywać.

– Kiedy nie chciałem zmartwienia ci...

– Twoje zmartwienia są moimi! Nie po to razem przysięgaliśmy, żeby tajemnice przed sobą mieć. Prawda?

– Prawda – bąknął Nadolski.

– Mało ci było wojaczki? Mało z Krasickim przeprawy, w której ledwie się spod szabli Bardzie wywinąłeś? Mało w Zatwarnicy cię poharatali? Teraz tu, w domu, jeszcze w zwady się sąsiedzkie wdajesz? A o mnie i Maćku pomyślałeś? Ja rozumiem, że w sprawie słusznej szabli trzeba wyciągnąć, a nieraz i dom opuścić, ale tak? O miedzę bitka? Bój się Boga!

– Kiedy to nie tak...

– A jak?

– Krupińskiego pan Stano specjalnie na administratora sprowadził, żeby zaczepki szukał...

– Kto ci tak rzekł? – przerwała pani Agnieszka.

– Noo... Werner z Williamem...

– A skąd oni niby wiedzą? Co? – Westchnęła głęboko, kręcąc głową. Po chwili powiedziała: – Sam młyn nad Pielnicą wymyśliłeś, z sąsiadem nic nie ustalając. Dziwisz się, że krzywy? Radziłam ci, żebyś taki prędko nie był, ale ty już, teraz, natychmiast, jakby ci czasu brakowało. I masz! Kłopot gotowy!

– Co ma być, będzie – skwitował Nadolski.

– Tak? A jak cię usiecze? Sama zostanę? Dziecko sierotą będzie?

– Nie usiecze. – Szlachcic wzgardliwie machnął ręką.

– Takiś pewny? Hę? Sam mówiłeś, że Krupiński w lisowskiej chorągwi rzekomo był. Dobrze wiesz, jacy tam ludzie, bo u pana Moczarskiego służyłeś. Znasz, co potrafi? A może naprawdę najął chorążę Stano jakiegoś zabijakę, żeby cię zgładzić lub okaleczyć? A ta kompania, który która teraz w Nadolanach stoi, to nic?

– Przecież sam nie pojedę.

– Aaa! – Pani Agnieszka pokiwała głową niby ze zrozumieniem. – To na jakąś potyczkę, bitwę może, się szykujesz. Przedni concept! Tylko nie pomyślałeś, że z tego się coraz gorsze rzeczy stają. Raz jeden drugiego pogna, potem odwrotnie. A jakie ty masz siły, żeby przeciw chorążemu sanockiemu stanąć, co?! Dajmy na to, że położysz tego administratora z Nadolan. I co? Odpuści ci Jerzy Stano? A może nawet przeprosi? Tak mniemasz? To ci powiem, że cokolwiek by się zdarzyło, przeciw tobie, przeciw nam będzie!

Zezłościł się Żegota, dobrze wiedząc, iż ma rację jego żona. Przekornie jednak odpowiedział:

– A co?! Stchórzyć mam?! Udawać, że deszcz pada, jak w twarz mi swoim zachowaniem pluje Krupiński?! Prowokuje mnie, a ja mam zdzierżyć?! Nie z takich ja! O nie!

– Najsampierw pomyśleć! – odparowała pani Nadolska. – Dawniej jakoś mniej skory byłeś do szabli! Pamiętam, jak wzbraniałeś się w karczmie przed zwadą ze świętej pamięci panem Kruszewskim! A teraz?! Lada szlachetka za miedzą coś powie i już pojedynek! Chyba cni104 ci się za takim życiem?! Co?! Znudziło ci się spokój mieć?! Ja ci się znudziłam?!

– Nie znudziło – burknął ponuro szlachcic, bardziej zły na siebie niż na słowa swej małżonki.

Wzburzona Agnieszka Nadolska oddychała głęboko dla uspokojenia i zebrania myśli. Jeszcze jej nigdy tak nie rozsierdził Żegota. Nie wpadłaby w taki gniew, gdyby w słusznej sprawie ryzykował życie. Przecie po chrzcie Maćka sama go wysłała do Zatwarnicy, skąd poraniony wrócił. Wtedy jednak o pomoc przyjaciołom i odpłatę za łaskę Anusi Rudyłowskiej chodziło. Teraz zaś głowę miał siwy szlachcic nadstawiać w sporze o jakąś strugę graniczną. Aż niepojęty wydał jej się brak rozsądku u, zdałoby się statecznego, męża. Stało się jednak, jak się stało, a czasu cofnąć nie można. Dlatego, miast kołki na głowie ciosać Żegocie, fuknęła:

– Ani mi się waż pozwolić choćby się drasnąć! Ja opatrunków ci zmieniać nie będę ani na palcach chodzić, boś ranny! A na przyszłość nie kłam! I ze mną pomów, zanim co równie mądrego wymyślisz!

Pojał Nadolski, iż chyba wybaczyła mu żona, a ostre słowa bardziej rozczuliły go, niż rozsierdziły. Postąpił krok, objął naburmuszoną Agnieszkę, pocałował ją w głowę. Przytulił mocno, szepcząc w ucho słowa przeprosin. Lżej mu się zrobiło na sercu i duszy, choć przecież nic w istocie się nie zmieniło w sprawie pojedynku. Ale ulgę poczuł, że nie ma już przed małżonką sekretu, a po prawdzie też dlatego, że połowę ciężkich myśli na nią teraz zrzucił. W miłości prawdziwej tak bowiem jest, że wesołością i smutkiem dzielą się ludzie na pół, na co ich przed Bogiem sakrament złączył.

Trudno było czekać do poniedziałku, a Trzech Króli minęło w niewesołych nastrojach. Po mszy w Bukowsku państwo Nadolscy powrócili z gośćmi do domu, gdzie zaraz zaczęły się mało przyjemne rozmowy o nadchodzącym pojedynku. Pani Agnieszka złośliwie, spoglądając wymownie na Szkota i Niemca, łowami go zwała, na co tylko spuszczała wzrok oficerowie, pamiętając, jak ją zwodzili przed paroma

dniami. Podhorecka boczyła się na męża, raz, że na hazard swoją świeżo zagojoną głowę wystawiał, a dwa, że jak inni tajemnicą się z nią wcześniej nie podzielili. Nawet Sulatycki zły był na Żegotę, iż nie włączył go do spisku, głośno wyrzekając, że stary jest, nikomu już niepotrzebny i najlepiej byłoby mu umrzeć, aby innym swą osobą kłopotów nie czynić. Musiał znosić to wszystko gospodarz jak pokutę. Z początku nawet próbował się usprawiedliwiać, lecz w końcu machnął ręką, widząc, iż nic to nie daje. Słuchał tylko, kiwając głową, pochylony nad szablą, którą starannie do przeprawy gotował. Murray ze Stillerm z kolei dowodzili uparcie, iż raz-dwa sprawa się skończy, bo nie ma lepszego w fechtowaniu nad siwego szlachcica, a jeśli on pierwszy nie chce stawać, to Saksończyk gotów jest wziąć ten przywilej i Krupińskiemu nosa przytrzeć. Lekceważąco się o nim wypowiadali, za co zaraz kolejny przytyk pani Nadolska im uczyniła, by zbytnią pewnością się na gniew boski nie narazili przypadkiem, bo tylko Opatrzność znać może przyszłe wyroki i to, co komu los zapisał. Nie dość tych niezbyt miłych rozmów, zakazała też gospodyni wina zbytnio używać, twierdząc, iż na to czas przyjdzie po całej sprawie. Nie zamierzała bowiem zezwalać na wesołość, kiedy sama w środku drżała z obawy i ze złości, która nie przeszła jej do końca.

W niedzielę ustalono, iż pod okiem pana Wawrzyńca Bejda i jeszcze czterech chłopów z rusznicami podjadą wcześniej pod Grędówkę i tak się skryją w lesie, aby mieć dobry widok na całą polanę. Gdyby coś nie tak było, mają iść w sukurs swoim, ostrzeliwując przeciwników. Choć mało to może było honorowe, nie ustąpiła ani o cal pani Agnieszka z tego postanowienia. Żałowała, że Semka nie ma, albowiem pacholek najbardziej byłby przydatny. Pojechał jednak, jak nakazała, przed Trzema Królami do Kadobnej, nad wyraz zresztą ochoczo. Cichcem to uczynił, że tylko jego ojciec i matka o tym wiedzieli. Nie chciał bowiem Żegota ponownego widowiska z udziałem starej baby z Pielni. Na to czas miał jeszcze, teraz zajmowały go ważniejsze sprawy.

Nadszedł w końcu sądny dzień, przed którym noc niespokojną spędził Nadolski, długo pocieszając żonę w alkwie. Maciek też jakoś częściej się budził, czując widać zdenerwowanie rodziców. Niepokoiła się tym pani Agnieszka, choroby się u niego jakiejś dopatrując. Co chwila czoło synowi sprawdzała, tylko chwilową ulgę zyskując tym, że niegorące. Jedyne przecież było to jej dziecko i jak oka w głowie go strzegła.



Ledwie świt wstał, na nogach był już pan Sulatycki, ponaglając do szykowania się Bejdę i trzech parobków czekających na dziedzińcu. Sprawdził dokładnie ich rusznice, proch i kule wydzielił; znanym wśród zagończyków zimowym sposobem kazał przyodziać im na wierzch futer białe opończe przygotowane naprędce na tę okazję. W istocie z daleka mało ich teraz odróżnić można było od zalegającego dokoła śniegu. Żałował stary rękodajny, że czasu nie stało, aby wierzchowce podobnie przyozdobić.

Wyruszyli z rana, około ósmej, kierując się na Odrzechową, aby dopiero w okolicy Pastwisk zawrócić i cichcem lasem od drugiej strony do Grędówki podjechać. Obawiał się bowiem pana Wawrzyńca, iż Krupiński odkryć mógłby podstęp, patrząc, kto z Wygnanki wyjeżdża polami w las. Tak zaś mało było prawdopodobne, aby w Nadolanach ktoś mógł ich zoczyć.

Mróz szczęściem nie był tęgi, dlatego bez obawy mogli szlachcic z chłopami i Tatarem czekać w ukryciu południa. Rozstawił rękodajny ludzi wkoło polany, dbając, aby śladów zbyt wiele nie zostawiać. Konie pod opieką jednego pachółka przy skraju lasu nakazał trzymać, przykazując słudze, aby w gotowości je miał. W końcu i sam w śniegu zaległ, solidnie w futra okutany, wyczekując nadchodzących wypadków. Zadowolony był z siebie i nawet radosny, gdyż niczego bardziej nie pragnął, jak być użytecznym. Lubił co prawda domowe pielesze, ale czasem tęskno mu było za przygodą. Tu zaś miał okazję przypomnieć sobie swoje dawniejsze przewagi, o których tak często wspominał. I choć szczypał go mróz w twarz, uśmiechał się do siebie, licząc, że przyda się siurpryza, którą zgotował.

Okolo jedenastej przybiegł ku panu Wawrzyńcowi pachółek zostawiony z końmi na skraju lasu. Zdyszany, szeptem oznajmił, iż od Nadolan polami wolno jakaś banda nadjeżdża. Koło dziesięciu ludzi z daleka zliczył, dobrze zbrojnych. Zmarkotniał nieco Sulatycki, ale nie dał słudze nic po sobie poznać. Odesłał chłopca na miejsce, polecając mu, by dalej patrzył i uwiadomił natychmiast, gdyby jadący się rozdzielili. Obawiał się bowiem doświadczony w podchodach rękodajny, iż dzierżawca z Nadolan na ten sam co on koncept mógł wpaść, a wtedy kłopotliwa byłaby to sytuacja. Szczęściem jednak tak się nie stało, gdyż pewny był widać swego pana Krupińskiego. Nie zjawił się sługa z nowymi wieściami, więc jeźdźcy najwyraźniej nadal szli całą kupą.

Wreszcie rozległy się niesione w mroźnym powietrzu odgłosy. Najpierw słyhać było niezrozumiałe przez odległość dźwięki rozmów i śmiechy, potem krótkie rzenie

i chrapanie koni, na koniec zaś chrzęst śniegu i strzelające gdzieś pod kopytami gałęzie.

Pojawiła się wesoła kompania, rozbawiona wielce, jakby na zabawę, a nie do bitki jechała. Niespiesznie szli jeźdźcy pomiędzy drzewami, przerzucając się rubasznymi żartami albo też kpiąc jeden z drugiego po żołniersku. Choć mało było widać spod nasuniętych głęboko kołpaków, gdzieś mignęły ponure gęby, których nikt wolałby na swej drodze nie spotykać.

Zaklął w duchu pan Wawrzyniec, widząc, że tęgich ma przed sobą zabijaków. Nie wróżyło to dobrze, gdyż w gwałtowniejszej potrzebie mało mógł liczyć na chłopów. Jedynie pewny był Bejda z wojną obznajomiony. Szczególnie na jego łuku można było polegać.

Na polanę zajechało dziesięciu nieznanym przyjezdnych, wliczając Krupińskiego. Każdy inaczej przystrojony, ale na wojskowy sposób. Opatrzni solidnie żelazem, zbrojni w szable, krótkie muszkiety, pistolety, łuki i Bóg wie co jeszcze.

Zanim z koni zsiadli, dało się zauważyć, że wszystkim przewodzi wielgachny mąż z rudą brodą, który najgłośniej basem przygadywał kompanom. Musiał postrach nawet wśród swoich wzbudzać, gdyż słuchali się go, mało kiedy się odgryzając, a i wtedy słabo. Wzbudzał respekt już samą postawą i wyglądem. Na sam miecz wiszący u jego boku spoglądając, ciarki mogły przejść niejednemu po plecach. Przed paroma setkami lat takimi walczone, w dwóch rękach je trzymając. Tymczasem przy boku olbrzyma wyglądał jak byle rapier i znać było, że właściciel bez trudu nim włada.

Konia miał ów Herkules karego, z rasy fryzyjskiej<sup>105</sup>. Nawet ten wierzchowiec jednak na małego wyglądał, niosąc na sobie wielkoluda. Pocieszył się pan Wawrzyniec, iż przynajmniej łatwo trafić będzie owego Waligórę, choć miał w duchu wątpliwość, co do skuteczności ołowianej kuli wobec takiego niedźwiedzia.

Nie rozglądając się zbyt, na rozkaz wydany basem zeskoczyli z siodeł zawadiacy, nadal weseli, a może nawet podchmieleni, jak się zdawało. Prędko przywiązali wierzchowce do drzew, zebrali nieco chrustu i ogień rozpalili pośrodku polany. Kiedy podniósł się płomień, sięgnęli za pazuchy po manierki i nie szczydzili sobie trunków. Przełknął ślinę Sulatycki, w jeszcze czarniejsze myśli wpadając, gdyż wiedział, że z pijanymi sprawa najgorsza. Ani takim do rozumu przemówić, ani też wrażliwi na rany. Zwykle też do zwady i okrucieństwa bardziej skorzy. Teraz jednak

pozostało mu tylko czekać, wsłuchując się w rozmowy, które niczego dobrego nie wróżyły.

Z urwanych zdań łatwo było zrozumieć, iż krewcy kamraci nie tylko w przypadkową gościnę do Krupińskiego przyjechali. Dobrze go znali, zwykle Grzesiem albo też Krupką nazywając i często do niego przepijając. On sam oszczędnie gorzałką się raczył, usprawiedliwiając wstrzeźliwość czekającą go walką. Śmiali się z tego głośno jego kompanioni, namawiając, aby ceregieli nie czynił i im sprawę pozwolił załatwić. Już teraz chętnie by do Wygnanki zajechali, gdyż, jak dowodził jeden, ponoć gospodyni gładka, a i druga niewiasta tam jest, którą przy kościele widział i chętnie by bliżej poznał. Żartował bezczelnie, iż obydwie mężatki, tedy twierdzy zdobywać nie trzeba, bo z rzeczą obznajomione. Od razu podchwytywali inni ów zamysł, rubaszni i czerwoni na gębach. Nie szczędzili przy tym słów i gestów coraz to bardziej ordynarnych. Z każdą chwilą ochotniej brzmiały te głosy, jakże niemiłe Sulatyckiemu. Przykro mu było słuchać tego, jak obrazano jego dobrodziejów, i nic nie móc uczynić. Pięści zaciskał, rozgrzane złością czoło do śniegu przytykał. Niewiele to jednak pomóc mogło na palący go gniew.

Nie spodziewałby się nawet stary rękodajny, kto przyjdzie mu w sukurs. Oto bowiem wstał nagle ze śniegu ów olbrzym i ryknął:

– Dość, psubraty! Mordy zamknąć! – Jak nożem ucięte ucichły wszelkie żarty.

Przeszedł się wielkolud pomiędzy swymi ludźmi, patrząc na nich z góry. Spokornieli, pochowali manierki, niektórzy zaraz w ciszy chrust do ognia zaczęli podrzucać, niby to zajęci wielce tą czynnością.

– Mało wam chlania?! Co?! Rozochociliście się?! – Goliat stanął przy ognisku, biorąc się pod boki. – Tedy przypomnę wam, że rzecz cała ustalona! Ani mi się który waży nawet pomyśleć folwark najeżdżać! Niech Krupka swoje sprawy załatwi, w czym mu pomożemy po starej znajomości, ale nam od gwałtów jakowychś wara! Nie myślę teraz starosty sanockiego sobie na łeb ściągać!

Krupiński z wdzięcznością popatrzył na siłacza, na co ten burknął do niego:

– A ty prędko się załatw! Jeszcze mi się ludzie rozpręgą przez zbyt obfitą gościnę! Twoja rzecz z chorążym układy, nie moja! Dla mnie żaden z tego zysk, tyle że odpocząć pod dachem można!

– Ile życycie! – podchwycił administrator z Nadolan. – Bylebym sprawę dla pana Stano zakończył, to i do wiosny możecie!

– Aaa! – Olbrzym machnął obojętnie ręką. Siadając na powrót, mruknął cichszym już głosem: – Swoje zajęcie mamy. Kto inny nam zaliczkę dał i wywiązać się trzeba.

Spokój nastał jak w karnym wojsku. Część mężczyzn przysiadła przy ogniu, grzejąc ręce, inni do koni poszli, a dwóch po brzegach polany chodziło, rozglądając się po lesie. Modlił się pan Wawrzyniec, aby jego i ludzi nie dostrzegli. Dobrze jednak byli ukryci, więc niełatwo byłoby ich znaleźć. Tym bardziej iż zwiadowcy nie wchodzili dalej, najpewniej dla uniknięcia męczącego brnięcia przez głęboki śnieg. Starczyło im widać, że żadnych podejrzanych śladów nie dostrzegli, albowiem już po chwili wrócili do swoich kamratów.

Kwadrans tak minął względного spokoju, kiedy wielkolud nakazał jednemu ze swych ludzi na koń wsiąść i wypatrywać, czy nie jadą z Wagnanki. Czas był najwyższy, gdyż południe się zbliżało. Pocwałował na czujkę drab z kałkanem na plecach, by wrócić po chwili, oznajmiając, iż jedzie czterech konnych polami.

Zarechotał rudy olbrzym, konkludując liczbę nadciągających jednym słowem:

– Odważni! – Na co śmiechem wybuchnęła reszta towarzystwa.

Słusznie mniemali, że przy takiej nierówności sił istnym szaleństwem było przyjeżdżać do Grędówki we czwórkę. Albo więc Nadolski nie wiedział, z iloma się spotka, albo też, jak zaczęli żartować niektórzy, na umyśle szwankował. Żadnemu nawet na myśl nie przyszło, że mógł zawierzyć w szlachecki honor, tak niedorzeczne by się im to pewnie zdało. Sami bowiem nigdy takiego błędu by nie popełnili.

Ukryty Sulatycki rachował, że nawet po celnej salwie i tak pięciu jeszcze zostanie obwiesi, a mało liczył, że każda z kul dojdzie celu. O ile Tatarowi można było pod tym względem ufać, o tyle chłopci mało z bronią obeznani, szczególnie w polu i do ludzi mierząc, więcej huku mogli narobić niż szkody. Dobrze i to byłoby na początek, lecz gromada na polanie zdała się doświadczona w boju, tak że najpewniej prędko mogła się ogarnąć i przypuścić kontratak.

Westchnął pan Wawrzyniec, aż sam się przestraszył, iż zbyt głośno, a potem modlitwę odmówił w myślach, czując, że i jemu, chociaż stary, do szabli przyjść może. Niezbyt zadowolony był z tej perspektywy, bo też odwykł od bijatyk i skutek tylko jeden mógł być dla niego z tej przygody – najmniej łeb rozbity, a może i gorzej.

Tymczasem pojawili się pomiędzy drzewami Żegota z towarzyszącymi mu oficerami i Podhoreckim. Niespiesznie jechali, rozglądając się na boki. Zbrojni w trzymane na łąkach rusznice, z pistoletami w olstrach i białą bronią przy bokach. Dostrzegłszy liczną kompanię na polanie, na chwilę powstrzymał wierzchowca Nadolski i powiedział coś do przyjaciół. Potem zaś ostrzej konia nogami trącił, jakby na dowód, iż nie boi się czekającej go zgrai. Nieco w tyle została trójka jeźdźców za jego plecami.

Krupiński zadowolony uśmiechnął się i wąsa podkręcił. Popatrzył po kamratach, którzy także wykrzywiając radośnie gęby, jęli zachęcać:

- No, dalejże, Krupka!
- Pokaż szarakowi, jak się tańczy!
- Przytnij mu wąsiska, psubratu!
- A nie kończ za szybko, bo popatrzeć chcemy!

Machnął ręką zarządca Nadolan na ostatnie słowa, odpowiadając:

– Napatrzycie się, bo i z tamtymi dwoma kurwimi synami... – wskazał palcem odzianych z cudzoziemska jeźdźców – ...mam sprawę!

Stanęli kupą, wyzywająco przypatrując się nadjeżdżającym. Tylko ich przywódca jeszcze chwilę siedział przy ogniu, niewiele sobie robiąc z tego wszystkiego. Wreszcie zebrał się ociężałe jak powstający z legowiska tur i wolno podszedł do swoich ludzi. O dwie głowy przewyższał największego z nich, dobry więc miał widok zza pleców podwładnych. Zaplótł ramiona na szerokiej piersi, przesunął wyżej znad czoła futrzaną czapę, zmrużył oczy i zastygł w tej pozie, wymownie dając tym znak, kto jest panem na polanie.

Zatrzymawszy się, Nadolski od razu go dostrzegł, tak z racji postury wielkoluda, jak i jego zwichrzonej rudej brody. Zaklął w duchu, pojawiwszy, że na takiego potwora najmniej ze trzech by ludzi trzeba, bo istnego niedźwiedzia miał przed sobą. Nawet od bezrękiego Fedka z Wygnanki większy był ów gigant. Nie wyglądało to dobrze, a jeszcze gorzej na przyszłość wróżyło. Mimo to nie dał po sobie poznać przestachu. Z obojętną miną zeskoczył z siodła.

Zamilkli wszyscy, przypatrując się, jak wiąże konia i opiera rusznicę o drzewo. Nie spieszył się. Zaraz podjechali ku niemu trzej jego towarzysze, tak samo bez słowa. Wzorem szlachcica zajęli się wierzchowcami, starannie zaplatając wodze

o gałęzie. Zdawali się obojętni, co zirytowało najwidoczniej Krupińskiego, gdyż krzyknął:

– Może byś się przywitał, mości Nadolski?! Co?! Języka w gębie zapomniałeś?! Strach ci mowę odebrał?!

Popatrzył na niego siwy szlachcic z pogardą przez moment, a potem, wracając do rozpinania kozucha, rzucił:

– W strachu to chyba ty waszmość jesteś, skoro w takiej asyście musiałeś przyjechać!

– Ha, ha! – Zaśmiał się nieszczercze administrator z Nadolan, bo zezłościła go chłodna odpowiedź. – Waćpan też jakoś sam nie przybyłeś!

Zatrzymał palce trzymające pętlice Żegota i uniósł brwi w szczerym zdziwieniu.

– Co to?! Zapomniałeś, panie Krupiński, że i moich przyjaciół wyzwaleś?! Mieli nie przyjechać?!

– A ten?! – Nie bardzo wiedział szlachetka, co odrzec, więc wskazał na Podhoreckiego.

– Sekundant mój! – Nadolski przymrużył oko. – Acan, jak widzę, więcej ich potrzebujesz! Raźniej w kupie?! Prawda?!

– Ludzie ciekawi byli widowiska, tedy grzechem byłoby im wzbraniać! – odparował Krupiński, dodając: – Wszak rzadko się zdarza, że w ten sam dzień trzech się jedną ręką kładzie! Będą mieli co wnukom opowiadać!

– Bez wątpienia! – przyznał nad wyraz zgodnie Żegota, przewieszając przez siodło zdjęte z ramion futro. Łypnąwszy na przeciwnika, zapytał: – Waszmość się nie szykujesz?!

– Zdążę! – odkrzyknął dawny lisowczyk, ale po chwili także jął kozuch zdejmować.

Cisza nastąpiła jak makiem zasiał. Kamraci Krupki, patrząc na Nadolskiego i jego oszczędne ruchy, pojęli, że chyba nie z byle płocią będzie sprawa. Tak jest bowiem wśród dawnych żołnierzy, iż jeden drugiego w mig z postury i gestów rozpoznać potrafi, choćby nawet imienia nie znał. Za tym zaś idzie rodzaj pewnego szacunku, nawet jeśli wrogiem byłby nieznajomy.

Murray szykował się odwrócony plecami do stojącej na polanie zgrai. Niesporo mu szło jedną ręką, ale się nie spieszył. Futrzany płaszcz zostawił na plecach, nie chcąc bez potrzeby marznąć. Za pas włożył pistolety z olstrów, aby mieć je pod ręką

w razie nagłej potrzeby. Podciągając bandolier, poprawił zgrabny hiszpański rapier z misternie grawerowanym dzwonowym koszem. Rzadko go używał, bardziej w broń palną wierząc, ale biegle umiał się nim posługiwać. Wreszcie zwrócił się ku wyczekującym cierpliwie kamratom Krupińskiego, zdejmując z głowy kapelusz. Starannie otrzepał go z drobin strząśniętego z gałęzi śniegu, poprawił zdobiącą klamrę i pióra. Już zamierzał na powrót włożyć go na głowę, kiedy nagle ciszę nad polaną przerwał gwałtowny basowy okrzyk:

– William?! William Murray z Alford?!

Zdziwiony Szkot uniósł wzrok, spoglądając na przedzierającego się przez ciżbę rudego olbrzyma z ogromnym mieczem przy boku. Oczy rozszerzyły się bezrękiemu oficerowi w wyrazie zaskoczenia, a potem wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

– A niech mnie kule biją! Ronan Cameron! Lang may yer lum reek!106

– Latha math!107

Wielkolud przypadł do Murraya, chwytając go w objęcia i niemal dusząc w radosnym, wylewnym uścisku.

– Diabła prędzej bym się spodziewał zobaczyć! Dwadzieścia pięć lat! Do stu piorunów! Dwadzieścia pięć lat!

Odsunął się, trzymając Szkota za ramiona. Śmiejąc się radośnie, spoglądał z góry, jakby wciąż nie mogąc uwierzyć w spotkanie.

– Gdyby nie gęba ani bym cię poznał! Jak patyk zdawałeś się chudy, a teraz...?!

– Ty też się rozrosłeś, Ronan! Wielki zawsze byłeś, ale istny Goliat z ciebie! A i ta broda, jakbyś zbójem był jakim!

– Aaaa! – Olbrzym odruchowo pogładził się po bujnym zaroście, by wyszczerzywszy zęby, znów jąć ścisnąć oficera, prawie unosząc go z ziemi.

– Dość! – Murray się śmiał. – Kości mi pogruhoczesz! Ledwie oddycham!

Z rozdziawionymi gębami patrzyli na niespodziewane widowisko zarówno Żegota z przyjaciółmi, jak i dziesiątka stojących opodal oczajduszów. Ślepia wybałuszali, nic nie pojmując. Tak samo zaległy w śniegu Sulatycki mało z tego rozumiał. Ale śmiech i słowa radosne wskazywały, iż chyba inaczej, niż można byłoby się spodziewać, skończy się cała przygoda.

Puścił w końcu wielkolud dzierzawcę Sikawca, odwracając się ku swoim ludziom i wołając:

– Dawaj mi tu który manierkę! Napić się trzeba! Żywo!

Nie musiał powtarzać. Zaraz trzech skoczyło, sięgając za pazuchy. Chwycił rudobrody jedną z flaszek i wcisnął w ręce przyjaciela, a sam sięgnął po drugą. Stuknęli się gwałtownie z toastem:

– Sláinte!108

Zaraz do ust przycisnęli manierki, pijąc solidnie, by po chwili znów paść sobie w objęcia.

Żegota popatrzył na Stillera, u niego szukając jakiegoś wyjaśnienia, ale Niemiec tylko wzruszył ramionami na znak, iż także nic z tego nie pojmuje. Podhorecki stał skamieniały, z otwartymi ustami, obok konia. Zaiste niecodzienną mieli przed sobą scenę. Tylko Krupiński jakoś zmarkotniał, przeczuwając, iż owa wylewność olbrzymiego przywódcy nie wróży najlepiej zamierzonemu pojedynkowi.

Oderwał się wreszcie wielgachny Ronan od przyjaciela. Trzymając go jedną ręką za łokieć, odwrócił się ku swoim kamratom i oznajmił:

– Od dziecka się znamy! Razem się chowaliśmy w jednej osadzie! Jak brat mi jest! We dwóch do Gdańska na statku ćwierć wieku temu przypłynęliśmy! To druh mój najserdeczniejszy z młodych lat, William Murray z Alford!

– Aha... – mruknął do siebie pod nosem Nadolski, uśmiechając się nieznacznie. Kamień spadł mu z serca i poczuł ulgę. Niepewną jeszcze, lecz uzasadnioną nadzieję na bezkrwawe rozstrzygnięcie zatargu.

Groźna kompania, widząc uradowanie swego herszta, także wesoło zaczęła wołać, bez skrępowania sięgając po schowane niedawno manierki. Rozległy się toasty na cześć szkockiego oficera, za czym do niego przepijając poczęli hultaje, czego nie odmawiał, równie jak wielkolud ucieszony ze spotkania. Jedynie Krupiński z boku się trzymał, łypiąc nienawistnie.

Po dłuższej chwili ogromny przywódca zgrai spod ciemnej gwiazdy zerknął ku stojącemu na uboczu Żegocie, szeroko i przyjaźnie szczerząc się w uśmiechu. Wyciągnął w jego stronę łąpsko dzierżące manierkę. Machnąwszy ręką, zachęcił:

– Chodź, panie szlachcic! Napij się z nami! – Zaraz też Podhoreckiego ze Stillerm ku sobie przywołał: – I was proszę, bo święto mam dzisiaj nie lada! Zabawić się trzeba!

Nie musiał powtarzać. Zaraz podeszli we trzech, biorąc wciskane im w dłonie naczynia i bratając się z tymi, którzy jeszcze przed chwilą krzywo na nich patrzyli.



Wśród gwaru przepijali do szelm wszelkiej maści, poklepywani po plecach i sami także obwiesi poklepując. Kłaniali się sobie panowie bracia, nawzajem się prezentując, ściskając, a nierzadko i po gębach cmokając. W tym zgiełku Murray wyjaśniał wielkoludowi:

– To moi przyjaciele najbliżsi, za którymi w ogień bym poszedł. Ten wysoki, bez nogi, to oficer dragoński, teraz na administracji u Eryka Herburta w Beniowej, Werner Stiller. Niemiec, od dwudziestu lat mój dobry kompan. Siwy to pan Nadolski z Wygananki, żołnierz znamienity, a młody zwie się Mikołaj Podhorecki, dzierżawca z pobliskiej Tarnawki.

– Czołem, czołem waćpanom! – powtarzał rudy Herkules, co rusz wznosząc rękę z manierką i popijając solidne łyki.

Harmider się zrobił na polanie, jakby jaki kulig się zatrzymał, a nie do bitki przed chwilą miało dojść. Z sakw wyciągali hultaje Camerona kolejne flaszki, jakieś mięsiwa pozostałe po świętach, chleb i co kto miał, dzieląc się szczerze z nowymi znajomymi. Okazało się nawet, iż jeden łapserdak Żegotę ze służby u pana Moczarskiego pamięta, za czym zaraz dawnych towarzyszy z lisowskiej kompanii poczęli wspominać, ich zdrowie pijąc.

Zarządca z Nadolan stał z boku oszołomiony i zły. Nie tak miało to wszystko wyglądać. Nie na to się z druhami umawiał, aby teraz na biesiadę wesołą spoglądać. Gotowała się w nim krew, aż wąsy ze złości zagryzał. W końcu, nie wytrzymawszy, zawołał piskliwym od gniewu głosem:

– Pojedynekować się miałem!

Żałością wybrzmiały nad polaną te słowa, na chwilę gwar przerywając. Popatrzyli po Krupińskim zastygli na sekundę biesiadnicy, a potem śmiejąc się i machając obojętnie rękami, wrócili do wesołego zajęcia, rozochoceni zarówno gorzałką, jak i padającymi zewsząd żartami.

Aż tupnął nogą wściekły szlachetka na taki obrót sprawy. Nie wiedząc, co ma czynić, wyszarpnął szablę z pochwy, wrzeszcząc:

– Stawaj!

Znów ucichło. Spoglądali na niego wszyscy, jakby był niespełna rozumu. Jeszcze bardziej rozsierdziło to Krupińskiego, który powtórzył:

– No, stawaj!

Rudy wielkolud poklepał po plecach Murraya, szepnąwszy mu w ucho:

– Poczekaj.

Odwrócił się ku drobnemu szlachcicowi, wziął pod boki i spokojnym, mocnym głosem polecił:

– Schowaj to szydło, Krupka! Nie wystawiaj się na pośmiewisko!

– Obrazili mnie! Przodków moich chłopami nazwali!

– Obrazili?! – Ronan Cameron uniósł gęste brwi w szczerym zdziwieniu. – Krupka?! Co ty gadasz?! Przecież ciebie nie można obrazić!

Aż w uszach zadzwoniło Nadolskiemu od rechotu, jaki uniósł się po tych słowach nad polaną z ust rozbawionych biesiadników. Nie dawał jednak za wygraną poczerwieniały na gębie Krupiński.

– Krwią zmyję obelgę!

Zasepił się potężny herszt. Głową niby to ze zrozumieniem pokiwał, a potem wycedził głosem basowym niczym pomruk niedźwiedzia:

– Posłuchaj mnie tedy, Krupka! Ani teraz, ani nigdy pojedynku z moim przyjacielem nie będzie, bo prędzej ze mną musiałbyś stanąć! Tak samo i z tymi... – wskazał palcem Stillera z Żegotą – ...gdyż jego przyjaciele są moimi! Więc zastanów się, czy mam swój kozik wyjąć, czy też ty swój schowasz!

Groźnie to zabrzmiało, tym bardziej jeśli zważyć na rozmiar wiszącego u boku rudzielca miecza, którym łatwo na pół przeciąłby i szablę, i dzierżącego ją człowieka.

Opuścił zbrojną dłoń administrator z Nadolan, płaczkliwie niemal jęcząc:

– Ale pan Stano...

– W rzyci mam pana chorążego sanockiego! – uciął wielki Szkot. Aby załagodzić nieco grube słowa, ręką skinął na Krupińskiego, mówiąc: – Chodź! Nie rób widowiska! Pojednacie się, i basta! No!

Schowawszy broń, z ociąganiem podszedł szlachcic ku swemu hersztowi, łypiąc niechętnie na Murraya. Ten zaraz prawicę ku niemu wyciągnął, szczerze przemawiając:

– Wybacz waćpan, że ze złośliwości pozwoliłem sobie na żart bezmyślny. Racz przyjąć moje przeprosiny, że przodkom acana bezzasadnie ująłem należnej im czci. Słowem ręczę, że się to nie powtórzy.

Zerknął spode łba Krupiński, czy aby nie kpi z niego cudzoziemiec, ale nie widząc fałszu w jego twarzy, z ociąganiem uściśnął podaną dłoń. Mruknął przy tym:

– Skoro tak... To wybaczam waszmości. Niech tam!

– Wiwat! – podniósł się wesoły okrzyk nad polaną.

Zaraz też Saksończyk dłoń szlachcicowi uściśnął, również go przepraszając. Dla spokojności to wolał uczynić, niż jątrzyć. Nadolski jednak był bardziej powściągliwy. Stanąwszy naprzeciw Krupińskiego, wprost zapytał:

– Najął waćpana pan Stano, aby mnie do szabli sprowokować?

Skrzywił się szlachetka, głowę spuścił, pod kołpakiem podrapał, aż w końcu, westchnąwszy, przyznał:

– Tak jakby...

– I chcesz tej umowy dotrzymać?

Wzruszył ramionami Krupiński, na rudego herszta spojrział, wreszcie ręką machnął zrezygnowany, rzucając:

– Teraz to niekoniecznie. Pozmieniało się trochę, jak widać.

– Tedy uściśnij na zgodę, bo i ja zwady nie szukam. – Żegota wyciągnął dłoń. – A co do strugi, dogadamy się przecież. Prawda?

– Prawda – przyznał zarządca z Nadolan, kiwając głową.

Potrząsnęli sobie prawice, czym zaraz ponowne okrzyki radości wywołali.

Teraz nic nie stało na przeszkodzie wesołej zabawie. Łatwo zresztą włączył się do niej Krupka, od razu do okowity zachęcony. Po chwili już z innymi się śmiał, bo w gruncie rzeczy mało był pamiętliwy. Nadto widział, że z uporu nic mu nie przyjdzie, bo jakoś minęła wszelka ochota na burdy jego kamratom.

Jedna tylko rzecz pozostała jeszcze Nadolskiemu. Podeszedł do Camerona, coś mu na ucho szepnął, a ten, zaśmiawszy się rubasznie, głową skinął. Klepnął Nadolskiego w plecy, aż jęknęło, mówiąc:

– To się acan zabezpieczyłeś. Słusznie, bo sam bym tak na twoim miejscu uczynił. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Uniósł na to kąciki ust siwy szlachcic, skłonił się, a potem odszedł na kilkanaście kroków, by stamtąd zawołać:

– Panie Sulatycki! Bywaj!

Pora była najwyższa, gdyż niecierpliwił się już zmarznięty rękodajny, widząc, jak na polanie przy ognisku bez niego piją. Nad wyraz żwawo, wspierając się na rusznicy, przez śnieg przebrnął, wzbudzając docinki z racji okrywającego go prześcieradła. Pohukiwała podpita czereda, niby to ducha leśnego widząc. Prędko więc pozbył się niezręcznego odzienia pan Wawrzyniec, przepił z wesołą kompanią, rad z niespodziewanego obrotu sprawy, a potem chłopów z Bejdą przywołał, nakazując im do domu wracać. Tatarowi zapobiegliwie polecił, aby panią Agnieszkę uwiadomił o wszystkim, co się stało, uspokajając ją. Zapowiedział, że sami z panem Żegotą, Podhoreckim i oficerami najpewniej niebawem wrócą, choć przewidywał w duchu, że przeciągnąć się może leśna gościna. Tym bardziej było to prawdopodobne, iż rozochocony Krupiński, korzystając z okazji, poprosił, by jeden z wieśniaków do Nadolan zajechał i przykazał w imieniu zarządcy saniami jadła i wina do Grędówki przywieźć. Nie chcąc być gorszym, Żegota to samo rozkazał. W godzinę zajechały pełne sanie ze wsi i z przysiółka, co ostatecznie rozochociło niezważających już na zimno biesiadników.

Zapłonęło wielgachne ognisko na polanie. Polały się trunki wszelakie, raczono się nawiezionym jadłem, bawiąc się i żartując do późnej nocy. Było w istocie co świętować, raz z racji niespodziewanego spotkania na beskidzkim pustkowiu dwóch Szkotów, a dwa z powodu oszczędzonej krwi, która nie została przelana. Ci, którzy zbyt często ją widzieli, wolą bowiem hulankę od bitki i śmiech od bolesnych jęków. Bardziej cenią od innych urodę życia, świadomi jej kruchości.

Sponiewierani, wisząc na siodłach albo też koni się trzymając, a kilku nawet na wozach wiezionych, wracali nocą ze śpiewem pijackim biesiadnicy polami Wygnanki. Chciał Żegota nowych znajomek do siebie prosić na dalszą zabawę, ale odmówił Cameron, najbardziej ze wszystkich trzeźwy, wiedząc, jakich oczajduszów ma pod swoją komendą. Rozdzielili się tedy nad Pielnicą, żegnając się czule i wylewnie, jak to nietrzeźwi. Dozgonną przyjaźń poprzysięgał Krupiński Nadolskiemu, z wzajemnością zresztą, wrzeszcząc, iż plwa na pana chorążego Stano, albo też gorszych słów używając. Nie wróżyło to Krupce długiej kariery jako administratora Nadolan.

Dniało już, kiedy wtoczyli się pijani Żegota z towarzyszami na dziedziniec przed dworem. Czekala cierpliwie na męża niewyspana pani Nadolska. Drzwi odemknęła, stając w progu domostwa. Choć rada była z obrotu sprawy, wymownie spoglądała na małżonka. Ten zaś, palec do ust przykładając, niby to o ciszę prosząc, z łomotem

przez sień przeleciał. Przytomności zaś w nim było mniej, jakby po łbie szablą wziął. Tyle że ran nie trzeba było opatrywać.

Srodze zapłacił za swe nieumiarkowanie siwy szlachcic dnia następnego, podobnie jak Sulatycki, Stiller, Murray i Podhorecki. Dzień cały okrutnie cierpieli, o wodę jedynie błagając. Powoli wracali do siebie, jeszcze we środę wstrzeźliwość zachowując. Pani Agnieszka przygadywała mężowi, jak to flaszką wojował, ale w skrytości ducha cieszyła się, że wszystko dobrze się skończyło.

Szlachecki pojedynek w Grędówce na długo w pamięci okolicznych mieszkańców został. Sulatycki zaś mógł dodać do swych anegdot kolejną, z każdym rokiem coraz bardziej ją ubarwiając.

## ROZDZIAŁ X

### NAJEMNIK

Dopiero na trzeci dzień po owym sławetnym pijaństwie zajechali do Wygnanki Ronan Cameron z Grzegorzem Krupińskim. Gospodyni i pani Anusi w pas się obydwaj ukłonili, z gospodarzem, rękodajnym i gośćmi serdecznie wyściskali, jak z najlepszymi druhami. Rada była niezwykle pani Agnieszka tej odmianie, tedy natychmiast gościnę nakazała szykować, szeptem mężowi przykazując, aby tym razem większą powściągliwością się wykazał. Ledwie co uleczony Żegota nie zamierzał ignorować tej prośby, jak każdy, kto z okowitą przesadzi, solennie obiecując poprawę. Zresztą i olbrzymi rudzielec z rządcą z Nadolan tylko po wino sięgnęli, chyba z tych samych co siwowłosy pan domu powodów.

Objawił się Krupiński wesołym nad wyraz człowiekiem, żartobliwe opowiadając, jak się rzecz z panem chorążym sanockim miała. Okazało się, iż najął go z polecenia pana Fredry z Hoczwi, któremu kiedyś Krupka podobną przysługę wyświadczył, pozbywając się jednego z sąsiadów. Jak sam bowiem zarzekał się szlachetka, o gospodarce pojęcia zielonego nie ma, gdyż od małego całe życie na różnych wojnach i bitkach przepędził, ale za to inne cnoty posiada, szczególnie zaś do fechtowania był zdatny. Chwalił go wielki Szkot, że do szabli urodzony, bo trudno mu w szermierce sprostać, szczególnie że żwawy był i szybką miał rękę. Dla dowodu zachęcał go nawet Cameron, aby pokazał, jak knota ze świecy potrafi obciąć, na co jednak nie zgodziła się pani Nadolska, słusznie mniemając, że najlepiej będzie w zarodku zdusić potrzebę męskich popisów. Od takich zabaw zwykle nic dobrego nie przychodziło, a świec na zatracenie nie zamierzała wydawać.

Co do przyszłości, Krupiński zamierzał do pełnej wiosny w Nadolanach zostać, o ile wcześniej go pan Stano nie wyrzuci za zbytnią poufałość z sąsiadem. Tak zaś mogło się rychło stać, jeśli prędko dojdą go wieści o biesiadowaniu z Nadolskim w Grędówce. Wcale nie był strapiony z tego powodu pan Grzegorz, gdyż już teraz cniło mu się za swobodnym życiem. Chciał odpocząć nieco i wracać do kompanii Camerona, w której ostatnie lata spędził, albo też do Dydyńskich się przyłączyć. Jak

chwalił się Krupka, fach miał w ręku, który zawsze przyda się bogatym panom czy to w sąsiedzkich zatargach, czy to na sejmikach, więc krzywda mu się nie stanie. Wielce tym Sulatyckiemu do gustu przypadł, który zaklinał się, iż gdyby nie wiek, chętnie by się do takiego kompaniona przyłączył. Aż wypomniała mu pani Nadolska, że widać źle mu w Wygnance, czym bardzo zmieszał się pan Wawrzyniec i począł zawile się tłumaczyć.

Zwalisty Szkot oznajmił, iż on już nazajutrz musi z ludźmi odjechać z racji przyjętych zobowiązań. Nierad był z tego wielce, gdyż spotkawszy po ćwierćwieczu przyjaciela, najchętniej jeszcze by kilka niedziel w Nadolanach spędził, zapusty odpowiednio świętując. Rzekł jednak, iż dane słowo święte dla niego, gdyż o reputację tu chodzi, a ta w jego fachu najważniejsza. Domyślała się gospodyni, co to za zajęcie, lecz robiąc niewinną minę, zapytała naiwnie:

– A czymże to się waszmość parasz?

Zaśmiał się rubasznie Szkot, po rudej brodzie pogładził i mrużąc oko, odrzekł:

– Żaden ze mnie waszmość czy acan, wasza miłość. Chociaż jestem szlacheckiego rodu, to takiego, co sam pola orał i krowy na pastwiska w górach pędził. Nie z bogactwa wyjechałem z domu, ale z biedy, a o indygenat jakoś się tutaj nie wystarałem, jak to się Williamowi udało. Tedy i zajęcie mam, że tak to ujmę, może mało szlachetne. Gdzie kto problemy jakieś ma, a samemu niesporo mu z jakichś względów je rozwiązać, mnie z kamratami najmuje. Ot, cała tajemnica.

– Jak bracia Dydyńscy? – upewniła się gospodyni.

– Podobnie – przyznał Cameron, skinąwszy głową. – Tylko że oni... – wyszczerzył zęby w uśmiechu – ...bardziej o własną chwałę dbają, stąd wszędy o nich głośno, a ja wolę po cichu swoje robić. Wielu zaś tych, co mnie najmuje, taki sposób jak mój preferuje, więc na brak zajęcia nie mogę narzekać. Nawet koszta nie odstraszą bogatych panów, jeśli pewni, że nikt ich udziału w niepolitycznych czasem sprawach nie pozna.

– Zaiste ciekawe musisz mieć waszmość życie – skwitowała nieco złośliwie pani Agnieszka.

Nie obraził się jednak rubaszny Szkot, lecz zaśmiał głośno z przytyku, odpowiadając:

– A żebyś jejmość wiedziała. – Unosząc kielich, wskazał na Murraya. – Z Williamem razem przez Francję i Niderlandy do Rzeczypospolitej przyплыliśmy

i odkąd pierwszy raz stanęła moja stopa na tej ziemi, na nudę nie narzekam. W Gdańsku się rozstaliśmy, bo on o karierze wojskowej marzył i aż nogami przebierał, żeby się gdzie zaciągnąć, ja zaś kupiectwem się chciałem zająć, znając, że z tego grosz najpewniejszy i znaczny.

Zaskoczona pani Nadolska uniosła brwi. Nigdy by nie pomyślała, patrząc na srogiego wielkoluda, iż mógłby w kupieckim kantorze siedzieć, liczyć czy księgi rachunkowe wypełniać. Zadowolony z jej zdziwienia Cameron wyszczerzył zęby, wyjaśniając:

– Tak było, waćpani! Handlować chciałem, spokojne życie wieść. Ani mi w głowie wtenczas była wojaczka. Tyle że jedno to, czego człowiek pragnie, a drugie, jaki mu fortuna los wyznaczy. Mnie widać pisane było zostać tym, kim jestem, z czego krzyw nie jestem.

Przepił, pochylając się nad stołem, aż zaskrzypiała pod nim dębowa ława.

– Jak Żółkiewski w Moskwie stanął, zachciało mi się skórami moskiewskimi kupczyć. Zebrałem tedy grosz od co odważniejszych gdańskich bogaczy, ludzi trochę nająłem i na wschód pojechałem. Pewny byłem, że łatwo mi pójdzie, jak każdy młody i głupi. Już po drodze widać jednak było, iż inaczej się sprawy mają, niż mniemałem. Wilkiem na Polaków patrzyli Moskale. Jakby mogli, to bez wahania łby by im wszystkim z radością urznęli. – Machnął dłonią. – Co tu dużo gadać. W najgorszy czas do stolicy tamtejszej zajechałem. Tyle co po buncie było, w którym pół miasta spalono<sup>109</sup>. Zabitych pełno, swąd wszędzie, istne piekło. Ja jednakże uparłem się bezrozumnie. Pomyślałem, że jak ułoży się wszystko, to tym lepszy interes zrobię, od pogorzalców dobra za grosze skupując. Dołączyłem się więc do tych, co na Kremlu stali, zawierając sile ich oręża i swojemu szczęściu. No, a potem... – uniósł wzrok na słuchających go – ...chyba wszystkim wiadomo, jak się zdarzyło. Kiedy traw, korzonków, myszy, psów, kotów, ścierwa nie stało, ludzie trupy wykopywali z ziemi i jedli. Piechota między sobą się pożerała. Syn od ojca, ojciec od syna, pan od sługi i sługa od pana nie byli bezpieczni. Kto kogo zgoła zmógł, ten tego zjadł<sup>110</sup>.

– Jezus Maria! – krzyknęła pani Anusia, przeżegnawszy się.

– Tak było. – Wielkolud pokiwał głową. – Na własne oczy widziałem i sam ledwie uniknąłem tego, aby mnie w kotle uwarzono. A o to, co ja wtenczas jadłem i jak udało mi się przeżyć, nie pytajcie.



Odruchowo, przerażonym wzrokiem spojrzeli słuchający Szkota na stojące na stole, wypełnione mięsiwem półmiski i jakoś przeszła im ochota, by do nich sięgnąć. Sulatycki od ust odsunął kapłonie udo, które w połowie tylko obgryzł, i odłożył je na talerz. Otarł palce o spodnie i, by odejść od niemiłego tematu, zapytał:

– Co potem acan robiłeś?

– Potem? Różnie bywało. Najpierw w niewolę jak inni poszedłem, gdzie dwa lata spędziłem. Chwalić Boga, życie udało mi się ocalić. Wielu nie było dane takie szczęście, gdyż po kapitulacji wydano nas na pastwę tłuszczu, która okrutnie się nad niektórymi pastwiła. Kiedy wreszcie wolność odzyskałem, do Gdańska nie miałem po co wracać, bo wszystko, co stamtąd wziąłem, przepadło. Przystałem tedy do jednej zbrojnej kupy, z której się później konfederacja żołnierska wzięła<sup>111</sup>. Dalej zaś już łatwiej szło. Najpierw pod pułkownikiem Lisowskim, potem Czaplińskim i Rogowskim z Moskwiciniami walczyłem, dochodząc nawet do pomniejszej komendy. Następnie przeciw Bethlenowi<sup>112</sup> nas posłano. Potyczek i bitew, w których brałem udział, ani też ran moich, nie zliczę. Ciężka była służba, ale nie powiem, że nie intratna. Z Kleczkowskim po ostatniej kampanii na Śląsk dotarłem, gdzie niezbyt mile nas przywitano<sup>113</sup>. Stamtąd pod Wiedeń i dalej, do Czech. W bitwie pod Białą Górą wedle Pragi walczyłem, aż w końcu zwolnił nas cesarz ze służby, płacąc zaległy żołd, bo nie chciał już mieć u siebie takich sojuszników, co po prawdzie czasem gorzej od wroga ziemię pustoszyli. Wróciliśmy z kompaniami do Rzeczypospolitej, skąd zaraz większość pod wodzą Rusinowskiego na Turka poszła. Mnie jednak dość było wojaczki i tułania się po świecie. Miałem trzosik pełny, młody jeszcze byłem, więc pomyślałem, żeby się ustatkować. Okazja zaś ku temu mi się nadarzyła, bo spodobałem się jednej młodej wdówce w Krakowie, co kram w Sukiennicach tamtejszych po mężu nieboszczyku miała. Wróciło stare marzenie o kupiectwie. – Westchnął ciężko, wina popił i otarł wierzchem dłoni gęstą brodę. – No! Połowę z tego, co zgromadziłem, na łapówki wydałem, żeby się mieszczaninem stać i ślub z Marysią zawrzeć. Druga na towary poszła, szczególnie zaś wina węgierskie, gdyż w tym intratny interes upatrzyłem. Dobrze mi się wtenczas działo jak nigdy przedtem ani potem. Przytyłem, między zacnymi ludźmi począłem się obracać, a i wielkich panów niektórych miałem okazję poznać, kiedym im węgrzyny i alikanty<sup>114</sup> woził. Raz, że z racji postury uwagę zwracałem, a dwa, kiedy dowiadawali się, iż byłem żołnierzem, chętnie opowieści o moich przygodach

słuchali. I w domu wszystko było jak należy. Dobrą miałem żonę, jakiej ze świecą szukać...

Bolesny grymas przemknął przez mgnienie oka przez twarz Szkota. Solidnym łykiem resztką wina odpędził jakąś smętną myśl. Natychmiast dolał mu do kielicha pan Wawrzyniec, poznając, iż chyba potrzebny będzie jeszcze trunek przy tej opowieści. Szkot zaś, uśmiechnąwszy się smutno, pociągnął:

– Trzy lata trwała moja sielanka. Marysia brzemienna była, więc mniemałem, iż więcej do szczęścia już mi nie trzeba. Miałem wszystko, czego mógłbym pragnąć. Ziściły się moje pragnienia. Tak jednak bywa, że jak człowiekowi za dobrze, miesza wszystko diabeł. – Spuścił wzrok na złożone na stole ogromne dłonie. – Za duże było dziecko. Chłopak. Nawet medyk nic nie mógł zdziałać. I on, i Marysia... – Nie dokończył, jeszcze bardziej pochylając ogromne plecy, jakby przytłoczony ciężarem wspomnień.

Cisza zapadła na dłuższą chwilę w izbie. Nikt bowiem nie wiedział, co można by rzec i jakimi słowy pocieszyć szkockiego tułacza. Ten odetchnął głęboko, dłonią przez twarz przejechał i uniósł wzrok.

– Tyle co pogrzeb zdążyłem obydwojgu wyprawić, zlecieli się krewniacy mojej żony jak sępy. Każdy chciał coś dla siebie ze schedy po Marysi uszczknąć. Kogo mogli, napuścili na mnie, dowodząc najprzeróżniejszych kłamstw, które miały mi zaszkodzić. Wszelkich sposobów użyli, aby mnie pognać i majątku pozbawić. I cóż... – pstryknął palcami – ...udało im się. Skończyło się moje handlowanie! Widać nie do tego stworzony zostałem i nie taki mi los Pan Bóg przeznaczył.

– Nic waszmości nie zostało? – szepnęła pani Anusia.

– Ano nic. Tyle, co na sobie miałem. A i to dobrze, że mnie w wieży pod ratuszem nie zamknęli, bo na łotra spod ciemnej gwiazdy wyszedłem, tak mnie powinowaci spotwarzyli. Niby że oszustem byłem, który niewieścią naiwność wykorzystał w celu zawładnięcia majątkiem. Nikt nawet się nie zająknął o tym, ile swojego w interes włożyłem, jakbym jakim żebrakiem był, gdy się żeniłem. Wszystko przepadło.

– Do cna waćpana ograbili. – Sulatycki pokiwał głową i popił wina. – Tak to łykom zaufać!

Zaśmiał się na to Cameron, mówiąc:

– Zważ acan, że sam łykiem być chciałem, a ludzie źli są w każdym stanie, tak jak i dobrzy się trafiają. Na ten przykład pomógł mi rajca Mikołaj Pernus<sup>115</sup>, protegując

mnie u Tomasza Zamoyskiego<sup>116</sup>. Nie mogąc w Krakowie zostać, ruszyłem więc do Zamościa. gdzie mnie na służbę przyjęto. Najsamprzód było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie, tak mnie smutki do ziemi przygięły. Schudłem, smętny chodziłem, mało do kogo gębę raczyłem otworzyć. Ale, jak to się mówi, czas każdą ranę potrafi zaleczyć. Powoli do siebie wróciłem, a przy tym los zesłał mi zajęcie, do którego jak nikt inny się przydałem. Otóż miał marszałek<sup>117</sup> sprawę delikatną z innym wielkim panem, która go trapiła. Taką, o której lepiej nie gadać, bo żadnej ze stron splendoru nie przynosiła. I tak się szczęśliwie złożyło, że pomogłem mu ją po cichu korzystnie rozstrzygnąć. A potem... – wzruszył ramionami – ...zebrałem podobnych do siebie tułaczy z lisowskiej chorągwi, jak obecny tu jegomość Krupiński, aby się nowym zajęciem parać. Najpierw z polecenia pana Tomasza, później zaś już na własny rachunek. Ot, taka moja historia. Teraz chodzę czasem z tymi niebożętami pod moją komendą, którzy by pewnie dawno już dali gardło, gdyby nie to, że ludziom w potrzebie pomagamy. Nie darmo, rzecz jasna, bo też darmo to tylko w łeb, jak powiadają, wziąć można. Nie krzywduję siebie. Mam gospodę przy rynku w Zamościu, drugą w Lublinie, obydwie puszczone w arendę. Czasem pożyczek na procent udzielam, jak komu grosza trzeba, albo też z kupcami wchodzę w interesa. Niekiedy cenniejszych transportów strzegę. Kto chce, potrafi mnie znaleźć, ale na rozgłosie mi nie zależy.

– To pan chorąży acana też najął? – zapytał z przekąsem Żegota, zerkając znad kielicha.

– Aaa gdzie tam! – Wielkolud pokręcił głową, wyszczerzywszy zęby. – Za mały on na takie luksusy! To miała być dla Krupki przysługa po dawnej znajomości. Dlatego zboczyłem nieco z drogi. Ale, jak rzekłem, pora mi już dalej ruszać.

– A gdzie waćpana Bóg prowadzi, jeśli wolno spytać? – rzuciła pani Podhorecka z niewinną miną.

Cameron zmrużył wesoło oczy, zerkając na powabną niewiastę.

– Ciekawska waćpani bardzo... – mrugnął szelmowsko – ...ale odpowiem. Do Halicza mi spieszo.

– Do Halicza? – drążyła pani Anusia niezrażona. – A za czym?

– Dajże spokój! – Mąż niby to ją ofuknął, lecz niezbyt energicznie, sam ciekaw, co też wiedzie Szkota w tamte strony.

– Tak! – Olbrzym skinął głową. – Do Halicza... – Zawiesił głos, ciesząc się błyskiem zniecierpliwienia w oczach młodej białogłowy. Napił się niespiesznie wina, kielich powoli odstawił, usta otarł dłonią i dopiero wówczas, łypnąwszy spod krzaczastych brwi, mruknął, niby to konfidencjonalnym szeptem: – Jest tam taki jeden, co zwie się Krogulecki. Sprawę ma do niego mój mocodawca, który mi uregulowanie pewnej kwestii powierzył. Tyle mogę powiedzieć jejmości.

– Nic więcej? – Rozczarowana pani Podhorecka zatrzepotała rzęsami.

– Nic a nic – odrzekł Cameron, głową kręcąc, a twarz mu spoważniała.

Od razu pojęła pani Anusia, iż więcej już nie wyciągnie, więc westchnęła tylko, by zaraz zmarszczyć nos w wyrazie dezaprobaty.

Zaśmiał się głośno rudobrody Szkot z jej konfuzji, w uda klepnął, wzrokiem wokoło potoczył.

– No! Teraz, skoro już mnie wypowiedaliście ze wszystkiego, rad bym trochę was posłuchać! Na ten przykład, William, opowiedz mi, jak tobie się działo przez te wszystkie lata, bo coś tam mi w Grędówce mówiłeś o jakiejś dzierżawie, ale sam wiesz, że gorzałka pamięci nie służy.

Uśmiechnął się Murray, odchylił w krześle, znacząco na Stillera popatrzył, a potem jął opowiadać swoje losy, które go do biskupa Próchnickiego przywiodły. Pomijał oczywiście to, co musiało być pominięte, gdyż nie wszystkie tajemnice mógł wyjawiać. Szczególnie zaś tych nie mógł zdradzać, które tyczyły jego służby u lwowskiego metropolity.

Zasłuchali się wszyscy, bo choć znał Niemiec i Żegota tę historię, niezwykle była ciekawa, szczególnie z czasów, kiedy Szkot jako prosty żołnierz zaczynał. W kominie trzaskał wesoło ogień, przyjemnie grzejąc siedzących przy stole, na przekór mrozowi, który krzepł za oknem wraz z nadchodzącym wieczorem. A kiedy skończył oficer, zaczęły się zwykłe rozmowy, których tak potrzebują ludzie niezależnie od tego, kim byli w przeszłości i dokąd zmierzają. Wybrzmiewały w ulotnej chwili pomiędzy przedtem a potem, dając wytchnienie od trudów codzienności i pozwalając o nich zapomnieć.

Późno już było, kiedy rozstali się biesiadnicy, ściskając się serdecznie i dziękując sobie nawzajem to za gościnę, to w rewanżu za odwiedziny. Krupińskiego Żegota zapraszał do częstszych wizyt, z czego rad był drobny szlachcic, bo jak mówił, cniło mu się samemu wśród chłopstwa, a znajomych pośród okolicznych ziemian nie miał.

Najdłużej zaś obejmowali się dwaj Szkoci, szepcząc coś sobie w swej dziwacznej mowie. Potem odjechali wielkolud z dierzawcą Nadolan, zostawiając za sobą tę drobinę smutku, znaną wszystkim gospodarzom, którym miłe były odwiedziny właśnie w przeszłość odchodzące.

Rankiem następnego dnia widzieli zgromadzeni w Wygnance ciągnący traktem oddział dawnych lisowczyków pod wodzą rudego Szkota. Jechali tam, gdzie wiodło ich przeznaczenie. Pomachali zatrzaścom stojący wedle dworu ludzie, czym odwzajemnili się z daleka Cameron z kamratami, pokrzykując niosące się nad polami słowa pożegnania. Zniknęli w końcu w śnieżnej oddali, a Murray, ocierając kąt oka, pocieszył się, iż nie na długo rozstaje się z dawnym druhem, gdyż przyobiecał mu olbrzym wiosną do Sikawca zajechać i dłużej tam pobyc. Jak rzekł, nigdzie mu spieszo nie było i baba żadna nie ponaglała go w niczym, więc mógł do woli cieszyć się swobodą. Owca

W południe zebrał się pan Nadolski, zgodnie z obietnicą, aby do Siemieńskiego, do Międzyrzecza, pojechać. Czas już był najwyższy dowiedzieć się czegoś więcej o Żeliborskim, bo Stiller, dotąd zajęty sprawami Żegoty i pojedynkiem, na nowo powrócił do posępnych rozmyślań. Słusznie prawił jego szkocki przyjaciel, iż zajęcia mu jakiegoś trzeba, gdyż bezczynność nikomu nie służy. Szczególnie zaś tym, których jakieś troski trapią.

Do Tarnawki odprowadził siwego szlachcica Podhorecki, który wybrał się do swego folwarku, by ostatnich napraw dojrzeć i domostwo na powrót rodziny przygotować. Pożegnali się przy odnowionym dworku, opatrzonym nowymi szybami, z odmalowanymi okiennicami i poprawionym gankiem. Aż trudno było poznać go po tej przemianie.

Dalej sam pojechał Nadolski, ciesząc oczy pięknym zimowym krajobrazem, jakże innym od tego, który pamiętał ze swej ostatniej peregrynacji do pana Zbigniewa. Śnieg białął głęboki, równy, prawie żadnym śladem nienaruszony. Otulał śpiące drzewa, wygładzając ich kontury. Całunem pokrywał wykroty, nadając ziemi powabną jednostajność. Żaden dźwięk nie poruszał powietrza, jakby znieruchomiałego od mrozu. Na niebie zaś przyświecało nisko stojące słońce, jaskrawe, lecz niedające ciepła. W jego promieniach migotały srebrzyście śnieżne drobiny, przypominając czasy dziecięcych zimowych zabaw.

Lekko się szlachcicowi zrobiło na sercu, gdy podziwiał owo surowe piękno przyrody. Tak jakby świat na lepsze się zmienił, kiedy i jemu się poprawiło

i przeminęły kłopoty z sąsiadem. Teraz tylko pozostało sprawę z Saksończykiem rozwikłać, co wobec urokliwości dnia zimowego zdało się nagle prostsze niż jeszcze przed kilkoma dniami. Ot, starczy klątwę odczytać, na co na pewno odkryje się sposób, a jak nie, inna znajdzie się rada. Uśmiechnął się Żegota sam do siebie na takie myśli, uwierzywszy złudzeniu. Konia lekko ostrogami trącił, gdyż zapał go ogarnął, aby czym prędzej z Siemieńskim się rozmówić.

Do Międzyrzecza zjechał z pewną obawą, bo miał w pamięci wzrok żegnającej go pani Maryny Siemieńskiej z Popielów. Liczył jednak, iż skończenie kłopotów z Tarnawką, o czym już przecież wiadano od Podhoreckiego, przychylniej usposobiło matronę. Rychło jednak okazały się płonne te nadzieje. Kiedy bowiem z konia zeskakiwał i wodze pachołkowi dawał, wyszła gospodyni na ganek, ledwie pledem okryta, usta w wąską kreskę ścisnęła i tak wymownie na sługę spojrzała, że ten czym prędzej oddał rzemienne cugle gościowi, głowę spuścił i czmychnął między folwarczne zabudowania.

Siemieńska zeszła dwa stopnie ze schodów, pod boki się wzięła i nawet nie racząc poczekać na powitanie, do którego się Nadolski szykował, rzuciła:

– A za czym to waści przygnało?! Co?! Może znowu męża mi rozpijać?!

– Kłaniam się waćpani! Wybacz jejmość, jeśli...

– Znam ja takich! – przerwała mu stara, nawet nie odpowiadając na przywitanie ani nie słuchając. – Tam kwaterek, gdzie indziej dzban! Od jednego porządnego domostwa do drugiego zajeżdżają! Mało im zawsze! Ale niedoczekanie! Niezdrów małżonek i gości nie przyjmuje!

Aż gębę rozdziawił Żegota na takie dictum, wbrew wszelkim obyczajom gościnności uczynione. Niepojęte mu się zdało wobec niepisanych szlacheckich praw. Przy tym wprost w jego cześć i godność uderzające, jakby lada kim był.

Zatchnął się, poczerwieniał na twarzy, szczęki mu zadrgały. Dostrzegła to od razu pani Siemieńska, ale mało się widać przejęła, mówiąc:

– A co?! Nieprawdę powiadam?! He?! Trzy dni cierpiał mój mąż po waszmości wizycie! Trzy dni! – Uniosła palec. – A przecież dawno zabronili mu medycy trunków nadużywać, bo mu się wątroba popsowała! Zabić go chcesz, acan?!

– Anim myślał...

– Co waszmość myślisz, diabeł jeden wie! Ja zaś widziałam, do czego zdolny jesteś! – Założyła ręce na piersi, głowę zadarła i po raz wtóry oznajmiła: –

Niezdrow jest pan Siemieński!

Przestąpił Nadolski z nogi na nogę, rozejrzał się wkoło. Już nie zdawał mu się zimowy dzień tak radosny, kiedy złość w nim kipiała. Niespotykana zaiste spotkała go obraza, którą niejeden, nawet wyzywając gospodarza, pewnie by chciał zmyć. Nadto sobie pani Siemieńska pozwoliła, na żadną grzeczność się nawet nie siląc wobec sąsiada. Widać za chudopachołka Żegotę miała, skoro sobie tak poczyniała.

Ściągnęła się twarz siwemu szlachcicowi, obwisł lewy wąs jak zwykle, kiedy gniew przychodził. Łypnął spode łba swymi szarymi oczami, już jakąś ostrą odpowiedź w głowie szykując. Szczęściem nie zdążył. Otworzyły się bowiem drzwi za plecami pani domu i wybiegł prawie na ganek pan Zbigniew.

Rozpostarł ramiona, śmiejąc się sztucznie, by zaraz zawołać:

– Witaj, panie kochanku! Witaj, mości Żegota! Gość w dom, Bóg w dom!

Skłonił się sztywno Nadolski, przez zęby cedząc:

– Jakoś mniej gorąco od waszmości przywitała mnie szanowna małżonka acana, mimo że sprawę w Tarnawce skończyłem, jak obiecałem.

Zstąpił ze schodów pan Siemieński, mijając wbijającą weń chłodny wzrok żonę. Ze zmieszonym wyrazem twarzy rzucił usprawiedliwiająco:

– Wybacz waćpan humory niewieście, bo nie ze złej woli, jeno z troski o me zdrowie uczyniła. Jeśli uraziliśmy czymś, z serca przepraszam.

Przypadł do gościa, nie bacząc, że wciąż wierzchowca za wodze trzyma, i jął go ścisnąć. Zaraz też za siebie krzyknął:

– Iwan! Bywaj tu, psubrace! Dawaj konia pana Nadolskiego do stajni!

Wciąż zły Żegota mruknął złośliwie:

– Uwiązać starczy byle gdzie, bo nie zamierzam nadużywać gościny.

– Gdzie tam, panie kochanku! Gdzie tam! Kiep bym był, gdybym zezwolił! A jeszcze teraz, kiedy tak się zdarzyło...

Zgarbiony pacholik odebrał wodze, chyłkiem uchodząc z dziedzińca odprowadzany złym wzrokiem przez gospodynię. Pan domu zaś chwycił Nadolskiego za rękaw i pociągnął za sobą do dworu.

– Chodźże waćpan, bo mróz tęgi! Ogrzej się!

W milczeniu minął siwy szlachcic skamieniałą jakby Siemieńską. Nie odwrócił oczu, bezczelnie się w jej twarz wpatrując, ale i ona nie pozostała mu dłużna w tym

pojedyńku. Łatwo było poznać, iż odpokutuje małżonek niewiasty za swą niesubordynację.

Zamiast w kierunku jadalni poprowadził Siemieński gościa w inną część domu, gdzie miał swoją kancelarię. Już w drodze głośno usprawiedliwiał się, że tam najcieplej, bo od komina grzeje, ale kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, szeptem dokończył:

– ...jak osa zła łązi od świąt. Wszędzie zaczepki szuka. Żeby ją raz szlag trafił...

Widząc, że zagalopował się nieco, popatrzył z przestrachem za siebie. Z ulgą odetchnął, nie słysząc żadnego dźwięku z korytarza. Westchnął żałośnie, usadził Żegotę w fotelu, a potem sam opadł bezwładnie na wytarte siedzisko wedle sekretarzyka. Dużo widać czasu spędzał tu pan Siemieński, uciekając od domowego piekła. Współczuć mu nawet począł Nadolski codziennej udręki, dlatego zagadnął życzliwie:

– Ciężko waszmości.

– Oj ciężko! – Pan Zbigniew smutno pokiwał głową. – Nawet nie wiesz, jak bardzo, panie kochanku. Czasem myślę, że w wieży byłoby mi lepiej siedzieć.

– Czemu tedy małżonki w karby nie weźmiesz? Wszak twój z dziada pradziada Międzyrzecz. U siebie jesteś.

Łypnął gospodarz podejrzliwie, ręką machnął i głową pokiwał.

– Aaa... Gadać szkoda. Tyle że nie taka prosta sprawa z folwarkiem, jakby się zdało. Widzisz waćpan, kiedyś inaczej żyłem i trochę długów się zrobiło, a ona papiery skupiła i trzyma... Pojmujesz...

Skrzywił się Żegota, zrozumiałwszy, o co chodzi. Siemieńskiemu zaś chyba na szczerłość się dalszą zebrało, gdyż pochyliwszy się ku gościowi, dodał:

– Co ja sługom rozkażę, zaraz odmieni jędza. Boją się jej jak Lucyfera i nawet na mój gniew wolą się narazić, niż jej się sprzeciwić. Było, że prawie na śmierć kazała oćwiczyć parobka, który z mojego polecenia, ale bez jej zgody do Sanoka pojechał. Przed szlachtą udaje czasem, że posłuszna z niej białogłowa, ale kiedy złość ją weźmie, nawet i to... – Machnął ręką. – Wstyd tylko! Wstyd na całą okolicę! Już się nawet między ludźmi nie pokazuję, bo wstyd!

– Toś sobie acan nawarzył piwa – skwitował Nadolski, kiwając głową.

– Głupi byłem! Grosz miała, to mniemałem, że z długów mnie wyciągnie i Międzyrzecz ocalę. No i ocaliłem... – prychnął sarkastycznie – ...na swoją zgubę.



– Nie mów waćpan, bo na ojcowiznie siedzisz, to najważniejsze. Może ułoży się wszystko – spróbował pocieszyć dawnego druha Żegota.

Ten jednak wydał tylko usta i wycedził:

– Chyba jak ją diabli wezmą, jak ten cały jej ród, tfu... – splunął ostentacyjnie – ...przeklęty.

– Oj, zalazła małżonka waćpanu, za skórę, zalazła.

– Aaa... Nie znasz ty tego, bo twoja pierwsza, Zośka, inna była. Przecież ją znałem. A i teraz, jak słyszę, zaczął masz żonę. Nie to, co ja, nieszczęśnik. Ale cóż – zakończył filozoficznie, wznosząc oczy – widać taką mi pokutę za dawne grzechy Pan Bóg naznaczył.

Westchnął, pomilczał chwilę, wreszcie powstał ociężale i skierował się do niskiej komody. Sięgając do niej, rzucił za plecy:

– Napijesz się, panie kochanku? Na frasunek, jak mawiają, dobry trunek. Co zaś ma być, to będzie.

Żegota pokręcił głową.

– Wybacz waćpan, ale nie dziś. Raz, że nie chcę waszmości na niesnaski domowe narażać, a dwa, że ostatnimi czasy nadto sobie pozwoliłem. U mnie też żona nierada, jak zbytnio się zabawię. Czasem sfolgować trzeba.

– Ha! Trudno! – rzekł pan Siemieński, mimo odmowy stawiając na stole butelkę i dwa kielichy. – Słyszałem, żeś sobie acan, panie kochanku, z nowym administratorem z Nadolan i jego kamratami zaczął biesiadę po Trzech Królach w Grędówce wyprawił. Ech! – Westchnął smętnie. – I ja bym się jeszcze kiedy tak beztrudno zabawił... Oj, tęskno mi za taką wolnością, tęskno...

– W kolejne dni mniej było mi wesoło – odparł pocieszająco Nadolski, lecz nie pomogło to na frasunki pana Zbigniewa.

Zasiadł ponownie gospodarz w swym fotelu, zapatrzywszy się smętnie przed siebie. Głową pokiwał do własnych myśli, nim po dłuższej chwili, jakby ocknąwszy się, zapytał:

– Cóż też w takim razie cię do mnie sprowadza, panie Żegota? Bo widzę, że nie w odwiedziny przyjechałeś. Zresztą... – skrzywił się – ...mało teraz mnie dawnych przyjaciół odwiedza przez tę wiedźnę. Tylko jej krewniacy zajeżdżają. Jak u siebie się psu braty czują.

Chrząknął Nadolski, zastanawiając się, jak zgrabnie do rzeczy przejść, ale w końcu zaczął oględnie:

– Jak zapewne wiesz waćpan, przeszły już strachy w Tarnawce...

– Tak, wiem – potwierdził Siemieński. – Mówił mi pan Podhorecki, jak był u mnie. Ponoć to za sprawą waszmości, panie kochanku, i jakowegoś Niemca, który w odwiedzinie do ciebie przyjechał. Prawda to?

Zmieszał się nieco siwy szlachcic, lecz pewnym głosem odpowiedział:

– Prawda.

– Tedy chwała Bogu! – stwierdził pan Zbigniew. – Nie wnikiem jak, ważne, że skończył się problem. Przynajmniej to mam z głowy.

– Istotnie – wszedł mu w słowo Nadolski – ale o to chodzi, aby się na powrót nie zaczęły.

Łypnął gospodarz zaskoczony i stęknął.

– Co?

– Skutek zwalczyć się udało, ale przyczyna wciąż nie jest znana mojemu przyjacielowi, który lata całe u metropolity lwowskiego służył. Stąd mniema, że kłopot wrócić może, jeśli się do cna złego nie wypleni.

– Że niby jak, panie kochanku? – Siemieński, nadal nie pojmując, pochylił się w stronę gościa.

– A tak..

Przerwało mu gwałtowne otwarcie drzwi. Stała w nich pani Maryna, popatrzyła złowrogo na siedzących, a potem na stojącą na stole butelkę. Bez słowa weszła żywym krokiem, schwyciła flaszkę pod pachę, rzuciła Nadolskiemu wściekłe spojrzenie, po czym milcząc jak grób, wyszła, mocno trzaskając drzwiami.

Rozdziawił usta zaskoczony Żegota, nie mogąc objąć rozumem tego, co się zdarzyło. Przyzwyczajony widać pan Zbigniew machnął tylko dłonią, kwitując:

– Sam widzisz acan. Ot, moja dola! – Jeszcze bardziej przesunął się ku siwemu szlachcicowi. – Pewnie za drzwiami stoi. Cicho mów waćpan, żeby nie słyszała.

Niespotykane zdały się Nadolskiemu porządki w międzyrzeckim dworze. Powściągnął jednak uwagę na ten temat, do rzeczy wracając:

– O to chodzi, aby źródło owego problemu znaleźć.

Siemieński rozłożył ręce.

– Ile chcesz, szukaj, acan. Wolna droga, bylebym stratny nie był i kłopotów przez to nie miał. Z góry jednak zastrzegam, że na żadnych baczów ani innych czarowników się nie godzę, bo wyklnie mnie ksiądz z ambony, a ta tam... – ruchem głowy wskazał na drzwi – ...taka bogobojna, że życ by mi nie dała. Jeszcze by mi księdza rezydenta do domostwa sprowadziła, aby od złego strzegł i miał na mnie baczenie. Tego mi tylko brakuje. Nowego cerbera na karku.

– Ani mi w głowie sprowadzać kogo, co magią się para – zaprzeczył od razu Żegota. – Pytań tylko kilka chciałem waszmości zadać. Nic więcej.

Siemieński wzruszył ramionami.

– To pytaj waćpan.

Poprawił się Nadolski w krzesle, łypnął ku wejściu, a potem szeptem zwrócił się do gospodarza:

– Powiedz mi waszmość o owym Stanisławie Popielu, jeśli łaska.

– O tym moczymordzie? A na co?

– Bo może od niego wszystko się zaczęło.

– Że niby ze złym się zadawał? – Pan Zbigniew roześmiał się cicho. – Wybacz acan, ale nawet na to krztyny rozumu byłoby trzeba, a on jak but był głupi. Prostack, że jakby mu żupan zedrzeć, to z gęby i mowy od chama niepodobna byłoby go odróżnić.

Nie skomentował Nadolski tych słów, tylko patrzył wyczekująco. Chrząknął na to Siemieński, kołnierz żupana poprawił i skinął głową.

– No dobrze. Powiem waszmości, co wiem, ale niewiele tego. – Przechylił się w stronę gościa na tyle, na ile pozwolił mu wydatny brzuch, i oparł łokcie na kolanach. – W młodości lichy folwarczek po ojcu z bratem Władysławem prze hulali i ostało im się tyle, co na sobie mieli. A że do niczego zdatni nie byli, umyślili na Sicz iść, przy Kozakach szczęścia spróbować. Licho im chyba szło, a nawet jak co zdobyli, to zaraz w karczmach i na murwy przetracali. Szczycił się zresztą tym ten psi syn, nieraz chwaląc mi się, ile to on dziewczek wychędożył. Po prawdzie, może i był kiedyś z niego rozpustnik, ale w Tarnawce panny powiadały, iż od gorzałki kuśkę jak kluska ma miękka. – Szlachcic wyszczerzył zęby w złośliwym uśmieszku. Zaraz jednak zmitygował się, pojawiwszy, że nie bardzo politycznie mówić, o czym z chłopkami rozmawiał i czego od nich słuchał. Nerwowo nos potarł. – Potem wziął ich do swej bandy niejaki Żeliborski, imienia nie pomnę, z którym razem na chadzki wyruszali. Rzekomo znany hultaj to był, który ponoć swoją żonę zabił, albo też

matkę... – Zastanawiał się przez chwilę. – Nie wiem, wyleciało mi z głowy. Dość, że infamis i banita. Chwalił się łajdak Popiel, że dobrze mu się działo pod tą komendą, ale do czasu. Co się zdarzyło, że rozpierzchnęła się cała ta bezecna kompania, też nie wiem, bo nawet pijany o tym mówić nie chciał. Dość, że wśród Kozaków zostać nie mógł. Jak powiadał, łeb by mu urżnęli i Tatarom sprzedali, gdyż cena była znaczna za jego głowę. Takie to bowiem są stosunki między nimi, tam, na Ukrainie, że za lada grosz brat brata gotów byłby sprzedać. – Zmrużywszy oczy, dodał: – Może i w tym wypadku tego się Stanisław obawiał, bo jakoś jego brat nie wrócił, tylko dalej ponoć na Siczy siedzi. A że bał się szubrawiec Popiel i tutaj, w Tarnawce, sam acan wiesz. Pewnie słyszałeś, jak się obwarował. Podług mnie to jednak po prostu we łbie mu się pomieszało. A potem zapił się na śmierć. Ot, cała historia. – Machnął ręką, dorzucając po chwili: – Gdyby nie ta tam... – spojrzał wymownie na drzwi – ...nigdy bym takiego łachudry jak Stanisław Popiel pod dach nie wpuścił. Co prawda powiadają, de mortuis aut bene aut nihil<sup>118</sup>, ale w rzyci to mam, jak tylko wspomnę tego plugawca. Wiecznie pijany, śmierdzący, ciągle grosza sam potrzebował, zamiast płacić. Na koniec pod siebie szczał, nic sobie z tego nie robiąc. Nawet chamy się z niego po kątach śmiały, że bydlę. Tfu! – zakończył, spluwając.

– Bliski to był krewny pani Maryny? – zainteresował się Żegota, pomijając usłyszaną ocenę nieboszczyka.

– Gdzie tam! Dziesiąta woda po kisielu! Na przekór mi go wzięła, bo... – Zmitygowawszy się, Siemieński zawiesił głos, powstrzymując prędkie słowa, aby zbyt wiele nie rzec. – Bo taka krew w Popielach widać, aby innym na złość czynić! – dokończył ostrożnie.

Dobrze znał Nadolski prawdziwą przyczynę dzierżawy Tarnawki, dlatego nie drążył tematu.

– A ów Żeliborski? Ostatnio, nie wiem, czy dobrze pamiętam, mówiłeś, że ponoć habit przywdział? Prawda to?

Pan Zbigniew wygiął usta w podkowę, wzruszając ramionami.

– Bo ja wiem? Podobno.

– Słyszałeś może acan coś więcej?

– Popiel śmiał się z tego, jak jeszcze żył. Mówił, że kurwiego syna trwoga ku Bogu pognała, ale nic z tego mu nie przyjdzie, bo już w piekle dla niego kocioł

gotowy. Po pijanemu różne rzeczy gadał obwieś jeden, z czego trudno byłoby sens wyłuskać.

– Ale w Przemyślu jest w zakonie Żeliborski, tak?

– Coś się tak acan uparł na niego! – parsknął właściciel międzyrzeckiego folwarku lekko zirytowanym głosem. Zaraz jednak stonował tembr, odpowiadając: – Popiel mówił, że widział go, jak w habit odziany kamienie na budowie karmelickiego klasztoru niczym prosty chłop nosił. Kpił z niego, iż we łbie mu się popsowało na stare lata. Klął przy tym na niego tak, aż słuchać było hadko<sup>119</sup>. – Zamyślił się na moment, coś sobie przypomniał i zaraz dodał: – Twierdził, że przez Żeliborskiego taki zły los na niego przyszedł, ale czemu, tego nie zdradził. Zresztą... – Siemieński wzgardliwie machnął dłonią – ...każdy ochlajmorda powód jakiś znajduje, dla którego po dzban sięga. Najczęściej jednak żadnej prawdy w tym nie ma. Diabeł bowiem za tym stoi, kusząc do nadużywania trunków. We wszystkim... – wzniosł palec, jakby wygłaszał mądrość jakąś arcyważną – ...umiarkowanie trzeba zachować. Inna rzecz z ludźmi winem czy miodem się raczyć, nawet w nadmiarze, a inna w samotności pić na umór jak ów łachudra, nieboszczyk Popiel. Na to Pan Jezus, który przecież sam wodę w wino na weselu przemienił ku ludzkiej radości, z pewnością krzywym okiem spogląda.

– W rzeczy samej – przyznał Żegota, bardziej dla zjednania sobie gospodarza niż z prawdziwego przekonania. – Mówił jeszcze Stanisław Popiel o innych towarzyszach z dawnej kompanii?

Siemieński rozłożył ręce.

– Może i mówił, ale nie pamiętam. Mało mnie to, szczerze powiadając, obchodziło i niezbyt lubiłem z nim przestawać. Nie poznałeś go waszmość, to nie wiesz, co to za kreatura była. Ale jeszcze raz powiem waćpanu, że nie wierzę w jakoweś przekleństwo z jego przyczyny w Tarnawce. Jak szlag go trafił, pewnie prosto do piekła poszła jego parszywa dusza, gdzie jej miejsce. Nawet kosztowne modły i pogrzeb, jakie mu moja żona wyprawiła w Rymanowie, nic tu pomóc nie mogły. W błoto grosz rzucony, ot co, panie kochanku!

– Niechybnie jest, jak mówisz waszmość. – Znów Nadolski zgodnie skinął głową.

Pojąwszy, że chyba nic więcej się już nie dowie, a niezbyt miło było mu siedzieć ze świadomością przyczajonej za drzwiami matrony, klepnął się w uda.

– No, to dziękuję jegomości. Pora już na mnie. – Powstał, uśmiechając się usprawiedliwiająco. – Może mój przyjaciel jakieś wnioski z tego wyciągnie, co acan powiedziałeś. Chciałbym bowiem, jak obiecałem, rzecz w Tarnawce ostatecznie skończyć, także dla bezpieczeństwa państwa Podhoreckich, z którymi się zaprzyjaźniłem.

Pan Zbigniew mrugnął okiem z szelmowskim wyrazem twarzy. Jeszcze ciszej niż uprzednio szepnął:

– Nie dziwota, bo pani Anusia cymes, nieprawdaż?

– Istotnie, gładka – odrzekł spokojnie Żegota. – A przy tym żona dobra i zapobiegliwa matka.

Skrzywił się na taką odpowiedź gospodarz. Wstał, uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń. Przytrzymawszy ją dłużej, poprosił niepewnym głosem:

– Ale to, co mówiłem o... – ruchem głowy wskazał ku drzwiom – ...to dla siebie waćpan zatrzymaj. Dobrze?

– Anim myślał komu opowiadać. – Nadolski się skłonił. Korzystając z okazji, sam zwrócił się z prośbą: – Także acan nie mów, z łaski swojej, o czym tu rozmawialiśmy. Mogłaby być gniewna małżonka waszmości, bo przecież pan Stanisław w sumie jej krewniak.

– Zgoda. – Siemieński mocno potrząsnął prawicą gościa. – I wybacz mi, panie kochanku, te domowe niesnaski, które widziałeś.

– Ani o nich pamiętam – skwitował siwowłosa szlachcic.

Kiedy otworzył drzwi, nikogo za nimi nie zastał. Widać albo usłyszała pani Maryna, że wychodzić zamierza, albo też zbyt surowo oceniał ją pan Zbigniew.

Gospodarz aż na ganek odprowadził Żegotę, gdzie pożegnał go wylewnie, pewnie na złość zerkającej gdzieś zza okna małżonce. Gość zaś, wsiadłszy na konia i skłoniwszy się po raz ostatni z siodła, w duchu podziękował Bogu, iż sam, choć uboższy, szczęśliwiej żyje. Na nic bowiem bogactwo i splendor, kiedy takim kosztem okupione, jaki pan Siemieński co dnia ponosił.

## ROZDZIAŁ XI

### ŻELIBORSKI

Druga połowa stycznia już nastąpiła, kiedy Murray coraz częściej zaczął zagadywać o wyjeździe do Przemyśla. Zresztą, jak powiadał, do domu też trzeba mu już było się zbierać, chociaż gdy przypominał sobie o natarczywej krewniaczce Winnickiego, mina mu rzedła. Także Stiller, znów jakiś przygaszony, jak gdyby nawet postarzały, o Beniowej wspominał. Tylko Nadolski nie spieszył się zostawiać żony i dziecka, tak dobrze mu się żyło w Wygnance. Nawet obowiązek wobec przyjaciela nie był w stanie przymusić go do energiczniejszego działania. Przyznać musiał w duchu Żegota, iż rozleniwiło go nieco wiejskie życie i przyzwyczało do wygod, a czwarty krzyżyk na karku nie skłaniał do peregrynacji. Dopiero kiedy państwo Podhoreccy do Tarnawki ruszyli i puścić się zrobiło we dworze, zrozumiał, iż odwlekanie tego, co nieuchronne, niewiele mu da. Tym bardziej że Agnieszka sama wspominała kilkakrotnie, iż pojechać musi zarówno przez wzgląd na dawne sprawy, jak i braterstwo łączące go z niemieckim oficerem. Przekonywała, że ani się obejrzy, jak będzie z powrotem, a jej i dziecku niczego nie braknie pod jego nieobecność. Wiosną zaś o dalszych krokach postanowią. Może i sama nie była pewna, czy słusznie czyni, tak mówiąc, ale znała, jakie są męskie powinności i czym jest obowiązek szlachecki.

Ostateczną decyzję siwowłosy gospodarz podjął jednak dopiero po kolejnej wizycie Krupińskiego, który na wieść o planowanej podróży właściciela Wygnanki solennie poprzysiągł mieć baczenie na bezpieczeństwo małżonki Żegoty i jego syna oraz spokoju w majątku dopilnować. Uwierzył mu Nadolski, tym bardziej kiedy administrator z Nadolan rzekł, niby to żartem, iż Cameron na kawałki by go posiekał, gdyby choć włos z głowy spadł gospodyni, u której tak miło zażywał gościny. Choć śmiał się Krupka, gdy to mówił, wiadomo było, że Szkot istotnie mógłby się srodze zagniewać, gdyby coś stało się przyjacielowi Murraya. Zresztą i dzierżawca z Sikawca potwierdził, że lepszą protekcję trudno byłoby znaleźć, i dzięki temu Krupiński całkiem już na stronę Żegoty został przekabacony.

Pan Wawrzyniec bez trudu mógł kilka dni podołać codziennym obowiązkom w folwarku, nadzorując parobków. Roboty, jak to zimą, nie było zbyt wiele. Nadto Żegota obejście solidnie na mróz i śnieg przygotował, pasza dla koni i bydła zalegała w stodole, ziarno na siew i dla drobiu wypełniało spichlerz. Zarzekał się rękodajny, że z Bejdą do pomocy poradzi sobie, choć wypomniał przy tym, iż niepotrzebnie właściciel Semka z gospodarstwa pognał. Istotnie, brakowało dawnego pocztowego, który choć krnąbrny, robotny był, zdatny do wszelkiej posługi, a przy tym w mig rozkazy pańskie odczytać potrafił. Ale nie sposób odwrócić zdarzeń, a kara za przewinę mu się należała, o ile wyjazd do Kadobnej żywotny pacholek za karę sobie poczytywał. Przypuszczał bowiem Żegota, iż nawet pod okiem surowego Jakubowskiego nadal Semko będzie sobie folgował. Taka była jego młoda natura, która musiała się wyszumieć, i wiek tylko mógł ją zmienić albo też baba do Maryny Siemieńskiej podobna.

Stiller jakoś nie nalegał na pośpiech. Zdawał się mało wierzyć, iż cokolwiek zdoła odmienić pisany mu los. Czasem, w przypływie szczerości, mówił Żegocie, iż tyle lat strawił na poszukiwaniach, tyle ksiąg przewertował i rozmów odbył, że małą ma wiarę w odnalezienie remedium na swoją bolączkę. Na nic się zdały pocieszające słowa czy wino. Uśmiechał się smutno niemiecki oficer, głową kiwał, lecz swoje myślał. Z pewnością nie były to wesołe rozważania, bo też i niewesołą przyszłość przed sobą widział. Spotkanie w Tarnawce przywołało odległe demony, ożywiając je, nadając im na powrót kształt i pieczętując to, co postanowione było dawno gdzieś tam, w niemieckich krajach. Przekleństwo, którego nijak nie można było odkupić, jak w głębi ducha mniemał Saksończyk. Bardziej więc dla przyjaciół niż samego siebie godził się na odnalezienie Żeliborskiego, bo nadziei nie było w nim żadnej.

Dopiero po świętej Agnieszce<sup>120</sup> zebrali się w końcu Żegota z oficerami. Chciał jeszcze Nadolski w bukowskim kościele pomodlić się w święto tej, po której imię wzięła jego żona. Zawierzył opiece męczennicy swoich bliskich, modląc się gorliwie. Lżej mu się zrobiło po tym na sercu, jakby pewność zyskał, iż nic złego się pod jego nieobecność nie zdarzy. Zsyła bowiem czasem Opatrzność takie przeświadczenie na człowieka, łagodząc niepokój. Na wszelki wypadek zmówił jednak Żegota także pacierz za spokój duszy spalonej w Sanoku Ryty, bo choć wiedźma i Żydówka, miał szlachcic jakieś przeczucie, iż strzeże jego ścieżek stamtąd, gdzie trafiła po śmierci.



Sowicie na drogę wyposażeni, odziani w grube futra, wyjechali w końcu z Wygnanki trzej wędrowcy, kierując się traktem na Sanok. Żegnali ich pani Agnieszka z synem, rękodajny i służba, aż łza się zakręciła w oku Nadolskiemu, kiedy co rusz spoglądał na ich malejące sylwetki. Dlatego, aby odegnać tęsknotę, ponaglił konia. Źle jest bowiem się żegnać, a jeszcze ciężiej żegnać zbyt długo.

Nic to, że tylko na kilka dni wyjeżdżał Żegota, bo przecież do Przemyśla ledwie jedenaście mil było, skoro zima skuwała ziemię, śniegi głębokie, a drogi niepewne. Każdy, kto choćby w najkrótszą ruszał podróż, musiał mieć wzgląd na grasujących beskidników, a nieraz i watahy wygłodniałych wilków, które chadzały lasami, szukając pożywienia. Bywało, że z krótszych peregrynacji wielu nie wróciło już żywych. Myśli o tym właśnie zaprzętały głowę pani Agnieszki, kiedy wśród rozpościerającej się bieli znikwały malejące postacie jeźdźców. Gdy zupełnie straciła je z oczu, w milczeniu nakreśliła znak krzyża, a potem silącym się na spokój głosem nakazała wszystkim stojącym wraz z nią wrócić do domu. Teraz pozostało jej tylko czekać. Taki był bowiem los niewiast, co nie umniejszało ich tęsknoty, lecz tylko czyniło ją inną od tej, której czasem gdzieś tam i ich mężowie doświadczali.

Wolno brnęli przez zaśnieżone drogi podróżni, tak że z wieczora dopiero dojechali do karczmy w Rokszytach, gdzie zamierzali przenocować. Tej samej, krytej trzcina i zasobnej, w której kilka lat wcześniej dowiedział się Żegota o śmierci Kruszewskiego. Siłą rzeczy wróciły przy kolacji wspomnienia o młodym szlachcicu zabitym w pojedynku z Wołochem, a także sprawie z Serafinem Krasickim. Jakże to dawno się zdawało, choć przecież dopiero pięć lat minęło od tych zdarzeń. Rzewnie jakoś się zrobiło od ewokacji, jak gdyby duchy nieżyjących poczęły krążyć pomiędzy biesiadnikami. Za tym zaś przyszły niewesołe myśli o przemijającym życiu, wieku dojrzałym i młodości, która gdzieś tam, hen daleko pozostała. W takich nastrojach, ledwie co wina tknąwszy przy posiłku, położyli się spać trzej wędrowcy, każdy swoimi zajęty myślami. Długo też nie mógł zasnąć Nadolski, kręcąc się niespokojnie z boku na bok, pochłonięty trudnymi rozważaniami o przemijaniu i kruchości ludzkiego żywota. Tęsknota za domem tylko pogłębiała w nim poczucie dziwnego, dojmującego smutku.

Następnego dnia skoro świt się zebrali, prawie wcale ze sobą nie rozmawiając. Widać spieszo im było opuścić miejsce, które prawie niezmienione pozostało, przez to tym bardziej pokazywało przemijalność człowieka. Jeszcze mocniej ściągnęła się blada twarz Stillera w wyrazie przygnębienia, aż zaniepokoił się

Żegota w duchu o jego zdrowie. Mróz jednak prędko wywołał rumieńce na policzkach Saksończyka.

Dzień wstał nad wyraz pogodny i słoneczny. Prawie bezchmurne niebo koło resztki złych myśli swym błękitem, a chrześzczący miarowo pod końskimi kopytami śnieg przywoływał wspomnienia zabaw i kuligów. Jadąc, czasem mijali sanie radośnie pobrzękujące dzwonkami, co jeszcze bardziej rozpogadzało twarze trójki podróżnych. Pozostawili za sobą wspomnienie dawnych dziejów, sycąc się zimnym powietrzem i nadzieją, która zaczęła odżywać w ich sercach. Nawet Niemiec uśmiechać się zaczął, a kiedy do Prałkowców, znanych z blechów<sup>122</sup> i pralni, dojechali, już żywo toczyła się pomiędzy jeźdźcami rozmowa, czasem nawet przeplatana żartami.

Dwie godziny wędrówki minęły, jak zobaczyli przemyskie mury. Na prawo wznosił się zamek osadzony na bezdrzewnym wzgórzu, przed nimi zaś brama grodzka wiodąca do miasta. Zaludnił się trakt od chłopów ciągnących z wozami, pieszych dźwigających najprzeróżniejsze toboły i kosze, a także jadących konno szlachciców, którzy dumnie zadzierali głowy. Gwarniej się zrobiło, a dzięki temu jeszcze weselej. Wszelki ruch bowiem, nawet ten zwyczajny, codzienny, jest wyrazem kipiącego życia, które tryumfuje nad śmiercią.

Dobrze znali gród Niemiec ze Szkotem. Przejechawszy mostkiem nad wypełnionym zmarzniętą wodą rowem okalającym mury, pewnie poprowadzili przez ulicę Grodzką i Rynek ku żydowskiej części miasta, gdzie przy ulicy zwanej Wodną stała gospoda, w jakiej zwykli mieszkać w Przemyślu. Może nie był to najlepszy z miejskich przybytków tego rodzaju, ale nieco na uboczu, a przy tym tańszy od innych. Stary karczmarz w wyświechtanym chałacie, kłaniając się w pas, przywitał oficerów jak dobrych znajomych, głośno radując się, iż po długiej niebytności raczyli znów w jego skromne progi zajechać. Musiał dawniej nieźle na nich zarobić, gdyż pokrzykując, kazał prędko pachołkowi zająć się końmi, a sam, wciąż zginając się wpół, poprowadził gości przez próg.

Oberża na Nadolskim nie najlepsze sprawiła wrażenie. Ciasna, cuchnąca smażoną cebulą i czosnkiem, z niską powalą i ze zużytymi stołami od razu przywodziła myśli o szemranym towarzystwie, które musi się w niej zbierać. Oficerowie jednak zdawali się tym wcale nie przejmować, wiedzeni przez Żyda za szynkwias, kuchnię aż do wyjścia na niewielkie podwórze. Stały wokół niego drewniane przybudówki, koślawe i stare, służące najpewniej, jak domniemywał Żegota, za noclegownie dla

gości. Nie omylił się w swym przypuszczeniu, gdyż oberżysta, chwytając za skobel od drzwi do jednej z nich i uśmiechając się, zachęcił:

– Śmiało, jasne pany, śmiało! Ta sama co zwykle dla waszych wielmożności kwatery! Nie zapomniał stary Izaak o zacnych panach! Wie, co lubią, i zaraz gotować każe! A jakby co więcej trzeba czy wieści jakie, jak zwykle starczy powiedzieć i już! Przecież wiedzą jasne pany co i jak! Starczy powiedzieć...

– Dobrze już, dobrze! – przerwał obcesowo Żydowi Murray, wciskając mu w garść srebrną monetę. – Jak będzie trzeba, sami cię przywołamy!

– W rzeczy samej, wielmożny panie! W rzeczy samej! Ja tylko jakby co, mówię, że służę we wszystkim jasnym panom!

Izaak skłonił się jeszcze głębiej niż uprzednio, nad wyraz sprawnie jak na swój wiek zakręcił się na pięcie i przygarbiony prawie pobiegł tam, skąd przyszli.

Wskazując na uchylone drzwi, Szkot mrugnął do Żegoty i powiedział:

– Zajrzyj acan, tylko się nie przestrasz, bo nie ma tu wygod jak u ciebie, w Wygnance.

Nadolski poszedł przodem i schylił się pod niską framugą.

W istocie jedna, mała izba gościnna nie wyglądała najlepiej. Wyposażona tylko w ławy postawione wzdłuż ścian i stół stojący pośrodku może i byłaby przytulna, gdyby nie nieprzyjemny swąd spalenizny ciągnący od wygaszonego piecyka oraz pokrywający wszystko tłusty brud. Pomyślał Żegota, że nieraz w gorszych miejscach przyszło mu nocować, dlatego machnął ręką obojętnie. Mimo to Murray pospieszył z wyjaśnieniem:

– Nie dziw się, że tu zamyśliłem zamieszkać, bo ma swoje zalety karczma u Izaaka. Pierwszą jest ta, że Żyd o nic nie pyta i język za zębami trzyma. Drugą, że wszystko wie, co w mieście się dzieje, bo psubrat pół wieku paserstwem się trudni. Jakby co, zawsze pomocny. A trzecia zaleta taka... – zawiesił głos na moment – ...że nie każdego chcielibyśmy spotkać z Wernerem, bo różnie w życiu bywało. Tutaj większa niż gdzie indziej pewność, że na kogo niezbyt nam przyjaznego się nie natkniemy. Spokój będzie.

– Od ludzi może, ale nie od pcheł i pluskiew – zauważył zgryźliwie siwowłose szlachcic.

– Cóż. – Szkot wzruszył ramionami. – Wszystko ma jakąś cenę.

Stiller już rozkładał swoje rzeczy na jednej z ław, na której zaraz usiadł, wyciągając przed siebie swą drewnianą nogę. Zatarł ręce, bo ziąb był okrutny, o czym świadczyły też białe smugi szronu na ścianach. Jakby na zawołanie w uchylonych drzwiach pojawiła się jakaś młoda umorusana dziewczka, która nie patrząc nikomu w oczy, wemknęła się do izby, przyklękła przy piecyku i jęła wprawnie rozpalać ogień. Długo trwało, nim komin złapał cug, przez co jeszcze bardziej dymem zaczęło cuchnąć. Służka zadowolona z siebie powstała, dygnęła niezgrabnie i prawie pędem wybiegła. Widać nie chciała zbyt długo przebywać w towarzystwie trzech mężczyzn, co pewnie wynikało z jakichś niezbyt przyjemnych doświadczeń.

Rozsiedli się goście przy stole, Murray wyjął z za pazuchy nieodłączną manierkę, z której uraczyli się dwoma kolejkami gorzałki, nim zrobiło się nieco cieplej, nie wiadomo, czy bardziej od okowity, czy od paleniska. Potem znów ta sama dziewczyna wemknęła się przez drzwi, niosąc chleb i kiełbasę. Postawiwszy to na stole, zniknęła równie szybko jak poprzednio. Uśmiechnął się na to Murray, przegryzając niespiesznie pajdę. Machnąwszy głową ku wejściu, mruknął:

– Pewnie to wnuczka Izaaka. Z pięć lat temu jeszcze dzieckiem się pałętała. Pamiętam, że mi dukata wtenczas ukradła, tak że... – łypnął ku Żegocie – ...miej na nią baczenie waćpan. Jak dziadek zmyślna panna.

– Aaa! – Stiller się skrzywił. – Przepiłeś pewnie albo gdzie przetraciłeś. Za rękę jej nie złapałeś.

– Swoje wiem – skwitował Szkot.

Posilali się jeszcze przez dłuższą chwilę, nie mówiąc zbyt wiele, aż w końcu wstał Murray, otrzepał spodnie z okruchów, ręce o kubrak wytarł i oznajmił:

– Czasu nie ma co tracić, bo robota czeka. Pójdę do klasztoru zapytać, czy przeor Kucharski<sup>123</sup> mnie przyjmie. Mam nadzieję, że pamięta dobrodziejstwa Jego Eminencji Próchnickiego i łatwo rzecz zamierzoną osiągnę.

– Iść z tobą? – zapytał Niemiec.

– Nie. Nie ma potrzeby razem pielgrzymować. Odpocznijcie z panem Nadolskim, a ja rychło się uwinę.

Zarzucił kozuch na ramiona, kapelusz na głowę wcisnął, skłonił się, lekko uśmiechnął i wyszedł. Sami zostali Żegota ze Stillerem, w milczeniu przegryzając resztę jedzenia.

Nie odzywał się długo żaden z mężczyzn, o swoich sprawach przemyślując. Dopiero kiedy wnuczka Izaaka z dzbanem piwa i kuflami się zjawiała, nie wypadało już przy bursztynowym trunku w milczeniu siedzieć. Przepiwszy, pierwszy przemówił Niemiec:

– I jak myślisz waćpan? Jest w klasztorze ów Żeliborski?

Żegota wzruszył ramionami.

– Tyle wiem, co mi Siemieński powiedział.

– Właśnie. – Saksończyk prychnął. – Na nic się może zdać to wszystko. Tylko czas waszmość stracisz.

– Żadna to strata przyjacielowi pomóc – zaproponował szlachcic.

– Taaak... – skwitował oficer. – Masz więcej wiary w siebie, mości Nadolski, niż ja. – Pokiwał smętnie głową, by zaraz wypić tęgi łyk wodnistego piwa. Otarł usta. – Co komu pisane, to go nie minie. Czy nie tak nauczają księży?

Siwy szlachcic spojrzał uważnie na niemieckiego oficera.

– Zmieniłeś się, panie Stiller, odkąd tamtego w Tarnawce spotkaliśmy. Najgorzej zaś, kiedy człowieka rezygnacja ogarnia. Sam to wiem, bo swoje też przeżyłem i zdało mi się, że nic mnie już nie czeka. Bóg jednak, jak widzisz, inaczej zdecydował. Mam teraz dom, żonę, dziecko. Prawda, że nie wiadomo, co komu pisane, ale tak samo dobre, jak złe może się zdarzyć.

Saksończyk roześmiał się krótko, odstawiając kufel.

– Może i masz rację, panie Nadolski. Każdy jednak... – popatrzył na szlachcica zmrużonymi oczami – ...ma swoją na przeciwności odporność. Nawet żelazo się ugnie, jeśli długo i mocno cisnąć. Ja zaś nie jestem z żelaza. Wybacz, jeśli za innego mnie miałeś. Zmęczony już jestem.

Żegota pokiwał głową. Położywszy ręce na stole, spojrzał na swe kościste dłonie znaczone węzłami sinoblękitnych żył. Nie podnosząc wzroku, powiedział:

– Było raz, że mnie podjazd szwedzki ścigał, kiedy jeszcze u Radziwiłła na Litwie służyłem. We czterech towarzyszy się wówczas wybraliśmy, aby języka schwytać. Nieszczęśliwie, bo wpadliśmy na rajtarów, którzy w mig trzech moich kompanów usiekli. Mnie jednemu udało się odbić od nieprzyjaciela. Strzelali za mną, raniąc mi konia, a potem w pościg ruszyli. – Uniósł głowę i spojrzał wprost w oczy Stillera. – Zdało mi się, że już po mnie. Wierzchowiec krew tracił, dyszał i pianę toczył. A za mną z dziesięciu konnych, coraz bliżej i bliżej. Kiedym się odwracał, widziałem ich

wąsate twarze, na których malowała się wściekła radość, że już za moment mnie dosięgną i posiekają na sztuki. W głowie miałem tysiące myśli, a wśród nich jedną, jadownicę podszeptującą, aby nie przedłużać tego, co i tak za chwilę nieuchronnie się zdarzy. Judziła pozorem chwalebnej śmierci w nierównej walce, w której przecież mogłem jeszcze, nim zginę, jednego czy dwóch ubić. Kusiła wiecznym spokojem, jaki mnie ogarnie, gdy zostanę oderwany od codziennej męki. Ja jednak czułem w głębi serca, że nie wolno mi się zatrzymać, nie wolno zawrócić ku śmierci. Na przekór tym diabelskim podszeptom jeszcze mocniej zapragnąłem żyć, bo to nie był dzień na umieranie.

Stiller pokiwał głową. Żegota odchylił się na oparcie krzesła, nie odrywając wzroku od Niemca.

– Już ledwie dwa kroki dzieliły najbliższego ze Szwedów ode mnie, już zamierzał się do ciosu rapierem. Koń pode mną zataczał się, idąc bokiem. Zdawało się, że nic mnie nie wybawi od śmierci i pozostaje mi jedynie modlitwa. Lecz wówczas, sam nie wiem skąd, wypadli nagle jeźdźcy kozaccy na Szwedów i uderzyli ich z boku. Ze szczętem w jednej chwili znieśli tych, którzy ledwie kilka sekund wcześniej chcieli sycić się moją śmiercią. Żaden z nich nie przeżył, skoszono ich niczym łan zboża. Pode mną padł w tym momencie wierzchowiec. Mgnienie oka dzieliło mnie od niechybnej zguby, której unikałem tylko dzięki temu, że się nie poddałem. – Zmarszczył Żegota brwi, milknąc na jakiś czas. Pokiwał głową do własnych myśli, a potem, pochylając się nad stołem, rzekł: – Gdybym wtenczas uwierzył w diabelskie podszepty w mej głowie, nie byłoby mnie tutaj. Nie pomściłbym Zośki i dzieci. Nie ożeniłbym się powtórnie, nie miał syna, dworku w Wygnance ani też nie poznałbym ciebie, waćpan, ani Williama. Spróchniałyby me kości w jakimś dole na Litwie i nikt by już o mnie nie pamiętał. Nie pozwól tedy, aby jad złych myśli zatrął ci umysł, bo nieznana jest przyszłość, a przegrywa zwykle ten, kto sam się poddaje. Moja ucieczka ku zbawieniu trwała ledwie minuty. Twoja, jak mówisz, ponad dwadzieścia lat. Lecz najgorsze, co można uczynić, to złamać się na samym końcu.

Stiller przygryzł usta. Założył ręce na piersi i wycedził:

– Czym innym jest krótkie zmaganie się z sobą, a czym innym moje brzemię. Gdybyś dwadzieścia lat przed samym sobą uciekał, też byś się zmęczył, panie Nadolski.

– Słabość ludzka zawsze ta sama – odrzekł brutalnie szlachcic.

– Słabość... – parsknął wzgardliwie Saksończyk. – Tak to postrzegasz? Ja zaś czuję nie słabość, lecz obojętność. Zwyczajnie wszystko mi jedno, co się zdarzy. Ot, moja niemoc. Zamiast walczyć z losem, nie chcę już dłużej mu się przeciwstawiać.

– Mówisz tak, jakbyś znał przyszłość. Zapominasz jednak, iż ipsa electio dicitur quoddam iudicium, a quo nominatur liberum arbitrium<sup>124</sup>. Opatrzności więc pozostaw kwestie zbawienia, a sam dobrze sądz, korzystając z wolnej woli. Bierność nie jest miłym Bogu wyborem. Nie tego uczy Kościół?

– Tedy musiałbym się cofnąć do owej brandenburskiej wioski, aby nie zgrzeszyć biernością – odparował oficer. – Teraz to już nie ma znaczenia.

Żegota z niesmakiem pokręcił głową.

– Trudno się z waćpanem rozmawia. Na wszystko znajdujesz odpowiedź, ale taką, która tobie wygodna.

– Bo też człowiek ostatecznie sam zostaje ze swoim przekleństwem.

– A William? Ja? – Nadolski rozłożył przed sobą dłonie. – To, że chcemy ci pomóc, nie ma dla ciebie znaczenia?

Milczał Saksończyk, na co szlachcic uśmiechnął się ironicznie.

– Powiadałeś, że w służbie biskupa Próchnickiego zmagaleś się z rzeczami, z którymi inni bali się zmagać. Sam widziałem, że bez lęku za wąpierzem Poniatowskim poszedłeś, nie bacząc na ryzyko. W Zatwarnicy przy kurhanie, nocą, jak gdyby nigdy nic siadywałeś. Ale kiedy z własną przeszłością przyszło ci się zmierzyć, która znów przed tobą stanęła w ludzkiej postaci tam, w Tarnawce, panie Stiller, ręce załamałeś.

– Gdy przyjdzie ta chwila ostateczna, nie bój się acan, tanio mu życia nie oddam – warknął Niemiec.

– O to chodzi, aby do tej ostatecznej chwili nie dopuścić – odpowiedział spokojnie Żegota.

Chudy oficer skrzywił się, bez słowa sięgnął po kufel i opróżnił go jednym haustem. Otarł wierzchem dłoni usta i mruknął pojednawczo:

– Wiem, że masz rację. Wiem. Przejdzie mi. Czasem każdemu zdarza się czarno widzieć przyszłość.

– Nie zdaje się kolorowa, przyznaję – zgodził się Żegota. – Ale póki można samemu coś zmienić, jest nadzieja. – Dolał kompanowi piwa, zachęcając: – Napijmy się! Twoje zdrowie i za pomyślność naszych zamiarów!

– Za pomyślność! – powtórzył Stiller, zmuszając się do uśmiechu.

Ze dwie godziny jeszcze ze sobą rozmawiali, ale już bez wzajemnych pretensji. Saksończyk nawet żartował czasem, wypatrując Murraya. Żegota także się niecierpliwił, bo popołudnie się zrobiło, a Szkot nadal nie wracał.

Dziewka służebna ciepłą zupę przyniosła, na cebuli zrobioną, aż gęstą od zasmażki, do tego dzban wina, do pieca znów dREW dołożyła. Dostała za to kilka miedziaków, na co w podzięcie dygnęła podobnie pokracznie jak uprzednio i znikła zaraz za drzwiami. Poza tym nic się nie działo. Nawet zamyślał Nadolski, aby do miasta wyjść i rozejrzeć się trochę, ale zrezygnował, chcąc jak najprędzej usłyszeć, cóż też udało się Murrayowi załatwić.

Zmierzchało już, kiedy wreszcie pojawił się w gospodzie otyły oficer. Zarumieniony i wesół nad wyraz, co znaczyło, iż pofolgował gdzieś sobie z trunkami. Skrzywił się na to Nadolski, mając go za bardziej odpowiedzialnego, ale nim słowo przygany zdołał powiedzieć, Szkot usiadł z łoskotem na krześle, wyciągając z pazuchy na wpół opróżnioną butelczynę i oznajmił radośnie:

– Kopystyńskiego<sup>125</sup> na Rynku spotkałem!

– Tego z Arłamowa?

– Aha!

– I dlategoś waćpan taki rozpromieniony? – mruknął z przekąsem Nadolski.

– Aaaa! – Podchmielony dzierzawca Sikawca machnął dłonią, mało sobie robiąc z uszczypliwości. – Jak powiem, czego się dowiedziałem, to zaraz waść mniej złośliwy będziesz! Przecież znasz, że Iwan Kopystyński to największy plotkarz w ruskim województwie!

– A przy tym łgarz i pijanica – wycedził zimno siwy szlachcic.

– Skłamałbym, gdybym w tym racji nie przyznał. – Szkot nad wyraz zgodnie skinął głową, lecz zaraz dodał: – Ale i w łgarstwie czasem jest ziarno prawdy.

– No mówże waść! – zniecierpliwił się w końcu Żegota.

Murray mrugnął, nalał sobie solidnie miodu, wypił, popatrzył na wyczekujących przyjaciół, by wreszcie, nasyciwszy się ich ciekawością, rzec:

– Zacznę od tego, że udało mi się dostać do ojca Stefana i potwierdzić, iż jest istotnie w klasztorze u karmelitów szlachcic Michał Żeliborski, który teraz zwie się bratem Jerzym. Jutro, za pozwoleniem przeora, będzie można z nim porozmawiać.



– Chwała Bogu! – zakrzyknął Nadolski, zaraz zwracając się do Stillera. – Widzisz waszmość?! Wszystko zaczyna się układać!

Nie skończył jednak posłaniec swej relacji, gdyż dodał, studząc zapal siwego szlachcica:

– Nie ciesz się acan na zapas, bo, jak rzekł mi jegomość Kucharski, znaczy się ojciec prowincjał<sup>126</sup>, kłopot może być z tą rozmową, ponieważ, jak by to ująć, szwankuje nieco na umyśle ów braciszek, przez co czasem żadnego ładu nie można znaleźć w tym, co mówi.

– Nie pojmuję w takim razie radości waćpana! – rzucił zgryźliwie Żegota. – Jest w zakonie Żeliborski, ale wariat?! Tak ci powiedział przeor?!

– Może niezupełnie tymi słowy, ale coś takiego – przyznał Murray, lecz zaraz zaznaczył: – Ale ów zakonnik nie całkiem niespełna rozumu, tylko, jak ujął to ojciec Stefan... – Szkot uniósł palec wskazujący na znak, że duchownego cytuje – ...we własnym świecie już żyjąc, brat Jerzy bardziej o sprawach ducha niż ciała myśli i samemu sobie ciężką pokutę za przeszłe grzechy zadaje. Głównie nabożne sentencje można od niego usłyszeć, które czasem nijak nie mają związku z tym, o co się go kto pyta.

– Zaiste, jest się z czego weselić! – prychnął Nadolski, spoglądając na bezrękiego oficera karcącym wzrokiem.

– Poczekaj waćpan – uspokoił szlachcica Stiller. Spojrzawszy na Murraya, zapytał: – A co z tym Kopystyńskim?

– No właśnie! – podchwycił zażywny oficer. – Kiedy wracałem niepokieszony z klasztoru, rozmyślając o tym, czy uda się cokolwiek z Żeliborskiego wyciągnąć, nagle słyszę, że woła mnie ktoś z nazwiska przez cały Rynek. Odwracam się, patrzę, a tam ten opój gna w moim kierunku, jakby najserdeczniejszego druha zobaczył. Z początku uciec chciałem, kapelusz na łeb nasuwając i udając, że to nie w moją stronę te wrzaski. Ale dopadł mnie psi syn, rękawa się uczeplił i dalej do karczmy ciągnie. Ludzie poczęli się oglądać na to dziwowisko, więc, aby spektaklu nie czynić, uległem.

– Pewnie się zbyt acan nie opierałeś – mruknął kwaśno Żegota.

– Przyznam, że zaschło mi wtenczas w gardle, gdym od karmelitów szedł, ale gdyby nie to... – Murray wymownie pokręcił głową. Chrząknął i wrócił do opowieści: – Siedliśmy tedy w gospodzie, a Kopystyński, zdrowo już wcięty, jał mi

dziękować za to, że wybawiliśmy go od grzesznej uległości, do której diabeł Barda go przymuszał. Po tym najróżniejsze snuć począł opowieści, w których pewnie tyle prawdy było, co brudu za paznokciem. Jak choćby o upiorze w Zatwarnicy<sup>127</sup>. – Szkot zachichotał, mrugając porozumiewawczo. – Słuchałem niby to grzecznie, myśląc, jakby tu się najspieszniej natręta pozbyć. Ale on siłą mnie przytrzymywał, coraz to wina czy miodu polewając. Aż zapytał w końcu, co mnie do Przemyśla sprowadza. Podchmielony, uczciwie wyznaję, prawdę mu rzekłem, iż niejakiego Żeliborskiego szukam. Rozpromienił się na to ów moczymorda i dalejże mi opowiadać wszystko, co o owym szlachcicu słyszał. Przyznać zaś trzeba, że interesujące to były historie.

Przerwał, aby się znów napić, sprawiając, iż zniecierpliwiony Nadolski westchnął i łypnął znacząco na Niemca. Znający lepiej Murraya Stiller czekał jednak spokojnie, wiedząc, iż Szkot zaraz wróci do rzeczy. Nie omylił się.

– Otóż Michał Żeliborski miał dawno temu niewielki folwark wedle Halicza, gdzie mieszkał z żoną. Zazdrosny był o nią okrutnie. Kiedy brzemienna się stała, nie wiedzieć czemu, jął podejrzewać ją o zdradę z sąsiadem. Tak się w swym gniewie uniósł pewnego razu, iż małżonkę swoją zamordował, głowę jej uciął i w piecu spalił, a ciało w bagnie utopił. Pewnie i nikt nie dowiedziałyby się o zbrodni, gdyby nie krewni owej niewiasty, Bielscy, którzy wypytywać poczęli i szukać. Gdy zaś chłopci znaleźli na pół przez zwierzęta ogryzionego, zdekapitowanego trupa w suknie odzianego, krewniacy pewności nabrali, iż własny mąż ją uśmiercił. Z tej przyczyny zemstę mu poprzysięgli. Trudno było jednak rzeczy całej dowieść, więc najpierw sługę jednego Żeliborskiemu porwali. Ten na mękach wyznał, iż widział, jak pan nahajem panią utłukł, głowę jej urznął i w ogniu spalił dla zatarcia śladów. Z takim zeznaniem do sądu poszli Bielscy, gdzie wyrok gardłowy na Żeliborskiego uzyskali, przy tym jeden z denuncjatorów miał dostać połowę folwarku mordercy. Starosta wyjątkowo prędko się zebrał do egzekwowania wyroku, zbierając szlachtę, aby pojmać zabójcę. Jednak oprawca uprzedzony przez kogoś umknął na Sicz, lecz przedtem najechał z kilkoma łotrami dworek sąsiada, którego o obcowanie ze swoją żoną podejrzewał. Zamordował jego oraz całą jego rodzinę. Mówił Kopystyński, że przed laty znana to była sprawa w całym województwie, tak z racji przerażających szczegółów, jak ogłoszenia wszem wobec, że z wyroku sądu Żeliborski stał się infamisem i banitą. Nawet znaczną nagrodę wyznaczono za jego ujęcie.

– O jakiejś zbrodni, bez tych szczegółów, istotnie mówił mi Siemieński – mruknął pod nosem Żegota.

– Poczekaj więc waszmość na ciąg dalszy. Ukrył się Żeliborski między Kozakami, gdzie żadna sprawiedliwość nie mogła go osiągnąć. Razem z nimi na czajkach się wyprawiał przeciw Turkom, czym sławę wśród czerni zdobył. A kiedy do buntu Kosińskiego<sup>128</sup> doszło, ponoć nawet setnikiem został. Potem jednak, po rzezi Kozaków pod Piątkiem<sup>129</sup>, odmieniło mu się i to on z innymi Kosińskiego w karczmie w Czerkasach usiekł<sup>130</sup>. Liczył może, że tym w łaski polskich panów się wkupi, lecz sejmowa konstytucja<sup>131</sup> prędko rozwiała jego rojenia. Poza tym nadal ciążyły na nim sądowe wyroki z przeszłości. Musiał więc zostać tam, gdzie był, i nadal z hołotą kozacką przestawał. Wrócił tedy do starego zajęcia i dalej Tatarów i Turków łupił. Tak lata całe spędził, ponoć nawet spory majątek gromadząc, aż do roku 1625, kiedy to znowu w rebelię się zaplątał, będąc wśród tych, którzy królowi Zygmuntowi tak bezczelnie odmówili wykonania jego żądania<sup>132</sup>. Nie miał jednak Żeliborski szczęścia do polityki, ponieważ opowiedział się po stronie Żmajły, przez co musiał się potem przed swoimi przez trzy lata kryć, póki nie zginął na Krymie Doroszenko<sup>133</sup>. Mógł wreszcie wrócić banita między Kozaków, ale niewiele mu zostało z dawnego bogactwa, które lata całe gromadził. Tu zaś zaczyna się najciekawsza część historii opowiedzianej mi przez Kopystyńskiego. – Na przekór natężonym spojrzeniom słuchaczy Murray znów napił się miodu, mlasnął zadowolony i uśmiechnął się szeroko. – Wybaczcie, ale w gardle mi zaschło – przeprosił niby to za opieszałość. Nosem pociągnął, po głowie się niespiesznie podrapał, by wreszcie wrócić do opowieści: – Jak rzekłem, zbiedniał Żeliborski, a tu starość zaczęła mu w oczy zaglądać, bo już blisko sześćdziesiąt lat miał na karku. Wiedział, że niewiele mu czasu zostało, żeby sobie ostatnie lata życia zabezpieczyć. Rozumiał, że na więcej niż inni musi się powążyć, aby za jednym razem bogactwo zdobyć. No i się powążył... – Szkot zawiesił głos, pochylając się nad stołem. – Zebrawszy kilku kompanów, nie znał Kopystyński jakich ztracenców, umyślił, stary łajdak, porwać dla okupu ukochanego synka murzy Tuhaja z rodu Argynów...

– Na Boga! – zakrzyknął Żegota.

– A tak! – Szkot spoważniał. – Dziecko umyślił uprowadzić! Nie wiedział Kopystyński, kto ową rzecz Żeliborskiemu podpowiedział ani też jakim sposobem plan szczegółowy obmyślił. Musiał znać od któregoś z Tatarów, gdzie i kiedy będzie

matka z synkiem podróżować. Nie może być inaczej, bo przecież w ciemno nie poszedłby nikczemnik. W każdym razie zaczął się z ludźmi w odpowiednim miejscu, a kiedy przyszła pora, wpadł z nienacką pomiędzy pohańców i z rąk matki porwał basalyka. – Murray odchylił się na oparcie krzesła, pozostawiając na stole jedyną dłoń. – Od tego momentu pewne jest tylko to, że natychmiast pościg tatarski za Żeliborskim ruszył. Bez skutku. O tym, co stało się z dzieckiem, nikt nie wie, choć różnie ludzie powiadają. Jedni, jak prawił pan Iwan z Arłamowa, gadają, że upojeni sukcesem powadzili się porywacze między sobą o podział okupu i chłopca przypadkiem albo celowo uśmiercili. Inni, iż chcąc uniknąć pogoni, porzucili go w stepie. Jeszcze inni z kolei mówią, że do dziś chowa się syn murzy gdzieś w jakimś dworze, nieświadomy swego pochodzenia i stanu. Gdzie leży prawda, tego nikt nie wie. Na Sicz bazawłucką<sup>134</sup> w każdym razie powrócił Żeliborski z kamratami, lecz bez dziecka. Tymczasem rozwścieczony Tuhaj nie zamierzał jedynie opłakiwać syna. Sprawę rozgłosił, nagrodę taką wyznaczył za głowy zbrodniarzy, że trzy pokolenia potomków tego, kto by ją otrzymał, mogłyby opływać w dostatki. Nie wiedzieć skąd, prędko się rozniosło pośród Kozaków, kto za porwaniem stoi, więc nie mieli już miejsca pomiędzy nimi ani Żeliborski, ani jego druhowie. Chyłkiem musieli umykać przed tymi, którym murza krymski w oczy złotem zaświecił. Chciwość bowiem jest pierwszym instynktem wiecznie grosza szukających Kozaków. Żadna byłaby dla nich sprawa łby urzezać swym niedawnym towarzyszom i w miodzie je na Krym zawieźć.

Pokiwawszy głową, Żegota rzekł:

– Teraz pojmuje, czemu się Popiel w Tarnawce tak obwarował.

– Albo też czemu Żeliborski do przemyskiego klasztoru wstąpił. Mury tutaj solidne, do klauzury tylko za zgodą przeora wejść można – powiedział Stiller.

– Może i jest w tym część prawdy – przyznał Szkot. – Lecz ze słów ojca Stefana wynika, iż szczerze stary łajdak za swe grzechy pokutuje. Albo więc w istocie na rozum mu się rzuciło, albo też jeszcze coś musi być w tej historii. Co jednak, nie wiem. Tyle mi na koniec rzekł Kopystyński, iż rozpierzchli się porywacze małego murzy, każdy w inną stronę, aby się pośród ludzi zgubić. Ponoć nawet pod innymi imionami się skrywają, żeby licha nie kusić. Żeliborski zaś to, co miał, na budowę klasztoru przeznaczył, na której samemu w trudzie również pracował przy murach. Choć infamis i banita, teraz pod kościelną jurysdykcją, a ze starej zbrodni sprzed lat

kilkudziesięciu nikt już go rozliczać nie zamierza. I tak dożywa swych dni u karmelitów.

– W samej rzeczy musi być jeszcze coś, skoro w Tarnawce ów cudzoziemiec się zjawił... – Nadolski spojrział na Stillera.

Ten jednak nic nie rzekł, jedynie zmarszczył brwi.

Pogładził się po chwili Żegota po pobrużdżonym czole, zastanawiając się nad czymś głęboko. Wreszcie wycedził niespiesznie:

– Ani wiemy, czy Popiel miał związek z owym porwaniem, ani też czy jego przekleństwo ma cokolwiek wspólnego z Żeliborskim. Ot, zacną historię powiedział ci Kopystyński, ale dla nas nic z niej nie wynika, póki z owym bratem Jerzym nie pomówimy. Może być tak, że to za sprawą Tuhaja padła klątwa, ale też może być całkiem inaczej.

Murray skinął głową. Dziwnie zmieszanym wzrokiem powiódł po Żegocie, by wydusić z siebie na koniec:

– Ułożyłem się z ojcem Stefanem, iż we dwóch przyjdziemy jutro. Jegomości Nadolskiego zapowiedziałem ze sobą, jako że on też urodzony szlachcic i może mu łatwiej będzie coś...

– Co?! – Saksończyk zmrużył oczy. – Pominąłeś mnie?! Mam tu czekać?!

– Zdało mi się, że najlepiej tak będzie. Spokojnie trzeba ze starym pomówić, bo...

– Bo ja bym nie umiał?! To chciałeś rzec?!

Przykre milczenie zapadło w izbie. Wiedział Żegota, iż nie ze złej woli zadziałał Murray w ten sposób. Dlatego, aby ułagodzić nieco gniew Niemca, powiedział:

– Może i lepiej tak będzie. Rację ma William w tym, że zbyt dużo gości naraz niczemu by się nie przysłużyło, skoro nieco głowa u Żeliborskiego szwankuje. Jeśli jednak chcesz waćpan, ustąpię.

Fuknął Saksończyk, wstał gwałtownie z krzesła i przeszedł się kilkakroć tam i z powrotem, postukując drewnianą nogą. Kilka razy rzucił złe spojrzenie w kierunku Murraya. Ruch uspokoił go jednak nieco, gdyż po kilku minutach oznajmił:

– Skoro tak rzecz ułożyłeś, nie będę tego zmieniał. Ale nie dziw się, że sam bym wolał mnicha pytać, skoro to o mnie chodzi.

Z ulgą odetchnął Szkot, uśmiechając się przepraszająco. W głębi ducha wiedział jednak, iż najlepiej będzie tak, jak postanowił. Najczęściej bowiem lekarz sam

najgorzej własne choroby leczy, a zimna głowa stanowi o połowie sukcesu.

Aby ostatecznie odejść od kłopotliwego tematu, Nadolski zapytał, jak też udało się oficerowi pozbyć towarzystwa natrętnego kompana. Zachichotawszy, dzierżawca z Sikawca wyjaśnił:

– Myślał szelma, że Żeliborskiego szukam, bo Tuhajową nagrodę kontent bym zgarnąć. Nawet się do spółki proponował, dowodząc, iż zakonnika z klasztoru wywabi jakimś sposobem, a ja z resztą się sprawię. Tak się do rzeczy zapalił, aż rachubę w wypitych kielichach stracił, przez co na koniec padł gębą w misę z resztką kaszy, jaka przed nim stała, i zasnął. Zostawiłem go takiego, zapłaciwszy oberżyscie za jadło i napitki, żeby jegomość Iwan stratny nie był. Zresztą... – machnął swą drewnianą dłonią – ...złego diabli nie wezmą, jak to się mówi.

Zaśmiali się na to Żegota ze Stillrem, a potem wspomnieli biesiadę w Arłamowie, nie mogąc sobie za nic przypomnieć, jak zwał się sąsiad Kopystyńskiego, który zwykle pijany pod ścianą leżał i budził się tylko po to, aby przegryźć cokolwiek, wypróżnić się, napić i znowu zalec. Potem zaś na inne wspominki przyszło, jak choćby o dziwactwach Jeremiego Winnickiego z Zatwarnicy. Szczególnie Szkot wyzłośliwiał się nad starym administratorem, folgując sobie za to, jak cisnęła go jego siostrzenica do ożenku przytłaczającą troskliwością.

Przy takich rozmowach do wieczora im zeszło. Wtedy, dla otrzeźwienia, na spacer we trzech wyszli. Tyle tylko pochodzili ciemnymi już uliczkami, aby zaczerpnąć powietrza, o którym nie można było powiedzieć, że świeże. Szczególnie od bramy Lwowskiej do Wodnej cuchnęło wskutek braku odpływu dla ścieków z dzielnicy żydowskiej<sup>135</sup>. Może i miejskie powietrze czyniło wolnym<sup>136</sup>, z całą pewnością jednak nie zdrowszym.

Noc spędzili spokojnie w gospodzie Izaaka, o ile można mówić o spokoju na niewygodnych ławach przy akompaniamencie ciągnących się do późna pijackich rozmów dobiegających zza okna. Mimo to rankiem obudzili się rześcy, bo piec wygasł i zimno prędko ich orzeźwiło. Dziewki służebnej jakoś nie było widać, więc Murray poszedł jej szukać, aby czym prędzej jeść przyniosła i roznieciła ogień. Zamiast wnuczki zjawił się z nim stary Żyd, przeprasząc za nieporządki. Coś tam mówił, iż panna zawieruszyła się gdzieś, wzrok na bok odwracał, co jasno dowodziło, że pewnie o jakąś wstydliwą sprawę chodzi. Mało to jednak interesowało gości, którzy ciepła i jedzenia potrzebowali.

Zapłonął wreszcie ogień w piecyku, stanął na stole posiłek, nawet grzane piwo się znalazło do niego. Zadowolony Stiller dał Izaakowi trzy grosze<sup>137</sup>, co aż nadto było za niewyszukane jadlo. Skrzywił się nieco karczmarz na miedziaki, ale nic nie rzekł, tylko skłonił nisko i zaraz za drzwiami zniknął.

Około dziesiątej zabrali się Murray z Żegotą do klasztoru. Stiller żadnych rad im nie dawał, pogodzony już, że bez niego idą. Oznajmił, że w tym czasie przejdzie się po Przemyśle, by korzystając z okazji, drobne sprawunki przed powrotem do Beniowej załatwić. Pozostawili go więc towarzysze szykującego się bez pośpiechu.

Przeszedłszy przez pokryty zdeptanym śniegiem Rynek, mężczyźni skierowali się ku części miasta Władycze, od której na południe znajdował się karmelicki kościół wzniesiony na gruntach wykupionych od mieszczan, a po części także podarowanych przez Jana Leona Herburta<sup>138</sup>. Dzień był mroźny, lecz słoneczny, wskutek czego ruch robił się powoli na miejskich uliczkach. Mało jednak zwracali na siebie uwagę przechodnie, odziani grubo, z postawionymi na sztorc kołnierzami i wetkniętymi za pazuchy dłońmi. Zima nie sprzyja bowiem ciekawości, skłaniając raczej, aby załatwiwszy niezbędne sprawy, czym prędzej zasiąść przy piecu, najlepiej jeszcze mając na podorędziu grzańca.

Niewiele ze sobą mówiąc, podeszli Nadolski ze Szkotem do klasztornej furty, przy której wisiał zakończony supłem sznur. Kiedy Murray zań pociągnął, zza muru dobiegło bicie dzwonka, a zaraz po tym odsłonięto niewielkie zakratowane okienko. Czyjeś podejrzliwe oko zlustrowało przybyszów. Widać uprzedzony był furtian o przedpołudniowych gościach, gdyż niemal natychmiast zazgrzytała zasuwa i wnet przeraźliwie zaskrzypiały zamarznięte zawiasy.

– Laudetur Iesus Christus<sup>139</sup> – mruknął Szkot, skłaniając głowę.

– Nunc et in aeternum<sup>140</sup> – padło w odpowiedzi spod karmelickiego kaptura, a zaraz potem: – Ojciec prowincjał czeka na waszmościów.

Zgarbiony mnich w ciszy poprowadził gości przez niewielki wirydarz<sup>141</sup> wprost do zdobnych rzeźbioną kamienną framugą drzwi. Otworzywszy je, sam poszedł przodem, nawet nie zachęcając przybyszów, jakby oczywiste było, iż mają iść za nim.

Murray bez specjalnego zainteresowania wszedł w sklepiony łukami korytarz, Żegota natomiast rozglądał się zaciekawiony. Pierwszy raz był w karmelickim klasztorze, w którym gdzieś tam, w katakumbach kościoła, zgodnie z wolą rodziny,

spoczywał Serafin Krasicki. Siłą rzeczy znów naszy szlachcica wspomnienia dawnych zdarzeń, a wraz z nimi tak samo złość, jak i drobina zjadliwej satysfakcji, iż oto on kroczy żywy po wypolerowanej posadzce nad ziemią, podczas gdy truchło zbrodniarza w proch się obraca pod jego stopami. Niedługo jednak mógł wspominać dawne dzieje Żegota, ponieważ mnich otworzył kolejne drzwi i gestem zaprosił gości do urządzonej ze smakiem celi stanowiącej klasztorną kancelarię.

Skłonił się szlachcic, widząc za dębowym biurkiem braciszka z długą brodą, może nie starego jeszcze, lecz już w dojrzałe męskim wieku. Słusznie uznał, iż ma przed sobą ojca Stefana, co zaraz potwierdził Szkot, który nisko machnął kapeluszem i po polsku się odezwał:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, wielebny ojcze prowincjale.

Łaskawie wyciągnął zakonnik nad stołem upierścienioną dłoń, którą zaraz ucałowali zarówno Żegota, jak i jego towarzysza. Lubował się widać opat w takiej ceremonii, gdyż uśmiechnął się na ten wyraz pokory chrześcijańskiej. Gestem zaprosiwszy przybyszów, by usiedli, dopiero raczył odpowiedzieć:

– In saecula saeculorum<sup>142</sup>.

Brat furtian, skłoniwszy się, zamknął za sobą drzwi. Pozostali sami w ciszy, która z każdą sekundą stawała się coraz bardziej krępująca. Znał się bowiem przeor Kucharski na ludziach i wiedział, jak sprawić, aby poczuli zmieszanie. Tym większe, im bardziej pogodnym uśmiechem obdarzał swych gości, mierząc ich badawczym spojrzeniem. Zwykł tak gości przyjmować, aby już tym ich onieśmielać.

Najpierw Żegota spuścił wzrok, mnąc w palcach swój kołpak, a zaraz za nim Murray uczynił tak samo. Pokora bowiem zawsze jest najlepszą drogą, kiedy z jakąś potrzebą się do duchownego przychodzi. A jeśli jeszcze datkiem prośba jest wzmocniona, najrychlej się sprawę w Kościele załatwi. Miał jednak najwidoczniej ojciec Stefan swój plan i potrzebę, ponieważ odezwał się w końcu słowami:

– Myślałem długo o prośbie waszmości, która zgoła dziwna mi się zdała, ale z racji pamięci Jego Eminencji arcybiskupa ulec jej postanowiłem. Jednakże obowiązkiem moim, jako pasterza tego zgromadzenia, jest uczestniczyć w spotkaniu z bratem Jerzym. Mówiłem bowiem, iż człek to już życiem zmęczony, a przy tym boskim bardziej niż ziemskim sprawom bliższy. Wszelkie zakłócenie jego spokoju może być w przykre skutki brzemiennie, czego z całego serca pragnąłbym uniknąć.



Drgnął Nadolski, słysząc te słowa. Zerknął przez moment na Szkota. Ten jednak siedział nieporuszony.

– Wielce wdzięczny jestem ojcu za ten zaszczyt. – Murray prawie niezauważalnie skłonił głowę. – Sam nie śmiałem prosić, aby najprzewielebniejszy<sup>143</sup> opat i prowincjał raczył własną osobą wyróżnić zwykłą rozmowę z bratem zakonnym.

– To mój obowiązek, synu. – Ani odrobinę nie drgnęły uniesione kąciki ust przeora, choć granica w tym uśmiechu pomiędzy uduchowieniem a fałszem zdała się nagle Żegocie bardzo mglista.

Szlachcic poczuł, iż coś musiało się zdarzyć od wczorajszego dnia, że ojciec Stefan zapragnął uczestniczyć w spotkaniu z Żeliborskim. Najpewniej przemyślał sprawę albo też dowiedział się czegoś. Może znał historię wyznaczonej za starego mnicha nagrody? Lub innej korzyści upatrywał, wiedząc o przeszłości zakonnika? Na razie pozostało to tajemnicą. Szlachcic wyteńczył jednak słuch i rozum, aby z półsłówek coś więcej pojąć.

Kucharski powstał wolno, wkładając splecione dłonie w szerokie rękawy brązowego habitu. Wznosząc oczy ku sklepienemu sufitowi, rzekł:

– Zaiste dziwne są ścieżki, które wiodą do Pana. Wyboista była droga brata Jerzego ku Jezusowi, ale też naucza Chrystus, iż wielka jest radość gospodarza z każdej odnalezionej owieczki, która dołącza do bożego stada. Pokutą grzechy można odkupić, a święty Kościół umacniając swą osobą i mieniem, na zbawienie zasłużyć. Czyż nie?

Popatrzył badawczo wprost w oczy otyłego cudzoziemca. Murray wytrzymał to spojrzenie, zgodnie odpowiadając:

– Święte są słowa waszej miłości.

Zadowolony przeor zmarszczył brwi, racząc dokończyć myśl:

– Tym więcej dbałości należy dołożyć, aby nikt i nic nie zakłóciło obranej przez brata Jerzego drogi ku Bogu, szczególnie zaś jakieś dawne wspomnienia, od których wszak uciekł za klasztorne mury. Mami bowiem i kusi wizja dawnych przewag, mąci w głowach diabeł, a to świecąc w oczy blaskiem chwały i złota, a to, wybac mi Panie, niewieście wdzięki przywołując. Wszystko to jednak marność i proch wobec Kościoła świętego, przez który jedyna wiedzie droga ku światłości wiekuistej.

– Anibym ważył się brata Jerzego ze słusznej drogi zawracać – zapewnił Murray, mrużąc oczy.

– Czasem i zamiar niepotrzebny, aby zło się stało. – Ojciec Stefan rozłożył przed sobą dłonie. – Dlatego czuwać muszę. Rzekłeś mi bowiem, iż o dawnego przyjaciela chcesz brata Jerzego wypytać, który zmarł niedawno. Kto wie, jakie wspomnienia z nim związane odżyją w głowie świątobliwego teraz starca? Albo też co sobie przypomni? Zresztą... – lekko skinął palcami – ...może i na chwałę Kościoła ma się to obrócić? Raz już bowiem brat Jerzy łaskawie wsparł nasze zgromadzenie, więc kto wie, czy i drugi raz tak się nie zdarzy? A kościół i klasztor przecież niedawno wzniesione i wciąż nakładów wymagają. – Prowincjał z zafrasowaną miną kilkakrotnie pokiwał głową.

Teraz już wszystko wydało się jasne dla Żegoty. Przeor sądził, iż chodzić może Murrayowi o jakieś ukryte skarby, które Żeliborski albo jego kompani zgromadzili. Dlatego Kucharski postanowił zachować czujność, aby nic nie umknęło jego uwagi. Niepojęte wciąż było, dlaczego doszedł do takiego wniosku. Pytać o to jednakże nie należało, korzystając z łaskawości przeora. Także dla Szkota oczywisty stał się cel przydługiej przemowy. Powstawszy, skłonił się nisko, mówiąc:

– Oby stało się tak, by i klasztorowi jak największa korzyść z tej rozmowy przysła, albowiem na chwałę Bożą wzniesiony, z pewnością łaską Chrystusową się cieszy. Moja rzecz jedynie o pana Stanisława Popiela zapytać, który przed śmiercią brata Władysława wzywał. Jeśli Opatrzność sprawi, że coś więcej pan Żeliborski rzeknie niż o tym, gdzie jest ów krewniak pana Popiela, niech się na chwałę tutejszego karmelu tak zdarzy.

– Rad jestem, Williamie, iż pojmujesz mą troskę. A z dawnych lat cię znając, ufność pokładam w twoich słowach oraz twemu przyjacielowi zawierzam... – przerwał opat, spoglądając wymownie na Żegotę, a w jego wzroku nie było ani odrobiny deklarowanej ufności.

Szkot natychmiast pospieszył z uspokajającym wyjaśnieniem:

– To jest właśnie pan Nadolski, sąsiad i przyjaciel jegomości Stanisława nieboszczyka, świeć Panie nad jego duszą, który, jak wczoraj rzekłem najprzewielebniejszemu ojcu, przyobiecał mu na łożu śmierci odnaleźć brata. Zaczny to szlachcic i wierny sługa Kościoła bożego.

Ledwie powstrzymał siwowłosy szlachcic gwałtowny skurcz, jaki przebiegł mu po twarzy na tak jawne kłamstwo padające z ust przyjaciela. Uśmiechnął się niezbyt mądrze i głową pokiwał, bo nic innego nie byłby w stanie uczynić. Widać za dobrą

monetę wziął przeor głupawy wyraz twarzy nieznanego szlachetki o ponurej gębie, gdyż krzyżem pobłogosławił go w powietrzu, mówiąc:

– Chwała tym, którzy pokój duszom niosą, solennie wypełniając wolę zmarłych. Niech Bóg czuwa nad tobą, mój synu.

Pokornie pochylił się Żegota, w milczeniu przyjmując nabożne słowa. Nie patrzył, kiedy Murray zaproponował nieśmiało:

– Może więc chodźmy spełnić wolę zmarłego, aby czym prędzej się to stało i żebyśmy ojcu przeorowi czasu nadmiernie nie zajmowali naszą jakże przyziemną sprawą?

– Taaak... – odpowiedział przeciągle Kucharski, gładząc się po brodzie. Nadal coś nie dawało mu spokoju, ale wahał się z zapytaniem wprost. Przeszedłszy się po komnacie, łypnął podejrzliwie i rzucił nagle: – Ale to nie starosta Potocki was przysłał, prawda?

Tak dziwne i zaskakujące zdało się to pytanie cudzoziemskiemu oficerowi, aż usta szeroko rozdziawił, to na opata, to na Żegotę spoglądając. Również Nadolski brwi wysoko uniósł, nie rozumiejąc intencji zakonnika. Musieli szczerzy być w swym odruchu, ponieważ uśmiechnąwszy się, ojciec Stefan ręką machnął.

– Nic to, nic to! Ot, zbędna podejrzliwość z mej strony! Ułomna jest ludzka natura, więc wybaczenia proszę. – Pragnąc uniknąć jakiegokolwiek komentarza ze strony gości, rzucił: – Chodźmy więc, waszmościowie! W istocie, jak rzekłeś, Williamie, nie ma co czekać, kiedy zbożny cel wie dzie tego szlachcica. – Wskazał lekkim ruchem głowy Nadolskiego. – Ja zaś tylko przysłuchiwać się będę, aby w razie potrzeby wsparcia udzielić bratu Jerzemu, gdyby wspomnienia okazały się dla niego w jakiejś chwili zbyt ciężkie.

Powstał szlachcic, wciąż mając mętlik w głowie. Szkot chyba podobnie się czuł, bo oczy spuścił i czoło zmarszczył w zadumie. Nie pora jednak była na rozmowy, kiedy przeor już drzwi otwierał, zamaszystym gestem zapraszając przybyszów, by poszli za nim.

Przeszli sklepionym łukami korytarzem, minęli kilka zamkniętych izb, aż dotarli do dzielącej przejście kraty. Była otwarta i niestrzeżona, ale też wyraźnie oddzielała klauzurę od części wiodącej do kościoła. Ojciec Stefan przesunął furtę z kutego żelaza i gestem zaprosił towarzyszących mu mężczyzn do wejścia. Posłusznie spełnili jego wolę, rozglądając się dyskretnie dokoła. Choć nie zmienił się kształt

przejścia, z racji braku malunków i ozdób stało się ono bardziej surowe, widać dla podkreślenia podziału między tym, co przyziemnym rzeczom przypisane, a światem, gdzie mnisi sprawom ducha i modłom się oddawali. Cisza była tu także jakby głębsza, wręcz przymuszająca do pokory. Po chwili na kamiennej podłodze wyraźnie zastukotały podkute buty przybyszów, zakłócając klasztorny letarg.

Stanęli pod drzwiami jednej z cel.

– To tu – oznajmił opat krótko, po czym otworzył wejście.

Pomieszczenie było bardziej niż skromne. Ledwie prycza i klęcznik składały się na jego wyposażenie. Na tym ostatnim przygarbiony, pogrążony w modlitwie, spoczywał na kolanach chudy starzec w brązowym habicie.

Kaptur zasłaniał mu oblicze, którego nawet nie odwrócił ku wchodzącym. Lekko poruszyły się tylko jego zaplecione dłonie, kościste i żyłaste, pokryte starczymi plamami.

– Bracie Jerzy – zagadnął cicho opat.

Mnich się nie odezwał. Powtórzył więc ojciec Stefan mocniejszym głosem:

– Bracie Jerzy! To ludzie, którzy chcieli z tobą pomówić.

Zakonnik przygarbił się jeszcze bardziej, a spod kaptura dobiegł przerywany szept odmawianej łacińskiej modlitwy:

– Angele Dei, qui custos es mei, me, tibi commissum pietate superna, illumina...144

Popatrzył prowincjał Kucharski po dwóch znieruchomiałych mężczyznach, głową pokręcił i mruknął znacząco:

– Sami widzicie...

Westchnął, przeżegnał się, a potem podszedł do klęczącego zakonnika i położył mu rękę na ramieniu.

– Bracie Jerzy. Ważna rzecz owych ludzi do ciebie sprowadza. O spokój duszy zmarłego chodzi.

Zamiast jakiegoś rzeczowego odzewu głośniejsze w zakonnej celi zabrzmiały słowa starca:

– Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis. Requiescant in pace145.

Skrzywił się przeor na ten publiczny wyraz nieposłuszeństwa. Mocniej zacisnął palce, chcąc bólem przywrócić klęczącego braciszka do rzeczywistości. Ten jednak tylko oparł głowę na splecionych rękach, dalej mamrocząc coś pod nosem.

– Mówiłem – rzekł opat usprawiedliwiająco, choć głosem napiętym od gniewu – bardziej już brat Jerzy z Bogiem niż z ludźmi obcuje. – Westchnął, zabierając dłoń z ramienia zakonnika. Wzniósłszy oczy ku niebu, skwitował: – Tak bowiem jest, iż z wiekiem coraz bardziej nieśmiertelna dusza pragnie spotkania z Najwyższym, jakby zmęczona życiem na tym ziemskim padole.

W milczeniu stali Murray z Żegotą, nie bardzo wiedząc, co począć. Gdyby mnich choć wzrok na nich skierował, zamiast wciąż bełkotać modlitwy! Nie wypadało odrywać starego braciszka od zbożnego zajęcia, skoro nawet Kucharski zachowywał w tym powściągliwość.

Opat, pomny, iż jego autorytet mógł zostać nadwerężony, nie poddał się jednak. Pochylając się nad naciągniętym na głowę klęczącego kapturem, wycedził:

– Bracie Jerzy! Nie każ nam czekać. Panowie Murray z Nadolskim pragną kilka słów z tobą zamienić. Racz...

Tego, co się zdarzyło po tych słowach, nie przewidział chyba prowincjał. Niespodziewanie umilkł modlący się Żeliborski, gwałtownie opuścił ręce na pulpit klęcznika i głowę ku wejściu odwrócił, aż odskoczył ojciec Kucharski do tyłu jak oparzony.

Wychywały spod kaptura zapadłe oczy, błyszczące jakimś dziwnym ni to szaleństwem, ni to ekstazą. Wyróżniały się na tle pomarszczonej, chudej twarzy, w której jakby nie było żadnego życia. Aż ciarki przeszły po plecach szlachcicowi i szkockiemu oficerowi, tak przesywający był to wzrok, w którym też żadnej nie było pokory.

Powoli zacisnęły się w pięści szponiaste dłonie mnicha, aż zachręściły kości. Napięła się na knykciach sucha, cienka jak pergamin skóra. Brat Jerzy wycedził sykliwym szeptem, nie odrywając wzroku od Żegoty:

– Czekałem na ciebie... A więc nadchodzi mój kres... Przyszedłeś...

Natychmiast odwróciły się ku Nadolskiemu głowy przeora i Szkota, a w ich spojrzeniach zawarte było niewypowiedziane pytanie.

Zmieszał się Żegota, niczego nie pojmując, ręce przed sobą rozłożył, aby w końcu wydusić:

– Pierwszy raz waszmości... to znaczy wielebnego brata widzę...

Nawet nie słuchał go Żeliborski, warcząc chropawym głosem:

– W snach przychodziłeś... Wiedziałem, że w końcu naprawdę nadejdiesz! Wiedziałem! Ale jestem gotowy! Gotowy! Słyszysz?!

Siwy szlachcic przełknął ślinę, niczego ze słów mnicha nie rozumiejąc. Aby przerwać mu złowrogi bełkot, zapytał prędko:

– Znałeś bracie Stanisława Popiela?

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął starym ciałem. Nagle rozległ się w celi chichot nieprzyjemny, zdławiony, przechodzący w gwałtowny suchy kaszel. Kiedy ustał, powolnym ruchem ściągnął Żeliborski kaptur, odsłaniając pobrużdżoną bliznami głowę pokrytą resztkami posklejanych białych jak mleko włosów.

– Zdechł! To dobrze! Wiem o tym! Canis mortuus non mordet<sup>146</sup>.

– Jego brata chcę znaleźć! Gdzie może być?! – nie dawał za wygraną Żegota.

Nie słuchał go zakonnik własnymi myślami zajęty. Zmarszczył pobrużdżone czoło, krzaczaste brwi złączyły mu się prawie w jedną kreskę. Zapatrzył się gdzieś w podłogę, szepcząc do siebie:

– On jeden tylko został... Jeden prócz mnie...

– Kto?!

Żeliborski podniósł wzrok, na sekundę otrzeźwiony gwałtownym pytaniem.

– Krogulecki! – odrzekł, tak jakby rzecz oczywistą oznajmiał.

Po chwili znów jednak wrócił do swego niezrozumiałego bełkotu, mamrocząc:

– Jego też dojdzie... Wszystkich nas ma już w swym saku... Ale jestem gotowy... Tak... Deus propitius esto mihi peccatori<sup>147</sup>. Nie jego jestem, lecz Bogu oddany!

Żegota uczuł gwałtowne ciepło, przypominając sobie, że słyszał już raz z ust Camerona wypowiedziane przez zakonnika nazwisko. Chcąc się upewnić, rzucił:

– Krogulecki?!

– Vanitas vanitatum et omnia vanitas<sup>148</sup>... – Żeliborski zatrzepotał powiekami, rozglądając się gwałtownie wokół siebie. – Co?!

– Czy rzekłeś, bracie...?

– Poczekaj waćpan! – Przeor niespodziewanie przerwał Nadolskiemu w pół słowa. – Nie widzisz, iż nic więcej się nie dowiesz?!

– Ale...

– Nic nie mów! Spójrz, w jakim stanie jest brat Jerzy!

Ojciec Stefan szybkim krokiem podszedł do szlachcica i nad wyraz mocno ujął go pod łokieć. Spoglądając wprost w oczy Żegoty, wycedził rozkazująco:

– Starczy waszmość, nie sądzisz? Mówiłem, że z bratem Jerzym trudna rozmowa. Starczy!

Nadolski zacisnął usta, jeszcze większy mając mętlik w głowie. Musiał być powód, dla którego przeor, usłyszawszy nazwisko Kroguleckiego, przerwał indagację. Nie sposób było jednak temu zaradzić. Siwy szlachcic skinął więc wolno głową, mając pewność, że łotr, którego ścigał olbrzymi przyjaciel Murraya, jest kluczem do rozwiązania zagadki. Tak samo pomyśleć musiał oficer, ponieważ nad wyraz zgodnie przyznał:

– W istocie trudno cokolwiek zrozumieć. I ja sądzę, że pora kończyć, mości Żegota. Bratu Jerzemu spokoju trzeba.

Szlachcic wzruszył ramionami, nie zamierzając oponować. Mocno pociągnięty przez Kucharskiego już robił krok w kierunku drzwi, kiedy zza pleców dobiegł go niespodziewany krzyk Żeliborskiego:

– Stój!

Zamarli zarówno przeor, jak i szlachcic. Powoli odwrócili głowy, nie wiedząc ku komu wykrzyczał zakonnik rozkazujące słowo. Na twarzy zakonnego dostojnika malowała się nieskrywana złość, a oblicze Żegoty wyrażało zdumienie. Tym większe, kiedy pojął, że to znów w niego wbite są błyszczące oczy starego mnicha.

– Stój! – powtórzył nieco ciszej karmelita. – Jedno mam ci rzec, nim odejdiesz...

Zawiesił głos, krzywiąc się jakby od nagłego bólu przeszywającego mu ciało. Zmrużył oczy, zadrżały mu wyciągnięte w kierunku Nadolskiego ręce.

– Pamiętaj! Zaufaj sobie i nie bój się! Niczego się nie bój! Na każdego przyjdzie śmierć! Na każdego!

– Co?! – Żegota wytrzeszczył oczy, nic nie rozumiejąc. Jak zwykle kiedy nachodziło go zdenerwowanie, opadł mu lewy kącik ust, sprawiając, że jego twarz wykrzywiła się nieprzyjemnie.

Pierwszy opanował się ojciec Stefan, który szarpnąwszy gościa za rękaw kożucha, już bez ogródek rzucił:

– Chodźmy! Bredzi stary! Niespełna rozumu jest! Nie pojmujesz waść?!

Nie pozwolił jednak brat Jerzy oddalić się Żegocie. Zerwał się na równe nogi, z istic kocią zręcznością skoczył i schwyciwszy siwego szlachcica za poły ubrania, wprost w oczy mu wysyczał:

– Zaufaj sobie! Tak ona kazała ci rzec! Nie bój się!

– Ona?! – Nadolski przestraszony atakiem szaleństwa cofnął się o krok. – Jaka znów ona?!

– Ta, która mnie dręczy! – zawył mnich, chwytając się za głowę.

Padłszy na kolana, wił się spazmatycznie. Z piersi wyrwał mu się zawodzący jęk:

– Homo sacer!149 Homo sacer! Przeklęty!

– Na Boga! – Szlachcic z Wygnanki ledwie zdołał wyszarpnąć poły futrzanego płaszcza z zaciskających się na nim palców zakonnika.

Wypchnął go przeor bezceremonialnie na korytarz, nogą odpychając Żeliborskiego. Jakimś cudem i Murrayowi udało się bezpiecznie minąć szaleńca, nie zwróciwszy jego uwagi.

Nim zamknęły się drzwi celi, a opat jednym ruchem przesunął żelazną zasuwę, dostrzegł jeszcze Nadolski pałający wzrok wariata i usłyszał urwane, skrzeczące:

– Pamiętaj...!

Zamarli na moment, wsłuchani w zwierzęcy jęk dochodzący zza zatrzaśniętych drzwi. Trwał ledwie kilkanaście sekund, nim ucichł jak nożem ucięty. Potem nastął dziwna, niepokojąca wręcz cisza.

Ojciec Stefan chrząknął znacząco, palcami przeczesując bujną brodę. Spojrzał na zamkniętą celę i mruknął:

– No tak... Nie spodziewałem się, że aż do tego dojdzie. Chyba waść w bracie Jerzym... – popatrzył z nieskrywanym wyrzutem na Żegotę – ...taki afekt wzbudziłeś, nie wiedzieć czemu. Może poznał kiedyś waszmości? Co?

Wzruszywszy ramionami, Nadolski odrzekł:

– Tak samo dla mnie jest niepojęte to, co się zdarzyło, wielobny ojcze. Nawet nie myślałem, iż stan tego braciszka... – głową skinął ku zamkniętej celi – ...jest aż tak, jak by to ująć, chwiejny. Mówił mi William, iż może być trudno, ale przeszło to wszystko moje wyobrażenie. Niczego nie pojmuję, kim jest ów Krogulecki? O jakiej niewieście wspomniał brat Jerzy, mówiąc o tej, która go prześladowuje? Czego mam



się nie bać? – Zmrużył złośliwie oczy, kwitując zarzut przeora: – Zaiste, gdyby to nie był klasztor, to pomyślałbym, że Żeliborski przez złego opętany.

– Wypluj acan te słowa! – zaprotestował gwałtownie prowincjał, machając rękami. – Całymi dniami modlitwie jest brat Jerzy oddany i dawne grzechy codziennym umartwieniem odpokutowywuje! Spowiedź świętą wielokroć odbywał, każdy grzech, nawet najstraszliwszy wyznał! Komunię co dzień przyjmuje, żarliwie Bogu swą duszę zawierając! Nie ma do niego przystępu szatan! Nie ma!

– Nikt tak nie twierdzi – spróbował załagodzić sytuację szkocki oficer. – O to jedynie chodzi, że żadną miarą nie wygląda brat Jerzy na człeka choćby odrobinę sprawnego umysłu.

– W tym właśnie rzecz – rzekł posmutniały nagle ojciec Stefan. – W tym rzecz.

Pokiwawszy głową, zerknął na zamyślonych mężczyzn, by wreszcie, z wahaniem w głosie, powiedzieć:

– Chodźmy. Nic tu więcej wskórać się nie da. Winem waćpanów poczęstuję dla ochłonięcia, może i sam skorzystam, a potem... – zawiesił głos, przesuwając wzrok z Murraya na Żegotę – ...chyba szczerze się pora rozmówić, nieprawdaż?

Popatrzyli po sobie Szkot ze szlachcicem. Westchnął oficer wolno i z namysłem odpowiedział:

– W istocie. Napiłbym się dobrego węgryzna. Mój przyjaciel, jak miemam, też nie odmówi wielebnemu ojcu.

Bez słowa odwrócił się Kucharski na pięcie, kierując tam, skąd przyszli. Goście podążyli za nim posłusznie.

Usiedli na krzesłach w tej samej kancelarii, gdzie przyjął ich karmelicki prowincjał. Opat niemal z namaszczeniem wyjął z szafki oplecioną sznurem butlę zacnych rozmiarów, a z nią trzy srebrne kielichy, z pewnością niedowodzące skromności zakonnego życia. Nie wyzbył się widać pochodzący z możnego rodu Kucharski<sup>150</sup> zbytkownych przyzwyczajień.

Rozlawszy wino i gestem zachęciwszy mężczyzn do poczęstunku, sam wziął jeden z pucharów i usiadł za stołem na swym rzeźbionym krześle. Upiwszy łyk, przymknął oczy z ukontentowania. Gdy Murray z Nadolskim spróbowali trunku, zrozumiały stał się błogi wyraz twarzy opata. Zaiste, wino miało godne królewskiej piwnicy. Podejrzliwy Szkot od razu jednak pojął, iż nie bez przyczyny ojciec Stefan musiał aż tak ich ugościć. Nie omylił się.

– Powiedzcie mi zatem, mości panowie, czego tak naprawdę chcieliście się od brata Jerzego dowiedzieć – odezwał się prałat, powoli odstawiając kielich, a dostrzegłszy lekki grymas na twarzy Żegoty, dodał z uśmiechem: – Zbyt wiele rzeczy widziałem, aby wierzyć w bezinteresowną pomoc i wypełnianie obietnic dawanych umierającym. Ale też nie będę ukrywał, że własny interes miałem, udzielając wam zgody na widzenie. Jeśli szczerzy ze mną będziecie i ja odwzajemnię się tym samym. Być może bowiem wspólne cele nas połączą, ku chwale bożej i... – zawiesił głos, znów sięgając po kielich – ...dla bardziej przyziemnych korzyści.

Westchnął siwowłosy szlachcic, nie bardzo wiedząc, co rzec. Sprawa była aż nadto delikatna, aby szczerze mówić, z drugiej zaś strony byle czym zbyć przeora nie należało. Szczęściem Murray przyszedł siwemu szlachcicowi w sukurs.

– Zaiste, przenikliwy jest umysł świątobliwego ojca prowincjała, a nasza próba zwiedzenia go nieudolna. Wybacz więc, panie, że pewne kwestie od razu nie zostały ci przedstawione, ale też nie wynikało to z mojej czy pana Nadolskiego chytryści, lecz jedynie stąd, iż nie chcieliśmy swymi drobnymi sprawami troskać waszej miłości. Małe to i przyziemne rzeczy, jak nam się zdawało, niegodne, aby nimi osobę zacnego opata zajmować.

Zmrużywszy oko, Kucharski skinął głową, niby za dobrą monetę biorąc słowa oficera, by po chwili wycedzić:

– Rozumiem. – Pochylił się odrobinę nad stołem i spytał: – Zatem o co chodzi, mój synu?

– We wsi Tarnawka należącej do pana Zbigniewa Siemieńskiego z Międzyrzecza stoi dwór, w którym pięć lat mieszkał Stanisław Popiel, dawny kompan Żeliborskiego. Kiedy zmarł, w domostwie różne dziwne rzeczy dziać się poczęły. Nikt tam zamieszkać nie chce, a niejednego, co się odważył, zły duch okaleczył.

– Księdza trzeba i modlitwy – skwitował przeor. – Najlepszy to sposób na takie zjawiska. Dom wyświęcić, na mszę za zmarłego dać. Ot, czyżbyś nie znał panie oficerze sposobów, które przecież i sam biskup Próchnicki zalecał?

Murray skłonił się zgodnie, kontynuując:

– Tak też pan Siemieński wielokroć czynił, ale nie przyniosło to spodziewanego skutku. Tymczasem chłopci bać się coraz bardziej poczęli, a właściciel nijak dzierżawcy nie mógł znaleźć do przysiółka. Co który przyszedł, to albo uciekał, albo

też o nowy dwór zaczynał się dopominać. Sam zaś przewielebny ojciec wiesz, jaki to koszt... – Szkot zerknął na duchownego, sprawdzając, czy dobrą idzie drogą, rzecz do kwestii materialnych sprowadzając. Wyraz twarzy Kucharskiego wskazywał, iż chyba w sedno spryciarz trafił, mówił więc dalej: – Dał pan Siemieński nagrodę pokaźną dla tego, kto rzecz zakończy, bo też przecież gospodarować w przysiółku trzeba, a nie ma komu. Ale też jeszcze jedna jest w tym kwestia, o której szczerze powiem. – Spojrzał na Żegotę. – Otóż majątek mojego serdecznego druha, pana Nadolskiego, ledwie kawałek od Tarnawki leży. Z chęcią przyjąłby mój przyjaciel w dzierżawę te ziemie, a w przyszłości może nawet i wykupił, lecz zgodę swoją uzależnił pan Siemieński od tego, czy uda mu się złego pozbyć. Na różne sposoby próbował obecny tu jegomość Żegota złu zaradzić, lecz bez rezultatu. W końcu po mnie posłał, bo, jak wie wasza miłość, różnymi się przypadkami w imieniu Jego Eminencji arcybiskupa lwowskiego zajmowałem. Rzecz poznawszy, pojąłem, iż najpewniej grzechy dawne pana Stanisława Popiela są przyczyną niepojętych zjawisk w dawnym jego domostwie. Aby zatem je skończyć, trzeba prawdy o jego żywocie dojść. Stąd też postanowiliśmy od pana Żeliborskiego na początek się czegoś dowiedzieć.

Słyszając opowieść Murraya, zastygł Nadolski z kielichem w dłoni, aby żadnym gestem nie zdradzić swego osłupienia. Przyznał z podziwem w duchu, iż biegle Szkot pomieszał kłamstwo z prawdą, w jądro domysłów opata trafiając. Najłatwiej bowiem jest kogoś oszukać, jeśli się utwierdzi go w tym, w co wierzy. Dla Kucharskiego zaś najwyraźniej dobra doczesne decydować musiały o ludzkich postępkach.

Ojciec Stefan zmierzył wzrokiem Żegotę, odetchnął dwakroć głęboko, nos zmarszczył i zapytał:

– Czy tak jest, synu?

Jeszcze bardziej zmieszał się szlachcic, garbiąc się i oczy spuszczając. Bąknął przy tym cicho:

– Nie inaczej.

Uśmiechnąwszy się lekko, opat skwitował łaskawie:

– Nie ma się czego wstydić, albowiem zacna to rzecz ojcowizną poszerzać, pracą uczciwą darów bożych sobie i rodzinie przysparzać. Czyż nie mówi Pan: „Rośnijcie i mnożcie się, i napełniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną?”<sup>151</sup>.

W tym tkwi istota naszego losu na tym świecie. – Karcąco zmarszczył brwi. – Lecz słuszne mogą mieć do was pretensje, iż od razu nie wyjawiliście mi, że o majątek sąsiedni chodzi, a nie o jakąś obietnicę. Grzechem jest bowiem tać cokolwiek przed osobą duchowną, a tym bardziej w błąd ją wprowadzać.

Nie unosząc głowy, wybąkał Żegota:

– Wybacz, ojcze.

Za czym od razu Murray się przyłączył, mówiąc:

– Źle zrobiliśmy, ale bez żadnych grzesznych intencji. Po prostu całej prawdy nie rzekłem, w czym żadnej nie ma pana Nadolskiego winy. Racz nam wybaczyć, wasza miłość.

Skłonił się pokornie, odruchowo zaplatając ręce jak do modlitwy.

Westchnąwszy ciężko, przeor pokiwał głową.

– Cóż... Grzeszna jest istota ludzka. Odpuszczam wam w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. – Palcami nakreślił w powietrzu krzyż, błogosławiąc przybyszy.

Zamilkł na chwilę, pogładził się po brodzie, niespiesznie upił nieco wina. Wciąż trzymając kielich w dłoni, zamyślił się. Niemal minuta upłynęła, nim rzekł głosem znamionującym powściągliwość:

– Wierzę wam, a skoro tak, może i nieco pomogę. To jednak, co powiem, dla siebie zachowajcie, a zanim z mych ust czegoś więcej się dowiedziecie, musicie mi pewną rzecz przysiąc... – Zawiesił głos, spoglądając na siedzących mężczyzn.

– Tajemnicy na pewno dotrzymamy! – zawołał gorliwie Szkot. – Wszak zna mnie ojciec prowincjał nie od dziś, a ja za swego druha głową rękę.

Przeor uciszył go gestem, kręcąc głową.

– Nie tylko to. Na Krzyż Święty mi przysięgnijcie, że jeśli dowiedziecie się tego, co ja chciałbym wiedzieć, sami nie skorzystacie z tej wiedzy, lecz tutaj wróćcie i wszystko mi jak na spowiedzi przedstawicie.

Zerknąwszy na Żegotę, Murray wstał z miejsca. Przynaglony wzrokiem przyjaciela siwy szlachcic zaraz uczynił to samo. Wówczas oficer rzekł uroczyście:

– Przysięgam tak uczynić, jak mi najświętobliwszy ojciec przykaże.

– I ja przysięgam – mruknął dużo ciszej Nadolski, dość już mając całego przedstawienia.

Nienawykły był do kłamstw, tym bardziej wobec osoby duchownej. Choć tłumaczył sobie w duchu, iż w dobrej sprawie działa, to jednak mierzyła go myśl, że niegodnie postępuje. Szczęściem nie przeciągał chwili oczekiwania ojciec Stefan, nie dając Żegocie czasu na dłuższe rozmyślenia. Przyzwalając skinąwszy głową, polecił:

– Siadajcie więc. I słuchajcie, co rzeknę, bo dla was też z tego może być korzyść. Nawet wtedy, gdy nie uda wam się zaradzić sprawom w tej tam, jakże to mówiliście...? – Zmrużywszy oko, łypnął na Murraya.

Szkot zaraz pospieszył z odpowiedzią:

– Tarnawce.

– A tak, właśnie. Tarnawce. Więc nawet jeśli z ową Tarnawką wam się nie powiedzie, to i tak potrafię swą wdzięczność okazać. Rozumiecie?

Rozchyłając usta w mało szczerym uśmiechu, Murray skinął głową.

– Rozumiemy, wasza miłość. Wdzięczni jesteśmy za łaskawość.

– Na łaskawość zasłużyć trzeba – odrzekł sucho karmelicki prowincjał. – Tymczasem baczcie dobrze, co powiem, i o nic nie pytajcie, póki nie skończę.

Poprawił się na siedzisku swego wystawnego krzesła, splatając palce dłoni i układając przedramiona na stole.

– Sprawę mam wielce delikatnej natury z panem starostą halickim Stanisławem Potockim zwanym Rawerą<sup>152</sup>.

Usłyszawszy nazwisko jednego z najprzedniejszych magnatów Rzeczypospolitej, Żegota spojrział wymownie na Murraya. Wymienienie go przez przeora nie zapowiadało nic dobrego. Nie chciał się drobny szlachcic z Wygnanki wplątywać w jakąś kabałę pomiędzy możnymi. Szkot jednak ani drgnął, w skupieniu słuchając słów opata przemyskiego karmelu.

– Jak wiecie, klasztor nasz niedawno wystawiony. Kosztowne i długie było jego wznoszenie, na co datków nie szczędzili pan Krasicki, którego doczesne szczątki, świeć Panie nad jego duszą, w katakumbach w mnisim habicie teraz spoczywają, ani też inni możni. Zbierali kwestarze datki, gdzie i od kogo mogli, aby na chwałę bożą wznieść w Przemyślu świątynię. To, co na wschodzie dobrzy chrześcijanie dali, do Lwowa najpierw trafiło, skąd naraz wszystko miano pod eskortą tutaj przywieźć. Kiedy więc wypełniły się skrzynie złotem i srebrem z ziem od Żółkwi aż po Tarnopol i Kałusz, zebrał to wszystko ojciec Apolinary od Świętego Krzyża

i najmując eskortę, do Przemyśla wyruszył. Niedaleka to droga, więc zdało mu się, iż bezpiecznie rzecz wykona, tym bardziej że sprawę w tajemnicy trzymał. Niestety! Tak czasem bywa, iż losem ludzkim Bóg w najmniej spodziewany sposób zawiaduje. Między Sądową Wisznią a Mościskami do napaści doszło, w której skarb cały został utracony, a ludzi wszystkich do nogi wyrżnięto. Zginęli z przeciętymi gardłami zarówno świątobliwy Apolinary, jak i ci, którzy mogliby świadczyć, kto się na owo świętokradztwo poważył. – Opat pokręcił głową dla podkreślenia, jak niewyobrażalna jest zbrodnia, o której mówił. – Natychmiast poczęto szukać rabusiów, aby ukarać ich i odzyskać majątek, który ukradli. Na nic jednak to było. Jakby się w powietrzu rozplnęli, śladów nie zostawiając. Niektórzy nawet podejrzewali, iż jest to zмова jakaś albo też na zlecenie czyjeś rzecz wykonano i protekcja nieznanego wielmoży zabójców chroni. Jednakże nie taka okazała się prawda. Otóż... – powiódł znaczącym spojrzeniem po gościach – ...pojawił się w tamtych stronach jakiś czas wcześniej człek bez prawdziwego imienia, którego okoliczni Kroguleckim nazwali z racji iście diabelskiej natury owej bestii w ludzkiej skórze. Z bandą podobnych doń najróżniejszych zatrąceńców na wszystko się ważył, siejąc strach. Nawet beskidnicy woleli schodzić mu z drogi. Przerażeni ludzie bali się go bardziej od tatarskiego najazdu, bo pohańcy chociaż żywych w niewolę biorą, a ten nikomu nie odpuszczał, jak mu kto w ręce wpadł. Szczególnie zaś upodobał sobie rabować kupców, którzy towary z Węgier wożą. Zdarzyło się jednak, iż w okolicach Brzegów wedle Sambora schwymano jednego z kamratów tego Kroguleckiego. Do dziewczki przyjechał nocą, a ta, nagrodą skuszona, wydała łajdaka. Na męki poszedł i solidnie nad ogniem przypieczony wyznał, że to właśnie jego herszt za napaścią na brata Apolinarego stał. Podał przy tym tyle szczegółów zdarzenia, iż żadnej wątpliwości być nie mogło, że prawdę mówi. Od razu posłał mi wieści pan starosta samborski Daniłowicz<sup>153</sup>, natychmiast też nakazując poszukiwania złoczyńcy. Jak wyznał bowiem przed śmiercią schwytany łotr, złoto prawie nienaruszone, a także wiele innych skarbów ukrył Krogulecki gdzieś w górach, w sobie tylko znanym miejscu. Pokusa zdobycia takiego majątku zwykle najlepszą bywa zachętą do działania. – Ojciec Stefan westchnął i machnął dłonią z rezygnacją. – Na nic się to zdało. W miejscu, które wskazał pojmany jako leże swego herszta, nikogo już nie zastano. Musiał ktoś ostrzec zbójów, którzy gdzieś w lasach przepadli. Diabeł jeden wie, dokąd odjechali, tak samo nagle znikli, jak się uprzednio pojawili. Tyle tylko, iż ulga dla ludzi przyszła, gdyż spokój nastął, ale z tego, co utracone, nic nie odzyskano. Zdawało się, że wszystko na zawsze

przepadło. – Przeor wzniosł oczy ku sufitowi, składając dłonie jak do modlitwy: – Bóg jednak, choć nierychliwy, sprawiedliwym jest sędzią, a Jego wola w najprzedziwniejszy sposób się czasem objawia. Przeto zawsze zawierzyć mu trzeba, nawet jeśli rzecz zdawać by się mogła beznadziejna. Ufność też trzeba mieć w sercu, bo Pan nasz w najmniej spodziewany sposób przemawia i czasem człowiek może nie dostrzec znaków, które mu Opatrzność daje. – Przeżegnał się, znów kierując wzrok na słuchających w skupieniu Murraya z Żegotą. – Jak dziś wszystko pamiętam, choć już ponad rok minął od tych zdarzeń. Świt ledwie nastał tego dnia, kiedy zawołali mnie zakonnicy, krzycząc, iż źle z bratem Jerzym. Pobiegnę więc czym prędzej do jego celi. Tam zaś ujrzałem go nieprzytomnego, leżącego na podłodze z wywróconymi oczami, sztywnego niczym drewniana kłoda. Od razu pomyślałem, iż apopleksją dotknięty. Posłałem więc po medyka, braciom zaś poleciłem gorącą modlitwę w intencji chorego. Przyszedł lekarz, krew puścił Żeliborskiemu, okłady zalecił, a potem głową kręcąc, rzekł, że na nic tu już jego rady i najpewniej do wieczora zemrze brat Jerzy. Ot, taki los ludzki, pomyślałem. Wezwać postanowił Bóg do siebie swego sługę. Dałem więc cierpiącemu ostatnie namaszczenie, a potem nakazałem jednemu z braci czuwać przy łożu umierającego, by uwiadomił mnie na wypadek jego śmierci. Sam zaś wróciłem do codziennych obowiązków. – Przeor pogładził bujną brodę.

Popołudniem zjawił się u mnie pilnujący chorego zakonnik, oznajmiając, iż cud się zdarzył, gdyż ocknął się brat Jerzy zupełnie przytomny, choć osłabiony wielce. Pierwsze zaś, co rzekł, odemknąwszy oczy, to aby mnie pilnie prosić do niego, gdyż ma mi do powiedzenia rzecz wielkiej wagi. Przyznam, że tyle samo zaskoczyła mnie ta prośba, co zaciekała. Zaiste bowiem był już brat Jerzy jedną nogą na tamtym świecie, a ludzie tak doświadczeni zajmujące rzeczy czasem opowiadają o tym, co widzieli i słyszeli. Ruszyłem więc czym prędzej do celi, gdzie chory spoczywał. Ten zaś, choć ledwie rękę mógł unieść, zupełnie trzeźwym spojrzał na mnie wzrokiem i poprosił o chwilę rozmowy bez świadków. Stało się wedle jego woli. – Mnich oparł się o stół i pochylił ku przybyszom. – Wysłuchałem go, a to, co mi powiedział, zdało mi się całkiem niepojęte. Rzekł mi bowiem, iż kiedy padł bez zmysłów, pojawiła się nad nim świetlista postać. Nie wiedział, kim była, ani też nie pamiętał, jakim głosem przemówiła. Powiedziała mu, iż zna wielki kłopot, jaki spadł na przemyskich karmelitów, dlatego z pomocą przychodzi. Oznajmiła, iż złoczyńca, na którego wołano Krogulecki, jest dawnym kamratem Żeliborskiego, a znaleźć go

można we wsi Błudniki nad Łomnicą, gdzie skrył się na zimę u swej kochanki, chłopki zwanej Nastka. – Przeor przerwał na chwilę, sięgając po kielich. Napiwszy się, głową pokiwał i powrócił do opowieści: – Niezmierne było moje zdziwienie tym, co usłyszałem. Zważcie bowiem, mości panowie... – powiódł wzrokiem po siedzących mężczyznach – ...iż z nikim spośród braci o Kroguleckim nie mówiłem, tym bardziej zaś z Jerzym, który sprawom ducha wyłącznie oddany głównie na modlitwach czas spędzał, w ogóle o doczesności nie myśląc. Tymczasem to on niezwykłą wieść mi przekazał. – Odstawił puchar, przesuwając go palcami po stole i przypatrując się srebru. – Próbowałem czegoś więcej się dowiedzieć, pytając, kto zacz ów Krogulecki, ale bełkotać począł Żeliborski, że diabeł to przekłety, a na dodatek to Popiela wołał, to jakiegoś Baczyńskiego. Nic z tego pojąć nie mogłem. Dlatego zostawiłem go pod opieką jednego z braci, a sam czym prędzej poszedłem do swej celi, aby w modlitwie szukać odpowiedzi, co dalej czynić z tym, co usłyszałem. Duch Święty bowiem najprędzej w samotności i skupieniu ludzki umysł oświeca, a i człowiek najbliżej jest Boga, kiedy nikogo przy nim nie ma. – Zaplótł palce jak do modlitwy. – Zastanowiwszy się głęboko, postanowiłem dać wiarę w cudowne objawienie, jakiego doznał brat Jerzy. Jak bowiem już rzekłem, różne Stwórca ludziom daje znaki, więc ufność trzeba mieć w duszy, przyjmując je, a przy tym należną pokorę w sercu. Nie bez przyczyny musiało stać się to, co się Żeliborskiemu przytrafiło. Natychmiast wezwałem pachołka, krótki list do podstarościego<sup>154</sup> z Halicza napisałem i wysłałem sługę, aby czym prędzej go zaniósł. Dalej zaś prędko poszło. – Westchnął i pokiwał głową. – W Błudnikach i okolicy w istocie słudzy starosty znaleźli jakąś zimującą bandę, a pośród niej jej herszta. Bronili się łajdacy zażarcie, lecz w końcu ulegli. Wyłapano ich niczym wszy albo też na miejscu ubito. Schwytani, wskazali spośród siebie dowódcę, którego Kroguleckim zwali. Taką mi wieść po jakimś czasie przysłał pan podstarości halicki. Przyznam, iż ucieszyłem się niezmiernie, a we mnie na nowo odżyła nadzieja na odzyskanie datków, które jeszcze niedawno uważałem za całkiem stracone. Wielkie to bowiem dzieło świątynię wznieść i urządzić, a fundusze po śmierci pana Krasickiego, świeć Panie nad jego duszą, coraz trudniej przychodziło mi zdobywać. Uradowany, posłałem kolejne pismo do Halicza, w którym upraszałem o możliwość spotkania z owym łotrem, aby wyjawiał mi przed niechybną śmiercią z rąk kata, gdzie złoto i srebro ukrył, zbożną pokorą swą duszę przed wiekuistym potępieniem ratując. Mniemałem, że skoro Pan Bóg raz swą łaskę okazał, wydając złoczyńcę, i kolejny mój krok wspomże. – Pokręcił głową, wznosząc rozłożone dłonie. – Niezbadane są



jednak wyroki Opatrzności. – Czoło przeora zmarszczyło się, a krzaczaste brwi zawisły nad zmrużonymi oczami. Zbolałym głosem wyjaśnił: – Oto bowiem odmówił mej prośbie pan podstarości, pisząc, iż sam pan starosta Potocki pierwiej chce się z pojmanym rozmówić i do tego czasu zakazał komukolwiek się z nim widzieć. – Karmelicki opat machnął dłonią z rezygnacją. – Długo by mówić, u kogo interweniowałem i czyjej protekcji szukałem. Niewzruszony okazał się pan kasztelan kamieniecki<sup>155</sup> w swej decyzji. A ja zrozumiałem, iż skusiło go skryte przez Kroguleckiego bogactwo, bo innej przyczyny, sami to przyznacie waszmościowie... – łąpnął ku Murrayowi z Żegotą – ...znaleźć niepodobna. Dalsze wypadki utwierdziły mnie tylko w tym przekonaniu. Oto bowiem stracono wszystkich ujętych kamratów Kroguleckiego, jego samego, najbardziej winnego, oszczędzając. Tymczasem tyle skarg na owego łotra się zebrało i tyle żalów ludzkich ze wszystkich stron popłynęło, iż gdyby kat przez miesiąc co dzień mu łeb toporem odrąbywał, mało by było, aby wszystkie należne mu wyroki śmierci wypełnić. Niewzruszony jednak pozostał na to pan Stanisław Potocki, nakazując trzymać zbrodniarza w odosobnieniu na dnie lochów halickiego zamku, aby skruszał w cierpieniu. Nikomu do niego przystępu nie daje, łudzając się pewnie, iż zbój wyzna mu, co ze skarbem uczynił. Wszystko to zaś pod pozorem głębokiego rozpoznania sprawy i ustalenia, kim w istocie jest ów diabeł w ludzkiej skórze.

Nadolski i Murray ze zrozumieniem pokiwali głowami.

Prowincjał westchnął ciężko. Znów sięgnął po kielich, a ujrzawszy, że pusty, dolał sobie wina. Zmitygował się zaraz, dlatego obrzucił pytającym wzrokiem gości, lecz Szkot tylko głową pokręcił na znak grzecznej odmowy. Upił więc przeor wina, zwilżając gardło. Młasnawszy kilkakroć, zastanawiał się przez chwilę, aby wreszcie rzec:

– Rozumiecie tedy moje słowa, kiedy pytałem, czy aby to nie pan Potocki was przysłał. Sądzę bowiem, iż do dziś niczego się nie dowiedział i się niecierpliwi. A wiedząc, że to z ust jednego z tutejszych mnichów przyszła denuncjacja na Kroguleckiego, może szukać drogi do brata Jerzego. – Zawiesił na moment głos. – Przyznam, że i ja nie straciłem wiary w to, że może Bóg po raz wtóry przemówi ustami Żeliborskiego, widząc krzywdę, jaka się tutejszemu karmelowi dzieje. Ale coraz mniejsza we mnie ta wiara, szczególnie wobec tego, iż po owym pamiętnym ataku coraz bardziej jest brat Jerzy niesprawny na umyśle i coraz trudniej zrozumieć, o czym prawi. Raz rozogniony modli się żarliwie, innym razem płacze i wije się jak

obłąkany albo też na całe dni w jednej pozycji jak posąg zastyga. – Zerknął na Murraya. – Kiedy się ze swą prośbą zjawiłeś, synu, pomyślałem, że może pan starosta jakowąż sztuczkę szykuje, a ty nowego sobie protektora znalazłeś po śmierci Jego Eminencji biskupa. Udałem jednak, że nie wzbraniam wam rozmowy z Żeliborskim. Wybadałem jednakże, iż w Herburtowych dobrach na dzierżawie siedzisz, zatem na sługę pana Potockiego nie wyglądasz. Dlatego dziś, sam wiedziony nadzieją, że może coś da ta rozmowa, poszedłem z wami brata Jerzego posłuchać. Z jakim skutkiem.. – skinął zniechęcony ręką – ...sami widzicie. Bełkot to jeno, w którym żadnego ładu nie ma. A to mówi o kimś, co w snach do niego przychodzi, a to o jakiejś istocie, co go prześladowuje. Płacze modlitwy, raz w miłosierdzie boskie wierzy, a kiedy indziej ze strachem w kącie się skrywa. Nakazałem go zamkniętego w celi trzymać, albowiem tylko innych braci straszyl swym bezrozumnym gadaniem i uczynkami. – Odstawiwszy puchar ze stuknięciem, palcami przejechał po brodzie. Zmierzył przenikliwymi spojrzeniami swych gości, szczególnie Nadolskiemu się przyglądając. – Taaak... – mruknął przeciągle. – Ciebie, panie Murray, znam, boś biskupowi służył. Wiem, że różne rzeczy w jego imieniu załatwiałeś, o których pewnie lepiej cicho siedzieć. – Uniósł ręce, jakby zasłaniając się otwartymi dłońmi. – Wiem, wiem! Lepiej nie pytać i dociękać nie zamierzam. O to jednak chodzi, abys i mnie teraz przysługę wyświadczył... – Przerwał, powstając ze swego miejsca. Przeszedł się tam i z powrotem po komnacie. Pochylony, zadumał się, przytknąwszy do ust palec wskazujący. Długi czas minął, nim pokiwał głową do swoich myśli, odezwał się: – Mniemam, że nie porzucicie swej sprawy. To dobrze, bo wspólny interes nas łączy. Od Żeliborskiego niewiele się dowiedzieliście, ale ów Krogulecki... – zawiesił na sekundę głos, wbijając wzrok w Szkota – ...sam rozumiesz, że może wiedzieć, co z bratem Popiela się stało, albo też to on we własnej osobie. Czyż nie może tak być?

Murray nie odpowiedział, wiedząc, iż przeor wcale tego nie oczekuje. Jasno już pojął, jaki plan ojciec Stefan obmyślił, aby swojego dojść. Dalsze słowa opata potwierdziły to przypuszczenie:

– Mnie o odzyskanie zebranego na klasztor złota i srebra chodzi, wam zaś o zakończenie sprawy w tej tam Tarnawce. Ani ciebie, synu... – wskazał na oficera – ...ani tym bardziej ciebie... – przesunął palec na Żegotę – ...pan starosta ze mną w żaden sposób łączyć nie będzie. Może więc uda wam się to, czego ja dotychczas dokonać nie zdołałem. Porozmawiacie z owym zbójem zamkniętym w lochu

i wyciągnięcie z niego, gdzie skarb ukrył. Jak? Nie wnikiem, licząc na waćpana doświadczenie i rozum. – Uśmiechnął się cierpko, patrząc w oczy Murraya. – Tyle tylko chcę, abys mnie nie oszukał. Ja zaś odwdzięczyć się potrafię. Jak dobrze się acan sprawicie z przyjacielem, to na własność będziesz mógł sobie jakąś wieś kupić, a nie na dzierżawie siedzieć. A waćpan... – popatrzył ku Nadolskiemu – ...ze dwa takie przysiółki nabędziesz jak owa Tarnawka. Albo też o jakiś urząd intratny pomogę ci się wystarać. – Wciąż przyglądając się milczącym gościom, przysiadł na krawędzi stołu. – Więc jak, mości panowie? Rozumiecie, o co mi chodzi?

Popatrzyli po sobie Żegota z bezrękim oficerem. Wzruszył ramionami siwowłose szlachcic, na co uniósł kąciki ust dzierżawca Sikawca. Odwracając się ku opatowi, odpowiedział:

– Zaszczyt to byłby dla nas móc usłużyć waszej wielebności. Prawdę wasza miłość rzekłeś, że wspólny cel nas łączy. Tę jednak mam obawę, aby się przy okazji nie narazić na gniew pana Stanisława Potockiego.

– Twoja rzecz tak wszystko poprowadzić, abys w kłopoty nie wpadł, a przy okazji i mnie ich nie sprawił – przerwał ostro ojciec Stefan. – W żadnym też razie na wypadek problemów na moją osobę powoływać się nie zezwalam. Zresztą... – machnął ręką – ...tak czyn, jakbyś nadal arcybiskupowi służył, bo jedną on i ja mamy matkę, Kościół święty. Pobłogosławiłby Jego Eminencja Próchnicki zbożnemu celowi, gdyby żył, nie sądzisz?

– Zaiste – wycedził wolno Szkot, kłaniając się.

– Powtórzę więc moje pytanie. Czy jeśli dalej wam będzie ochota Kroguleckiego spotkać, przysięgacie wspomóc mnie w tej trudnej i delikatnej sprawie?

Odetchnął ciężko Murray, niby się zastanawiając, choć dawno już znał odpowiedź na pytanie karmelickiego prowincjała. Wreszcie rzekł, cedząc słowa:

– Jeśli Bóg da i radę jakąś znajdę, słowem ręcę, że o ojca sprawę zapytam. Mam jednak na względzie, że pan Potocki możny, a taki lada palców skinieniem na proch może człowieka zetrzeć. Narazić się więc ani ja, ani obecny tu pan Nadolski bez potrzeby nie zamierzamy.

– To się samo przez się rozumie – podchwycił zakonnik. – Ani myślę skłaniać waćpanów do zbędnego hazardu.

– Jak się czegoś dowiemy o zaginionych datkach na klasztor... – Murray nie pozwolił się wytrącić z rytmu wypowiedzi – ...wszystko najświętobliwszemu ojcu

powiem, niczego nie tając. Może Bóg pobłogosławi i skarb trafi tam, gdzie był przeznaczony. Jednakże... – przerwał na sekundę, spoglądając wręcz bezczelnie w oczy opata – ...i ja miałbym w takim razie prośbę do waszej miłości.

Twarz mnicha stężała. Głosem suchym niechętnie rzucił:

– Słucham więc.

– O list polecający do przeora dominikanów z Halicza chciałbym prosić, ażeby nam gościny udzielili.

– List? – Ojciec Stefan uniósł zdziwiony brwi.

– Tak – pospieszył Szkot z odpowiedzią. – Dla nas, ubogich, kosztowna to może być wyprawa, więc na gospodach przynajmniej oszczędzimy – wyjaśnił.

Opat zaśmiał się szczerze, albowiem spodziewał się, że czegoś więcej mogą chcieć jego goście jako zadatek za swą usługę. Natychmiast powrócił do stołu i sięgnął po papier i inkaust.

– Nic prostszego i chętnie spełnię twą prośbę, synu. Bylebyś tylko... – uniósł znacząco palec wskazujący – ...język za zębami trzymał przed dominikanami i ich gościny nie nadużył. Zresztą... – pochylił się nad stołem, wziął gęsie pióro i umoczył je w kałamarzu – ...sam pojmujesz, co wolno, a czego nie.

Przez chwilę się zastanowił, po czym skreślił kilka zdań. W zupełnej ciszy zazgrzytała ścięta dutka o papier.

Murray z Żegotą bez słowa przyglądali się, jak rozsypana z szelestem sól osusza inkaust. Potem, podgrzawszy lak, zakonnik starannie złożył i zapieczętował pismo swym pierścieniem. Uśmiechnąwszy się z zadowoleniem, powstał i podał nad stołem list.

– Trzymaj.

Niespiesznie podniósł się z miejsca szkocki oficer. Z wyrazem wdzięczności na twarzy odebrał papier, kłaniając się nisko. Złudne jednak było jego przyjazne oblicze, albowiem w głowie Murraya kłębiły się myśli, z których karmelicki prowincjał z pewnością nie byłby zadowolony. Wytrawny w knowaniach gracz osiągnął to, czego chciał, aby móc uczynić kolejny krok w sprawie obłożonego klątwą przyjaciela. Opat zaś nie wiedział, co w umyśle stojącego naprzeciw niego mężczyzny już przeradzało się w plan.

Do późnego wieczora rozmawiali ze sobą półgłosem trzej mężczyźni w karczmie na ulicy Wodnej. Nad ranem zaś, skoro tylko świt nastał, wyjechali z Przemyśla.

## ROZDZIAŁ XII

# ŚMIERĆ

Noc zapadła nad grodem. Ciemna, ponieważ gęste chmury zasłaniały i tak niewidoczny Księżyc w nowiu. Mróz stęzał, sprawiając, iż opustoszały ulice. Kto mógł, chronił się w ciepłej izbie domostwa lub gospody. Kto nie miał tyle szczęścia, szukał jakiegokolwiek kryjówki, uciekając przed przenikliwym zimnem wzmaganym przez wiatr świszczący pomiędzy miejskimi murami.

Jeszcze gdzieniegdzie nawoływali miejscy pachołcy do gaszenia ognia. Ich głosy dźwięcznie unosiły się w lodowatym powietrzu. Lecz i one w końcu ucichły. Miasto pograżyło się w ponurej, złowrogiej ciszy.

Na czarno odziana postać wolno szła wzdłuż murów miejskich, nie zważając na panujący mróz. Wydeptany śnieg cicho skrzypiał pod podeszwami butów. Poza tym nic nie zakłócało pozornego spokoju.

Mężczyzna doszedł do muru oddzielającego klasztor od reszty miasta i się zatrzymał. Przesunął dłonią po oszronionych ceglach, rozejrzał się w lewo i prawo, a potem uśmiechnął do swoich myśli. Spod głęboko naciągniętego kaptura na moment błysnęły czarne jak węgiel oczy.

Ostrożnie, bacząc, aby nie narobić hałasu, wyciągnął zza pazuchy linę zaopatrzoną w solidny hak owinięty szmatami. Lekkim ruchem przerzucił go przez przeszkodę, a potem pociągnął. Zadowolony z rezultatu, puścił luźno linę. Zatarł okryte rękawicami dłonie, zerknął w górę i mruknąwszy pod nosem jakieś brzmące z cudzoziemska przekleństwo, chwycił konopny splot. Sprawnie jako kot odbił się od ziemi i jął się wspinać po pionowej ścianie. Gdyby ktoś go widział w tej chwili, od razu poznałby, iż nie pierwszy raz musi pokonywać taką przeszkodę.

Stanąwszy na szczycie muru, ugiął natychmiast kolana i przygarbił się, aby nikt go nie dostrzegł na tle ośnieżonych dachów klasztoru. Ledwie spojrzął w dół, odczepił hak i zeskoczył na ziemię. Zamarł, kiedy rozległ się głuchy odgłos uderzających o kamienny bruk butów. Nic jednak się nie zdarzyło. Gęsta ciemność spowijała klasztorny dziedziniec. Zakonnicy dawno już spali, znużeni kolejnym dniem wypełnionym modlitwą i pracą.

Powoli zwinął linę i na powrót schował ją za pazuchę. Rozejrzał się, szukając wydeptanych przez mnichów w śniegu ścieżek. Dostrzegłszy najbliższą, ledwie dwa kroki od niego, zgrabnie przeskoczył na nią, po czym korzystając ze zdjętego na chwilę z ramion płaszcza, zatarł pozostawione przy murze ślady.

Pewnym krokiem przeszedł na tył klasztoru wprost do niewielkich drzwi prowadzących do kuchni. Musiał już wcześniej poznać teren, bo w jego ruchach nie było nic zbędnego. Przesunął się wzdłuż ściany budynku, przystanął, nasłuchując, a kiedy upewnił się, iż nic mu nie grozi, podszedł do kuchennego wejścia.

Rozległ się na ułamek sekundy zgaszony natychmiast dłonią brzęk metalu. Po nim zachrobotał zamek, zgrzytnął metal wytrychu o żelazo. Coś delikatnie stuknęło wewnątrz mechanizmu. Mężczyzna odetchnął, a z jego ust uniósł się kłęb pary.

Powoli, tak aby nie skrzypnęły, pociągnął za drzwi. Odsunął ich skrzydło nad wyraz lekko, tylko na tyle, by wemknąć się w ciemność przez niewielką szczelinę. Poczł zapach gotowanych w ciągu dnia potraw i ciepło wolno stygnącego pieca. Ostrożnie przymknął wejście, nieruchomiejąc pod ścianą. Stał tak kilka minut, przyzwyczajając oczy do mroku. Kiedy zaczął dostrzegać kontury stołów i szaf, wyciągnął przed siebie dłoń. Stawiając niewielkie, powolne kroki przeszedł wzdłuż ściany aż do kolejnych drzwi. Były otwarte.

Znalazł się w wąskim korytarzu bez okien, w którym polegać mógł jedynie na dotyku. Opuszkami palców wyczuwał chropowatą powierzchnię tynku, kiedy powoli przesunął się do przodu. Poczł ulgę, dotknąwszy okuć kolejnych drzwi. Był już prawie tam, gdzie pragnął.

Cał za całem popychał ciężkie skrzydło, tak aby nie uniósł się w znieruchomiałym powietrzu żaden dźwięk. Uspokajał oddech, wciąż przyspieszony od zdenerwowania. Choć w głębi ducha wiedział, iż nikt nie mógłby mu zagrozić, nie chciał, aby ktokolwiek go dostrzegł. Przez lata nauczył się, że im mniej dowiadują się o nim ludzie i im bardziej dba o tajemnicę, tym łatwiej wykonywać mu to, co kiedyś poprzysiągł. Mimo że nadal bawił go ludzki strach, nie oczekiwał go od innych niż ci, których mu wskazano. Reszta nie miała znaczenia.

Pusty korytarz był jaśniejszy od poprzedniego, zarówno z powodu bieli ścian, jak i nikłego światła płynącego z okien od strony wirydarza. Sklepiony łukowato, ten sam, którym dwa dni wcześniej przechodzili Murray z Nadolskim prowadzeni przez karmelickiego przeora.

Nocny gość powoli wysunął stopę, a potem jednym wężowym ruchem wysliznął się z ledwie tylko uchylonego wejścia. Natychmiast przywarł plecami do ściany. Wyteżył słuch tak bardzo, iż zdało mu się, że słyszy oddechy śpiących w pobliskich celach mnichów. Równe i spokojne, znamionujące głęboki sen. Uniósł jeden kącik ust w złośliwym uśmiechu, przymrużył oczy. Zachręściły drobiny piasku naniesionego butami na wypolerowaną posadzkę, ciszej niż odgłos przemykającej myszy. Ten dźwięk nie mógłby nikogo zaniepokoić, a tym bardziej zbudzić.

Przemknął na prawo, trzymając się ciemniejszej strony przejścia. Gdy dotarł do właściwych drzwi, serce zabiło mu mocniej. Poczł przyjemne pulsowanie w skroniach, ten moment radości przed czymś, czego się pragnie. Pozostało mu jeszcze tylko trzech do końca. Dziś będzie o jednego mniej. A wówczas przyjdą wytęskniony odpoczynek i wolność. Zmęczony długim życiem, niczego bardziej nie pragnął, niż znów stać się zwykłym człowiekiem.

Przejechał palcami po żelaznych wstęgach okuć i odnalazł zasuwę. Schwycił ją delikatnie i pociągnął. Nie drgnęła, więc poirytowany szarpnął mocniej. Tym razem przesunęła się z nieprzyjemnym zgrzytnięciem. Zastygł, rozzłoszczony własną niecierpliwością. Przyłgnął jak najbliżej drzwi, nieruchomiejąc. Nic się jednak nie wydarzyło. Klasztorna cisza aż dźwięczała mu w uszach. Odetchnął głęboko. Pokręciwszy głową, ostrożnie ponowił próbę. Powoli, bez żadnego odgłosu, przemieścił żelazną zasuwę. Klasztorna cela stała przed nim otworem.

Pociągnął za drzwi. Ustąpiły bezgłośnie. Owionął go nieprzyjemny, stęchły zapach niewietrzonego pomieszczenia, z wyraźnym odorem moczu i długo niemytego ludzkiego ciała. Był pewny, że tu trzymany jest ten, którego szuka.

Przekroczywszy próg, starannie zamknął za sobą drzwi, zachowując w tym podobną jak uprzednio ostrożność. Wsłuchał się w ciemność, wyłapując z niej nierówny, świszczący oddech przerywany czasem głośniejszym, gwałtownym chrapnięciem. Takim, jakie zwykle dokucza starcom, sprawiając wrażenie, jakby śpiący się dusił.

Ostrożnie, sprawdzając przed sobą przestrzeń wyciągniętą ręką, przeszedł kilka kroków w miejsce, gdzie spodziewał się znaleźć niewidoczne w mroku stolik i krzesło. Były tam, gdzie przypuszczał. Uśmiechając się pod nosem, ustawił prosty stołek z byle jakim oparciem naprzeciw pryczy, z której wciąż dolatywały go nieprzyjemne odgłosy śpiącego starca. Przysiadł powoli, krzywiąc się na

skrzypnięcie starego mebla. Śpiący mnich ucichł na moment, zamlaskał, obrócił się z szelestem, a potem znów zabrzmiał w ciemności świst jego zmęczonego oddechu.

Intruz westchnął głęboko i uniósł głowę, przymykając oczy. Nie wiedzieć czemu przez myśl przeleciały mu wspomnienia dawno utraconego życia. Odległe czasy, w których świat był zupełnie inny, a i ludzie także się różnili od tych teraz. Gdzieś tam, daleko, na skraju niezmiernego wtenczas oceanu. Poczł nagły, dojmujący smutek i bolesną tęsknotę. Walcząc ze słabością, przygryzł usta i mocno zacisnął pięści. Odemknął powieki, zdecydowanym ruchem zdejmując z głowy kaptur. Wymknęły się spod niego włosy zaplecione w warkocz. Archaiczną pamiątkę po czasach, w których jeszcze był kimś zupełnie innym niż teraz...

Zastygł, wpatrzony w ciemny kąt, pozwalając swej ofierze nacieszyć się jeszcze resztką niespokojnego snu. Wiedział, że zaraz się skończy. Tak było zawsze. Sama jego obecność wzbudzała niepokój w tych, których miał zabrać ze sobą. Wyczuwali go instynktownie, niczym czyhającego w ciemności drapieżcę.

Nie omylił się. Żeliborski zawiercił się na posłaniu, odchrząknął, głośno przełknął ślinę. Ucichł, więc znać było, że nie spał, wsłuchany w otaczającą go ciszę. Już wiedział najpewniej o tym, kto nadszedł, lecz jeszcze łudził się naiwną nadzieją. Przedłużał to, co było nieuniknione. Wreszcie, nie mogąc chyba znieść dojmującego napięcia, wycharczał szeptem:

– Kto tu?

Przybysz nie odpowiedział. Tkwiąc w bezruchu, jak wąż obezwładniał ofiarę spojrzeniem.

Zakonnik poruszył się gwałtownie. Dał się słyszeć odgłos uderzających o kamienną posadzkę bosych stóp, a po nim głośniejsze rzucone:

– Kto tu?!

– Ciiiiiii... – Mężczyzna siedzący na krześle odruchowo uniósł palec do ust. – Wiesz kto, panie Michale.

– Jezus Maria...! – Głos mnicha zdławił się na ostatnich zgłoskach, a z jego piersi wyrwało się żalosne łkanie.

Siedząca na krześle postać pochyliła się lekko w przód.

– Nie krzycz.

– Deus propitius esto mihi peccatori – wyjęczał karmelita. – Iesu Christe, Fili Dei Domine, miserere...156



– Świecę zapal – przerwał mu surowo gość.

Dreszcz wstrząsał starcem, który skulił się, lecz po chwili powstał posłusznie, nawet nie przywdziewając butów. Na bosaka, zgarbiony i z dłońmi wyciągniętymi przed siebie niczym ślepiec podszedł do stołu. Tam wymacał odłożone krzesiwo. Drżącymi palcami jął wypełniać polecenie, wciąż mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem. Po jakimś czasie zapłonął słabym światłem knot woskowej świecy, ledwie rozjaśniając mrok zakonnej celi. Wówczas przybysz w czerni polecił:

– Teraz siadaj.

Mnich pokornie wrócił na miejsce, kuląc się na skraju swego barłogu.

W mdłym blasku przyglądał się kat swej przyszłej ofierze. W jego oczach odbijał się migotliwy płomyk, dodając im jakiegoś niesamowitego wyrazu fascynacji pomieszanej z obrzydzeniem. Przed nim zaś siedział chudy, wyniszczony staruch, w niczym nieprzypominający dawnego watażki, który hulał kiedyś po Dzikich Polach, wzbudzając lęk swym imieniem. Resztki posklejanych brudem siwych włosów lepiły się do jego jajowatej głowy. Twarz pokrywała sieć głębokich, suchych zmarszczek. Tylko blizny bielejące grubszymi kreskami świadczyły, iż dawniej hardy musiał być ten człowiek. Teraz jednak pozostał z niego jedynie ludzki łachman. Złęczniony, przetrącony strachem, u kresu podłego żywota.

Długo w milczeniu wpatrywał się w zakonnika przybysz, sycąc się jego trwogą, nim w końcu wycedził:

– Pora na ciebie przyszła, panie Żeliborski. Czas dług oddać.

– Boże, wspomóż mnie, Boże, ochroń mnie... – rozległo się głośniejsze bełkotanie od strony posłania.

– Boga nie wzywaj, bo ci nie pomoże – warknął nocny gość, dodając złośliwie: – Co? Myślałeś, że łaskę sobie wymodlisz? – Prychnął wzgardliwie. Wyciągnąwszy przed siebie palec wskazujący, wysyczał: – Nie ma dla ciebie łaski, boś wybrał wtedy, tam, w jamie, swój los. Choćbyś i krzyżem leżał całymi dniami, spowiadał się tysiącokrotnie i komunię przyjmował, tyś mój!

– Domine salvum me...157

– Milcz! – To jedno słowo jak nożem uciął skończyło bełkot zakonnika. Zadrzał jeszcze mocniej, chlipnął, chwycił się dłońmi za głowę.

Siedzący mężczyzna niespiesznie sięgnął za swój szeroki, podszyty futrem czarny płaszcz. Wyciągnął konopną linę, która jeszcze niedawno posłużyła mu do pokonania

mur. Odmierzywszy starannie cztery łokcie, wziął nóż i odciął. Resztę zakończoną hakiem na powrót schował.

Bawiąc się oderzniętym kawałkiem, odchylił się na oparcie skrzypiącego krzesła. Powoli, z wprawą, jął przygotowywać pętlę, mówiąc:

– Koniec na ciebie przyszedł mości Żeliborski. Pierwej jednak, zanim sobie pętlę na szyję założysz, jedno mi powiedz... – Dłonie przybysza zamarły na moment, a oczy świdrowały zgarbionego na brzegu posłania mnicha. – Byli tu?

Zakonnik nie odpowiedział, zdając się nawet nie słyszeć pytania. Trąc dłońmi swą wyłysiałą czaszkę, płytko dyszał przez nos jak osaczone zwierzę. Odziany w czerń gość skrzywił się ze złością. Mrużąc oczy, powtórzył głośniej:

– Byli tu?!

– Chryste, zmiłuj się, Chryste, ulituj się...

– Mów, kurwi synu!

Głowa Żeliborskiego uniosła się, a powieki zapadłych oczu zatrzepotały w zdziwieniu.

– Na Boga... Kto?

Unoszące się kąciki ust przybysza odsłoniły biel jego drapieżnych zębów.

– Wiesz kto – wysyczał. – O tego siwego z blizną na gębie mi chodzi. Wiem, że od razu go poznałeś. Powiedziała mi, że kazała ci coś mu przekazać. Nie tak?

Mnich przełknął ślinę. Wydatna grdyka poruszyła się w górę i dół. Powoli skinął głową.

Kat szykujący stryczek uśmiechnął się jeszcze bardziej. Pochylając się nad swym dziełem, zapytał:

– Coś mu rzekł?

– Co ona w widzeniu kazała...

– O Kroguleckim? Tak?

– Boże, nie opuszczaj mnie, Boże, nie dręcz mnie... Ulituj się nade mną...

– Zamknij się z modłami i do rzeczy odpowiadaj! – Warknięcie znów przywołało do porządku kołyszającego się Żeliborskiego.

– O nim – wyjęczał. Schwyciwszy się na powrót za głowę, załkał. – Nie pamiętam... Co ona kazała... W głowie mąci...

Zaśmiał się cicho odziany w czerń przybysza. Zmrużywszy oczy, mruknął:

– Co? W snach przychodzi, dręczy, o grzechach ci przypomina? Tak?

Zakonnik padł na kolana, wznosząc ku sufitowi chude ramiona.

– Pater noster, qui es in caelis...158

– Dobrze już, dobrze... – Mężczyzna podniósł się z krzesła, z zadowoleniem przyglądając się ukończonej pętli.

W milczeniu przeszedł ku zakratowanemu okienku. Szarpnięciem sprawdził, czy aby żelazny pręt wytrzyma, po czym jął wiązać do niego koniec sznura. Nie odwracając się ku wzywającemu Boga Żeliborskiemu, rzucił:

– Sam to zrobisz czy mam ci pomóc?

– ...sed libera nos a malo...159

– Mówiłem ci, że na nic twoje modły. – Przybysz pociągnął linę, upewniając się, czy spełni swoje zadanie. – Chodź tu! – Wolno odwrócił się w stronę kulącego się na podłodze zakonnika. – No chodź! – powtórzył rozkazująco.

Polecenie nie przyniosło jednak skutku.

Westchnąwszy ciężko, podszedł do Żeliborskiego i stanął nad nim w lekkim rozkroku. Zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

– Albo z mojej łaski korzystaj, albo też inaczej się z tobą sprawię. Tak że przed śmiercią zaznasz mąk, jakich nawet sobie nie wyobrażasz. Tego chcesz?

Pochyliwszy się, złapał mocno za kaptur habitu. Szarpnął, łatwo ciskając wychudzonego starca wprost pod zwisający wzdłuż ściany stryczek.

– Zakładaj! – wycharczał groźnie.

Wsparty łokciami o posadzkę, z palcami zaplecionymi jak do modlitwy, Żeliborski bił głową o ziemię, łkając:

– ...mater Dei, ora pro nobis peccatoribus nunc et in hora mortis...160

Stojący mężczyzna zaklął cicho, po czym gwałtownym ruchem przystąpił do swej ofiary, schwycił resztki włosów na jej głowie i szarpnął, prostując bezwładne ze strachu ciało. Siłą powlókł mnicha pod ścianę, gdzie łatwo zarzucił mu pętlę na szyję. Złapawszy za supeł, zacisnął tak, aż zastygły ze świstem bełkotane przez Żeliborskiego słowa modlitwy.

Ofiara zamachała rękami, oczy wyszły jej z orbit, na skroniach żyły nabrzmiały pod cienką skórą. Odczekawszy chwilę, oprawca poluzował sznur.

– Tego chcesz?! – syknął wprost w ucho karmelity.

– Sub tuum praesidium...161

Lina znów zacisnęła się wokół szyi mnicha. Tym razem jeszcze mocniej niż uprzednio. Na dodatek kat zatkał jedną ręką starcze usta, kciuk drugiej wbijając tuż za ucho Żeliborskiego, w bolesne miejsce stawu żuchwy. Wił się w cierpieniu zakonnik, lecz nic nie mógł począć. Był zbyt słaby, aby się uwolnić.

Dobre pół minuty trwało, nim dręczyciel puścił ledwie przytomnego mnicha. Nie pozwolił mu jednak zawisnąć na pętli, podtrzymując go pod ramionami. Pochylony nad Żeliborskim, wycedził:

– Chcesz się tak bawić, mości panie? Śmiało! Wedle woli waszmości się stanie!

Starzec z trudem uniósł głowę, spoglądając wprost w oczy katującej go bestii. Po suchej twarzy ciekły mu łzy bólu i bezsilności. Na nic jednak zdał się błagalny wyraz jego twarzy i proszący wzrok. Zaśmiał się tylko cicho jego kat, szepcząc zjadliwie:

– Nad innymi nie miałeś litości, więc zmiłowania nie szukaj. Sam sobie jako karę śmierć zadaj za swe zbrodnie. Tyle tylko ode mnie możesz oczekiwać.

Kościste dłonie Żeliborskiego zacisnęły się w pięści. Ostatni raz w jego sercu odżyła iskra dawnej odwagi, a umysł zastygł w nagłym uspokojeniu, godząc się z losem. Powoli skinął głową stary watażka, przywołując w duchu dni dawnej chwały przed postawieniem ostatniego kroku na wyboistej drodze swojego żywota.

Miękkim ruchem odsunął trzymające go ręce oprawcy. Przytrzymał się ściany, wyprostował się na drżących od wysiłku nogach. Powiódł przytomnym wzrokiem dokoła, zatrzymując go w końcu na niezmienionej nic, znanej z przeszłości twarzy. Zadarł dumnie brodę, zaciskając wąskie usta. Trwał tak chwilę, a potem przeżegnał się szybko.

– Zmiłuj się nade mną, Panie, i wybacz mi moje grzechy – rzekł i opadł bezwładnie, poddając się śmierci.

Zacisnął się konopny sznur na wychudłej szyi. Z kącików ust zakonnika pociekła spieniona ślina. Zatrzepotał rękami, lecz nie schwycił pętli, zaciskając palce na brązowym płótnie znoszonego habitu. Siłą woli zgasił instynkt przetrwania. Aż zawisł bezwładnie, straciwszy przytomność.

Gasły powoli jego wyblakłe niebieskie oczy pod na wpół przymkniętymi powiekami. Zadrzało kilka sekund wychudłe ciało w przedśmiertnych spazmach. W końcu znieruchomiało na wieki.

Mężczyzna w czerni długo przyglądał się zwisającemu na sznurze starcowi. Nie czuł nic prócz zadowolenia z dobrze wykonanej pracy. Żadnego współczucia ni litości. Zbyt wiele śmierci zadał i widział, aby ta mogła nim wstrząsnąć.

Po kilku minutach podszedł do ciała i sprawdził puls mnicha. Z odrazą puścił bezwładną, martwą rękę. Dla pewności schwycił jeszcze głowę Żeliborskiego i gwałtownie przekręcił. Nieprzyjemnie chrupnął złamany kark. Broda zakonnika opadła na jego piersi jak u szmacianej lalki.

Łowca westchnął, w duchu radując się ciszą, która wokół niego nastąpiła. Męczyły go już mamrotanie ofiary i zbędne słowa. Teraz miał spokój. Przynajmniej z tym, gdyż czekało go jeszcze ostatnie zadanie.

Wzniósł oczy w górę, wyszeptał coś w swym ojczystym języku, zza płaszcza wyjął starą, wysłużoną sakwę. Ułożył ją starannie na podłodze naprzeciw dyndającego trupa, ukląkł, zaplótł palce złożonych na piersi dłoni. Przymknąwszy oczy, cicho wymówił słowa, których wiele, wiele lat temu nauczył go jego pan. Ten, który w zamian za życie wyznaczył mu do wypełnienia straszliwe zadanie, a teraz skryty w mroku, niewidzialny, mógł sycić się popełnioną w jego imieniu zbrodnią.

Dziwnie zakołysał się płomyk palącej się na stole świecy, by nagle zgasnąć, jakby zdmuchnięty zimnym powiewem. Zamilkł odziany w czerń przybysz, opuszczając pokornie głowę. Oto kolejna dusza trafiała na szalę wagi zbawienia.

Rankiem zapanował w klasztorze niezwykły w tych murach ruch. Szeptali między sobą krążący korytarzami mnisi, zegnali się co chwila i odmawiali półgłosem modlitwy. Co odważniejsi wazyli się nawet zajrzeć do celi, w której brat Jerzy odebrał sobie życie. Nikt nie chciał nawet dotknąć ciała skazanego na wiekiuste potępienie zakonnika. Dopiero wezwani przez ojca Stefana miejscy pachołcy odcięli trupa ze sznura. Patrzący na to przeor zastanawiał się w duchu, ile może być w tej śmierci jego winy, a jak dalece wynikała z szaleństwa Żeliborskiego. Będąc człowiekiem praktycznym, myślał też o tym, jak całą sprawę szybko zatuszować, aby nie rozniosła się wkoło ze szkodą dla przemyskiego karmelu.

## ROZDZIAŁ XIII

### UKŁAD

Pięć dni zajęło Żegocie, aby najpierw do Wygnanki wrócić, z żoną się rozmówić, Bejdę zabrać i do Beniowej dojechać. Tam czekali już na niego gotowi wyruszać Murray ze Stillerm. Tak się bowiem umówili, iż z administrowanego przez Niemca folwarku do Halicza ruszą, kierując się na Drohobycz i Żurawno. Nie była to najłatwiejsza droga, szczególnie zimową porą, ale z pewnością najszybsza.

Od razu wyjechali, gdy się tylko zjawił Nadolski, aby czym prędzej odnaleźć Camerona i się z nim ułożyć. Wspólny bowiem łączył ich cel w osobie Kroguleckiego, choć z pewnością inne co do owego łotra mieli plany.

Prawie trzy dni zajęła podróżnym wędrówka. Mróz tęgi był, śniegi głębokie, a trakty opustoszałe. Nawet w dzień widziało się krążące skrajami lasów wilki, tylko czyhające na swe ofiary, nie mówiąc o śladach watah co rusz przecinających drogi. Tylko w większych gromadach ważyli się teraz ludzie w podróż udawać, a i przy tym trzeba było pilnować się przy popasach, gdyż wygłodniałe zwierzęta czaiły się i blisko postojów podchodziły. Szczęściem w karczmach łatwo było o gościnę, gdyż nie mieli szynkarze ruchu o tej porze roku.

Zmęczeni i zmarznięci, odwykli bowiem od niewygód, z ulgą dotarli wreszcie czterej wędrowcy do murów miasta nad Dniestrem, srodze doświadczanego przy wszelkich najazdach ze wschodu. Nieraz Tatarzy podgrodzia albo i sam gród palili, niszcząc wszystko, czego wziąć ze sobą nie mogli, jak to w zwyczaju mieli. Podnosił się Halicz za każdym razem z tych napaści, jeszcze silniejszy niż uprzednio. Dbali bowiem starostowie o zamek, a mieszczanie o mury, świadomi, że tędy idzie gros handlu i tu pieniądz duży łatwo zdobyć można. Ryzyko zaś czymś zwykłym jawiło się na tych ziemiach, jednym stokroć nagradzając hazard, innym zaś odbierając wszystko.

Zdrożeni wędrowcy zatrzymali się na noc w gospodzie pod miastem, nie korzystając jeszcze z danego przez przeora listu do dominikanów. Wcześniej bowiem chciał Murray się ze swoim krajanem spotkać, aby mu przedłożyć pewien

plan, który zrodził mu się w głowie jeszcze w karmelickim klasztorze w Przemyślu. Bez pomocy dawnego kamrata byłby on trudny do zrealizowania.

Ledwie świt wstał, rozjechali się wszyscy, aby o Camerona wypytać, mniemając, iż z racji olbrzymiej postury Szkota łatwo będzie znaleźć dzięki tym, co go widzieli. Zadbał jednak wielkolud o siebie, ponieważ gdy spotkali się około południa w gospodzie, żaden z ich czwórki nie miał wieści o najemniku i jego kompanach.

Przyznać musiał Nadolski, iż w istocie cicho swoje sprawy lubił załatwiać dawny elear162, albo z dala od miasta się trzymał, albo miał taką kwaterę, gdzie nikt zbytnio się nim nie interesował. Nowy to był kłopot, toteż zmarkotniał Murray, który głowił się, jak rzeczy zaradzić. Czas zaś naglił, szczególnie iż o Kroguleckim po szynkach gadano, że tylko patrzeć, jak każe mu pan Potocki na rynku łeb uciąć. Ta najbardziej wiarygodna ze wszystkich pogłosek się zdawała, bo najdziwniejszych też innych plotek o rozbójniku dowiedzieli się oficerowie i szlachcic owego przedpołudnia. Jako pewne powiadali jedni, iż duszę diabłu zbój zaprzedał, inni zaś dowodzili, że on sam jest diabłem wcielonym, z racji czego nie wiadomo, jak mu śmierć zadać, stąd w lochu jest trzymany od roku. Ponoć widziano, że od dominikanów na zamek często mnichów posyłano, a wiadomo, że zakon ten do walki z herezją i złem wszelakim został powołany. Byli nawet tacy, którzy zaklinali się, że we Lwowie sam arcybiskup zastanawia się, co począć, i do Rzymu posłał, dlatego starosta halicki nic uczynić nie może, póki odpowiedź nie nadejdzie. Brednie to najzwyczajniejsze były, jakich zwykle pełno po gospodach opowiadano, ale też dowodziły, iż głośna jest w Haliczu sprawa pojmanego złoczyńcy. Skwitował to Stiller zgryźliwie, mówiąc, iż zimową porą nudno wszystkim, więc bajdy plotą, a najchętniej rozweseliliby się, oglądając egzekucję na rynku.

Po południu pojechali Bejda z Żegotą po okolicznych wsiach się rozpytać, z kolei Niemiec ze Szkotem znów do miasta poszli, aby po kolejnych gospodach się rozejrzeć. Musiał wszak Cameron już ładnych parę dni wedle Halicza się kręcić i niepodobna było, aby nikt niczego nie wiedział. Nawet zrodziło się w głowie Murraya przypuszczenie, że może skłamał w Wygnance jego druh pani Podhoreckiej albo też sprawę odpuścił z racji uwięzienia Kroguleckiego w zamkowym lochu. Nie powiedział jednak tego głośno, aby znów Saksończyk nie popadł w ponury nastrój, ledwie co nowymi zajęciami odegnany. Tym bardziej że Stiller kaszleć sucho począł i ochrypl, przez co w jeszcze gorszym był nastroju niż w Przemyślu.

Tymczasem Nadolski, objechawszy wsie Kozina i Kryłos, wieczorem podjechał z Tatarem do osady zwanej Szewczenkowe, która się rozpościerała niedaleko od miejsca, gdzie Łomnica do Dniestru wpada. Wieś otaczała kościół i klasztor franciszkański, wzniesiony staraniem jeszcze arcybiskupa Solikowskiego<sup>163</sup>. Dawniej była tu cerkiew prawosławna, która jednak opustoszała i porzucona została, więc katolicy ze czterdzieści lat temu ją zajęli.

Ściemniało się już, toteż postanowił szlachcic na miejscu zanocować, aby po ciemnicy się nie błąkać. Zresztą dość było gościny we wsi, która na równi z pielgrzymów do klasztoru ciągnących żyła, jak z ziemi. Szczególnie na Świętego Stanisława pątnicy tutaj ciągnęli, od czego i osadę czasem Świętym Stanisławem zwano.

Znalazłszy niewielką gospodę nad potokiem, wysłał Nadolski Bejdę, aby się końmi zajął i schronienie im znalazł, sam zaś, wygłodniały, zasiadł przy stole, ciesząc się ciepłem nagrzanego od pieca izby. Od razu zjawił się przy nim szynkarz, przywieziony bogatszym niż u innych gości strojem i szlacheckim kołpakiem. Kłaniając się nisko, popędził dziewczkę służebną, aby czym prędzej jasnemu panu usłużyła grzaniem piwem, sam zaś zachwalać zaczął ryby, które jakoby jeszcze tego dnia w Dniestrze pływały. Nie miłował się Żegota w takich potrawach, ale łaskawie zgodził się poprobować, byleby prędko mu jeść dano. Zawinał się więc gospodarz szybko, aż nazbyt jak na to, żeby zdążyć potrawę przyrządzić, co jasnym było znakiem, że chyba sandacz na półmisku trochę więcej miał niż jeden dzień. Tak i z jego zapachu wniósł Żegota, ale nosem nie kręcił, tylko zaraz zabrał się do jedzenia. Po chwili ośnieżony Bejda próg przekroczył, z czego zrobiło się nieco zamieszania z racji jego tatarskiej gęby i przyodziewku. Zaraz Nadolski na to zaradził, wstając i mocnym głosem oznajmiając, że pohaniec jest jego sługą. Uspokoilo się, ale goście łypali złowrogo na Azjatę, bo też wszyscy w pamięci mieli najazdy czambułów i każdy znał kogoś albo nawet krewnym był takiego, co w niewolę na zawsze poszedł. Nie dziwota tedy, iż nienawiścią pałali do takich, których z wyglądu zaraz za szpiegów tatarskich uznawali.

Zasiadł milczący sługa u stołu, wcale się o zgodę pańską nie pytając. Nawet nie zwrócił na to uwagi Żegota, który znał obyczaje Tatara. Zamówił dla niego kaszy, wyraźnie przykazując, aby słoniną jej nie okraszać, tylko do niej w dzbanku mleka dać, najlepiej zsiadłego. Gospodarz mniej już chętnie, a nawet łypiąc złowrogo, podał jeść Bejdzie, coś tam nieprzyjemnego mrużąc pod nosem. Najpewniej życzył,



aby się jedzeniem poganin udławił, ale bez skutku najwyraźniej, jako że ochotnie zabrał się pachołek do jedzenia i bez trudu przełykał pełne łyżki. Uśmiechał się przy tym radośnie, jakby nie rozumiejąc niechętnych spojrzeń rzuconych w jego kierunku.

Kiedy w końcu Żegota zaspokoił pierwszy głód, rozejrzał się po sali, czy aby kogo znajomego nie dostrzeże, z kim mógłby pogadać, żeby wypytać go o rudobrodego wielkoluda. Niewielu było jednak gości w oberży, w większości jakichś chłopów albo co najwyżej łyków. Do takich nie wypadało nawet ust otwierać, chyba że z rozkazaniem. Westchnął więc szlachcic ciężko, gestem przywołał służkę i kolejnego kufla grzanego piwa zażądał. Potem popatrzył na pałaszującego kaszę Tatara i brwi zmarszczył, pomyślawszy, że Semko bardziej byłby teraz przydatny. Już pewnie zakręciłby się wokół dziewczek, dowiadując się, czego trzeba albo i nie trzeba. Bejda zaś ani do rozmowy się nie nadawał, ani też swym płaskim obliczem i skośnymi oczami sympatii nie wzbudzał. Inna sprawa, jakby oprawić kogo trzeba było albo też po cichu jaką sprawę załatwić, jak niegdyś z Trofanem Skórą, wtedy śmiało można mu było zaufać, chociaż do zabicia nieprawego dzierżawcy Włynanki nigdy się pohaniec nie przyznał.

Napiwszy się, przywołał Żegota gospodarza, wysupłał zza pasa kilka monet, wcisnął mu w rękę i zagadnął:

– Pusto tu u was.

Chudy karczmarz, przyjrząwszy się monetom, tylko wzruszył ramionami, nie bardzo widać mając ochotę na takie pogawędki.

– Pusto. Zima przecie – mruknął zdawkowo, wsypując zapłatę do sakiewki.

Niezrażony Żegota pociągnął jednak:

– Do klasztoru ludzie nie jadą?

– Na Świętego Stanisława najwięcej. W maju. Teraz zamróz, to komu po śniegu wędrować? Na wiosnę to się nie można wcisnąć między ludzi, taki tłum do kościoła zmierza...

Wolnym ruchem Nadolski wyciągnął srebrnego trojaka. Niby to bawiąc się nim, zapytał:

– A jakich szlachciców ostatnio tu nie było?

Chudy oberżysta zamarł, utkwivszy wzrok w palcach gościa obracających pieniądź. Dobrze znał zasady gry, którą rozpoczął siwowłosy nieznajomy. Dlatego ostrożnie odpowiedział:

– Czasem kto przyjeżdża. Najwięcej tacy, co o Babeja zagadują.

– Babeja? – Żegota drgnął, usłyszawszy znane sobie imię sławnego baczy.

Nie uszło to uwagi karczmarza, który uznał, że i siwemu szlachcicowi o ponurej gębie poznaczonej bliznami może o czarownika chodzić, choć dookoła pyta. Dlatego, uśmiechnąwszy się szelmowsko, pochylił się i zniżył głos:

– Od jesieni siedzi we wsi i pije na umór.

– Pije? – zdziwił się Nadolski, udając zaciekawienie.

– A tak! – Gospodarz przysiadł na skraju ławy, z odrazą zerkając na Tatara. – U mnie był jeszcze dwie niedziele temu, ale awanturować się zaczął, to pogoniłem starego.

– I nie baliście się? – przygadał zgryźliwie Żegota, mrużąc oko.

– Czego tu się teraz bać? – Oberżysta zaśmiał się głośno. – Dziad to teraz tylko, nikt więcej! Całą dawną moc utracił! Chciwość go zgubiła! Ot co!

– Chciwość? – powtórzył pytająco szlachcic.

Karczmarz pochylił się konfidencjonalnie nad stołem.

– Sam to mówi, że dał się omamić złemu, dlatego pije. Powiada, że upiór złotem mu w oczy zaświecił, aby go nie gubił, i się skusił. A rano miast trzosa z dukatami kamienie tylko znalazł<sup>164</sup>. Od tej pory już żaden diabeł się go nie boi.

Pokiwał głową Nadolski, przesuwając trojaka po stole w kierunku oberżysty. Ten wprawnie schwycił monetę i od razu schował ją w kieszeni fartucha. Zadowolony, dodał szeptem:

– Jakby wielmożny pan życzył, to zaraz go każę znaleźć. Pewnie u rybaków teraz pije, bo w sam raz mu takie łajdackie towarzystwo. Samemu lepiej nad rzekę nie iść po ciemnicy. Niejednego, co zbytnio ciekawy, potem z wody wyłowili. Teraz jeszcze gorzej zaglądać do nich, bo ponoć kamratów goszczą.

Żegota uśmiechnął się i wyłuskał kolejną monetę. Trzymając ją pomiędzy palcami, stuknął kilkakroć jej brzegiem o stół. Wzrok karczmarza wędrował w górę i w dół za kawałkiem srebra, jasno dowodząc, że nieobcy jest szynkarzowi grzech, który przed chwilą baczy zarzucił. Oblizując usta, wycedził gospodarz:

– To jak? Posłać kogo, żeby go wezwał?

Szlachcic lekko przekrzywił głowę. Nie wypuszczając pieniądza, zapytał:

– A kto to ci rybacy, o których powiadasz?

Karczmarz się skrzywił, nerwowo zawierciwszy się na krześle. Łypnąwszy w lewo i w prawo, mruknął cicho:

– Mają chałupę nad rzeką, co w niej flisacy nocują. Niechętni innym gościom, swoich interesów pilnują. Obwiesie sami. Przewodzi im Waśko. Mówią, że dawniej czeladnikiem katowskim był we Lwowie czy gdzie tam..

– I mówisz, że gości mają... – drażył Nadolski. Pokiwawszy głową, zerknął spode łba. – A jakich to gości? Nie wiesz aby?

Dla podkreślenia wagi pytania Żegota przesunął po stole trojaka, przyciskając go do blatu palcem wskazującym.

Podrapał się szynkarz po skudłanej głowie, wargi przygryzł, aż w końcu z oporem odpowiedział:

– Takich, co lepiej o nich nie gadać ani nie wiedzieć. Na miejscu siedzą, tylko czasem jakiś konny gdzieś odjeżdża. Po wojskowemu ubrani, ale żadni to żołnierze. Banda jakaś, o której dobrze by panu podstarościeму Bydłowskiemu<sup>165</sup> donieść.

– I doniosłeś? – Żegota zmrużył oczy.

– Boże broń! – zaprotestował oberżysta, zasłaniając się dłońmi gwałtownie. Uśmiechając się głupawo, dodał: – Ani mi we łbie, jasny panie, takie psoty. Tak tylko rzekłem... Pan podstarości na zamku, a my tutaj. Po co mi głowy nadstawiać? – Przechylając się ku szlachcicowi, wyjaśnił: – O to mi idzie, aby wielmożny pan wiedział i nad Dniestr nie zajeżdżał. Nie lubią tam obcego towarzystwa.

Wyszczrzył Nadolski zęby w nieszczerym uśmiechu i puścił trzymaną pod palcem monetę.

Jednym ruchem zwinął ją chudy gospodarz, kłaniając się przy tym nisko. Uniósłszy wzrok, powtórzył pytanie:

– To jak? Każe szlachetny pan Babeja poszukać?

– Nie trzeba. – Żegota machnął ręką, odchylając się na ławie i opierając o ścianę gospody. – Jakby co, dam ci znać. A teraz każ mi jeszcze miodu dać, a jemu... – ruchem głowy wskazał Tatara – ...jakiego kapłona upiecz.

Zmarszczywszy nos i rzuciwszy kolejne piorunujące spojrzenie na Bejdę, karczmarz wstał. Niby to do siebie, ale tak aby słyszał Nadolski, mruknął pod nosem:

– Weźmie się bisurmana na służę, a ten nocą łeb urzezać gotowy. I jeszcze karm takiego człowieka u samych wrót świętego przybytku! Tfu! – Splunął ostentacyjnie,

odwracając się na pięcie.

Nic nie rzekł na to Nadolski, patrząc tylko wzgardliwie na odchodzącego karczmarza. Innymi myślami miał już głowę zajętą, a rosła w nim nadzieja, iż znalazł w końcu to, czego szukał.

Posiedzieli jeszcze z godzinę szlachcic z Azjata w izbie jadalnej, a potem na spoczynek się udali. Tatar do stajni, aby przy koniach czuwać, Żegota zaś znalazł kąć na poddaszu gospody, który oberżysta przedstawił mu jako najwygodniejszy i najcichszy w całym domostwie. Nie wyspał się jednak siwy gość należycie przez pluskwy, które go całą noc męczyły. Nie dziwota tedy, że rankiem wstał zupełnie nie w humorze, czemu dawał wyraz nagłym powarkiwaniem na Bejdę. Sługa bez specjalnego wrażenia znosił tę pańską złość, jak zawsze milczący i obojętny.

Oporządziwszy się, zamiast w kierunku grodu, pojechali wzdłuż Łomnicy ku Dniestrowi, odprowadzani wzrokiem zaskoczonego i nieco przestraszonego oberżysty. Musiał obawiać się chudy karczmarz, czy aby posepny szlachcic nie jest kompanem ludzi bawiących u rybaków. Starał się sobie przypomnieć, co rzekł wieczorem i jaki kłopot może z tego być. Sapał wreszcie ciężko, za drzwi poszedł i, jak to zwykle bywa, na krzątającej się po izbie służce gniew swój i strach wyładował, zdzieliwszy ją parokroć po twarzy niby za źle wykonaną robotę.

Nadolski jechał niespiesznie przez śnieg, przyglądając się zimowemu krajobrazowi nabrzeża. Zmarznięte trzciny przysypane białym puchem, wyschnięte i połamane, ciągnęły się wzdłuż skutej lodem Łomnicy, przechodząc dalej, ku Dniestrowi, w puste łąchy zmarzniętego piachu. Skuta lodem woda szeptała gdzieś pod nim swoją odwieczną pieśń, dając ledwie słyszalnym odgłosem znak, iż życie wciąż tli się pod zimową martwością. Trzeszczał naprężony siłą dniestrowego nurtu całun, mocując się z rzeką, nieświadomy, że i on musi przeminąć jak wszystko. Poddać się rytmowi natury złożonemu z nieskończonego łańcucha rozstań i powrotów, śmierci i odrodzenia.

Siedzący w siodle Żegota rozbudził się już całkiem od szczypiącego w twarz mrozu. Przeszła mu złość, a w sercu odżyła silna tęsknota za Maćkiem i Agnieszką. Najtrudniej bowiem jest człowiekowi przez kilka dni od odjazdu z domostwa, kiedy wciąż żywe są jeszcze wspomnienia i obrazy bliskich. Najbardziej wtedy chce się do siebie wracać. Siłą woli zdusił jednak w sobie szlachcic tę myśl, świadomy, że nie za pustą przygodą, ale dla ratowania przyjaciela tu przyjechał. To samo zresztą rzekła mu żona, kiedy przed odjazdem długo wieczorem ze sobą gadali. Przypomniał

sobie jej słowa, że są takie obowiązki człowieka, dla których musi czasem z własnej wygody i radości zrezygnować, wśród innych bowiem żyje i dla innych. Nikt nie jest samotnym drzewem na pustkowiu, bo choćby nawet chciał, zawsze w jego myślach będą jacyś ludzie, a wszelkie tęsknoty człowieka odnoszą się do innego człowieka. Najważniejsze zaś, co pomiędzy ludźmi istnieje, to miłość i przyjaźń, którym całe życie trzeba służyć. Zaiste, przyznał w duchu Żegota, mądrą miał żonę, która zgrabnie w słowa potrafiła ubrać to, co czuł, lecz czego nie potrafił czasami wyrazić.

Brzeg Dniestru, płaski i monotony u ujścia Łomnicy, znaczony był gdzieniegdzie zasypianymi śniegiem rybackimi chatami, przy których smętnie zwisały teraz zamarznęte niewody. Ubogie obejścia, załośnie nieuporządkowane, świadczyły, iż nie ma zimą roboty dla ich właścicieli. Ot, czasem przerębem wyrąbać i szczęścia popróbować, nic więcej. Bieda z każdego kąta wyglądała, poświadczona tym, iż dym unosił się z dwóch czy trzech kominów.

Dalej jednak, w kierunku grodu, stało gospodarstwo znaczniejsze od innych. Świadczyły o tym i pokaźna chałupa, i płot wystawiony dokoła, a także zaśnieżony pomost ciągnący się od niej ku rzece na kilkadziesiąt kroków. Leżały teraz na nim poodwracane do góry dnami dłubanki, czekając z utęsknieniem na nadejście wiosny.

Nikt nie kręcił się po podwórzu. Nawet śnieg ledwie był wydeptany. Musieli jednak siedzieć w środku chaty ludzie, skoro płynął z komina szarawy obłoczek, a pośród zabudowań błąkały się oswiałe kury, szukając na ziemi posypanego im ziarna. Zresztą im bliżej był Nadolski z Tatarem zagrody, tym wyraźniej słyszał od czasu do czasu urwane rzenie zamkniętych w stajni koni. Czekwały widać na poranną paszę, niecierpliwiąc się.

Zaszczekały psy, które pojawiły się zupełnie znienacka, aż szarpnął się pod Żegotą przestraszony wierzchowiec. Uspokoił go, ściągając wodze i klepiąc po szyi. Przystanąwszy wedle płotu, rozejrzał się zaciekawiony, wzrokiem szukając kogokolwiek, do kogo mógłby się odezwać.

Długo musiał czekać, nim ujadanie wyciągnęło wreszcie kogoś z obszernej chałupy. Zaskrzypiały niskie drzwi, buchnęło parą z nagrzanego pomieszczenia i pojawił się zakutany w kozuch chłop, z czapą tak nisko nasuniętą, że nijak gęby nie można było zobaczyć. Staął, w milczeniu lustrując stojących za ogrodzeniem przyjezdnych. Niechętnie odwołał psy, a potem jał dalej przyglądać się obcym

z zawartą gębą. Chcąc nie chcąc, musiał się pierwszy odezwać Nadolski wobec przedłużającego się milczenia.

– Niech będzie pochwalony, gospodarzu! – rzucił.

– Na wieki wieków.

– Zagrzać się u was można?

Chłop przestąpił z nogi na nogę, wzruszył ramionami, a potem, wskazując na lewo, burknął:

– Karczmy poszukajcie!

– W karczmie do was mnie posłali. Ponoć u was Babej siedzi.

Postać w kozuchu nerwowo odwróciła się w kierunku drzwi. Mruknąwszy pod nosem, najpewniej jakieś przekleństwo, podszedł w końcu bliżej wieśniak, zadzierając swą zarośniętą gębę ku przyjezdnym.

– Siedział, ale precz polazł. Nie ma go u mnie.

– A wiecie może dokąd?

– Diabeł go wie, pijanicę. Gdzie indziej szukajcie.

– Aaa... – Nadolski pokiwał głową niby ze zrozumieniem. Wbrew jednak temu gestowi odwrócił kona i jadąc z wolna wzdłuż płotu, skierował się ku ledwie zastawionej belką otwartej bramie.

Zza pleców doleciało go głośniejsze:

– Powiadam, że u mnie Babeja nie ma! Z Bogiem jedźcie!

– Mróz tęgi! Pod dach nie wpuścicie?!

Chłop prędkim krokiem przeszedł ku bramie, stając naprzeciw Nadolskiego. Znów zerknął ku chacie, jakby stamtąd spodziewając się pomocy. Nikt jednak nie przyszedł mu w sukurs, dlatego splunąwszy na śnieg, siląc się na spokój, odparł:

– Choroba u mnie w chałupie. Dlatego pod dach nie proszę.

– Choroba, powiadacie... – Żegota znów pokiwał głową i poczekał, aż Bejda przy nim stanie. – Mnie tam niestraszna, bom na kość wymarzę. No, nie po chrześcijańsku tak nas na zimnie trzymać. Wszak bogobojny chyba z was człek, nieprawdaż? Jakże to zdrożonym gościny odmówić?

– Powiadam, że w gospodzie lepiej wam będzie – wycodził ponuro gospodarz, tak że jasne było, iż gości żadnych sobie nie życzy.

Nie zważając na to, Nadolski nagle dźgnął konia ostrogami. Przysiadłszy na tylnych nogach, wierzchowiec lekko przeskoczył nad ośnieżoną belką. Zakręcił nim Żegota, uspokajając zwierzę. Uniósł się na chwilę tuman zmrożonego śniegu dokoła. Potem Nadolski przystanął tak, iż pysk zwierzęcia ledwie kilka cali dzieliło od wieśniaka.

– To jak będzie? – zapytał szlachcic, pochylając się w siodle.

Nawet nie zdążył się wyprostować, kiedy drzwi chałupy otwały się gwałtownie. Wszedł z nich jakiś człowiek okryty delią, z szablą brzęczącą u boku. Przeszedłszy kilka kroków, stanął, ujął się pod boki i warknął nieprzyjaznym głosem:

– Czego tu?!

Powoli odwrócił się ku niemu Żegota, spokojnym ruchem zdejmując z głowy kołpak. Uśmiechnął się, wiedząc już, z kim ma do czynienia. Skłoniwszy się, zawołał wesoło:

– Tak to mnie witacie, panie Błudnicki?

Bez trudu bowiem poznał siwowłosa szlachcic jednego z kompanów Camerona, z którym tego przepijał w Grędówce.

Aż podskoczył stojący na podwórzu lisowczyk, zamachawszy przy tym rękami. Zaśmiał się serdecznie, odwzajemniając ukłon. Podbiegł bliżej i zawołał, zadzierając głowę:

– Toż to pan Nadolski z Wygnanki! Na Boga, a cóż tu waszmości przygnało?!

Zeskoczył z siodła niespodziewany przybysz i niemal natychmiast wpadł w ramiona ucieszonego znajomka.

Ogłupiały nagłym zdarzeniem chłop się cofnął, przyglądając się z rozdziawioną gębą, jak z chaty wysypują się kolejni goście i ściskają siwowłosego nieznajomego, pokrzykując przy tym wesoło. Odetchnął w końcu z ulgą, albowiem przed chwilą jeszcze kłął w duchu, że pewnie przyjdzie mu przerębel na Dniestrze wycinać, aby trupy pod lodem spławić. Nie lubił takiej roboty na mrozie, bo płuca mu ostatnimi czasy szwankowały.

Wszedł wreszcie olbrzymi rudzielec z domostwa, tak samo jak inni uśmiechnięty. Wyściskał Żegotę niczym niedźwiedź, aż kości chrupnęły siwemu szlachcicowi. Prędko też ogarnął całą kompanię, nakazując im do chałupy wracać, Bejdzie zaś pokazał, gdzie konia ma prowadzić, przykazując zarośniętemu chłopu, aby dla Tatara miejsce jakie na odpoczynek znalazł i strawy mu dał.

Spore było zamieszanie, nim w końcu zdołał rozdziać się Nadolski i zasiąść przy stole. Zasypywany pytaniami, śmiał się wciąż, żartując, ale ku Cameronowi co chwila spojrzenie obracał. Szkot zaś, mimo że wesół, podejrzliwie ku niemu łypał. Kilkakrotnie tak wzrokiem się zmierzli, jasno dając wyraz, że na osobności należałoby się rozmówić i rzecz wyjaśnić. Na razie jednak na stole pojawiło się jadło, ale ku zdziwieniu Żegoty bez żadnych trunków do popicia. Jeny mleko i kwas w dzbanach stały. Zaraz też objaśnił mu Błudnicki, iż Szkot nawet piwa zakazał, gdyż tej reguły się trzyma, że na wyprawach trzeźwy każdy być musi, a komu się to nie podoba, droga wolna.

Z godzinę trwała biesiada, radosna, mimo że o suchym pysku. Wynudzeni setnie byli dawni lisowczycy, jako że od kilku dni jedynie siedzieli w chałupie, nie wiadomo na co czekając. Dlatego bardzo ucieszyło ich zjawienie się Nadolskiego przerywające codzienną monotonię. Coś tam, jak szeptali w ucho Żegocie, planował Ronan, ale z niczym się jeszcze nie zdradzał. Cniło się wojakom za swobodą, bo jak za karę w wieży zamknięci się czuli.

Zabrał w końcu wielkolud niespodziewanego gościa od stołu i poprowadził ku swojej izbie. Uśmiechał się przy tym, z kompanami przygadywał, ale znać było, że cisną mu się na usta pytania. Także Żegota rad był, że wreszcie po przyjaciół będzie mógł posłać, oznajmiając im radosną nowinę.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi niewielkiego pokoiku, w którym zakwaterował się Cameron, jak ręką odjął zgasł uśmiech na jego twarzy.

Gestem wskazał Nadolskiemu, aby przysiadł na zasłanym skórami posłaniu, a sam przeszedł się nerwowo tam i z powrotem. Na koniec spojrzał na szlachcica.

– Mów acan. Za czym przyjechałeś?

– Pozwól mi po Williama i Wenera posłać. We czterech lepiej się rozmówimy.

– Oni też? – Szkot sapnął, unosząc krzaczaste brwi.

Pomilczawszy przez chwilę, przysiadł na zydelku, który przy jego posturze wyglądał jak dla dziecka zrobiony.

– Zanim pošlesz, jedno mi powiedz. Co cię tu przywiodło?

– Z Kroguleckim mamy potrzebę się rozmówić.

Przez twarz Camerona przebiegł nieprzyjemny grymas. Odchyliwszy się, ułożył swe wielkie łapska na kolanach, cedząc:



– Nie spodziewałem się, mości Żegota, że i was złoto tego obwiesia omami. Nie spodziewałem się...

Zawiesił głos, wbijając zmrużone oczy w siedzącego szlachcica. Ten jednak wcale nie zmieszał się posądzeniem. Głową pokręcił, odpowiadając:

– Nie o złoto tu idzie. W rzyci je mam, więc nie obawiaj się waćpan.

– To o co?

– To już najlepiej Werner z Williamem objaśnią. Nie chcę sam mówić, aby za złe mi nie mieli.

Prychnąwszy, wstał Szkot ze swego siedzenia. Pogładził się po brodzie, podchodząc do niewielkiego okienka obciążonego świńskim pęcherzem. Wskazawszy głową w jego kierunku, mruknął:

– Potocki więźnia jak oka w głowie strzeże. Liczy, że kurwi syn mu o swoich skarbach opowie. A podstarości Bydłowski nikogo z rozkazu swego mocodawcy do niego nie dopuszcza. Niedawno na urząd powołany, to wykazać się chce przed panem... – Odwrócił się w kierunku siedzącego Żegoty. – Jakże więc chcesz się z Kroguleckim rozmówić? Hę?

– O tym właśnie trzeba pogadać – odrzekł sucho szlachcic.

Zaśmiał się cicho Szkot, pokręciwszy głową. Machnął ręką.

– Dobrze. Poślij więc pachółka po nich. Tyle ci jednak rzeknę, że długo tu siedzę, różnych rozpytuję, ale jakoś niczego nie wymyśliłem, aby dane mi zlecenie wypełnić. Jeśli więc radę macie, chętnie posłucham. Ale najpierw o swojej sprawie musicie mi rzec. – Podeszedł do drzwi, otworzył je i zawołał: – Hej tam! Dajcie tu Tatara, co z panem Nadolskim przyjechał! A żywo! – Przymknąwszy na powrót drewniane skrzydło, stanął przy nim, spoglądając na Żegotę. Zmarszczył czoło i pokiwał głową. – Jedno ci jeszcze powiem, żebyś miał acan jasność. Dla mnie Krogulecki już trup, bo za to pieniądze wziąłem. I ani William, ani ty, ani też Stiller zmienić tego nie możecie. A kto mi na drodze stanie, ten mój wróg. Rozumiesz, panie Nadolski?

Tak przy tym popatrzył, iż od razu widać było, że słów na wiatr nie rzuca.

Szlachcic przytaknął lekkim kiwnięciem głowy. Chłód jego szarych oczy utwierdził Szkota w przekonaniu, iż udzielił mu szczerzej odpowiedzi. Dlatego uśmiechnął się szeroko i przysiadł na powrót na swoim zydelku.

– To w takim razie, zanim poważniej będzie, opowiadaj mi waćpan, co też u Krupki słychać, bo doprawdy aż dziw, że tego bezecnika jeszcze pan chorąży z administracji nie wyrzucił!

Roześmiał się na to Żegota i jął opowiadać. Żaden bowiem był z pana Krupińskiego gospodarz w Nadolanach, o czym głośno się już w tamtych stronach robiło. Trudno byłoby zresztą z wojaka nagle hreczkosieja uczynić. Upłynęły szlachcicowi z rudym Szkotem na takim gawędzeniu o wszystkim i o niczym dwie godziny, po których ruch się zrobił w domostwie, jako że nadjechali nowi goście.

Znów odbyły się głośne powitania i cały rytuał uścisków z nimi związany. Żal niejednemu było, że dzban wina przy takiej okazji się nie znalazł, ale twardy był dowódca pod tym względem, nauczony doświadczeniem służby, iż pijaństwo nie służy karności. Dobrze pamiętał bowiem, jakiej zasadzie hołdował pułkownik Lisowski, który przecież też za kołnierz nie wylewał – jest czas na picie, ale i jest taki, kiedy trzeźwość należy zachować. Niejeden, który lekko potraktował te słowa, srodze tego pożałował. Tak też Cameron zarządził, mówiąc, że głupi tylko zezwoliłby na swawole wedle grodu, mając nad głową podstarościego, który czujnie wszystkiego pilnował.

Zdjawszy wreszcie kozuchy, odmówili Murray ze Stillerm posiłku, usprawiedliwiając się, iż już śniadali. Prawda to była, ale też spieszyli się, aby z Cameronem bez świadków pomówić. Nie zamierzali bowiem dłużej niż trzeba w Haliczu bawić, a pewnie i rudy Szkot kontent by był swoją sprawę zakończyć.

Rozsiedli się w ciasnej izdebce, w której uprzednio Żegota ze Szkotem rozmawiali. Chłop, który tak niechętnie przywitał Nadolskiego na podwórzu, teraz jadła przyniósł i kwasu chlebowego, po czym cichcem usunął się za drzwi, znając swoje miejsce.

Spoglądając na siebie, milczeli czterej mężczyźni, czekając, aby ktoś zaczął. Murray niespiesznie sięgnął do misy z kiełbasą i ułamał sobie kawałek. Wreszcie odezwał się Żegota, ruchem głowy wskazując na drzwi:

– Ostrzegam mnie karczmarz spod klasztoru, że tutaj lepiej nie chadzać, bo w łeb wziąć można. Zaczę sobie waszmość kwaterę przysposobiłeś. Taką, że cudem cię tylko znalazłem.

Uśmiechnął się Cameron na to. Machnąwszy dłonią, odrzekł:

– Stare miejsce, znane mi jeszcze z czasów, jak spławów na Dniestrze pilnowałem. W istocie nie lubią tutejsi, jak im się kto po chałupach rozgląda. Dla mnie lepiej tu siedzieć, żeby się panu Bydłowskiemu w oczy nie rzucać. Wszędzie ma swoich ludzi, a pilny taki do pełnienia urzędu, jakby mu kto rzyć żelazem przypalił. W łaski pana Potockiego chce się gorliwością wkupić.

– Może i dobrze, jak podstarości gorliwy, bo porządek przynajmniej – skwitował Nadolski.

– Aaaa... – Wielkolud się skrzywił. – Wiele by o tym mówić, czy porządek. O interesy kasztelana kamienieckiego dba, nie o praw przestrzeganie. Ponoć na pieniądze też łasy, tyle że jak idzie o rozkazy pana Potockiego, to grosza nie tknie, psia jego mać.

– Widzę, żeś próbował acan. – Uniósł pod wąsem kąciki ust siwy szlachcic.

– Nie ja, ale ten, co mnie najął. Bez skutku, jak widać, skoro z mojej usługi postanowił skorzystać. Tak bowiem jest w tej Rzeczypospolitej, że jak nie trzeba, to ci, co na urzędach, chętnie złoto biorą, a jak trzeba, to ani rusz z nimi się porozumieć. Ot, diabelska złośliwość w ludziach. – Popatrzył badawczo po siedzącej trójce. – Teraz jednak wy mi powiedzcie, na co wam z Kroguleckim gadać. Bo oznajmił mi obecny tu jegomość Żegota, że z takiej potrzeby do Halicza przyjechaliście. Jak prawdę usłyszę, wtedy i ja wyjawię, co mam uczynić ze zbójem. A potem powiecie mi, co robić zamierzacie, aby swoje zamiary spełnić. Da Bóg, wespół zadziałamy. Może tak być?

Murray zerknął na wpatrzonego w podłogę Stillera. Zadrzały Niemcowi szczęki, pogłębiły się bruzdy na twarzy. Uniósł po chwili wzrok, spoglądając w oblicze wyczekującego wielkoluda. Spokojnym głosem oznajmił:

– O mnie tu chodzi. O moją sprawę.

– Masz acan jakiś rankor do Kroguleckiego? – Rudobrody olbrzym zmrużył oko.

– Nie. – Saksończyk pokręcił głową – Nie o to idzie.

– A o co? Że nie o skarb, już wiem, bo mi pan Żegota zaręczył. Więc?

Niemiec na kilka sekund przygryzł wargi. Po dłuższej chwili dopiero wyjaśnił:

– Ściga mnie od lat jeden człowiek, który chce zapłaty z mojego życia. Najemnik, przed którym z ojczyzny uciekłem. Niedawno tu mnie odnalazł. Wiem, że także Kroguleckiego z jakiejś nieznaney przyczyny tropi, bo już jednego z jego dawnych

kompanów dopadł. Chcę wiedzieć, jak go odnaleźć i ubić, zanim on to zrobi ze mną. Może ten zbój będzie to wiedział. To wszystko.

Zmarszczył brwi Cameron, wodząc wzrokiem po twarzach swych gości. Sapnął, pocierając czoło palcami. Wycedził wreszcie krótko:

– Tyle tylko? Mało. Powiedziałem, żebyście mi prawdę rzekli.

– Prawdę? – Niemiec rozłożył przed sobą dłonie. – Nie skłamałem waści. A są takie prawdy, mości panie, w które trudno uwierzyć, a jeszcze trudniej o nich gadać.

– Tym bardziej słucham.

Cisza zawisła pośród obecnych w niewielkiej izbie. Wahał się Stiller, co jeszcze chce powiedzieć dawnemu lisowczykowi. Ani Żegota, ani Murray nie zamierzali przyjaciela w niczym wyręczać albo też podpowiadać mu czegokolwiek. Sam musiał podjąć decyzję, bo o niego tu szło.

Rudobrody Szkot w milczeniu przeszedł się po swej kwaterze. Przystanął obok okna, ręce na piersi zaplótł i czekał. Nie ponaglał Saksończyka, ale dawał spojrzeniem do zrozumienia, iż jego cierpliwość ma swoje granice.

Westchnąwszy ciężko, nie podnosząc głowy, Niemiec wydusił matowym głosem:

– O klątwę idzie.

– Klątwę? – Z tonu głosu i twarzy Camerona od razu można było poznać, co myśli o nadprzyrodzonych kwestiach.

Zdało się, że już za chwilę jakąś złośliwość rzuci, ale się powstrzymał.

Saksończyk uniósł wzrok, powtarzając mocniejszym głosem:

– Tak, klątwę. Mówiłem, że są prawdy, w które trudno uwierzyć. Chcesz zakpić waść? Śmiało! Mnie jakoś nie bardzo do śmiechu.

Zmieszał się potężny Szkot, albowiem nie zamierzał nikogo urazić. Nerwowo palcami po rudej brodzie pojechał, nim mruknął:

– W co ja wierzę, inna rzecz. Ważne, abyście mi szczerze rzekli, czego wy chcecie. Wnikać nie będę ani też kpić. Byleby interes był wspólny.

– Dawno temu w zamian za ocalenie od śmierci dałem złemu w zastaw swoje zbawienie. Teraz przyszedł ten, który chce dług odebrać. Spotkał już mnie. Widział go także pan Nadolski w Tarnawce.

– A co Krogulecki ma do tego?

– Może być, że i jego tą samą klątwą ktoś obłożył. Jeśli wyjawi kto, chcę go znaleźć i zapytać, jak wyrok losu odwrócić. To wszystko.

Wielkolud zaplótł ręce na piersi i zwiesił głowę, ważąc coś w duchu. Najróżniejsze już słyszał w życiu historie, ale trudno było mu dać wiarę w to, co usłyszał. Twardo stapał po ziemi, za nic mając bajania o czarach i zjawach. Wielokroć śmierć widział, sam innym ją zadawał, wśród trupów noce na polach bitew spędzał. Bali się inni, zaklęcia albo modlitwy odmawiali, ale nie on. Nie miała go nocne odgłosy ani nie wierzył w cuda. Choć chrześcijanin, mało też miał ufności, że cokolwiek po śmierci istnieje. Liczyło się dla niego to, czego można dotknąć, co da się zważyć i zmierzyć. Nic więcej. Reszta była tylko ułudą ludzkiego umysłu. Był jednak także Cameron człowiekiem praktycznym. Pojmował, iż Kroguleckiego z lochu niełatwo mu będzie wyciągnąć. Dlatego każdy, kto mógłby w tym pomóc, cennym był sojusznikiem. Nawet jeśli niezrozumiałe były jego motywacje.

Łypnął spod krzaczastych brwi, cedząc:

– Wybaczcie waszmościowie, lecz tak nedorzeczne jest to, com słyszał, iż pomyśleć nieco musiałem. Długo po ziemi już chodzę, ale żadnych prawdziwych wiedźm, upiorów ani też diabłów nie spotkałem. Wszystko to ludzkie wymysły, bo kiedy rozum u człowieka śpi, rodzą się w jego wyobrazeniach potwory. Tak jednak mniemam, że tysiąc innych historii moglibyście zmyślić, aby swój cel osiągnąć i mnie do sojuszu przekonać, więc najpewniej prawdę waszmość... – skierował wzrok na Stillera – ...mówisz. Twoja rzecz, w co wierzysz. Powiedz mi tylko, czego byś chciał.

– Już rzekłem. Kilku godzin rozmowy z Kroguleckim, zanim go tobie oddamy. Nic więcej.

Szkot pokiwał głową. Zmarszczywszy czoło, upewnił się:

– Przysięgniecie, że tylko to i nie będziecie nastawać, aby tego kurwiego syna przy życiu zostawić, nawet jeśli nic wam nie wyjawi?

– Jak waćpan przysięgniesz, że dasz nam go na jakie kilka godzin. Oddamy ci go żywego, żebyś mógł z nim uczynić, co chcesz – odrzekł Nadolski.

Cameron zerknął nieufnie, nadal mając widać jakieś wątpliwości. W interesach bowiem nie ma sentymentów. Nadto nie lubił, jak mu ktoś żądania stawiał, a wprzódy jego prośby nie spełniał.

– Najsampierw trzeba by go dostać – prychnął złośliwie.

– W tym sęk – wszedł mu w słowo Murray. – Ale i na to jest rada, jeśli sobie nawzajem zaufamy. Wiemy, jak to zrobić, a ty masz ludzi, bez których się to nie obędzie. Tak samo nas potrzebujesz, jak my ciebie.

Olbrzym przygryzł wargi. Pomyślał, iż w sumie nie ma nic do stracenia, gdyż wszelkie jego dotychczasowe plany spaliły na panewce. Głupio zaś byłoby wrócić do tego, który mu rzecz zlecił, z niczym. Znacznie ucierpiałaby na tym jego reputacja. Dlatego w końcu wycedził powoli:

– Zgoda. Słowo wam daję, że na trzy godziny wasz będzie. Ale dwa mam warunki. Jeden, że z wami będę uczestniczył w tej rozmowie, a drugi, że ani chwili dłużej niż trzeba nie potrwa to, co ustalone. Ja też swojego dopilnować muszę.

Nadolski z Murrayem spojrzeli na Stillera. Ten po namyśle skinął głową, mówiąc:

– I ja honorem ręczę, że więcej niż ustalone oczekiwać nie będę. Powiedz mi tylko waść, co z nim zamierzasz uczynić i dlaczego?

– Taak... Przyobiecałem wam, że jak prawdę od was usłyszę, powiem. Ale tyle tylko, co mogę, bo nazwiska tego, kto mi sprawę zlecił, nie podam. Taką mam zasadę i na spowiedzi nawet nie wyznam niczego, co mogłoby mu zaszkodzić. Najął mnie jeden bogaty kupiec, żebym wedle jego wskazówek wyrok na Kroguleckim wykonał. Wcześniej prosił pana Potockiego, błagał nawet, aby zadość się stało krzywdzie, którą mu ten potwór wyrządził, ale głuchy jest pan starosta na to, omamiony wizją zdobycia zgromadzonego przez psubrata złota. Kto wie zresztą, co mogłoby się zdarzyć, gdyby istotnie Krogulecki miał taki skarb i Potockiemu go oddał? Może dziwnym trafem po raz kolejny uszedłby katu? Na to zaś ten, co mi płaci, się nie godzi.

– Musiał znaczną stratę ponieść ów kupiec, skoro taki zajadły. – Murray uśmiechnął się, ale zaraz mina mu zrzędła, kiedy spojrzął w twarde oczy rodaka.

Cameron lekko kiwnął głową, odpowiadając mu matowym, zimnym głosem:

– Nie o pieniądze tu idzie. Tych ma wiele. Jechała z Węgier z transportem win jego córka, która w Preszburgu<sup>166</sup> u krewnych gościła. Napadła konwój banda Kroguleckiego, towar skradli, ludzi do nogi wybili. Ją najpierw sam pohańbił ten szubrawiec, potem swoim kamratom rzucił, a kiedy się znudzili, wbili jej tam kij zaostrzony, ażeby długo i w cierpieniu umierała. Taką ją ludzie znaleźli pośród innych trupów. Ledwie szesnaście lat miała i za mąż ją planował ojciec dać. Jedyne

to było jego dziecko. Na zrękowiny swoje jechała. Ot, wesele miało być, a pogrzeb się odbył.

Stężyły twarze słuchających Camerona mężczyzn. Zażywny szkocki oficer spuścił wzrok zmieszany swą niedawną wesołością.

Dłuższą chwilę trwała posępna cisza. Przerwał ją rudobrody wielkolud, który odwrócił się w stronę małego okienka i rzucił cicho:

– Taka to moja sprawa z Kroguleckim, waszmościowie.

Odezwał się po momencie przykrego milczenia Żegota:

– W takim razie i ja chętnie zobaczę, jak ten kurwi syn do piekła idzie. Aby nie za szybko, niech posmakuje trochę tego, co innym czynił.

Cameron pokiwał głową. Wskazał nieznacznym ruchem za okno.

– O to się nie troskaj, bylebym go w swoich rękach miał. Już Waśko, ten chłop, coś go waćpan na podwórzu widział, zna się na swojej robocie. Teraz rybak tutejszy, ale dawniej przy kacie służył we Lwowie za pomocnika. Wie, co ma robić. – Odwrócił się, złożony na piersiach stykające się opuszkami palców dłonie. Chrząknął, aby głosem nie zdradzić wzruszenia. – Dość o tym! – powiedział głośniejszym głosem, niż było trzeba. – To się stanie, co się stać musi! Teraz zaś, skoro już domówieni jesteśmy, radźcie, jak Kroguleckiego z lochu wydobyć. Ale tak, aby nikt nie poznał, kto to uczynił i dlaczego. Po prostu ma zniknąć ze swej celi na zawsze, dając ludziom powód do bajań, że diabli go porwali. – Skrzywił się, uniósł jeden kącik ust w półuśmiechu, dodając: – Bo też w samej rzeczy prawda to będzie.

Zatarł ręce Murray, a potem rad, że ma pomysł, jak wszystko sprawić, zaczął objaśniać:

– Było kilkanaście lat temu, że nas z Wernerem biskup Próchnicki do Halicza posłał, gdzie rzekomo cud niepokalanego poczęcia się zdarzył. Jedna z młodych panien ze szlacheckiego domu, przebywająca na tutejszym zamku, zaklinała się, iż ojcem dziecka, które w brzuchu nosi, jest sam Pan Jezus, co do niej nocą przychodził i uświęcił jej ciało swoją osobą. Zaiste, dziwna to była sprawa, gdyż panna, co to ją ojciec przywiózł, aby szkody od tatarskiej napaści nie zaznała, znajdowała się pod ścisłą kuratelą, pilnowana równie surowo jak inne. Nikt niczego nie widział ani też nikogo, kto by do niej zachodził. Nawet stara zakonnica, co nadzór nad owymi podlotkami miała, ufać poczęła, że jest świadkiem niezwykłego objawienia boskiej mocy. Rozniosła się wieść o nadprzyrodzonym zjawisku, w które okoliczni ludzie

zaczęli wierzyć. Jedni powiadali, że Mesjasz na nowo powraca, inni, że Antychrysta ulegnie. Cóż, jedni i drudzy w błędzie byli, bo powiła najzwyczajszego bękart – skwitował złośliwie Szkot. – Okazało się bowiem, że mniszek jeden młody od dominikanów odkrył dawne przejście sekretne, które klasztor z zamkowymi lochami łączyło. Potajemnie niewiasty podglądając, uwiłdzał sobie ową dziewczę, a że zmyślny był, a ona głupia, razu jednego w szatę jak na obrazkach z Jezusem się odział, koronę z patyków na łeb wsadził i polazł nocą do jej komnaty. Tam po łacinie zaczął głosić, co umiał, niby że objawienie cudowne się dzieje. Potem zaś zgrabnie zagadał już w naszej mowie i omamił panienkę słodkim i nabożnym słowem. Na koniec zrobił z nią to, co chciał, ku własnej uciezce i jej zadowoleniu. Od tej pory wielokroć do niej przychodził, aż jednego razu oznajmiła mu uradowania dziewczyna, że krwawić przestała, więc najpewniej matką będzie. Już widziała się w aureoli świętości, sądząc, że Najświętsza Panienka jej świekrą zostanie. Mniszek wystraszył się, surowo zakazał mówić swej kochance o tym, że u niej bywał, dodając, iż jego ziemka misja skończona, może więc, ostawiwszy na tym świecie potomka, wracać do domu Ojca. Przestał nawiedzać swą wybranę, a tej brzuch począł rosnać. Rozanielona, najpierw innym pannom w sekrecie o swoim szczęściu opowiedziała. Dalej zaś poszło jak zwykle między babami bywa. Od jednej do drugiej, aż wszyscy wiedzieli. – Murray machnął ręką. – Długo by opowiadać, jak do tego wszystkiego doszliśmy. W każdym razie dziewczyna z synkiem natychmiast z Halicza zniknęła, bo ją ojciec zabrał, mniszek poszedł do demeryckiego<sup>167</sup> klasztoru winy odpokutować, a przejście pomiędzy zamkiem i klasztorem zostało zamurowane. Z racji tego, że o sprawie miało być cicho, mało kto o tym tunelu wie. Nawet obecni zakonnicy nie mają pojęcia, gdzie jest. Zresztą o sprawie przeor ówczesny gadać zabronił, więc pewnie ją już niewielu dominikanów tutejszych pamięta.

Cameron zaśmiał się głośno, usłyszawszy historię objawień na halickim zamku. Od razu też pojął istotę pomysłu, dlatego praktycznie zapytał:

– Tyle że do klasztoru bezpiecznie trzeba by się dostać, żeby z tunelu skorzystać.

– I o tym pomyślałem. – Otyły oficer wykrzywił usta w uśmiechu. Sięgnął za pazuchę i wyjął zapieczętowane pismo. – To list prowincjała karmelitów do tutejszego opata, aby mnie i panu Nadolskiemu gościny udzielił. Zakonnicy sami nas wpuszczą za mury, a że znam dobrze ich przybytek, bez trudu wejście do lochu



odnajdę i na powrót otworzę. Potem starczy ludzi wpuścić potajemnie i... – Nie dokończył, tylko mrugnął.

– Toś mi dobre wieści przywiózł, Williamie! – Wielkolud klepnął swego rodaka w plecy, aż go zatchnęło. – Lepszego planu nikt by nie obmyślił!

– Zaiste – wykrztusił nieskromnie Murray, pokaszując od niespodziewanego dowodu atencji. – Teraz tylko szczegóły trzeba omówić.

– Nie zwlekajmy więc! – Cameron przysiadł na swoim zydelku, zatarł ręce, klepnął się w kolana i zachęcił. – Dalej! Mów, jak to ma być, bo widzę, że głowę masz nie od parady!

Popłynęły rzeczowe słowa z ust Szkota, a potem rozgorzała dyskusja, która trwała aż do wieczora. Choć w gardłach suszyło całą piątkę, nikt o wino ani piwo nie poprosił. Na trzeźwo została więc ustalona cała koncepcja, co zwykle z korzyścią bywa dla wszelkich poczynań.

Ciemno już było, kiedy zebrali się Murray z Żegotą do drogi. Cameron ze Stillerm, który miał zostać razem z rudobrodym Szkotem, odprowadzili ich na oświetlone zawieszoną na chałupie pochodnią podwórze. Przywołany głośnym rozkazem Bejda konie przyprowadził, jak zwykle milcząc obojętnie.

Uściskali się jeszcze na pożegnanie gotujący się do odjazdu z pozostającymi na miejscu przyjaciółmi i już się szykowali, aby na siodła wskoczyć, kiedy gdzieś spomiędzy zabudowań na prawo rozległ się złowieszczo skrzekliwy rechot. Jak jeden mąż odwrócili się wszyscy w tamtą stronę, wyglądając, kto spokój wieczorny ośmielił się tak gwałtownie zakłócić.

Wytoczył się zza węgła stajni jakiś dziad zarośnięty, drobny i suchy, byle jak odziany, z wielkim krzyżem dyndającym na piersi. Rozwichrzoną miał czuprynę, skudłaną siwą brodę, a rękę szponiastą, ledwie łachmanem okrytą, przed siebie wyciągał, wciąż śmiejąc się szaleńczo. W drugiej zaś dzierżył gliniany dzban, widomą przyczynę jego stanu.

Tak nagłe i niespodziewane było to zdarzenie, aż przeżegnał się odruchowo Żegota, dostrzegając, iż to w niego wbite są oczy chwiejącego się na nogach żebraka.

Cameron głową pokręcił, by zaraz krzyknąć w kierunku zanoszącego się śmiechem dziada:

– Spać idź, Babej! Pijany jesteś! Padniesz gdzie i na śmierć zamarzniesz! Tego ci trzeba?!

Stary nawet uwagi nie zwrócił na te słowa. Mozolnie stawiając krok za krokiem, brnął przez śnieg na podwórzu. Nie opuszczał skierowanego w Żegotę, wygiętego starością palca ani też nie zamierał szyderczy chichot dobywający się z jego bezzębnej gęby. Przystanął w końcu o kilka kroków, bujając się to w lewo, to w prawo. Opadło mu wyciągnięte przed chwilą ramię. Ucichł diabelski rechot.

Podniósł do ust trzymane w prawicy naczynie, odchylił je mocno, a kiedy zrozumiał, iż puste, cisnął z odrazą na bok. Wyświechtanym rękawem wytarł zmierzwioną brodę. Łypnął spode łba na siwego szlachcica tak, jakby go znał.

– Jedźmy! – ponaglił Murray, wgramoliwszy się na konia.

Wzruszył ramionami Żegota, kpiąc w duchu z nagłego dreszczu, który go przeszedł, gdy ujrzał starucha. To miał być ów słynny bacza z Łumnej, pogromca upiorów, w którym kiedyś Zatwarnicki nadziei upatrywał? Ten ledwie trzymający się na nogach pijak w łachmanach? Zaiste, marnie skończył wielki Babej! – w myślach złośliwie skonstatował szlachcic.

Już nogę w strzemię wkładał, już za łęk siodła chwycił, kiedy za pleców doleciał go zachrypnięty głos:

– Tyyyy!

Zamarł na sekundę, nie wiedzieć czemu czując, że do niego tak bezczelnie odezwał się staruch. Powoli opuścił stopę i się odwrócił. Zmierzył baczę pogardliwym, wyzywającym wzrokiem, lecz ten oczu nie spuścił. Znów uniósł swój krzywy palec, wskazując wprost w pierś Żegoty i powtarzając:

– Tyyyy!

Nie chciał Cameron jakiejś pyskówki niepotrzebnej ani tym bardziej czego gorszego, dlatego krzyknął gniewnie:

– Dalejże stąd, pijanico! Precz mi z oczu, bo cię ze stajni pognać każę i na noc dachu nad głową mieć nie będziesz! Już!

Na nic to było. Zatoczył się czarownik do przodu, prawie że upadł. Podpierając się siłą od zimna ręką, wyprostował z trudem ułomne ciało, stając naprzeciw Żegoty. Twarz mu się ściągnęła, a bladoniebieskie oczy na czerwonej spierzchniętej twarzy błysnęły nagle iskrą przytomności. Oddychał ciężko, jakby nie ledwie parę

kroków przeszedł, lecz najmniej milę. Szponiaste dłonie zacisnęły mu się w pięści, a na czole mimo mrozu pojawiły się krople potu.

Hardo zmierzył go wzrokiem Nadolski, prychnął wzgardliwie, głową pokręcił z odrazą. Przez zęby wycedził:

– Czego?!

Oblicze baczy nagle złagodniało, a w źrenicach pojawił się jakiś bezbrzeżny smutek.

Cameron położył mu ciężką dłoń na ramieniu, mówiąc:

– Chodź, stary! Starczy przedstawienia! Nic tu po tobie!

Bacza pokiwał głową. Przygarbił się, jakby jeszcze bardziej zmałał. Już miał się odwrócić, ale nagle uniósł wzrok, po raz ostatni patrząc na Nadolskiego.

– Widziałem cię. Przez ciebie to wszystko się stanie. Przez ciebie, choć ty sam niewinny – wyszeptał. Westchnął ciężko, dłonią przysłaniając oczy. – Krew... krew... Wszędzie krew tylko...

Takim głosem to rzekł, iż ciarki przeszły wszystkim po plecach. Przeżegnał się Murray w siodle, Bejda splunął przez ramię i sięgnął za pazuchę, gdzie trzymał subhę168, zmieszany Stiller wbił wzrok w ziemię.

Zakławszy cicho, rudobrody Szkot mocniej pociągnął starca, powtarzając:

– Chodź!

Poszedł posłusznie zgarbiony Babej, odprowadzany wzrokiem Żegoty, którego nagle zakłuł w sercu jakiś nedorzeczny strach. Na jeden moment, ledwie mgnienie oka, ogarnęło go dziwne uczucie, iż dawno spisany został jego los, a on sam jest jedynie pionkiem w jakiejś grze, której nie potrafi pojąć. Chwila to tylko była, z której otrząsnął się szybko, lecz na dnie duszy pozostała mu nieubrana w słowa, dręcząca niepewność, od której nie potrafił się już uwolnić.

## ROZDZIAŁ XIV

### WIĘZIEN

Noc była taka, jak powinna, by usłużyć tym, którzy chcieli z niej skorzystać. Bezksiężycowa prawie, pochmurna, znaczona lodowatym, przenikliwym wiatrem, który zapędził ludzi do domostw pod pierzyny. Nawet psy co litościwsi mieszczanie i chłopci pod dachy powpuszczali, aby uchronić bydłęta od przemarznięcia. Kto nie musiał, nawet nosa nie wytykał z chałupy, a nawet ten, kto musiał i powinien, jak draby miejskie<sup>169</sup>, bardziej udawał, iż spełnia swą powinność, niż w istocie ją spełniał. Sprzyjała Opatrzność tym, którzy chcąc pozostać niezauważonymi, przemknęli ku klasztornym murom. Pora zaś była już najwyższa, bo niecierpliwił się wyteżający wzrok zza niewielkiego okienka Żegota. Otwierać go przedwcześnie nie chciał, aby ciekawości czyjejs nie wzbudzić, a po prawdzie bardziej dlatego, żeby zimnego wiatru nie wpuszczać do niewielkiej izdebki. I bez tego było mu bowiem zimno w nieogrzewanej części klasztoru, która stała od lat kilku zrujnowana po pamiętnym najeździe tatarskim. Chociaż zbierał przeor fundusze na remont, zawsze mało było tych środków, aby naraz wszystko odbudować. Zresztą i potrzeba nie nagliła, to bowiem, co zostało, w zupełności wystarczało kilkunastu braciom zasiedlającym dominikański przybytek.

Zastukał lekko w szybkę stojący pod murem człowiek, na co zaraz uchyliło się okno. Powoli, jak to na mrozie niemrawo, wgramolił się przez niewielki otwór do ciasnej izdebki, a za nim kolejno sześciu jego kamratów, mamroczących przy tym przekleństwa pod nosem. Kiedy ostatni spiskowiec postawił swe stopy na klasztornej ziemi, Żegota zaraz zamknął okienko, zerkając jeszcze przez nie, czy aby nikt nie widział tego, co się właśnie zdarzyło. Noc jednak ciemniała pustką, a jeno wiatr jęczał pomiędzy lichymi zabudowaniami otaczającymi monastyr.

Siwy szlachcic położył palec na ustach, groźnie spoglądając na mrujących coś tam i klepiących się dla rozgrzewki podkomendnych Camerona. Od razu ciszej się zrobiło. Dopiero wówczas dał znak głową, jasno pokazując, aby szli za nim.

Ciemno było w długim korytarzu choć oko wykol. Dlatego gęsiego szli, tuż przy ścianie, jeden drugiemu trzymając rękę na ramieniu. Przyznać musiał w duchu

Nadolski, iż sprawnych miał za sobą wojaków, bo żaden brzęk metalu, żaden dźwięk skrzypiącej skóry się nie rozlegał. Tylko szelest przesuwających się po kamiennej posadzce butów i ściszony dźwięk ludzkich oddechów był znakiem ich obecności.

Minąwszy jedne drzwi, przeszli przez krużganek okalający klasztorny dziedziniec, by dotrzeć do kolejnego wejścia. Lekko zastukał w nie Nadolski, po czym bezszelestnie niemal odchyliło się ciężkie skrzydło. Za nim stał Murray. Ledwie sylwetki dostrzegając, zlustrował ludzi, podobnie jak wcześniej Żegota palcem przyłożonym do ust ciszę nakazał, aż wreszcie gestem dał znać, aby iść za nim.

Poprowadził wszystkich nisko sklepionym przejściem, powoli i ostrożnie stawiając krok za krokiem. Niczym sobie przyświecić nie mógł, ponieważ mijali tę część klasztoru, gdzie znajdowały się dominikańskie cele. Tu spali niczego nieświadomi braciszczkowie, lecz lada szmer, blask czy cokolwiek innego mogło zbudzić jednego z nich. Najbardziej jednak obawiał się Murray jakiegoś przypadku, który mógłby cały jego plan zniweczyć. A przemocy jakiegokolwiek wobec braciszków w nim nie przewidywał.

Z kwadrans trwało, nim udało się wreszcie przejść ciemnym korytarzem do dawnego skryptorium, które teraz bardziej za bibliotekę służyło, choć było jeszcze kilku braci, którzy dawnym zwyczajem mozolnie przepisywało tu księgi, zdobnie kaligrafując litery. Była to jednak bardziej forma modlitwy i kontemplacji przez pracę niż rzeczywista potrzeba<sup>170</sup>.

Odetchnął z ulgą zażywny Szkot, chociaż był to dopiero początek wyprawy. Tu jednak mało było prawdopodobne, aby ich ktoś odkrył o tej porze.

Pewnie przeszedł pomiędzy drewnianymi pulpitami i na stoliku w kącie odnalazł świecę. Skrzeszał ognia i odpalił knot. Niewiele blasku dało to mizerne źródło światła, ale starczyło, żeby i inni bez hałasu mogli przejść przez pomieszczenie do niskich drzwi znajdujących się pomiędzy półkami, na których stały książki. Były otwarte, o co w ciągu dnia postarał się już Murray, niby to korzystając z dominikańskiego księgozbioru.

Współ z Żegotą szarpnęli za nie. Zgrzytnęły nieprzyjemnie, dawno nieodmykane, chrzęszcząc o posadzkę nisko zawieszoną żelazną listwą na dole. Na chwilę wszyscy zamarli, wsłuchując się w ciszę. Uspokojeni, po jakiejś minucie ponowili wysiłek, uchylając je tak, aby otworzyć przejście. Wiodło w dół, w mrok, wąskimi, stromymi schodami.

Szkot poszedł pierwszy, w jednej ręce dzierżąc migoczącą świecę, drugą zaś przesuając po nierównych kamieniach wilgotnej ściany. Ostrożnie stawiał stopy na wytartych stopniach, bacząc, aby jak najmniej czynić hałasu. Siódemka spiskowców podążyła za nim. Pochód zamknął Nadolski, który nim zniknął za drzwiczkami, rozejrzał się jeszcze po pustym skryptorium, ostatni raz upewniając się, że nikt nie odkrył obecności w klasztorze nieproszonych gości.

Kręte schody prowadziły wprost do sklepionej piwnicy. Teraz służyła za składowisko wszelkich zbędnych staroci. Wały się w niej zepsute sprzęty, zakurzone, niepotrzebne już nikomu naczynia albo też resztki pogryzionych przez myszy i szczury szmat. Gruba warstwa brudu na nich świadczyła, iż dawno już nikt tu nie zaglądał.

Kiedy wszyscy dotarli do tego niewielkiego loszku, Murray ruchem dłoni nakazał iść dalej. Wprost w wąski korytarz, z którego tchnęło nieprzyjemnie wilgocią i zgnilizną. Zachlupotała pod nogami mężczyzn wilgotna ziemia, przesiąknięta wodą ciągnącą od Dniestru. Miękkie błoto oblepiało podeszwy butów.

Przeście stało się tak niskie, iż musieli się pochylić. Niejeden początkowo uderzał głową w sklepienie i boleśnie byłby to odczuł, gdyby nie futrzana czapa. Mimo to co rusz rozlegały się syczące pod nosem przekleństwa, albowiem ścieśnieni w ciemności ludzie trącali się wzajem i wpadali jeden na drugiego. Zaraz jednak ucichły te odgłosy, gdyż w nosach spiskowców zawiercił znany im wszystkim nieprzyjemny zapach, którego nie można byłoby z niczym innym pomylić. Odór rozkładających się ludzkich ciał.

Choć odważni i niejedno już w życiu widzieli, odczuli nieprzyjemny dreszcz, gdyż jasne się stało, że są w klasztornych katakumbach. Mrok zaś, ledwie rozprasany wątlwym płomykiem świecy, potęgował zabobonne myśli, które trudno było odgonić. Murray prowadził jednak pewnie, co wszystkim dodawało otuchy.

Niski loch kończył się gwałtownie, rozchodząc się prostopadle w dwie strony. Szkot skręcił w prawo, rzucając za siebie głośniejszym szeptem:

– Pod nogi uważać!

Zachrzęściły pod butami resztki zmurszałych desek i coś jeszcze, co leżało pomiędzy nimi. W przebłyskach światła pierwsi z idących za przewodnikiem ujrzeli brązowe kształty rozrzuconych tu i tam ludzkich kości. Zmurszałych tak, iż łatwo obracały się w proch pod ciężarem następujących na nie mężczyzn.

Korytarz stał się bardziej przestronny. W jego ścianach znajdowały się nisze, gdzie spoczywali zmarli dawno temu zakonnicy. Smętnie zwisały z puszczeli i ramion strzępy zetkniętych habitów. Łypały spomiędzy resztek trumien oczodoły czaszek obciążonych zeschniętą skórą. Cuchnęło śmiercią i zgnilizną.

Przeszedłszy jeszcze kilka kroków, Murray przystanął, unosząc dłoń. Zatrzymali się wszyscy w oczekiwaniu.

Szkot rozejrzył się, szukając czegoś. Postąpił ku jednej z grobowych wnęk, pochylił się i przyjrzał ścianie. Pokręciwszy głową do własnych myśli, przeszedł niespiesznie ku kolejnej, dłonią macając mur. Pod palcami czuł wilgoć, chropowatość starodawnych cegieł i murszejącą pomiędzy nimi zaprawę. Niespiesznie macał spoiny, przyświecając sobie, aż w końcu uśmiechnął się, gdy natrafił na to, czego szukał. Pozostawiony przed laty znak, który sam wyrył na murze tylnej ściany jednej z wnęk grobowych, kiedy kończył sprawę lubieżnego mniszka.

Odwróciwszy się ku wyczekującym spiskowcom, wyszeptał:

– To tu.

Żegota bez słowa minął stojących przed nim lisowczyków. Zza pazuchy wyjął młotek i dłuto do łupania kamienia. Tak samo uczynił i Murray. W milczeniu zabierali się do roboty.

Dźwięcznie odbił się od sklepień odgłos metalu uderzającego o metal. Zaszemrały osypujące się resztki odłupanych cegieł i zaprawy. Niósł się ten hałas w ciemność korytarza, aż rozejrzeli się dookoła zaniepokojeni podkomendni Camerona, czy aby nie ściągnie im kogo na kark. Niepotrzebne były jednak te obawy, gdyż znajdowali się głęboko pod ziemią, w katakumbach gdzieś pomiędzy zabudowaniami klasztoru a kościołem. Nikt na powierzchni nie mógłby usłyszeć tego, co działo się w lochu.

Zaskakująco łatwo ustąpiły spoiny i dwa rzędy równo ułożonych cegieł. Odrzucone na bok, odsłoniły ciemny otwór, za którym ziała nieznana pustka.

Żegota ze Szkotem pracowali powoli, starannie wyjmując kolejne kawałki ściany. Wiedzieli, że jeszcze będą musieli z nich ponownie skorzystać, maskując otwór, kiedy wrócą z zamku. Po tym, co zamierzali uczynić, nie mógł pozostać żaden ślad.

Dobre dwa kwadransy upłynęły im na tej robocie, nim otwór w murze stał się na tyle obszerny, aby mógł się przez niego przecisnąć człowiek. Wreszcie zgrzany Murray odłożył narzędzia, rękawem otarł pot z czoła i sięgnął po świecę. Przygarbiony, wsadził w dziurę rękę, oświetlając dawno zapomniany tunel.

Zaciekawieni konspiratorzy otoczyli go, starając się dostrzec w ciemnej otchłani cokolwiek. Lecz blask ledwie rozjaśniał ciemność na kilka kroków. Dalej zaś było nieznane.

Szkocki oficer pierwszy przekroczył wykutą w ścianie granicę. Już z drugiej strony syknął ponaglająco:

– Za mną!

Nie musiał powtarzać. Karnie, jeden za drugim, zniknęli w czeluści spiskowcy. Ostatnim był znów Żegota. Zanim wszedł w dziurę, odpalił wyjętą z sakwy świecę, wiedząc, że już nie ma ryzyka, aby ktoś dostrzegł jej płomyk.

Wąski tunel wypełniało stęchłe powietrze, pełne osiadającej na twarzy i ubraniu wilgoci. Przygasł ogień wijący się na nawoskowanym knocie, przybierając pomarańczowo-niebieską barwę. Nadolski osłonił go ręką, choć to nie podmuch przytłumił płomyk, lecz zepsute powietrze.

Schylając się, ruszył przed siebie, tam gdzie właśnie niknęły w ciemnościach plecy idącego przed nim lisowczyka z kompanii Camerona.

Przejście zwężiło się tak bardzo, aż ramionami ocierali się o lepkie od pleśni ściany. Gdzieś z przodu czasem zapiszczał nadeptnięty przypadkiem szczur albo też zaklął ktoś siarczyście. Głucho odbijały się te nieliczne odgłosy od sklepionych murów, pamiętających pewnie jeszcze czasy tuż po założeniu klasztoru przez Jacka Odrowąża i najeździe mongolskim, który wtenczas nastąpił. Nie o tym jednak myślał Żegota, lecz o owym mniszku dominikańskim, którego chuć do zamku goniła. Zdumiał się, jaką potężną moc mają ludzkie instynkty, skoro ów zakonnik sam jeden nie bał się przez krypty pełne truchła i ciasne tunele nocami wędrować, aby tylko swym lędźwiom ulżyć. Nawet teraz wśród ludzi czuł Nadolski nieprzyjemne mrowienie w karku. Mimowolnie co jakiś czas oglądał się za siebie, szukając w mroku sam nie wiedział czego. Przypominała mu się przy tym też wyprawa na Sobień, gdzie w prastarych podziemiach skrywał się kiedyś potwór. Choć ledwie kilka lat minęło od tamtych zdarzeń, zdawało się, jakby to bardzo dawno już było. Odwykł bowiem siwowłosa szlachcic od takich przepraw, żyjąc sobie wygodnie w Wygnance.

Przystanął Nadolski, widząc, że zatrzymał się idący przed nim mężczyzna. Odczekał chwilę, nie wiedząc, co się zdarzyło. Już chciał zapytać, gdy spiskowiec znów wolno ruszył przed siebie. Niedługo czekać musiał Żegota na wyjaśnienie.



Korytarz kończył się wykutymi w skale schodkami, krętymi i wijącymi się stromo w górę. Zamiast ceglanego muru po obu stronach miał teraz wyłupane w kamieniu ściany. Pokryte gdzieniegdzie białym nalotem saletry, kurzem i zwisającymi strzępami pajęczyn były prawie suche. Także powietrze stało się bardziej rześkie, co znaczyło, iż chyba niedaleko jest wyjście.

Chociaż wiedział siwy szlachcic, jak wygląda przejście do zamku, gdyż Murray wyjaśnił mu to szczegółowo, i tak z podziwem ocenił dzieło dawnych budowniczych. Ileż trudu i zmyślności musieli włożyć w to, aby wykonać swą pracę. Ile miesięcy albo nawet lat musieli spędzić pod ziemią, żeby wydłubać tunele, które miały ratować życie w razie najazdu. A wszystko w tajemnicy przed ludźmi, by nikt nie mógł zdradzić wrogowi sekretu.

Skończyły się schody, przez chwilę szli znów ciasnym lochem, kiedy ponownie zatrzymał się lisowczyk wędrujący przed Nadolskim. Tym razem szlachcic, przypomniawszy sobie, co mu Szkot mówił, wiedział dlaczego. Czekał cierpliwie na swoją kolej, pamiętając ze słów Murraya, iż ostatni kawałek przejścia trzeba pokonać niemal na czworakach.

Istotnie, kiedy wreszcie dotarł do końca wykutego w skale korytarza, musiał przykłęknąć, aby wcisnąć się w półokrągły otwór obudowany cegłą. Z trudem, trzymając w jednej ręce świecę i podpierając się drugą, ruszył przed siebie. Pomyślał, że wielkolud Cameron nie miałby żadnych szans, aby się tędy przecisnąć. Niełatwo też musiało być teraz jednorękiemu oficerowi, który najpewniej zgasił niesiony przez siebie ogienek. Zresztą pora była chyba ku temu najwyższa, gdyż najprawdopodobniej znajdowali się już pod zamkiem i lada moment mieli wejść do jego piwnic.

Nie omylił się Żegota. Przed nim rozległ się gwar zduszonych szeptów, potem zachrobotał głucho jakiś przesuwany z mozołem kamień. Na kilka chwil zapadła cisza. Po niej zaś powiało chłodnym powietrzem i dało się słyszeć wyrwane z męskich piersi odgłosy ulgi.

Jeden za drugim spiskowcy poczęli opuszczać tajemne przejście łączące klasztor z warownią. Nadolski zdmuchnął świecę, wcisnął ją za pazuchę i w myślach poprosił o boską opiekę. Przebrnął jeszcze mały kawałek i poczuł, że nie ma już nad nim sklepienia. Sprawdził wyciągniętą ręką, a upewniwszy się, powstał. Wymacał wyciągające się ku niemu ręce i opuścił wąski otwór zbudowany dla niepoznaki na wzór innych kanałów ściekowych, do których wylewa się nieczystości.

Nieprzenikniona ciemność otaczała zbitych w grupę mężczyzn. Dopiero po dłuższym wyczekiwaniu Szkot znów skrzesał ogień i przyświecił. Od tej chwili sam już był niepewny, co może zastać dalej. Nie okazywał jednak tego po sobie, robiąc dobrą minę do złej gry. W pamięci odtwarzał wspomnienia sprzed kilkunastu lat, nie wiedząc, na co się teraz zdadzą.

Stali w sklepionej piwnicy z kamienną podsadzką. To właśnie jedna z dopasowanych płyt zakrywała otwór, którym wyszli z podziemia. Leżała teraz odsunięta na bok, niczym nie różniąc się od innych. Zmyślność budowniczych musiała robić wrażenie. Nawet gdyby ktoś odkrył studzienkę, mógł pomyśleć, iż jest to dawny ściek, przez nieuwagę kiedyś zakryty ociosanym kamieniem.

Murray chrząknął, rozglądając się dokoła. Przeszedł kilka kroków, przyglądając się zbutwiałej słomie leżącej na podłodze, jakimś resztkom żelaznych okuć, starym rzemieniom walającym się tu i ówdzie. Przy jednej ze ścian stało kilka pobielonych belek, jakby pozostałych po jakiejś budowie, drewniana kadź z zastygłą na ściankach zaprawą i wywrócone, pęknięte wiadro. Nic ponadto.

Szkot skrzywił się, wzruszając ramionami. Nie tak pamiętał tę piwnicę. Ale wiedział, że nakazał pan Potocki remont na zamku, więc nie dziwota, iż musiało się trochę pozmieniać. Szczęściem drzwi były w tym samym miejscu co uprzednio. Nadto nie wyglądały na nowe ani też solidne. Wilgoć lochu i zgniłe powietrze zrobiły swoje. Żelazo okuć kruszyło się pod palcami płatami rdzy. Nawet gdyby to wejście było zamknięte, starczyło uderzyć kilkakroć, aby ustąpiło.

Gestem Szkot przywołał Żegotę. Oddawszy świecę Błudnickiemu, zaparli się Murray wraz z siwowłosym szlachcicem ramionami o stare deski. Zaskrzypiało, zachrząściło, aż puściły zastałe zawiasy. Skrzydło dość łatwo się przesunęło, hałasując jednak przy tym nieznośnie. Dzierżący światło lisowczyk cofnął się odruchowo, aby blask płomyka nie padł na zewnątrz przez powstałą szparę.

Przycupnęli wszyscy w oczekiwaniu. Kilku sięgnęło do rękojeści zatkniętych za pasy noży. Tylko tę broń i czekany zezwolił zabrać swym ludziom Cameron, pomny, że w lochu szabla nieporęczna i brzęczy, a pistolet nadto hałaśliwy. Zastygli nieruchomi, gotowi walczyć w razie konieczności. Nic się jednak nie zdarzyło.

Jeszcze dwakroć musieli wyteńczyć siły Żegota z Murrayem, nim odchylił skrzydło na tyle, aby można było przecisnąć się szczeliną. Za każdym razem drżeli ze strachu, czy zgrzyt skrzeczącego żelastwa nie zwabi kogoś nieproszonego. Szczęściem albo nikt nie słyszał owego dźwięku, albo też nic sobie z niego nie robił.

Korytarz na zewnątrz był ciemny, ale na jego końcu widać było blask dopalającej się, zatkniętej w otwór w ścianie pochodni. Otyły Szkot z trudem przecisnął się przez wąską szparę pomiędzy kamienną framugą a okutą krawędzią starych drzwi. Gestem dał znak innym, aby wstrzymali się chwilę z pójściem za nim. Ostrożnie podszedł do przeciwległej ściany i przywarłszy do muru, przesunął się wzdłuż niego w kierunku światła.

Minuta minęła, nim czekający na jego powrót usłyszeli szelest kroków, a później szept:

– Za mną!

Pojedynczo wymknęła się z loszku cała grupa spiskowców. Odziani ciemno rozmyli się w ciemnościach, opierając się plecami o ceglana ścianę. Szkot cicho przeszedł kilka kroków ku Nadolskiemu. Prawie przytykając mu usta do ucha, oznajmił:

– Mamy szczęście. Nie ma nikogo, a przejście na wprost, jak pamiętam, prowadzi dokładnie pod wieżę. Tam najpewniej trzymają Kroguleckiego.

Szlachcic w milczeniu skinął głową. Tymczasem oficer już przesunął się ku dwóm z najbliższych ludzi Camerona.

– Zostańcie tu – polecił. – Pilnujcie nam tyłów i uważajcie na wszystko. Jakby była potrzeba albo nam pomożecie, albo dacie znać Ronanowi, co i jak się zdarzyło. Tylko cisza ma być.

Przeszedł do przodu i dał znak pozostałym, aby podążyli za nim.

Tunel łączył się z innym, wyższym, biegnącym prostopadle do niego. Na lewo wznosił się on ku schodom zamkniętym solidną kratą, na prawo zaś ciągnął kilkanaście kroków, by kończyć się sklepionym lochem. Wszystko to oświetlały porozmieszczane gdzieś po drodze pochodnie, niektóre już dogasające, inne jakby świeżo zmienione.

Stojąc za węglem, Murray cicho przywołał Żegotę. Wskazując w prawo, szepnął:

– Podejdz i zerknij, czy jest bezpiecznie.

Szlachcic ostrożnie wychylił się zza rogu. Nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, ostrożnie stawiając kroki, przeszedł w kierunku wskazanym przez Szkota. Dotarł do końca przejścia i przylgnął do muru, zamieniając się w słuch. Długo nadstawiał ucha, nim spośród szmerów oraz trzasków płonącego ognia wyłowił odległy brzęk metalu i pojedyncze niezrozumiałe ludzkie głosy. Zaklął w duchu, jako że nie

wiedział, skąd mogłyby dochodzić. Zaciśnął zęby, przykucnął i wychylił się na sekundę. Ujrzał jedynie pustą komorę, od której biegły dwa korytarze oświetlone migoczącym ogniem.

Wyprostowawszy się, szybkim ruchem przemknął ku przeciwległej ścianie i oparł się o nią. Zamarł na kilka sekund, po których przesunął się nieco w stronę najbliższego korytarza. Kątem oka dostrzegł, iż Murray wygląda na niego już z tego miejsca, w którym on stał jeszcze przed chwilą. Ruchem ręki dał przyjacielowi znak, aby tam pozostał. Sam zaś stanął jak najbliżej krawędzi muru i znów nadstawił ucha. Tym razem ludzkie głosy były już wyraźniejsze, choć nadal urwane i ledwie zrozumiałe.

– A ja jej wtedy... murwo jedna, przechodzona synogarlico... nie hadrunkuj się171...ani szeląga! – dobiegło gdzieś z głębi, a zaraz za tym rozległ się głośny śmiech.

Kiedy wybrzmiała wesołość, ktoś głośniej rzucił:

– Ale też ongiś była z niej kurwiczka jak się patrzy! Nie mów, że nie!

– Iiii! Stara, ale jeszcze ci powiem, że nikt jak ona kuśki... – Głos przycichł na chwilę, po czym znów odbił się od ścian rechot, jaki zwykł rozbrzmiewać, kiedy głupie pachołki ze sobą o wszeteczeństwach gadają.

Nadolski skrzywił się z niesmakiem, gdyż odwykł był od prostackich obyczajów powszechnych wśród żołnierzy i ciurów. Wąsa przyglądał, zastanawiając się, co dalej czynić. Nie wiedział, jak daleko są strażę, bo po lochu głos niosło, ani też ilu ludzi liczą. Czas zaś naglił, bo sporo go w tajemnym przejściu stracili, a najmniej drugie tyle potrzebowali na powrót. Dlatego, ponaglony wzrokiem Murraya, zaryzykował, ostrożnie zerkając za róg.

Odetchnął z ulgą, dostrzegłszy otwartą kratę, a za nią światło jaśniejsze niż to w korytarzu, wypływające z celi po prawej. To tam musieli siedzieć pachołcy starościńscy, zabijając czas opowieściami o prawdziwych i nieprawdziwych przewagach czy miłosnych podbojach pośród miejskich kurew.

Złośliwy uśmiech zakwitł na ustach szlachcica. Gestem dał znak, aby reszta spiskowców ruszyła do niego, sam zaś niczym duch przemknął w kierunku drugiego z korytarzy.

Przystanął i tym razem już z mniejszą rozwagą zerknął za węgiel.

Tunel zdawał się pusty. Ledwie oświetlał go żar zetlałych pochodni, bardziej kopających niż płonących. Po obydwóch stronach równomiernie znaczyły go rzędy pozamykanych drzwi. Solidnych, okutych, strzegących cel osadzonych za nimi ludzi. Jedynym kłopotem była gruba krata zamknięta na solidny zamek i dodatkowo opleciona łańcuchem spiętym wielką kłódką. Najpewniej klucze do nich mieli weseli strażnicy, którzy chyba nieświadomi tego, co działo się tuż obok nich, raczyli się winem.

Żegota odwrócił się w stronę Szkota, dając mu znak, że tam, gdzie przed chwilą spoglądał, nie ma żadnych straży. Murray uśmiechnął się, bo wszystko szło gładko, lepiej nawet, niż można by zaplanować. Dawniej, jak pamiętał, inaczej wchodziło się do więziennych kazamatów, trzeba by przemknąć przez zamkowy dziedziniec. Teraz sprawa wydała się nad wyraz łatwa.

Już zamierzał wśliznąć się z ludźmi do korytarza, gdzie siedzieli słudzy starosty, lecz zamarł w pół ruchu, słysząc najpierw brzęk kluczy, a potem bliższe:

– Wyszczuć się idę! A wy kolejkę mi trzymajcie i niech żaden nie rzuca beze mnie!  
Zarżał ktoś głośnym śmiechem, napominając:

– Tylko nie za długo, boś z tęsknoty za babą gotów sam ze sobą poigrać, albo i co gorszego!

Odezwał się na to kolejny chichot, nerwowy jakiś i zawstydzony, znamionujący kogoś młodego i życiem niedoświadczonego, przzerwany gniewnym, zupełnie już bliskim:

– Czekaj, abym z tobą nie poigrał, Ihor, psi synu! Oby cię franca dopadła! Tfu!

– A za cóż to niby miałyby mnie Bóg pokarać?! – Złośliwy rechot odbił się głucho od murów. – Po bożemu wszystko czynię, a o tobie różnie powiadają!

– Czekaj, czekaj! – Skamieniały Szkot ledwie o krok od siebie usłyszał dźwięk spadającego na ścianę strumienia moczu. – Żeby ja nie rzekł, co mi o tobie Marcyśka gadała! Ponoć na tureckie miłowanie ją chciałeś namówić! Co, Ihor? Waszak twoja babka z Tatarów pochodziła, więc może znany ci to obyczaj! He?

– A w rzyć się całuj!

– Ooo! Właśnie o tym powiadała!

Rubaszny śmiech podchmielonego pachółka zadźwięczał tuż obok, aż zawiercił w uszach skrywających się ludzi. Zaszleściły podciągane portki, zadźwięczały znów wiszące u pasa klucze. Potem zaszemrały na kamiennej posadzce ciężkie,

nierówne kroki, a następnie znów z oddali rozbrzmiała rozmowa, równie mądra jak ta zasłyszana przed chwilą.

Szkot wznosił oczy ku sufitowi i odetchnął z ulgą. Podziękowawszy w duchu Bogu, nasunął na głowę kaptur, wokół twarzy zawiązał ciemną chustę, tak że tylko oczy mu było widać. Poszli za jego przykładem pozostali, szykując się do rozprawy z pachołkami. W dłoniach pojawiły się noże i czekany, na co warknął cicho bezręki oficer:

– Żadnych trupów. Po łbie im dać i tyle. Zrozumiano?

Posłusznie zniknęły zaraz za pazuchami błyszczące ostrza zamienione na obuszki<sup>172</sup>. Murray wyjął z za pasa pałkę przypominającą kształtem buzdygan, choć całą zrobioną z drewna. Wskazawszy nią przed siebie, ruszył nadzwyczaj lekkim jak na jego tuszę krokiem, omijając z obrzydzeniem pozostawioną przez strażnika kałużę moczu.

Z łatwością dotarli do odemkniętej kraty, którą pozostawili beztroscy nadzorcy. Z pewnością nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa od tej strony, z której właśnie ku nim nadchodziło. Prześliznął się przez furkę Szkot i zaraz przyłgnął do ściany, a za nim zrobili to ludzie Camerona. Żegota pozostał na miejscu, tam gdzie stał, na końcu korytarza za rogiem, słusznie myśląc, iż zbyt wielu chętnych do bitki to tylko zamieszanie niepotrzebne. Poza tym mógł patrzeć, czy aby nic się nie dzieje za plecami jego kompanów, i w ten sposób osłaniać tyły.

Zerkając z za węgła, widział, jak powoli zbliżyli się do miejsca, gdzie światło padało przez uchylone drzwi, jak Murray, wzięwszy swą pałkę pod pachę, wskazuje tych, którzy pierwsi mają wpaść do celi, jak na palcach do trzech odlicza w milczeniu, by przy trzecim machnięciem ręki dać znak do ataku. Dalej zaś poszło tak szybko, że nawet krzyk się nie rozległ. Zabrzęczały ze stróżówki jakieś spadające ze stołów naczynia, zadźwięczał metal, zachrypiało czyjeś krótkie, przerażone, urwane w połowie:

– O kur...!

Łupnęło kilkakroć głucho, jakby kto w owinięty szmatą drewniany ceber walnął, i było po wszystkim. Zaiste, znali się dawni lisowczycy jak nikt na takiej robocie. Gdyby nie jasny rozkaz, pewnie dusze zamkowych pachołków już leciałyby do nieba, nawet nie wiedząc, kto je tak nagle uwolnił z okowów ciała.

Niespiesznie oderwał się Żegota od muru, zapobiegliwie obwiązując sobie jak inni twarz ciemną chustą. Przeszedł korytarzem tam, gdzie krzątali się już spiskowcy, ponaglani rozkazami dowódcy:

– Worki na łby i wiązać ich! Tak żeby ruszyć się nie mogli!

Sprawnie wypełnili polecenie doświadczeni żołdacy. Wciąż nieprzytomna trójka pacholków starościńskich zaległa pod murem. Odczepione od pasa jednego z nich klucze z brzękiem wylądowały na brudnym stole, na którym leżały jeszcze pośród wywróconych kubków i talerzy trzy wytarte od ciągłego użytku kości.

Szkot zmierzył wzrokiem wykonaną przez ludzi Camerona robotę i kiwnął z zadowoleniem głową. Potem wskazał w stronę korytarza, rozdzielając zadania:

– Dwóch na prawo, bo z tamtej strony jest wejście od dziedzińca. Baczyć, czy aby kto nie idzie. Jakby co, cicho siedźcie i na dół puśćcie, a potem w łeb i razem z tymi... – ręką wskazał nieprzytomnych strażników – ...rzucić. Reszta za mną. Pora Kroguleckiego poszukać.

Odwróciwszy się w stronę Żegoty, Murray rzucił krótko:

– Chodź!

Szybkim krokiem przeszli przez loch do drugiego z korytarzy. Tam dłuższą chwilę zajęło szukanie właściwych kluczy pośród wielu zawieszonych na pęku. Wreszcie Nadolski odchylił ciężką furkę, która zaskrzypiała nieprzyjemnie. Weszli w tunel, gdzie znajdowały się cele dolnej wieży<sup>173</sup>.

Zerknąwszy na Nadolskiego, Szkot mrugnął i rzekł żartobliwie:

– Teraz zgadnąć trzeba, gdzie nasz ptaszek siedzi.

– Byle prędko – odparł na to szlachcic, mało mu bowiem było do śmiechu.

Choć niby wszystko szło jak z płatka, czuł dziwny niepokój i rad byłby jak najrychlej rzecz skończyć. Poza tym nie przepadał za ciemnymi lochami i wąskimi tunelami, gdzie diabeł jeden wie, kogo można spotkać.

Zachrobotął klucz w zamku drzwi pierwszej celi. Błudnicki odpalił nową pochodnię, przyświecając. Inny lisowczyk mocnym pociągnięciem drzwi otworzył. Powiało mdłym, stęchłym powietrzem pełnym odoru ludzkich wydaliny i brudu.

Zakławszy, cudzoziemski oficer wziął od stojącego obok szlachcica płonąca żagiew i postąpił zdecydowanie dwa kroki do przodu. Głosem groźnym warknął:

– Kto tu?!

Wychynął z mroku nagle jakiś obdarty, cuchnący i zarośnięty nieszczęśnik. Chwycił Szkota pod kolana, zawodząc:

– Łaski! Łaski, jasny panie! Szósty miesiąc...

Nie zamierzał Murray słuchać tego lamentu. Odepchnąwszy natręta nogą, wrzasnął:

– Jak cię zważ?!

– Diderus! Jan Diderus! Mieszczanin tutejszy! Ja niewinny! To owego Ormianina...

– Zamykaj! – rozkazał stojącemu obok lisowczykowi bezręki dowódca, odwracając się na pięcie.

Nie musiał powtarzać polecenia. Pchnięte przez Błudnickiego drzwi zatrzęsły się gwałtownie. Nie zważał nikt na jęk i zawodzenie, jakie zza nich popłynęły, ani też na walenie pięściami biednego łyka, który do niczego im nie był potrzebny.

W kolejnej celi podobnie było. Skutek zaś jej otwarcia i krzyku, jaki się zrobił, był taki, że i z innych lochów poczęli przez drzwi wołać skazani, a to prosząc, a to grożąc na przemian.

Zakławszy, pokręcił Żegota głową i splunął z niesmakiem. Popatrzawszy na rozzłoszczonego Szkota, mruknął:

– Za długo zejdzie tak od drzwi do drzwi łązić. A przy tym nie wiadomo, czy się Krogulecki za kogo innego nie poda. Strażników spytać trzeba, gdzie zamknięty.

– To idź! – burknął Murray. – Pytaj! Byle prędko!

Wrócił więc Nadolski tam, gdzie złożono nieprzytomnych pacholków. Zawołał jednego z dwójki lisowczyków, która pozostała korytarza pilnować, wespół usadzili jednego ze strażników na krześle, a potem chlusnął siwy szlachcic winem z dzbana wprost na worek, jakim starościński sługa miał łeb zakryty.

Szarpnął się drab gwałtownie, wijąc się niczym ryba z wody wyciągnięta. Zaraz też przytrzymał go lisowczyk, przyciskając mu silnie ramiona. Żegota zaś, trąciwszy pojmanego w nogi, zapytał:

– Gdzie Krogulecki?!

– Co?!

Kolejna porcja rozwodnionego sikacza zalała okrywające głowę pacholka płótno.

– Krogulecki gdzie?! – powtórzył głośniej szlachcic.



Jeniec zakrztusił się gwałtownie. Podrygiwał od kaszlu, nie mogąc jednak nic uczynić z racji dobrze skrępowanych nóg i rąk. Cudem jakimś opanował wreszcie krztuszenie i wybełkotał:

– Powiem... Wszystko powiem... Na rany Chrystusa... Nie ubijajcie....

– Gdzie jest?!

– W klatce!

– Jaśniej mów! – Nadolski schwycił pachołka pod brodę.

– W studni w klatce wisi! Ja nie winien! Tak pan podstarości Bydłowski kazali, żeby skruszał!

– Gdzie ta studnia?!

– Poprowadzę!

– Gównu poprowadzisz! – Szlachcic mocniej zacisnął palce. – Gdzie studnia? Gadaj!

– Na prawo! Za kratą schodami w dół do lochu! – zawył pojmany.

Szlachcic puścił strażnika i się odwrócił. Energicznym krokiem, prawie biegnąc, ruszył, aby powstrzymać Szkota przed dalszymi bezowocnymi poszukiwaniami w celach. Jak bowiem mniemał, było już grubo ze dwie godziny po północy, czasu coraz mniej, a Kroguleckiego nadal nie zdołali odnaleźć. Musiał zaś Żegota wrócić z Murrayem do klasztornej celi najpóźniej o piątej, kiedy to dzwonek zaczynał wzywać mnichów do porannej modlitwy. Inaczej wszystko mogło się wydać, a pomsta pana starosty Potockiego byłaby sroga, gdyby odkrył, że ktoś zamierzał pokrzyżować mu plany dotyczące więźnia.

Prędko zamienił z przyjacielem kilka zdań ściszym głosem. Szkot skinął głową i zaklął szpetnie. Natychmiast przywołał ludzi i kazał im zamknąć korytarz tak, jak było uprzednio. Sam zaś, pociągnąwszy Nadolskiego za rękaw, zarządził:

– Idziemy!

Wrócili do miejsca, gdzie znajdowała się cela, w której siedział pilnowany przez lisowczyka ocucony strażnik. Jednoręki oficer wskazał dwóch pozostałych ludzi Camerona, rzucając ku nim:

– Za mną!

Dołączył także zdyszany Błudnicki, niosąc pęk kluczy.

Przeszli ostrożnie do końca korytarza, skąd wiodły dwie drogi. Jedna, schodami do góry, którą Murray pamiętał jako zejście do lochów z zamkowego dziedzińca. Druga zaś, niska i ciemna, na prawo. Dawniej, jak przypomniał sobie Szkot, istotnie było tam zejście do wykutej w skale studni, która mogła służyć obrońcom zamku za źródło podczas oblężenia. Z niej zresztą czerpano też dla skazańców w wieży, a także korzystano podczas mrozów, kiedy woda na zewnątrz zamarzała.

Teraz widocznie podziemne ujęcie służyło innym celom, albowiem wąski tunel przecięty był połyskującą jeszcze świeżym żelazem kratą. Niosący klucze lisowczyk po kilku próbach odnalazł właściwy. Przyświecając pochodniami, pochyleni, ruszyli przed siebie.

Strome schody wykute w wapiennej skale wiodły w dół ku niewielkiej jaskini. Nie była dziełem człowieka, lecz odkryto ją pewnie przy budowie zamku. Świadczyły o tym ledwie obrobione ściany oraz zwisające z sufitu poutrącane kamienne sople.

Pośrodku pieczary stała obmurowana niewysoką cembrowiną studnia, nad którą wzniesiono solidny kołowrót. Było wilgotno i zimno. Gdzeniegdzie na głazach okalających wykutą w ziemi dziurę białął nawet szron. Cuchnęło też zestarzałą wodą, która skraplała się na skale, spływała po ścianach albo też pluskała nierównomiernymi kroplami opadającymi ze sklepienia grotu.

Bez słowa pochylili się spiskowcy nad cembrowiną i spojrzeli w ciemną czeluść. Nawet jednak światło pochodni niewiele dało. Widać było tylko naprężony łańcuch zwisający z zablokowanego kołowrotu.

Gestem Murray nakazał brać się do roboty. Żegota z trójką lisowczyków złapali za pokaźne koło, poluzowali, a Szkot wyjął blokujący je bolec. Dopiero wówczas trzymający kołowrót poczuli, jaki ciężar musi być zawieszony na końcu łańcucha. Z trudem utrzymali przekładnię, by sapiąc i klnąc, powoli zacząć ją obracać.

Zaskrzypiały pordzewiałe ogniwa nawijane na dębową belkę, zajęczał naprężony mechanizm, zachrobotąło coś nieprzyjemnie z głębokiej czeluści. Odgłos ten przywodził Nadolskiemu myśli, jakby też z dna piekieł kogoś wywlekano, wydzierając go z trzewi protestującej zawrozczeniem żelaza i kamieni skały. Bo też istotnie, jeśli tam, w głębinie, kazał Kroguleckiego umieścić podstarość, to tak, jakby za życia dał mu przedsmak czekającej go w zaświatach gehenny.

Długo trwało, nim przyświecający Szkot w głębinie ujrzał skrzyżowane ze sobą pasy żelaza tworzące klatkę. Wyteżył wzrok, dostrzegając na jej dnie skulony ochłap ludzki, odziany w brudne łachmany. Leżał bez ruchu, niewrażliwy na to, co się działo. Przestraszył się Murray, że Krogulecki nie żyje, ale zaraz powściągnął obawy, skupiając się na tym, co ważne było w tej chwili.

Zakołysała się klatka nad cembrowiną, poczerwieniały na twarzy od wysiłku Nadolski stęknął gniewnie, przywołując jednorękiego oficera, aby na nowo założył blokadę. Kiedy Murray to uczynił, odsunęła się z ulgą czwórka mężczyzn od ciężkiego koła, sapiąc z wysiłku, klnąc i dysząc w pochyleniu, z rękami wspartymi na kolanach. Zaraz jednak wzięła górę ciekawość, dlatego prostowali się jeden po drugim i zaglądali do żelaznego kojca, w którym trzymano Kroguleckiego. Szkot z bliska żagwią przyświecał, ale więzień nawet się nie poruszył, jakby światła w ogóle nie widział.

Żegota, widząc kłódkę zamykającą kraty, przywołał Błudnickiego i kazał mu kluczami próbować. Na nic to jednak było. Żaden nie pasował. Musiał podstarość Bydłowski sobie go pozostawić, najwyraźniej nie ufając do końca więziennym pachółkom. Oddawszy pochodnię jednemu z ludzi, klnąc cicho pod nosem, szkocki oficer sięgnął za pazuchę i wyjął stamtąd kilka zawieszonych na kółku wytrychów. W milczeniu przechylił się nad kamiennym murkiem okalającym studnię, sprawdzając każdy po kolei. Wreszcie znalazł właściwy i w skupieniu jął nim grzebać w zamku. Zachrobotać, zgrzytnął metal o metal, rzucił kilkakrotnie Murray grube słowo, nim w końcu udało mu się otworzyć kłódkę, którą z odrazą cisnął w czeluść studni. Zdążył się wyprostować i odwrócić ku swym towarzyszom, nim z głębin rozległ się stłumiony plusk. Nie zwrócił na niego uwagi.

– Weźcie go – polecił.

Otworzył klatkę, wspomagani przez innych, siwy szlachcic z Błudnickim wywlekli z niej na wpół żywego, nieprzytomnego, wychudzonego człowieka. Brudne włosy i skudłana broda skrywały mu twarz, strzępy odzienia ledwie okrywały jego żalostną nagość. Aż trudno było uwierzyć, iż ów ludzki strzęp mógł kiedyś być wzbudzającym powszechny strach krwawym zbójnikiem.

Nie czas jednak był na takie rozważania. Wziąwszy Kroguleckiego pod ramiona, spiskowcy szybko przebiegli ku swoim towarzyszom pilnującym przejścia. Tam, strąciwszy naczynia ze stołu, ułożyli na nim wyciągniętego ze studni więźnia, a Murray wprawdzie sprawdził mu puls na szyi i nadgarstku.

– Żyje – zawyrokował, po czym, rozglądając się, dorzucił: – Odziejcie go w coś, bo wyziębiony.

Niezbyt fortunny dla nieprzytomnych pacholców okazał się ten rozkaz, albowiem nie znalazłszy nic innego, to w ściągnięte z nich portki i kubrak przyobleczono leżącego wciąż bez ducha. Ponieważ Szkot obawiał się, aby jakim słowem kto swej tożsamości nie zdradził, na nowo wziął po łbie ocucony niedawno strażnik, wracając bez zmysłów pod ścianę, do swych towarzyszy.

Sprawdziwszy więzy sług starosty, cudzoziemski oficer zakręcił się niepewnie wokół Kroguleckiego, a potem spojrzał pytająco na Nadolskiego.

– Może gorzałki mu wlać w gardło?

Szlachcic pokręcił głową.

– Zakrztusi się i ducha wyzionie. Widzisz acan, że ledwo żywy. Lepiej brać takiego, jaki jest. Może nie zdechnie w drodze.

Szkot skinął głową.

– Może i racja.

Jeszcze raz sprawdził puls u spoczywającego bezwładnie łotra, a potem nakazał ludziom Camerona brać go ze sobą. Szybko wykonali polecenie dawni żołnierze z lisowskiej chorągwi, znikając w korytarzyku wiodącym do sekretnego tunelu. Murray z Żegotą zajęli się z kolei usuwaniem śladów swojej bytności w podziemiach. Gasili pochodnie, wygładzali piasek, sprawdzali zamknięcia drzwi i dzielących korytarze krat. Wszystko należało zostawić takie, jak uprzednio było, aby więcej pytań zrodziło się w głowie podstarościego o zniknięciu Kroguleckiego, niż mógłby znaleźć na nie odpowiedzi. Na koniec Nadolski, podszedłszy cicho do furty na schodach wiodących na dziedziniec, otworzył zamek i uchylił ją nieco, aby w głowie Bydłowskiego zrodziło się podejrzenie, iż tędy musieli wejść i wyjść złoczyńcy uprowadzający osadzonego. Dobrze znał siwy szlachcic ludzki umysł, który raz spaczony błędnym założeniem, brnie w nieprawdziwe imaginacje, choćby nawet sprzeczności w swym rozumowaniu dostrzegał. Tę przywarę należało jak najumiejtniej wykorzystać, aby nikt nigdy nie poznał, co się naprawdę z Kroguleckim stało. Od tej zaś chwili los złoczyńcy został przypieczętowany.

Ciężko było ciągnąć nieprzytomnego wąskim tunelem i znosić po krętych schodach. Bezwładny, nieświadomy niczego, przemierzał tajemne korytarze, czasem

objając zwisającą głową o kamienie. W końcu nakazał mu Murray szmatami łeb omotać, aby tą przeprawą do cna nie wygnać życia ze słabowitego ciała.

Ponury szlachcic ze swym cudzoziemskim druhem mogli odetchnąć z ulgą dopiero wówczas, kiedy zniknęły za oknem nogi owiniętego w koc skazańca. Jeszcze wzrokiem odprowadzili niosących Kroguleckiego lisowczyków, którzy zniknęli w mrocznej uliczce, i w duchu podziękowali Opatrzności za udaną wyprawę. Wreszcie zatrzasnęło się małe okienko dominikańskiego klasztoru i wszystko ucichło. Bezszelestnie niczym duchy wrócili dwaj mężczyźni do wyznaczonej im przez przeora celi. Pora ku temu była najwyższa, bo ledwie trzy kwadransy później zabrzmiał dzwonek wzywający zakonników do porannej modlitwy. Wymęczeni, pogrążeni we śnie zażywny szkocki oficer i Nadolski nawet go nie usłyszeli.

Gdzieś tam, za miejskimi murami nad Dniestrem, niecierpliwie czekali na swych kompanów Cameron z trawionym niepokojącym, suchym kaszlem Stillerem. Ujrawszy spieszących w ich stronę lisowczyków, podjechali do nich, wiodąc luźne wierzchowce. Prędko zajęli się przywleczonym człowiekiem, przewieszając go przez siodło i wiążąc, aby nie spadł. Uczyniwszy to, ruszyli w mroźną, śnieżną pustkę, aby po chwili zniknąć w ciemnościach.

Obserwujący ich ze strychu pobliskiego domostwa odziany w czerń mężczyzna uśmiechnął się do siebie. Było tak, jak się spodziewał. Dopełniało się przeznaczenie. Do końca męczącej go już powinności brakowało mu jeszcze tylko śmierci dwóch ludzi. Potem miał być znów wolny.

## ROZDZIAŁ XV

### KROGULECKI

Dwa dni minęły od porwania Kroguleckiego z lochów halickiego zamku, nim Nadolski i Murray pożegnali się grzecznie z dominikańskim przeorem, zabierając też ze sobą pozostawionego przy koniach Bejdę. Oznajmili szacownemu ojcu, iż już udało im się załatwić sprawy prowincjała Kucharskiego w Haliczu, a zatem pora im w drogę powrotną do Przemyśla ruszać. Ani się pytał przeor o ich sprawy, zajęty jak wszyscy niezwykłymi zdarzeniami, o których głośno się w całym grodzie zrobiło. Kazał bowiem pan podstarości Bydłowski wszem wobec oznajmić o nagrodzie znacznej, jaką wyznaczył za schwytanie zbiegłego z wieży złoczyńcy zwanego powszechnie Kroguleckim.

Zanim jeszcze Żegota ze Szkotem opuścili miasto, różnych się opowieści o tej ucieczce nasłuchali. Prawili jedni, iż to dawni kamraci w sukurs swojemu hersztowi przyszli. Inni zaś powiadali, że wcale więzień nie uciekł, tylko wypuścił go potajemnie starosta Potocki w zamian za ujawnienie tajemnicy ukrytych skarbów, a teraz dla niepoznaki fałszywe wieści kazał rozpuszczać. Te wersje jeszcze najbardziej prawdopodobne były pośród innych, w których diabły z piekła żywcem zabrały ze sobą beskidnika albo też czarownik Krogulecki w mysz się zamienił, znudzony przedłużającym się pobytem w lochu. Przyznać trzeba, że siwy szlachcic z przyjacielem przez ostatnie dwa dni swego pobytu w Haliczu znaczny wkład mieli w rozsiewanie najróżniejszych przedziwnych plotek, krążąc po gospodach i w każdej z nich co innego mówiąc. Przez to zamieszanie się takie uczyniło, że choćby kto chciał prawdę poznać, nie byłby jej w stanie spośród bajań wyłuskać. Tylko czasem ci, którzy na zamku służyli, choć zawrzeć kazał im gęby pan podstarości, wyjawiali, iż musiał być w halickiej twierdzy jakiś zdrajca, który sprawę komuś ułatwił. Kim był i kto uwolnił Kroguleckiego, tego jednak pan Bydłowski nie odkrył. Chodził więc wściekły, ludzi wszędzie rozsyłał, aby tropów szukali, a wieczorami głowił się, jak rzecz przedstawić panu Potockiemu, który przecież jemu zawierzył w sprawie zbójckiego złota. Oj, obawiał się pan podstarości o swój świeżo otrzymany urząd, bo nie chciałby stracić prestiżu ani intrat z niego płynących.

Mało jednak Szkota i Żegotę obchodziły kłopoty pana Bydłowskiego. Kiedy dowiedzieli się, że urzędnik nic nie wie i nie podejrzewa, zadowoleni z siebie wsiedli na konie i ruszyli w drogę, pobłogosławieni przez odzianego w czarno-biały habit przeora, tam gdzie mieli się spotkać z Cameronem i Stillerem. Do miejsca, które zgodnie z planem zawczasu kazał przygotować olbrzymi dowódca, aby w nim można było bezpiecznie całą sprawę zakończyć.

Niespiesznie podążyli trzej jeźdźcy traktem na Lwów, aby później, zbaczając z niego, skierować się ku wsi Podciemno położonej pośród rozległych lasów. Opodal sioła miał dawny lisowczyk jedną z kryjówek, z której korzystał w razie potrzeby.

Posiłkując się podanymi uprzednio przez Ronana wskazówkami, wędrowcy minęli położoną pośród puszczy osadę. Jadąc wzdłuż zamarznętego potoku zwanego przez miejscowych Zubra, skręcili ku górze nazywanej Snereczyną. To tam, jak zadeklarował Cameron, mieli wyglądać ich jego ludzie na trzeci dzień od rozstania w Haliczu.

Niedługo musiał rozglądać się po lesie jadący przodem Bejda. Już po dwóch kwadransach wędrówki pomiędzy drzewami usłyszał, iż dolatujący go odgłos sowy nie dość, że zbyt wczesny, to jeszcze nie z ptasiego gardła wyszedł. Zaraz też zaszemrały z naprzeciwka po śniegu końskie kopyta i objawiło się dwóch lisowczyków z rusznicami. Mrużąc oczy, jeszcze raz ocenili, czy aby nie omylili się, wychodząc z kryjówki, a potem ponagliли wierzchowce i rażno podjechali bliżej.

Krótkie było powitanie, choć serdeczne. Wymarzli jednak podróżni oraz czujka, więc czym prędzej chcieli się znaleźć przy ogniu. Wciąż wspinając się pod górę, przejechali pomiędzy Snereczyną a Iwanową i znaleźli się na długim zalesionym górskim grzbiecie. Dalej skierowali się na południe, ku Kobylicy.

Już niedaleko było do starej chaty, gdzie kiedyś ponoć bartnik pilnujący dzikich pszczół mieszkał. Dawno opuszczona, mało była przez kogokolwiek nawiedzana, bo, jak powiadali miejscowi, na uroczysku pogańskim ją postawiono, więc niedobrze było tam chadzać. Bajano zresztą, iż starego bartnika diabli wzięli za to, że do cerkwi nie uczęszczał, lecz tak naprawdę zwyczajnie ze starości umarł. O tym jednak tylko Cameron wiedział, gdyż to on w lesie parę lat wcześniej trupa znalazł i pochował. Od tamtej pory w razie potrzeby korzystał ze starej chałupy pośród ostępów. Może i nie była najwygodniejszym schronieniem, ale z pewnością bezpiecznym.

Dojechawszy na miejsce, bez zwłoki podróżni zeskoczyli z siodeł, bo aż skostniały im członki od mrozu. Unoszący się z komina dym kusił, aby czym prędzej wejść do przysadzistej chałupy i się ogrzać, rozkoszując się ciepłem. Przy okazji niepokoił się Murray z Żegotą, czy aby przeżył podróż Krogulecki, albowiem na wpół żywego zegnali go wynoszonego przez klasztorne okienko.

Bejda zaprowadził konie do ogaconej szopy, obecnie prowizorycznej stajni. Ciasno tam było, ale też dzięki temu konie od siebie nawzajem grzać się mogły. Nadto szło do niej ciepło z chaty, gdyż jedną ścianą przylegała do dawnego domostwa bartnika. Szlachcic tymczasem ze Szkotem, schylając się, przekroczyli próg niskich drzwi chałupy. Nie zniechęcił ich przy tym gęsty opar, jaki buchnął im w twarze, niosący ze sobą mieszaninę zapachów ludzkich ciał, strawy i nagrzanego wilgotnego drewna. Wiele więcej by znieśli dla rozkosznego ciepła, jakie ich owionęło.

Zaraz podniosły się wesołe okrzyki powitania i tumult się zrobił, bo ciasno nad wyraz było w izbie, gdzie pomieścić się musiało kilkunastu ludzi. Wszyscy jednak tym bardziej weseli się nagle stali, gdyż przyjazd oczekiwanych podróżnych zwiastował, że rychło sprawa się zakończy i będzie można opuścić niewygodne schronienie. Na lisowczyków zaś czekała już gdzieś tam sowita zapłata, a z nią także miody, wina i kobiety, na które będzie ją można przetracić. Nadal bowiem trzymał Cameron swoją kompanię o suchym pysku, a wiadomo, że nie służy wojakom taka abstynencja i tęskno im było do hulanki. Aż skręcało niektórych od tego, tym bardziej że od dwóch dni z nudów o niczym innym nie gadali, jak o tym, jak to sobie pofolgują, gdy do jakiego miasta zajadą. Nawet Stillerowi, który zwyczajny był żołnierskich obyczajów, hadko było słuchać o niektórych planach wesołych hultajów, szczególnie tych, co niewiast tyczyły. Może sprawiały to jednak gorączka i kaszel, które od kilku dni męczyły Saksończyka, przez co zdenerwowany chodził i nieswój. Nadto nie dawał mu herszt lisowczyków samemu z Kroguleckim pogadać, tłumacząc to zawartą umową i oczekiwaniem na pozostałą dwójkę, przez co Niemiec jeszcze bardziej się złościł, choć w duchu rozumiał Szkota. Tym bardziej iż musiał porwany łotr do sił wrócić i męczyć go przesłuchaniem nie byłoby wskazane.

Zrzedły nieco miny Żegoty i Murraya, kiedy Cameron koźuch zarzucił i wskazując na drzwi, rzekł, aby wyjść, bo w izbie nijak spokojnie pogadać się nie da. Żal było opuszczać ciepłe pomieszczenie, ale też rację miał olbrzymi Szkot, a trzeba było się jakoś ułożyć.



Zmrok zapadał, ale księżyc na bezchmurnym niebie dawał wystarczająco dużo światła, żeby się można było obejść bez pochodni. Czterej mężczyźni grubo zakutani w futra odeszli kilkanaście kroków od chaty i stanęli za węglem szopy, gdzie trzymano konie. Bezręki oficer odruchowo niemal sięgnął po manierkę, ale wyjąwszy ją, zawahał się, widząc wbity w nią wzrok Camerona. Sapnął nerwowo rudy wielkolud, palcami brodę przygładził, aż wreszcie, machnąwszy wielką łapą, mruknął:

– Dawaj, na zdrowie.

– Na zdrowie! – Uniósł flaszkę zadowolony Murray, uśmiechnął się i solidnie pociągnął gorzałki.

Od jednego do drugiego powędrowała manierka, by na koniec wrócić za pazuchę futra zażywnego oficera. Ciepłej mu się od razu zrobiło, a i Nadolski pokraśniał na licu. Teraz można było już gadać, nie myśląc o tym, aby jak najprędzej do chaty powrócić. Żegota pierwszy się odezwał w sprawie Kroguleckiego.

– Powiedzcie acan gdzie on, bo że żywy, to wiem. Już mi to w chałupie ludzie waszmości oznajmili.

Olbrzym machnął głową w kierunku tyłów domostwa.

– W komórce, co dawniej bartnik świnie trzymał. Kazałem mu tam posłanie zrobić. Ciepło ma, bo to od komina niedaleko. No i z dala od innych, a upilnować łatwo.

– Przytomny?

– Jako żywo. Jeszcze się za Haliczem na koniu ocknął, aż trzeba było go na nowo wiązać, bo się szarpać zaczął. Twardy jest. Inny w takiej gościnie, jak w lochu u pana Potockiego, dawno by ducha wyzionął. Sama skóra i kości, krwią plwa, jak kaszle, ale się trzyma. Dobrze, bo też nie chciałbym kazać nieprzytomnego uśmiercać. Niech wie, za co zdycha.

– To na koniec – zaoponował Murray. – Pierwej naszą sprawę trzeba załatwić. Gadał już z nim kto? – Wymownie popatrzył na Stillera.

Niemiec przełknął ślinę i pokręcił głową.

– Nie – odpowiedział cicho. – Słowo to słowo. Miałem czekać na was, to czekam. Zresztą... – machnął ręką – ...w pierwszy dzień ledwo zipał, to nijak było z nim mówić. Tyle że go ów Waśko, co go jegomość Cameron za kata zabrał, obmył, opatrzył i ogolił.

– A on nie pytał o nic? – dopytywał zażywny cudzoziemiec, przytupując, bo od ziemi ciągnęło.

– Gdzie tam nie! – prychnął jego okazałych rozmiarów rodak. – Zagadywał Waśka, ale mu zabroniłem się odzywać, więc nic nie wskórał u pachółka. Potem do tych, co mu jeść noszą, się zwracał, z równym skutkiem. Aż w nocy wrzeszczeń zaczął, spać nie dawał, więc trzeba mu było głowę zatkać. Teraz cichy, wilkiem tylko łypie, bo chyba pojąć nie może, na co go w więzach trzymamy, skoro go z więzy wyciągnęliśmy. Diabeł go jeden wie, co myśli. Może nawet, że to jakiś podstęp starosty halickiego albo co? Pewnie zrzędzie mu mina, jak dowie się, czemu tu przyjechał.

– O sobie nic nie rzekł? – upewnił się Murray.

– Nic – odrzekł krótko Saksończyk.

Zapadła cisza na dłuższą chwilę. Wszyscy wiedzieli, co się musi nazajutrz zdarzyć, ale nikt nie kwapił się jakoś, aby konkretnie o tym rozmawiać. Przemógł się wreszcie Żegota, któremu ziąb znów zaczął bardziej dokuczać. Spoglądając ku Cameronowi, zagadnął:

– To jak będzie?

Rudobrody sapnął, popatrzył po stojących mężczyznach i wzruszając lekko ramionami, oznajmił:

– Zwyczajnie. Tak jak ustalone. Jutro od rana macie czas, aby się z nim rozmówić. Jak minie południe, koniec. Wtedy ja się do swojej roboty zabieram. Nawet jak zacznie gadać albo kusić, że później powie, co chcecie usłyszeć, nic to nie da. Niech wie, że przyszedł nań koniec. Śmierci się już nie wywinie.

Murray, zerknąwszy na Nadolskiego i Saksończyka, skinął głową.

– Niech tak będzie. Jak przez ten czas nic nie powie, trudno. Słowo się rzekło. Z samego rana zaczniemy.

– W mojej obecności – zaznaczył Cameron.

– W twojej obecności – przytaknął zażywny Szkot.

Sięgnąwszy znów po flaszkę, upił, a potem puścił manierkę dokoła. Kiedy Żegota raczył się okowitą, oficer zapytał wielkoluda:

– Gdzie chcesz go sprawić? Tutaj?

– Tutaj – potwierdził olbrzym. – Dalej go ciągać nie zamierzam.

– Długo ci to zajmie?

– Waśko wprawny, ale ponaglać go nie będę. Taki mam rozkaz i za to zapłacone, żeby ten łajdak pocierpiał trochę. I tak mało jak za to, co innym ludziom czynił.

Strasznie zabrzmiały te spokojne słowa, jakby nie o ludzkiej śmierci, lecz o czymś zwyczajnym rozmawiano. Nawet bywały na wojnach Żegota poczuł niemiły metaliczny posmak napływającej mu do ust śliny. Widomą oznakę, że tęskniąca za zniwami kostucha czaiła się już gdzieś tuż obok.

Odganiając nieprzyjemną myśl, bezręki Szkot przytupnął, poklepał się dla rozgrzewki po ramionach i zapytał rzeczowo, siląc się na obojętność.

– A z trupem co?

– A ooo...! – Cameron machnął głową w kierunku chaty. – Tam się go ciśnie i wszystko podpali. Nie będzie mi potrzebna ta kryjówka, bo zbyt długo z niej korzystałem. Ślad po nim nie zostanie.

– Potem się rozjedziemy?

– Każdy w swoją stronę. – Olbrzym skinął głową. – Zresztą... – uśmiechnął się – ...wiosną się na powrót zobaczymy, bo chyba zaproszenia do Sikawca nie cofasz?

– A gdzie by tam! – Murray uniósł kąciki ust.

Niezbym szczerze zarysował się na jego twarzy ten grymas wobec tego, o czym wszyscy teraz przecież myśleli. Jakoś nie udało się rudemu Szkotowi próba odwrócenia uwagi od tych posępnych rozważań wymuszoną wesołością. Wszak niedaleko, tuż za ścianą, leżał ten, któremu jutro kat miał zgotować straszliwy koniec. Każdy zaś z czterech mężczyzn wiedział już, jak miał on wyglądać. I zaprawdę nie było miłe wyobrażenie sobie tego, a jeszcze mniej miła świadomość, iż nazajutrz naprawdę to się wydarzy.

Rozumieli wszyscy, że okrutnik i zbrodniarz był Krogulecki, wiedzieli, że jego śmierć tylko na lepsze świat zmieni, ale przecież to był człowiek jak oni. Inna sprawa w boju kogo ubić albo prędko życia pozbawić, a inna zamęczyć. Choć Nadolski rzekł ledwie przed paroma dniami, że chętnie kaźń obejrzy, teraz wcale nie było mu spieszno do tego. Inaczej sprawa się miała, jak z Krasickim kończyli na Sobieniu. Do niego czuł osobistą nienawiść za to, co jego żonie i dzieciom uczynił. A tu tylko słyszał o potwornościach, których się łajdak Krogulecki dopuścił. Gdyby od Żegoty coś zależało, kazałby mu po prostu łeb uciąć, bez zbędnego okrucieństwa. Cameron miał jednak dokładne dyspozycje, co ma uczynić, a jako rzetelny najemnik

nie myślał ani na krok odstąpić od owych instrukcji. Tak samo tu o karę dla zbrodniarza chodziło, jak o kupiecką solidność. Danej zaś ojcu zabitej panny obietnicy olbrzymi Szkot łamać nie zamierzał.

Jeszcze raz przeszła manierka dokoła, nim ocierając brodę wierzchem dłoni, rudy wielkolud zapytał:

– Chyba już wszystko wiadomo?

Skinęli głowami pozostali mężczyźni, bo radzi by byli znów w chałupie się znaleźć. Tak z racji wieczornego przejmującego chłodu, jak i z nadziei, iż w rubasnej kompanii łatwiej będzie od siebie niewesołe myśli odsunąć. Najwięcej zaś rodziło się ich w umyśle Stillera. Mieszały się w nim nadzieje z obawami, sprawiając, że górę brało w nim ponure przygnębienie. Czuł się dziwnie zmęczony, a gorzałka tylko na chwilę rozgrzała go i rozweseliła. Teraz znów powróciły dreszcze, jakie od paru dni przeszywały mu ciało, a nadto mimo mrozu wilgotna od potu koszula lepiła się nieprzyjemnie do pleców. Z ulgą usłyszał głos Murraya, który odwracając się na pięcie, rzucił:

– Chodźmy więc. Pora co zjeść i się przespać, bośmy z panem Żegotą zdrożeni.

Jeszcze bardziej parna zdała się Saksończykowi izba, gdzie rozłożyli się wszyscy wokół rozpalonego pieca. Nieprzyjemnie wierciły go w nosie zapachy gotowanego jedzenia, wzbudzając mdłości. Przysiadł w kącie na rozłożonej słomie, nie bardzo do rozmów się garnąc. Nawet zapytał się go Żegota, zaniepokojony błyszczącymi oczami przyjaciela, czy aby gorączka go nie zmoęła, lecz mruknął na to Stiller krótko, iż dobrze się ma, a potem dorzucił, że wyspać się chce, i powstrzymując siłą atak gwałtownego kaszlu, ułożył się pod ścianą.

Długo trwały gadanina i przekomarzanki między ludźmi Camerona i Nadolskim z Murrayem. Potem Bejda od koni przyszedł i z Waśkiem za piecem się umościli, blisko miejsca, gdzie były drzwi prowadzące do chlewika. Co chwila ktoś tam zaglądał, upewniając się, czy aby Krogulecki jakiejś krotchwili nie szykuje. Skrzypiały nieprzyjemnie drzwiczki, mącąc półsen, w jaki zapadł Saksończyk. Znalazł się gdzieś na granicy mary z rzeczywistością, ani nie miał siły, by wstać i otrzeźwieć, ani też sposobu, żeby jego umysł całkiem ogarnęła otchłań ułudy. Słyszał wszystko, lecz mieszały mu się głosy prawdziwych ludzi z tym, co podszeptowały mu myśli. Na dodatek co chwila oblewała go fala chłodu, by zaraz zamieniać się w nieznośne wręcz uczucie dusznego gorąca.

Męczył się tak jeszcze ze dwie godziny, nim powoli cichnąć zaczęli ludzie, gasnąc rozmowy, aż wreszcie zdmuchnął ktoś ostatnią świecę i wypełniły izbę nierówne odgłosy śpiących mężczyzn. Mieszały się ciężkie sapania z chrapaniem i odgłosem ognia trzaskającego pod blachą. Migotał na ścianach czerwonym blaskiem ogień płonący w spękany piecu. Skrzypiało drewno w starej chacie tak od mrozu, jak pod naporem okrywającego strzechę śniegu. Gdzieś tam, z lasu, dobiegło przez moment długie, żałosne zawodzenie wilka.

Powoli plątały się niespójne myśli w głowie Stillera w sieć sennych rojeń, aż wreszcie całkiem im uległy. Nie był to jednak zdrowy sen, albowiem zdało się Niemcowi, że wszystko to, co się w nim dzieje, jest jawą.

Oto znajdował się w tej samej izbie co teraz, ale nikogo w niej nie było prócz niego. Panowała cisza, zimna, martwa, dręcząca. Wzbudzała niepokój przeradzający się w strach, a potem wręcz pewność, iż ktoś lub coś, przyczajone w bezruchu, wpatruje się w plecy odwróconego do ściany leżącego człowieka. Dręczące było to uczucie, tym bardziej iż nagle w głowie Saksończyka zrodziło się przecucie, niemal wręcz pewność, kim jest owa istota, która przeszywa go wzrokiem. To był on. Odziana w czerń Nemezis ścigająca go przez całe życie.

Ciarki przeszły po plecach kalekiego oficera. Zastygł w bezruchu, powtarzając w myślach słowa modlitwy. Niczego bardziej nie pragnął, niż uwolnić się od przytłaczającego uczucia bezradności, jakie go ogarnęło. Fizycznie wręcz czuł, jak zaczyna palić go ciało pod ciężarem wbitego weń martwego spojrzenia.

Zebrał całą siłę swej woli, przywołując gniewną, ostateczną odwagę. Ręką pomacał bok, szukając jakiegokolwiek broni, lecz jej nie znalazł. A potem odwrócił się gwałtownie, gotów bronić się do ostatka albo wręcz rzucić naprzeciw przeznaczeniu i zginąć, byleby tylko przerwać ową dręczącą ciszę oczekiwania. Lecz zamiast krwawego pojedynku czekało na niego coś innego, czego nigdy by się nie spodziewał. Coś, co sprawiło, że zastygł w bezruchu, a oczy rozszerzyły mu się w wyrazie bezgranicznego zdumienia.

Naprzeciw, tuż obok starego glinianego pieca, siedziała młodzianka dziewczyna. Przepiękna, taka, jakiej jeszcze nigdy Stiller nie widział. Odziana w biel, smukła, blada, z wijącymi się wzdłuż cudownej twarzy blond włosami. Jej błękitne jak niebo oczy wpatrywały się w Niemca niemal czule, z łagodnym wyrazem spokojnego współczucia. Na jej delikatnych karminowych ustach błąkał się przyjazny półśmiech, powabny i kusicielski, a zarazem niewinny.

Ochłonął powoli saksoński oficer, wstając z podłogi. Milczał, nie wiedząc za bardzo, co mógłby powiedzieć. Wiedział, że to tylko sen, ale był tak wyrazisty, iż zdawał się bardziej namacalny niż jawa.

Urodziwa nimfa uśmiechnęła się i uniosła z krzesła. Łagodnym ruchem wyciągnęła przed siebie dłoń. Kiwnąwszy palcami, zachęciła stojącego naprzeciw mężczyznę, aby się zbliżył. Nic nie mówiła, ale ten gest był tak oczywisty, iż bez wahania ruszył Niemiec w jej stronę. Gardło dławilo mu poczucie niewypowiedzianego szczęścia, a w duszy rozlał się nagły spokój, jakby zupełnie nieważne były wszystkie lęki, które dręczyły go jeszcze przed chwilą.

Dłoń dziewczyny spoczęła na piersi Stillera, tam gdzie biło jego serce. Uniosła głowę i spojrzała wprost w oczy wysokiego mężczyzny. W jej wzroku dostrzegł dobroć i oddanie, a także coś jeszcze, od czego dreszcz go przeszedł. Niewinną lubieżność, kusicielsko zachęcającą, aby sięgnął po to, czego chciał. Wszak był to tylko sen.

Przymknął na ułamek sekundy powieki, ogarnięty poczuciem niewymownego szczęścia. Czuł delikatne palce przesuwające się po jego torsie i przyływ gorącego podniecenia w lędźwiach. Już prawie unosił ramię, aby przygarnąć piękną nieznajomą, kiedy otworzył oczy. Wtedy fala mrozu przeszła przez jego ciało, nad którym nagle stracił władzę. Nie był się w stanie poruszyć, sparalizowany gwałtownym przerażeniem.

Oto nie stała już przed nim blondwłosa piękność, ale naga, pobita dziewczyna z brandenburskiej wioski. W jej wzroku nie było miłości, lecz nienawiść. Usta, zamiast uśmiechu, wykrzywiały grymas pogardy i tryumfu. Pokryte brudem i krwią szponiaste palce nie pieściły już męskiej piersi, ale wbijały się w nią, rozdzierając z potworną siłą skórę i kości. Ból był straszliwy. Stiller czuł, jak zaciska się ręka zabitej dawno temu panny wprost na jego sercu, a to powoli ustaje, bijąc coraz wolniej i wolniej.

Wargi dziewczyny rozchyliły się, odsłaniając pokryte krwią zęby. Spomiędzy nich wydarł się szept, bardziej podobny do syku węża niż ludzkiej mowy:

– Mörder!174

Chciał coś odpowiedzieć Saksończyk, spróbować się usprawiedliwić, błagać o wybaczenie, lecz nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. Czuł, jak krew przestaje krążyć w jego żyłach, oddech zamiera, a piersi przyciska niewyobrażalny

ciężar. Wiedział ogarnięty przerażającą pewnością, iż jeśli nic teraz nie zdoła uczynić, umrze. Ostatkiem sił, resztką woli wykrzesaną z dna gasnącego ciała, wycharczał:

– Jesus!

Poderwał się gwałtowne na posłaniu, chwytając oddech jak ryba wyciągnięta z wody. Zakrztusił się, łapiąc się za serce, które waliło jak oszalałe. Pot spływał mu z czoła i skroni dużymi kroplami, a kołnierz koletu dusił niczym sznur szubieniczny. Szarpnął go palcami, rozrywając spinającą go pętlę. Dopiero wówczas mógł w pełni zaczerpnąć powietrza.

Powoli się uspokajał. Wokół byli tylko śpiący towarzysze, nikogo więcej. W duchu powtórzył sobie kilkakrotnie, że to był tylko zły sen. Majaki wywołane gorączką, która ogarniała osłabione ostatnimi zdarzeniami ciało. Jednak gdzieś na dnie umysłu Niemca tlił się strach wywołany bezzasadną, ale uporczywie jątrzącą myśli pewnością, że zbliża się śmierć. Jego śmierć.

Opadł z westchnieniem na wyściełane słomą klepisko. Znieruchomiłymi, szklistymi oczami wpatrzył się w nikiący w mroku sufit, który pokrywały resztki łuszczonego się wapna. A potem, wiedząc, że już nie zaśnie do świtu, jął odmawiać różaniec.

Ledwie pierwszy brzask wdarł się przez szpary zabitego deskami okienka, wstali do koni Waśko z Bejdą. Ostrożnie stąpając pomiędzy śpiącymi, wyszli przed chatę. Skrzypnęły drzwi, po czym wybudzać zaczęli się i inni. Rozlegały się ciężkie westchnienia, ziewnięcia, odcharkiwanie. Czasem ktoś splunął na bok, nie bacząc na dobre obyczaje. W milczeniu wstał jeden i drugi, aby przed chałupą ulżyć pęcherzowi. Kolejny do pieca dorzucił resztę porąbanego drewna, a gdy z żaru ogień się nie podniósł, począł dmuchać głośno w palenisko. Wszystkie te odgłosy wracającego życia przynosiły Stillerowi ulgę. Choć miał przymknięte oczy, jedynie udawał, że śpi. W głowie zaś wciąż dręczył go obraz ujrzanego we śnie widziadła.

Zebrał się w końcu i Cameron, czochrając się po zmierzwionych rudych włosach. Klnąc grubo, ponaglił co poniektórych, aby polan przynieśli, śniegu nabrali, by go w garze na piecu rozpuścić, albo też przejechali się konno po okolicy, żeby zobaczyć, czy kto się nie kręci w pobliżu. Zaniechał czujek na noc, nie chcąc ludzi na mrozie trzymać, więc teraz tym bardziej chciał wiedzieć, jak się rzeczy mają.

Niespiesznie wracała do życia zaspana kompania, jak to zwykle bywa o wczesnym poranku, kamraci snuli się w milczeniu z krzywymi minami, mało ze sobą gadając. Co głodniejsi dojadali ze stołu resztki wieczerzy. Inni zebrali się, aby świeżą strawę uwarzyć z wyciągniętych z sakw zapasów. Wszystko powoli, aby swoim rytmem wróciły do sprawności mdłe jeszcze członki i umysły.

Żegota podszedł do posłania Stillera, przykucnął i trąciwszy go ręką, mruknął:

– Już czas.

Zamrugał powiekami Saksończyk, udając, że właśnie się wybudza. Usiadł, ziewając i przecierając oczy. Głową skinął, na znak, że rozumie, po czym powstał podtrzymany przez Nadolskiego. Siwy szlachcic zaniepokoił się, widząc bladość na twarzy przyjaciela i jego wilgotne, posklejane włosy.

– Zgrzany jesteś acan, jakbyś z łaźni wyszedł. Febra cię trzęsie?

– Nic to – wychrypiął jedenonogi oficer, machnąwszy ręką, czując przy tym ostry ból w gardle. – Przejdzie.

– Napij się czego ciepłego albo przegryź co. Nie najlepiej wyglądasz.

– Bo i tak się czuję – odburknął Stiller.

Podszedł silącym się na energiczność krokiem do stołu i sięgnął po chleb. Ugryzł pajdę, ale zaraz po pierwszym kęsie niedobrze mu się zrobiło, więc odłożył napoczętą kromkę, rozglądając się za czymś do picia. Murray podał mu usłużnie kubek, wpatrując się z niepokojem w kompana.

– Wzięło cię – stwierdził. – Aż bucha od ciebie gorącem.

– Mówiłem, że minie! – wycharczał ostrzej Niemiec, zirytowany niepotrzebną mu troską.

Szkot wzruszył ramionami, zerkając ku Żegocie. Ten podszedł bliżej Camerona i zapytał:

– Zjemy co czy od razu idziemy do niego?

– Wedle waszej woli. Czas macie, jak mówiłem, póki południe nie minie. Na posiłek zawsze pora się znajdzie, ale jemu coraz mniej życia. Sami wybierzcie, ja się dostosuję.

– Więc? – Nadolski rzucił pytające spojrzenie na Stillera.

– Ja głodny nie jestem. Wy róbcie, jak chcecie – mruknął Niemiec i dopił zimnej wody z kubka, która złagodziła nieco ostry ból w gardle.



– Tedy nie ma co zwlekać! – stwierdził Murray zdecydowanym głosem.

Zatarłszy ręce, podszedł do zaryglowanych drzwi chlewika. Popatrzył jeszcze na swego rudego krajana, a kiedy ten głową skinął, odsunął skobel. Schylając się i przekraczając próg, poprosił:

– Świece weźcie ze dwie albo trzy najlepiej, bo ciemno tu jak w rzyci.

Cameron i Żegota odpalili od ognia nawoskowane knoty i poszli za bezrękim Szkotem, niosąc przed sobą migotliwe światło. Odprowadzały ich poważne, skupione spojrzenia krzątających się po izbie lisowczyków, z których niejeden przystanął na chwilę bez ruchu, zastanawiając się, o czym też Cameron z trójką kompanów będą gadać z Kroguleckim. W niektórych głowach zrodziła się nawet natrętna myśl, iż pewnie o ukryte przez zbójca złoto chodzi, a z nią podejrzliwość i potrzeba, aby nie dać się okpić, jeśli w istocie o ów skarb szło. Tak bowiem jest, iż chciwość nawet pomiędzy zżyтыми ze sobą ludźmi potrafi wprowadzić nieufność, a gdzie o złoto idzie, tam często kończy się przyjaźń.

Westchnąwszy ciężko, ocierając wilgoć ze spoconego czoła, ruszył wreszcie za trzema kamratami Stiller, nękany przecuciem, że wszystko to na nic, bo raz przesądanego losu nie jest w stanie człowiek odmienić. Wspomnienie niepokojącego snu tylko wzmagало w nim to przeświadczenie, a gnębiony nagłą gorączką umysł pełen był najczarniejszych myśli o klątwie, śmierci i wiekuistym potępieniu.

Pomieszczenie, gdzie dawniej świnie chował bartnik, ledwie na sześć stóp było wysokie, tak że Cameron musiał się garbić, aby o belki trzymające dach głową nie walnąć. Obszerne w miarę, składało się z dwóch oddzielnych kojców. Do jednego z nich niedawno dorzucona została słoma wyrwana ze strzechy, aby jeńca na gołej ziemi nie trzymać. W drugim walały się resztki przegniłej podściółki, wyschniętej i sypiącej kurzem przy każdym stągnięciu. Śmierdziało mieszaniną świńskiego gnoju, zgnilizny i mysich odchodów.

Krogulecki siedział na ziemi przywiązany do słupa stojącego dokładnie pośrodku komórki. Wykręcone w tył ręce więźnia oplatały drewnianą podporę, mocno związane od nadgarstków aż po łokcie prawie. Również nogi miał skrepowane, tak iż nie było szans, aby mógł się z więzów wyswobodzić. Musiały sprawiać mu ból ciasno zaciągnięte sznury, lecz nawet grymasem nie dał tego po sobie poznać. Wodził jedynie w milczeniu przytomnym wzrokiem, pełnym zarówno ciekawości, jak i nienawiści, za stojącymi naprzeciw niego mężczyznami. Obok niego leżała

opróżniona miska, w której dostał parę minut wcześniej śniadanie, i niedopity kubek z wodą.

Na chwilę zatrzymał spojrzenie na twarzy Żegoty i ledwie zauważalnie wykrzywił usta w wyrazie pogardliwej kpiny, jakby już znał skądś siwego szlachcica. Nie uszło to uwagi Nadolskiego, choć inni tego nie dostrzegli. Z zaciekawieniem przyglądali się krwawemu łotrowi, który ponoć najgorsze zbrodnie miał na sumieniu.

Inaczej wyglądał teraz niż w chwili, kiedy go ze studni halickiego lochu wyjmowali Żegota z Murrayem. Choć wynędzniały i blady, wychudzony długotrwałym cierpieniem, jednak mimo to i krępujących go więzów prawie że dumnie się prezentował. Widać było, że liczył nie więcej niż trzydzieści kilka lat. Twarz miał ostrą, ale wciąż młodą. Ogolona, zdała się nawet przystojna i gładki musiał być ongiś z Kroguleckiego kawaler. Włosy gęste, ciemne, ładne, bez śladów siwizny, choć postrzępione od nożyc. Najbardziej jednak przykuwały uwagę jego oczy. Duże, o migdałowatym kształcie, jasnoniebieskie, okolone gęstą kurtyną ciemnych rzęs, długich niczym u niewiasty. Szlachetne i harmonijne było jego oblicze, od razu przywołując u spoglądających nań mężczyzn myśl, że nie z chłopem ani łykiem mają do czynienia, lecz ze szlachcicem.

Przedłużała się niezręczna cisza, więc odezwał się w końcu jeniec zniecierpliwionym głosem:

– Napatrzyliście się już dość? Co? To może powiedzcie mi z łaski swojej, kim jesteście i czego ode mnie chcecie. Przysiąc mogę, że jak byłem wolny, żadnego z was na oczy nigdy nie widziałem. Jakiż tedy to rankor do mnie macie, że mnie w więzach jak zwierzę trzymacie spętanego? Krewnego wam ubiłem? Okradłem? Dom spaliłem? – Wydał pogardliwie usta i zmarszczył nos. – No! Mówcież! Nudno tak wzrok w siebie wbijać, a i mało mądrze przy tym wasze gęby wyglądają!

Cameron ściągnął krzaczaste brwi. Pokiwawszy wielką głową, przykucnął, aby nie garbić się pod niską powalą i wprost w twarz zajrzeć zbrodniarzowi.

– Co do ciebie mam, dowiesz się rychlej, niż przypuszczasz. Jak tylko południe minie. Koniec na ciebie przyszedł, panie Krogulecki, czy jak ci tam jest naprawdę. Jeszcze dziś do piekła pójdziesz, więc nie sil się na złośliwości, a z Bogiem jednaj.

Zaśmiał się więzień chrapliwie, aż kaszleć zaczął, skąd kropelki krwi pojawiły mu się na ustach. Nie mogąc ich otrzeć, oblizał się, a potem, łypnąwszy z nienawiścią na rudego wielkoluda, wycedził:

– A kto ty jesteś, żeby mnie sądzić i karać? Co?

– Prawdy chcesz? – Olbrzymi Szkot przysunął się bliżej. – Więc rzeknę ci prawdę. Jestem najętym zbójem, który w rzyki ma to, co mówisz, i wszelkie twoje prawa. Dziś gardło dasz, a wcześniej poigra z tobą kat, bo za to mi zapłacono. A kto mi zapłacił i dlaczego, szepnę ci do ucha, nim ducha wyzioniesz. Doczekasz się.

Krogulecki zmrużył oczy i przygryzł wargi. Odetchnął kilkakrotnie ciężko przez nos, by głową skinąwszy, oznajmić:

– To rozumiem. Wdzięczny za szczerą jestem. Widzę, żeś acan konkretny człowiek, tedy i ja... – zerknął chytrze – ...konkretną mam sprawę do ciebie. Ile dał ci ten, co mojej głowy chce? Co?

– Moja rzecz. – Cameron uśmiechnął się pobłaźliwie, wiedząc, co za chwilę usłyszy. Nie omylił się.

– Trzy razy tyle ci dam, jak mnie puścisz – wysyczał łotr kuszącym szeptem. – Wszak wiesz dobrze, że mam ukryte złoto. Dlatego trzymał mnie tak długo w lochu starosta halicki. Jemu nic nie rzekłem, ale tobie... – Zawiesił głos, unosząc jeden kącik ust w półuśmiechu.

Rudy wielkolud zaśmiał się głośno. Nagle jednak jego twarz spoważniała, a głos stężał w ponurym i groźnym zarazem tonie.

– U mnie życia nie kupisz. Dwa razy nie handluję tym samym. Choćbyś miał i tyle bogactw co sułtan turecki, nic ci nie pomogą. Ja nie Potocki, żeby mnie kusić.

Krogulecki zaśmiał się, odsłaniając zęby w grymasie sztucznej wesołości pomieszaney z rozczarowaniem. Pokiwawszy głową, rzucił:

– Zawsze warto spróbować. Namysł się waść. Prędko i bez należytej rozwagi odpowiadasz, a tu o przyszłość twoją, twoich dzieci i wnuków nawet chodzić może.

– O moje dzieci i wnuki się nie troskaj. Starczy im z tego, co mam. Gadać z tobą więcej nie zamierzam, bo tylko tyle chciałem ci oznajmić, żebyś się na śmierć szykował. Cokolwiek byś uczynił, cokolwiek obiecał, rzecz jest przesądzona i nikt ci pomóc nie może. Nawet sam diabeł, który pewnie już miejsce ci u siebie rychtuje. To ci powiadam, zanim moi druhowie się z tobą rozmówią, abyś głupio nie sądził, iż z nimi cokolwiek ugrasz. – Cameron splunął na bok, by zaraz się odsunąć, a potem oprzeć o ścianę swoje szerokie plecy.

Więzięń parsknął z niesmakiem i ze złością. Popatrzywszy spode łba na milczącą trójkę, warknął:

– Na co mi z nimi gadać?! Co?! Skoro rzecz postanowiona, nie ma co czekać! Dalejże! Do roboty się bierz panie nieznajomy, bo nie mam ochoty po próżnicy ozorem mleć! Ani słowa o skarbie ode mnie nie wyciągniecie! Ani wskazówki! Co?! Mniemaliście, że w jedną chwilę uda się wam to, co się skurwysynowi Potockiemu w rok nie udało?! Nie ze mną takie gierki! – Przerwał na kilka sekund, zachichotał cicho i wysyczał: – Myśli pan Potocki, że sprytną sztuczką mnie złamie?! Możecie mu powtórzyć, że pierwaj mnie musi uwolnić, a ja słowem ręczę, że list dostanie, gdzie złoto schowałem! Szlachcic jestem i tego, co przysięgam, zawsze dotrzymuję!

Postąpił na to Murray krok wprzód i głową pokręcił.

– Mylisz się, jak mniemasz, że to starosty halickiego sprawka. Ani nam nic do niego, ani jemu do nas. O złocie gadaj, jak chcesz, albo nie gadaj. Nas to nie obchodzi. O czym innym chcemy się z tobą rozmówić, zanim, jak ucziwie ci nasz przyjaciel wyznał, kat cię w swoje ręce weźmie.

– A ty coś za jeden?! – burknął jeniec, krzywiąc usta.

– Nazywam się William Murray.

– Nie znam! – prychnął Krogulecki. – O czym niby chcesz ze mną mówić, pludraku?!

– Na początek o tym, jak się naprawdę nazywasz.

Zaśmiał się głośno pojmany, jakby żart przedni słyszał. Zaraz też rzucił złośliwie:

– Widzę, że nie tylko ręki, ale i rozumu waszmości brakuje! Czemu niby miałbym rzec coś o sobie?! Co?!

– Bo na śmierć idziesz.

– A ty kto?! Ksiądz, żeby mnie spowiadać?! Zresztą... – odcharknął i splunął w bok różową od krwi śliną – ...nie mnie byłaby potrzebna spowiedź, bo i po co?

– W zbawienie nie wierzysz?

Zastygł na sekundę więzień, a potem głowę powoli odwrócił, patrząc spode łba tak, iż dreszcz mógł przesyć człowieka. Mówiąc wolno, chropawym głosem wycedził:

– Posłuchaj mnie aść, skoroś ciekaw. Było, że chciałem zobaczyć, jak wygląda ludzka dusza. Jednemu księdzu, com go schwytał, łeb powoli oderznąłem, ale nic prócz krwi nie uleciało z przeciętej szyi, chociaż w nią zaglądałem na wszelkie sposoby. Pomyślałem, że może lepiej jaką niewinną istotkę sprawić, bo pewnie w niej duszyczka najlżejsza i najbardziej ulotna. Dlatego niebawem jednego

chłopczyka małego podobnie zarząłem z takim samym jednakże skutkiem. Co więc może być po śmierci, jeśli nie ma duszy? He?!

Wzdrygnął się bezręki oficer na taką odpowiedź, przejęty zarówno zgrozą, jak i obrzydzeniem do siedzącej przed nim bestii w ludzkiej skórze. Opanował jednak wzgardę, pochylił się ku Kroguleckiemu i rzekł:

– Jedyna dla ciebie pociecha tak myśleć, bo wiesz w głębi serca, że czeka cię tam, po drugiej stronie, wiekuista kara. Łudź się dalej. Przekonywać cię nikt do prawd wiary nie zamierza, bo aniśmy księży, ani teolodzy. Stanisław Popiel może i podobnie jak ty myślał, ale poczekać musiał jego duch po śmierci, zanim przyszedł po niego ten, którego się bał.

Stężała gwałtownie twarz skrępowanego mężczyzny. Przez ułamek sekundy w jego gniewnych źrenicach pojawił się strach. Moment to był ledwie, ale poznał Szkot, iż celnie trafił.

Zapadła cisza. Jeniec odetchnął kilkakroć głęboko, zakaszłał, znów krwią splunął.

– Wody – poprosił ledwie głośniej niż szeptem.

Powoli podszedł do niego Żegota, przykucnął i przytknął mu do ust kubek. Łapczywie napił się Krogulecki kilka łyków i oblizał spękane wargi. Patrząc z bliska w twarz szlachcica, zapytał:

– A ty kto?

– Moje nazwisko Nadolski.

– Nadolski... – powtórzył więzień, kręcąc głową. – Nie słyszałem.

Nie odezwał się na to siwy szlachcic, tylko odstawivszy naczynie, wyprostował się i cofnął o krok. Tymczasem pojmany zadarł brodę i z uśmiechem rzekł:

– Stanisław Popiel, powiadasz... Mówili mi, że zdechł kurwi syn albo też, rzecz dokładniej ujmując, na śmierć się zapił. Szkoda, bo lekki to koniec. Tyle dobrze, że nie dla zabawy, ale ze strachu pił... – Krogulecki zachichotał niemiło. – Pod siebie robił, a taki dzielny był kiedyś z niego rycerzyk! Taki hardy!

– Bo wiedział, czego się boi i że nie ma przed tym ucieczki – odrzekł na to Murray.

– Ucieczki? – Krogulecki uniósł brwi, jakby istotnie szczerze zdziwiony. – A na cóż uciekać, skoro rzekomo wszystko przesądzone? Co mu z tego pijaństwa przyszło? Zabrała go śmierć tak, jak każdego zabiera. Nie ma czego się bać.

– Nie ma? – Bezręki Szkot przyklęknął, czując, że właściwą drogą podąża. – To czemu i Żeliborski lata całe na modlitwie spędza? Co?

Parsknął jeniec, mrużąc oczy.

– Taaak, wiem... – wycedził półgębkiem. – Słyszałem, że świętym chce zostać, spróchniałe ściervo. Stary, to i zgłupiał z wiekiem... – Wbił uważne spojrzenie w twarz Murraya. – Dużo wiesz, waść, albo ci się tak zdaje.

– To wiem na przykład, że właśnie Żeliborski cię wydał staroście halickiemu, kiedyś wedle Błudnik obozował. – Zażywny oficer wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiešku.

– Tak? – odburknął kpiąco skrępowany. – A jakimże to sposobem? Oj... – zmarszczył nos – ...żarty sobie stroisz ze mnie, panie Murray czy jak ci tam.

– To nie żarty – przyszedł w sukurs przyjacielowi Żegota. Przerwawszy na ułamek sekundy, zaryzykował. – Sen miał, w którym ona mu rzekła, gdzie cię szukać.

Oblicze Kroguleckiego znów zastygło, a bruzdy wokół ust pogłębiły się od napięcia mięśni.

– Ona? Jaka ona? – wychrypiał, lecz czuć było, iż nieszczercze. Dlatego odparł mu Nadolski:

– Dobrze wiesz.

Zamilkł więzień, zaciskając usta. Przełknąwszy ślinę, uniósł wzrok na Żegotę.

– Śmierć. Piękna i straszna zarazem. O niej mówisz? – Opuścił głowę, nie czekając na odpowiedź. Wpatrzony w ziemię dokończył: – Od tamtej chwili wszystkich nas dręczy, przypominając o nieuchronnym końcu. Zwodzi urodą, aby potem ze snu wyrywać, nie dając na powrót zasnąć. O tobie też mi powiedziała tam, w lochu, że w dniu, w którym cię ujrzę, umrę. Nie wymieniła twego imienia, ale poznałem cię od razu. – Powoli podniósł wzrok. – Ty też jesteś jak ja przeklęty? A może jemu służysz? Co?! Odpowiedz!

Postąpił krok w przód Stiller, wiedząc, że pora nadeszła. Udręczony falami naprzemiennego gorąca i zimna, jakie przenikały mu ciało, z zaciśniętym boleśnie gardłem, wychrypiał głucho:

– Nie on jest przeklęty, lecz ja. Tak samo jak ty, Popiel i Żeliborski. Widziałem tego, o którym obaj wiemy, kiedy duszę twojego kamrata do sakwy zabierał. Po mnie i po ciebie też przyjdzie. Wiesz o tym.

Zmrużył powieki Krogulecki, wzrokiem od stóp do głów zmierzył Saksończyka, aż wreszcie wybuchnął głośnym, złym śmiechem, zadowolony, że nie tylko na nim ciąży kłątwa. Machnął głową i rzucił:

– Rad jestem poznać, bo najpewniej niebawem w jednym saku się znajdziemy! – Wyszczерzył zęby w krzywym uśmiechu. – Jak też godność waćpana?

– Swoje nazwisko powiesz? – Niemiec schylił się, aby lepiej widzieć twarz pojmanego. Ten, fuknąwszy przez nos, odparł:

– Nie znasz go? Myślałem, że wiecie, kto jestem.. – Skinął głową. – Dobrze! Powiem, kiedy ty mi się przedstawisz. Słowo.

– Jestem Werner Stiller. Szlachcic z Saksonii, dawny oficer dragoński.

– Zaszczyt poznać. – Skrępowany łotr skłonił się z kpiącą dwornością. – Ja jestem Jerzy Baczyński herbu Sas.

– Baczyński... – Żegota pokiwał głową, przypominając sobie, że i to nazwisko wspomniał Kucharski w Przemyślu pośród innych. Jeniec wydał usta, rzucając wyzywająco:

– Co? Zaskoczyłem acana? Niekontent jesteś z czegoś, żeś taki zdumiony? Kogoś innego się spodziewałeś?

– Nie – zaprzeczył zamyślony Nadolski. – Został w takim razie jeszcze drugi z Popielów – rzekł bardziej do siebie niż do więźnia.

– Chyba w piekle! – wysyczał jeniec wściekle, a potem splunął ostentacyjnie.

– Nie żyje? – upewnił się siwy szlachcic.

Baczyński nie odpowiedział. Zamiast tego, patrząc wilkiem, zapytał:

– Czego ode mnie chcecie? Że nie złota, już wiem. Że kłatwę znacie, także wiem. Więc czego? Ani wy mnie pomóc nie możecie, ani ja wam! Dalej! – zawołał ku Cameronowi, skierowawszy wzrok w jego stronę. – Kończyć trzeba ten niepotrzebny spektakl, panie nieznajomy! Męczą mnie twoi kompani! Skoro dziś ma być mój koniec, to po co czas tracić na czczą gadaninę?!

Wielkolud wzruszył ramionami.

– Rzekłem ci już, że koło południa zacznę. Taki mamy układ. Ani chwili dłużej, ani krócej, nawet jakbyś gębę zawarł i nic nie mówił. Co ci tak spieszno? Uwierz mi, że nie ma do czego.

– Lepsze to, niż pytań słuchać, na które zdaje się tym, ooo tam stojącym... – machnął głową, wskazując na Stillera – ...że odpowiedź znajdą! – Zakaszłał, splunął spienioną śliną, a potem ze złością zawołał: – Furda cały ten kram! Co znaczy życie?! – Zaśmiał się diabelsko niemal, tym straszniej, iż krew różowiała mu na zębach. – Tamci w strachu skończyli, a ja, co użyłem na tym świecie, to moje! Nikogo się nie lękałem i nie lękam! Nikogo! Ani też nie ma grzechu, którego bym nie zasmakował! Co ma być, to będzie! W rzyci to mam! – Łypnął na Saksończyka i wykrzywił się w szatańskim półuśmiechu. – Tobie też dobrze radzę tak jak ja żyć, zamiast z pełnymi portkami za siebie się oglądać! Dopiero kiedy wyrok nieuchronny nad tobą wisi, możesz naprawdę poznać, czym jest prawdziwa wolność! Znając koniec, jaki cię czeka, wypełnij czas pomiędzy teraz a jego przyjściem wszystkim, na co masz ochotę, ale do czego bałeś się przyznać!

Zmarszczył brwi Stiller i głowę spuścił, na co zachichotał Baczyński.

– Co? Znalazłoby się trochę rzeczy, o których nawet myśleć hadko, a jednak kuszą? Prawda? No... – Przechylił się ku Saksończykowi, aż zaskrzypiały napinające się sznury. – Zdradź waszmość, co ci tam w duszy gra. Może tureckiego miłowania byś kontent zasmakować? Co? Albo też kończąc, gardło być chciał dziewce poderznąć, żeby zadrgała na twojej kuście? Próbowałem i uwierz mi, warto! – Zaniósł się śmiechem, aż znów kaszel go porwał gwałtowny, po którym krew pociekła mu z kącików ust.

Siedzący pod ścianą Cameron westchnął głośno, by rzec po chwili wolno mocnym głosem:

– Zdaje ci się, panie Baczyński, żeś straszny, ale dla mnie jesteś jeno bydłem żalonym, przez które dużo krzywdy się dobrym ludziom stało. Tyle w tobie demona, co brudu za paznokciem. Nad słabszymi się pastwiłeś, przed mocniejszymi jak szczur umykając. Taka twoja sława zostanie. Żaden z ciebie charakternik ani też sokół stepowy, tylko wesz, która póty ludzi kasa, póki się jej nad świecą nie spali. Potem zaś jeno smród nieprzyjemny czuć. Nic więcej.

Szarpnął się jeniec w więzach, patrząc nienawistnie na wielkoluda. Przez zęby wysyczał:

– Gdybym ja cię...

– Gdybyś mnie na swej drodze spotkał, to niczym zając byś chyłkiem uchodził z portkami pełnymi łajna – przerwał mu rudobrody Szkot, ani o nutę nie podnosząc



tonu.

Baczyński prychnął pogardliwie, opierając się tyłem głowy o słup i przymykając oczy. Zastygł tak, udając obojętność na to, co usłyszał, a także na ludzi, którzy koło niego stali.

Pokręciwszy głową, Żegota przykucnął przy więźniu. Powoli zaczął mówić, zważając na każde słowo.

– Nie licz, że szacunek i podziw w nas wzbudzisz, ani też strachu w nas nie wywołasz. Tylko obrzydzenie swymi zbrodniami. Chwalić się nie masz czym, bo zabijanie bezbronnych to żaden powód do chwały. Nikt tu cię zwodzić nie zamierza ani udawać, że skórę ocalisz, bo tak nie jest. Nadto, jak rzekłeś, w to, że człowiek duszę posiada, nie wierzysz, a nawet jeśli gdzieś tam, w głębi twego serca tli się jakaś iskra wątpliwości, to dobrze wiesz, iż prostą drogą do piekła pójdziesz. Mało wierzymy w pozór twej obojętności w obliczu śmierci, każdy bowiem się jej lęka. Nawet zwierz najgłupszy.

Więzień uchylił powieki, wlewając w swoje spojrzenie całą pogardę, jaką w sobie znalazł. Nie odezwał się jednak. Nadolski zaś dalej pociągnął swą myśl:

– Może ci się zdawać, iż wobec tego nic ci zaoferować nie możemy, skoro i tak twój los przesądzony. Mylisz się jednak, mości Baczyński. Mamy coś, co właśnie ty najlepiej pojdziesz i czego tak naprawdę pragniesz.

Skępowany mężczyzna wykrzywił się z lekceważeniem.

– Co takiego niby? – rzucił.

– Zemstę, panie Baczyński. Za twój los i żalony koniec. Ostatnie słowo w twojej historii, którego już nie usłyszysz, ale umrzesz, wiedząc, że kiedyś wybrzmi.

Jeniec przełknął ślinę, nie odrywając wzroku od Żegoty. Zadrzała mu grdyka, kiedy zdławionym głosem ponaglił:

– Mów!

– Dobrze wiesz, żeś przekłety. Tak jak i on. – Ruchem głowy Nadolski wskazał Stillera. – Ten, co was ściga, to jedynie kat, który ma wykonać wyrok. Ale za nim stoi gdzieś sędzia, który go wydał. Przysięgniemy ci, panie Baczyński, że odnajdziemy owego sędziego, który skazał twoją duszę na potępienie, i ukážemy należycie. Dla ciebie nie ma już ratunku, dla mojego druha może jeszcze się znajdzie. Skoro ktoś klątwę nałożył, pewnie też wie, jak ją zdjąć można. To jest nasz cel, który

wspólny jest z tym, czego pewnie zawsze pragnąłeś. Choć jesteś łotr i łajdak, odpłacimy za ciebie. Zginie ten, co przywołał diabła, który cię przez całe życie goni.

Zadrżały usta więźnia, w oczach zatliła mu się iskra podejrzliwości pomieszanej z pokusą. Z wahaniem w głosie zapytał:

– I co, jeśli byście go znaleźli?

– Jedna jest kara za czary. Wiesz jaka.

Baczyński zmarszczył czoło, myśląc nad tym, co rzekł Nadolski. Nie spodziewał się tego, iż usłyszy coś, co przekona go do mówienia. Teraz jednak się zastanawiał.

Spojrzawszy na kubek stojący na ziemi, mruknął:

– Wody mi daj!

Duszkciem wypił wszystko z przyciśniętego do ust naczynia. Westchnął ciężko, przymknął oczy, a kiedy je otworzył, zapytał:

– Kuisz mnie nadzieją na pomstę? Co mi z niej po śmierci? He?

Nadolski, udając obojętność, wzruszył ramionami.

– Sam sobie odpowiedz.

Oczy skrępowanego mężczyzny zwięziły się w wyrazie czujnej podejrzliwości.

– Przysięgniecie, że znajdziecie tego, co rzucił na mnie przekleństwo, i pošlecie go do piekła?

– Na honor szlachecki ci przysięgam – odrzekł Żegota.

Baczyński powiódł wzrokiem po bezrękim Szkocie i Stillerze, a ci, skłaniając głowy, jeden po drugim oznajmili:

– I ja przysięgam

– Moje słowo też masz.

Jeniec przesunął wzrok na Camerona. Ten, wzruszając ramionami, burknął:

– Na mnie nie licz, bo nie moja to rzecz. Oni swoje sprawy mają, ja swoje. Tyle powiedzieć mogę, że obecni tu to moi przyjaciele serdeczni i jeśli mnie o co poproszą, we wszystkim ich wspomogę. Tobie jednak przysięgi składać nie będę.

Skazaniec skinął głową na znak, że rozumie. Przygryzł wargi i milczał kilka dłużących się minut, nim oparł głowę o drewniany słup i przemówił:

– Pytajcie więc, a ja wam szczerze odpowiem. Wszak po co ma się nam czas do południa dłużyć?

Popatrzył po oficerach Żegota, a widząc, iż żaden nie kwapi się pierwszy pytania zadać, sam zaczął:

– Od najważniejszej rzeczy spróbuję. Czy wiesz, panie Baczyński, kto klątwę na ciebie, Żeliborskiego i Popielów rzucił?

Uśmiechnął się jeniec półgębkiem, odpowiadając kpiąco:

– Łatwiej byłoby, co? – Odwrócił twarz ku Nadolskiemu. – Nie wiem, choć rzekła mi wiedźma Horpyna z Czarciego Jaru, że ktoś taki być musi. Najpewniej czarownica, co zawezwała swego sługę, którego Rusini zwą tutaj Prychyp<sup>175</sup> z tej racji, że jak się do kogoś raz przyczepi, do śmierci będzie go ścigał. Zabić go ponoć nie można, bo on już martwy. Ma swoją sakwę duszami wypełnić i diabłu je oddać, wtedy sam zostanie wyzwolony. Tyle mi owa jędza Horpyna rzekła, gdym u niej był. Nic więcej. Czart jeden wie, ile w tym prawdy, a ile zabobonnego bajania.

Skinął głową Nadolski, by od innej strony spróbować:

– Kiedy zatem spotkałeś tego diabelskiego sługę? Zdarzyło się wcześniej coś, co mogło być przyczyną przekleństwa?

– Kiedy? – Baczyński zmrużył oczy, jakby przywołując wspomnienia. – Wtenczas, kiedyśmy przed pościgiem tatarskim uchodzili po tym, jak nam się nie udało porwać Tuhajowego bękarta?

Murray ze Stillerem przykucnęli bliżej, aby nic nie uszło ich uwagi, Żegota zaś zachęcił jeńca:

– Opowiesz waszmość wszystko, jak było?

Pojmany skinął lekko głową. Zapatrzywszy się w stojącą opodal świecę, rozpoczął:

– Zaczęło się to cztery lata po tym, jak Kantymir te strony najechał, co go potem hetman Konięcpolski pod Martynowem<sup>176</sup> rozbił. Wrócił na Sicz skurwysyn Żeliborski, gdy dowiedział się, że Michała Doroszenkę na Krymie ubili. Gdzie się szwendał przez ostatnie trzy lata, diabeł go jeden wie. Dość, że ani groszem nie śmierdział, ani też do kompanii z nim nie bardzo się kto garnał, bo raz, że stary, a dwa, pamiętali mu ludzie, że się za Żmajłą opowiedział, przez co nad Jeziorem Kurukowskim wielu gardło dać mogło<sup>177</sup>. Kręcił się pomiędzy różnymi, że niby rzecz pewną i zyskowną ma zaplanowaną, ale prawie nikomu z nim po drodze nie było, gdyż wprzódy chciał, aby pieniądź gotowy na konie i wszystko co trzeba wyłożyć. Aż trafił w końcu na braci Popielów i mnie, bo z nimi się wtenczas

trzymałem. Zналиśmy starego już wcześniej. Ja ledwie raz na chadzce z nim byłem, ale Popielowie kilkakroć i zawsze z zyskiem. Dali się więc przekonać, oddając psiemu synowi komendę, ja zaś przy tej okazji na czwartego zostałem dołożony. Więcej Żeliborski nie chciał, żeby za dużo chętnych do podziału zysków nie było. Kiedy zaś wszystko już gotowe mieliśmy, wyjawiał nam, co umyślił. Nam zaś na głowie włos się zjeżył, tak ryzykowne było to przedsięwzięcie. Ale też gdyby się udało, dumki by o nas przez lata śpiewano nad Dniestrem i Donem. – Odwrócił się w stronę Nadolskiego, przerywając na chwilę. Przymrużywszy prawe oko, mruknął: – Zdaje się, że wiesz acan, co Żeliborski zaplanował. Nieprawdaż?

– Wiem – przyznał szlachcic. – Chcieliście porwać syna krymskiego murzy, a potem okup za niego wziąć.

Baczyński kiwnął głową.

– Tedy opowiem wam to, czego najpewniej nie wiecie, bo o tym kurwi syn niechętnie gadał. W tym najpewniej tkwi klucz, aby znaleźć tego, kto klątwę rzucił. Mnie się nie udało, ale wy, skoro przysięgliście i swój interes macie, próbujcie odkryć. Otóż zagadką było, kto Żeliborskiemu całą sprawę nadał, że dobrze wiedział, gdzie i kiedy będzie szła karawana, w której jedna z żon Tuhaja z jego ulubionym synkiem jechała. Na dodatek słabo chroniony był ten orszak, aż prosząc się, żeby kto ze sposobności skorzystał. Nam powiedział psi syn tyle tylko, iż jeden z krewnych murzy pomsty na nim szuka za jakąś niesprawiedliwość i to od niego ma wieści, kiedy i w którym miejscu się zasadzić. Piąta część okupu miała dla niego iść. Nie dopytywaliśmy więcej, co uznać można za jawny objaw głupoty z mojej strony, szczerze przyznaję. Co do Popielów, to z natury oni byli głupi, więc dziwić się trudno. W każdym razie cichcem na Krym poszliśmy, aby w ukryciu czekać na znak, który mieliśmy od owego zdrajcy dostać. W istocie, najpierw zniknął gdzieś Żeliborski, a potem, kiedy powrócił, z dwie niedziele przyszło nam czekać, nim nadjechał jakiś szczelnie okryty pohaniec, który się na osobności z naszym ówczesnym hersztem rozmówił. Kto to był, nie widziałem. Jedyne wyrwało się raz nieopatrznie Żeliborskiemu imię Hamid, które zachowałem w pamięci. Od tej chwili wszystko szybko poszło. Zasadziliśmy się tam, gdzie nam stary przykazał, i czekaliśmy. Wieczór nadszedł, kiedy zjawiła się karawana, a w niej i kolebka zakryta, którą ktoś znaczny musiał jechać. Dobre było miejsce dla nas, bo opodał się na noc rozbili. A że bezpiecznie się czuli, niespecjalnie straże rozstawiono. Wszak w swoim kraju byli i czegoś mieliby się obawiać? – Przerwał, popatrzył na

Cameron, by poprosić: – Ręce byście poluzowali, żebym sam mógł po wodę sięgać, kiedy mi od gadania w gardle wyschnie. A może i zamiast wody co innego by się znalazło, czegom więcej jak rok nie smakował? Co? Wszak nie ucieknę, bo chyba widać, że ledwie żyję, prawda?

Skrzywił się wielkolud, zastanowił, by mruknąć w końcu niechętnie:

– Dobrze. Jedną rękę można ci uwolnić. Ale za drugą będziesz dalej do słupa uwiązany. Jeślibyś jednak jakiej sztuki próbował, zaraz na nowo każę cię związać, jeszcze ciaśniej niż teraz. Pojmujesz?

Baczyński skinął głową. Kiedy zabrał się Żegota, aby jego prośbę spełnić, rzucił:

– A wino?

– Przytomny masz być – odburknął rudobrody.

– Choćby pół na pół z wodą było... – Ton więźnia zabrzmiał niemal błagalnie.

Sapnął kilkakrotnie Cameron, nim skinął ręką Murrayowi. Ten wyszedł na chwilę z komórki, a kiedy wrócił, wyjął zza pazuchy butelkę. Polał do połowy kubka i wodą dopełnił.

Jeniec wyprostował ścierpłe ramię, machnął nim kilkakrotnie, palce w pięść zacisnął i rozluźnił. Uśmiechnął się, podnosząc samemu naczynie do ust. Przymknął oczy. Wyraz błogości na mgnienie oka zagościł na jego wymizerowanej twarzy.

Ostrożnie odstawivszy kubek, otarł usta wierzchem dłoni. Potem zaś łypnął spod brwi, wracając do opowieści:

– Nad wyraz łatwo nam poszło. Ani jęknął śpiący strażnik. Potem do namiotu cichcem się dostaliśmy, matce w łeb dał jeden z Popielów, dziecku gębę zatkał drugi, w wór skórzany wrzucił i w nogi. Zanim się kto zorientował, my już na koniach w step goniliśmy. Zdało się, że fortuna nam sprzyja, bo skąd by miał iść za nami pościg na takim pustkowiu? A dalej już wszystko ułożone było, którędy i jak mieliśmy się przemknąć. Żeliborski wszystko jak należy zaplanował, trzeba mu przyznać. – Pokiwał głową do własnych myśli. – Kolejnego dnia z wieczora na odpoczynek stanęliśmy. Uradowani, bo już w głowach każdy z nas liczył dukaty z okupu. Pewność mieliśmy, że właściwy bękart jest w naszych rękach, gdyż miał na piersiach siną barwę ryby wykłute, jak to wszystkim prawym męskim potomkom w rodzie murzy Tuhaja czynią. Chłopczyk, pewnie z rok ledwie mający, dobrze się trzymał. Twarde w nim było życie. Nawet nie beczał specjalnie. Mleka kobyłego dostał, w koce szczelnie go Żeliborski owinął, aby nie zziębł. Cisza nad stepem była

jak makiem zasiał. Ogień mały dogasał, a my już do snu się kładliśmy, kiedy doszedł nas tętent kopyt od strony, z której jechaliśmy. Nie pojedynczy, ale taki, co najmniej setkę konnych zwiastował. Odległy jeszcze, lecz my już wiedzieliśmy, że jakiś czambuł naszym tropem podąża. Popiel jeden miał nam tyłów pilnować, ale zasnął kurwi syn, przez co zbierać się było trzeba. – Baczyński palcami przejechał po szorstkich policzkach wychudzonej twarzy. – Od tej chwili wszystko źle iść zaczęło. Najpierw cichcem chcieliśmy umknąć, wśród traw i nocy się kryjąc. Na nic to było. Jakby ich diabeł jakiś prowadził, bo coraz to bliżej i bliżej słyszeliśmy pogoń. Nie pomogło żadne kluczenie ani owinięcie szmatami końskich kopyt. Już obok odgłosu cwałujących wierzchowców dawało się rozpoznać tatarskie nawoływania. W oddali zamajaczyły pochodnie, jakimi sobie przyświecali. Śmierć zaczęła zaglądać nam w oczy. Za to, co uczyniliśmy, nie mogła być lekka. Pohańcy znają się na rzeczy. – Zaśmiał się, znacząco patrząc na Camerona.

Wielkolud nie odwzajemnił tej wesołości, więc zamilkł na moment więzień, chrząknął, zakaszłał, wierzchem dłoni starł krzepnące kropelki krwi z ust. Przez chwilę spoglądał na czerwono-brunatną smugę, jaka została po tym na jego skórze. Westchnął, pokręcił głową i uniósł wzrok.

– Zdycham – wycedził przez zęby. – Ot, ugościł mnie pan starosta w Haliczu! Nie ma co! – Przesunął się, poprawiając ułożenie ciała, i dopił resztę pomieszanego z wodą wina. – Taaak... – mruknął przeciągle. – Śmierć zajrzała nam w oczy wtenczas. Młody byłem, zdrowy. Chciałem żyć, a tu zdało się, że tylko cud nas zdoła ocalić. Kiedy naprawdę blisko był już pościg, kazał Żeliborski dziecko w stepie porzucić, aby zająć czymś goniących, a może i nasycić. Żywe, rzecz jasna, bo martwym tylko jeszcze bardziej byśmy ich rozszereżyli. Ale nic z tego nie przyszło. Albo go po nocy nie znaleźli i został tam na pustkowiu na pastwę zwierząt, albo co innego się stało. Tego już chyba nikt się nie dowie. – Prychnął i machnął ręką. – Nic to! Jednego pohańca mniej na tym świecie! – Zaśmiał się, szczerząc zęby. Zaraz jednak spoważniał. – Powiódł nas stary do swej dawnej kryjówki, z jakiej w razie nagłych kłopotów korzystali Kozacy. Jaskini, albo też lepiej rzecz ujmując, jamy podziemnej, do której ciasne wejście skryte było w zaroślach. Konie zostawiliśmy na zewnątrz i wpełzaliśmy tam. Pozostało nam jedynie czekać i modlić się o zmiłowanie. To jednak nie nadeszło, choć nie znaleźli nas Tatarzy. Czekał tam na nas bowiem ktoś stokroć gorszy od nich. – Oddech Baczyńskiego przyspieszył, a oczy zapatrzyły się w migotliwy płomyk świecy. Głos przycichł nagle, przechodząc

w ton ledwie silniejszy od szeptu. – Teraz wiem, że był tam już, zanim nadeszliśmy. Wiedział, co się zdarzy, i czatował na nas w tej norze. Sami przyszliśmy do niego na swoją zgubę. A on wykorzystał nasz strach. – Skierował wzrok na Stillera. – Wiesz, o kim mówię, prawda?

Niemiec wolno skinął głową.

– Tak.

Usłyszawszy tę krótką odpowiedź, więzień ciągnął:

– Dał nam wybór. Albo Tatarzy nas odkryją i uśmiercą, albo też wyprowadzi trzech nas z pułapki. Trzech! – podkreślił. – Nie czterech! Jeden spośród nas miał zostać na wieki w jaskini, uśmiercony przez pozostałych na znak przypieczętowania umowy. Inni zaś mieli przeżyć, lecz ceną były nasze dusze. Oznajmił, że przyjdzie kiedyś po swoją zapłatę, w chwili, której możemy się nawet nie spodziewać. – Prychnąwszy wzgardliwie, dodał: – Przystaliśmy na to. Pozostało jedynie wybrać ofiarę.

Zamilkł, patrząc pustym wzrokiem przed siebie. Nikt nie przerwał ciszy zbędnym pytaniem, domyślając się już, co było dalej. Po dłuższej chwili czterech mężczyzn usłyszało to z ust Baczyńskiego.

– Byłem najmłodszy. Najślabszy. Przeciw mnie zaś trzech wrogów. Stary skurwysyn Żeliborski i dwóch braci Popielów. Wiedziałem, że wyrok na mnie już został wydany. Przerażony tym, co za chwilę ma się wydarzyć, w gorączce szukałem sposobu ocalenia życia. Tymczasem oni już sięgali po noże. – Uśmiechnął się złowrogo. – Sam człowiek nie wie, do czego jest zdolny w chwili ostatecznej. Pierwszy rzucił się na mnie Władysław, młodszy z Popielów. Pchnął mnie, celując w serce, lecz odsunąłem się i tylko ramię mi przebił. Nie spodziewał się, że i ja już trzymam sztylet w zanadrzu. Pociągnąłem mu po brzuchu, poniżej miejsca, gdzie mu się napierśnik kończył. Głęboko i z całą nienawiścią, jaką w sobie znalazłem. Odskoczył na bok zdziwiony, a kiszki mu na wierzch wylażyły. – Jeszcze bardziej odsłonił zęby, delektując się wspomnieniem. – Schwycili mnie drugi z Popielów i Żeliborski. Do ziemi przydusili i noże wznieśli. Już śmierć mieli mi zadać, kiedy się rozległ głos tego w czerń odzianego diabła. Jedno słowo krzyknął: Dość! A potem wskazując na mnie i ranionego Popiela dodał, że tylko jeden ma umrzeć. Od razu pojęli moi oprawcy, o czym mówił. Moja rana była ledwie draśnięciem przy wijących się na ziemi jelitach Władysława. Nie mógłby przeżyć, bo z pociętych flaków posoka wymieszana z jedzeniem i gównem mu ciekła. To jego wybrało

przeznaczenie na ofiarę. – Zaciśnął pięść wolnej ręki. – Zatkali mu gębę, bo wył, a potem pierwszy cios brat zadał bratu, niczym w Biblii, choć z kurwiego syna Władysława żaden nie był Abel. Po tym Żeliborski i ja zatopiliśmy w nim ostrza. Dźgaliśmy bez opamiętania wijące się w konwulsjach ciało, aby czym prędzej znieruchomiało. Gonił nas strach, że nim skona, minie czas odmierzany ustawioną przez czarta klepsydrą. Mnie zaś przepęłniało poczucie szczęścia pomieszanego z odrazą. Żyłem! Tylko to się wówczas dla mnie liczyło. – Odwrócił błyszczące oczy w kierunku Stillera. – Też to poczułeś? Gorącą falę wdzięczności, że wywinąłeś się śmierci i nie umarłeś? Bo pewnie dał ci wybór? Prawda? Zawsze daje, jak rzekła mi Horpyna. Zawsze.

Niemiec opuścił wzrok i prawie niezauważalnie skinął głową. Palił go teraz tak samo wstyd, jak gorączka. Głos w duszy szeptał mu jadownicę, iż niczym nie różni się od skrepowanego potwora, który chełpił się zbrodnią. Jeden koniec im obydwu los przecież przeznaczył.

Zarechotał Baczyński, wiedząc, co czuje Saksończyk. Aż znowu zdusił ten śmiech suchy kaszel. Złapawszy oddech, wychrypiał:

– W istocie dotrzymał słowa Prychip, wyprowadził z pułapki, a potem tak powiódł do bezpiecznego miejsca, że nikt nas nie spotkał. Pożegnał na rozstajach dróg, przypominając, iż wróci kiedyś po nas. Każdy z nas wiedział, że tak się stanie.

Otarł palcami spękane usta i wymownie popatrzył na kubek. Dolał mu Murray wody z winem za przyzwalającym skinięciem głowy Camerona. Baczyński napił się, odetchnął z ulgą i wrócił do opowieści:

– Nie po drodze nam już razem było, chociaż wszyscy na Sicz wróciliśmy. Jeden od drugiego stronił, aby też swoją obecnością nie przypominać o tym, co się zdarzyło. Popiel w pijaństwo popadł, przyciśnięty grzechem bratobójstwa. Żeliborski ponury sam się szwendał, tak samo wiekiem, jak i smętnymi rozmyślaniami złamany. Tylko ja... – uniósł dumnie głowę – ...zgnieść się nie dałem. To bowiem, co oni za dopust boży przyjęli, ja uznałem za ostateczne wyzwolenie. Wszak zdecydował się już mój los! Byłem potępiony i choćbym nie wiadomo co czynił, nic tego zmienić nie mogło! Tym samym żaden już grzech nie był mi straszny, żadna przewina! – Zniżył głos. – Mogłem robić wszystko, co chciałem. Nie popadać w zbędne rozważania o tym, co dobre, a co złe. – Zmarszczył brwi, dodając już zupełnie cicho: – Bo czyż nie jest to w istocie wszystko jedno? – Zamilkł na kilka sekund, spuszczać głowę. Uniósłszy ją, żywszym głosem powrócił do swej



historii: – Krótko nam dane było wśród Kozaków zostać. Wieść się rozniosła o porwaniu Tuhajowego dzieciaka, a za nią o nagrodzie, jaką murza wyznaczył za głowy tych, co syna mu uprowadzili. Od słowa do słowa, pewnie pijany Popiel zdradził, kto za tym stał. Wiadomo zaś, że pecunia non olet<sup>178</sup>, a Siczowcy to z Tatarami się bratają, to ich łupią. Wszak czy nie korzystali na wojnie Gireje z ich usług? Na postronkach by nas na Krym powiedli, byleby złoto dostać. Pora była najwyższa stamtąd uciekać. – Machnął ręką. – Zresztą, na co byłoby tam dłużej siedzieć? Bieda tylko i wieczne niesnaski albo też bunty, w których raz przeciw Rzeczypospolitej, a raz za nią Kozacy stawali. Sami nie wiedzą, czego chcą, czerń parszywa. – Powiódł wzrokiem po słuchających go mężczyznach. – Popiel do krewnych uciekł, gdzie zapił się na śmierć. Żeliborski całkiem zgłupiał, bo się za mnicha przebrał i kamienie na budowie klasztoru jak chłop jaki dźwigał. Tylko we mnie nie znikła fantazja, lecz wręcz urosła po tym wszystkim. – Spuścił wzrok. – Co robiłem, wiecie. Tyle rzeknę, że niczego nie żałuję, bo próżny byłby mój żal. Jeśli duszy nie ma, śmierć kończy wszystko. Jeśli zaś jest, i tak bym poszedł w ogień piekielny. Wyboru więc szczególnego nie miałem, a co poużywałem na tym świecie, to moje. – Uniósł kąciki ust, jakby na dowód, że szczerze powiedział i nie ma w nim skruchy. Po dłuższej chwili spojrzął na Żegotę, nie zmieniając złośliwego grymasu na twarzy. – Pewnie ciekaw jesteś waść, czy sam nie szukałem tego, co sprawcą jest mojego nieszczęścia, prawda? Wszak rzekłem, iż z wiedźmą w Czarcim Jarze o tym gadałem.

Nadolski wytrzymał kpiący wzrok więźnia, zmuszając go w końcu do odwrócenia oczu. Dopiero wówczas zapytał:

– I co? Odkryłeś coś?

– Pewnie więcej bym wiedział, gdybym Żeliborskiego przycisnął. Ale on, jak słyszałem... – prychnął wzgardliwie – ...całkiem zwariował, a mnie do Przemyśla jakoś nie było po drodze. – Łypnął spod brwi, mrużąc oczy. – Jednego się jednak dowiedziałem, chociaż nic mi to nie dało. Kiedym zdybał księdza Apolinarego od Świętego Krzyża, co datki ze Lwowa do Przemyśla wiózł, okazało się, iż to spowiednik u karmelitów, któremu się Żeliborski ze swego życia zwierzył. Tak go przypieklełem, iż za nic miał tajemnicę spowiedzi. Wszystko wyśpiewał, zanim mu łaskę wyświadczyłem i łeb kazałem uciąć.

– I co waszmości wyznał? – Głos Nadolskiego zadrżał od nieskrywanej ciekawości.

Długo musieli czekać, nim nasycił się Baczyński ich napiętą uwagą. Wreszcie, cedząc słowa, oznajmił:

– Poznałem, kim był ów murza, krewny Tuhaja, którego sługa Hamid zdradził nam, gdzie i kiedy się zaczął. Zwał się Murtaza i pochodził z rodu Argynów...

– Co?! – krzyknął gwałtownie Żegota, przerywając uwięzionemu.

– Znasz go? – zaciekał się Baczyński.

– Mów! – ponaglił siwy szlachcic. – Co o nim słyszałeś?

Jeniec się zaśmiał.

– Spieszno ci, waćpan! Ale dobrze, bo i tak na niewiele ci się to zda. Tyle że to ów Murtaza wysłał sługę, aby zaufanych Kozaków znalazł, którzy mieli Tuhajowego bękarta porwać. Hamid zaś znał Żeliborskiego, więc jemu rzecz zawierzył. Więcej się waszmość nie dowiesz, gdyż zdechł ów pogański pies Murtaza, ponoć szaleństwem ogarnięty. Majątek i niewolników rozdał, pościł, umartwiał się za życia. A ponoć był z niego wcześniej lubieżnik, jakiego świat nie widział. Franczy się pewnie nabawił, to i we łbie mu się od tego pomieszało.

– Nic więcej nie wiesz? – upewnił się Żegota, milczeniem pomijając spostrzeżenia jeńca co do tatarskiego księcia. Popatrzył znacząco po Murrayu i Stillerze, którzy także wydawali się poruszeni usłyszanym imieniem.

– A cóż mogłoby być więcej? – Machnął wolną ręką Baczyński. – Miał widać powód jeden murza, aby drugiemu na złość uczynić... – Przerwał, zmrużywszy oczy. – Jeden może być wniosek z całej tej historii. To, że musiał Tuhaj znaleźć kogoś, kto zakęcie rzucił. To jemu krzywda się stała, a Prychip ponoć za krzywdy odpłaca.

Popatrzył na Stillera, któremu nagle nieprzyjemny dreszcz przeszedł po plecach. Dłonią przejechał po spoconym czole, czując pod palcami rozpalający jego ciało żar febry. Zakręciło mu się w głowie, więc przykucnął, podpierając się ręką. Inni nie zwrócili na to uwagi, zajęci przemyśleniami.

– Tuhaj? – Szkocki oficer bez przekonania pokręcił głową. – Nie może być. Wszak sam powiedziałaś, że wszystko zdarzyło się następnego dnia po tym, jak porwaliście jego syna. To musiał być ktoś inny. Może nawet nie Murtaza, tylko ten, co go podjudził, aby Żeliborskiego nająć.

Baczyński parsknął wzgardliwie.

– Musiałby to być nie lada statysta, skoro tak wszystko przewidział i ułożył! Istny prorok!

– Albo wiedźma – szeptem skwitował Żegota.

Spojrzał na niego Saksończyk, pojawiwszy od razu, co ma na myśli. Nie odezwał się jednak, strwożony przypuszczeniem, że to córka Ryty mogła po matce swój dar odziedziczyć. Jakże złowrogo teraz wybrzmiała w sercu Nadolskiego złożona Baczyńskiemu przysięga. Stłumił tę przykrą myśl, przywołując inną, że jeśli to ona w istocie za tym stała, to dlaczego klątwę rzuciła.

Więzień dostrzegł, iż coś więcej muszą wiedzieć wypytujący go ludzie, dlatego splunął i wycedził:

– I co? Dalej przysięgi dochowacie? Coś zrzędy wam miny? O co chodzi?

– Ano... – odparł Nadolski – ...od Murtazy trzeba zacząć. To zaś niebezpieczne i kłopotliwe przedsięwzięcie. Zresztą... – prostując się, założył ręce na piersi – ...nie twoja sprawa, jak ów problem rozwiążemy. A słowa... – w głosie szlachcica dało się wyczuć wahanie – ...dotrzymamy, tak ja, jak i tu obecni.

– Powodzenia życzę, skoro od trupa chcecie zaczynać – skomentował złośliwie jeniec, sięgając po kubek. – Zresztą, za jedno mi to. Przysięgi nie dochować złożonej temu, co na śmierć idzie, nawet takiemu jak ja, to grzech śmiertelny. – Zaśmiał się szyderczo. – Ot! I wpadliście we własne sidła ku mojej uciechu.

– Do śmiechu ci zaraz nie będzie – przerwał mu ostro Cameron. – Zważ, że łaskę ci czynią moi druhowie, bo jeślibym ja miał ci cokolwiek obiecać, to chyba tylko ciężką śmierć. Nie kpij więc, panie Baczyński, w obliczu tego, co cię czeka.

Spętany skrzywił się, mrużąc oczy. Odstawiając naczynie, łypnął na wielkoluda.

– Znasz ty, panie olbrzymie z rudą brodą, Siczowców?

– Na wojnach niejednego Kozaka spotkałem.

– A mieszkałeś kiedyś między nimi jak swój, żyłeś, gorzałkę pijałeś i na chadzkach bywałeś? Czajkami przez morze się wyprawiałeś, nadstawiając swój łeb co dnia?

Cameron wydał pogardliwie usta i głową pokręcił. Odchylił się na to Baczyński, dumnie brodę zadzierając.

– Nie strasz mnie więc, bom niestrachliwy. Między nimi cała moja młodość upłynęła, z nimi w braterstwie żyłem i chleb wspólny jedliśmy. Chociaż może podli to ludzie, dzicy, zdradzieccy i chciwi, jednego im ująć nie można. Śmierci się nie boją. Słyszałeś o Dymitrze Wiśniowieckim?

– Słyszałem – burknął rozzłoszczony Szkot.

– Tedy pozwól, że inną historię ci powiem, co ją na własne oczy widziałem. Było, że trzech Kozaków spiło się na wyprawie i koni nie upilnowało, innych na śmierć narażając. Ledwie połapano wierzchowce, które rozbiegły się po stepie. Tych zaś hultajów nasz wódz dla przykładu na śmierć skazał. Wszyscy trzej na pale poszli. Sami je sobie ostrugali, popędzając jeden drugiego, żeby się hetman jeszcze bardziej nie rozsierdził, sami pęta na swoje nogi pomagali zakładać i pilnowali, aby konie dobrze i prosto ciągnęły. A kiedy już stanęli nadziani na słupy, żaden z nich nawet słowa skargi nie pisnął, bo jeden przed drugim wstydział się boleść okazać. Na koniec, z łaski za odwagę, kazał im wszystkim dowódca w łeb palnąć, przed czym serdecznie mu dziękowali, zdrowia i długiego życia życząc. Pojmujesz to?

– Pojmuję – odparł Cameron, zaraz jednak dodał: – Ale wiem też, że ty nie jesteś taki jak oni. Tylko ci się tak zdaje. Wino ci we łbie zaszumiało? Mało ci trzeba! – zakończył uszczypliwie.

– Mało – przyznał Baczyński nad wyraz zgodnie. – Zważ, że od roku go w gębie nie miałem, a przy tym ledwie zipię po gościnie na halickim zamku. – Przechylił się w stronę rudobrodego Szkota. – Ale ty pamiętaj, że męczyły mnie pacholki starosty Potockiego, jak umiały. Palce mi wykręcali, wodę na gębę lali, wieszali za ręce i nogi, bez picia słonymi rybami karmili, a na koniec do studni poszedłem, żeby skruszeć. Na nic to wszystko! Słowa im o złocie nie rzekłem! – Zaśmiał się szyderczo. – Bo też wyznać teraz mogę, że nie ma żadnego złota. Wszystko dla tych poszło, którzy spokój mi mieli zapewniać. Pewnie i Bydłowskiego bym przekabacił, gdyby nie to, że niedawno na urząd wszedł i stara się Potockiemu na wszelkie sposoby przypodobać.

– Tedy próżna była twoja męka – skwitował złośliwie wielkolud. – Trzeba było mu to od razu rzec. Łeb by ci ucieli na rynku w Haliczu z twoimi kamratami i tyle. A tak na mnie poczekałeś, za co ci wdzięczność winienem.

Zamilkł więzień, patrząc bezczelnie na rudego olbrzymia, wzrokiem go prowokując. Na nic jednak się to zdało, bo Cameron machnął tylko obojętnie ręką, kwitując to spojrzenie słowami:

– Czas mija, mości panie. Ja cierpliwy jestem.

Dość miał Żegota tej zbędnej przekomarzanki. Dlatego, pochyliwszy się nad jeńcem, zapytał:

– Rzekłeś, że w snach cię jakiś dręczący demon nachodzi. To samo słyszałem od Żeliborskiego. Powiesz mi, kto zacz?

– Demon? – Brwi pojmanego uniosły się w odruchu zdziwienia. – Nie demon to, ale piękna, blondwłosa niewiasta, która kusi i ku sobie przyzywa, by w momencie, w którym jej chcesz dotknąć, zmienić się w twe najgorsze koszmary, o których wolałbyś zapomnieć. W środku nocy budzi, nie pozwalając zasnąć. Dusi niczym zmora albo też serce ściska, że zdaje się, jakby stawało.

Dreszcz przebiegł po plecach Stillera, gdy to usłyszał. Wierzchem dłoni otarł pot z rozgrzanego czoła. Poczł, jak kręcić zaczyna mu się w głowie, dlatego przyklęknął, podpierając się ręką. Przesunął się ku niemu Murray i zapytał cicho:

– Co ci?

– Nic, nic... Przejdzie – odrzekł schrypniętym głosem Saksończyk i ręką machnął na znak, że wszystko z nim dobrze.

Zaśmiał się obserwujący to jeniec, rzucając jadownicę przez zęby:

– Co? Waszmości też nawiedza ta dziewczka?

Nie odpowiedział mu Niemiec, więc dalej judził Baczyński:

– Nadobna, nieprawdaż? Poużywałyby sobie człek z taką! Niby to strach, żeby we śnie wróciła, ale jakoś tęskno. Przyznaj, panie oficerze.

– Zamilcz! – syknął bezręki Szkot, podtrzymując przyjaciela za ramię.

– Ooo! – Wzięcień pokiwał głową. – Drażliwy to temat. Ale jedno rzeknę... – Mrugnął do nich. – Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Patrz na mnie! Od lat mnie nawiedza, a jakoś nie pocę się na jej wspomnienie.

Zaśmiał się, sięgając po wino z wodą. Niekontent dostrzegł, że tylko na dnie ledwie co zostało, ale i tym się uraczył, mocno odchylając głowę. Zamlaskał, ciesząc się smakiem, i spojrział znacząco na Camerona, ale ten głową pokręcił.

Nadolski, odczekawszy chwilę, wrócił do swego pytania.

– Mówiłeś, że o mnie ci wspomniała. Coś jeszcze pamiętasz?

Skrzywiony Baczyński, wciąż trzymając w wolnej ręce kubek, odburknął:

– Tyle że siwy szlachcic z blizną na gębie do mnie przyjdzie w dniu mojej śmierci. Może i co innego gadała, ale trudno byłoby wyrozumieć. Coś o należnej odpłacie dla tych, co zawinili. – Uniósł wzrok. – Coś acan taki ciekaw? Rad byś ją pewnie zobaczyć, skoro taka gładka, co?

Żegota pominął milczeniem złośliwość, tym bardziej iż nagły atak kaszlu wstrząsnął Stillerem. Szlachcic odwrócił się ku niemu i dostrzegł, że pogłębiła się bladość na obliczu oficera, a pot gęstymi kroplami spływał mu po twarzy i szyi. Co rusz jego ciało przechodziły chorobliwe dreszcze świadczące o wysokiej gorączce.

Murray spróbował pomóc się podnieść przyjacielowi, ale niesporo mu szło jedną ręką. W sukurs przyszedł mu Cameron, który powstał ze swego miejsca i zbliżył się do chorego. Pokręcił głową i rzekł:

– Jakby waszmości kto z wody wyciągnął. Trzeba odzienie zdjąć i przy piecu acana ułożyć dla rozgrzania, bo niedobrze będzie.

– Nic to – wycharczał przez rozpalone gardło Stiller, ale nie przekonał nikogo jego sprzeciw...

Biorąc go pod ramię i unosząc z łatwością, rudobrody uspokajał:

– Tamten już nic mądrego nie powie, a i czas się zbliża na niego. Odpocznij waść chwilę, zagrzej się, bo ścięła cię jakaś nagła zaraza. William gorzałki ci da, to się lepiej od razu zrobi. No... – skierował się ku drzwiom wspomagany przez Murraya – ...idziemy. Z tym łotrem już nie ma co gadać.

Na nic się zdały słabe protesty Stillera ani też jego próba udowodnienia, że sam przejść do izby zdoła. Zachwiał się osłabiony, o ścianę oparł, lecz potem już bezwolnie się poddał, prawie że powłócząc nogami, kiedy próg przekraczali.

Żegota został sam z więźniem. Zmarszczywszy brwi, myślał o tym, co niedawno usłyszał. Zastanawiał, jakie mógłby jeszcze zadać Baczyńskiemu pytanie. Zapadła cisza, przerywana tylko odgłosami krzątających się w chacie lisowczyków i niezrozumiałymi dźwiękami rozmów.

Z rozmyślań wyrwał Nadolskiego nagły syk.

– Pssst!

Uniósł oczy ku kiwającemu do niego wolną ręką więźniowi. Ten, dostrzegłszy zainteresowanie, wyszeptał:

– Zbliż się waszmość.

Siwy szlachcic przysunął się w stronę spętanego mężczyzny. Baczyński zaś ponaglił go jeszcze cichszym głosem:

– Coś ci chcę rzec, ale tylko tobie.

Zawahał się Nadolski, zerkając ku drzwiom. Jeszcze bliżej podszedł, cedząc cicho:

– Mów.

– Pochylił się nade mną, żeby nikt nie słyszał. To tylko dla twoich uszu od niej wiadomość.

Silna była pokusa, ale i jakiś dziwny niepokój w sercu szlachcica z Wygnanki. Mimo to, przełamując niezrozumiałą obawę, zniżył głowę tak, że ledwie o kilka cali była od ust więźnia. Szeptem rzucił:

– Dalej.

To, co się wówczas zdarzyło, było tak nagłe, że zachwiał się na nogach Nadolski. Najpierw trzasnął go Baczyński w skroń glinianym kubkiem, a potem, schwyciwszy za kark, do siebie przyciągnął.

– Zabij mnie! – wycharczał i schwycił zębami skórę na krawędzi jego żuchwy, mocno zaciskając szczęki.

Trysnęła krew, zawył z bólu Żegota, odruchowo noża za pasem szukając. Już złapał rękojeść i ostrze wyciągał, aby się uwolnić z nadspodziewanie silnego uścisku, kiedy od drzwi rozległ się gwałtowny rumor, czyjaś dłoń schwyciła go za ramiona i silnym szarpnięciem odrzuciła w tył. Szlachcic uderzył plecami o ścianę, aż jęknęło. Zawirował mu świat przed oczami, strumieniem pociekała posoka z rozdartej twarzy.

Jak przez mgłę dostrzegł Camerona, który trzymał wyciągniętą w górę rękę skazańca i stojącego w drzwiach Murraya, a za nim ciżbę ciekawskich lisowczyków. Potem zaś skierował wzrok na Baczyńskiego, który powoli otwierając usta, wypchnął z nich językiem ochłap odgryzionego ciała i skóry, odsłaniając okrwawione kły w przerażającym uśmiechu. Wypluł na ziemię ludzkie mięso, sycząc jadownicie:

– Nie udało się. Szkoda. Ale spróbować było warto.

Zamierzył się na niego rudobrody Szkot, lecz powstrzymał od ciosu. Schwyciwszy swą wielką jak bochen chleba ręką jeńca pod brodę, rzucił mu prosto w twarz:

– Pora na ciebie, panie Baczyński. Dość już żartów. Teraz moja kolej się z tobą rozmówić.

Nie odwracając nawet głowy ku drzwiom, krzyknął:

– Waśko!

Niemal natychmiast zjawił się chłop i przecisnął przez ścieśnionych lisowczyków. Wyprężywszy się niemal jak żołnierz, zameldował:

– Słucham waszmości!

Odepchnął wielkolud jednym ruchem głowę jeńca, aż na bok poleciała, i prostując się, zapytał sługę:

– Gotowe wszystko?

– Gotowe!

– Śnieg ubity?

– Ubity.

– Ogniska rozpalone?

– Rozpalone.

Odwrócił się ze złym uśmiechem na twarzy ku ocierającemu usta więźniowi i wycedził:

– Tedy już czas, psi synu, abyś poczuł przedsmak tego, co w piekle cię czeka.

Machnął ręką.

– Brać go!

Nie musiał powtarzać. Zaraz Waśko i dwóch innych zajęło się jeńcem, luzując mu pęta. Teraz dopiero Cameron spojrział na Żegotę. Garbiąc się, aby w strop nie uderzyć, podszedł bliżej. Pokręcił głową z niesmakiem, widząc ciekącą krew pomiędzy palcami przyciśniętej do twarzy ręki.

– Toś się waszmość urządził – skwitował, powstrzymując się od słusznej reprimendy, za co wdzięczność poczuł do niego Nadolski. Machnąwszy ręką ku drzwiom, dodał: – Idź, niech cię William opatrzy.

Zebrał się prędko raniony szlachcic, wściekły na siebie i całe zdarzenie. Niczym gołowąs dał się podejść, przez co palił go wstyd, który bardziej bolał niż rana na twarzy.

Kiedy szkocki oficer bandażował mu szczękę, żartując złośliwie, że będzie teraz chodził siwy towarzysz jakby go fluksja<sup>179</sup> męczyła, lisowczycy zajęli się skazańcem, którego powiedli przed chałupę. Tam czekał już Waśko ze sznurami. Wprawnie odarto Baczyńskiego z odzienia, by ułożyć go na pokaznym kole, do którego kat zaraz go począł wiązać. Ukończywszy tę robotę, niespiesznie jął podkładać kawałki drewna pod nadgarstki, łokcie, kostki, kolana i biodra



szykowanego na męki nieszczęśnika. Dokładny przy tym był, ceniąc sobie fachowość, jakiej we Lwowie nabył. Nie ponaglał go zresztą Cameron obserwujący to wszystko z założonymi na piersi rękami. Nie wyglądał już jeniec tak zadziornie jak w komórcie. Oczyma mrugał ze strachu, grdyka drgała mu nerwowo w górę i dół od przełykanej śliny. Co rusz palce u rąk wyprężał i zaciskał, mocując się z więzami.

Zebrani wkoło lisowczycy grzali się przy rozpalonych ogniskach. Mało ciepła dawały, a i od ziemi ciągnęło, przez co przytupywali niektórzy dla rozgrzewki. Czasem szeptali pomiędzy sobą albo nawet żartowali, radzi, że niebawem wszystko się skończy i będą mogli wrócić do swych kwater albo też po karczmach się rozbijać, popijając i dziewczki chędożąc. Żaden z nich nie współczuł skazańcowi. Co poniektórzy nawet o zakłady szli, kiedy pierwszy raz wrzask z siebie wyda. Przekomarzali się jedni, dowodząc rzeczowo, że na zimnie ból bardziej dotkliwy, inni zaś, iż chłód osłabia boleści, przez co dłużej wytrzyma Baczyński miażdżenie kości.

Wyszli także w końcu przed chatę bartnika Nadolski z obandażowaną twarzą i Murray. Opodal drzwi się ustawili, aby słyszeć w razie czego, gdyby opatulony przy piecu Stiller czegoś potrzebował. Szkot dał mu wódki, przez co beznogi oficer lepiej się poczuł, lecz mdło mu było, więc nie miał ochoty na widowisko.

Żegota spoglądał z niechęcią na rozpiętego na kole złoczyńcę, nie żałując go. To, co uczynił, zgasiło ostatnią iskrę litości w sercu szlachcica. Tak bowiem zwykle bywa, że najbardziej własna boleść o pomstę woła, choćby drobniejsza niż ta, której inni zaznali. Najwięcej zaś chce się kary dla sprawcy cierpienia bezpośrednio po tym, jak je zadał. Nadolskiego paliła wciąż świeża rana na równi ze wstydem, który nie przeminął. Patrzył więc swymi szarymi oczami na obnażone ciało Baczyńskiego, jak inni czekając, aby się kaźń zaczęła.

Nie spieszył się Waśko, z doświadczenia wiedząc, iż tyle samo strachu i bólu w skazańcu wywołuje oczekiwanie co sama nieuchronna kaźń. Dobrze znał katowski obyczaj, aby ofierze najpierw narzędzia odpowiednio zaprezentować, objaśniając jej w szczegółach, co zaraz ją spotka od ich użycia. Do pomocy wziął Bejdę, z którymś jakoś widać się zgadał, a czemu Żegota nie zamierzał się sprzeciwiać. Może i dlatego Tatar za pomocnika robił, bo żaden szlachcic, mimo że chętnie patrzyli, nie skalałby się katowskim zajęciem, tym bardziej wspomagając kogoś pośledniego stanu. O ile bowiem wśród lisowskiej kompanii różni się zdarzali,

nawet chłopci nieraz, to jednak dbali o swój klejnot herbowi, choćby i chudopacholskich rodów.

Bejda miał poprawiać podłożone pod członki kołki, więc stanął obok, zacierając zgrabiące ręce. Waśko skinął mu głową, a sam wziął w dłonie okuty żelazem drąg na kwadrat przycięty, aby też kantem łatwiej było kości łamać. Zamykał oczy Baczyński, próbując nie patrzeć, lecz zbyt silne były w nim strach i pokusa. Co chwila zerkał na kata, który przechadzał się tuż obok, wybierając, od czego zacząć. Ważne bowiem było, żeby jak najdłużej skazany przytomność zachował do pierwszego omdlenia, bo potem tylko kłopot sprawiał koniecznością ciągłego cucenia. Wreszcie zatrzymał się małodobry, mając już pewność, co robić i w jakiej kolejności. Popatrzył na Camerona, a ten, bez słów go rozumiejąc, wystąpił do przodu. Górując znacznie nad innymi, nie musiał mieć podwyższenia, dlatego od razu zaczął, głośno obwieszczając:

– Oto jest herszt zbójcekiej bandy, którego Kroguleckim zwą! Łotr i kanalia, jakiego świat nie widział! Na jego rękach krew niewinnych, a w sercu żadnej skruchy ni żalu nie ma. Nie znalazła się dla niego starościńska sprawiedliwość, więc ludzka się znajdzie! Za swe uczynki od dołu kołem łamany będzie<sup>180</sup>, potem żywcem rozczłonkowany, a na koniec jego ścierwo w ogień trafi, żeby ślad po nim nie został! Nie będzie bowiem święta ziemia przyjmować takich jak on, lecz ku wiecznej niepamięci niech wiatr jego prochy rozniesie!

Zgromadzeni lisowczycy głowami tylko pokiwali. Chłodno było, więc przytupywali nogami i oklepywali się po ramionach. Czekali niecierpliwie na kaźń, aby jak najrychlej się zaczęła, bo długo na mrozie stać nie zamierzali. Odwrócił się więc ku skazańcowi rudobrody Szkot, mówiąc:

– Czas na cię! Dla przyzwoitości tylko cię pytam, czy chcesz się pomodlić przed śmiercią.

– W rzyć się całuj, zaszary skurwysynu! – wycharczał Baczyński. – Przyjdę jeszcze po ciebie! Zobaczysz!

Nawet nie drgnęła twarz olbrzyma na te obelgi i groźbę. Skinął na stojącego z drągiem pachółka.

– Waśko, czyń więc swoją powinność! Ale bez pośpiechu!

Splunął w ręce kat, mocno ujął narzędzie pracy i uniósł nad głowę, starannie celując. Opadł gwałtownie kanciasty drąg, trafiając wprost w kostkę lewej nogi

Baczyńskiego. Zachrobotąła złamana kość w mroźnym powietrzu, aż ciarki przeszły ludziom po plecach. Ofiara na kole wyprężyła się, prawie w łuk się wyginając, a z jej ust rozległ się przesywający wrzask cierpienia. Rozcapierzył skazaniec palce rąk, wykrzywiając je niczym szpony. A potem opadł, rzucając się szaleńczo jak ryba z wody wyjęta. Waśko na drugą stronę przeszedł, nie spiesząc się. Zgodnie z praktyką drugi raz uderzyć należało wtedy, kiedy osądzony zapanował nad pierwszym bólem i oprzytomniał. Musiał mieć czas, aby rósł jego lęk przed cierpieniem.

Klnąc i plując, szarpał się Baczyński, przez co poprzesuwał niektóre z podłożonych pod ręce i nogi kołków. Bejda starannie poprawił drewniane klocki, czekając, aż się uspokoi rozciągnięty na kole nieborak. Z pięć minut zeszło, nim przestał wrzeszczeć. Drżał na całym ciele, ale bardziej z przerażenia i bólu niż zimna. Cameron skinął głową.

Drugi cios złamał prawą nogę, aż wylazła spod skóry pokruszona kość, rażąc swą bielą. Stopa więźnia przekręciła się prawie prostopadle, sprawiając, iż niedobrze zrobiło się Żegocie na sam widok. Baczyński wrzeszczał z bólu, na przemian przeklinając i błagając o śmierć. Nic nie zostało z jego niedawnych przechwałek, bo też i nikt nie zdołałby wytrzymać tortury bez jęku. Nie sprawiło to jednak żadnej satysfakcji rudobrodemu Szkotowi. Był zimny niczym rzemieślnik nadzorujący wykonanie opłaconej usługi.

Kiedy kat zmiażdżył kolana, zawisły bezwładnie nogi ofiary, nienaturalnie w dół wygięte. Z ust oprawianego złoicy dobywał się już tylko przeciągły, zawodzący jęk, bardziej zwierzęcy niż ludzki. Murray pociągnął Nadolskiego za rękaw, szepcząc mu w ucho:

– Chodź acan. Starczy mi tego widoku.

Siwowłosy szlachcic kiwnął głową, albowiem i jemu zrobiło się niemiło, choć nadal nie było mu żal ofiary. Ból w twarzy wciąż był zbyt świeży, aby współczuł komukolwiek. Jednak męki jednej ludzkiej istoty zawsze wywołują w drugiej odrazę, a także dręczące myśli o własnej śmiertelności. Nadto miał dość błędnych, błagalnych spojrzeń, jakie rzucał Baczyński wszystkim wokoło. Na nic się zdali, a potem w snach mogły wracać jak wiele rzeczy, o których nie chce się pamiętać.

Weszli do izby i przysiedli opodal leżącego pod okryciami Stillera. W milczeniu, nie wstając ze stołka, siwy szlachcic podrzucił do pieca. Jakoś nie chciało się gadać ani jemu, ani Szkotowi, kiedy wciąż z podwórza dobiegało zawodzenie. Natrętna

była przy tym myśl, aby już w końcu ustały, nie przez wzgląd na ukrócenie mąk, lecz na niemiłe odczucie, jakie wywoływały.

Niemiec, z błyszczącą od potu twarzą, wpatrywał się w sufit szklistymi oczami. Znieruchomiały, tylko mruganiem dawał znak, iż jest przytomny i świadomy. Żałośnie wyglądały teraz jego zapadłe policzki i pogłębione gorączką bruzdy ciągnące się od nosa ku ustom. Czerniona bródka i wąsy posklejane wilgocią nie dodawały już oficerowi zawadiackiego wyrazu, lecz podkreślały zmęczenie bladego oblicza.

Po dłuższej chwili Murray pochylił się nad przyjacielem.

– Trzeba ci czegoś? Chcesz jeszcze wódki?

Stiller nieporadnie pokręcił głową. Ledwie słyszalnym głosem, przez zaciśnięte bólem gardło, wyszeptał:

– Kiedy z nim skończą?

Żegota nerwowo wzruszył ramionami. Zerkając na przymknięte drzwi, mruknął:

– Nie spieszy się Cameron. Jeszcze potrwa to wszystko.

– Potrwa... – powtórzył z wysiłkiem Stiller.

Znów zapatrzył się w powalę chałupy. Zmarszczył czoło, usłyszawszy gwałtowniejszy krzyk Baczyńskiego dobiegający sprzed domu. Nie odwracając wzroku, wycedził z trudnością:

– Na nic to wszystko... Na nic...

– Nie gadaj! – przerwał mu nerwowo Murray. – Przejdzie ci, jakiś sposób znajdziemy! Nie miała cię kiedy febra wziąć!

Niemiec uśmiechnął się z wysiłkiem na tę przyganę, wiedząc, że z troski płynie, nie ze złości.

– Wody mi daj – poprosił po chwili, unosząc się nieco na łokciu.

Szkot przyniósł gliniany kubek, by podtrzymując głowę przyjaciela, pomóc mu ugasić palące gardło pragnienie.

Cameron spoglądał na powykrzywiane, potrzaskane ciało, leżące teraz bezwładnie, niezdolne już do jakiegokolwiek ruchu. Ręką skinął na Waśka, by odsunął się na chwilę od ofiary.

Baczyński wciąż był przytomny, choć krew ciekła mu z ust. Najpewniej z bólu odgryzł sobie język, gdyż i jęczenie ustało. Tylko oczy drgały mu szaleńczo, błędząc

na wszystkie strony, okrągłe, wysadzone z orbit, nieludzkie w swym wyrazie przerażenia pomieszanego z cierpieniem.

Wielkolud podszedł i przykucnął tuż obok głowy skazańca. Nawet nie spoglądał na powykęcane członki i wystające spod skóry ułamki kości, tak nieprzyjemny stanowiły widok. Pochylił się i rzekł:

– Teraz, zanim zdechniesz, powiem ci, kto mnie najął i dlaczego. Żebyś mógł to Belzebubowi zdradzić, jak cię do piekła będzie przyjmował, bo pewnie zdziwi się, żeś nie w jednym kawałku.

Przysunął wielką głowę do ucha nieruchomej ofiary i szeptał mu coś.

Nic się nie zmienił wyraz twarzy Baczyńskiego. Tak jakby było mu już to wszystko obojętne. Jego dusza błędziła gdzieś na granicy światów, nie wiedzieć czemu i jakim cudem trzymając się jeszcze umęczonego ciała. Spoglądała już w otchłań, która także na niego patrzyła swym czarnym, bezdennym mrokiem wieczności. Kusiła i przerażała zarazem.

Cameron powstał, otrzepując ręce. W milczeniu skinął na Waśka, który już szykował się opodać z ciesielskim toporem. Bejda, z twarzą kamienną i bez żadnego wyrazu, schwycił skazańca za pomiażdżoną rękę, przytrzymując. Ale zbędne już to było. Pierś Baczyńskiego coraz niżej się unosiła, coraz mniejszy był obłoczek pary nad jego ustami. Kiedy zaś kat odrąbał pierwszą kończynę, zniknął i ten nikły ślad życia. Umarł ostatni z przekłętej przed laty trójki, ponosząc zasłużoną karę za swe postęпки. Waśko dalej ćwiartował już nie człowieka, ale martwe ciało.

W ciszy, niektórzy z opuszczonymi głowami, ruszyli lisowczycy na powrót do chałupy. Nawet dla nich dość było tego okrucieństwa. A i ziąb dawał się we znaki. Tylko wykonawca kary ze swym pomocnikiem zostali na podwórzu, odwiązując od koła luźne członki. Głowa Baczyńskiego leżała na zdeptanym śniegu, wpatrując się martwymi oczami w szare niebo, jakby zdziwiona tym, iż wciąż pędzą po nim chmury, obojętne na to, co się przed chwilą rozegrało.

Przytupując, Cameron przekroczył próg chaty. Rozejrzał się, nic nie mówiąc, i przysiadł przy stole. Za nim weszli jego ludzie, także jak on milczący. Rudobrody Szkot sam, bez zachęty, przechyliwszy się na bok, wyciągnął z kąta dzban z winem, z którego solidnie pociągnął. Puścił go dalej w krąg pomiędzy ludzi, żeby trunek przytłumił przykre wrażenia.

Sapnąwszy, otarł usta i spoglądając na Murraya, rzucił:

– Wiem, że chory twój kamrat, ale zostać tu nie można. W pół godziny się zbieramy. Domostwo, jak mówiłem, spalić trzeba razem z tym.. – machnął w kierunku drzwi – ...co zostało.

Oficer skinął głową, nie mogąc oderwać oczu od zastygłych na butach wielkoluda kropel krwi. Zaprawdę marne jest ludzkie życie i nic nie znaczy, w mgnieniu oka przemijając. Przykre myśli błąkały się w umyśle bezrękiego Szkota, zarówno przez nieprzyjemny zapach posoki i rąbanego mięsa, jak i pytania, co uczynić z osłabłym nagle Stillerem. Także Nadolski posępnie spoglądał w migotliwy ogień buzujący w piecu, równie smętnymi zajęty rozmyślaniami. Wtenczas rozległ się urwany szept Saksończyka, który wszystkie wątpliwości ukłócił:

– Do Beniowej mnie weźcie... Odpocząć chcę... Zmęczony już jestem...

Niecałą godzinę później siedzieli już na koniach i ostatni raz spoglądali na znaczone krwawą plamą podwórze i płonąca chałupę. W wijących się językach ognia, pomiędzy trzaskami gorejących belek, w proch obracało się to, co zostało z Baczyńskiego. Jego ciało zaznało przedsmaku piekielnych mąk. Jego dusza wciąż jednak nie mogła oderwać się od ziemi.

Potem zaś rozjechali się konni, za sobą zostawiając śmierć i pozogę. Trzech z nich, wiodąc powoli czwartego, chwiejącego się w siodle, ruszyło w kierunku Sambora.

Noc zapadła nad pogorzelskiem. Czuć było swąd dymu i mdły zapach spalonego trupa. Na czarno odziany jeździec stępem wjechał na opustoszałe podwórze. Zeskoczył z końskiego grzbietu i przystanął wpatrzony w ciemnobrunatne plamy na śniegu. Uśmiechnął się, przyglądając odzianą w skórzaną rękawicę dłonią swą zadbaną hiszpańską bródkę. Został mu tylko ten, który miał być ostatni. Wiedział, dokąd zmierza, bo dawno powiedziała mu wiedźma, gdzie rozegra się ostatni etap jego długiej służby. Tam, jak zaśmiał się w duchu, przypomniawszy sobie tutejsze powiedzenie, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Starannie przygotował swą sakwę, układając ją na krwawej plamie pozostałej po Baczyńskim. Ukłękął i wzniosł ramiona ku gwiazdom. Przymknąwszy oczy, wymówił słowa, które kiedyś wypalono mu w głowie szeptem gorącym niczym płomień.

Zaszumiał niespokojnie las. Strwożone zwierzęta się skryły, rozglądając się z przerażeniem. Instyktownie czuły zło, które nadeszło nad zapomniany zakątek,

gdzie kiedyś żył bartnik. Ciemna chmura zasłoniła księżyc i noc na moment stała się czarna jak smoła. A wtedy duch poćwiartowanego skazańca wkroczył na ścieżkę wiodącą ku wiekiystemu potępieniu.

## ROZDZIAŁ XVI

### WIECZNY TUŁACZ

Ogień w kominie beniowskiego dworku trząsał nerwowo, nierówno, jakby i jego tyczyły ludzkie sprawy. Wił się drgającymi płomieniami niczym myśli dwóch milczących mężczyzn siedzących w pokoju. Jak one był poplątany, raz wznosił się, a raz opadał z sykiem. Bo też pełne troski i ponure były te myśli.

Ciemna noc za oknem i dobiegające z oddali wycie wilków tylko pogłębiały ten smętny nastrój. Nawet stojące w odstawionych kielichach wino nie było w stanie mu zaradzić.

Ze ścian spoglądały martwo pozostałe po Pamiętowskim portrety, na skrzyniach i krzesłach walały się stare wilcze skóry. Niewiele zmienił Stiller we dworze, przejmując go po swym poprzedniku. Bo też nie jak u siebie się tu czuł, choć było to jedyne miejsce, o którym mógłby tak powiedzieć. Spał teraz Saksończyk w swej alkowie, dręczony gorączką i majakami, rozpalony, osłabły tak, iż ledwie rękoma poruszał. Z zaciśniętego gardła słowa już nie mógł wydobyć. W dzień tylko jego oczy były przytomne, ale też pełne rezygnacji i smutku. Na myśl przywodziły oczy tych, którzy żegnają się już z tym światem.

Na nic zdały się podane przez tutejszą znachorkę zioła ani zaklęcia, jakie odprawiła. Nie pomogło nacieranie wódką ani też liście kapusty przykładane do opuchniętej szyi chorego. Drugi dzień mijał bez żadnej poprawy jego stanu. Śmierć zdawała się już krążyć wkoło beniowskiego dworu, z grymasem oczekiwania na swym kościstym obliczu, niespiesznie ostrząc swe narzędzie. Bo też i gasła nadzieja w tych, którzy przed Stillerem przybierali na twarzach uśmiechy fałszywej ufności, że wszystko będzie dobrze.

Zgarbiony Żegota, wciąż z opatrunkiem na twarzy, mimo że znająca się na rzeczy tutejsza baba zaszyła mu ranę jedwabną nicią, spoglądał zamyślony w płomienie. Zastanawiał się, dokąd już dotarł posłany do Wygnanki Bejda, karcąc się za to, że zamiast do domu kazać mu jechać, mógł po medyka do Sambora go posłać. Głos rozsądku podpowiadał, że żaden medyk nie udałby się zimową porą sam na sam z nieznanym Tatarem, ale też trudno rozsądkowi zaufać, kiedy za ścianą przyjaciel



zмага się ze śmiercią. Wsłuchanemu w ciszę szlachcicowi co rusz zdało się, iż gdzieś z głębi domostwa, gdzie leżał w swym łożu Stiller, dochodzi świszczący, nierównomierny oddech, od którego słyszącym go ciarki przechodziły po plecach. To jednak tylko wiatr w szparach szemrał, monotony i nieustanny, zwiastujący zmianę pogody. Grały czasem na szybach zmarznięte krople niesione podmuchami, łudząc, że ktoś zza okna uderza w nie paznokciami. Przygnębiający był ten odgłos, jakby ktoś do domostwa skrobał, udręczony wilgotną aurą. Przywoływał wspomnienie słuchanych w dzieciństwie bajań, które piastunki szeptem tajemnym opowiadały, aby maluchy na słotę nie lazły, iż to nieszczęsne dusze zmarłych pod dach, do ciepła chcą wrócić.

Murray, westchnąwszy ciężko, wstał ze swego miejsca i podszedł do stołu. Uniósł kielich i wypił kilka łyków, choć wcale nie był spragniony. Ze smutkiem spojrzął w głąb pustego naczynia, jakby tam szukając odpowiedzi na dręczące go pytania. Zerknąwszy na dzban z winem, zawahał się, by zaraz zdecydowanym ruchem odstawić pucharek. Palcami jedynej ręki bezmyślnie przesunął po krawędzi mebla, a potem głową pokręcił do własnych myśli. I w nim korzenie zapuścić już zdołało ziarno rezygnacji, które kiełkować poczęło w drodze do Beniowej, kiedy mijali Sambor. Spoglądając na półprzytomnego druha, wspominał dawne czasy, kiedy w pełni sił i młodości z biskupiego rozkazu przemierzali w tę i we w tę górskie pustkowia, niepomni na żadne przypadłości, które gnębią ludzi. Jakże odległe były to lata! Przywodziły na myśl kojącą zieleń oraz ciepły zapach późnej wiosny i sianokosów. Wówczas, uśmiechając się do siebie w jakimś nieomal półśnie, odwracał głowę ku skulonej w siodle, zakutanej w futro postaci i sam sobie zadawał pytanie, czy jest to ten sam człowiek, którego ongiś znał. Czas, ten nieubłagany sędzia, potrafił zmienić wszystko. Za sobą zaś, jak Szkot myślał z goryczą, zostawiał jedynie pustkę nikomu niepotrzebnych wspomnień. Wszystko minęło. Młodość, przelotne miłości, zdrowie. Pozostał jedynie dojmujący, beznadziejny smutek. Nie rozwiewała go nawet kusząca i zła myśl, iż teraz już wszystko jedno, co się zdarzy. Tęskno bowiem było za utraconym czasem, aż w gardle dławiała ta tęsknota. Przyszłość zaś była gęstym mrokiem, przez który przedzierać się musiał człowiek z coraz to większym móżolem.

Przełknąwszy ślinę, Murray siłą oderwał się od przykrych myśli i powiedział:

– Późno już. Pójdę zajrzeć do niego.

Żegota drgnął, wyrwany z ponurych rozmyślań. Nie odwracając głowy, bardziej do siebie niż do przyjaciela wyszeptał:

– Trzeba było w Samborze do medyka iść. Nawet go wbrew woli zawlec.

Nie wiedzieć czemu zirytowały te słowa cudzoziemskiego oficera. Może dlatego, że sam siebie winił, iż tak się nie stało? Dość, że prychnąwszy, zgryźliwie odrzekł:

– Trzeba, trzeba! Jeszcze siły miał i zabronił! Do domu chciał! Czemuż waść wtenczas się nie upierałeś?! Co?!

Nic na to nie odpowiedział Nadolski, tylko głową pokiwał i zwiesił ją na piersi. Widząc to, zmitygował się nieco Szkot, dlatego dodał pojednawczo:

– Ani ty, ani ja nie jesteśmy winni.

– Mogłem chociaż Bejdę posłać, jak pogoda jeszcze była, zamiast do domu kazać mu wracać.

– Aaa! – Murray machnął ręką. – Tak samo jutro kogo ze służby mogę wysłać do Sambora! Tylko czy kto przejdzie teraz przez rozmiękłe zaspy! A nawet gdyby, to liczysz acan, że jaki łyk przyjedzie do Beniowej w ten ziąb i pluchę?! Werner nie magnat, żeby się ku niemu trudzić! Sam to wiesz!

Szlachcic zacisnął dłonie złożone na kolanach. Zmarszczywszy czoło, burknął:

– To co?! Czekać mamy, aż zemrze?! Taka twoja rada?!

Zmilczał Szkot przyganę, w złości sięgając po dzban. Kiedy nalewał sobie, powstał nagle Żegota ze swego miejsca i rękami żupan wygładzając, syknął:

– Ja czekać nie zamierzam! Sam pojedę, gdy tylko świt wzejdzie! Jak trzeba, na postronku medyka przyprowadzę!

Przerwał w pół ruchu Murray, prychnął i głową pokręcił. Odstawiając naczynie z winem, rzucił:

– Aż wilcy waszeci dopadną. – Wskazał na rozrzucone skóry.

Siwy szlachcic wzruszył tylko ramionami. Dlatego Szkot dodał:

– Wiatr ciepły idzie, wilgoć wisi w powietrzu, śnieg taje, konia zamęczysz, a medyk, nawet jak go znajdziesz i przywiedziesz, tyle pomoże co umarłemu kadzidło! Najsampierw Werner sam by musiał chcieć ozdrowieć! Widzisz acan, jak jest!

– Widzę! – wycedził Nadolski, podchodząc i sięgając po kielich.

Murray polał mu w milczeniu. Długo trwała cisza, gdy stojąc obok siebie, spoglądali w ciemność za oknem i spływające po szybie, targane wiatrem kropelki wody. Wiły się, łącząc ze sobą, by potem, nabrawszy ciężaru, pędem w dół ściekać ku własnej zagładzie.

Westchnąwszy, Żegota upił ostatni łyk wina.

– Może choć w Ustrzykach Żyda Izaaka spotkam. Ponoć też na leczeniu się zna.

Szkot obrócił głowę w stronę siwego szlachcica. Wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. – Zacerpnął głęboko powietrza i pokiwał głową. Wpatrzony w pociemniałe srebro pucharka szepnął: – Myślisz pewnie, że wszystko mi jedno, że pogodziłem się z tym, iż on... – Nie dokończył, zaciskając usta. Po chwili, prostując się, ciągnął: – Ze dwadzieścia lat się z Wernerem znamy. To on mnie do służby u biskupa namówił, kiedy jeszcze byłem młody. Jest dla mnie niczym brat rodzony. Na jednej wiązce słomy sypialiśmy po karczmach, z jednej misy nieraz nam przyszło jeść. W smutku i radości zawsze byliśmy razem. A teraz... – Zawiesił głos. Długo milczał, nim w końcu machnął drewnianą ręką i dokończył: – A teraz jest jak jest. – Odstawił pucharek. Oddychał ciężko, płytko, z trudem hamując wzruszenie. Odwróciwszy wzrok, wstydząc się zaszklonych oczu, aż nazbyt gwałtownie rzucił: – Na nic to wszystko! Tyleśmy osiągnęli tym wszystkim, że teraz on tam... – machnął ręką za siebie – ...ledwie żywy leży, a my tyle samo co uprzednio wiemy! Próżna była nadzieja! Równie dobrze mogliśmy wino pić, z dziewczkami się bawić i życiem cieszyć! Rację miał Baczyński, że w beznadziei wolność odnalazł! Nie da się odwrócić tego, co komu zapisane, więc zamiast walczyć, trzeba się pogodzić z losem! Teraz wyrzucam sobie własną bezrozumność! Po co to wszystko było? Powiedz mi, panie Nadolski, po co?

Prychnął wzgardliwie, wcale nie oczekując odpowiedzi. Odrzekł mu jednak Żegota matowym głosem, wolno, ważąc każde słowo:

– Każdy człowiek sam pisze księgę swojego żywota. Nikt inny za niego tego nie czyni. Nie ma więc takiej beznadziei, której nie można pokonać, a ten, kto się przedwcześnie poddał, już przegrał. Było, że i ja uległem mrocznej pokusie wolności, o jakiej Baczyński mówił. Tej, która i tobie teraz szepcze, że wszystko stracone, próżny więc jakikolwiek wysiłek i z nurtem trzeba popłynąć, nie wbrew niemu, chłonąc to, co życie samo przynosi. Uwierz mi waszmość, że... – spojrział wprost w oczy Murraya – ...żadna to wolność, tylko pustka. Chłodna, ciemna, pochłaniająca duszę pustka. Póki zaś on żyje... – wskazał ręką na ścianę za którą spał

Saksończyk – ...póty mamy obowiązek mu pomóc, zamiast ręce załamywać. A nawet jeśli by umarł, zaczekam na tego odzianego w czerń skurwysyna i w gardło mu żelazo wrażę, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię. – Odwrócił się od milczącego wciąż Szkota. – Pomyśl o tym, nim uwierzysz w to, w co najłatwiej teraz uwierzyć, i ulegniesz wygodnemu przygnębieniu. Ja zaś idę spać, bo jutro, skoro tylko świt nastanie, do Ustrzyk pojedę. A jak trzeba będzie, to i do Sambora. Nie będę siedział z założonymi rękami.

Zaskrzypiały zamykane drzwi. Szkot został sam, oparł ręce na stole i pochylił się, nisko spuszczać głowę. Dwie ciężkie krople wolno spłynęły mu po policzkach poprzez bruzdy nagle postarzonej zmartwieniem twarzy. W sercu zaś załkała tęsknota za tym, co przeszło i już nigdy nie wróci.

Mozolnie brnął jabłkowity koń przez ciężkie od wilgoci zasy. Prychał czasem z niezadowolenia i rzucał głową na boki, spoglądając z przestachem w wyłupiastych oczach po ciągnącej się dokoła leśnej głuszy. Równomiernie chrobotał śnieg pod jego kopytami. Poza tym nic nie zakłócało niezmaconej szarej ciszy ledwie nastalego świtu.

Żegocie kleiły się oczy z niewyspania. Przygarbił się w siodle, co rusz zapadając w męczący stan pomiędzy jawą a snem. Trzeźwiły go czasem mokre, lepkie podmuchy ciepłego wiatru, od którego wszystko ciemniało, przesiąkając niezdrową wilgocią. Ledwie cztery pacierze wcześniej wyjechał, a już osiadły na nim i wierzchowcu drobne krople, które błyszczały na ubraniu i sierści zwierzęcia. Gdzieniedzie gęstniały pasma mgły albo też wiły się smugi oparu, znacząc miejsca, gdzie najpewniej rozciągały się błota. Odtajałe czarne gałęzie drzew i wyzierające tu i ówdzie sterty starego listowia cuchnęły zgnilizną, z której dopiero wiosną zrodzić się miało nowe życie. Pusto było i straszno zarazem. Na widok wiszących nieruchomo oparów same cisnęły się do głowy myśli o śmierci.

Żegota, prowadząc konia za uzdę i ślizgając się po mokrym śniegu, przeszedł przez potok Sychłowaty. Grube buty z juchtowej skóry nie pomogły, toteż woda w nich zachlupotała. Nadolski zaklął i przystanął na chwilę, rozglądając się, gdzie tu przysiąść i osuszyć nieco stopy. Zauważywszy opodał pień zwalonego drzewa, podszedł do niego, strzepnął ręką grubą warstwę ciężkiego śniegu i spoczął z westchnieniem. Gniewnie pomyślał, iż rację miał Murray, odwodząc go od wyprawy. Latem byłby już trzy razy dalej, a teraz tylko sam się narażał na chorobę, na dodatek zaś wcale nie był pewny, dokąd zdoła dotrzeć i kiedy. Wszak woda z gór

mogła pod śniegiem rozmiękczyć ziemię nad kolejnym strumieniem, co zmusi go do nadłożenia drogi dla obejścia niebezpiecznego błota. A potem jeszcze kilka takich strug go czekało, wśród nich całkiem pokaźna, zwana Halicz. Zastanawiał się nawet przez chwilę Nadolski, czy aby nie lepiej byłoby mu od razu przez San przejść i w Boryni, Turce czy Jaworze szczęścia spróbować, na Drohobycz się kierując, ale porzucił tę myśl zarówno z obawy przed przekroczeniem rzeki, jak i dlatego, że nie znał w tamtych stronach nikogo, a w Ustrzykach był Izaak, który niejednego na nogi postawił. Nadto, jak sądził, łatwiej będzie Żyda do drogi przymusić niż kogo innego. W dotarciu w taką pogodę do Sambora szlachcic powoli zaczynał wątpić, zwłaszcza kiedy spoglądał na wylewaną z butów wodę i przemoknięte onuce.

Wgramoliwszy się na siodło, poprawił zawilgły opatrunek na twarzy. Rana ciągnęła go nieprzyjemnie zbyt ciasno związanymi nićmi. Z pewnością nie pomagała w jej szybkim zagojeniu woda, od której ropa mogła się wdać. Jątrzyły się takie rany po ugryzieniu i długo zabliźniały, o czym dobrze wiedział, pamiętając niejednego, co gangreny dostał, kiedy go w bitwie szkolony koń pokąsał.

Siłą woli zmusił się Żegota, aby o tym nie myśleć. Począł wspominać Wygnankę, Agnieszkę i synka, plany snuć na wiosnę, rachować w głowie przyszłe wydatki i zyski. Ale i to niesporo mu szło, albowiem jakiś głos w głowie dręczył go uporczywym pytaniem, czy aby warto snuć takie rozważania, skoro niepewny jest powrót do domu. A za tym kusicielsko, nieubrana w słowa, nadchodziła refleksja, po co to wszystko. Czy jest komuś coś dłużny albo też obiecał? Wszak już zrobił, co mógł. Nie jego wina, iż Baczyński niewiele pomógł, bo sam niewiele wiedział. Na Krym miał jechać?

Zadrzał Nadolski, zadawszy sobie to ostatnie pytanie. Nieprzyjemnie mu się zrobiło, gdyż nagle Ryta stanęła mu przed oczami i sęczyła w ucho znaną opowieść o porwanej córce. Tę samą, którą usłyszał pięć lat temu w leśnej chacie, kiedy mu wiedźma rany opatrywała. Ileż owa dziewczynka mogła mieć teraz lat? Musiała już być dorosła, jeśli wciąż żyła.

Zmarszczywszy brwi, Żegota tłumaczył się przed samym sobą, że wszak nie tej Żydówce obiecał odnaleźć Miriam, lecz sobie. Na Sobieniu Murraya ze Stillerem do pomocy zobowiązał, a oni uczynili, co mogli. Jak igły w stogu siana można by dziewczynki latami szukać i nie znaleźć. Ten głos rozsądku zagłuszało jednak palące przypuszczenie, iż wszystko to, co się teraz stało, nie stało się bez przyczyny. Ciarki poczuł na plecach, gdy przemknęło mu przez głowę, iż jest to znak Opatrzności.

Przypomnienie i zarazem przestroga dla niego, aby swą powinność wypełnił. Wszak pomogła mu czarownica jego własnej pomsty dokonać, nawet po swej śmierci w majakach przychodząc i go wspierając<sup>181</sup>. Czyż nie dochodziła teraz swojego prawa do odpłaty?

Mieszały się w głowie Nadolskiego najdziwaczniejsze zabobonne majaki, a wśród nich i ten, że klątwa na nim ciąży, więc on spokoju nigdy nie zazna, dopóki nie odnajdzie pojmanej w jasyr dziewczynki. Lęk nagły o najbliższych na wskroś go przeniknął. Niczego bowiem nie bał się bardziej niż ponownej utraty żony i potomstwa. Tego po raz wtóry by nie przeżył.

Ścisnęła mu serce tęsknota, wołając, aby konia odwrócił i do swoich jechał, nie zważając na nic. Gdzie mógł być teraz Bejda? Czy dotarł do pani Agnieszki z wieściami? A może utknął gdzieś przez roztopy albo i co gorszego się zdarzyło. Wszak Tatar różne mógł w ludziach wywołać domysły, od których łatwo do zbrodni.

Długo walczył ze sobą, nim zapanował nad pokusą. Pomyślał, że łatwiej słowa szlachetne przed innymi głosić, jak on wczorajszego wieczora przed Murrayem, niż samego siebie przekonać. Zakławszy, trącił konia ostrogami, ponaglając go do szybszego kroku.

Długo jechał, mijając pogrążone w zimowym letargu wioski. Nie zatrzymywał się, wiedząc, iż w nich nie znajdzie pomocy. Ot, co najwyżej takie same jak w Beniowej znachorki, których rady zawsze były podobne. Okadzić, zapluć, lipą albo brzozą napoić, okłady z kapusty zrobić, a czasem pijawki przystawić. Nie tego potrzebował.

Na niebie kłębiły się ciemne, ciężkie chmury, które sunęły powoli od południa. Niosły ze sobą niespodziewany o tej porze roku drobny deszcz, a ten potęgował przygnębiające wrażenie przytłaczającej szarości i beznadziei. Żegota skulił się, klnąc w duchu, iż dobry na mrozy kozuch nijak mu teraz nie pomaga, nasiąkając wszechobecną wilgocią. Wzmógł się nieprzyjemny, wiejący od pleców wiatr, duszny, gęsty niczym morowe powietrze.

Jeszcze przed dziewiątą dojechał na pustkowie ciągnące się nad potokiem Muczny. Podmuchy wzmagaly się, trzęsąc gałęziami drzew porastających górskie stoki. Bukowe pnie trzeszczały pod ich naporem, skrzypiąc nieprzyjemnie. Zrobiło się dziwnie szaro, a przy tym opar się uniósł od topniejącego pod wpływem wiatru śniegu. Wznosił się ponad lasem, rozwiewany, kiedy tylko wychynał nad wyciągnięte w górę gałęzie.

Koń parsknął kilkakrotnie, poruszając nerwowo chrapami. Zarżał cicho, z obawą, wzbudzając w jeźdźcu lęk przed tym, co mogło czaić się gdzieś tam w gęstwinie. Żegota pomyślał o prochu w półhakach i rusznicy, który pewnie zawilgł ze szczętem, czyniąc broń nieprzydatną. Nieprzyjemny deszcz przeszedł mu przez plecy. Zakławszy grubo, ponaglił wierzchowca, aby czym prędzej do Stuposian dojechać. Znał tę wieś, w której parę lat wcześniej tołhaje wraz z wieśniakami okolicznymi całkiem dwór pana Choteckiego złupili<sup>182</sup>. Niebezpieczna była to okolica, w której łatwo o nieszczęście. Tam jednak przynajmniej u pani Wisłockiej<sup>183</sup> mógłby liczyć na jakieś schronienie przed narastającym deszczem pomieszany z lepкими płatkami mokrego śniegu.

Przejechawszy kawałek, ostrożnie przekroczył Muczny, aby skierować się następnie na północ, gdzie wznosiła się porośnięta borem Czeresznia. Koń kręcił się coraz bardziej nerwowo, podrygując dziwacznie, aż momentami trudno było Żegocie powściągnąć go cugłami. Zadziwiający był ten lęk zwierzęcia, gdyż nic się wkoło nie działo. Najpewniej nawet wilki pokryły się w jamach, przeczekując deszcz. Niedźwiedzie zaś spały o tej porze, choć przeszło przez głowę Nadolskiemu, iż może to jakiś misiek wybudzony nienaturalnie ciepłym wiatrem wyszedł ze swej gawry i teraz kręci się po okolicy w poszukiwaniu pożywienia. Mając dość końskich narowów, zrzędząc pod nosem na kolejny kłopot, zeskoczył z siodła i przywiązał ogiera do drzewa. Starannie obejrzał mu kopyta, czy aby jakiś kolec albo poluzowana podkova nie jest sprawcą zamieszania, a kiedy ocenił, iż wszystko jest w należyтым porządku, odszedł kilka kroków, rozglądając się.

Ciężki śnieg znaczyły tylko ślady jego własnego wierzchowca. Dawno musiały tędy nie chodzić inne zwierzęta. Las szumiał jednostajnie pod naporem wiatru, skrzypiąc ocierającymi się o siebie gałęziami. Pomiedzy lśniącymi od wilgoci bukowymi pniami niczego godnego uwagi nie ujrzał. Dziwnie przykra i niepokojąca zdała się Nadolskiemu ta pozorna cisza, choć przecież nie dostrzegł żadnego powodu do niepokoju.

Już odwracał się na pięcie w stronę pozostawionego pod drzewem konia, kiedy nagle zobaczył kątem oka jakiś ruch od strony, z której przyjechał. Wyteżył wzrok, wciąż niepewny, czy aby nie uległ złudzeniu. Wtedy włos zjeżył mu się na głowie.

Najprędzej jak mógł dobiegł do wierzchowca i odplątał przytroczoną do siodła rusznicę. Nieporadnymi od zimna palcami wyszukał klucz do nakręcania zamka kołowego i wetknął weń wystający z bębna trzpień. Zazgrzytał mechanizm,

naciągnęła się sprężyna obracająca kołem. Żegota sprawdził panewkę. Zaklął szpetnie, dostrzegając wilgoć. Najspieszniej, jak umiał, podsypał, wiedząc, że nie na wiele się to zda, jeśli woda dotarła do ładunku. Poderwał broń, celując tam, skąd nadjeżdżał powoli ten, którego już widział w Tarnawce. Odziano na czarno demon zwany Łowcą.

Nie spieszył się opatulony w płaszcz cudzoziemiec ani też żadnego lęku nie okazywał, mimo że najpewniej widział skierowaną ku sobie lufę. Obojętnie, chwiejąc się w siodle, zbliżał się nieubłaganie. Nawet nie widać było jego twarzy spod zsuniętego nisko kapelusza, lecz Żegota był pewien, z kim ma do czynienia. Przełknął napływającą mu do ust ślinę, owładnięty nagłą trwogą, jakiej już dawno nie odczuwał. Przycisnął mocniej kolbę do ramienia i krzyknął:

– Stój!

Jeździec nawet drgnięciem nie zareagował na wołanie. Jego kary wierzchowiec szedł z opuszczoną głową przed siebie, a wodze luźno zwisały z dłoni siedzącego w siodle mężczyzny.

– Stój, bo strzelam!

Powoli, jakby znudzonym ruchem, cudzoziemiec zatrzymał konia. Obojętnym gestem odchylił kapelusz, odsłaniając twarz. Uśmiechnął się wymuszonym grymasem. Lekkim skinieniem głowy wskazując na skierowaną ku niemu broń, mruknął z dziwnie miękkim, obcym akcentem:

– Oszczędź sobie. Wiesz, że nic to nie da. Nadto proch ci najpewniej zawilgotniał. Opuść tę rurę. Dziś nie musisz się mnie lękać.

Nadolski nerwowo przestąpił z nogi na nogę, wahając się, co ma uczynić. Wreszcie zniżył lufę rusznicy ku ziemi. Zadarłszy dumnie głowę, zawołał:

– Czego ode mnie chcesz?! Po co za mną jedziesz?!

Mężczyzna puścił wodze, rozkładając przed sobą dłonie.

– Mówiłem ci, że kiedyś się spotkamy. Teraz, panie Nadolski, chcę tylko porozmawiać. A jutro, kto wie...? – Zawiesił głos i wyżej uniósł ręce, pokazując, że nic w nich nie kryje.

Żegota całkiem opuścił broń. Opierając kolbę o ziemię, rzucił:

– Znasz, kto ja jestem. Może teraz ty byś się mi przedstawił? Jak cię mam zwać? Diabłem?



Niespiesznie zsiadając z siodła, zaśmiał się krótko nieznajomy. Stanąwszy na śniegu, skłonił się dwornie, zamiatając przed sobą kapeluszem zdobnym w smętne zwisające pióra. Kiedy się wyprostował, oznajmił:

– Jestem Diogo Lopes Pacheco, rycerz portugalski, do usług waszmości.

Zaniemówił Żegota, słysząc zwyczajne ludzkie nazwisko miast jakiegoś łacińskiego imienia, które teolodzy nadają bestiom piekielnym. Odruchowo odklonił się, choć nie tak nisko jak Portugalczyk. Był wszak polskim szlachcicem i swój honor miał.

Cudzoziemiec przystanął naprzeciw siwowłosego mężczyzny, przyglądając mu się z ciekawością. Widać ją było w ciemnych, głębokich oczach, w których źrenice i tęczęwki miały prawie jedną barwę. Nadal uśmiechał się tajemniczo, gładząc przyciętą zgrabnie, na hiszpańską modłę, bródkę. Aż nieprzyjemnie zrobiło się Żegocie od tego wbitego weń wzroku, ale hardo wytrzymał badawcze spojrzenie. Nic się nie odezwał, choć cisnęły mu się na usta pytania. Tymczasem, nasyciwszy się widać widokiem, Portugalczyk pokiwał głową, tupnął kilkakroć nogami, nad wyraz ludzkie okazując uczucia, wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Zimno! Ogień by trzeba rozpalić.

– W drogę mi pora! – odburknął Nadolski, gdyż jakoś minął mu strach na widok zwyczajnego, zmarzniętego człowieka, którego miał przed sobą, a nie demona.

– Aaa... – Przybysz machnął ręką. – Zdązysz, panie Nadolski. Wiem, po co jedziesz, więc zdradzę ci, że daremny twój trud. Nie medyka panu Stillerowi będzie jutro trzeba...

– Grozisz?! – syknął Żegota, mocniej ścisnąwszy lufę rusznicy.

– Boże broń! – Cudzoziemiec zaśmiał się, unosząc ręce. – Wyjaśnię wszystko, jak przy ogniu siądziemy i pogadamy. Pewnie chcesz wiedzieć o mnie coś więcej... – łypnął spod brwi, mrużąc oko – ...a i ja o tobie też coś pragnę usłyszeć. Ale najpierw... – klepnął się kilkakroć po ramionach i nogami zatupał – ...ogień rozpalmy, bo uwierz mi, panie Nadolski, jakoś nigdy nie mogłem się przyzwyczaić do tutejszej aury, chociaż w swym życiu wielokroć tu bywałem.

Skłonił lekko głowę i nie oglądając się już na szlachcica, przywiązał swego czarnego jak smoła wierzchowca do drzewa. Potem jak gdyby nigdy nic, nucąc pod nosem jakąś melodyjną piosenkę, jął po prostu zbierać gałęzie na ognisko. Tak to wszystko było dziwaczne, że patrzący na to Żegota w końcu oparł rusznicę o pień

najbliższego buka, by bez słowa także zabrać się do gromadzenia chrustu i polan. Miał przy tym istny mętlik w głowie, więc co rusz zerkał na obcego. Podejrzenia mieszały mu się ze zdziwieniem, a nieufność plątała z nieustającym zaskoczeniem. Niepodobne się naraz zdało, że całe życie Stillera wypełniał lęk przed tym Portugalczykiem, który teraz, zamiatając brzegiem ubłoconego płaszcza po mokrym śniegu, ciskał kolejną naręcz drewna na kupę. Czy aby nie było wszystko tylko grą wyobraźni Stillera? Albo też, co gorsza, jakąś umysłową przypadłością, od której nie umiał się wyzwolić? Nawet opowieść Baczyńskiego, którą przywoływał w duchu Nadolski, nie zmieniała tego wrażenia zupełnej zwyczajności odzianej w czerń postaci. Jej jakże ludzkiego wymiaru, niewykraczającego ani o cal ponad to, co naturalne na tym świecie.

Gdy zebrany został już pod rozłożystym bukiem całkiem spory stosik mokrego, oślizłego drewna, przystanął nad nim odziany w czerń przybysz i głową pokręcił, rzucając ni to do Żegoty, ni to do siebie:

– Wilgotne. Podpalić będzie nie lada sztuką. – Uśmiechnął się i odwrócił do Nadolskiego. – Ale i na to jest rada. Mam przy siodle dzbanek oleju ze stwora, co go cetus<sup>184</sup> po łacinie nazywają. A ty, waszmość, z łaski swojej poszukaj jakiej suchszej jedliny albo żywicy trochę czy kory. Może się uda.

Szlachcic mruknął coś pod nosem i odwrócił się na pięcie. Wciąż był skołowany, dlatego nawet nie protestował.

Kiedy wrócił, Portugalczyk mozolnie uderzał w krzesiwo, wpatrzony w tłące się w hubce iskierki. Nie odwracając głowy, rzucił za siebie wesoło:

– Pewnie się dziwisz, że ogniem nie zionę ani też dotykiem drzewa nie potrafię podpalić.

Zaśmiał się do siebie, by zaraz dmuchaniem podsycić wąty płomyk. Kiedy ognik popęzł w górę po rozlanym oleju, odwrócił spoważniałą nagle twarz w stronę Żegoty.

– Bo też znasz mnie tylko z opowieści tych, których ścigam. Dla nich w istocie jestem demonem. A dla ciebie... – Wzruszył ramionami i powstał. Otrzepując ubranie, dokończył: – Dla ciebie jestem tylko nieznanym cudzoziemcem. – Spojrzał na trzymane przez Nadolskiego w dłoniach gałęzie i żywiczną korę. – Daj. Podrzucę, niech się powoli zajmie ogniem, co suche. Potem już samo pójdzie.

Odebrawszy od szlachcica to, co przyniósł, niespiesznie podrzucił kawałki drewna do ognia. Patrząc na rosnące płomienie, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Dość było siwemu szlachcicowi tej nieznośnej sielanki, która burzyła jego dotychczasowe przekonania. Zły na siebie, a także na to, co się działo, burknął gniewnie:

– Czego ode mnie chcesz, panie Diogo czy jak cię tam zwą?!

– Rzekłem ci już, porozmawiać – odparł spokojnie nieznajomy. – Przykucnąwszy przy ogniu, wyciągnął ku niemu ręce. – Nie zajmę ci wiele czasu. Ot, tyle tylko, żebyś mnie posłuchał i żebym ja od ciebie coś usłyszał.

– Tedy mów!

Ponaglenie nie zrobiło na Portugalczyku żadnego wrażenia. Powstał i podszedł do niewielkiego świerczka rosnącego opodal. Wyciągnął z pochwy ozdobny nóż, którym naciął kilkanaście gałęzi. Starannie otrzepał je ze śniegu i z wilgoci, by potem rzucić koło ogniska. Podwinąwszy pod siebie płaszcz, przysiadł na tym prowizorycznym siedzisku, gestem zapraszając szlachcica.

Żegota sapnęła, okazując w ten sposób niechęć, ale skorzystał z zaproszenia. Paliła go bowiem ciekawość, choć sam się przed sobą do tego nie chciał przyznać.

Usiadłszy, przyjrzał się nieznajomemu. Bladej, jakby zmęczonej, ale też przystojnej i szlachetnej niemalże twarzy, gęstym włosom wciąż spiętym w gruby warkocz wymykający się spod kapelusza i smukłym dłoniom okrytym eleganckimi, miękkimi rękawicami. Bogaty był strój cudzoziemca, co od razu rzucało się w oczy, ale też nienachalny w swym bogactwie. Tylko czerń i srebro elegancko współgrając ze sobą, subtelnie oznajmiały o kunszcie krawców i kaletników. Także broń nieznajomego znamionowała pozorną skromność, której jakoś docenić mogliby dopiero znawcy.

Przyjemnie rozlało się wokół ciepło płonącego ogniska. Bezlistne gałęzie pobliskiego buka, mimo swej nagości, chroniły nieco przed siąpiącym drobnutkiem deszczem, a wiatr przestał zacinać przy ziemi i tylko szumiał w koronach drzew. Gdyby nie wciąż nerwowe parskanie konia Nadolskiego, przyjemny nawet zdałby się ten pozorny spokój, który nastał. Nie ufał mu jednak siwy szlachcic, dlatego siadając, tak ułożył rękojeść szabli, aby mieć do niej łatwy dostęp w razie konieczności. Nie uszło to uwagi cudzoziemca, który powstrzymał się jednak od komentarza, unosząc tylko lekko kąciki ust.

Dorzucając powolnym ruchem kolejną gałąź do ognia, Portugalczyk zagadnął:

– Ten bandaż na twarzy to pewnie pamiątka po Baczyńskim, co?

Zezłościło Nadolskiego to pytanie, bo kpinę w nim usłyszał, dlatego krótko odburknął:

– On tak mnie urządził, szubrawiec.

– Zajadły był, oj, zajadły. Do szpiku kości zepsuty – skwitował odziany w czerń towarzysz.

Szlachcic wzruszył ramionami.

– O nim chcesz gadać? Po to za mną jechałeś?

Westchnąwszy, cudzoziemiec pokręcił głową. Zmrużywszy oko, zapytał:

– Chcesz wiedzieć, kim jestem?

Zaskoczony Żegota skinął potakująco. Czarnowłosa mężczyzna otrzepał rękawice.

– Dobrze, opowiem ci o sobie. Ale oczekuję od ciebie, że i ty mi odpowiesz, jak cię o co zapytam. Zgoda?

– Zgoda.

Osobliwy, nieco ironiczny półuśmiech zabłąkał się na usta przybysza. Zgasł jednak w chwili, kiedy zaczął mówić:

– Tak jak ci już rzekłem, nazywam się Diogo Lopes Pacheco. To moje prawdziwe nazwisko, pierwsze, jakie otrzymałem na tym świecie. Później nadawano mi różne imiona, czasem też sam je przybierałem. To zresztą... – machnął dłonią – ...nieważne. Ulotne jak to płonące drewno. – Wskazał palcem na ognisko. – Po imionach, tak jak i po ludziach, zostaje tylko popiół. Nic więcej prócz wyobrażenia, kim byli kiedyś. – Westchnął, wpatrzony w płomienie. Obejmując ramionami zgięte kolana, mówił dalej: – Działo się to bardzo dawno temu. Tak dawno, że nie uwierzyłybyś, panie Nadolski, a ja nie zamierzam tracić czasu, by cię przekonywać. Był w każdym razie pewien król w Portugalii, który miał syna o imieniu Pedro. Ten zaś zapalał uczuciem do niewiasty, która, choć piękna, nie dorównywała mu stanem. Dlatego stary król sprzeciwił się tej miłości, każąc swemu następcy pojąć za żonę bogatą księżniczkę. Mijał czas, żonie księcia rodziły się kolejne dzieci, a nawet matką chrestną jednego z synów została dawna ukochana następcy tronu. Zdawało się, że naiwne pierwsze uczucie już przebrzmiało, uleciało z czasem tak, jak większość młodzieńczych zauroczeń. Tak się jednak tylko zdawało. – Pokiwał głową do swoich wspomnień. – Zdarzyło się, iż księżę został poważnie zraniony na wojnie. Podług medyków rana

była śmiertelna. Tylko kwestią czasu, dni, miało być jego odejście. Rozpaczal ojciec, rozpaczal cały dwór, rozpaczala i dawna ukochana, której imię brzmiało Ines. Wszyscy, prócz księżęcej małżonki Konstancji. Może dlatego, że nigdy nie kochała księcia Pedra? A może to on nie okazywał jej uczuć? Tego nie wiem. Dość, że dostrzegli to ludzie wokoło i zrozumieli, iż piękna Ines nadal darzy uczuciem następcę tronu. Ten zaś, za sprawą cudu chyba, powrócił do zdrowia. Od tamtej chwili wszystko się zmieniło. – Cudzoziemiec przesunął nogą jedną z gałęzi, która wypadła z ognia. – Nie kryli się już ze swoją miłością Ines i Pedro. Na nic zdały się łzy Konstancji ani też napomnienia starego króla, a nawet groźby, których nie szczędził wobec syna i jego kochanki. Zniecierpliwiony władca odesłał więc kłopotliwą dwórkę tam, skąd pochodziła, licząc, iż omotany przez nią księżę zapomni i znów ułoży sobie życie z prawowitą żoną. Jakże się mylił! Cierpliwy był Pedro, lecz wierny swojemu uczuciu. Zżerała go tęsknota, którą wypełniał, pisząc do ukochanej listy. Znów mijały kolejne lata, aż zmarła ze zgryzoty księżna Konstancja, uwalniając małżonka od ciężących mu więzów. Będąc zaś wolnym, niepomny na prośby ojca, postanowił Pedro poślubić swą pierwszą miłość. – Uśmiechnął się lekko. – Naiwna jest wiara królów i książąt, że rządzą swoim życiem. Są zbyt ważni, aby tak było. Mimo to następcą tronu uwierzył, że tak właśnie jest. Potajemnie poślubił Ines, a potem ona rodziła mu kolejne dzieci. Dziewczynkę i trzech chłopców. Silnych i zdrowych, czego nie można było powiedzieć o legalnym potomstwie księcia z pierwszego małżeństwa. Coraz bardziej srożył się stary król, targany słusznymi obawami, co może zdarzyć się po jego śmierci. Zbyt samodzielnie myślał Pedro i zbyt kochał swą Ines i dzieci, aby władca mógł to zaakceptować. Dlatego postanowił działać. Właśnie w tym momencie tej opowieści pojawia się ja, Diogo Lopes Pacheco. – Popatrzył w stronę zasłuchanego Nadolskiego. – Byłem zwykłym rycerzem, choć także dworzaninem i doradcą królewskim w sprawach wojen. Słyszałem przy tym z odwagi i wierności. Inną stroną mego charakteru było także okrucieństwo. Wszystko to razem stanowiło o tym, czego potrzebował stary król od człowieka, któremu zamierzał powierzyć bezlitosne zadanie. Chciał śmierci Ines. – Zmrużył oczy, pogrążając się we wspomnieniach, a jego głos nieco przycichł. – Do klasztoru w Coimbrze, gdzie mieszkała nieuznawana przez króla żona jego syna, pojechaliśmy we trzech. Ja, Pêro Coelho i Álvaro Gonçalves. Wtargnęliśmy do komnat księżęcej kochanki, gdzie nie bacząc na dzieci, zadaliśmy jej śmierć. Potem zaś, na oczach jej syna i córki, odciąłem Ines głowę, aby przywieźć ją królowi jako dowód wykonania rozkazu.

Oczy Żegoty rozszerzyły się z przerażenia. Przypomniał sobie Zośkę i własne dzieci, znów wracając do wspomnienia ich okrutnej śmierci. Pobladł, nie odzywając się jednak. Portugalczyk zaś kontynuował swą historię:

– Kiedy okazałem odciętą głowę królowi, ten przeraził się ponieważ własnym rozkazem. Gdyby mógł, cofnąłby polecenie, lecz stało się. Kazał zamordować swoją sneszkę<sup>185</sup>, matkę swoich wnuków, a teraz musiał czekać na syna, aby mu to wyznać. Zbyt wiele było to jak na starego człowieka. Jego serce stanęło na chwilę, od czego już nigdy nie wrócił do sił. A Pedro? Przybywszy do kraju, srożył się kilka miesięcy, pustosząc własną ojczyznę. Dopiero błagania matki uspokoiły jego gniew. Pozornie wybaczył ojcu, tak naprawdę czekał jednak chwili, kiedy stary król umrze. Tak stało się ledwie dwa lata później. Od tej chwili Pedro zapomniał o pojednaniu i ścigał tych, którzy odebrali mu Ines. – Przybysz przejechał palcami po swej hiszpańskiej bródce, a potem wyciągnął dłonie w kierunku ognia. – Ja uciekłem do Francji, a mych dwóch współników do Kastylii. Ich zdołał ująć nowy król, wymieniając za tych Kastylijczyków, którzy szukali schronienia na jego dworze. Kiedy zaś sprowadzono Pêra i Álvaro do stolicy, nakazał zadać im okrutną śmierć. Torturowano ich na dziedzińcu pałacu królewskiego, podczas gdy Pedro jadł ze spokojem posiłek. Na koniec zaś wymęczonym wyrwano serca, jednemu przez piersi, drugiemu zaś przez plecy. Niektórzy nawet powiadali, że uczynił to osobiście sam król, od tej chwili nazywany Okrutnym. Mogłoby się zdawać, że nasycił się zemstą, ale nie był to koniec, panie Nadolski. Chciał wywyżżyć swą ukochaną nawet po śmierci. Nakazał wyjąć jej ciało z grobu i sprowadzić na zamek, gdzie doszyto trupowi głowę, odziano w przepiękne szaty, purpurowy płaszcz, posadzono na tronie i nałożono na zgniłe skronie koronę. Ines stała się prawowitą królewską małżonką i portugalską królową. Tej zaś należał się hołd. Najpierw sam król ucałował jej wyschniętą rękę, a potem każdy wasal, każdy dworzanin musiał uczynić to samo. Dopiero wówczas szalony władca zezwolił na pochówek u cystersów w Alcobaça. Tam zresztą kazał przygotować i swój grobowiec, aby po śmierci już na wieczność spocząć obok ukochanej<sup>186</sup>. – Portugalczyk rozłożył dłonie, spoglądając znów na Żegotę. – Tak zaczęła się moja historia. Od wielkiej miłości i nienawiści. Byłem w niej jedynie pionkiem, lecz to ona naznaczyła mnie w jakiś przedziwny sposób, choć wówczas tego nie pojmowałem. Może to Pedro, nie mogąc mnie dosięgnąć, przeklął na wieki moje imię? A może tylko tak mi się zdaje? Nie wiem. – Uśmiechnął się smutno. – Kiedy umarł szalony król, wróciłem do ojczyzny.

Jego syn, Ferdynand, przyjął mnie łaskawie, wiedząc, iż to za moją przyczyną skończyła się jego niepewność co do przyszłości. Kto wie, czyj byłby tron, gdyby Ines wciąż żyła? Może jednego z tych dzieci, które stały się półsierotami za moją przyczyną? Mało jednak było królewskiej łaski, by ludzi zjednać. Ciężko na mnie piętno mordercy, którego nic nie mogło już zatrzeć. Czym innym bowiem jest zabić męża w boju, a czym innym matkę przy potomstwie. Dobrze to wiesz, panie Nadolski. Ludzie bali się mnie, unikali mego towarzystwa. Pozostała mi więc albo samotność, albo też wojna. Wybrałem tą drugą, zatracając się w niej. Już wcześniej bezlitosny, stałem się wówczas bardziej niż okrutny. Straszliwe wspomnienie wracało do mnie w snach, a ja pragnąłem o nim zapomnieć. O przerażonych oczach dzieci i gasnącym spojrzeniu ich matki, której jedyną winą było to, że kochała. Znajdowałem ucieczkę w trunku, rojąc o chwalebnej śmierci w boju. Nie było w tym czasie zbrodni, na którą bym się nie powazył. Wszystko w imię mojego władcy, któremu przysięgłem wierność. On zaś był moim usprawiedliwieniem i rozgrzeszał me czyny. Tak doszło do mej ostatniej bitwy z Kastylijczykami. – Ściągnęła się twarz Portugalczyka, kiedy dodał grobowym głosem: – Wtedy na wpół umarłem.

Ciarki przebiegły przez krzyże Żegocie zarówno na brzmienie tych słów, jak i ich treść. Poruszył się nerwowo, zaciskając palce na szabli. Cudzoziemiec nawet nie patrzył w jego stronę. Starczyłaby sekunda, żeby go sięgnąć. Kusiła Nadolskiego ta myśl, ale górę wzięła ciekawość. Westchnąwszy ciężko, zapytał z niedowierzaniem:

– Umarłeś?

Mężczyzna grzejący dłonie jakby nie słyszał tego pytania.

– Nim to się stało, odbył się krwawy bój, po którym pole pokryło się trupami rycerstwa i żołnierzy. Wśród nich byłem i ja, ranny śmiertelnie, z wypływającą ze mnie krwią i trzewiami, wpatrzony w niebo, na którym zapalały się gwiazdy. Wokoło tylko jęczeli ci, którym śmierć nie okazała swej łaskawości. W bólach czekali na jej przybycie, wzywając ją najprostszym, pierwotnym językiem cierpienia, gdzie nie ma słów, a jedynie żalosne, coraz cichsze zawodzenie. Pomiedzy trupami nocą przemykali ci, którym zguba innych przynosiła nadzieję zysku. Rabowali umarłych, dobijali jeszcze żyjących, nie patrząc, czy to wróg, czy swój. Z trudem oddychając, zagryzając zęby z wścieklej bezsilności, czekałem na swoją kolej i zastanawiałem się jedynie nad tym, kto będzie przy mnie pierwszy – śmierć czy rabuś. Zresztą, w istocie było to tym samym. Nie spodziewałem się jednak, że ktoś inny pochyli się wcześniej nade mną. Ktoś, przez kogo jestem tym, kim jestem.

– Kto? – wyszeptał szlachcic, choć zdawało mu się, że zna odpowiedź. Mylił się jednak.

– Nie wiem... Do dziś nie wiem, czy był to anioł, czy szatan. A może jeszcze ktoś inny? Już konający, jak przez mgłę dostrzegłem ciemną postać, której twarzy nie widziałem pod głęboko naciągniętym kapturem. Nic nie mówiła, lecz słyszałem w głowie jej głos. Zadawała mi jedno pytanie, czy chcę jej służyć. Dawała mi wybór pomiędzy życiem a śmiercią, ale miała też swój warunek. Paliła me myśli niczym ogień, wlewając się w moje uszy szeptem, który nie wychodził z jej ust. To ja sam powtarzałem w kółko słowa dręczące mój umysł. O tym, iż ceną jest śmierć tysiąca. Tyle dusz muszę zebrać do sakwy, nim znów będę wolny. – Spojrzał na Żegotę. – Wiesz, jak wybrałem, skoro tu jestem. – Na ustach Portugalczyka pojawił się smutny półuśmiech. Odetchnął głęboko i pokiwał głową. – Zapadła ciemność. Pusta i kusząca zarazem. Czułem, jak moje serce przestaje bić. A gdy stanęło, nie było już dawnego mnie. Umarłem, rodząc się zarazem na nowo. – Zmrużył oczy. – Nie pojmujesz tego? – Machnął ręką. – Sam nie pojmuję. Nie potrafię odnaleźć słów, aby to inaczej opisać. Stałem jak gdyby na granicy dwóch światów, oddając się w niewolę sile, której do dziś nie rozumiem. Jest bowiem tym, co niby zła pragnąc, czyni dobro. Ja zaś stałem się jej okrutnym narzędziem.

– Dobro? – parsknął z sarkazmem szlachcic. – Żadnego w tym dobra nie widzę.

– Posłuchaj więc dalej, zanim wydasz ostateczny osąd, mości panie Nadolski. Ocknąłem się przed świtem, wciąż leżąc na poboju. Bez bólu, bez ran, które jeszcze kilka godzin wcześniej sprawiały mi takie cierpienie. W pamięci zaś miałem ową nocną wizytę i dziwne słowa, w które nie mogłem uwierzyć. Do chwili gdy ujrzałem u swego boku skórzaną sakwę. Jedyne pamiątkę, która została mi po mrocznym nieznanym. Wtedy pojąłem, że wszystko to, co wziąłem za majaki, było prawdą. Wybrałem życie i służbę, o której wówczas jeszcze niewiele wiedziałem. Cięższą, niż możesz sobie wyobrazić. – Zmarszczył brwi czarne jak smoła, wpatrzony w słabe płomyki pełzające po wilgotnym drewnie. – Wróciłem do domu, nie wiedząc, co czynić. Tam zaś zobaczyłem okradziony zamek i gospodarstwo. Nie czekała na mnie służba, gdyż myślała, że poległem. Wieść o mej śmierci szybsza była ode mnie. Rozpierzchli się ludzie, których jedynie strach przy mnie trzymał. Zabrali, co się dało, ogołacając domostwo. Siedziałem tedy w pustych ścianach, oddany rozmyśleniom, ku którym jakoś wcześniej nigdy nie byłem skłonny. Ponurym, mrocznym, takim, jakie wzbudzać zaczynają zwątpienie we własny rozum i zmysły.



Wszystko, co dotychczas było moim udziałem, wydawało mi się snem, z którego nagle się przebudziłem. Czy to w istocie ja uśmierciłem przed laty piękną, długowłosą Ines? Czy to mój miecz pustoszył kastylijskie wioski, nie szzczędając nikogo? Aż wreszcie czy w istocie umarłem i zmartwychwstałem? Dręczyły mnie pytania, na które nie umiałem znaleźć żadnej odpowiedzi. Tak mijały tygodnie, podczas których snułem się zamkowymi korytarzami albo też jeździłem bez celu po okolicy, wzbudzając strach już samym swym widokiem. Bo jakże to możliwe, powiadali chłopci, iż ten, którego widziano martwego, zjawiał się nagle i żył? Diabelska musiała być w tym sprawka, jak mawiano, niewiele zresztą myśląc się w tych przypuszczeniach. Szemrać poczęto przeciw mnie, z czego od razu postanowili skorzystać moi sąsiedzi. Podsycali tę grozę, śląc listy do króla, a w nich pomawiali mnie o najprzeróżniejsze zbrodnie, wśród których jedna była najstraszliwsza. Czary. Rzekomo zaprzedałem duszę szatanowi, przez co zyskałem nadludzką moc, by szkodzić innym. Najmniejszą z mych przewin wobec tych oskarżeń zdawać się mogło posądzenie o spisek z królem Kastylii. Lecz to chyba przechyliło szalę. Straciłem królewską protekcję. Długo czekać na skutek tego nie musiałem. Zmówili się sąsiedzi, aby podzielić moje ziemie i wspólnie przeciw mnie ruszyli. Wiedzieli, że nie mam jak się bronić. Nocą, kiedy otoczyli mój dom, uciekłem, żegnając się z nim na zawsze. – Portugalczyk zaśmiał się cicho pod nosem. – Niewielka to strata, zważywszy na to, iż nie mając ni żony, ni dzieci, nigdy nie traktowałem majątku inaczej, jak ciągłego kłopotu i źródła niepotrzebnych trosk. Ale to... – machnął obojętnie dłonią – ...mało ważne. Zacząłem bowiem odczuwać dziwną, bolesną niemal tęsknotę za wędrówką. Z każdym dniem coraz bardziej palącą. Jakiś głos wewnętrzny nakazywał mi iść przed siebie, szukać nie wiadomo czego. Przeradzał się w fizyczne cierpienie, szarpiąc rozdzierającym bólem te miejsca, gdzie zadano mi śmiertelne rany. Uległem mu więc, wyruszając w drogę, chociaż sam nie wiedziałem dokąd. Przywiodła mnie daleko, bardzo daleko, bo aż do Anglii, gdzie dotarłem w końcu do niewielkiej osady. Wówczas, jak gdyby ręką odjął, ustąpiła niezrozumiała tęsknota i zelżał ból. Poczulem ulgę, nawet nie wiedząc dlaczego. Jednakże wszystko niebawem się wyjaśniło.

Żegota słuchał z rosnącym zaciekawieniem. Portugalczyk złożył ręce, stykając ze sobą opuszki palców.

– Mieszkała tam mówiąca po łacinie niewiasta, która od razu poznała kim albo też czym jestem. Zabrała do swego domostwa i wskazała nazwisko rycerza, który ma

umrzeć. Nie rozumiałem jej. Czuję, że ma prawo żądać tego, czego żądała, ale też byłem niczym dziecko we mgle. Dostrzegła to, więc kazała mi mówić o sobie. Opowiedziałem swoją historię, a ona, pojąwszy, że to początek mej drogi, wszystko mi objaśniła. – Odwrócił głowę w stronę Nadolskiego. – Takich jak ja zwą po łacinie Venandi, choć w każdym języku mamy też inne imiona. Jestem mścicielem, zbieraczem potępionych dusz, narzędziem w rękach pokrzywdzonych. Potrafią przyzywać mnie wiedźmy zaklęciami albo siłą swej woli. Ja zaś mam im służyć, zabierając do mej sakwy dusze tych, których wskażą. Nie jest to jednak łatwe zadanie. Każdemu ze zbrodniarzy muszę pozostawić wybór. Sam musi podjąć decyzję, czy chce umrzeć, czy żyć, oddając mi w zamian to, czego pragnę. Nie mam grozić mu śmiercią, lecz zjawić się przy nim wówczas, kiedy zdaje się nieuchronna albo też gdy staje na życiowych rozstajach i sam zadaje sobie pytanie, co czynić. Dopiero wtedy, kiedy dokona wyboru, mogę z nim zrobić, co zechcę, chyba że ta, która wydała mi rozkaz, nakazała inaczej. Niektóre czarownice mówią, co mam zrobić, by wypełnić te warunki, inne podają tylko imię i każą iść precz. Ja zaś, niezależnie od wszystkiego, muszę wypełnić ich wolę, gdyż inaczej każdego dnia rośnie we mnie rozdzierające cierpienie ciała i umysłu, którego nie sposób zdławić. Tak będzie się dziać, dopóki nie znajdę ostatniej, tysięcznej duszy. Wówczas moja służba się skończy i odzyskam swą dawną śmiertelność. Uwierz mi, panie Nadolski, niczego bardziej nie pragnę, zmęczony już zbyt długim życiem.

Żegota skrzywił się, kpiąco rzucając:

– Więc twierdzisz, że jesteś nieśmiertelny?

– Nie można mnie zabić – odparł poważnie mężczyzna, nie reagując na złośliwy ton głosu szlachcica. – Nie znaczy to jednak, że nie czuję bólu albo że jestem niezniszczalny. Mam ciało jak każdy człowiek, podatne na rany, które jednak nie krwawią i natychmiast się zasklepiają. Tak samo rosną mi jak innym włosy i paznokcie, tak samo jem, piję, czasem korzystam z kobiecego towarzystwa. Nie staję się niewidzialny ani też nie umiem unosić się w powietrzu. Jestem zwyczajny, można by rzec, prócz tej jednej niezwykłej cechy.

– A gdyby cię spalić? – zapytał kąśliwie szlachcic.

– Ooo... – Na twarzy Portugalczyka ukazał się szeroki uśmiech. – Nieprzyjemny pomysł, panie Nadolski. Zdradzę więc waści, że już dwakroć mnie palono. Raz w Norymberdze, a drugi raz w Pradze. Wyznam, że straszna to śmierć i nieszczególne wrażenia. Nie polecam jegomości. Tyle że kolejnego dnia budziłem

się w jakimś miejscu cały i zdrowy, mając jednak w pamięci minione wypadki. Wyobraź sobie, panie Żegota, jaką grozę budziłem, kiedy się po raz wtóry pojawiałem. Wolałbym jednak nie powtarzać tej sztuki. Zresztą... – rozłożył przed sobą dłonie – ...przez lata nauczyłem się nie wchodzić w drogę tym, którym nie muszę, a od ludzkich spraw, wojen, zwad i czego tam jeszcze chcesz, trzymam się z daleka. Mam swoją misję, którą muszę wypełnić, aby się wyzwolić.

Szlachcic prychnął i pokręcił głową z niedowierzaniem. Po chwili przerywał ciszę, która nastąpiła:

– Co było dalej?

– Dalej? – Odziany w czerń przybysz wzruszył ramionami. – Długo by opowiadać, a czasu nie należy tracić. Wszak jedna rzecz cię interesuje. Nieprawdaż?

Nadolski zmarszczył brwi i wolno skinął głową, przyznał:

– Prawda.

– Zapytaj więc – zachęcił cudzoziemiec.

Żegota przełknął ślinę. Bał się odpowiedzi, którą mógł usłyszeć. Dlatego odczekał chwilę, niby to podrzucając wypadłe z ogniska gałęzie. Wreszcie wydusił z siebie cicho:

– Jak zdjąć z niego klątwę?

– Nie można – padła od razu odpowiedź. – Zastygł Nadolski, wpatrując się w Portugalczyka. Ten, nie patrząc na niego, dodał: – Nawet ta, która ją rzuciła, nie może jej odwrócić. Na siebie bierze grzech, ja zaś jestem tylko katem. Przyznam jednak, iż wiedząc, jakich zbrodniarzy tyczy moja misja, nie mam dla nich litości. Nawet przyjemność znajduję w ich cierpieniu. Lubię ten strach, który mają w oczach, gdy umierają ze świadomością wiekuistego potępienia.

– Zbrodniarzy?! – syknął szlachcic przez zęby. – A jakimże to zbrodniarzem jest Stiller?! Co?! Jedyńą jego winą jest to, że nie umiał się przeciwstawić rozbestwionym kamratom! Za to nazywasz go zbrodniarzem?!

Odziany w czerń przybysz wyprostował plecy. Odwrócił w kierunku Żegoty twarz, na której malował się wyraz szczerzego zdziwienia.

– Tak ci powiedział? Tylko to, że nie umiał się przeciwstawić żołdakom?

Zastygła w żyłach szlachcica krew, pojął bowiem, iż nie wie czegoś, co zawisło nagle w powietrzu w niewypowiedzianych jeszcze słowach. Czegoś strasznego. Ścisnęło mu się serce na myśl, iż przyjaciel mógł go okłamać.

Wychrypiał cicho przez ściśnięte gardło:

– Tak.

Brwi cudzoziemca ściągnęły się, a na czole pojawiły się pionowe zmarszczki. Zastanawiał się nad czymś głęboko, nim wolno spokojnym głosem oznajmił:

– Posłuchaj mnie tedy, bo będzie to dla ciebie ważne, gdy później zadam ci pewne pytanie. Zrozumiesz, kiedy ono padnie, i łatwiej ci będzie wówczas podjąć decyzję. Wiedz, że ów najemnik, Werner Stiller, nie tylko zaniechaniem zgrzeszył. Kiedy najechał wraz z innymi brandenburską wioskę, jak pozostali chaty plądrował i ludzi męczył. Aż w jednej z nich znalazł skrytkę, gdzie schroniły się przerażona matka z ledwie piętnastoletnią córką. Nie było nikogo innego przy tym, więc uklękła przed nim strwożona matka, licząc, że wybłaga życie u młodego człowieka, który, jak naiwnie sądziła, może nie jest do cna przez wojnę zepsuty. Ze łzami w oczach do nóg mu upadła, buty całowała, szepcząc wszelkie zaklęcia, jakie potrafi wyrzec rodzic chroniący swoje potomstwo. Lecz on nogą ją odtrącił, a potem, na sznur wzięwszy obydwie niewiasty, powiódł je za sobą tylko po to, aby przypodobać się swym kamratom i zdziaczemu dowódcy. Z radością cisnął ów dar u stóp herszta zgrai, do której przynależał, chełpiąc się, że najgładszą sikorkę przyprowadził. Pochwalił go oficer za owo znalezisko, a potem skorzystał z niego wedle swej woli. Po nim zaś inni kolejno do chaty wchodzili, gdzie robili z nią, co chcieli. Każdy zaś, kto wychodził z chałupy, klepał po plecach twojego przyjaciela, winszując mu, że w istocie warte jest grzechu ciało, które przed chwilą posiadał. – Zbladł Nadolski, ręce bezwiednie zaciskając w pięści. Portugalczyk jednak kontynuował: – Może i on sam jej gwałtu nie zadał, lecz przez niego wszystko się stało. Patrzyła na to zrozpaczona matka, w duchu mnie przyzywając dla pomsty. Słyszałem w swym umyśle, czułem całym sercem jej żalosem zawołanie, choć byłem wiele mil dalej. Przenikało mnie do szpiku kości, tyle w nim było rozpacz i bezbrzeżnego cierpienia. Na koniec zaś umarła dziewczynka. Skrwawiona, we łzach i w bólu, zadając sobie wciąż to samo naiwne pytanie: jak człowiek może zrobić coś tak okrutnego drugiemu człowiekowi? Zgasła jej niewinność, nim zdołała rozkwitnąć. A wraz z nią umarło coś w sercu jej matki, bo tylko jedną ją miała.

– Boże... – wyszeptał Żegota.

– W istocie przeraził się wreszcie młody żołdak tym, co uczynił. Struchlał, pragnąc czas cofnąć i ocalić nieszczęsną. Lecz próżny już był to żal. Stało się.

Pewnych rzeczy nie da się odwrócić, dobrze wiesz, mości panie Nadolski. – Zmrużył oczy. – Czy nadal uważasz, że nie popełnił zbrodni?

Szlachcic spuścił głowę. Nie wiedział, co rzec po tych słowach. Czuł, że nie okłamał go odziany w czerń mściciel. Tym bardziej bolało go, że Stiller nie potrafił powiedzieć mu całej prawdy. Mieszały się w myślach szlachcica gniew, smutek i poczucie, że został oszukany. Najbardziej zaś zranione jest serce mężczyzny wtedy, kiedy uświadomi on sobie własną łatwowierność. Dopiero po dłuższej chwili z trudem zmusił się Nadolski do chłodnej kalkulacji, z jednej strony kładąc na szali przewinę Stillera, a z drugiej wszystko to, czym się Niemiec ludziom i Kościołowi zasłużył. W końcu uniósł wzrok i zapytał:

– A odkupienie?

– Odkupienie? – Cudzoziemiec chrząknął lekceważąco i wzruszył ramionami. – Nie moja to rzecz. – Zmrużył oko i uniósł palec wskazujący prawej dłoni, przechylając się konfidencjonalnie w kierunku Żegoty: – Zdradzę ci jednak sekret, który poznałem z ksiąg oraz własnego doświadczenia. Pytałem też o to najmądrzych ludzi na całym świecie, co czasem dość oryginalny skutek miało. Raz na przykład, w Wartburgu, kiedym nocą do Lutra zaszedł, licząc na mądrą rozmowę, ten cisnął we mnie kałamarzem, sądząc, że diabeł mu się objawił<sup>187</sup>. – Portugalczyk się zaśmiał. – Hałas taki się zrobił, że cichcem musiałem uciekać. W każdym razie... – twarz mężczyzny spoważniała – ...długo szukałem odpowiedzi na to pytanie, czym jest odpuszczenie grzechów, o własnych przewinach myśląc. I w końcu do jednego wniosku doszedłem, mości panie Nadolski. Człowiek samemu sobie musi grzech odpuścić i wybaczyć, aby móc poczuć ulgę. Nikt inny za niego tego nie uczyni. Jeśli tego nie potrafi, jego wina będzie niczym kamień obciążać mu duszę i przyciskać ją na wieczność ku ziemi. To w tym tkwi cała tajemnica ludzkiego sumienia. – Spojrzał w ogień, wyciągnąwszy przed siebie rękę. Na palcach zaczął wyliczać: – Stiller nie umie wybaczyć sobie śmierci owej dziewczynki z Brandenburgii, Żeliborskiego dręczyło wspomnienie żony, Popielów zamordowanego ojca, a Baczyńskiego jakiegoś bezimiennego chłopca, muzykanta, któremu dla zabawy roztrzaskał głowę w karczmie w Gwoźnicy. Mnie zaś... – zacisnął dłoń w pięść – ...prześladuje widok umierającej Ines i jej strwożonych dzieci wpatrujących się w mój zakrwawiony miecz, kiedym odcinał jej głowę.

Żegota milczał. Cudzoziemiec pochylił się i zastygł na dłuższy czas, nim na powrót popatrzył w kierunku szlachcica:

– Nieważne, ile innych zbrodni popełni człowiek, nieistotne, jakich grzechów się jeszcze później dopuści. Zawsze jest ten jeden jedyny, który najbardziej mu ciąży i którego najbardziej się wstydzi. To on sprawia, iż ci, których ścigam, rozumieją, dlaczego to robię, i poddają się przeznaczeniu. Jestem głosem ich sumienia, panie Żegota. Uosobieniem kary, której sami tak naprawdę pragnęli i której także chce w głębi swej duszy Stiller. Bo nigdy sobie nie wybaczył tego, co uczynił. Owo dręczące ich poczucie winy zawsze mnie ku nim przyzywa, tak że nie mogą się przede mną ukryć. Stąd wiem, gdzie ich szukać.

Żegota zagryzł zęby. Na swój sposób rozumiał, że Portugalczyk ma rację. Przecież i siwowłosego żołnierza kiedyś dręczyło mroczne poczucie winy za opuszczenie najbliższych, które gnało go ku zatraceniu. Gdyby nie ludzie, jakich spotkał na swej drodze, szczególnie zaś Agnieszka, wciąż czułby ów nieznośny, ciągły ból i wciąż pragnąłby śmierci.

Nie pozwolił jednak Nadolskiemu Portugalczyk na zbyt długie rozmyślenia. Cisnąwszy w ogień kilka gałęzi, rzucił:

– Dość jednak o tym. Wiesz o mnie tyle, że starczy. Teraz zaś pozwól, że ja ciebie zapytam. – Wbił spojrzenie ciemnych oczu w siwowłosego mężczyznę. – Kim jesteś, panie Żegoto Nadolski?

Szlachcic odruchowo pokręcił głową i rozłożywszy przed sobą dłonie, wystękał:

– Nie pojmuję. Kim ja jestem?

– Tak, ty. Co w tobie jest tak wyjątkowego, że zgodnie z danym mi rozkazem i tobie mam dać wybór pomiędzy życiem a śmiercią, choć przecież Stiller jest ostatnim z tych, których miałem dopaść. Pierwszy raz dostałem polecenie, aby dać komuś szansę zastąpienia tego, na kim wisi klątwa. Dlaczego wskazała na ciebie?

Na twarzy Żegoty rysowało się tak szczere zmieszanie i zdziwienie, iż Portugalczyk westchnął i wyjaśnił:

– Cóż, powiem ci więc, jak było. Zacznę od tego, że zgodnie z wolą owej matki z Brandenburgii dusza twego przyjaciela miała być ostatnią z tych, które zabiorę. Miał jak najdłużej cierpieć na tym świecie, wspominając swój grzech. Czekać na mnie, mając czas na rozmyślanie o winie i nieuchronnej karze. Dlatego dopiero teraz po niego przyszedłem. Ale to mało ważne... – Zmarszczył brwi. – Co innego mnie frapuje. Kim dla ciebie jest ta dziewczynka... – Zawiesił głos, dodając po chwili: –

Wiesz, o kim mówię, prawda? Co jej uczyniłeś, że dała mi rozkaz, bym ciebie odszukał i postawił przed wyborem?

Zgarbił się Żegota, bo wiedział, o kogo zapytał go Łowca. Drżącymi ustami wyszeptał:

– Miriam.

– Więc wiesz, o kim mówię. Tak, Miriam.

Szlachcic milczał, więc znów odezwał się cudzoziemiec:

– Poznałem ją przed kilku laty, kiedy usłyszałem głos wzywający mnie daleko na wschód. Był cichy, ale też silny i uporczywy. Inny niż te, które dotąd przymuszały mnie do wędrówki. Ruszyłem więc, aby spełnić swoją powinność. Dotarłem na Krym, a tam, w domu przeklętego księcia Murtazy, odkryłem ją, małą dziewczynkę. Niewolnicę pośród innych takich jak ona.

Nadolski słuchał poruszony. Ogień błyskał w czarnych oczach Portugalczyka wpatrzonych w płomienie.

– Nie wiedziała, kim jestem ani jaką ma moc. Płacząc, błagała mnie, abym zabrał ją z owego pałacu i uratował przed potworem, jakim był jej pan. Gotowa była iść ze mną wszędzie, byleby tylko nie zostać dłużej w znieprawionym domostwie. – Zaplótł palce, układając dłonie na przygiętych kolanach. – Nie mogłem jej zabrać ze sobą. Nie taka jest moja rola i powinność na tym świecie. Ja jestem Wiecznym Tułaczem, a ona wezwała mnie nieświadoma tego, że mnie woła. Zaiste, niezwykle i silny był w niej ów dar dany tylko nielicznym, ale też nie rozumiała go wcale. To ja jej uświadomiłem, kim jest. Ponieważ zaś nie miała dla mnie rozkazu, musiałem odejść. Najpierw jednak... – twarz czarnowłosego mężczyzny stężała – ...pomogłem jej nieco. Nie mógłbym bowiem zostawić jej w takim cierpieniu, jakie co dnia było jej udziałem. – Powoli odwrócił głowę w kierunku Nadolskiego. – Nocą zacząłem się na owego psiego syna i stanąłem przed nim w świetlistej postaci, wysmarowany maścią żarzącą się w ciemności. Oznajmiłem mu, znając tamtejszy język jak swój, że jestem anioł Malik<sup>188</sup>. Roztoczyłem przed nim wizję czekających go po śmierci mąk, o ile nie zaprzestanie swych lubieżnych i sprzecznych z naturą uczynków. Nakazałem rozpuszczenie niewolników i pokutę, którą miał odbywać do końca swych dni. Potem zaś ulżyłem swej ludzkiej potrzebie, bijąc skurwysyna do nieprzytomności. – Portugalczyk odsłonił zęby w złym uśmiechu. – Zaiste, wielką

sprawiło mi to przyjemność i żałowałem, że zabić go nie mogę. Ale przynajmniej to, czym grzeszył, podkutym obcasem na miazgę mu zgmiotłem.

– To byłeś ty!189 – Siwy szlachcic zamrugął, przypominając sobie to, co kiedyś usłyszał z ust Saksończyka.

– Słyszałeś o tych zdarzeniach? – Cudzoziemiec uniósł brwi.

– Tak.

– Więc kim jesteś, panie Nadolski? Dlaczego właśnie w tobie widziała nadzieję?

Żegota zaczerpnął powietrza i westchnął głośno. Przełknąwszy ślinę, wycedził zdławionym głosem:

– Ja jestem ten, który obiecał ją uratować. Jej matka mi o niej rzekła. Pomogła mi, kiedy tego potrzebowałem. W mękach umarła, a ja poprzysiągłem, że jej córkę odnajdę i uwolnię.

Portugalczyk zmrużył oczy, stwierdzając:

– Nie uczyniłeś tego.

– Nie uczyniłem – przyznał Nadolski, opuszczając głowę.

– Tedy znam już twój grzech, który cię dręczy. Zaniechanie.

Nic nie odpowiedział szlachcic, tylko zaciskając palce na krawędzi futra, wpatrywał się ponuro w syczące w ogniu polana. Portugalczyk, poprawiwszy się na swoim miejscu, mówił dalej:

– Kilka lat minęło, nim po raz wtóry usłyszałem w myślach jej głos. Jakże inny niż uprzednio! Pewny, zdecydowany, nagły. Nie było już w nim żadnego bólu, lecz tylko zimny rozkaz dla mnie. Jak najprędzej znów podążyłem na Krym. Przyznam, że prócz powinności wiodła mnie także ciekawość. Chciałem ją znów zobaczyć. – Obrócił głowę w kierunku sposepniałego Żegoty. – Miała wtenczas jakieś dwanaście, trzynaście lat. Odmienił się całkiem jej los. Choć dalej w niewoli, jakoby panią była w pałacu murzy. Wszyscy się jej słuchali, w pas się kłaniając. Nawet Murtaza płaszczył się przed nią, odgadując jej życzenia. Wszystko zaś dzięki temu, iż rzekomo posiadała dar widzenia przyszłości.

– Tak jak jej matka – wyszeptał Nadolski, bardziej do siebie niż do Łowcy.

– Rzekła mi, że niebawem murza odda ją swemu krewniakowi Tuhajowi, zresztą zgodnie z jej wolą. Dla mnie zaś ma związane z tym zadanie. Widziała bowiem w swej wizji, jak czterech łotrów porywa syna murzy Tuhaja. To na nich rzuciła swą



klątwę. Opisała mi każdego z nich, mówiąc, kim są i co ciąży na ich sumieniach. Podała miejsce, gdzie miałem na nich czekać, i sposób, w jaki przypieczętować mają układ ze mną. Rzekła mi nawet więcej, niż potrzebowałem. Zapytałem, czemu nie ostrzeże murzy, nim stanie się to, co przewidziała, i nie uratuje dziecka. Odparła, że nie moja rzecz pytać, a każdy z tych, o których mowa, odegra jeszcze swoją rolę w przyszłości. Nawet ów porwany synek murzy z wykłutymi na sino rybami na piersi, choć ciężki los mu pisany i straszna śmierć. Na koniec zaś... – powoli odwrócił głowę, wbijając zimny wzrok w Żegotę – ...o tobie mi powiedziała. – Nadolski jeszcze niżej spuścił głowę. – Oznajmiła, że cię spotkam, opisała dokładnie twój wygląd. Nakazała, abym rozmówił się z tobą, kiedy zostanie mi ostatnia dusza do wypełnienia mej misji i uwolnienia się ze służby. Miałem ci powiedzieć wszystko o sobie, nie tając niczego. Potem zaś rozkazała dać ci wybór... – Zawiesił głos, wciąż wpatrzony w szlachcica.

Żegota domyślił się już, co za chwilę usłyszy. Zagryzł zęby, aż zadrżały mu szczęki.

– Byłeś, panie Nadolski, jej nadzieją. Wiedziała, że tylko ty możesz ją uwolnić, bo tak zapisano w księdze jej żywota. Ale niespieszno ci było jej pomóc. Znalazłeś pewnie setki usprawiedliwień dla swej beczynności. Dlatego przyszedłem do ciebie. Teraz to już rozumiem. Posłuchaj mnie tedy i dobrze wybierz. Nakazała mi bowiem, abym dał ci szansę oddania swej duszy w zamian za tę ostatnią, która mi się należy. To twój wybór. Pytam cię więc, czy pójdziesz ze mną w zamian za Stillera? Co? Mości panie Nadolski? Nie zdejmiesz z niego klątwy, ale ja mu odpuszczę. Nie będzie mi już do niczego potrzebny. Moja służba się zakończy.

Szlachcic milczał, siedząc nieruchomo. Kłębiły się setki myśli w jego głowie, pomieszane z uczuciami gniewu i strachu zarazem. W uszy sączył mu się zaś monotony głos Portugalczyka:

– Wiesz, że nie można mnie zabić. W domu czekają na ciebie piękna żona i dziecko. Masz swoje spokojne życie, którego, jak myślę, bardzo pragnąłeś. Kim zaś jest ów Niemiec dla ciebie? Przyjacielem? Wszak oszukał cię, mówiąc o swojej przeszłości! Pomyśl! Sam kiedyś wybrał swe przeznaczenie, więc dlaczego ty masz przejąć jego brzemię? Czyż już nie nadto cię los doświadczył, mości Żegota? Możesz wszak zapomnieć o wszystkich i wszystkim, zamykając się w swym folwarczku i mając gdzieś innych. Przecież już raz to zrobiłeś, pozostawiając Miriam na pastwę cierpienia. Czemu więc miałbyś teraz inaczej postąpić? Co?

Siwowłosy mężczyzna poderwał się gwałtownie i odszedł dwa kroki. Zadarł głowę ku szaremu niebu i krzyknął wściekle, zaciskając pięści. Portugalczyk zaś zaśmiał się tylko krótko.

– Wiem, wiem! Znam to uczucie, bom setki razy miał z nim do czynienia. Pojmujesz, że jeśli odejdziesz, do końca życia prześladować cię będzie ów grzech zaniechania. Nie zaznasz szczęścia, myśląc o owej dziewczynce i Niemcu, którego nawet nie spróbowałeś uratować. Będą cię dręczyć w snach i na jawie. Ale i ty wiesz, że umrzesz, jeśli inaczej postąpisz. Skażesz na ból swoich bliskich, których już nigdy nie zobaczysz. Cóż zatem z twej szlachetności by zostało? Wdzięczność tego saksońskiego przeklętnika? A na cóż ci ona? Oto twój wybór, mości panie Nadolski!

Portugalczyk powstał ze swego miejsca. Otrzeptał płaszcz z drobnych świerkowych igiełek, otarł buty o leżące na ziemi gałęzie. Tupnąwszy nogami, podszedł do Żegoty i stanął naprzeciw niego.

– Pojmujesz więc teraz moje pytanie, waszmość. Kim jesteś? Czy nadal tym dumnym szlachcicem, któremu zdawało się, że mnie ściga, czy też zwykłym rozsądnym człowiekiem, który zrozumiał, iż to już koniec? – Machnął ręką za siebie. – Jedź, panie Nadolski, do swoich! Pozwól dopełnić się przeznaczeniu! Nic już tu po tobie, bo wypełnia się klątwa i moja służba dobiega końca! – Przerwał, mrużąc oczy. – Chyba że wolisz... – Nie dokończył, uśmiechając się złośliwie.

Milczał Nadolski uparcie, ponuro spode łba wpatrując się w cudzoziemca. Ten, wzruszywszy ramionami, podszedł do konia. Odwiązując wodze, rzucił:

– Pora już na mnie, bo dość się rozmówiliśmy. Wiesz wszystko, co miałeś wiedzieć, a i ja już więcej nie potrzebuję. Teraz wybieraj. Jeśli chcesz mnie znów spotkać, jutro o świcie będę na ciebie czekał na szczycie Czereszni. Wiesz, gdzie to jest, prawda? Staniemy na ostre, tylko ty i ja, choć z góry znasz wynik tego starcia. Jeśli zaś się nie pojawisz, wyruszę do Beniowej po to, co do mnie należy. I wówczas nikt już nie zdoła mi przeszkodzić. – Wskoczył lekko na siodło. – Żegnaj, mości panie Nadolski! Nie mówię do widzenia, bo liczę, żeś człek roztropny! Nie potrzebuję ciebie! Starczy mi ten ostatni, co na mnie czeka. Wypełniłem ów dziwny rozkaz małej dziewczynki, ale wcale nie chcę twojej krwi. Pomyśl o tym. – Już miał trącić konia ostrogami, kiedy nagle ściągnął wodze. Zmarszczył czoło i zerknął w stronę stojącego jak posąg szlachcica. – Aaaa! Jeszcze jedno! Byłbym zapomniiał, a kazała mi to powiedzieć waszmości, choć nie pojmuję, o co idzie. Rzekła, żebyś

pamiętał o słowach Żeliborskiego, jakie ci od niej przekazał! Nie wiem, w czym rzecz, ale jej wola, więc mówię! A teraz adeus190!

Uderzył konia piętami. Kary wierzchowiec zerwał się niemal od razu do cwału, rozrzucając za sobą drobiny wilgotnego śniegu. Głucho zabrzmiał tętent kopyt w leśnej głuszy. Zniknęła pomiędzy drzewami odziana w czerń postać. Nadolski został sam ze swoimi myślami.

Ognisko dogasało z sykiem mokrego drewna. Wilgoć dusiła ostatnie płomyki chwiejące się na wietrze. Nie zwracał na to uwagi samotny szlachcic. Zamyślony, dopiero kwadrans później otarł krople, jakie spływały mu bruzdami posępnej twarzy. Przygarbiony troską podszedł do konia, by poklepać po karku spokojne już zwierzę. Szepnął coś cicho w ucho wierzchowca. A potem odwiązał go, wskoczył na siodło i odjechał dumnie wyprostowany. Już wiedział, co ma uczynić.

## ROZDZIAŁ XVII

### SZABLA I RAPIER

Ostrze ze świstem dwakroć przecięło mroźne powietrze. Portugalczyk, mimo zimna bez grubszego okrycia, uśmiechnął się, gładząc stal wykutą w Toledo. Zerknąwszy na gotującego się dopiero do walki szlachcica, zapytał lekko:

– Gdzie pan nocowałeś, panie Nadolski? Blisko pewnie? Co?

Nie przerywając przygotowań, siwowłosy mężczyzna odpowiedział krótko:

– W Stuposianach, u pani Wisłockiej.

– Aaa... Słyszałem, że gładka wdówka! – Cudzoziemiec znacząco mrugnął okiem.

– Może i gładka. – Żegota tylko wzruszył ramionami, niespiesznie odpinając pętlice delii.

Na chwilę zapadła cisza. Odziany na czarno człowiek znów spróbował broń, przechodząc prędko od zastawy do sztychu. Uczynił to tak lekko i zwinnie, że tylko przez ułamek sekundy błysnęła w promieniach słońca srebrzysta klinga. Zadowolony, zakręcił dwa młyńce z lewej i prawej, zgrabnie zatrzymując ostrze skierowane w stronę Nadolskiego.

– Nie żal ci? – rzucił.

– Pani Wisłockiej? – zakpił szlachcic, udając, że nie bardzo rozumie.

– Wiesz, o co pytam. – Głos Portugalczyka spowaźniał.

Przypinając starannie płaszcz do siodła, Żegota mruknął:

– Żal? Może i trochę żal. Ale co robić?

Cudzoziemiec opuścił broń. Rozkładając ręce, odrzekł:

– Po prostu odjedź. Pokazałeś, że się nie boisz. Szanuję to i podziwiam. Ale wystarczy już, panie Nadolski. Wszak wiesz, że nie wygrasz. Nie pragnę twojej śmierci. Jedź do domu.

– Do domu... – Siwy szlachcic krzywo się uśmiechnął. Zerknąwszy za siebie, dorzucił: – Dobrze wiesz, że potem do końca życia bym rozmyślał o tym, czego nie uczyniłem. Zresztą... – machnął ręką – ...ktoś rzekł mi kiedyś, że nie można paktować z diabłem i wierzyć w to, co mówi i czym kusi.

– Z diabłem? – Łowca zaśmiał się szczerze. – Masz mnie za czarta?

– Chcesz, abym wbrew sobie i honorowi postąpił, więc... – Nadolski odwrócił się w stronę cudzoziemca – ...za kogo mam cię uważać? Do złego kuszysz.

– Może za tego, kto nie pragnie cierpienia twojej żony i dziecka? Pomyśl! Kto zapłacze po owym beznogim Niemcu? A ty? Masz dla kogo żyć!

– Prawda – przyznał Żegota.

Wyciągnawszy z pochwy szablę, przyciął nią zza ucha. Następnie wziął klingę pod pachę i jął poprawiać rękawice. Czuł nieznośne mrowienie w lewej dłoni, które przychodziło nie wiadomo skąd od czasu, kiedy srebrna kula przeszła mu ramię w Zatwarnicy. Poza tym jego lewa ręka nadal była nieczuła na ból.

Dłuższą chwilę trwała nieznośna cisza. Portugalczyk zdjął z ramienia bandolier, odpiął pas, odłożył lewak. Uznał widać, że nie będzie go potrzebował, co już dowodziło, iż musiał biegle władać rapierem<sup>191</sup>. Dopiero po jakimś pacierzu znów zapytał:

– To jak będzie? Nadal chcesz się bić? Wszak przed chwilą przyznałeś, że masz dla kogo żyć.

– Mam. – Nadolski skinął głową. – Ale wiem, że moja żona zrozumiałaby, dlaczego tu jestem.

Cudzoziemiec niby to obojętnie wzruszył ramionami.

– Cóż. Mnie tam wszystko jedno, chociaż nie spodziewałem się, że tak to się skończy. Nie jesteś złoczyńcą, panie Nadolski, więc tym bardziej mi przykro.

Wierzchem dłoni otarł nos, bo zaczynał go z zimna męczyć katar.

Żegota odszedł od koni, stając na niewielkiej polance, całej pokrytej zmarzniętym śniegiem o twardej skorupie. Zakrzepła przez noc woda pozostała po wczorajszych roztopach, tworząc błyszczącą tafłę. Łamała się z chrobotem przy każdym stąpieniu.

Portugalczyk podszedł niespiesznie, stając naprzeciw szlachcica.

Zmierzyli się wzrokiem, lecz jeszcze nie unieśli broni. Jakoś żadnemu nieskoro było. Żegota przygładził wąsy lewą ręką, poprawił bandaż na twarzy i rzucił z wahaniem pytanie:

– Jaka ona jest?

Łowca wiedział, o kogo chodzi. Zastanowiwszy się, odparł:

– Teraz? Nie wiem. Już siedem lat minęło. Jeśli żyje, to już dorosła niewiasta, nie dziecko. A wtedy, gdy ją ostatnim razem widziałem? Zimna mi się zdała, jakby bała się okazać jakiegokolwiek uczucie. Widać było, że urodna niezwykle z niej dziewczka wyrosnie. Błada skóra, jasne włosy, oczy niebieskie jak letnie niebo w Italii.

– Co o mnie mówiła?

– Że tylko ty możesz jej przynieść wolność, nikt inny. Czekwała na ciebie, lecz nie nadszedłeś. Nie żaliła się. Chłodno te słowa rzekła. Myślę, że rozum u niej nie niewieści i więcej od innych pojmuje.

Westchnąwszy, Żegota skinął głową. Przez chwilę wpatrywał się w migotliwe kryształki zmarzniętego śniegu u swoich stóp. Zniecierpliwiło to Portugalczyka, któremu mróz dawał się coraz mocniej we znaki.

– No, panie Nadolski! Zimno, więc albo znów kozuchy narzucmy, albo czas się rozgrzać! Nieprawdaż?!

– Zaiste! – potwierdził szlachcic, wyciągając przed siebie szablę. – Nie ma co dłużej czekać.

Odziany w czerń cudzoziemiec uśmiechnął się, odsłaniając rząd równych białych zębów. Przygiąwszy nogi, ułożył rapier zgodnie ze sztuką, w zasłone<sup>192</sup>.

Pierwszy uderzył Nadolski. Lekko, jakby na próbę, przyciął z prawej strony ukośnie, od góry. Bez specjalnego trudu odsunął się cudzoziemiec, nawet nie zasłaniając się bronią. Zamiast tego pchnął szybko, lecz tylko z ramienia, bez wypadu, mierząc w szyję szlachcica. Żegota odskoczył przed stalowym żądłem, nie zdążywszy nawet trącić go szablą wyciągniętą od dołu do wysokiej czwartej zasłony. Portugalczyk cofnął broń niemal natychmiast, jeszcze mocniej ugiął kolana i tym razem rzuciwszy się w przód całym ciałem, pchnął rapierem w bok przeciwnika, celując w wątrobę. Szybkim machnięciem przeszedł szlachcic do niskiej zasłony, odbijając ostrze. Zadźwięczało czysto żelazo w mroźnym powietrzu, a przeciwnicy się cofnęli. Nawzajem mierzyli się wzrokiem, równając oddech. Trudno było poruszać się po zmarzniętym, niewydeptanym jeszcze śniegu, przez co z ust mężczyzn już unosiły się obłoczki gorących oddechów.

Tym razem zaatakował Łowca. Markując cios od dołu, pozwolił Żegocie wykonać zasłonę, ale nie zaprzestał ataku, jak można było się spodziewać. Wykonawszy błyskawiczny obrót, spróbował znaleźć się za plecami Nadolskiego. Ten jednak także się okręcił, nie tracąc z oczu przeciwnika, i przyciął płasko w bok, chcąc

dosięgnąć Portugalczyka końcówką pióra. Nie udało się. Cudzoziemiec wolną dłonią odzianą w skórzaną rękawicę od góry uderzył w ostrze szabli, wytrącając ją z ruchu. Sam zaś pchnął rapierem od dołu, mierząc w twarz Żegoty. Szlachcic odskoczył w tył jak oparzony, dla pewności unosząc broń do zasłony Świętego Jerzego.

Łowca zaśmiał się, mrugając.

– Sprytny jesteś, waćpan! Niczym sarenka skaczesz!

Ze złościło to Nadolskiego, lecz był zbyt doświadczony, aby dać się sprowokować do ataku. Zamiast tego jeszcze o krok się cofnął, wyrównując pozycję.

Portugalczyk dwakroć zapozorował atak, przyglądając się ruchom szabli Żegoty. Głową pokręcił, rzucając:

– Nieźle! Ale szabla nijak do pojedynków się nie nadaje! Raz, że mniejszy ma zasięg, a dwa, sztych trudno zbić. Walczyłem ongiś z jednym Turkiem, co w Kaffie za mistrza uchodził. Pół Pater noster<sup>193</sup> mi starczyło, żeby z nim skończyć. Inna rzecz z konia, wtedy, przyznaję, szabla niezastąpiona.

– Gadatliwy jesteś – warknął siwowłosy szlachcic, chociaż w duchu wiedział, iż Portugalczyk ma rację.

– Nudno tak po cichu by było. – Łowca wyszczerzył zęby. – Ani widowni nie mamy, ani też emocji nie czuję, znając z góry wynik naszego starcia. Może jednak dasz sobie pokój acan? Co?

– Niedoczekanie!

– Jak chcesz... – Kiedy tylko wybrzmiała ostatnia zgłoska, cudzoziemiec skoczył w przód, prostując jednocześnie ramię.

Żegota odbił niską trzecią zastawą na zewnątrz, ale nie odpuścił przeciwnik, przesuwając mocno głownię po żelazie, aż prawie do połowy forte<sup>194</sup>. Ledwie zdołał się uchylić szlachcic przed sztychem, który błysnął na ułamek sekundy tuż obok jego ramienia. Portugalczyk cofnął się, by od razu ponowić atak, tym razem podstępnie tnąc od dołu, w wykroczną nogę Nadolskiego. Kończówka ostrza zahaczyła o but, rozcinając barwioną skórę, lecz nie raniąc. Cofnął się Żegota, przestawiając nogi, i zaraz sam przyciął od dołu nyzkiem. Łatwo zbił uderzenie Portugalczyk, zakręcając tak ostrzem, aby wykręcić nadgarstek Polaka. Nadolski jednak prędko obrócił broń, spychając w dół długą klingę rapiera.

Odstąpili obydwaj, trzymając broń w gotowości. Jakby dla wyczucia przeciwnika trącali się końcówkami głowni, markując krótkie ruchy.

– Pięknie! – wycedził przez zęby odziany w czerń cudzoziemiec. – Dłużej waszmość fechtujesz niż ów Turek! On mniej był ostrożny od acana!

– Mam czas – syknął w odpowiedzi Żegota.

Gwałtownie skoczył w przód, odpychając jednocześnie na prawo ostrze rapiera. Lekko uniósł broń, tylko z nadgarstka tnąc wzdłuż żelaza, w rąb, wycelowawszy w obojczyk Łowcy. Ten przesunął ramię, by ostrze uderzyło w dzwonowy kosz, a potem, unikając skrócenia dystansu, obrócił się niczym tancerz przez ramię i usiłował dosięgnąć opuszczonym błyskawicznie sztychem boku szlachcica. Nadolski odbił niską zasłoną, a następnie poderwawszy szablę, pchnął w przód z wykrokiem. Płaz broni ledwie o kilka cali minął korpus Portugalczyka, który znów zbił ostrze uderzeniem ręki. Po tym zaś poderwał rapier w górę i prostym uderzeniem ukośnie, znad głowy, wymierzył w pierś Żegoty. Lecz siwy szlachcic już odskoczył, podobnie jak przeciwnik odsuwając dłonią ostre jak brzytwa foible<sup>195</sup>. Przyciął przy tym nisko, w kolano cudzoziemca, ni to lekkim uderzeniem, ni to zasłoną. Portugalczyk zwinnie odsunął nogę, od razu przechodząc do kontry na wprost, mierząc w kłęb. Odbił Nadolski wysoką drugą zasłoną i zaraz zaatakował gwałtownie, tnąc sekwencją w rąb, odlew, w łęg i w pierś, a kończąc niskim podlew. Cofnął się cudzoziemiec pod naporem błyskającego ostrza, bardziej uciekając w tył, niż zbijając ciosy. Dopiero ostatni poderwał od dołu, usiłując ze zbiecia od razu przejść do pchnięcia w brzuch Nadolskiego. Ten jednak obrócił się na prawej nodze i sztychem zadał cios z góry na dół w miejsce, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Wbrew odruchowi, poszedł w przód Portugalczyk, unikając zranienia. Szerokim zamachem przyciął w łydkę szlachcica, dosięgając celu tuż nad cholewą buta. Syknąwszy z bólu, Nadolski odskoczył w tył. Na jego spodniach pojawiła się krew. Choć ledwie draśnięcie to było, odczuł je boleśnie.

Łowca cofnął się, machnąwszy przed sobą kilkakroć bronią. Wyszczерzył zęby, zagadując:

– I cóż, mości panie? Może starczy? Miałem dużo czasu na naukę fechtunku. Więcej niż jedno życie. Zważ na to.

– Tylko tyle się nauczyłeś? – odgryzł się kpiąco szlachcic. – Jakoś mało pojętny byłeś widać do nauki, skoro jeszcze na nogach stoję.

Mężczyzna w czerni parsknął wzgardliwie i zadrgała mu twarz ze złości.

– Uważaj więc teraz! – wysyczał.



Rzucił się do przodu, tak szybko operując bronią, iż trudno było dostrzec błędzące ostrze.

Zasłonił się Żegota trzykroć, zadźwięczało żelazo, ale wciąż musiał się cofać pod naporem. Bezwiednie zaklął głośno, czym wywołał zjadliwy uśmiech na twarzy nieustępującego Portugalczyka. Nagle Łowca przystanął na ułamek sekundy, by gwałtownie obniżyć pozycję i robiąc wypad, pchnąć od dołu ku górze, włożywszy w to całą moc. Był pewien, że trafi idealnie pod obandażowaną brodę Nadolskiego. Ale szlachcic znał to uderzenie z czasów, kiedy ze Szwedami wojował. Podbił w górę, aż mu sztych rapiera przed nosem świsnął, przechodząc nad głową, a potem z nadgarstka na płasko ciął, końcówką pióra ledwie o włos mijając brodę cudzoziemca. Łowca odchylił się, przenosząc ciężar na lewą nogę, cofnął ramię i ponowił cios, tym razem mierząc na wprost. Szlachcic przechylił się na prawo. Sztych przeszył luźny lewy rękaw koszuli Żegoty, nie raniąc go jednak. Zamiast się cofnąć, Nadolski natarł raptownie w przód, nie bacząc na tnące mu skórę ostrze. Portugalczyk szarpnął wściekle w lewo, chcąc wyrwać głownię. Rozdarł materiał, ale wytrzymał gęsto tkany jedwab<sup>196</sup>. To był błąd Łowcy, bo powinien uciekać w tył, jak najmocniej cofając ramię. Pojawszy go, już chciał to zrobić, przestawiając nogi, lecz o ułamek sekundy za późno. Szlachcic od spodu złapał mocno lewą ręką głownię rapiera w połowie forte i ścisnął z całej siły, uniemożliwiając jej oswobodzenie. Prawą dłoń wzniosł zaś nad głowę i pchnął z całą mocą, celując od góry prosto w serce przeciwnika.

Stal zazgrzytała nieprzyjemnie, wchodząc pomiędzy żebrami.

Portugalczyk złapał za ostrze, przytrzymując je w ranie. Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu, a także kpiny. Zastygli tak, z nawzajem unieruchomioną bronią, spoglądając sobie w oczy z odległości ledwie kilkunastu cali.

Prychnąwszy, Łowca wycedził:

– Nieźle. – Spojrzawszy na sterczącą ze swej piersi stal, chrypiącym głosem dodał: – I co teraz?

Ciarki przeszły przez plecy Żegoty, kiedy uświadomił sobie, iż na nic zdało się jego szczęście w starciu, skoro nie mógł zabić przeciwnika. Puścił wąskie ostrze. Przełknąwszy ślinę, odrzekł:

– Nic. Przynajmniej mnie zapamiętasz.

Ostatni raz popatrzył dumnie w źrenice cudzoziemca, by w końcu, biorąc dłoń z rękojeści szabli, cofnąć się. Stał wyprostowany, niemal butny w swej postawie i we wzgardliwym wyrazie twarzy. Zaplatając ręce na piersi, rzucił sucho:

– Kończ! Teraz jestem gotowy!

Diogo Lopes Pacheco uśmiechnął się krzywo, skinąwszy głową. Wbiwszy rapier w śnieg, ujął głownię szabli obydwoma rękami i szarpnął, wrywając z rany. Zachwiał się nagle, a przez twarz przemknął mu dreszcz bólu. Jego oczy rozszerzyły się w wyrazie przerażenia pomieszanego z bezgranicznym zdumieniem. Także Żegota zamarł, jeszcze do końca nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Na kładzie czerwieniły się bowiem smugi jasnej krwi.

Łowca upuścił broń, chwytając się za serce. Spomiędzy palców pociekły mu karminowe strumienie i zaczęły spadać grubymi kroplami na wydeptany śnieg. Patrzył na nie zdziwiony niepojętym widokiem, zapowiadającym jego koniec. Nie potrafił jeszcze objąć umysłem tego, co się zdarzyło. Opadł bezwładnie na kolana i zadzierając głowę w kierunku Nadolskiego, wyszeptał dławiącym się głosem:

– Oszukała mnie...

Zakaszłał gwałtownie. Krwawa piana wystąpiła mu na usta – widomy znak nadchodzącej śmierci.

Jak skamieniały stał siwowłosy szlachcic, oglądając powolne konanie tego, który miał być nieśmiertelny.

Portugalczyk skulił się i wyjęczał cicho:

– Deus seja misericordioso...197

Potem opadł na bok, wpatrując się szklistymi oczami w głownię wbitego w śnieg rapiera z toledońskiej stali. Zamrugał jeszcze kilkakroć powiekami, westchnął po raz ostatni, aż wreszcie zadrzało jego ciało w przedśmiertnej konwulsji. Opadły uciskające ranę dłonie, spod których połała się krew. Zastygły źrenice wypełnione pustką. Cazador umarł.

Tysiące bezładnych myśli przebiegło przez głowę szlachcica, nim zdołał nad nimi zapanować. Dopiero mgliście zaczynał rozumieć to, co się stało, lecz im bardziej ubierał w słowa nagłe przeświadczenie graniczące z pewnością, tym mocniej ścisnął mu gardło strach pomieszany z rozpaczą. Wiedział, że mógł być tylko jeden jedyny powód, by Łowca znów stał się śmiertelny. Przewidziała to wszystko młoda wiedźma, przekazując ustami Żeliborskiego swe posłanie, aby się nie bał i zaufał

sobie, bo każdego śmierć czeka. Każdego, nawet kogoś takiego jak Venandi. Wiedziała, że pokona tego, którego rzekomo nie mógł pokonać. Stało się to, co musiało się stać. Tysięczna dusza obłożona klątwą odeszła z tego świata. Werner Stiller, dawny oficer dragoński w służbie Rzeczypospolitej, wierny sługa arcybiskupa Próchnickiego, już nie żył.

## EPILOG

Ogromne lipy ciągnące się wzdłuż alei od kościoła w Fulsztynie chroniły przed ostrym sierpniowym słońcem. Ich liście szemrały cicho, poruszone delikatnym ciepłym wiatrem z południa. Pod nimi przechadzało się niespiesznie dwóch mężczyzn zajętych rozmową. Poważne miny dowodziły, iż o niewesołych i ważkich rzeczach mówią, a ściszone głosy świadczyły, że tylko dla ich uszu przeznaczone są wypowiedane słowa.

Kiedy wysoki, siwowłosy szlachcic z bliznami na twarzy skończył swą opowieść, Eryk Herburt w zamyśleniu pokiwał głową. Zaplótłszy ręce za plecami, szedł powoli, długo zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Wreszcie zatrzymał się i rzekł:

– Pisał mi pan Murray jeszcze zimą o śmierci Stillera. Dzielny był to człowiek i cnotliwy, który najpewniej odkupił swym życiem grzechy młodości. Zaiste jednak, zadziwiająco mi opowiedziałeś historię, mości Żegota. Ciekawi mnie jeszcze, cóż było dalej.

– Czym prędzej pogałem do Beniowej. Tam zastałem zrozpaczonego Williama, który oznajmił mi, iż Werner skonał nocą. Ponoć ocknął się przed samą śmiercią i z uśmiechem wyszeptał, że tak być musi. Nic więcej. Mówił Murray, że cicho i bez męki odszedł. – Opuściwszy głowę na piersi, dokończył głucho: – Pochowaliśmy go przy cerkwi.

– A co z owym cudzoziemcem, który się mienił Łowcą? Gdzie spoczął?

– Prowadząc luzaka, pojechałem dzień po pogrzebie Stillera na szczyt Czereszni, gdzie zostawiłem ciało. Mróz był, tedy sądziłem, że jak go zwierzęta nie rozwlekły, to zabiorę trupa do Beniowej dla pogrzebania. Nie godziło się tak go zostawiać bez pochówku. Ale znalazłem tylko proch i zetłate odzienie. Nawet kości się nie ostały. Tak jakby nie kilka dni, lecz wiele lat minęło od jego śmierci. Ułożyłem więc w tym miejscu kopczyk z kamieni i krzyż brzoźowy postawiłem. Jego rzeczy, co miał przy koniu, w tym ową skórzaną sakwę, spaliliśmy w kominie. Tylko rapier i lewak zostawiłem. Nic więcej.

– Taaak... – odpowiedział przeciągle Herburt, kiwając głową. – Nie spodziewał się ten, który Stillera gonił, iż on umarł, nie poczekawszy na niego. – Uniósł wzrok

i dodał: – Dawno temu, kiedy rady na swoją bolączkę szukałem, spotkałem na pustyniach daleko na Wschodzie człowieka, który powiedział mi o takich jak on Łowcach. W jego mowie nazywali ich Sijad<sup>198</sup>. Wywodzą się ponoć z ludzi okrutnych, którzy szukają odkupienia. To takich dotyka klątwa. Służą rzekomo przedwiecznej sile powstałej z czystego ognia bez dymu<sup>199</sup>. Jeśli nie zdołają dotrzymać złożonej przysięgi, ich własna dusza trafia do otchłani wraz z tymi, które zebrali. Cóż, prawdę mówią ci, którzy twierdzą, że nie można układać się z szatanem. Niespodziewanym zrządzeniem Opatrzności to myśliwy poszedł w piekielny ogień zamiast ostatniej ofiary.

– Tak mniemasz, waszmość? – W głosie Nadolskiego zabrzmiały jednocześnie nuty nadziei i zwątpienia.

– Nie inaczej – potwierdził stary magnat pewnym głosem. Zmarszczywszy brwi, dodał: – Okpiła go owa dziewczynka, co pewnie dobrze pojął, nim skonał. Niezwykły musi mieć dar, skoro potrafi zaglądać za zasłonę okrywającą przyszłość. – Pokręcił głową. – Zaiste, niezwykły.

Siwowłosy przytaknął, po czym zmarszczył czoło, zamyśliwszy się nad czymś. Po dłuższej chwili rzekł z pewnym wahaniem:

– Wiele dni zastanawiałem się, po co to wszystko. Wszak nic nie dzieje się bez przyczyny, nieprawdaż? Czemu przeklęła Popiela, Baczyńskiego i Żeliborskiego, kazała owemu Łowcy mnie szukać, na koniec zaś jaki sens miała śmierć Wenera? Portugalczyk powiedział mi, iż tylko ja mogę ją uwolnić. Dlaczego? Czyżby w istocie wszystko to, co się zdarzyło, mogła przewidzieć? Wydaje się to niepodobieństwem, lecz jeśli tak, to jaki miała w tym cel? – Uniósł oczy, spoglądając na starca. – Jedna przychodzi mi na myśl odpowiedź na to wszystko. Wciąż tam na mnie czeka, bym wypełnił dawną obietnicę.

Herburt pochylił się lekko, rozkładając przed sobą ręce.

– Niezbadane są wyroki Opatrzności. Ale i ja tak sądzę po tym, co od ciebie usłyszałem. Dlaczego zaś ciebie wybrała? Cóż, to wie tylko ona, panie Nadolski. – Zamyślił się, gładząc brodę smukłymi palcami. Kiedy podniósł głowę, zapytał: – Czego więc chcesz ode mnie, mości Żegota, bo pewnie nie tylko pomówić ze mną do Fulsztyna zajechałeś? Myle się?

– Nie mylisz, waszmość – przyznał siwy szlachcic.

Westchnąwszy, gestem zaprosił starca do dalszego spaceru. Gdy ruszyli wzdłuż lipowej alei, patrząc przed siebie, powiedział:

– Wieść niesie, że pan hetman Koniecpolski poselstwo na Krym szykuje. Ponoć chce z chanem Girejem się ułożyć w sprawie napaści kozackich i tatarskich, aby kres im położyć. Mówią, że pan łowczy sanocki Stanisław Oświęcim<sup>200</sup> będzie mu przewodził.

– Słyszałem – potwierdził Eryk Herburt. Zmrużył oczy. – Chyba domyślam się, czego pragniesz.

– Gdyby wasza miłość wstawił się u hetmana i zarekomendował mnie i Williama do owego poselstwa... – Żegota przerwał, zmieszany poprawiając kołpak. – Wszak znasz go z dawnych lat. Ciebie posłucha.

Starzec skinął głową.

– Może i posłucha – przyznał.

Spojrzał badawczo na Nadolskiego.

– Na pewno tego chcesz? Wiesz, jakie to ryzyko? Nadto z tego, co rzekłeś, ona teraz w niewoli u murzy Tuhaja. Jak ją chcesz uwolnić?

– Nie wiem – wyznał szczerze szlachcic z Wygnanki. – Ale jedno wiem, wasza miłość, że muszę spróbować. Inaczej Bóg jeden wie, co może spotkać mnie i moich najbliższych. Śmierć Wenera aż nadto dosadnie tego dowodzi.

Westchnął ciężko pan Herburt, rozumiejąc powinność i obawę Żegoty. Zafrasował się, wążąc, co powinien uczynić. Dotknął palcami skroni i przetarł zmęczone letnim blaskiem oczy. Na koniec zaś oznajmił:

– Dobrze. Niech więc tak się stanie. Lecz co wówczas? Wszak przysięgę złożyłeś Baczyńskiemu, nieprawdaż?

Żegota zagryzł usta, pochylając się.

– Na siebie ten grzech biorę, ale nie mogę słowa dotrzymać. Niech mi Bóg wybaczy, bo gdybym wiedział... Gdybym wiedział, nigdy bym go nie dał.

Starzec sapnął i pokiwał głową. Dobrych kilkanaście kroków zdołali przejść, nim oznajmił:

– Jeszcze dziś napiszę do pana hetmana. A ty, jeśli ci się powiedzie, przywieź ją do mnie. Wszak to... – zmrużył oko, unosząc kąciki ust – ...taki jak ja odmieniec.

Uśmiechnął się smutno Nadolski i jął dziękować za łaskę, choć wcale nie pragnął w drogę ku nieznanemu wyruszać. Dobrze jednak pojmował, że człowiek rzadko bywa panem swojego losu.

Odchodzili powoli piaszczystą drogą, a dalsze słowa ich rozmowy niknęły pośród delikatnego szumu lipowych liści. Tylko z przygarbionych sylwetek i powściągliwych gestów można było wnioskować, iż nadal o smutnych i trudnych sprawach mówią. Nawet sierpniowe słońce i błękit czystego nieba, choć kusiły urodą lata, nie mogły nic na to zaradzić. Świat bowiem niezmiennie jest obojętny na ludzkie troski, a jego złudne piękno zwodzi tych, którzy mu naiwnie ufają. W istocie zaś jest okrutny i bezwzględny, o czym wiedzieli doświadczeni przez los, niknący w cienistej alei mężczyźni.

## PRZYPISY

[\*] Platon, *Timajos, Kritias*, przekł. W. Witwicki, Drukarnia Naukowa TNW, Warszawa 1951.

[1] Rodzaj hełmu pochodzenia wschodniego. Złożony był z płaskiego żelaznego dzwonu (denka) i otwartego z przodu czepca kolczego o długości kilkudziesięciu centymetrów. Od spodu dzwon wyściełany był filcową czapką lub turbanem.

[2] Płytkowe zarekawia chroniące przedramiona od nadgarstków do łokci.

[3] Lekka, okrągła, bardzo wypukła tarcza pochodzenia wschodniego. Najczęściej wykonana z figowych prętów połączonych jedwabnymi nićmi. Całość wzmacniało umieszczone pośrodku metalowe umbo.

[4] Późniejszy bej sandzaku (jednostka terytorialna imperium osmańskiego) Or Qapi, znany powszechnie jako Tuhaj bej.

[5] Oddział tatarski przenikający na terytorium wroga, potocznie grupa zbrojnych Tatarów.

[6] Staja – 1/8 dawnej mili (mila = 2 półmili = 4 ćwierćmili = 8 staj = 7,5–8,5 km).

[7] Staw nadgarstkowy przedniej nogi konia.

[8] Materiał palny wytwarzany z nadrzewnych grzybów. Produkowano ją, mocząc w saetrze i odwarze z popiołu drzewnego, następnie miazdżono i suszono. Używano go do rozpalania ognia krzesiwem.

[9] Mołojec – dawniej odważny i krzepki mężczyzna.

[10] Wyprawy (głównie morskie, ale nie tylko) podejmowane przez Kozaków na terytoria imperium osmańskiego i Chanatu Krymskiego.

[11] Staropolskie określenie małego, niesfornego dziecka.

[12] Szeroki pas skórzany przewieszany ukośnie przez ramię i tułów, służący do zawieszania broni.

[13] Kosz dzwonowy (pełny) wprowadzony został w Hiszpanii i we Włoszech na początku XVII wieku.



[14] Duży sztylet używany przy walce rapierem. Trzymany w drugiej ręce niż broń główna służył do parowania ciosów, zasłon, a także do ataku.

[15] Wódz, książę, później tytuł honorowy używany w krajach muzułmańskich.

[16] Obelżywe określenie cudzoziemca (kogoś ubranego w pludry, krótkie sukienne spodnie sięgające kolan).

[17] Obrażliwe określenie oznaczające mężczyznę niebudzącego zaufania ani szacunku, często ugrzecznoniego i fałszywego.

[18] Sztych – ostro zakończona część głowni, moc – środkowa część głowni.

[19] Budynek, gdzie folowano sukno wełniane – obróbka polegała na zgniataniu wilgotnej tkaniny w celu spłśnienia i zagęszczenia struktury. Maszyny folujące miały zwykle napęd wodny, a folusze budowano nad rzekami.

[20] Ruchome zastawki w budowli na rzece, strumieniu, kanale służące do regulacji przepływu wody.

[21] Jerzy Stano z Nowotańca, herbu Gozdawa. Chorąży sanocki, stolnik sanocki, starosta sądecki, dwunastokrotny poseł na sejm, w roku 1632 elektor Władysława IV Wazy z województwa krakowskiego.

[22] Niższy oficjalista dworski nadzorujący pracę chłopów.

[23] Dawne gwarowe określenie słoniny.

[24] Wydarzenia opisane w powieści Czas pomsty, Wydawnictwo Dolnośląskie 2019.

[25] Broń obuchowa, miążdżąca, składająca się z drewnianego trzonka, do którego łańcuchem, sznurem lub rzemieniem przymocowano bijak.

[26] Używany od XVI wieku pojazd konny, czterokołowy, mający zawieszony na rzemieniach pudło do transportu ludzi. W XVIII wieku zastąpiony karetami i karocami.

[27] Wieś już nie istnieje.

[28] Obecnie Wisłoczek.

[29] Dawniej: przyzwyczajona.

[30] Prosta, długa, obcisła męska suknia z niewysokim kołnierzem, długimi rękawami, zapinana z przodu na guzy i pętelki.

[31] Dawniej: tęskni się.

[32] Dawny tytuł grzecznościowy w odniesieniu do kobiet; wasza miłość, waścinka.

[33] Kwestia ta jest jednym z tematów powieści Czas pomsty.

[34] Błażej Bogacki, proboszcz w Rymanowie w latach 1631–1657.

[35] Dawniej wydzielony budynek przeznaczony do przechowywania cennych przedmiotów lub narzędzi.

[36] Z języka niemieckiego: łomoczący duch.

[37] Od roku 1614 arcybiskup lwowski. Człowiek wszechstronnie wykształcony, mecenas sztuki, bibliofil. Poseł, przez osiem lat rezydent królewski na dworze w Madrycie, senator, protektor kawalerów maltańskich. Zmarł w roku 1633.

[38] Uznanie szlachectwa dla obcokrajowca.

[39] Kolejnym arcybiskupem lwowskim w latach 1633–1645 był Stanisław Grochowski. Tolerował on tumulty antyżydowskie, a także spierał się z lwowskim magistratem. Słynął z zamiłowania do bogactwa, które skwapliwie gromadził do swej śmierci.

[40] Nieistniejąca już wieś należąca w XVII wieku do Herburtów.

[41] Wydarzenia te opisuje powieść Mroczny zew.

[42] Żartobliwe, czasem pogardliwe, określenie szlachcica samodzielnie zajmującego się rolą.

[43] Dokument wydawany przez króla lub hetmana dla oficera wojsk zaciężnych uprawniający do prowadzenia zaciągu określonej liczby ludzi na wskazanym obszarze.

[44] Małe, zalesione wzgórze na zachód od Rudawki Rymanowskiej.

[45] Koń, najczęściej przedniej pary zaprzęgu, na którym jadący sługa kierował powozem.

[46] Historia ta opisana jest w powieści Czas pomsty.

[47] Dawna jednostka objętości. Garniec (około 3 litrów) dzielił się na cztery kwarty i szesnaście kwaterek.

[48] Ocieplają przez obłożenie budynków zebranymi jesienią liśćmi, uszczelnianie okien i drzwi przędzą z konopi, a przestrzeni pomiędzy belkami warkoczami ze słomy.

[49] W folwarkach szlacheckich piece do wypieku chleba często stawiano w oddzielnych budynkach z racji obaw przed pożarem.

[50] Podobne praktyki opisał Oskar Kolberg w opracowaniu dotyczącym obszaru sanocko-krośnieńskiego. Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 51, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1973.

[51] Dobitna wypowiedź.

[52] Prymitywne piece do wytopu żelaza lub kuźnie do wstępnej obróbki surówki.

[53] Dawniej: żywność, prowiant zwłaszcza dla wojska.

[54] Oddziały lisowczyków miały z założenia działać za granicą i żywić się tym, co zdobywają. Niestety w praktyce tę samą politykę stosowały, przebywając w granicach Rzeczypospolitej, co w efekcie doprowadziło do ich rozwiązania w latach dwudziestych XVII wieku.

[55] Wydarzenia z 1626 roku.

[56] Rodzaj nieprzepasywanego płaszcza.

[57] Obraz, malunek, wizerunek.

[58] Choć dwór przeniósł się do Warszawy w 1609 roku, w XVII wieku nikt nie kwestionował stołeczności Krakowa. Dla odróżnienia Warszawę nazywano Miastem Rezydencjonalnym Jego Królewskiej Mości.

[59] Wpisany do akt sądu ziemskiego lub grodzkiego.

[60] Rodzaj zupy przyrządzanej z żółtek jaj, śmietany, piwa i cukru, podawanej najczęściej z pokrojonym w kostkę białym serem.

[61] Trojak to moneta srebrna wartości 3 groszy. Za jednego trojaka w tym czasie można było kupić kurę lub pół kopy jaj.

[62] Bracia Rosińscy, Stanisław, Piotr i Jan, synowie równie okrutnego Jerzego, byli znanymi na ziemi sanockiej przestępcami, niewahającymi się mordować odwiedzających ich gości.

[63] Ewangelia św. Mateusza 26:52, tekst łaciński za Wulgatą Klementyńską (Vulgata Clementina) 1592, tłumaczenie za: Biblia warszawska (Brytyjka), Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne w Warszawie, Warszawa 1975 – ...wszyscy bowiem, którzy miecza dobywają, od miecza giną (łac.).

[64] Sprzęty, ubrania.

[65] Staropolska kwarta to około 1,125 litra.

[66] Rytuał zawierania przymierza znany w XVII wieku. Zawierający go przeciwnicy zobowiązywali się nie nastawać na swoje życie, a także udzielać sobie pomocy.

[67] To niemożliwe (niem.).

[68] Miło pana widzieć, panie Stiller! (niem.).

[69] Mówiłem ci, że cię znajdę. Nieprawdaż? (niem.).

[70] A kto to jest? (niem.)

[71] Lepiej być samemu niż w złym towarzystwie, przysłowie portugalskie.

[72] Księga Liczb 32:23, dosłowny cytat z Biblii Jakuba Wujka brzmi: Ale jeśli tego, co powiadacie, nie uczynicie, nikt nie wątpi, że grzeszycie przeciw Bogu: a wieździe, iż grzech wasz zachwyci was. Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1923 (wydanie oryginalne 1599).

[73] Broń obuchowa składająca się z ciężkiej głowicy osadzonej na trzonku.

[74] Hrabia, książę Palatynatu Neuburg (1578–1653).

[75] Książę, elektor Brandenburgii (1572–1620).

[76] Spór dotyczył roszczeń spadkobierczyń dwóch sióstr zmarłego w 1609 roku księcia Jülich-Kleve-Berg Jana Wilhelma. Pięcioletnią wojnę zakończył podpisany w listopadzie 1614 roku pokój w Xanten.

[77] Mit den Wölfen muss man heulen (Z wilkami człowiek musi wyć, przysłowie niemieckie). Czasem słowa te przypisywane są Marcinowi Lutrowi.

[78] Oddział jazdy bez taborów i armat.

[79] Książę Alba był generałem gubernatorem Niderlandów do roku 1573.

[80] Grecka bogini zemsty. Córka Nocy określana jako uosobienie boskiego gniewu.

[81] Inaczej Nemezis.

[82] Instynkt (łac.).

[83] Człowiek człowiekowi wilkiem (łac.).

[84] Wywinięte, zwykle żółte klapy na cholewach butów.

[85] Larache, miasto w Maroku, obecnie Al-Ara'isz, zdobyte przez Hiszpanów w 1610 roku.

[86] Włoski mistrz szermierki z XVI wieku nauczający w Bolonii. Autor wydanego w 1536 roku traktatu Opera Nova dell'Arte delle Armi.

[87] Fernando de Valdés y Salas, biskup katolicki, wielki inkwizytor Hiszpanii zmarły w roku 1568 w Madrycie.

[88] Łowca (hiszp.).

[89] Łowca (łac.).

[90] Podręcznik dla inkwizytorów ukończony w Katalonii w roku 1376, autorstwa Nicolasa Eymerica, aragońskiego dominikanina, teologa i inkwizytora.

[91] Młodość jest czasem nauki, ale żaden wiek nie jest zbyt późny do podjęcia nauki (łac.).

[92] W rzeczywistości Jan Andrzej Próchnicki, jeszcze jako kanonik krakowski, był posłem na dworze Filipa III, a zarazem zarządcą dóbr włoskich pozostałych po królowej Bonie. Biskupstwo kamienieckie otrzymał za zasługi w roku 1607, a wyświęcony został w Neapolu przez kardynała Filipa Spinetta.

[93] Francisco Gómez de Sandoval-Rojas y Borja, wicekról Portugalii, zausznik króla Filipa III. Wydalony z dworu w roku 1618.

[94] 18 grudnia.

[95] Wigilię.

[96] Szabla zwana ormiańską charakteryzowała się niewielką krzywizną ostrza. Znane były jej różne odmiany (czeczuga, smyczek, ordynka, karabela ormiańska), a noszona była do stroju szlacheckiego podobnie jak karabela.

[97] Święto obchodzone 1 stycznia.

[98] Niemieckojęzyczni osadnicy w Karpatach przybyli w późnym średniowieczu.

[99] Według zapisów od 10 listopada 1634 roku Pielnia należała do braci Wacława i Jerzego Stano.

[100] Potoczne określenie kochanków żony.

[101] Bękart.

[102] Okres zabaw pomiędzy świętem Trzech Króli a Popielcem. Karnawał.

[103] Cetnar, jednostka masy, około 65 kilogramów (cetnar staropolski był dzielony na 5 kamieni, 160 funtów i 5120 łutów).

[104] Tęskni.

[105] Rasa dużych koni zimnokrwistych w średniowieczu używanych w celach bojowych.

[106] Przywitanie szkockie, dosłownie: Niech twój kominek długo się dymi.

[107] Witaj! (gaelic.)

[108] Na zdrowie! (gaelic.)

[109] W marcu 1611 roku.

[110] Za Józefem Budziłą, chorążym mozyrskim i pułkownikiem królewskim, autorem pamiętników pod tytułem oryginalnym Historia Dymitra fałszywego, [w:] Moskwa w rękach Polaków. Pamiętniki dowódców i oficerów garnizonu polskiego w Moskwie w latach 1610–1612, pod red. M. Kubali i T. Ścieżora, Kraków 1995.

[111] Konfederacja ta powołana została w 1614 roku.

[112] Gabor Bethlen, książe siedmiogrodzki, przywódca antyhabsburskiego powstania na Węgrzech w latach 1619–1621. Zmarł w 1629 roku.

[113] Pod Tarnowskimi Górami lisowczyków ostrzelano z armat. Oddziały tej lekkiej jazdy dały się we znaki mieszkańcom Śląska, gdyż najeżdżały niektóre miejscowości i rabowały mieszkańców.

[114] Dawna nazwa hiszpańskiego czerwonego wina.

[115] Sześciokrotny członek rady urzędującej w Krakowie i kilkukrotny burmistrz. Absolwent Akademii Krakowskiej, prawnik, pisarz dekretowy koronny w sądach zadwornych.

[116] Syn Jana Zamoyskiego, jeden z największych magnatów Rzeczypospolitej pierwszej połowy XVII wieku.

[117] W 1622 roku Tomasz Zamoyski był marszałkiem Trybunału Głównego Koronnego.

[118] O zmarłych dobrze albo wcale (łac.).

[119] W tym kontekście: wstyd było słuchać. Samo słowo hadki oznacza obrzydliwy.

[120] 21 stycznia. Święta Agnieszka jest patronką dzieci, panien i ogrodników.

[121] Mila liczyła około 7,5 km.

[122] Blech – miejsce bielenia tkanin i przędzy.

[123] Pierwszym przeorem klasztoru od 1621 roku był o. Stefan od Świętej Trójcy (Kucharski).

[124] Święty Tomasz, Summa Theologiae, Cambridge University Press, New York 1970, digitally version 2006, tłumaczenie własne: samo wybranie stanowi sąd; od niego to bierze nazwę wolna wola (łac.).

[125] Postać znana z powieści Czas pomsty.

[126] Od 1631 roku Stefan Kucharski objął funkcję prowincjała karmelitów bosych.

[127] Historię tę opowiada druga część przygód Żegoty Nadolskiego pod tytułem Mroczny zew.

[128] Bunt kozacki z lat 1591–1593, którego genezą był prywatny zatarg Krzysztofa Kosińskiego z Januszem Ostrogskim o dobra Rokitno i Olszanica.

[129] Bitwę stoczono 2 lutego 1593 roku.

[130] Źródła podają niejasne okoliczności śmierci Krzysztofa Kosińskiego. Jedne twierdzą, że zginął w trakcie bitwy pod Piątkiem, inne, że został zabity w awanturze w karczmie w Czerkasach.

[131] Mowa o konstytucji „O Niżowcach” przyjętej wiosną 1593 roku, w której wszystkich służących Kosińskiemu uznano za winnych ciężkiej zdrady i skazano na śmierć. W późniejszym okresie skutki przepisów tego aktu prawnego zostały złagodzone.

[132] Mowa o zaangażowaniu Kozaków w wojnę o władzę na Krymie. Na prośbę obydwóch spierających się braci Girejów Kozacy trzykrotnie zaatakowali Sztambuł, zagrażając sułtanowi Muradowi IV, który chciał pozbawić władzy nad półwyspem zarówno Mehmeda, jak i Szahina Gireja. Sułtan zawarł porozumienie z królem polskim, na mocy którego Kozacy mieli nie angażować się w spór, lecz na żądanie Zygmunta III Wazy zaprzestania najazdów starszyzna kozacka odpowiedziała, że „Kozacy z sułtanem ugody nie zawierali”.

[133] Chodzi o powstanie kozackie z roku 1625, zakończone podpisaniem ugody z hetmanem Koniecpolskim. Sprzeciwiający się temu porozumieniu hetman kozacki Marek Żmajło został usunięty z funkcji, a na jego miejsce powołano Mychajła Doroszenkę.

[134] Warowny obóz na wyspie Bazawłuk działający w latach 1593–1608. Sicz oznaczała umocnioną osadę zakładaną na wyspach dolnego Dniepru.

[135] W rzeczywistości kontrola obwarowań Przemyśla pod koniec XVII wieku stwierdziła w tym miejscu uszkodzenie substancji murów na skutek spadku z kloak stojących za murem i niemających odpływu.

[136] Wywodzące się ze średniowiecza powiedzenie, opierające się na prawie do wolności osobistej tych, którzy przynajmniej rok spędzą w mieście.

[137] Wartość monety w Polsce systematycznie spadała od początku XVII wieku. W przeliczeniu na dzisiejsze warunki 1 grosz w czasach Władysława IV wart byłby nieco ponad 10 zł.

[138] Klasztor wzniesiono w dzielnicy zwanej Wójtostwo, która to nazwa pochodziła od znajdującego się w niej dworku dziedzicznego wójta Przemyśla.

[139] Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus (łac.).

[140] Teraz i zawsze (łac.).

[141] Kwadratowy lub prostokątny ogród znajdujący się wewnątrz murów klasztornych.

[142] Na wieki wieków (łac.).

[143] Forma grzesnościowa zastrzeżona dla kardynała, arcybiskupa, biskupa, generała zakonu, prowincjała, opata, prałata papieskiego.

[144] Modlitwa Aniele Boży, Strózu mój...

[145] Modlitwa Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie...

[146] Nieżywy pies nie gryzie (łac.). Słowa Stefana Batorego dotyczące dalszego losu schwytanego Samuela Zborowskiego, wypowiedziane do Jana Zamoyskiego.

[147] Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu (łac.).

[148] Marność nad marnościami i wszystko marność (łac.).

[149] Święty człowiek (łac.). Niejasny termin z prawa rzymskiego. Człowiek, który mógł zostać bezkarnie zabity, pozbawiony wszelkich praw, a jednocześnie nie można go było złożyć w religijnej ofierze. Czasem termin ten interpretowany jest jako określenie człowieka zawieszzonego w próżni pomiędzy sacrum a profanum. Wyrzutek będący poza wszelkimi wymiarami życia społecznego.

[150] Hieronim Kucharski (przyjął w 1616 roku zakonne imię Stefan od Świętej Trójcy) urodził się w 1595 roku w Oleszczycach w domu magnata Stanisława Kucharskiego i Barbary z domu Pielarskiej.



[151] Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1923 (wydanie oryginalne 1599).

[152] Jeden z największych magnatów pierwszej połowy XVII wieku, późniejszy hetman wielki koronny.

[153] Jan Mikołaj Daniłowicz, starosta samborski w latach 1631–1650.

[154] Urzędnik ziemski będący namiestnikiem i zastępcą starosty.

[155] Stanisław Potocki pełnił ten urząd od 1631 roku.

[156] Jezu Chryste, Synu Boga, zmiłuj się... (łac.)

[157] Uratuj mnie, Panie (łac.).

[158] Ojczy nasz, któryś jest w niebie... (łac.).

[159] ...ale nas zbaw ode złego... (łac.).

[160] ...matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci... (łac.).

[161] Pod Twoją obronę... (łac.).

[162] Nazwa ta wywodzi się od węgierskiego słowa elöljáró oznaczającego idącego z przodu. Początkowo określano tak żołnierza lekkiej jazdy lub harcownika. Nazwy tej użył w stosunku do lisowczyków ich kapelan Wojciech Dembołęcki w swoich pamiętnikach Przewagi elearów polskich, co ich niegdy lisowczykami zwano, wstęp i oprac. Radosław Szyber, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2005, a także O lisowczykach wierszem i prozą (1620–1621), Wydawnictwo DIG, Warszawa 2011.

[163] Jan Dymitr Solikowski był arcybiskupem lwowskim od 1583 do 1603 roku.

[164] Opisywana historia dotyczyła owczarza z Czarnostowa na Mazowszu, który znany był pod koniec XIX wieku. Jak głosi legenda, zaślepiony chciwością dał się przekupić zjawie, przez co upiory przestały go słuchać.

[165] Jakub Bydłowski był podstarościm halickim od 1634 roku.

[166] Dawna nazwa Bratysławy.

[167] Demeryci to duchowni skazani przez sąd kościelny na odosobnienie za wykroczenia przeciw swemu powołaniu.

[168] Muzułmański sznur modlitewny składający się z 33 paciorków lub trzech części po 33 paciorki.

[169] Dawne określenie strażników miejskich.

[170] Mottem dominikanów jest *contemplare et contemplata aliis tradere* – kontemplować i dzielić się z innymi owocami tej kontemplacji.

[171] Klócić się.

[172] Tu użyte wymiennie ze słowem *czekan*, chociaż według niektórych źródeł te rodzaje broni różniły się nieco budową młotka.

[173] Zygmunt Gloger w Encyklopedii staropolskiej (wydanie 1900–1903, tom IV) tak opisywał więzienie zwane dawniej wieżą: „Wieża dzieliła się na górną, czyli więzienie cywilne, i to było widne, czyste, schludne i ciepłe, oraz na wieżę dolną, podziemną, która była więzieniem kryminalnym, ciemnym, do 12 łokci głębokiem. O ile wieża dolna zamykała się na grube wrzeciędzie, o tyle górna często żadnej straży, żadnego zamka u drzwi ani kraty w oknach nie posiadała, była bowiem więzieniem szlacheckim, cywilnym, a cześć szlachcica dawała rękojmnię, że pozostawiony bez żadnych ograniczeń nie będzie wychodził ani uciekał. O opał, światło, jadło sam szlachcic dla siebie się starał, a jeżeli był ubogi i na to nie miał, powinien był mu dostarczyć ten, za którego sprawą na wieżę został skazany. W dolnej wieży nie było ani pieca, ani okna. Wszakże tak do jednej, jak do drugiej mógł dostać się człowiek każdego stanu. Skazanych za zabójstwo w zwadzie królowie nasi przez łaskę uwalniali od dolnej wieży”.

[174] Morderca! (niem.)

[175] Tropiciel (ukr.).

[176] Bitwa rozegrała się w czerwcu 1624 roku.

[177] Osaczeni po bitwie pod Kryłowem Kozacy zostali zmuszeni przez Stanisława Koniecpolskiego do podpisania ugody zwanej kurukowską, na co nie chciał się zgodzić hetman kozacki Marek Żmajło. W konsekwencji on i jego zwolennicy zostali pozbawieni władzy.

[178] Pieniądz nie śmierdzi (łac.).

[179] Dawne określenie opuchlizny twarzy wywołanej stanem zapalnym zębów.

[180] Łamanie kołem od dołu było najcięższą formą tego rodzaju egzekucji. Polegało na kruszeniu kości od najniższych stawów rąk i nóg ku górze, by w końcu przetrącić skazańcowi kręgosłup. Łamanie kołem od góry było bardziej humanitarne, gdyż kat najpierw przetrącał kręgosłup winowajcy, powodując albo śmierć, albo też paraliż członków i dopiero wówczas przystępował do dalszej kaźni.

[181] Historia opisana w powieści *Czas pomsty*.

[182] Stało się tak w roku 1632.

[183] Wisłoccy przejęli majątek po Choteckim najprawdopodobniej w roku 1632.

[184] Wieloryb. Nazwa pochodzi od potwora morskiego Cetusa, którego zabił Perseusz, ratując Andromedę.

[185] Dawniej: synowa.

[186] Prawdziwa historia miłości Ines de Castro i Pedra I.

[187] Legenda niemiecka związana z pobytem Marcina Lutera na zamku w Wartburgu.

[188] W islamie anioł nadzorujący piekło (Gehennę) w imieniu Allaha.

[189] Opowieść o tym znalazła się w powieści Mroczny zew.

[190] Żegnaj (port.).

[191] W walce rapierem zwykle w nieuzbrojonej (najczęściej lewej) ręce fechtujący trzymał małą tarczę, lewak, płaszcz, kapelusz czy nawet bandolier, którymi parował ciosy. Najwięksi mistrzowie walki na rapiery walczyli w systemie spada sola, w którym zbijali ciosy nieuzbrojoną dłonią odzianą w rękawicę.

[192] Jak uczono w szkołach szermierczych, pierwszą zasłonę, zwaną primą, należało przyjmować zaraz po wyjęciu broni z pochwy, by nie dać się zaskoczyć przeciwnikowi.

[193] Modlitwa Ojcze nasz.

[194] Część głowni rapiera mniej więcej od połowy długości aż do początku kosza.

[195] Przednia część głowni rapiera.

[196] Koszule jedwabne były cenionym środkiem ochrony. Choć pozornie nie miały waloru zapobiegającego zranieniom, były powszechnie używane pod zbrojami z racji wytrzymałości na rozerwanie. Kula czy grot strzały wbijały materiał w głąb rany, ułatwiając później usunięcie pocisku. Przy tym w ranie nie pozostawały fragmenty tkaniny, co przy innego rodzaju materiale często było przyczyną zakażeń.

[197] Boże, bądź miłociw... (port.)

[198] Myśliwy (arab.).

[199] Tak według wierzeń arabskich powstały dżinny (arab.).

[200] Marszałek dworu hetmana Stanisława Koniecpolskiego, podróżnik, dyplomata i poseł. Znany z legendy o nieszczęśliwej miłości, jaką pałał do własnej siostry Anny.

DZIKIE  
POLA

BEZLITOSNA KLĄTWA  
TAJEMNICE PRZESZŁOŚCI  
SZLACHECKA FANTAZJA  
KRWAWY ZBRODNI



**TYTUŁ** *Diabelski posłaniec*

**AUTOR** Maciej Liziniewicz

**GATUNEK** powieść historyczna z elementami fantasy

**DLA FANÓW** książek: *Szubienicznik* Jacka Piekary, *Opowieści z Dzikich Pól* Jacka Komudy, *Crimen* Józefa Hena; filmów: *Nieśmiertelny*, *Ostatni z rodu Volkodav*, *Dracula*; seriali: *Dom grozy*, *Nie z tego świata*, *Terror*, *Wiedźmin*.

**JEDNYM ZDANIEM** Kiedy straszliwa klątwa z przeszłości przypomni o sobie, Żegota Nadolski wraz z kompanami spróbują stawić jej czoła, choć w tej rozgrywce przyjdzie im nie tylko rozwikłać mroczną tajemnicę, ale i zmierzyć się z groźnym posłańcem ciemności.

Patronaty

BESTIARIUSZ

POPCORNER

ZAPOMNIANA  
BIBLIOTEKA



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-6272-4

EAN 9788327162724

U.WD.FAN049.1.01.01